



DAPHNE SHELDRICK



AFRYKAŃSKA
LOVE STORY

MIŁOŚĆ, ŻYCIE I SŁONIE

wydawnictwo
ab

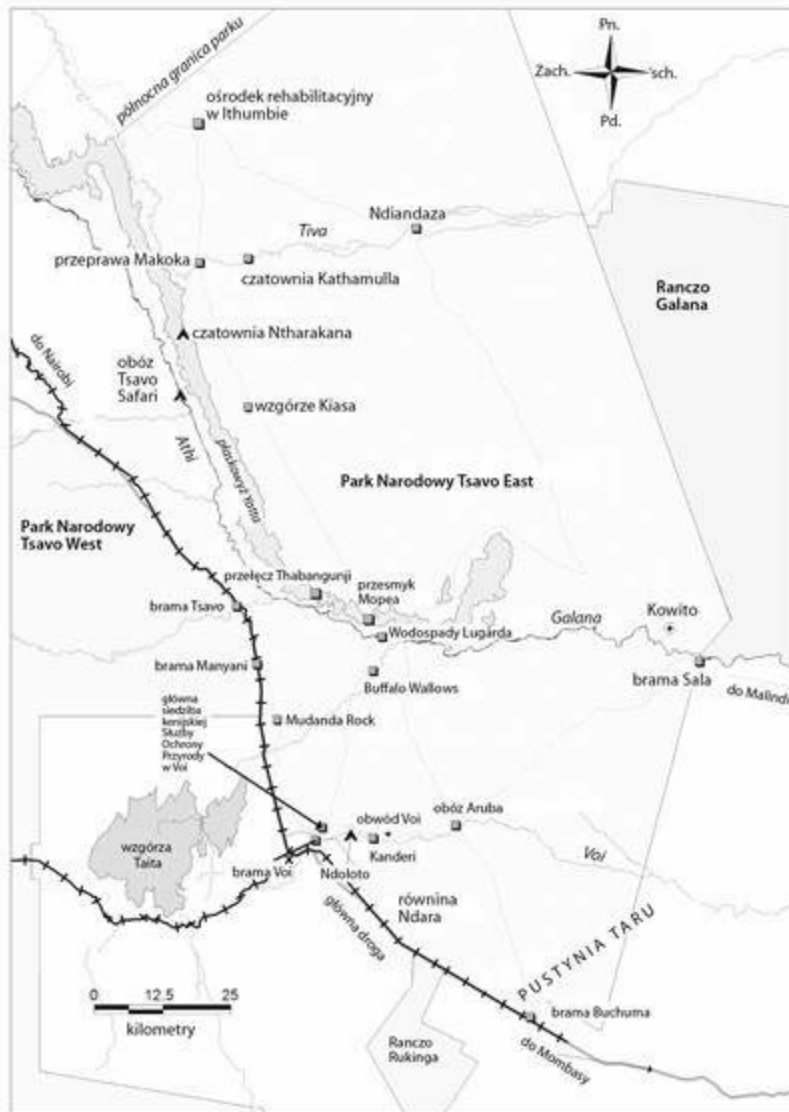
Daphne Sheldrick

AFRYKAŃSKA LOVE STORY
MIŁOŚĆ, ŻYCIE I SŁONIE

Przełożyła Dorota Kozińska

Dedykuję tę książkę Dzikiej Przyrodzie i wszystkiemu, co się w niej kryje, pamięci Davida i dyrektorów pierwszych kenijskich parków narodowych, oraz mojej rodzinie i wnukom, żeby mogły się dowiedzieć, jak to kiedyś bywało.





PROLOG

Dzień zaczął się dobrze. Razem z kolegą szukaliśmy Eleanor, klucząc wśród splątanych roślin i stad dzikich zwierząt w Parku Narodowym Tsavo. Bardzo mi zależało na odnalezieniu najukochańszej z wychowanych przeze mnie słoniowych sierot. Po tylu latach zajmowania się słoniami nie miałam żadnych wątpliwości: od Eleanor dowiedziałam się najwięcej o jej pobratymcach. Przeżyłyśmy wspólnie wiele wzlotów i upadków. Była moją starą przyjaciółką.

Mieliśmy kłopot z jej odszukaniem. Tsavo rozpościera się na obszarze przeszło dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych. Rozglądaliśmy się za nią tam, gdzie ktoś ponoć ją widział zaledwie dzień wcześniej. Dawniej, kiedy spodziewałam się znaleźć Eleanor w stadzie dzikich słoni, wystarczyło zawołać ją po imieniu, żeby spokojnie odłączyła się od grupy i podeszła do mnie. W chwilach czułości obejmowała mnie delikatnie za szyję potężną szorstką trąbą, unosząc na powitanie wielką stopę, żebym mogła ją ucisnąć oburącz.

Znałam Eleanor, od kiedy została sierotą w drugim roku życia – teraz była już po czterdziestce, niemal w tym samym wieku, co moja starsza córka Jill – i łączyła nas zdumiewająca więź, oparta na przyjaźni i zaufaniu, która przetrwała nawet po jej powrocie na wolność.

Wreszcie – we wskazanym miejscu – wypatrzyliśmy dzikie stado. Nigdy nie było łatwo odróżnić Eleanor w skłębionej ciżbie dorosłych osobników; nigdy też mi na tym nie zależało, bo miałam pewność, że słonica sama mnie pozna. W przeciwieństwie do innych dzikich słoni z Tsavo, które nie musiały ani nas lubić, ani nam ufać, zawołana po imieniu Eleanor zawsze podchodziła, żeby się ze mną przywitać, choćby przez wzgląd na stare dobre czasy. Wiele się nauczyłam o słoniowej pamięci i uderzających podobieństwach w odczuwaniu emocji przez słonie i ludzi – bądź co bądź, spotkanie ze starą przyjaciółką świetnie wpływa na samopoczucie, sprawia, że czujesz się chciana i pamiętana.

Ogromna słonica piła wodę z zamulonej sadzawki; jej pobratymcy wycofywali się już w zarośla. Z tej odległości nieszczególnie przypominała Eleanor: była równie wielka, ale bardziej krępa. Podzieliłam się swoją obserwacją ze znajomym.

– Jaka szkoda – powiedział. – Tak chciałem ją poznać.

– Zawołam ją – odparłam. – Jeśli to Eleanor, powinna zareagować.

Zareagowała. Popatrzyła na mnie zaciekawiona i odrobinę odstawiła uszy. Odeszła od sadzawki i ruszyła prosto na nas.

– Cześć, Eleanor – rzekłam. – Przybrałaś na wadze.

Spojrzałam jej w oczy, które miały dziwny odcień bladego bursztynu. Zaświtało mi w głowie, że Eleanor ma ciemniejsze oczy, ale natychmiast odrzuciłam tę myśl. To musi

być Eleanor. Dzikie słonie z Tsavo po prostu tak się nie zachowują, nie podchodzą do ludzi z taką ufnością. Tutejsze stada odnoszą się do nas z wrodzoną rezerwą, bezlitośnie prześladowane przez kłusowników, którzy od lat siedemdziesiątych aż do początku dziewięćdziesiątych dokonali istnej hekatombi tych zwierząt.

– Tak – powiedziała znajomemu. – To Eleanor.

Sięgnęłam do policzków słonicy i poczułam chłód szkliva jej ciosów, drapiąc ją na powitanie pod brodą. Miała dobre, łagodne oczy, okolone długimi ciemnymi rzęsami. Zachowywała się przyjaźnie.

– Jest piękna – wyszeptał mój znajomy. – Stań koło niej, zrobię wam zdjęcie.

Ustawiłam się przy potężnej przedniej nodze i wyciągnęłam dłoń, żeby pogłaskać słonicę za uchem. Uwielbiałam tak pieścić Eleanor. Spód ucha słonia jest miękki i gładki jak jedwab, poza tym rozkosznie chłodny w dotyku.

Byłam zupełnie nieprzygotowana na to, co zdarzyło się potem.

Słonica cofnęła się odrobinę, wstrząsnęła potężnym łbem, chwyciła mnie trąbą i wyrzuciła wysoko w powietrze jak piórko – z taką siłą, że uderzyłam w olbrzymią stertę kamieni jakieś dwadzieścia kroków dalej. Od razu się zorientowałam, że strzaskała mi prawą nogę. Kiedy próbowałam usiąść, usłyszałam i poczułam chrzęst łamanych kości. Zobaczyłam też, że krwawię obficie z otwartej rany na udzie. O dziwo, nic mnie nie bolało – przynajmniej na razie.

Znajomy podniósł krzyk. Słonica – teraz już wiedziałam, że to nie Eleanor – zaszarżowała wprost na mnie, wznosząc się jak góra nad moim pokiereszowanym ciałem. Spodziewałam się rychłego końca. Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić. Miałam za co dziękować w życiu, ale nie chciałam jeszcze schodzić z tego świata. Wezbrała we mnie panika, bezładne myśli przemknęły mi przez głowę. Wtem zapadła kompletna cisza – jakby Ziemia przestała się nagle obracać – a kiedy otwierałam oczy, poczułam, że słonica delikatnie wsuwa ciosy między kamienie a mój tułów. Uświadomiłam sobie, że nie zamierza mnie zabić; wręcz przeciwnie, próbuje mnie podnieść na nogi i pomóc mi wstać. Traktuje mnie jak swoje młode, pomyślałam.

Gdyby mnie jednak podniosła w tym stanie, mogłoby to się źle skończyć.

– Nie! – krzyknęłam i plasnęłam dłonią w wilgotny czubek ciosa, który dotknął mojej twarzy.

Spojrzała na mnie łagodnym, skupionym wzrokiem i rozpostarła uszy, przypominające kształtem zarys kontynentu afrykańskiego. Potem uniosła wielką nogę i zaczęła mnie delikatnie obmacywać, ledwie trącając podszwą stopy. Olbrzymie uszy trzymała prostopadle do potężnego łba, przypatrując się, jak leżę bezradnie, kilka centymetrów od czubków dwóch długich, ostrych ciosów. Już wiedziałam, że nie chce zrobić mi krzywdy – słonie stąpają ostrożnie i depczą tylko po swoich ofiarach. Jeśli mają mordercze zamiary, klękają, żeby zaatakować czołem i nasadą siekaczy.

I w tej właśnie chwili – z zadziwiającą jasnością umysłu, którą pamiętam do dziś – zdałam sobie sprawę, że jeśli ocaleję, muszę wypełnić zobowiązanie, jakie złożyłam Natu-

rze i wszystkim zwierzętom, które wzbogaciły moje życie. Choć czułam każdą złamaną kość w pogruchotanym ciele, choć ból palił mnie teraz jak ogień, choć przyczyną mojej niedoli było jedno z moich ukochanych stworzeń, pojęłam w mig, że mam bezwzględną powinność podzielenia się swoją najskrytszą wiedzą i doświadczeniem z pracy wśród afrykańskich dzikich zwierząt. Muszę się też wytłumaczyć z poczucia przynależności do Kenii.

Jeśli przeżyję, zacznę pisać, pomyślałam. Przekażę moje dziedzictwo. Opiszę wszystko, czego się nauczyłam, próbując się przyczynić do ochrony i zachowania dzikiej przyrody w tej magicznej krainie.

Słońca jakby usłyszała moje myśli. W pełnej napięcia ciszy zerknęła na mnie raz jeszcze i powoli odeszła. Miałam żyć dalej. Wstrząśnięty kolega zdołał jakoś dotrzeć do naszego kierowcy i sprowadzić pomoc.

Po wielu godzinach leżenia pod skałą, szarpana bólem, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłam, zostałam uratowana przez lekarzy z organizacji Flying Doctors. Nie był to koniec moich cierpień. Przeszłam mnóstwo operacji, groźnych infekcji, przeszczep kości i wielomiesięczną rehabilitację, podczas której musiałam od nowa nauczyć się chodzić. Ale przeżyłam i zostałam w Afryce. Ocalałam dzięki niezwykłej umiejętności, z jaką słonie potrafią wymieniać się bardzo złożonymi komunikatami, które niejednokrotnie bywają sprzeczne z ich naturalnym instynktem. Przekonaliśmy się bowiem, że Eleanor знаła Catherine – jak później nazwaliśmy dziką słońcę, która mnie zaatakowała – i w jakiś sposób przekazała jej informację, że mam przyjazne zamiary.

Wracając do ówczesnego objawienia – że muszę spisać historię swojego życia i swojej pracy: oto i jego owoc, który dojrzewał przez kilka lat. To opowieść o moich przodkach osadnikach; o dorastaniu w gospodarstwie rodziców; o safari i nocach pod gwiazdami; o Davidzie, mojej bratniej duszy, moich córkach Jill i Angeli, początkach naszego sierocińca dla słońi i moim własnym życiu – przepleciona fascynującymi gawędami o niezliczonych zwierzętach, które wzbogaciły mnie o tyle nowych doświadczeń. Zwierzętach, które odchowałam, pokochałam i nauczyłam się rozumieć, wchodząc w rolę ich matki zastępczej.

Tak rozpoczyna się moja historia: na tle majestatycznego pejzażu Afryki, kolebki ludzkości.

1. OSADNICY

*To, kim jesteśmy, jest darem od Boga;
to, kim zostaniemy, jest naszym darem dla Boga.*

Anonim

Moi przodkowie osiedlili się w Kenii właściwie przez przypadek.

Na początku XX wieku cioteczny dziad Will wiódł całkiem dostatni żywot we wschodniej części Kraju Przylądkowego w południowej Afryce. Jego rodzina – moja prababka była siostrą Willa – przyjechała do Afryki ze szkockiej prowincji w połowie lat dwudziestych XIX wieku. Will był człowiekiem przedsiębiorczym; pracował ciężko w trudnych warunkach, uprawiając ziemię, dbając o rodzinę i pomagając przetrwać innym konsekwencje wojen burskich. Wygadany i obdarzony charyzmą, z nieodłącznym błyskiem w oku, zapalony miłośnik polowań na grubego zwierza, od czasu do czasu mógł sobie pozwolić na podróż do Kenii staroświeckim parowcem, żeby zaspokoić swoje pragnienie podziwiania tamtejszych zwierząt i krajobrazów. W Kenii, istnej skarbnicy życia – z całym jej bogactwem dzikiej przyrody i falujących sawann – serce aż rosło mu w piersi. Tam właśnie doznawał głębokiej przemiany wewnętrznej.

Podczas jednej z tych wypraw myśliwskich, wiosną 1907 roku, Will zaprzyjaźnił się z sir Charlesem Eliotem, byłym zarządcą nowo utworzonego protektoratu Brytyjskiej Afryki Wschodniej. Mężczyźni Ignęli do siebie. Will, prawdziwy pionier, umiał skutecznie działać; Eliot, prawdziwy polityk, potrafił nakłonić innych, żeby działali skutecznie. Pewnego ranka w buszu Eliot złożył intrygującą propozycję mojemu ciotecznemu dziadkowi: jeśli ściągnie do Kenii dwadzieścia rodzin, rząd przyzna im za darmo ziemię pod osiedlenie. Eliot dostał właśnie polecenie od władz w kraju, żeby przyśpieszyć rozwój kolonii, pociągnąć jedyną linię kolejową aż za Nairobi i sprowadzić białych osadników, co pomoże ożywić handel i zyskać środki na rozbudowę kolei. Rząd brytyjski wysupłał już na ten cel pięć milionów funtów i spodziewał się zysków – im szybciej, tym lepiej.

Kenia nie była głównym celem ekspansji Wielkiej Brytanii w Afryce Wschodniej – chodziło przede wszystkim o Ugandę i źródła Nilu. Rząd chciał zapobiec przejęciu przez Niemców i Francuzów kontroli nad Kanałem Sueskim – ważnym odcinkiem brytyjskiego szlaku handlowego do Indii, perły w koronie Imperium. Budowa kolei była potężnym przedsięwzięciem i do prac sprowadzono tysiące sikhijskich robotników z Indii Brytyjskich. Szlak wiódł przez tereny o bardzo zróżnicowanym krajobrazie – od portowego miasta Mombasy, poprzez gęsty, niedostępny busz, aż po rozległe sawanny, na których rozposcierały się najlepsze pastwiska Masajów. Plemię niegdysiejszych panów tych ziem zostało zdziesiątkowane w początkach XX wieku przez epidemię ospy.

Mój cioteczny dziad Will był tak zauroczony kenijskim buszem i tak zachwycony perspektywą zamieszkania w tym wspaniałym kraju, że skrócił swój pobyt, by zwerbować osadników zgodnie z propozycją Eliota. Nie musiał zbyt długo szukać: ta gałąź naszej rodziny obfitowała w wielodzietne stadła. Sam Will dochował się siedemnaściorga dzieci z trzema żonami, a jego potomstwo przysporzyło mu równie licznych wnuków. Pełen energii i widoków na przyszłość, z powodzeniem przekonał część swoich zstępnych do przeprowadzki. Potem przyszła kolej na jego siostrę, a moją prababkę Aggett. Ona i jej mąż – z niebagatelnym przychówkiem w liczbie ośmiorga dzieci – stanowili idealny cel zabiegów. Mój pradziad Aggett nie radził sobie najlepiej. Rozmiłowany w hazardzie i alkoholu, w dobrej komitywie już tylko z dyrektorem miejscowego banku, który litościwie przyrywał oko na jego rosnący debet – tkwił w długach po uszy. Stary rodzinny dom i kwitnąca niegdyś farma w Kraju Przylądkowym poszły pod młotek, co dało pradziadkowi do myślenia i uzmysłowiło mu zgubne skutki nałogów. Choć dobiegał już sześćdziesiątki, chciał naprawić swoją zszarganą reputację i zacząć życie od nowa. Will podał mu ostatnią deskę ratunku, którą pradziad przyjął z wdzięcznością.

Ellen Margaret, najstarsza córka Aggettów, wcześniej straciła męża. Zostawszy sama z dwoma synami, Stanleyem i Bryanem, przeniosła się z powrotem do moich pradziadków. Ellen była twardą kobietą, znaną z przedsiębiorczości i hartu ducha; aż się paliła, by zasmakować nowej przygody. Jak się okazało, jej decyzja miała bezpośredni wpływ na moje życie. Jestem wnuczką Ellen, córką siedmioletniego wówczas Bryana.

Will był wspaniałym gawędziarzem; w swoich kwiecistych opowieściach potrafił zawrzeć całe piękno Kenii, tchnąc prawdziwe życie w opisy pejzażu, ludzi i dzikiej przyrody. Uważał Kenię za istny raj na ziemi, a perspektywę zamieszkania tam traktował jak zaproszenie do edenu. Miał taką siłę perswazji, że w kilka miesięcy zdołał przekonać dwadzieścia rodzin, by porzuciły Kraj Przylądkowy, przewędrowały dziewiczy interior Afryki Wschodniej i zaczęły wszystko od nowa. Ci ludzie byli potomkami niezmordowanych pionierów: stoicko nastawionych do świata, żądnych przygód, rozkochanych w Afryce. Umiejętność oderwania się od korzeni, przetrwania i urzędzenia się gdzie indziej mieli niejako we krwi. Nasłuchali się od rodziców epickich opowieści o przemierzaniu nieznanych krain i przejawiali wrodzoną chęć doświadczenia podobnych trudów na własnej skórze. Żałuję, że nie mogę cofnąć się w przeszłość i wziąć udziału w legendarnych naradach Willa. W dzisiejszej epoce zaawansowanej turystyki, kiedy dostęp do wszystkiego, co nam niezbędne, mamy praktycznie wszędzie, trudno sobie wyobrazić, że podróż wymagała kiedyś tylu planów i przygotowań. Choć Mombasa była już w starożytności ważnym ośrodkiem portowym, a kolej poprowadzono w głąb lądu aż do Nairobi, wędrowcy musieli być pod każdym względem samowystarczalni. Po drodze nie mogli liczyć na żadną pomoc – nie było dróg, sklepów, lekarzy, dentystów ani aptekarzy. Brali pełną odpowiedzialność za zdrowie i bezpieczeństwo: własne, małych i większych dzieci oraz żywego inwentarza.

W grę wchodziły nie tylko zapasy żywności. Gdyby osadnikom udało się dotrzeć w wyznaczone miejsca, potrzebowali choćby załążka przyszłego stada, także sprzętów gospodar-

skich, nasion, narzędzi, mebli, a co najważniejsze, strzelb i amunicji, żeby obronić swoją własność. Kobiety musiały spakować niezbędne w podróży naczynia, koce, pościel, materiały krawieckie, pasmanterię, lekarstwa, ubrania i przybory toaletowe. Bezcennym skarbem okazały się świadectwa przodków osadników: spisane drobnym maczkiem porady praktyczne dla ludzi zdanych na własne siły, ze szczegółowymi instrukcjami wyrobu mydła i świec, konserwowania i przechowywania żywności, kroju i szycia ubrań, nauczania dzieci w podróży, stosowania ziół, owoców i innych dzikich roślin – zapobiegawczo i w leczeniu chorób, przewycięzania kryzysów psychicznych i nieuchronnych wahań nastroju. Ówczesne kobiety były wyśmienitymi kucharkami i zręcznymi szwaczkami, nawykłymi do znojów osadniczego życia. Trudy podróży i ryzyko rozpoczęcia wszystkiego od nowa miały się jednak stać ciężkim wyzwaniem dla ich rodzin.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy przygotowania dobiegły końca. Nie było już odwrotu. W Port Elizabeth na wschodnim wybrzeżu Afryki Południowej stał wynajęty niemiecki statek „Adolf Woermann”, czekając na przyjęcie kolonistów wraz z ich dobytkiem. Ileż tego było! Wielki statek po załadunku musiał wyglądać jak przysłowiowa arka Noego i rozbrzmiewać podobnym gwarem. Oczyma duszy widzę obraz mojej babki i jej maleńkich dzieci na pokładzie pełnym zwierząt najrozmaitszych rozmiarów: wołów roboczych, koni wierzchowych, bydła mlecznego i mięsnego, owiec, kóz, kur, kaczek, indyków, gęsi i mniejszych zwierząt domowych, stłoczonych wśród wielkich furgonów, wszelkiego rodzaju sprzętów gospodarskich, cennych starych mebli, skrzyń z książkami, butelek, słoików i maszyn do szycia. W tamtych czasach nie było zwyczaju podróżowania z bagażem podręcznym!

Moje dzieci i wnuki tak głęboko zapuściły tutaj korzenie, tak mocno zrosły się z Kenią, że próba uzmysłowienia sobie emocji przeżywanych przez pasażerów, gdy statek powoli wychodził z portu, a oni na pokładzie ze łzami w oczach machali na pożegnanie bliskim, którzy zostali na lądzie, napełnia mnie ogromnym wzruszeniem. Nikt jeszcze nie wiedział, co przyniesie przyszłość, za to wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakim trzeba będzie stawić czoło w najbliższych latach. Wiedzieli też, że dla starszych osób w rodzinie będzie to rozstanie ostateczne, bo nikt się nie spodziewał, że jeszcze kiedykolwiek postawią stopę na ojczystej ziemi. Taka przygoda wymagała wielkiej odwagi, zwłaszcza od kobiet, które ruszały w nieznane wraz z dziećmi.

„Adolf Woermann” płynął do celu dwa długie miesiące. Nie obyło się bez problemów – straszliwego tłoku, chorób i nieuchronnych strat wśród żywego inwentarza. Zawinięcie do malowniczego, skąpanego w cudownym świetle tropikalnego świtu portu w Mombasie musiało przywołać skojarzenia z przybyciem do ziemi obiecanej. Dorośli znosili ładunek ze statku na nabrzeże, zachwycone dzieci rozbiegły się wkoło – mimo nieznośnego upału i obezwładniającej wilgotności. Tętniąca życiem, zgiełkliwa Mombasa mieniła się jaskrawymi barwami towarów oferowanych przez indyjskich i arabskich kup-

ców. W powietrzu niosła się woń korzeni, pachnideł i egzotycznych potraw. Wzdłuż ulic ciągnęły się rzędy biało kwitnących plumerii i palm kokosowych. O zachodzie słońca można było odetchnąć i posilić się w starej części miasta.

Przed rozpoczęciem wyprawy w głąb łądu trzeba było ubrać cały inwentarz w szczelne pokrowce z juty, z otworami tylko na oczy i nozdrza – zwierzęta miały podróżować przez afrykański interior, gdzie aż się roiło od uprzykrzonych much tse-tse. Potężna, niegościnna połać suchej równiny nosiła wówczas nazwę pustyni Taru. Szkocki odkrywca Joseph Thomson opisywał ją w latach siedemdziesiątych XIX wieku jako „straszną i upiorną [...], przerażającą i pełną smutku, jakby ostały się na niej tylko śmierć i spustoszenie”. Wystarczyło jedno ukąszenie zakażonej świdrowcem muchy, żeby przenieść na całe stado śpiączkę afrykańską, na którą nie znano wówczas lekarstwa. Kilka lat wcześniej ofiarą śpiączki padła większość zwierząt używanych w transporcie materiałów do budowy kolei. Wyciągnięto lekcję z tego doświadczenia. Cięcie jutowych worków i owijanie nimi każdej sztuki inwentarza z osobna musiało trwać wiele dni. Trud nie do pozazdroszczenia.

Kiedy zabezpieczono już bydło i załadowano cały dobytek do wagonów, można było rozpocząć kolejny etap podróży. Przygotowania do odjazdu pociągu okazały się równie skomplikowane. Ówczesne parowozy, opalane drewnem, wymagały olbrzymich rezerw paliwa i wody. W Mombasie nie położono jeszcze wodociągów, zapasy trzeba więc było czerpać z dwóch dwudziestopięciometrowych studni albo pompować z rzeki odległej o sześć kilometrów. Wprawienie całej maszyny w ruch było wielkim wydarzeniem. W dzieciństwie, kiedy ojciec opowiadał, jak doszło do osiedlenia naszej rodziny w Kenii, najbardziej lubiłam fragment, który nazwaliśmy z bratem i siostrami historią o jeździe pociągiem. Do dziś potrafię przymknąć oczy i przenieść się wyobraźnią do któregoś z wagonów, czując ten sam dreszcz oczekiwania, jaki towarzyszył wyjazdowi pociągu z Mombasy. Część matek nie bez obaw ruszała w tę podróż: tory kładziono niedawno, więc choć osadnicy i tak musieli wysiąść w Nairobi, w połowie drogi do celu, z pewnością bali się przeprawy przez chwiejne mosty z drewnianych kozłów i przepastne wąwozy. Wszyscy dorośli słyszeli o makabrycznej śmierci pół setki robotników indyjskich i afrykańskich, którzy zginęli przy budowie mostu nad rzeką Tsavo. Sprawcy, dwa miejscowe lwy, do których przylgnęło określenie „ludojadów z Tsavo”, z pewnością wzbudzali postrach wśród mniej odpornych członków naszej rodziny.

Choć moje własne doświadczenia z Kenii różnią się pod wieloma względami od doświadczeń moich przodków, myślę, że pierwszego ranka w pociągu osadnicy ujrzeli taki sam świt, jaki podziwiam do dziś: słońce wschodzące w przepięknym blasku na tle nieba mieniącego się wszelkimi odcieniami karminu, różu, rudego brązu i złota. Ich zmęczone oczy, zasnutę czerwonym pyłem pustyni, patrzyły z równym zachwytem jak moje na rozległą, sfałdowaną połać równiny Athi. Z okien rozpościerał się widok na całe bogactwo Natury – nieprzebrane stada gnu, zebr, antylop, gazeli, żyraf, wielkie skupiska bawołów, a nawet nosorożców. Dzieci, zaurczone zmiennością krajobrazu, syciły wzrok obrazami, z jakimi nigdy przedtem nie miały do czynienia. Grupka najedzonych lwów, leniuchujących

pod samotnym drzewem na równinie, skłoniła maszynistę do zatrzymania pociągu, żeby pasażerowie mogli dłużej się na nie napatrzeć. Prawdę powiedziawszy, cioteczny dziad Will i jego towarzysze podróżowali na specjalnej platformie z przodu lokomotywy, żeby tym baczniej obserwować mijane po drodze stada dzikiej zwierzyny. Will był zapalonym myśliwym, ilekroć wyszedł przy torach godną strzału zdobycz, wstrzymywał podróż, żeby się wybrać na prawdziwe łowy. Maszynista spokojnie czekał na powrót mężczyzn z polowania, a reszta pasażerów nie narzekała na opóźnienie, czerpiąc tyle samo radości z kibicowania ich wysiłkom.

Jakże beztrosko moi przodkowie strzelali do zwierząt! Dla nas, żyjących w innej epoce, świadomych hekatombi dzikiej przyrody, szczęśliwych, jeśli uda nam się zaobserwować któreś z tych wspaniałych stworzeń na wolności, zachowania moich protoplastów są szokujące i niezrozumiałe. W tamtych jednak czasach mapy Kenii świeciły białymi plamami; w każdą stronę, aż po horyzont, ciągnęły się bezkresne, dziewicze ziemie, rozświetlone słońcem połacie złocistej jak zboże trawy, porośnięte drzewami koryta wyschniętych rzek, zielone doliny i krystalicznie czyste jeziora. Zwierzyna była wszędzie i w takiej obfitości, że ci, którzy nie widzieli na własne oczy, nie potrafią sobie tego nawet wyobrazić. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że polowania – choćby najbardziej intensywne – przetrzebią stada dzikiej zwierzyny i doprowadzą do zagłady niektórych gatunków.

Kiedy pociąg dotarł do Nairobi, pasażerowie musieli wysiąść, dopełnić kilku formalności administracyjnych i przygotować się ostatecznie do wielkiej wyprawy w głąb lądu. Nairobi, założone na dawnych terenach rolniczych Masajów, powstało w 1899 roku jako ośrodek zaopatrzeniowy Kolei Ugandyjskiej. Kilka lat później miasto podniesiono do rangi stolicy protektoratu Brytyjskiej Afryki Wschodniej. W 1907 roku Nairobi odbudowywało się po stratach spowodowanych niedawną epidemią dżumy. W chwili przybycia mojej rodziny wciąż przypominało skupisko szop, baraków i kramów indyjskich, przecięte na pół ulicą Rządową, czyli wysadzaną drzewami drogą dla wozów konnych. Większość zabudowań wzniesiono na palach, żeby nie zapadły się w bagno. Wszechobecny kurz pokrywał drzewa i domy. Miasto było jednak gwarne i tętniące życiem, pełne indyjskich pracowników kolejowych, ulicznych sprzedawców, riks i wózków zaprzężonych w muły. Rodzina była oczarowana. Starszyzna grupy zatrzymała się w jedynym hotelu Norfolk z widokiem na mokradła, gdzie dzikie zwierzęta z równin ściągają gromadnie do wodopoju. Trudno o lepsze miejsce dla mojego ciotecznego dziadka Willa. Już pierwszej nocy nie przepuścił okazji – zbiegł z hotelowej werandy i ustrzelił piękną sztukę wypatrzoną na bagnach. Naza jutrz nie musiał nawet opuszczać towarzystwa – położył zwierza wprost z tarasu.

Wkrótce udało się załadować wozy i przyprząc woły. Rodzina była gotowa do dalszej podróży w głąb lądu. Mężczyźni ubrani w ciężkie drelichy, kobiety w pończochach i zasnurowanych gorsetach, wszyscy w hełmach korkowych, ruszali w drogę z duszą na ramieniu. Nikt wprawdzie nie wątpił w hojność rządu, który wyasygnował dla osiedleńców przeszło dwa tysiące hektarów dziewiczego buszu, szkopał jednak w tym, że ziemie leżały w rejonie Naroku, w samym sercu krainy Masajów, co wzbudzało niepokój wielu uczestni-

ków wyprawy. W rzeczywistości nie mieli się czego obawiać. Choć Masajowie, od sześćuset lat żyjący w Afryce Wschodniej, zyskali dość złowrogą reputację, wódz i czarownik Mbatian odradzał swoim współplemioncom stawianie oporu, kiedy na ich terenie pojawia się ludzie o bladej skórze albo „żelazny wąż”, przepowiedziani we śnie przez jedną z masajskich dziewcząt. Tak naprawdę, najbardziej niebezpieczne dla rozpoczynających nowe życie osadników miały się okazać dzikie zwierzęta.

Podróż trwała kilka miesięcy. Nie było dróg, tylko ścieżki utorowane przez wozy jadące przez gęsty busz szlakiem zwierząt. Towarzyszące pasącym się stadom muchy były dosłownie wszędzie i ludzie nie mogli się od nich opędzić. Mimo grubej, chroniącej przed upałem odzieży gęsty pył wciskał się w oczy, wdzierał w gardło i płuca, przyprawiając zwłaszcza dzieci o długie ataki suchego kaszlu. Kiedy wędrowcy wkraczali na ziemie plemion, które nie miały wcześniej do czynienia z białymi, kobiety na widok zbliżającego się konwoju podnosiły wrzask, ściągając mężczyzn uzbrojonych w pałki, włócznie, łuki i strzały. Zdarzało się, że tubylcy miotali włócznie w wozy, zanim mój dzielny cioteczny dziadek Will zdążył ułagodzić ich pojednawczymi gestami. Wszechobecnym zagrożeniem były drapieżniki, których uwagę rozpraszały na szczęście nieprzeliczone stada roślinożerców. W Wielki Rów Wschodni podróżni wjechali trasą wytyczoną przez dawnych pionierów, wijącą się pośród gęstych pierwotnych lasów w górnych partiach rowu, w dół stromego uskoku i dalej przez rozległą sawannę na dnie doliny. Wygasłe wulkany Longonot i Suswa stały na straży ciągu jezior sodowych i słodkowodnych. Zachodnia ściana doliny, tak zwana skarpa Mau, uzmysławiała grozę sytuacji członkom mojej rodziny, którzy musieli dotrzeć do celu, torując sobie drogę wzwyż.

Zdarzały się jednak chwile rzadkiej piękności. Wyjazd z chłodnych zacienionych lasów wprost w bujną, opromienioną migotliwym światłem dolinę po raz kolejny przypomniawszy wędrowcom o różnicowaniu tutejszego krajobrazu. Botanicy amatorzy mogli podziwiać nowe rośliny i kwiaty dosłownie na każdym kroku – orchidee, mieczyki, ketmie i górskie lobelie o dwuwargowych kwiatkach zebranych w olbrzymie kwiatostany, osięgające wysokość do sześciu metrów. Zapaleni ornitologowie obserwowali najrozmaitsze ptaki: liczące co najmniej pięćdziesiąt sztuk stada strusi, lśniące, kruczoniebieskie czarnotki, mieniące się tęczowymi kolorami błyszczaki rudobrzuche i jaskrawo upierzone nektarniki. Z odległych wiosek niosła się cierpka woń domowego inwentarza i pieczonego na ruszcie mięsa; stroje i biżuteria tubylców cieszyły oczy przepychem barw; spomiędzy chat dobiegały odgłosy niezrozumiałych rozmów i porykiwania osłów. Masajowie nosili charakterystyczne okrycia z czerwonych pledów, splatali włosy w warkocze przedłużane pasmami wełny i farbowane ochrą, której używali też do malowania ciała. Ich nogi i ręce zdobiła wymyślna biżuteria z koralików, płatki uszu mieli rozciągnięte ciężkimi kolczykami. Dzieci nie mogły się napatrzeć na ich lśniące sztylety i włócznie.

Ojciec dobrze zapamiętał tę podróż. Nigdy się nie nudziłam, słuchając jego opowieści o stadach zwierząt, które przystawały w oczekiwaniu na przejazd karawany, otaczając ją szczerze niczym żywa zasłona. Tętent kopyt i postękiwania pulsowały jak serce nieznanego

krainy. Ojciec uwielbiał naśladować gruchanie gołębi i z dreszczem podniecenia łowił uchem głęboki, mrozący krew w żyłach ryk lwów. Mięsa zawsze mieli pod dostatkiem. Polowania urządzano niemal codziennie, także podczas całonocnych wart, pełnionych w obronie cennego inwentarza przed atakami lwów, hien i lampartów. Dzieci z zapalem obserwowały, jak Will pędzi wierzchem przez otwartą równinę, próbując prześcignąć żyrafę albo elanda.

Były to jednak beztroskie wspomnienia z lat chłopięcych. Z punktu widzenia dorosłych podróż obfitowała w trudy i dylematy codziennej egzystencji. Wędrówka w górę gęsto zalesionych zboczy skarpy Mau, którą prowadził szlak do Naroku, ślimaczyła się w nieskończoność; przejazd dla wozów trzeba było wyrąbać w nieprzebytym gąszczu roślin, kierując się wąską ścieżką wydeptaną przez słonie. Każdego wieczoru, przed szybkim zapadnięciem zmroku, kobiety rozbijały obóz, a mężczyźni konstruowali z kolczastych krzewów bomę – rodzaj ogrodzenia, zabezpieczający zwierzęta przed nocnymi drapieżnikami. Kiedy podróżni dotarli w rejon Naroku, czekała ich jeszcze przeprawa przez Ewaso Ngiro – dziś zaledwie strumień, wówczas szeroką i rwącą rzekę. Żeby przeprowić się na drugi brzeg, musieli spławić wozy i zwierzęta w poprzek nurtu – istny koszmar logistyczny. Osadnicy byli jednak sprawni i gotowi na wszystko. Po czterech miesiącach stanęli wreszcie u kresu niebezpiecznej podróży. Grupa cioteczno dziadka Willa zatrzymała się nad jeziorem Elementeita, rodzinę Aggettów czekało znacznie trudniejsze zadanie: mieli dobrnąć do samego Naroku. Załazek przysłego miasta był wówczas niewielką osadą handlową i ośrodkiem administracyjnym dystryktu. Wyznaczone działki leżały po drugiej stronie rzeki, z dala od zabudowań osady.

Oczywiście nic nie zastali na miejscu. Aż trudno to pojąć – wędrować przez cztery miesiące w skrajnie niesprzyjających warunkach, ciągnąć ze sobą dorobek całego życia, po czym dotrzeć do celu i zobaczyć dzikie pustkowia. Często się zastanawiam, skąd osadnicy mieli pewność, że nie zabłądzili. Mężczyźni wzniesli prowizoryczne chaty z trawy i mocne bomby z kolczastych krzewów, żeby zabezpieczyć inwentarz. Zakasali rękawy i wzięli się do żmudnego oczyszczania terenu. Chwilę potrwało, nim mogli zbudować solidniejsze domy i zaprowadzić jaki taki porządek w obejściu. Co gorsza, rozkład działek doprowadził do rozproszenia rodziny Aggettów, utrudniając jej członkom wzajemną pomoc. Dla mojego pradziada nastały ciężkie czasy – skończył pięćdziesiąt dziewięć lat i nie miał już sił na taką harówkę. Jeśli osadnicy liczyli na wsparcie Masajów, srodze się zawiedli. Zgodnie z tradycją plemienia mężczyźni zajmowali się wyłącznie wypasem bydła, wszelkie prace fizyczne pozostawiając kobietom. Byli jednak przyjaźnie nastawieni i z ciekawością obserwowali zwyczaje przybyszów. Wytrwałość i odwaga mojego pradziadka wywarły na nich wielkie wrażenie – te same przymioty cenili u pobratymców.

Dziś czujemy się niepewnie, jeśli od sklepu dzieli nas więcej niż pół godziny jazdy samochodem. Ilekroć wybieram się na zakupy, aż się wzdragam na myśl, ile zachodu kosztowało to moją prababkę Aggett. Najbliższy sklep znajdował się w Kijabe – oddalony o sześć dni drogi wozem. Szły więc w ruch rodzinne poradniki. W wolnych chwilach mię-

dzy doglądaniem zwierząt a odpędzaniem hordy pierzastych i ofutrzonych drapieźników, czyhających dniami i nocą na wszystko, co się rusza, prababcia warzyła własne mydło z ubitego w domu masła, strusich jaj zebranych na równinie i przywiezionej z domu sody kaustycznej. Żeby zrobić świece, wytapiała łój z gnu i zalewała tłuszczem knoty umieszczone w wydrążonych cylindrach. Balsamy i maści przyrządzała z ziół wymieszanych z woskiem. Nasolone mięso suszyła w słońcu według przepisu na tradycyjny biltong, zebrane w buszu owoce konserwowała w słojach. Pracowała niestrudzenie – a przecież i ona dobiegała już sześćdziesiątki.

Przez pewien czas rodzina dokładała wszelkich sił duchowych i fizycznych, by z powodzeniem rozpocząć nowe życie. George – jeden z synów Aggettów – spędzał mnóstwo czasu z Masajami, nauczył się ich języka i poznał obyczaje. Moja prababka, której długie i gęste włosy były źródłem niezmiennej fascynacji masajskich kobiet, przekonała się wkrótce, że jej sława uzdrowicielki zatacza coraz szersze kręgi. Dopuszczano ją nawet do leczenia chorych i okaleczonych Masajów – ranionych włócznią, pokąsanych przez lwy, cierpiących na infekcje oczu i skóry. W skład jej tajnych receptur wchodziły mieszanki parafiny i pleśni zebranej z krowich placków, z dodatkiem wyciągów ziołowych sporządzanych zgodnie z instrukcją przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Kiedy rytm życia trochę się uspokoił, rodzina mogła odczuwać satysfakcję ze swej przedsiębiorczości i umiejętności przetrwania. Przepych otoczenia nieustannie podnosił osadników na duchu: rozległe, otwarte przestrzenie, magiczny przestwór nieba w najczystszych odcieniach błękitu, bogactwo dzikiej przyrody. Trudy życia codziennego w buszu okazały się jednak tyleż nieznośne, co wyczerpujące. Ziemię uprawiano metodą prób i błędów. Afryka była zagadką dla pierwszych osadników. Żyzne z pozoru gleby okazywały się zbyt ubogie w sole mineralne, by dawać obfite plony. Wysokie położenie terenu i stosunkowo krótki dzień w strefie podrównikowej też miały wpływ na wzrost roślin. Deszcze niosły głód lub klęskę urodzaju: zawsze były zbyt skąpe albo zbyt ulewne. Gwałtowne gradobicia niszczyły zasiewy aż po horyzont. Bydło padało ofiarą nieznanych chorób, na wszystkich czyhały dzikie zwierzęta, plaga szarańczy bądź żarłocznych gąsienic ćmy *Spodoptera exempta* potrafiła w okamgnieniu zniweczyć nadzieje na żniwa.

Na mojego starzejącego się pradziadka przysły ciężkie terminy. W pewien szczególnie pechowy poranek wybrał się na codzienną przejażdżkę na swej ulubionej kobyle imieniem Księżniczka, prowadząc luzem drugą klacz, Stokrotkę, którą trzeba było trochę rozruszać. Spętał Księżniczkę i zostawił w cieniu wielkich drzew nad brzegiem rzeki Ewaso Ngiro, Stokrotkę zaś puścił wolno, ufając, że nie oddali się zanadto od towarzyszki. Sam poszedł sprawdzić bruzdę irygacyjną, która przebiegała w dość sporej odległości od rzeki. Kopał przez jakiś czas, próbując doprowadzić wodę do grządkki warzywnej. Tamtego dnia wrócił dopiero o zmierzchu, zmęczony i wyczerpany, by stwierdzić z przerażeniem, że jego ukochana Księżniczka padła ofiarą olbrzymiego czarnogrzywego lwa, który przyczaił się groźnie nad zdobyczą, podczas gdy Stokrotka biegała nerwowo w pobliżu, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi wokół napastnika. I właśnie wtedy pradziad złamał swoją żelazną zasadę

i postanowił nie sięgać po broń, bo nie zostało mu nic innego, jak tylko złapać ocalałą klacz.

Tymczasem lew okazywał coraz większe rozdrażnienie, przysiadając na zadzie i przestępując z łapy na łapę, porykując, warcząc i wściekle bijąc ogonem o ziemię, śledząc roziskrzonymi ślepiami każdy ruch pradziadka. Kiedy pradziadkowi udało się uspokoić Stokrotkę, miał poczucie, że czas się zatrzymał. Uznał, że teraz albo nigdy: ostatnim tytanicznym wysiłkiem woli rzucił się ku klaczy, jakimś cudem – sam nie miał pojęcia, jak tego dokonał – wdrapał się jej na grzbiet i spiął piętami do galopu. W tej samej chwili lew zaatakował, dobywając z gardzieli ryk mrozący krew w żyłach. Stokrotka skoczyła naprzód potężnym susem, umknąwszy dosłownie w ostatniej chwili przed śmiertcionośnym uściskiem szczęk drapieżnika.

Tamtej nocy pradziad przestąpił próg domu jako roztrzęsiony, zmęczony i złamany życiem starzec. Pomijając grozę sytuacji, kochał swoją Księżniczkę z całego serca, tak mocno, jak można kochać wierzchowca, któremu ufało się bezgranicznie. Wierna Księżniczka niosła go na swym grzbiecie setki kilometrów, przez całą Afrykę Południową i Kenię. Oboje łączyła niemal telepatyczna więź – pełna empatii i czułości, wymykająca się wszelkim definicjom. Pradziad po raz pierwszy poczuł, że przegrał i nie jest już w stanie zwalczyć przeciwnostw losu. Myślę, że pożałował swojej decyzji o wyjeździe z Afryki Południowej. Tamtej nocy oboje z prababką Aggett prawie nie zmrużyli oka, rozmyślając nad swoją niedolą. Nad ranem powzięli postanowienie. Na tym siedlisku nie mogło im się udać, musieli się stąd wynieść. Następnego dnia pradziad Aggett osiodłał Stokrotkę i ruszył do Nairobi, żeby poszukać rady u przedstawicieli władz kolonialnych.

Prawdę powiedziawszy, władzom zaczęło już świtać, że osamotnionych i narażonych na nieustanne niebezpieczeństwo osadników trzeba dokądś przenieść z kraju Masajów. Rozpoczęto nawet negocjacje z wodzami i starszyzną wiosek, żeby sprowadzić kenijskich Masajów do Naroku i osiedlić w jednym miejscu, z dala od ziem wrogiego plemienia Kikuju. Kiedy mój pradziad dotarł do Nairobi, zapadła decyzja o przesiedleniu go wraz z rodziną do dystryktu Laikipia. Region obfitował w żyzne grunty uprawne i dziką zwierzynę – równie liczną, jak nieprzebrane stada z równiny Athi i ziem Masajów w Naroku.

Tak więc rodzina po raz kolejny spakowała dobytek na wozy i ruszyła w drogę z zachowanym przy życiu inwentarzem, żmudnie cofając się po własnych śladach. W tym samym czasie tysiące wojowników Masajów z płaskowyżu Laikipia, w pełnym rynsztunku bojowym, zstępowało w głąb Wielkiego Rowu, ciągnąc za sobą sto tysięcy bydła, pół miliona owiec i setki obładowanych jukami osłów. Kobiety, dzieci i starcy człapali u boku zwierząt niosących ich skromny dobytek, chronieni przez tylną straż – pod czujnym okiem żołnierzy z King's African Rifles (Królewskich Strzelców Afrykańskich), którzy pilnowali, żeby nikt nie zboczył ze szlaku. Musiał to być niezapomniany widok: wielki exodus powracających do Naroku Masajów z Laikipii, który minął się w drodze z sunącą w przeciwną stronę kawkadą rodziny Aggettów.

Młodszy byli wyraźnie podekscytowani i wprost nie mogli się doczekać osiedlenia na

nowej ziemi. Moi pradziadkowie, wyczerpani fizycznie i psychicznie trudami ostatnich lat, zatrzymali się na niewielkiej działce, odległej o kilkanaście kilometrów od miasta Naivasha, leżącego nad jeziorem o tej samej nazwie. Tu założyli dom, który z czasem stał się przytulną i gościnną ostoją całego klanu, zapewniającą dzieciom nieskrępowaną swobodę penetrowania olbrzymich równin wokół jeziora w Wielkim Rowie Wschodnim.

Mój ojciec Bryan dorastał tymczasem w Nairobi. W jego życiu zaszły pewne zmiany, odkąd na świat przyszli dwaj bracia przyrodni, Fred i Harry. Ellen, matka chłopców – owdowiała we wczesnym dzieciństwie Bryana – powtórnie wyszła za mąż za Ernesta Nye’a Charta. Założyła w Grand Hotelu pierwszą w Nairobi restaurację serwującą dania z rusztu, a później przejęła wraz z Ernestem zarząd nad całym hotelem, zyskując pewną renomę wśród miejscowych przedsiębiorców. Wujowie i ciotki mojego ojca, mimo początkowych trudności, też urządzili się z powodzeniem w nowej ojczyźnie – organizowali fachową obsługę polowań, hodowali bydło na farmach, zakładali gospodarstwa rolne, hotele, przedsiębiorstwa handlowe i transportowe. Bryan wędrował swobodnie między domami ciotek, wujów i niezliczonych kuzynów, za każdym razem doświadczając ciepłego przyjęcia i uroków gościnności swoich krewnych, którzy darzyli go wielką sympatią.

Mój ojciec był jednym z dwóch pierwszych mężczyzn w rodzinie, którym udało się zdać egzamin uprawniający do podjęcia studiów na Uniwersytecie Cambridge. Uzdolnienia akademickie być może ocaliły mu życie podczas I wojny światowej, kiedy zamiast na front, dostał skierowanie do pracy w biurze. Wraz z tysiącami innych zapadł jednak na gripę hiszpankę i odesłano go do domu. Dopóki nie wrócił do zdrowia, opiekowała się nim moja prababka Aggett, a gdy odzyskał siły, jeden z wujów zaproponował mu pracę. Obrotny wuj Boyce miał się wielu przedsięwzięć – prowadził handel skórami i futrami, organizował safari, miał sklep pod miastem Narok i kilka gospodarstw. Mój ojciec nabrał praktyki we wszystkim po trochu i służył nieocenioną pomocą w urządzaniu wujowych safari. W tamtych czasach safari trwały nawet półtora miesiąca, a Bryan umiał zapewnić klientom pamiętne i urozmaicone wrażenia z pobytu w buszu.

Babcia Ellen wiązała duże ambicje z drugim synem i nie pochwalała jego „wygłupów ze lwami”. Nalegała, żeby zajął się hodowlą zwierząt. Niezmiennie posłuszny Bryan wysupłał sto funtów zaoszczędzonych z żołdu, kupił osiem krów i trzy cielęta, ulokował je tymczasem w gospodarstwie moich pradziadków i zaczął się rozglądać za jakimś kawałkiem ziemi. Do Kenii ścigało coraz więcej kolonistów w ramach programu osadnictwa żołnierzy po wielkiej wojnie. Ojciec i jego brat Stan musieli się śpieszyć, żeby zdążyć przed konkurencją. Gospodarzyli rozsądnie, przygotowywali zasiewy o właściwej porze, wymyślali coraz to nowe sposoby zabezpieczenia się przed utratą plonów. Sprawy potoczyły się jednak niezgodnie z planem i mimo starań braci całe żniwa poszły z dymem. Bryan musiał się nająć do pracy u drugiego wuja – tym razem miał polować na bawoły dla skór. Ellen znów okazała swoją dezaprobatę i przeszła od razu do czynów: uznawszy, że Bryan nie ma dość głady, wyekspediowała go do Afryki Południowej.

Szczerze mówiąc, Bryan nie miał nic przeciwko temu, bo pierwszą ofiarą zapędów wy-

chowawczych Ellen padł Stan, który teraz donosił w listach o całkiem ładnych dziewczynach do wzięcia. Wkrótce przyszła kolej na mojego ojca – poznał smukłą i zgrabną jak łania Marjorie Webb. Z miejsca się w niej zadurzył, zauroczony jej wrodzonym wdziękiem i niesfornymi blond lokami. Uczucie było wzajemne, Marjorie wyznała przyjaciółkom, że zakochała się od pierwszego wejrzenia. Ku przerażeniu jej rodziców pod koniec pobytu Bryana młodych łączyło już tak głębokie uczucie, że postanowili się pobrać. Zastrzeżenia do Aggettów miał zwłaszcza ojciec Marjorie, który uważał ich za nieokrzesanych i apodyktycznych gburów. Wcale mu się nie uśmiechało, że córka spędzi resztę życia w „najczarniejszej Afryce” i choć – jak wszyscy – lubił Bryana, nie widział w nim „godnego” kandydata na męża swej ukochanej dziewczynki. Okazał się jednak na tyle rozsądny, by nie sprzeciwiać się jej zachciankom: kupił Marjorie bilet do Kenii, żeby mogła towarzyszyć Bryanowi w podróży powrotnej i przez kilka miesięcy na własnej skórze doświadczyć trudów życia.

Marjorie – zamiast stracić zapał – zakochała się w Kenii. Była pod wrażeniem jej majestatycznego piękna i nieokiełznanej różnorodności. Wróciła do Afryki Południowej z jeszcze mocniejszym postanowieniem, że wyjdzie za Bryana. Ileż sensu zdołała wnieść w życie mojego ojca! Uskrzydłony miłością Bryan przez dwa kolejne lata pracował jak nigdy przedtem, kupiwszy wreszcie ponad trzysta hektarów ziemi w pobliżu miasta Gilgil. Zbudował dom z drewna cedrowego i budulca z miejscowych kamieniołomów. Postawił na farmie tartak i uruchomił niewielki zakład stolarski. Pełen wiary w przyszłość, nadał swojemu gospodarstwu wzruszającą nazwę L'Esperance – „Nadzieja”. Kiedy Dick Webb dowiedział się o sukcesach Bryana, pogodził się ostatecznie z utratą córki.

Dwa lata po pierwszym spotkaniu Marjorie – wciąż nie bez obaw – ruszyła z portu East London, by połączyć się ostatecznie z Bryanem. Kiedy spostrzegła go na kei w Mombasie, z przejęciem wypatrującego narzeczonej wśród pasażerów na pokładzie, miała już pewność, że podjęła właściwą decyzję. Ich magiczna podróż w głąb ładu, u progu nowego, wspólnego życia, odnowiła jej wspomnienia o cudach Kenii. Marjorie zapamiętała na zawsze przyjazd na farmę i unoszący się w domu zapach drewna cedrowego z równiutko ułożonych podłóg i pięknie wypolerowanych mebli, które ojciec przyszykował specjalnie na jej powitanie.

Ślub młodej pary dał asumpt do radosnej uroczystości rodzinnej. Olbrzymi klan Aggettów zjechał z całej okolicy; wesele trwało kilka dni. Marjorie z miejsca przypadła wszystkim do serca i rozpoczął się jej szczęśliwy byt na farmie. Nawet Ellen jakoś ją zaakceptowała. Wybranka mojego ojca była świetną gospodynią i miała uzdolnienia artystyczne, więc w obejściu nigdy nie zabrakło kobiecej ręki. Uprawiała też ogród, który stał się jednym z piękniejszych w okręgu. Umiała przyjmować gości i wkrótce w domu Marjorie i Bryana zaroilo się od krewnych i znajomych, którzy tchnęli radość w ich nowe gospodarstwo. Rok po ślubie, w 1930, Marjorie została matką – najpierw urodził się Peter, osiemnaście miesięcy później zawitała na świat pierwsza córka, Sheila. Po upływie kolejnych trzech lat, w czerwcu 1934, przyszedł czas na mnie. Na młodszą siostrę Betty musieliśmy

poczekać jeszcze cztery lata. Do tej pory Bryan zdążył zbudować dom pod Gilgilem dla swojej matki, Ellen – nazywanej przez dzieci babcią Chart – i drugi dla świeżo przybyłych teściów, babci i dziadka Webbów, niespełna dziesięć kilometrów od nas. Webbowie postanowili przyjechać z Afryki Południowej i zająć się wnukami. Rodzina była w komplecie.

Blisko trzydzieści lat po opuszczeniu Kraju Przylądkowego z grona uczestników pionierskiej wyprawy ubył kilka ważnych postaci – między innymi stryjeczny dziad Will oraz pradziadek i prababka Aggettowie. Choć zmarli zbyt wcześnie, żebym mogła zachować o nich wspomnienia, jestem im dłużna wdzięczność za determinację i hart ducha, za poświęcenie, z jakim budowali przyszłość następnych pokoleń rodziny. Dzięki nim moi najbliżsi krewni mogli bezpiecznie zapuścić korzenie w tej ziemi i nabrać mocnego poczucia przynależności.

2. DZIECIŃSTWO

Panie miłości i dobroci, stwórcu tej pięknej ziemi i wszystkich stworzeń, które po niej chodzą i nad nią latają, by głosić Twoją chwałę: będę Ci dziękować aż po dzień śmierci, że umieściłeś mnie wśród nich.

Św. Franciszek z Asyżu

Moje życiowe zaangażowanie w sprawy zwierząt zaczęło się od pewnej kotki i jej kociąt. Matka wyznała kiedyś, że byłam ciekawskim, bardzo energicznym dzieckiem, które chciało wszystkiego dotknąć i we wszystkim brać udział. Żebym nie przeszkadzała rodzeństwu w odrabianiu lekcji, wkładała mnie do pudła z kociakami – jedyne miejsce, gdzie byłam zawsze grzeczna jak aniołek. Potem mi powiedziała: „Przesiadywałaś tam godzinami, ssąc kciuk i tuląc do siebie kocięta”. Miałam wtedy niewiele ponad rok.

Zwierzęta były wszędzie: ich zapach, odgłosy i zachowania stanowiły nieodłączną część dnia na farmie. Ledwie nauczyłam się chodzić, dreptałam na tyły domu, żeby wgramolić się do kojca dla drobiu i podpatrywać świeżo wyklute pisklęta. Uwielbiałam te puszyste, cicho popiskujące kuleczki i próbowałam do nich gaworzyć. Nie dziwiły mnie spacerzy do lasu w długim orszaku ludzi i zwierząt – kiedy wychodziliśmy z domu z rodzicami, ciągnęły za nami wszystkie nasze psy, impala Bob, samica koba imieniem Stokrotka i Rikki Tikki Tavi, brunatny samiec mangusty karłowatej, który lubił wybiegać naprzód i wskazywać nam drogę. Był naszym ulubieńcem i cudownym pieszczochem, wścibskim i ruchliwym jak żywe srebro. Mangusty karłowate są mięsożerne, gustują też w jajach, które potrafią wturlać na drzewo lub skałę i obracać między tylnymi łapami, dopóki skorupka nie pęknie. Lubiliśmy drażnić się z Rikki Tikki Tavim, dając mu zamiast jajka piłeczkę pingpongową, co doprowadzało go do szału, bo nie mógł jej stłuc i wściekle na nią warczał. Przeważnie jednak raczył nas delikatnym, radosnym poćwierkiwaniem, którym oznajmiał, że znalazł coś do jedzenia: owada, jaszczurkę albo gryzonia. Miał małe uszy, długi ogon, krótkie łapy i tak towarzyskie usposobienie, że nie odstępował nas ani na krok. Z upodobaniem hołubiliśmy go pod swetrem, żeby mógł się ogrzać.

Codzienne wycieczki w tej gwarnej i pełnej życia kompanii tak weszły mi w krew, że już we wczesnym dzieciństwie nabrałam ufności do wszelkich stworzeń i – jak się okazało – więcej obaw budził we mnie własny cień. W rodzinie opowiadano historię, jak to w wieku niespełna półtora roku przestraszyłam się, że przyłgnęła do mnie jakaś mroczna, złowroga istota – kiedy potupałam z domu wprost na oświetloną porannym słońcem werandę i zobaczyłam obok swój cień. Podobno rozdarłam się tak przeraźliwie, że postawiłam na nogi wszystkich domowników. Podejrzewając atak krwiożerczych mrówek, pajaków albo węży, matka obejrzała mnie od stóp do głów, nie doszukała się jednak żadnej przyczyny mojego wrzasku. „*Na lia bure. Drze się bez powodu!*” – oznajmił Sega, nasz ku-

charz z plemienia Kikuju. „Pokaż, Bay” – zachęcał mój brat, który nazywał mnie tym pieśczośliwym skrótem od „Baby”, dopóki nie przysłała na świat Betty. Kiedy zdołali mnie wreszcie usadzić, roztrzęsiona wskazałam rączką powód swego lęku. Odpowiedzią był wielki wybuch śmiechu, w którym ulga mieszała się z rozbawieniem. „Och, Bay. Ty marudo! To przecież twój cień” – zawołała Sheila. O dziwo, to pierwsze wspomnienie własnego cienia, przejmujące strachem przed nieznanym, wryło mi się w pamięć na zawsze.

Byłam blisko związana z rodzeństwem: we wczesnym dzieciństwie spędzaliśmy każdy dzień razem, wspólnie obmyślając sztuczki i figle. Przeważnie bawiliśmy się na dworze. Nie sądzę, by wiele miejsc na świecie mogło dorównać zapierającym dech w piersi pejzażom wschodnioafrykańskiej części Wielkiego Rowu Wschodniego, powstałej około piętnastu milionów lat temu wskutek silnych ruchów tektonicznych i pęknięć skorupy ziemskiej. Rowy Afrykańskie, choć pewnie mają swoje odpowiedniki na innych planetach, w skali naszego globu nie dadzą się z niczym porównać: zbliżonych rozmiarów doliny ryftowe leżą głęboko na dnie oceanów. Afrykański odcinek tej potężnej formy geomorfologicznej, liczący ponad siedem tysięcy kilometrów długości i w niektórych miejscach blisko osiemdziesiąt kilometrów szerokości, przebiega wzdłuż Wyżyny Abisyńskiej, przecina Wyżynę Kenijską i płaskowyż Unyamwesi w Tanzanii, po czym odgałęzia się na południe aż do Mozambiku, by stopniowo się zwęzić i wreszcie zaniknąć. Dno rowu jest usiane mnóstwem wygasłych i czynnych wulkanów oraz wspaniałych jezior sodowych i słodkowodnych, do których mieliśmy łatwy dostęp z ojcowskiej farmy, usytuowanej na jednej z ostróg między zakolami po wschodniej stronie Wielkiego Rowu, u podnóża gór Aberdare. Nasze gospodarstwo leżało na wysokości nieco ponad dwóch tysięcy stu metrów nad poziomem morza, gdzie klimat jest wprost wymarzony: po słonecznych dniach następują chłodne, rześkie noce.

Matka trzymała setki kur, które rankiem zamykano w dużych bomach, żeby składały jaja w przeznaczonych do tego skrzynkach, zamiast szukać kryjówek w buszu. Chłopak, który doglądał drobiu, musiał zadbać, żeby kury, wypuszczane po południu z bomy, nie wlażyły na klomby ani na grządki warzywne: pierzasty inwentarz miał zakaz wstępu do ogrodu i na podwórze przed domem. Jednym z moich ukochanych miejsc była niewielka, zabezpieczona siatką zagroda, gdzie kwoki wysiadywały jaja w blaszanych budkach, a świeżo wyklułe kurczęta i kaczęta dreptały krok w krok za nawołującymi je matkami. Potrafiłam godzinami obserwować te puchate kuleczki. Na drugim zadaszonym wybiegu, tuż przy garażu, trzymaliśmy nasze króliki angorskie, za którymi też przepadałam. Ilekroć pogniewałam się z rodzeństwem – czyli praktycznie codziennie – biegłam do królików, kaczek, kurcząt, kwok albo kotki z kociętami, żeby spędzić z nimi parę miłych i spokojnych godzin.

Podobnie jak w większości ówczesnych domów kolonialnych, pokoje w narożnikach miały symetryczne okna wykuszowe z przepysznym widokiem i wyjściem wprost do bujnego ogrodu. Wykusze łączyła przestronna weranda. Najbardziej lubiłam pokój zwany salo-
nem, w którym spędzaliśmy większość czasu. Na ścianach wyłożonych polerowanym drewnem cedrowym wisały realistyczne obrazy przedstawiające bawołu, stado lwów i sa-

motnego samca słońca. Zasłony, pokrycia foteli i sof uszyto z materiału w kwieciste wzory. Salon był jasny i przewiewny; w powietrzu unosił się cudowny zapach róż we wszelkich możliwych odmianach, które matka ścinała w ogrodzie i wstawiała do wazonów. Na podłodze, zamiast dywanów, leżały skóry lamparcie. Oprócz fortepianu najcenniejszym meblem w pokoju był wielki, ręcznie rzeźbiony stół, wykonany z jednego kawałka drewna mvule – prezent ślubny dla moich rodziców. Wzdłuż okna biegła długa ława z podnoszoną klapą, pokryta mnóstwem kolorowych poduszek. Nazwaliśmy ją lochem – służyła jako podręczny schowek, a w moim przypadku kryjówka przed Sheilą, ilekroć coś popsuałam w jej domku dla lalek.

Moim drugim ulubionym miejscem w domu była kuchnia, królestwo Segi. Oboje z Peterem uwielbialiśmy sterczeć w tylnych drzwiach, próbując wyprosić odrobinę smakowitego irio, czyli rozgniecionych ziemniaków z dodatkiem liści dyni, grochu i ziaren kukurydzy. Musieliśmy na to zapracować: Segą traktował nas jak chłopców na posyłki i dopiero po jakimś czasie pozwalał nam skosztować smakołyku – chyba że byliśmy dość bezczelni, żeby sami się obsłużyć, kiedy kucharz nie patrzył. Kuchnia była oddzielona od domu z obawy przed zaproszeniem ognia i przechodziło się do niej zadaszoną wnęką. Niemal całe wnętrze wypełniał wielki piec z fajerkami, do którego wciąż podkładano drewno. Pośród bulgoczących garnków z zupą i innych naczyń, w których gotowały się resztki dla psów i kurcząt, stały płaskie żelazka do prasowania ubrań. Pod sufitem było małe okienko z widokiem na stertę drewna, uzupełnianą przez żony naszych afrykańskich pracowników, które przynosiły opał w zamian za tygodniową porcję mąki kukurydzianej i możliwość korzystania z przypadającego na każdą rodzinę hektarowego poletka pod uprawę roślin i wypas do trzydziestu owiec i kóz. Z tych właśnie działek – zwanych shamba i usytuowanych tuż za naszym domem – nieustannie dobiegał gwar rozmów, niosła się woń dymu i gotowanych potraw. Zgodnie z tradycją plemienia Kikuju dźwiganiem ciężarów trudniły się kobiety, które dostarczały drewna zarówno do naszej kuchni, jak i do własnych gospodarstw. Miały głębokie bruzdy od wrzynających się w czoło skórzanych pasów do podtrzymywania ładunku, taszczyły co najmniej jedno dziecko na plecach i oblepionego muchami oseska w chuście przewieszanej przez szyję. Nie mogliśmy się nadziwić, jak wielki ciężar potrafią w ten sposób unieść. Fascynujące były też ich dzieci, które spoglądały na nas wyniośle, jakby oczekiwały hołdu.

Za dnia w domu panował ruch, czasem nawet rozgardiasz. Oprócz dźwięków wydawanych przez zwierzęta, dobiegały nas odgłosy ustawicznych kłótni między babcią Chart a dziadkiem Webbem. Ellen nie mogła tego znieść: ilekroć odwiedzała naszą rodzinę w tym samym czasie, co oni, przebiegała przez pokoje jak burza, trzaskając drzwiami, żeby okazać niezadowolenie z samej ich obecności. Była postawną kobietą, dobrze wyposażoną przez naturę, ucieleśnieniem niezłomnej siły, która przyczyniła się do potęgi Imperium. Dziadek Webb też nie był w ciemię bity, a złośliwe poczucie humoru wpędzało go notorycznie w kłopoty, zwłaszcza kiedy go przyłapano – a często się to zdarzało – na przesadnym, lecz celnym przedrzeźnianiu ataków hysterii babci Chart. Lodowate milczenie zapada-

ło wówczas na kilka dni, a cicha, łagodna jak baranek babcia Webb musiała użyć całego swojego taktu, żeby oczyścić atmosferę. Byliśmy jeszcze mali i patrzyliśmy z szeroko otwartymi oczami, jak dorośli na siebie wrzeszczą i się dąsają. Kiedy robiło się gorąco, matka próbowała nas przeganiać, żeby głośna wymiana zdań nie dotarła do naszych uszu.

Rodzice bardzo ciężko pracowali. Matka – podobnie jak osadniczki, które przywędrowały tutaj aż z Kraju Przylądkowego – musiała nabrać wprawy we wszelkich robotach domowych i gospodarskich. Była wciąż zajęta. Opiekowała się całym żywym inwentarzem, między innymi stadem świń, z których czerpaliśmy większość naszych skromnych dochodów; prowadziła dom i doglądała osobiście całej służby; szyła nam ubrania; codziennie przez dwie godziny dawała dzieciom lekcje; uprawiała nasz cenny ogród warzywny. A przy tym wszystkim umiała być czuła i zachować spokój ducha, potrafiła też znaleźć czas na swoje pasje: upiększanie domu i malowanie. Była uzdolnioną artystką, słynną ze swoich umiejętności dekoratorskich: na ścianach naszych sypialni tańczyły postaci z dziecięcych rymowanek, jedwabne abażury cieszyły oko ręcznie malowanymi wizerunkami kenijskich ptaków. Wyobrażałam sobie, że matka jest aniołem. Kiedy klękaliśmy przy łóżkach, żeby zmówić wieczorną modlitwę, zawsze nam towarzyszyła. Uwielbiałam kwiaty: najbardziej lubiłam rozsiać się w klombie żonkili, roztaczających wokół niebiańską woń. Spędzałam mnóstwo czasu w salonie, zatopiona w myślach i marzeniach, wpatrując się w misę, w której stała długowłosa syrenka z jasnoniebieskiego ciętego szkła, otoczona pływającymi w wodzie główkami róż z ogrodu.

Ojciec był mniej przystępny niż matka. Na jego twarzy uwidaczniały się wszelkie emocje, nadając jej niemal nieodłączny wyraz napięcia i z troskania, bo w tamtych czasach ledwie wiązaliśmy koniec z końcem. Za dnia nieczęsto widywaliśmy się z tatą: pochłaniały go obowiązki na farmie. Niełatwo było na niej gospodarować i ojciec wciąż miał jakieś powody do zmartwienia – albo trzeba się było zaopiekować chorym zwierzęciem, albo uporać z zarazą, albo któraś z cennych sztuk inwentarza padła ofiarą zabłąkanego lamparta. Najbliższy weterynarz mieszkał w odległości prawie dwustu pięćdziesięciu kilometrów, a miejscowi pracownicy nie mieli wprawy w prowadzeniu farmy na modłę europejską. Ojciec był związany umową na dostawę masła do Nairobi. Produkował go trzysta funtów tygodniowo, w cenie sześciu pensów za funt. Żywiec świński było trudniej sprzedać, ojciec robił więc szynki i kiełbasy na miejscu. Za funt szynki mógł uzyskać królewską cenę jednego pensa. W gorszych okresach, aby zarobić na utrzymanie rodziny, ojciec najmował się do pracy w sąsiednich gospodarstwach. Pomagał przy budowie specjalnych wanien do dezynfekcji owiec albo przewoził produkty innych farmerów w naszych wozach zaprzężonych w woły. Choć sporo się zmieniło od przybycia pierwszych osadników, gospodarką rolną w Prowincji Wielkiego Rowu wciąż rządził przypadek – okresowe susze miały ogromny wpływ na jakość wypasu bydła. Klęski żywiołowe i epidemie słabo wówczas poznanych chorób endemicznych potrafiły wygubić całe stada.

No i szarańcza! Wciąż mam przed oczyma zrozpaczoną twarz ojca, kiedy chmara zbliżała się do naszego gospodarstwa. Nieopisany widok, zwłaszcza dla ludzi, którzy nigdy

przedtem nie mieli do czynienia z podobną inwazją. Owady zstępują z nieba gęstą czarną gromadą, jak olbrzymie pasikoniki, ogoławając całe pola upraw, zanim odlecą spustoszyć kolejne zasiewy. Szczególnie zapadła mi w pamięć panika, która poprzedzała nalot. Kto pierwszy wypatrzył chmarę, musiał natychmiast zawiadomić wszystkich w okolicy. Ludzie chwyтали blaszane puszki i walili w nie co sił, żeby odstraszyć owady. Przez pewien czas miało się wrażenie, że ten hałas nigdy się nie skończy: coraz głośniejszy szum skrzydeł szarańczy skłaniał nas do coraz szybszego bicia w puszki. Beładna kakofonia dźwięków zwiastowała nadejście jeszcze gorszego chaosu.

Były też i pożytki z szarańczy. Segu uważał je za przysmak. Z pełną grozy fascynacją obserwowaliśmy, jak urywa im głowy i odnóża, rzuca korpusy na rozgrzane masło, obsmaża na rozżarzonych węglach, po czym z wyraźną rozkoszą zajada się chrupiącymi kaskami. Mój dobry znajomy – ogrodnik z plemienia Kamba, którego wciąż nagabywałam, żeby pokazał mi, jak wyjmuje opiłowany przedni ząb i wkłada go z powrotem – przekonał mnie w końcu, że bym skosztowała tych delicji, co też odważnie uczyniłam, chcąc mu zrobić przyjemność. Nie przypominam sobie ich smaku, pamiętam za to, że Peter na mnie naskarżył i dostałam od matki kategoryczny zakaz jedzenia robali.

Na szczęście w porze deszczowej z ojcowskiego czoła znikaly zmarszczki zatroskania. Stawał na werandzie z szeroko rozpostartymi ramionami i podziwiał pejzaż Wielkiego Rowu Wschodniego, patrząc, jak pierwsze krople deszczu wsiąkają w ziemię, i wdychając aromat świeżego powietrza. Moje rodzeństwo modliło się tymczasem o grad, nie przejmując się wcale, że może w ten sposób ściągnąć kolejną klęskę na nasze plony. Dzieciom grad kojarzył się tylko z jednym, mianowicie z lodami.

Nie mieliśmy lodówki i nie mogliśmy przechowywać żadnych mrozonek. Kiedy zaczął padać grad, wybiegaliśmy na dwór i w pośpiechu zbieraliśmy gradziny, a matka pędziła do spiżarni, żeby przygotować masę lodową. Wkładaliśmy ją do szczelnego pojemnika, umieszczaliśmy w wiadrze z gradzinami wymieszanymi z solą i turlaliśmy po werandzie, dopóki lody się nie zamroziły. Kto nie musiał turlać wiadra, skakał dookoła, śliniąc się z niecierpliwości. Grad spadał mniej więcej raz na trzy lata, trudno więc opisać rozkosz, z jaką kilka godzin później delektowaliśmy się gotowym smakołykiem. Potem już żadne lody nie smakowały mi tak, jak tamte.

Choć byliśmy samowystarczalną rodziną, przez farmę przewijało się mnóstwo ludzi. Rodzice słynęli z gościnności: nie tylko dziadkowie, ale i znajomi z okolicznych gospodarstw mieli zwyczaj odwiedzać nas bez zapowiedzi. Ojciec uwielbiał przyjmować gości i raczył ich zabawnymi historyjkami. Cieszył się wielkim szacunkiem przyjaciół i sąsiadów, którzy wiedzieli, że w każdej chwili mogą zwrócić się do niego o pomoc w dowolnej sprawie: był wprawnym stolarzem, budowniczym, mechanikiem, rolnikiem, hodowcą zwierząt... długo by można wyliczać. Nie brał do ust alkoholu, więc z tym większą przyjemnością obserwowaliśmy, jak się rozluźnia i odpręża w obecności naszej matki albo znajomych. Z mężczyzny zaabsorbowanego kłopotami w gospodarstwie zmieniał się w sympatycznego gadułę: uwielbialiśmy patrzeć, jak rozsiada się w naszym salonie i pogrąża

w rozmowie, delektując się pysznym maminym piwem imbirowym.

Do najbliższych przyjaciół rodziców należeli Higginsonowie, którzy mieszkali na niewielkiej farmie tuż pod Gilgilem. Mieli dwóch synów, Michaela i Philipa, mniej więcej w wieku mojego brata Petera. Państwo Higginsonowie (czyli Higgies, jak ich czule przezywano) tryskali energią, uwielbiali się przekomarzać i drzeć ze sobą koty. Najlepiej o tym świadczy pewne zdarzenie, wkrótce po tym, jak poznali się z naszymi rodzicami. Był dżdżysty wieczór. Pukanie do drzwi rozległo się w chwili, kiedy matka kąpała Petera i Sheilę. W porze deszczowej warunki na drogach były okropne i goście trafiali się sporadycznie, więc matka natychmiast wybiegła na dwór, przeświadczona, że stało się coś złego. Zastała na podwórku przemoczoną do nitki panią Higgie, ciągnącą za sobą dwóch małych chłopców. Kobieta wyjaśniła znechęnym głosem, że ich stareńki samochód marki Rugby ugrzązł na dobre w błocie. Pan Higgie kazał wszystkim wysiąść i przepchnąć auto na pobocze. Po wielu wysiłkach udało się wydostać pojazd z rozmokłej brei. Pan Higgie dodał gazu i zostawił rodzinę w tyle – upapraną w błocku od stóp do głów. Matce nie mieściło się w głowie, że można tak potraktować własną żonę i dzieci. Poprosiła ojca, by odwiózł całą trójkę do domu. Ojciec był równie wstrząśnięty, kiedy zastał na farmie pana Higgie, który spokojnie grzał stopy przy trzaskającym ogniu, przeglądał gazetę i nie wydawał się przejęty losem swej rodziny. Nie okazał też najmniejszego zainteresowania wściekłą tyradą żony: spojrzął na nią lekceważąco znad okularów i znów pogрузzył się w lekturze!

Tak naprawdę, pan Higgie był zasłużonym żołnierzem i dobrym, dowcipnym człowiekiem. Przepadaliśmy zarówno za nim, jak i za jego żoną, nieocenioną dostarczycielką miejscowych plotek. W tamtych czasach dzieci miały zakaz uczestniczenia w rozmowach dorosłych, więc obie z Sheilą podkładałyśmy się na paluszkach do drzwi salonu, żeby podsłuchać opowieści o wybrykach mieszkańców Szczęśliwej Doliny. Ani nasi rodzice, ani państwo Higgies nie przynależeli do arystokratycznej wspólnoty zbereźników z Doliny Wanjohi po wschodniej stronie Wielkiego Rowu, ale wszyscy lubili dzielić się plotkami o ich wyuzdaniu i hulaszczym trybie życia.

Mali Higginsonowie byli wiernymi kompanami mojego brata i wpadali do nas niemal codziennie, żeby się pobawić. Z reguły dobrze się dogadywaliśmy, bo obie z Sheilą uchodziłyśmy za niezłe zawiadki. Uwielbiałyśmy się wspinać, siłować i szukać guza razem z chłopakami. Dopiero gdy trochę dorosłyśmy, koledzy zaczęli nami rządzić i stopniowo wykluczać nas ze swojego grona.

Często urządzaliśmy rodzinne wycieczki po okolicy, zwłaszcza do miasta Gilgil, leżącego niespełna pięć kilometrów od farmy. Naszym najcenniejszym skarbem był wówczas ford model T. Ojciec zrobił matce niespodziankę i kupił samochód po narodzinach Petera, żeby nie jechać po żonę wozem zaprzężonym w woły. Samochód zyskał czułe przezwisko Nieśmiertelny. Po drodze mieszkał pan Worthingham, który doszedł do wniosku, że paliwo jest drogie, i postanowił ciągnąć swój nowy automobil czterema wołami. Wielu sąsiadów patrzyło z uśmiechem na staruszka, który siedział dumnie za kółkiem i prowadził samochód, włokący się w wolim zaprzęgu z prędkością przechodnia. Nieśmiertelny jechał przy-

najmniej sam, choć czasem napędzany olejem parafinowym.

Matka zaszczepiła w nas wielką miłość do Natury – począwszy od roślin, których stopniowy rozkwit obserwowaliśmy co roku w naszym ogrodzie. Cały nasz dom był porośnięty miejscowym pnączem o ciemnobłękitnych kwiatach przypominających powoje, które zwieszało się ze ścian wiecznie zielonymi girlandami. Ogród przywodził na myśl radosną tęczę z barwnych róż, gerber, dalii i żonkili. Słodko pachnące róże – duma i chluba matki – kwitły na specjalnie wydzielonych klombach. Naprzeciwko różanych tarasów był sad, gdzie wykiełkowały migdałowce – z nasion przywiezionych przez mamę z Afryki Południowej. W sadzie rosły też brzoskwinie i niezbyt plenne krzewy winorośli, okolone wysokim szpalerem grusz. Ich owoce przywabiwały chmary czepig, które Peter musiał płoszyć, strzelając z wiatrówki.

Prawdziwe życie wstępowało jednak w matkę podczas cotygodniowych wypraw przez las do Gilgilu, gdzie mieszkali babcia i dziadek Webbowie. Uwielbiała tę bujną głuszę i nazywała ją „osnową wszelkiego stworzenia”. Było coś w tym lesie, co poruszało mnie do głębi, a dobiegający z oddali szum rzeki dostarczał mi niemal mistycznych przeżyć. Kluczyliśmy między polanami w nabożnym milczeniu, próbując wypatrzeć jak najwięcej zwierząt. Wiszący w powietrzu zapach stęchlizny zwiastował bliskość kolonii małp; żeby je zobaczyć, musieliśmy podchodzić w zupełnej ciszy. Ilekroć któraś się poruszyła, w stadzie wybuchał harmider. Przypadaliśmy wówczas do ziemi i podczołgiwaliśmy się bliżej, wciąż milcząc jak zakłęci. Najbardziej lubiliśmy podpatrywać gerezy, piękne czarno-białe małpy, które skakały zwinnie z drzewa na drzewo, strosząc długie włosie, żeby zmniejszyć opór powietrza. Ich delikatne czarne dłonie do złudzenia przypominały ludzkie, były jednak pozbawione kciuków. Matka powiedziała, że brak kciuka jest formą przystosowania ewolucyjnego: piąty palec zahaczał o gałązki i utrudniał małpom skoki w koronach drzew. Szczególnie fascynowały nas ich głosy, nawoływania gerez brzmiały bowiem jak zapuszczany silnik motocykla. Byłam oczarowana rozmaitością leśnej zwierzyny. Większość buszoków, dujkerów i suni ma wygięty grzbiet – co ułatwia przedzieranie się przez zarośla – i plamistą lub pasiastą sierść, która zapewnia im kamuflaż wśród roślin skąpanych w rozproszonym świetle słońca. Las obfitował w ptactwo – wszędobylskie dzioborożce, przepiękne turaki, szpaki, papugi, wężale, bilbile, drozdy, kurtodrozdy i muchołówki, których śpiew co chwilę rozlegał się w głuszy.

Nauczyliśmy się odróżniać poszczególne gatunki ptaków po głosie. Uwielbiałam brodzić w rozkołysanych, pierzastych liściach paproci. Nie wątpiłam, że omszałe głazy, porośnięte skupiskami muchomorów i roślin o drobnych kwiatach, stoją u wrót najprawdziwszej krainy czarów. Świącie wierzyłam we wróżki. Skradałam się do nich cichutko i bardzo powoli, zwalając niepowodzenia moich podchodów na Petera i Sheilę, którzy podnosili nieopisany wrzask, ilekroć stawałam na palcach.

Matka porównywała las do wielkiej mokrej gąbki, która rok w rok, przez cały czas –

pomału, lecz nieubłaganie – uwalnia nagromadzoną wilgoć i doprowadza ją do niżej położonych regionów. „Gdyby las przestał istnieć, roślinność znikłaby ze zboczy, a głązy sterczałyby z ziemi jak kości obranego z mięsa szkieletu”. Uważała, że sam pobyt w lesie działa na ludzi jak lekarstwo. Uczyła nas, jak się odprężyć, oswobodzić umysł, znaleźć spokój i ukojenie w zielonym leśnym półmroku. Dzięki matczynej cierpliwości i umiłowaniu przyrody nabrałam przekonania, że rośliny przejawiają wszelkie cechy żywych stworzeń, tyle że w swoistej formie. Reagują na otoczenie równie adekwatnie, niezwłocznie i pewnie jak zwierzęta. Choć nie umiemy zinterpretować wszystkich odruchów roślin, choć nie wiemy, o czym ze sobą „rozmawiają” i co do nas „krzyczą”, baczne obserwowanie ich świata może dostarczyć naprawdę zdumiewających przeżyć. Rośliny mięsożerne potrafią z niezawodną precyzją dopaść muchę, odchylając się w odpowiednim czasie we właściwym kierunku. Niektóre rośliny pasożytnicze umieją wyczuć choćby ślad zapachu swojej ofiary i reagują natychmiast, pełzną ukradkiem w jej stronę. Są rośliny obdarzone umiejętnością bezbłędnego rozpoznawania owadów, które zlatują się tylko po to, by spić nektar z ich kwiatów. Zabezpieczają się przed złodziejami, zamykając szczelnie płatki i otwierając kwiat dopiero wówczas, kiedy na pędzie zbierze się dość rosy, by odciąć rabusiom drogę odwrotu. Jeszcze bardziej wyspecjalizowane gatunki wzywają na pomoc mrówki, rewanżując się nektarem za ostrzeżenie przed inwazją szkodników i zwierząt roślinożernych. Matka pokazała nam kilka storczyków, których kwiaty tak dobrze podszywają się pod samiec pewnej muchy, że samiec próbuje z nimi kopulować i w rezultacie je zapyla. Rośliny kwitnące nocą mają śnieżnobiałe kwiaty, żeby tym skuteczniej przywabić ćmy i inne motyle nocne. O zmierzchu wydzielają ostrzejszą, nie zawsze przyjemną woń: stapelia cuchnie jak zgniłe mięso i przyciąga muchy w regionach obfitujących w te owady. Świat roślin okazał się tak pouczający i fascynujący, że kiedyś nosiłam się nawet z myślą, by poświęcić całe życie badaniom ich zdolności przystosowawczych.

Wędrując po lesie, z zapalem szukałam *Carissa edulis*, kolczastych krzewów o cudownie pachnących kwiatach, które zrywałam na bukiet dla babci Webb. W mojej rodzinie nazywano je „Daphne”. Ich widok wciąż budzi we mnie wspomnienia cotygodniowych spacerów i nauk mojej matki.

Środy spędzane u dziadków Webbów były dniami szczególnymi, bo mogliśmy robić, co nam się żywnie podoba. Najpierw jednak musieliśmy stanąć rzędkiem pod ścianą, żeby dziadek Webb „zmierzył”, ile urosliśmy od poprzedniego razu. Następnie przywoływał nas „do porządku” i robił nam wykład z dobrych manier. Kiedy puszczał nas wolno, pędziłam od razu do szafki z bielizną w łazience, gdzie babcia przechowywała mydła pachnące mieszanką olejku cedrowego z lawendowym i różanym. Później pytałam, czy mogę przymierzyć jej biżuterię. Wpadałam do babcinej sypialni i sadowiłam się na łóżku. Był tylko jeden warunek: zanim babcia ubrała mnie w całą zawartość szkatułki, musiałam wytrwać w kucki nieruchomo jak Budda – upierścieniona, obwieszona od stóp do głów bransoletami, naszyjnikami i broszkami, z bezcennym złotym zegarkiem, tykającym cicho na nadgarstku. Do dziś pamiętam każdą z tych kosztowności, część zresztą dostałam w spadku. Najbar-

dziej fascynował mnie złoty zegarek, bo wiedziałam, że własny dostanę dopiero na piętnaste urodziny.

Potrafiłam tak siedzieć nawet godzinę, kontemplując klejnoty z nabożnym podziwem i nie ruszając się z łóżka, dopóki rodzeństwo nie zaprosiło mnie do zabawy w sklep. Przebieraliśmy się wówczas w stare ubrania dziadków i „handlowaliśmy” zapasami z ich spiżarni. Pierwsza połowa dnia kończyła się w porze lunchu. Zawsze podawano moją ulubioną leguminę z sago – barwioną na żółto lub różowo, puszystą i delikatną, ozdobioną na czubku bezą w kształcie góry Kenia – i słynne placki ziemniaczane dziadka Webba, który podarował mi później przepis na ten smakołyk. Środy były naprawdę szczególnym dniem w naszych dziecięcych latach.

Tuż po moich czwartych urodzinach Peter i Sheila poszli do szkoły z internatem w mieście Nakuru. Betty była jeszcze niemowlęciem i nie mogłam bawić się z nią na dworze, czułam się więc samotna i porzucona przez starsze rodzeństwo. Co gorsza, tuż przed ich wyjazdem Rikki Tikki Tavi postanowił obadać zakamarki silnika Nieśmiertelnego, a ojciec, zapomniawszy o ulubionej kryjówce naszej mangusty, skorzystał tego dnia z samochodu, z tragicznym skutkiem. Cała rodzina pogrzyżała się w żałobie po kochanym maleństwie. Moje życie zmieniło się dosłownie z dnia na dzień. Jak zwykle troszczyłam się o swoje króliki, koty, kurczaki i kaczęta, ale po śmierci naszego pupila powierzono mi opiekę nad osieroconym buszbokiem. Nazwałam go Bushy i pokochałam bez reszty, od pierwszego wejrzenia.

Bushy był pierwszym stworzeniem, które wprowadziło mnie w świat dzikich zwierząt. Wyglądał prześlicznie: miał wielkie mięciutkie uszy, piękne wilgotne oczy i ciemnokasztanową sierść z białą plamą na piersi oraz cętkami i pionowymi pręgami na tułowiu. Mogłam go głaskać i tulić godzinami. Zaprzyjaźniony ogrodnik pomógł mi urządzić dla niego kryjówkę, pieczołowicie tnąc gałązki krzewów i układając je w stos w narożniku wybiegu dla kurcząt. Konstrukcja sprawdziła się doskonale: Bushy natychmiast schował się w środku i wychodził co cztery godziny na karmienie – rozcieńczonym krowim mlekiem z butelki. Z początku byłam rozczarowana, że tak długo przebywa w ukryciu, bo wolałam się z nim bawić. Próbowałam go nawet stamtąd wyciągnąć, dopóki się nie dowiedziałam, że zanim Bushy został sierotą, samica specjalnie szukała dla niego podobnego schronienia, by maluch mógł czuć się bezpiecznie. Matka powiedziała, że jeśli naprawdę go Kocham i nie będę od niego zbyt wiele wymagać, wkrótce zacznie sam opuszczać kryjówkę. Przesiadywałam całe dni przy domku mojego buszboka, dotrzymując mu towarzystwa. Wieczorem przenosiłam go razem z kotami do pokoju lekcyjnego, żeby nie padł ofiarą zbłąkanych lampartów. Pan Hansen, znajomy babci Webb, dał mi w prezencie dzwoneczek, który zawiązałam Bushy’emu na szyi. Od tej pory mogłam go namierzyć bez trudu i dzięki temu częściej wypuszczać do ogrodu. Kiedy dorósł i stał się bardziej samodzielny, zaczął się szybko oswajać. Gadałam do niego jak najęta, święcie przekonana, że rozumie każde moje słowo.

Dziki zwierzęta są jednak dzikimi zwierzętami, pierwotniejszymi i bardziej skomplikowanymi niż ludzie. Ich umiejętność przetrwania jest instynktowna: przychodzą na świat

z wiedzą, co jeść, czego się bać, czym są i jak powinny się zachowywać w swojej ściśle uporządkowanej społeczności. Rodzą się w pewnym sensie zaprogramowane. Zwierzęta odchowane przez człowieka mają instynkt uspijony, stłumiony poczuciem bezpieczeństwa i łatwością zdobywania pokarmu. Trzeba je stopniowo oswajać z sytuacjami, z jakimi zetkną się na wolności.

To jeden z najpoważniejszych problemów związanych z odchowywaniem dzikich zwierząt – trzeba wyczuć chwilę, kiedy otworzyć drzwi stajni i wypuścić ukochanego podopiecznego na spotkanie z czającym się w mroku zagrożeniem, trzeba też zdobyć się na odwagę, by to zrobić, zdając sobie sprawę, że od tej pory będzie zdany na łaskę i niełaskę Natury. Niemniej to najistotniejszy etap rehabilitacji zwierzęcych sierot. Dopiero wówczas wszystko zaczyna wracać na swoje miejsce, a twój niedawny pupil odzyskuje prawdziwą tożsamość. Staje się kolejnym członkiem dzikiej wspólnoty i będzie musiał stawić czoło najpotężniejszemu z mechanizmów przyrody – selekcji naturalnej.

Wolno żyjące zwierzę zdobywa wiele podstawowych umiejętności: jak odczytać sygnał zbliżającego się niebezpieczeństwa z odgłosów wydawanych przez ptaki; jak rozpoznać ostrzegawcze okrzyki małych i innych ssaków; jak zinterpretować informacje zawarte w zapachu traw, zwierzęcych odchodów i powietrza; co zaś najważniejsze, jak zorientować się w hierarchii własnego stada. Nie nauczy się tego wszystkiego od ludzkiej matki zastępczej, bo człowiek zanadto oddalił się od Natury i stracił zdolności, które kiedyś łączyły nas z resztą świata zwierzęcego. Jedyne, co można zrobić, to zapewnić swojemu wychowankowi odpowiednie warunki poznawania otoczenia i bezpieczną przystań, do której będzie mógł wracać w sytuacji zagrożenia, dopóki nie odnajdzie własnej niszy wśród pobratymców. Nie powinniśmy podejmować się opieki nad osieroconym zwierzęciem, jeśli nie możemy zapewnić mu godnego życia w niewoli albo brakuje nam wielkoduszości, by w odpowiedniej chwili wypuścić je na swobodę.

Teraz już to rozumiem, ale w wieku czterech lat kochałam Bushy'ego do szaleństwa i byłam gotowa oddać mu całą porcję lodów mrożonych w kulkach gradu. Nie miałam też wątpliwości, że buszbok odwzajemnia moją miłość i będziemy już zawsze razem. Wiedziałam, że muszę się z nim łagodnie obchodzić. Uwielbiałam z nim przebywać, ciągałam go za sobą po ogrodzie, karmiłam, pieściłam, uspokajałam, cały czas paplając. Spostrzegłam, że nie lubi przebywać w zamknięciu, więc zaczęłam go wypuszczać z zagrody dla kur. Zrobiłabym dla niego wszystko, ale założenie, że też kocha mnie bezgranicznie i nigdy nie ucieknie, okazało się mylne.

Znikł tego samego dnia, kiedy w domu dziadków zmarła ich przyjaciółka, pani Hansen. Byłam niepokieszona i płakałam gorzkimi łzami nad stratą pupila. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że Bushy zachował się zgodnie ze swoją naturą. Odżyła w nim tajemnicza, odziedziczona po przodkach pamięć, którą nazywamy instynktem, i nie powinien dłużej przebywać w niewoli. Wtedy jednak miałam zaledwie cztery latka i myślałam, że serce mi pęknie. Odejście pani Hansen wprowadziło mnie raczej w zakłopotanie. Po południu wsiedliśmy do Nieśmiertelnego i pojechaliśmy do dziadków. Próbowałam uprosić babcie Webb,

żeby pozwoliła mi popatrzeć na zmarłą.

– Odeszła do Boga – wyszeptała babcia z oczyma pełnymi łez.

– Nieprawda – odparłam. – Przecież widzę, że leży w łóżku.

– To tylko ciało, jej dusza odfrunęła – usłyszałam odpowiedź.

Spojrzałam na sufit, żeby sprawdzić, czy coś tam nie lata, a kiedy nic nie zobaczyłam, znów uderzyłam w płacz, ale bardziej po Bushym niż po pani Hansen. Życie wydało mi się przeraźliwie smutne.

Dzieci są jednak odporne na nieszczęścia, wkrótce więc odzyskałam humor. Zbliżała się moja ulubiona pora, kiedy ruszaliśmy na wyczekiwane co roku wakacje do domu dziadków Webbów nad brzegiem oceanu w pobliżu Malindi. Dziadkowie kupili dom z myślą o rodzinie, a kilka lat później przeprowadzili się tam z Gilgilu na stałe. Do dziś pamiętam pakowanie się przed wyjazdem, pełną przygód podróż i emocje, jakie towarzyszyły pierwszej kąpieli w morzu. Ilekroć wracam w to miejsce, mam przed oczyma obrazy z naszych zabaw w domu, na plaży i w falach oceanu.

W lecie 1939 roku, kiedy miałam pięć lat, a nad światem gromadziły się coraz gęstsze chmury, rodzice postanowili mimo wszystko zabrać nas na wakacje. Przygotowania rozpoczęły się kilka tygodni wcześniej – ojciec wędził szynki, bekon i kiełbasy, matka piekła fury biszkoptów i kruchych ciasteczek, pakując gotowe do wielkiej drewnianej skrzyni, smarowała oliwą tuziny jaj, żeby zabezpieczyć je przed zepsuciem, przyrządzała biltong z nasolonego i natartego przyprawami mięsa, które moczyła w occie i suszyła na słońcu. Ojciec urządził nam całkiem wygodne miejsca do siedzenia na pace starej ciężarówki marki Ford V8, mieliśmy jednak tyle bagażu, że i tak większość drogi jechaliśmy stłoczeni jak sardynki. Ruszyliśmy o czwartej nad ranem, wciąż zamroczeni snem, bo ojciec wyciągnął nas z ciepłych łóżek, ale już pod Nairobi, w mieniącym się feerią barw blasku świtu, obudziliśmy się na dobre, gotowi na wielką przygodę.

Nairobi było dla nas synonimem cywilizacji i postępu. Ojciec zatrzymywał ciężarówkę na obrzeżach miasta i czekał, aż wystroimy się w najlepsze ubrania, spełniając życzenie matki, która uważała, że na wypadek spotkania z kimś znajomym powinniśmy wyglądać przyzwoicie. W dzieciństwie Nairobi kojarzyło nam się z ósmym cudem świata: tłumy ludzi, uginające się pod ciężarem towarów stragany i półki w sklepach, kakofonia nieznanych hałasów, całkiem odmiennych od dźwięków dzikiej przyrody. Rozprawialiśmy o tym jeszcze wiele dni, w czasie podróży przez równinę Athi, gdzie nocowaliśmy pod gołym niebem. Rodzice spali pod plandeką przymocowaną do burty ciężarówki, my zostawialiśmy na pace, okrywając się wielką moskitierą, przez którą można było oglądać księżyc i gwiazdy. W tle – niczym kontrpunkt dla nocnych odgłosów równiny – rozbrzmiewała symfonia tysięcy zebr i gnu, w którą wdzierały się czasem upiorny śmiech hien i ujadanie szakali. Cisza zapadała tylko na chwilę, kiedy rozlegał się przeciągły, dobiegający z głębi trzewi ryk lwa.

Ta podróż nie przypominała żadnej innej, na każdym kroku pojawiała się coś nowego. Mój ulubiony postój przypadał w samym sercu sawanny, niedaleko Mtito Andei, „miejsca

sępów”, gdzie grunt był czerwony i piaszczysty, a w dusznym powietrzu wisiał zapach ziemi, przemieszany z aromatem dzikiej szałwii. Widok surowego pustkowia, którego bezmiar odzwierciedlał potęgę wieczności, dosłownie zapierał dech w piersi. Niebo było nieskazitelnie błękitne, a górujący nad równiną stożek Kilimandżaro jeszcze dodawał scenerii majestatu. Słońce bezlitośnie prażyło czerwoną jak krew ziemię, zewsząd dobiegał uporczywy świergot jaskrawożółtych wikłaczy, zwisających głową w dół z gałęzi akacji, na których budowały swoje misterne gniazda. Rozbijaliśmy obóz pod potężnym sękatym baobabem – drzewem o nietrwałych kwiatach, uważanym przez wielu Afrykańczyków za siedzibę duchów przodków. W rozpadlinach, załomkach i fałdach kory kwitło bujne życie. W dziupli gniazdowała para dzioborożców. Samiec zamuroвывwał partnerkę, zalepiając komorę mułem i zostawiając tylko wąziutką szczelinę, przez którą karmił samicę pasikonikami i innymi owadami. Były też kameleony, jaszczurki i dysfolidy – nadrzewne węże o zębach jadowych z tyłu szczęki, smakosze jaj i świeżo wyklutych piskląt. Wieczorem widywaliśmy prześliczne galago, ruchliwe nocne małpiatki o wielkich jak spodki, błyszczących oczach, żółtawym ciele i puszystym ogonie. Czarno-białe, cętkowane żenety – niewielkie drapieżniki podobne do mangust – śmigwały po konarach z niewiarygodną zręcznością, którą zawdzięczają przyssawkom na podszwach łap. Wybieraliśmy biały mączysty mięsz z wielkich zwisających owoców baobabu i używaliśmy pustych łupin jako czerpaków do wody. Matka tłumaczyła, że z włókien kory tego drzewa można wyrabiać papier i tkaninę na worki, a z korzenia pozyskuje się czerwony barwnik. Pnie specjalnie się drąży, żeby służyły jako zbiorniki deszczówki, w których woda miesiącami zachowuje czystość i świeżość. Nasz potężny baobab mógł dożyć nawet tysiąca lat i był światem samym w sobie. Leżąc pod nim w nocy, czułam się bezpiecznie – jakby samo drzewo zapewniało mi dostateczne schronienie.

W miarę jak zbliżaliśmy się do oceanu, przekomarzaliśmy się na budzie ciężarówki, kto pierwszy wypatrzy palmę kokosową i morskie fale. W Mariakani, tuż przed Mombasą, rozbiliśmy pierwszego kokosa i zjedliśmy pierwsze tamtego roku mango. Nie mogliśmy się napatrzeć na kobiety z plemienia Giriama – z rozkołysanymi nagimi piersiami, w krótkich, suto marszczonych spódniczkach z grubego płótna, często z dziećmi na plecach – z gracją noszące wielkie dzbany na głowie. Urządziliśmy postój w Mombasie, żeby spotkać się z Betty i dziadkami, podróżującymi pociągiem, wprawdzie wygodniej, ale za to bez atrakcji. Ojciec musiał się jeszcze dogadać z taksówkarzem, który miał nas zabrać aż do Malindi. Ich rozmowę w suahili wciąż przerywała babcia Chart, potrafiąca znacznie lepiej się targować. Przenocowaliśmy w Mombasie, gdzie w powietrzu unosiła się specyficzna woń przypraw, zmieszana z zapachem smażonej ryby i słonym aromatem bryzy od oceanu.

Ostatni etap podróży do Malindi, zwykłym piaszczystym traktem, zajmował cały dzień. Po drodze trzeba było przepłynąć promem dwa strumienie. Przeprawa okazała się gwoździem programu. Podstawę konstrukcji promów stanowiła szeroka drewniana platforma, wsparta na blaszanych pływakach, która mogła udźwignąć naszą ciężarówkę i jeszcze ze trzy samochody, wjeżdżające na pokład pod czujnym okiem starego brygadzysty. Żeby od-

powiednio ustawić pojazdy, starszek zawzięcie wymachiwał rakieta do ping-ponga, ale nikt nie potrafił się rozeznac w jego sygnałach. Kiedy udało się zadowolić brygadzystę, główny przewoźnik chwycił za konchę, by gromko odtrąbić odbicie od brzegu – ten sygnał musiał być dla odmiany całkiem jasny, bo przewoźnicy natychmiast intonowali kunsztowną pieśń o pasażerach, połączoną z efektownym tańcem i rytmicznym przytupywaniem. Kiedy prom zaczął się kołysać, najpierw stanęłam jak wryta – wyglądało to tak, jakby mężczyźni szli w zawody, który najgłośniej i najmocniej tupnie. Potem zaczęłam się wsłuchiwać w słowa pieśni, bo w tym wieku znałam już suahili. Przewoźnicy śpiewali o naszym ojcu i rodzinie, pokazując dzieci palcami. Byliśmy bardzo dumni, że zasłużyliśmy na osobną wzmiankę.

W końcu dotarliśmy do Malindi. Zanim ujrzelśmy nasz dom, zdążyliśmy już się rozebrać do kostiumów kąpielowych. Wystarczyło dać susa nad chmarą wielkich różowych krabów i wskoczyć prosto w fale. Z domku dziadków Webbów roztaczał się widok na najpiękniejszą część zatoki, gdzie plaża schodziła łagodnie do morza, a pływy były niewielkie, więc mogliśmy się bezpiecznie kąpać. Przy niskiej wodzie fale zmieniały się jednak w „wywrotki”, na które musieliśmy bardzo uważać. Potężne bałwany o długich, wolno przelewających się grzbietach spiętrzały się nagle w przezroczyste, łukowato wygięte ściany zielonkawej wody, które rozbijały się z hukiem na płyciźnie, śląc rozbryzgi aż pod niebo i wyrzucając piasek z dna morza. Jedna z takich gwałtownych „wywrotek” złamała mojemu ojcu nos: wybiła mu spod nóg deskę surfingową i porwała z tak niewiarygodną siłą, że zarył twarzą prosto w piach. Doczołgał się do brzegu półprzytomny i zalany krwią. „Pewnie go rekin zaatakował” – szepnęła Sheila do mnie, Petera i Betty, patrząc, jak matka wypada z domu i biegnie ojcu na pomoc. O ile mi wiadomo, nikt nie padł ofiarą tych drapieżników w zatoce Malindi, ale rodzice straszili nas rekinami i wmawiali nam, że polują nocą – chcieli mieć pewność, że nie pójdziemy się kąpać po zmierzchu.

Mieliśmy cudowne wakacje w Malindi. Rodzice mogli się wreszcie odprężyć i wytchnąć od trudów dnia codziennego na farmie. Dziadek Webb i babcia Chart zawierali coroczny rozejm. Ja i moje rodzeństwo spędzaliśmy cały czas na plaży albo w wodzie. Nawet w domu czuliśmy się jak na dworze: był kryty tradycyjną strzechą makuti, luźno wyplatana z liści palmowych, między którymi hulał wiatr od oceanu. Korzystaliśmy z podobnej toalety, jak w gospodarstwie – czyli z wychodka za domem, wyposażonego w deskę z otworem nad głębokim, zasnutym pajęczynami dołem, w którym buszowały olbrzymie insekty, gekony o wiecznie wytrzeszczonych ślepiach, a czasem i węże – więc w miarę możliwości starałam się używać nocnika, nie bacząc na kpiny brata i sióstr.

Po kilku dniach kąpieli w oceanie i zabaw w piasku szłam do matki z prośbą, żeby zabrała mnie na rafę koralową i pomogła nałapać bajecznie kolorowych rybek do mojego akwarium. Uzbrojone w siatki i wiaderka, czekałyśmy na odpływ, po czym wchodziłyśmy ostrożnie na płaską powierzchnię rafy, obrośniętej zosterą i jaskrawozieloną sałatą morską. Patrzyłyśmy uważnie pod nogi, żeby ominąć ukryte w muszlach martwych mięczaków raki pustelniki i maleńkie poskoczki, kroczące po płyciźnie na przekształconych płetwach pier-

sioowych. Musiałyśmy też uważać na wystające ze szczelin ruchliwe ramiona czarnych węzowideł i ostre kolce jeżowców, które potrafiły przebić się na wylot przez podeszwy tenisówek. Po stronie brzegowej następnej rafy biegł głęboki kanał, pełen przepięknych koralowców w rozmaitych kształtach, rozmiarach i subtelnych odcieniach barw. To był odrębny świat, w którym aż się roiło od najprzeróżniejszych ryb. Prawdziwe skarby kryły się jednak na samej rafie, gdzie wśród koralowców i żerujących na nich skorupiaków spoczywał wrak starego okrętu.

Najwięcej przyjemności czerpałam z pobytu nad Błękitną Laguną w Watamu, na południe od Malindi. W tamtych czasach leżała na uboczu i odwiedzali ją tylko rybacy z plemienia Giriama, mieszkańcy niewielkiej osady w głębi lądu. W zasadzie były to dwie laguny, rozdzielone przylądkiem z rafy koralowej o poszarpanych ścianach, w których morze drażyło chłodne, zacienione jaskinie, wyłaniające się z toni podczas odpływu i zapewniające idealne schronienie przed upałem. W kilku jaskiniach cofająca się woda zostawiła niewielkie sadzawki. Światło sączące się przez szczeliny w skale załamywało się na ich powierzchni, tworząc piękne tęczowe odbłaski. Efekt zapierał dech w piersi. Zależnie od układu monsunów w jednej z lagun gromadziły się olbrzymie zwały wodorostów, druga jednak zawsze była czysta i odsłaniała śnieżnobiałe dno z drobnutko pokruszonych muszli mięczaków. Koralowce, które oglądałyśmy przez gogle, były jeszcze piękniejsze niż na rafie w Malindi, ryby zaś ubarwione jaskrawiej – dzięki krystalicznie przejrzystej wodzie, niezmaconej mułem z rzeki Sabaki. Niebiesko-czerwone papugoryby żerowały w koralowych twierdzach, czarno-białe skorpeny czaiły się w swoich kryjówkach, ryby motyle i cyruliki śmigały w otwartej toni, jaskrawoczerwone rozgwiazdy oraz mięczaki najprzeróżniejszych barw, rozmiarów i kształtów roiły się na dnie oceanu.

Rozgrywający się w lagunie czarodziejski spektakl morskiego życia przypominał do złudzenia moje fantazje z dzieciństwa. Wspominam go z ogromną tęsknotą, rozpamiętując słowa Karen Blixen: „Wszystko jest tak, jak miało być”.

Dla mnie było to ostatnie lato niewinności.

3. DORASTANIE

Czuję się wzbogacona, obdarzona bezcennym dziedzictwem, które teraz należy do mnie. Bo nikt na świecie nie odbierze mi słońca, morza i ciepłego, delikatnie szemrzącego wiatru z południa.

Moja matka, 1950

Po moim sielskim dzieciństwie nastały inne czasy i trzeba było szybko dorosnąć. Kiedy zaczęła się II wojna światowa, rząd musiał wyżywić oddziały brytyjskie i kenijskie walczące w Abisynii (obecnie Etiopia) oraz w Birmie, a także jeńców z włoskich obozów w Abisynii i niemieckich obozów na Bliskim Wschodzie. Żeby dostarczyć im żywności, urządzono istną masakrę dzikich zwierząt. Ojciec został zobowiązany do odstrzału zebr i gnu w Południowym Rezerwacie Zwierzyny nieopodal Selengai. Obszar, liczący przeszło dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów kwadratowych najlepszych terenów łownych, ciągnął się od wschodniego krańca równiny Loita pod Narokiem, przez równinę Athi koło Nairobi i Amboseli u podnóża góry Kilimandżaro, aż po zachodnie obrzeża dzisiejszego Parku Narodowego Tsavo. Był porośnięty puszcza tropikalną, wysokim i niskim buszem, sawanną i połaciami nieprzebytych kolczastych zarośli. Wszędzie roiło się od zwierzyny.

Ojciec nie miał wyboru: musiał wykonać zadanie i zrobił to z ciężkim sercem – każda z wypraw trwała blisko półtora miesiąca i miała katastrofalne skutki. Do końca wojny odstrzelił kilka tysięcy gnu i zebr. Nie mógł tego przeboleć. Można się tylko pocieszać, że był naprawdę właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, prawdziwym miłośnikiem przyrody, wrażliwym na los dzikich stworzeń. Nigdy nie dopuścił, by ranne zwierzę konało w długich męczarniach. Z całą pewnością uratował życie wielu żołnierzom i jeńcom wojennym, ekspedując codziennie sto paczek mięsa do Nairobi z najbliższej stacji kolejowej w Emali. Z początku zawiedziony, bo jako farmer nie został powołany do czynnej służby, zgłosił się na ochotnika do dorywczych zadań w Siłach Obronnych Kenii, a matka i babcia Chart cieszyły się w duchu, że nie poszedł na front.

Choć byłam jeszcze mała, zdawałam sobie sprawę, że dorośli martwią się przebiegiem działań wojennych. Ojciec niecierpliwie wyczekiwał najświeższych wiadomości radiowych, domownicy prowadzili nieustanne dysputy, a w ich przyciszonych głosach dało się wyczuć niepokój. Tylko dziadek Webb był wyraźnie podekscytowany. Polerował mosiężne sprzączki i medale z I wojny światowej, żeby się przygotować „do walki z Niemcami” – jak nam tłumaczył z nieskrywaną dumą. Dziadek miał chorą nogę, ale kiedy spytałam go z troską, jak sobie poradzi w starciu z niemieckim żołnierzem, odparował, że wystarczy mu jeden kulas, by kopnąć szkopa w tyłek. Miał specyficzne poczucie humoru i nie dał się zniechęcić. Pokazywał nam, jak będzie walczył, podskakując na jednej nodze i młócąc powietrze pięściami. Łudził się aż do chwili, w której zgłosił się na pobór, wystrojony

w przepyszny mundur khaki i staroświecki hełm korkowy. Wpadł w furję, kiedy mu powiedziano, że jest za stary i nie będą mieli z niego pożytku.

Kiedy skończyłam sześć lat, dołączyłam do rodzeństwa i zamieszkałam w internacie w Nakuru. W zasadzie lubiłam szkołę; choć ze smutkiem opuszczałam dom na początku każdego semestru, szybko oswajałam się z nowym porządkiem dnia i mieszkaniem w dużej grupie rówieśników. Dzieci mają wrodzoną potrzebę porządkowania świata. Pamiętam, jak wzburzyły mnie słowa szkolnej piosenki o Nakuru, „spokojnym jeziorze opodal”. Myślałam, że w jeziorze musi być woda, żeby można je było nazwać jeziorem! Kiedy zatrzymaliśmy się po drodze z Gilgilu, widziałam tylko spłacheć jałowej ziemi i niesione wiatrem kłęby alkalicznego pyłu, który spadał na miasto – ze szkołą włącznie – niczym biała, mdląca w zapachu mżawka. Na szczęście susza wkrótce się skończyła i deszcze rzeczywiście zmieniły nieckę w piękne, zaciszne jezioro. Obserwowałam z zachwytem, jak wracają ptaki – ponad czterysta gatunków – dołączając do różowej feerii osiadłych w tym miejscu flamingów, których stada przedstawiały sobą iście nieziemski widok. Stąpając z gracją tancerzy baletowych i wdzięcznie wyginając szyje, zbierały glony z powierzchni wody. Równie ciekawe były pelikany i ławice ryb, przede wszystkim niewielkich tilapii. Tuż przy brzegu można było wypatrzeć samce, które pieczołowicie wykopywały samicom dołki na ikrę. Brały do pyska po kilka ziaren piasku, wypluwając je z impetem za krawędź wgłębienia i bombardując rywali niewidzialnymi strugami wody. Jeśli samica zainteresowała się dołkiem, samiec ustawiał się do niej bokiem, żeby światło odbite w wodzie podkreśliło jego piękne ubarwienie. Tarło odbywało się nad wgłębieniem. Wkrótce po złożeniu i zapłodnieniu jaj samica podejmowała ikrę do pyska. Wykluty narybek przebywał w tym bezpiecznym schronieniu aż do chwili, kiedy osiągnął długość około centymetra i mógł już sam się o siebie zatroszczyć. Ilekroć rodzice albo dziadkowie zabierali nas na piknik nad jeziorem, potrafiłam godzinami obserwować dziwne zwyczaje tych ryb.

Z dużo mniejszym entuzjazmem podchodziłam do wizyt w szkolnej „izbie chorych”. Codziennie po śniadaniu część z nas musiała się stawić na „kurację”, aplikowaną przez jedną z budzących postrach starych panien, które uczyły w naszej szkole. W moim przypadku była to panna Chart, przyobleczona w sztywno wykrochmaloną biel i mówiąca szorstkim, mrukliwym basem. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam jej nazwisko, przelęknęłam się, że to nasza krewna, ale babcia Chart wyprowadziła mnie z błędu. Zostałam wytypowana, bo matka uznała, że powinnam dostawać dodatkową porcję mleka, preparat ze szpiku kostnego o nazwie virol i tranową emulsję Scotta, żebym nabrała trochę ciała – co po latach stało się przedmiotem rodzinnych żartów.

Nasz dyrektor, pan Whiddett, był postrachem wszystkich uczniów i przechodził sam siebie w wymyślaniu upokarzających kar – które na szczęście wyszły dziś z użycia. Nigdy nie zapomnę, jak drżeliśmy, kiedy rzucał się po klasie niczym głodny lampart, wyłuskując uczniów, którzy uzyskali niezadowalające wyniki z cotygodniowego sprawdzianu z liczenia

w pamięci. Ilekroć kogoś sobie upatrzył, posyłał go do kąta i kazał powtarzać na głos: „Jestem głupi”, albo po prostu chwycił delikwenta za kołnierz i wyrzucał za drzwi. Któregoś razu musieliśmy otworzyć pulpity w ławkach, włożyć głowę do środka i poczekać, aż dyrektor zatrześnie wieko. Skończyło się ukruszeniem przedniego zęba, ale i tak byłam wdzięczna losowi, że nie postąpił ze mną jak z innymi dziewczętami, które miał zwyczaj macać po piersiach, mamrocząc pod nosem, że „cycuszki pięknie im rosną”. Nie mam pojęcia, co skłoniło moich rodziców, żeby któregoś lata zaprosić go do nas na safari. Myślę, że w tamtych czasach nie dostrzegano niestosowności podobnych zachowań, a dzieci nie nawykły jeszcze do szczerych rozmów z rodzicami.

Oczywiście, zdarzali się także życzliwi nauczyciele. Wychowawca, który opiekował się naszą klasą przez całą szkołę podstawową, był przeuroczym łysym Walińczykiem: przezywaliśmy go „Papcio Davies”. W klasie Sheili uczył Arthur Brindlay, sympatyczny wysoki Anglik. Jakieś czterdzieści lat później, nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu, Arthur związał się z Sheilą po rozpadzie jej małżeństwa, czym wprowadził w osłupienie nawet naszych rodziców.

W 1940 roku, kiedy nadeszły moje pierwsze szkolne wakacje, matka zabrała nas do ojca w Selengai. Skoro tylko zajęłam na miejsce, pomyślałam sobie: „Tu właśnie chciałabym mieszkać, pod gołym niebem wśród zwierząt”. Ojciec założył obozowisko w gaju strzelistych, pokrytych żółtą korą akacji, które ocieniały prawie pół hektara terenu. Wykorzystał tę przestrzeń do cna, choć nie miało się wrażenia ciasnoty. Urządzoną w plenerze jadalnię zabezpieczył wielką, umocowaną na drzewie moskitierą. Na skraju obozu stał namiot rodziców z łóżeczkiem dla Betty, szczelnie osłonięty siatkami przeciwko owadom. Peter miał własny namiot, który w razie potrzeby – czyli praktycznie co noc – dzielił z braćmi Higginsonami. Zagroda z kolczastych gałęzi z ustawioną wewnątrz brezentową wanną zastępowała nam łazienkę. Kuchnia działała tuż przy jadalni, przenosząc się z miejsca na miejsce w zależności od kierunku wiatru. Ojciec zmajstrował piecyk polowy z ustawionej na sztorc wojskowej beczki po paliwie. Zamontował w niej nawet komin, więc matka mogła gotować jak w domu.

Oprócz przyrządzania mięsa na biltong – przed suszeniem na słońcu moczonego w kadziach wypełnionych solanką – ojciec potrafił spożytkować każdą część tuszy upolowanych zwierząt. Prowadził „fabrykę biltongu” wraz z dwoma nieocenionymi pomocnikami, jeńcami wojennymi z Włoch. Mechanik Dario mówił trochę po angielsku i uwielbiał przyrządzać spaghetti – które ku naszemu zdumieniu suszył na sznurkach do prania. Ferrara nie znał anielskiego ani w ząb, za to świetnie wyprawiał skóry. Byłam częstym gościem w „fabryce”, choć wzdrygałam się na widok zwałów mięsa na wielkich drewnianych ladach. Tam właśnie czterdziestu robotników z plemienia Wakamba – w charakterystycznych, plecionych z trawy nakryciach głowy, mocowanych pod brodą paskiem ze skóry zebry – śpiewało na cały głos, marynując pokrojone mięso w ogromnych kadziach z solanką, pieprzem i octem, żeby później rozwiesić je do suszenia na wielkich drucianych siatkach. Ojciec zapewniał, że żaden surowiec się nie zmarnuje: skóry gnu i zebra pakowano osobno i ekspe-

diowano do Stanów, gdzie przerabiano je na paski klinowe do silników. Kości mielono na mączkę służącą jako nawóz i pasza dla zwierząt. Włosie z grzyw i ogonów wykorzystywano do wyrobu szczotek. Zostawały też poślednie części tusz – przede wszystkim podroby, które nie nadawały się na biltong, więc ojciec rozdawał je robotnikom. Na ich terenach panowała susza: dzięki pracy w „fabryce” mogli wyżywić głodujące rodziny, a podroby uchodziły wśród ludu Wakamba za przysmak.

W porównaniu z naszą rozległą farmą i labiryntem szkolnych korytarzy w Nakuru obóz był niewielką, lecz świetnie zorganizowaną enklawą. Wszędzie mi się podobało – w kuchni polowej i jadalni pod gołym niebem, w części sypialnej, w wytwórni biltongu i namiotach pracowników – poza tym miałam przy sobie całą rodzinę. Kiedy przyjeżdżali do nas goście, zwalniałyśmy z Sheilą swój namiot i nocowałyśmy pod brezentową płachtą, którą matka zastawiała barykadą ze składanych krzesel, umocowaną z dwóch stron deskami. Po zapadnięciu zmroku czułyśmy się trochę niepewnie. Zapach mięsa przywabiał najrozmaitsze drapieżniki, przede wszystkim lwy. Ich ryk spędzał nam sen z powiek, najbardziej jednak przerażał nas rytmiczny odgłos lizania brezentowych ścian naszej kryjówki. Lwy nie mogły się oprzeć smakowitej woni plandeki, w której wcześniej transportowano sól do obozu. Świadomość, że od lwich pysków odgradza nas cienki kawałek tkaniny, odbierała nam resztki poczucia bezpieczeństwa. Obydwie z Sheilą zwijałyśmy się w kłębek jak najbliżej środka, przepychając się nawzajem w kompletnej ciszy, żeby nie drażnić lwów. Znacznie mniej nas obchodził wałęsający się po obozie lampart, a już wcale się nie przejmowałyśmy upiornym chichotem hien, jednym z najbardziej charakterystycznych odgłosów afrykańskiej nocy. W końcu udawało nam się zasnąć, rankiem zaś budził nas śpiew ptaków. Odgłosy drapieżników milkły z nadejściem świtu.

Co rano musieliśmy się poddać zabiegom odstraszającym kleszcze. Te wszędobylskie insekty wgryzały się w każdą część ciała, i choć potrafiły doprowadzić nas do szału, fascynowały mnie swoją zadziwiającą różnorodnością: jedne miały odnóża w paski, drugie w kropki, jeszcze inne żółte albo jednocześnie cętkowane i pręgowane na zielono. W takich czasach nie było repelentów ani preparatów przeciwsłonecznych, więc matka smarowała nas od stóp do głów niezawodnym panaceum prababki Aggett, czyli mazidłem z oliwy zmieszanej z olejem parafinowym. Szczerze mówiąc, niewiele to pomagało. Wieczorem czekał nas nudny rytuał wyciągania kleszczy.

Dni w buszu były pełne przygód. Byłam bardzo dumna z mamy, która sama prowadziła ciężarówkę do przewozu mięsa. Wyruszyliśmy co rano z ojcem i jego pomocnikiem Muteti z plemienia Wakamba, który świetnie znał okolicę i był doświadczonego tropicielem. Podjeżdżali kawałek, po czym szli dalej na piechotę, zostawiając nas z matką w samochodzie. Nad naszymi głowami krążyły stada sępów, które zdążyły się już nauczyć, że ciężarówka doprowadzi je do ubitej zwierzyny, gdzie urządują sobie ucztę. Wystarczyło, że ojciec spojrział w niebo i wiedział już, gdzie jesteśmy. Uwielbiałam dreszczyk emocji, jaki towarzyszył spotkaniom z nosorożcami. Ilekroć zdarzyło nam się natknąć na któregoś z tych olbrzymów i sprowokować go do szarży, matka wciskała gaz do dechy i pędziła z szaloną pręd-

kością przez mrowiska i wykroty, torując sobie drogę wśród skarłałych krzewinek, żeby uciec przed parsającym z wściekłości zwierzęciem. Wyobrażam sobie, że serce stukało jej szybciej niż tłoki w silniku.

Każdy pobyt w obozie trwał sześć tygodni. Często zabierałam się ciężarówką nad Sand River – dopływ rzeki Mara i główną siłę napędową tutejszego ekosystemu – żeby napełnić beczki wodą z głębokiego wykopu w piasku. Była czysta i świeża, przefiltrowana przez drobniutkie ziarenka kwarcu z dna rzeki, więc mogliśmy ją pić bez żadnych obaw. Siadaliśmy w cieniu, żeby obserwować zwierzęta gaszące pragnienie w płytkich kałużach: zlatujące się chmarą żółtawe stepówki i mangusty karłowate. Widok tych ostatnich ożywiał we mnie wspomnienia o Rikki Tikki Tavim, który buszował zawzięcie pod drzewami w poszukiwaniu owadów, w razie niebezpieczeństwa szukając schronienia w mrowisku. Masajowie przyprowadzali nad rzekę wielkie stada bydła, które spędzały czasem pół dnia na zlizywaniu wody z wilgotnego piasku. Podziwiałam cierpliwość dwóch młodych pasterzy, którzy musieli wówczas zadbać o porządek w stadzie. Członkowie plemienia odwiedzali nas też w obozie. Dotykali naszych włosów i nie kryli zdumienia, że tak mocno trzymają się skóry. Nasze wyjaśnienia nie zdały się na nic, bo brakowało nam słów. Kiedy puszczałyśmy muzykę z patefonu, brali nogi za pas, wystraszeni gadającą machiną, która musi być sprawką jakichś sił nieczystych. Co do mnie, byłam gotowa się z nimi zgodzić. Też nie miałam pojęcia, jak to właściwie działa. Siedząc godzinami nad rzeką, próbowaliśmy rozmawiać na migi z młodymi Masajami. Chyba lubili dzieci – co kilka dni przychodzili do obozu, przynosząc nam w wydrążonych tykwach mleko i krew, która wydzielala ostrą woń dymu. Nie bardzo wiedzieliśmy, co począć z zakrzepłą posoką, dziękowaliśmy jednak grzecznie i rewanżowaliśmy się Masajom pustymi butelkami, których chętnie używali jako naczyń na mleko.

Dla mnie był to czas odkryć. Tak zapamiętałam Selengai z dzieciństwa, choć z późniejszych rozmów z rodzicami wyciągnęłam wniosek, że oboje ciężko przeżyli wojenną zawieruchę, a powierzone ojcu zadanie odcisnęło się ponurym piętnem na jego psychice. W moim przypadku wielogodzinne obserwacje przyrody i zachowań zwierząt przyczyniły się do rozwoju życiowej pasji. Nauczyłam się mnóstwo, zwłaszcza od osieroconej zebry imieniem Punda. Pewnego dnia Dario ustrzelił na równinie wysoko żrebną kłaczkę. Kiedy jeden z pomocników rozpruł jej brzuch, żeby wydobyć wnętrzności, zobaczył ruszający się w macicy płód, który najwyraźniej dojrzał do porodu. Pomocnik otworzył powłoki jednym cięciem noża i wyjął ze środka maleństwo – lepkie, mokre i wierzgające cienkimi nóżkami. Żrebię przyszło na ten okrutny świat w tragicznych okolicznościach. Wezwany na miejsce ojciec odciągnął z wymienia kłaczkę odrobinę życiodajnej siary, żeby pobudzić układ odpornościowy malucha. A ten stanął niepewnie na nogach, rozejrzał się wokół i pokuśtykał wprost do mnie – z taką naiwną wiarą i bezgraniczną ufnością, że natychmiast podbił moje serce. Postanowiłam się nim zająć bez względu na wszystko. Zanieśliśmy go na ciężarówkę, gdzie wtulił się we mnie jak w prawdziwą matkę. Kiedy zajechaliśmy do obozu, wymieszaliśmy siarę z odrobiną słodzonego mleka i przelaliśmy do butelki ze smoczkiem.

Karmiłam go najczulej, jak umiałam. Obserwowanie rozwoju Pundy od chwili narodzin dostarczyło mi cennej wiedzy o zebach. Zabraliśmy go na farmę, gdzie poczuł się z miejsca jak u siebie i zaczął szukać przyjaciół, przede wszystkim wśród psów. Niestety, na własną zgubę: kilka miesięcy później pogalopował z nimi do tartaku w lesie i nigdy więcej nie wrócił.

I tak mijały wojenne lata, ja zaś z dziewczynki stawałam się powoli podlotkiem. Niedawno Gilgili działał wojskowy punkt przeładunkowy, w którym panował nieustanny ruch i kręciło się mnóstwo żołnierzy. Rodzice udostępnili farmę na schronienie dla kobiet i rannych w walkach w sąsiedniej Abisynii i we włoskiej części Somalii. Do dziś pamiętam niektórych pensjonariuszy, nie tylko dlatego, że tak wyczerpująco opowiadali o swoich przeżyciach, ale też ze względu na słodczyce i pyszne biszkopty z importu, które przywozili nam w prezencie. Dzięki swojej inicjatywie rodzice pozawiazywali długie serdeczne przyjaźnie z ludźmi, których drogi nie skrzyżowałyby się z naszymi w mniej dramatycznych okolicznościach. Mimo że najcięższe bitwy toczyły się daleko stąd, w Europie i w Birmie, nasza wspólnota jeszcze długo po ogłoszeniu pokoju prowadziła rozmowy o okropnościach wojny, stracie bezcennych istnień ludzkich, płynącej z tego nauce i nadziejach dla przyszłych pokoleń na całym świecie.

W szkole miałam dobre stopnie i sumiennie przerabiałam zadany materiał. Matka dała nam solidne podstawy. Kiedy doszły nas wieści, że ojcowską wytwórnię biltongu przeniesiono do Naroku i nasze safari odbędzie się tym razem w regionie Mara – bogatym siedlisku dzikiej zwierzyny, korzystającym z dobrodziejstw dłuższej pory deszczowej i bliskości Jeziora Wiktorii – obie z Sheilą aż podskoczyłyśmy z radości. Chwilę później Sheila odwróciła kartkę listu i mina jej zrzedła. „Zaprosili też pana Whiddetta” – powiedziała. Wymieniłyśmy spojrzenia i zrozumiłyśmy się bez słów. Byłyśmy szczerze zbulwersowane i postanowiłyśmy dołożyć wszelkich starań, żeby obrzydzić mu ten wyjazd.

Nawet to nie zdołało odebrać nam uciechy z nadchodzących wakacji. Mara, dziś jedna z największych turystycznych atrakcji przyrodniczych na świecie, w tamtych czasach była jeszcze słabo rozwinięta i mało uczęszczana. Obfitością fauny przewyższała nawet Południowy Rezerwat Zwierzyny. Nasz obóz leżał w pobliżu Subutai – wzgórza, które wyglądało jak głowa cukru – w rozległym gaju strzelistych akacji o żółtej korze, około pięćdziesięciu kilometrów od rzeki Ewaso Ngiro. Podejrzewaliśmy, że właśnie w tym miejscu osiedlił się po raz pierwszy mój pradziadek Aggett, i znów daliśmy się porwać ojcowskim opowieściom o rodzinie pionierów. Przy rozbijaniu obozu dopilnowałyśmy z Sheilą, żeby ulokować się jak najdalej od pana Whiddetta. Namiot dyrektora stanął na przeciwległym krańcu terenu – nie bez podszeptów z naszej strony.

Cudownie było poznawać ten dziewiczy skrawek ziemi. Zwiedzaliśmy bezkresne równiny ciężarówką, jadąc powoli, żeby ominąć wielkie nory mrówników i spokojnie podziwiać widowisko z udziałem dzikich zwierząt – gnu i zebra, topi i bawolców, gazel Granta i Thomsona o maleńkich ogonkach, którymi zamiatały z lewa na prawo, jak wycieraczkami w samochodzie. W zaroślach krążyły stada bawołów i słoni oraz pojedyncze nosorożce,

czasem w towarzystwie młodych. Każda równina mogła się poszczycić własną rodziną lwów, każda lugga, czyli wyschnięta dolina rzeczna – własnym lampartem. Zewsząd pierzchały guźce, galopując z ogonami postawionymi na sztorc jak maszty flagowe. Zaniepokojone hieny wyskakiwały z kałuż, gdzie wylegiwały się w oczekiwaniu na nocną ucztę.

Właśnie wtedy zaczęłam się interesować gnu – najbardziej zaawansowanymi ewolucyjnie ssakami kopytnymi, określanymi czułym przezwiskiem „klaunów równin”. Ojciec opowiadał nam o wędrownym trybie życia gnu i zebr z Serengeti, które w poszukiwaniu świeżych pastwisk potrafią przemierzyć niemal pięćset kilometrów rocznie. Teraz mogłam je obserwować w ich naturalnym środowisku i przekonać się na własne oczy, że funkcjonują w ścisłej wspólnocie, nie mając ze sobą prawie żadnego kontaktu fizycznego, nawet podczas odpoczynku. Byki częściej toczyły walki o terytorium niż o gotową do zapłodnienia samicę: zażarte starcia między samcami trwały krótko i przypominały raczej rytuał niż manifestację prawdziwej wrogości.

Tym razem z przykrością przechodziłam obok wytwórni biltongu, obwieszanej girlandami suszącego się w słońcu mięsa gnu. Mój ojciec, Dario i Ferrara przyjechali tu nie na wakacje, tylko do ciężkiej pracy. Odstrzał zwierzyny, ćwiartowanie i przerabianie tusz znowu szły pełną parą. Wkrótce pojawiły się pierwsze problemy. Okazało się, że nowo zatrudnieni pracownicy nie są ani w połowie tak wydajni, jak w poprzednim miejscu, większość nie nadawała się do tej roboty i porzucała swoje stanowiska. Ojciec zaczął już rozpaczać, że nie wywiąże się z umowy, kiedy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Peter pierwszy usłyszał w oddali śpiewy i zwołał na miejsce całą rodzinę. Chwilę później ujrzeliśmy pół setki mężczyzn biegnących ku nam gęsiego. Kiedy byli już blisko, zabrzmiało znajome: *Ngaw, Ngaw Mama, Ngaw Ngaw miwe!* Nie wierzyliśmy własnym oczom. Jakby w odpowiedzi na nasze modlitwy, stawił się dawny personel z Selengai, z Mutetim na czele. Wysupłali oszczędności na bilety kolejowe do Kijabe, a pozostałe sto trzydzieści kilometrów przebyli pieszo ze śpiewem na ustach.

Ojciec był tak wzruszony, że słowa uwięzły mu w gardle. Przybysze otoczyli nas kołem i uśmiechając się szeroko, zamasyście ściskali nasze dłonie. Wkrótce i ojciec się rozpromienił, witając z grupą rozśpiewanych mężczyzn. Musiał jednak wytłumaczyć Mutetiemu, że jest w stanie przyjąć tylko dwudziestu pracowników. Wybuchła ożywiona dyskusja. Mężczyźni oznajmili pogodnie, że można rozwiązać ten dylemat, organizując wyścigi biegaczy: dwudziestu najlepszych dostanie pracę. Kibicowaliśmy im z zapałem, podskakując i zagrzewając do walki sprinterów, którzy ścigali się po równinie w tumanach kurzu. Od tamtej pory wszystko szło jak z płatka, zupełnie jak w Selengai.

Reszta safari upłynęła zbyt szybko. Kolejne dni zlewały się w pasmo nieustannych wrażeń. Przedzieraliśmy się przez busz w okolicach gorących źródeł Barakitabu, żeby podejrzeć pana Whiddetta w kąpieli; podszkoliliśmy się z bratem w strzelaniu do celu; Peter pozwolił nam spędzić noc w swojej ambonie, gdzie mogliśmy obserwować dzikie zwierzęta z ukrycia – skończyło się tym, że odprowadził nas siłą do obozu, kiedy obie z Sheilą dostałyśmy ataku śmiechu; wybraliśmy się na trzydniową wycieczkę do Jagitiek, żeby tropić le-

gendarne lwy o czarnych grzywach; a co najlepsze, wróciliśmy do obozu, żeby usłyszeć, że wojna się skończyła. Ku naszemu zdumieniu Dario i Ferrara bardzo się tym zmartwili. „Musimy teraz wrócić do Włoch i będziemy za wami tęsknić” – oznajmili ponuro. Reszta nie posiadała się z radości, ja zaś odetchnęłam z ulgą, że nie trzeba już będzie żywić jeńców i zabijać zwierząt na biltong. Uczciliśmy pokój wielkim bankietem w buszu, a potem rozegraliśmy pamiętny mecz „puszki” – połączenie berka, gry w chowanego i zabawy w chorągwie – w gasnącym świetle dnia, przy wtórze gromkich okrzyków, jakimi kwitowano wypłoszenie kolejnego uczestnika z kryjówki. Kilka dni później wróciliśmy na farmę, żeby odstawić Daria i Ferrarę do koszar w Gilgilu, skąd repatriowano ich do Włoch. Ciężko było się rozstać, bo bardzo się z nimi zżyliśmy. Wyobrażaliśmy sobie nieraz, jak opowiadają swoim wnukom o szalonych latach w Afryce.

Pod koniec wojny straszliwa susza przetrzebiła nasze stada i ojciec musiał znaleźć inny sposób na utrzymanie rodziny. Przedsiębiorczy jak zwykle, wpadł na pomysł, że zajmie się produkcją wysokiej jakości mleka. Sprowadził z Australii kilka sztuk bydła rasy Ayrshire – cztery jałówki i dwa byki – i po dwóch latach mu się udało. Choć bydło z importu było szczególnie podatne na choroby roznoszone przez afrykańskie kleszcze, nasze stado rosło jak na drożdżach i w niedługim czasie dochowaliśmy się przeszło pięćdziesięciu cieląt. Niektóre z dojnych krów dawały do osiemnastu litrów mleka dziennie, co zapewniało nam regularne dochody, podobnie jak sprzedaż byczków. Farma wzbogaciła się też o schludną „służbę do oprysków” – urządzenie zaprojektowane przez ojca, które zastąpiło tradycyjne wanny dezynfekcyjne. Nie chcąc narażać swoich arystokratek na obrażenia przy wskakiwaniu do zbiorników, ojciec skonstruował coś w rodzaju prysznic, z którego zraszał statecznie maszerujące krasule rozcieńczonym środkiem owadobójczym. Pierwszą „krową”, na której wypróbował swój wynalazek, była Sheila – spryskana czystą wodą. Urządzenie okazało się prawdziwym strzałem w dziesiątkę i znalazło zastosowanie w wielu okolicznych gospodarstwach.

Kiedy skończyłam trzynaście lat, przeniosłam się wraz z siostrą do Kenijskiej Szkoły Średniej dla Dziewcząt w Nairobi, gdzie zaaklimatyzowałam się stosunkowo szybko, a przyjaźnie, które wtedy zawarłam, trwają po dziś dzień. Odnosiłam sukcesy w przedmiotach ścisłych – z humanistycznymi było trochę gorzej. W okresie dojrzewania moje proste i wiecznie rozczochrane włosy zaczęły gęstnieć i układać się w loki, więc spinałam je w koczek. Nabrałam też wreszcie kobiecych kształtów. Podobnie jak reszta koleżanek z klasy, miałam nadzieję znaleźć chłopaka w gronie uczniów „Patch” – jak nazywano Szkołę Księcia Walii, którą ukończył mój brat Peter. W tamtych latach studia podejmowali tylko absolwenci marzący o zawodzie lekarza lub weterynarza, którzy musieli legitymować się dyplomem wyższej uczelni. Wiedzieliśmy, że ojca nie stać na opłacenie czesnego, poza tym żadna z dziewcząt w naszej rodzinie nie myślała o karierze akademickiej. Miałyśmy praktyczne podejście do życia i nie mogłyśmy się doczekać, aż zaczniemy same zarabiać, żeby

ulżyć rodzicom i zadbać o własną przyszłość: wyjść za męża, urodzić dzieci, a potem żyć długo i szczęśliwie, jak nasza matka z ojcem. Ówczesne standardy musiały mocno przemówić mi do wyobraźni, bo w wieku zaledwie piętnastu lat zakochałam się po uszy w Billu Woodleyu, absolwencie „Patcha”, który był młodszym pomocnikiem strażnika w Parku Narodowym Nairobi i kolegą mojego brata, zatrudnionego już wcześniej w służbach parkowych. Mieliśmy wiele wspólnego – Bill urodził się w Kenii, uwielbiał zwierzęta i pasjonował się przyrodą. O dziwo, też się we mnie zakochał, co wzbudziło nie lada zazdrość moich koleżanek. W dni wolne od zajęć zajeżdżał pod szkołę Leną – odziedziczoną w spadku ciężarówką – i trąbił na mnie, żebym do niego wyszła. Ubrany w kurtkę safari, wyglądał jeszcze przystojniej niż zwykle. Miał dwadzieścia lat, opinię wytwornego światowca i uchodził za znacznie lepszą partię niż chłopcy, którzy umawiali się na randki z naszymi dziewczynami. Chodziłam już do ostatniej klasy i byłam prefektką, która miała odpowiadać za dyscyplinę w swoim „domu” i świecić przykładem młodszym uczennicom. Durzyłam się w Billu bez pamięci. Poświęcałam każdą chwilę, żeby zgodnie z ówczesną modą zgromadzić „wyprawkę”: piękne płótna stołowe i inne przedmioty domowego użytku, szykowane przez panny przed zamążpójściem. Matka i babcia Webb, z właściwym sobie taktem i mądrością, próbowały mnie ostrzec przed zbyt wczesnym angażowaniem się w związek – „Nie pali się, Daphne, nie ma się co śpieszyć” – byliśmy jednak tak nierozłączni z Billem, że przerywałam im w pół słowa. Nasz ślub był tylko kwestią czasu, musiałam jedynie skończyć szkołę.

Na początku lat pięćdziesiątych sprawy przybrały zły obrót. Niepokoje wśród ludności afrykańskiej narastały wolno, lecz nieubłagane. Wpierw dochodziło do drobnych incydentów – zaniechań w pracy, niewielkich kradzieży – po kilku miesiącach stało się jednak jasne, że lokalne zamieszki mają podłoże polityczne i wkrótce rozszerzą się na cały kraj. Pojawiły się pierwsze oznaki, że Mau Mau, organizacja podziemna, do której należeli przedstawiciele plemienia Kikuju, dąży do obalenia rządów brytyjskich w Kenii i wypędzenia białych osadników, pozbawiających tubylców ziem uprawnych. Tajne spotkania były już na porządku dziennym – o czym dowiedzieliśmy się od znajomego policjanta. Działacze Mau Mau szukali poparcia dla sprawy, obiecując w zamian ziemię, domy, samochody i cały majątek, jaki zostanie po hekatombie „Białego Plemienia”. Zaczęły się sekretne, silnie nacechowane seksualnie ceremonie zaprzysiężenia, nierzadko urządzone pod przymusem, czasem tak barbarzyńskie, że o szczegółach opowiadano sobie tylko szeptem. Eskalacja bezprawia i coraz częstsze ataki na mienie oraz żywy inwentarz białych farmerów świadczyły o gwałtownej zmianie klimatu politycznego.

W mojej rodzinie i wśród przyjaciół toczyły się gorące debaty, poparte mocnymi argumentami. Ani babcia Chart, ani żaden z białych Kenijczyków nie mógł się zgodzić ze stanowiskiem Mau Mau, którzy przedstawiali osadników jako intruzów. Nie byliśmy bezwzględni kolonizatorami – byliśmy pionierami, ludźmi pełnymi empatii, godnymi najwyższego szacunku, którzy mieli odwagę wyruszyć w nieznaną i w pocie czoła walczyć o postęp w najczarniejszej części Afryki, zaprowadzając ład, dyscyplinę i łagodne rządy brytyjskie.

Najlepiej poinformowani ponaglali administrację kolonii, by zdusiła powstanie w zarodku, zanim Mau Mau zdążą podburzyć całą tutejszą młodzież. Niestety, Whitehall puścił ich ostrzeżenia mimo uszu. Represje działaczy wobec osób świadczących przeciwko organizacji bądź odmawiających tajnego zaprzysiężenia stawały się coraz bardziej brutalne i dzikie. Niemal codziennie notowano przypadki zabójstw i okaleczeń.

Nasze życie z początku nie uległo radykalnym przeobrażeniom, kiedy jednak zaczęły się pojawiać kolejne zwiastuny nadchodzącej rzezi – od uduszonych kotów, przez powieszono na drzewach bezgłowe truchła psów, aż po brutalne morderstwa białych farmerów – musieliśmy sobie nałożyć pewne ograniczenia. Przestaliśmy chodzić po lesie. O zmierzchu ryglowaliśmy drzwi. Ojciec przeprowadził swoje rasowe bydło bliżej domu i zatrudnił nocnych strażników, niespokrewnionych z plemionami Kikuju, Embu ani Meru.

Niedługo potem okrutna rzeczywistość powstania Mau Mau wkroczyła do naszej rodziny. W samym środku nocy dziadkowie Webbowie zostali obrabowani i dotkliwie pobici podczas napadu na ich dom, dokonanego najprawdopodobniej przez zbirów świeżo wtajemniczonych w struktury Mau Mau. Prawdę mówiąc, mieli więcej „szczęścia” niż sąsiedzi, których rozsiekano na kawałki. Napastnicy byli pewni, że załukli dziadków na śmierć, i zostawili ich nieprzytomnych w kałuży krwi. Szczęśliwie skończyło się na niewielkich obrażeniach i wstrząśnieniu mózgu, niemniej atak ziejących nienawiścią bandytów odcisnął się trwałym piętnem na ich psychice. W tamtych czasach nie było telefonów na farmach i tylko nieliczni mieli dostęp do łączny radiowych. Dziadkowie woleli zachować niezależność i odrzucili propozycję, żeby zamieszkać u nas. Zdołaliśmy ich przekonać, by przenieśli się do nadmorskiej chaty w Malindi. Trudno było oswoić się z myślą, że od tej pory będziemy się widywać zaledwie kilka razy w roku, dramatyczny incydent okazał się jednak zbyt silnym przeżyciem dla dwojga starszych ludzi. Nawet babcia Chart rozpaczała po ich wyjeździe, lecz oznajmiła twardo, że sama się stąd nie ruszy, choćby nie wiem co! Zlekceważyła nawet całkiem rozsądną sugestię ojca, żeby wynająć pokój policjantowi z rezerwy: oświadczyła, że nie zamierza troszczyć się jeszcze o sublokatora. W babcinym DNA zabrakło miejsca na strach.

Mimo to niepokój stał się nieodłącznym elementem naszego życia na farmie. Pracownicy byli wyraźnie podenerwowani. Nikt nie wychodził na dwór po zmroku. Nasz najpogodniejszy, wiecznie rozśpiewany Mkamba (to słowo oznacza pojedynczego przedstawiciela plemienia Wakamba), którego przezwaliliśmy Kinanda, czyli „Gramofon”, dosłownie nił w oczach. Zachowywał się inaczej niż zwykle, przestał śpiewać, zmarkotniał i zamknął się w sobie. Wszyscy się o niego martwiliśmy, podejrzewając, że zapadł na jakąś ciężką chorobę. Pewnego dnia, pod pretekstem załatwienia spraw w mieście, ojciec zapakował go do Nieśmiertelnego i zawiózł do lekarza w Nakuru. Badania nic nie wykazały: doktor nie znalazł fizycznej przyczyny jego dolegliwości. W drodze powrotnej do domu Kinanda zaczął mówić, ograniczył się jednak do stwierdzenia, że i tak umrze, i nic nie można na to poradzić. Zamierzał pracować, dopóki zdoła, po czym ruszyć do kraju przodków i tam dokonać żywota. Byliśmy zrozpaczeni, że stracił wolę przetrwania i za wszelką cenę próbowaliśmy

skłonić go do wyznań, ale na próżno. Ojciec podejrzewał, że ktoś rzucił na niego urok, sprowadziliśmy więc cały zastęp czarowników, żeby go odczynić. Bez skutku. Kinanda marniał z dnia na dzień, odmawiając wyjaśnień. Wreszcie oznajmił, że przyszła pora, by wrócić do domu i tam spokojnie umrzeć. Łzy ciekły mu strumieniami po zapadłych policzkach. Pożegnaliśmy go z płaczem, wiedząc, że już się nie zobaczymy.

Zmarł wkrótce potem. Na łożu śmierci przekazał nam wiadomość. Podczas przymusowej ceremonii zaprzysiężenia w szeregi Mau Mau otrzymał rozkaz, żeby nas wszystkich wymordować. Ponieważ odmówił, tłumacząc, że zanadto kocha naszą rodzinę, by zabić ją z zimną krwią, rzucono na niego klątwę śmierci. Za swój opór zapłacił życiem, co wstrząsnęło nami do głębi. Pamięć o ofierze Kinandy nadal tkwi we mnie jak cierń.

Opuściłam szkołę w wieku szesnastu lat, przeświadczona, że oblałam egzaminy końcowe uprawniające do podjęcia studiów w Wielkiej Brytanii, za to dziwnie spokojna, że znajdę szczęśliwą przyszłość u boku Billa. Doszłam do wniosku, że powinnam się nauczyć prowadzenia domu. Matka miała podobne zdanie: nie, żeby popierała moją chęć natychmiastowego zamążpójścia, tylko z głębokiego przekonania, że sztuka bycia dobrą gospodynią jest najważniejszą umiejętnością w życiu kobiety. Pod jej czujnym okiem uczyłam się aranżować wnętrza, gotować, sprzątać, czyścić srebra i uprawiać ogród. Wtajemniczyła mi w rodzinne sekrety, między innymi w instrukcję prababci Aggett, jak wyrabiać świece i mydło, przekazała mi też wypróbowane i niezawodne sposoby przyrządzania leków ziołowych na drobne skaleczenia i pomniejsze dolegliwości. W tym samym czasie zrobiłam prawo jazdy – chyba dzięki temu, że policjant, u którego zdawałam egzamin, mało nie skręcił karku, kiedy zbyt ostro ruszyłam na stromym podejździe. Pewnie już nie chciał powtarzać tego doświadczenia. Przez trzy miesiące opanowałam wiedzę praktyczną, która wciąż przydaje się mnie i moim córkom, Gillian i Angeli. Mam radosne poczucie ciągłości, kiedy sięgają do tradycyjnych pionierskich przepisów, nawet jeśli czasem zmieniają składniki i korzystają z nowocześniejszych urządzeń.

Jak się potem okazało, ogólne rozkojarzenie nie wpłynęło na wynik mojej matury, czym byłam szczerze i mile zaskoczona. Zdałam egzaminy końcowe śpiewająco, z ósmą lokatą w całej kolonii, gwarantującą bezpłatne stypendium na studia wyższe. Moja wychowawczyni, pani Scott, zachęcała mnie do pójścia na medycynę. Rodzice i dziadkowie bardzo poważnie potraktowali tę sugestię. Z mojego punktu widzenia było to równoznaczne z siedmioletnim wygnaniem do Anglii, którego chciałam uniknąć za wszelką cenę, przede wszystkim ze względu na rozstanie z Billem. Nie wyobrażałam sobie życia poza Kenią i oświadczyłam rodzicom, że jeśli wyślą mnie na uczelnię, ucieknę z domu razem z ukochanym.

Zrozumieli, że nie żartuję, i po kolejnych nieudanych próbach przekonania mnie do studiów, dali mi wreszcie spokój. Poszłam w ślady Sheili i zgłosiłam się do YWCA w Nairobi. Zapisalam się na kurs sekretarek prowadzony w tym samym college'u, do którego uczęszczała moja siostra. Bill – niezależnie od codziennych obowiązków strażnika – otrzymał znacznie bardziej odpowiedzialne zadanie wyprofilowania nawierzchni dróg w Parku Narodowym Nairobi, dzięki czemu mogliśmy częściej ze sobą przebywać, spędzając całe

weekendy na objazdach potężną równiarką gąsienicową z wielkim napisem „Daphne”. Niestety, wkrótce Bill został oddelegowany do pracy w rozległym nowym Parku Narodowym Tsavo. Dziwnym zrządzeniem losu Peter dostał przydział do części zachodniej, a Bill do wschodniej. Wiadomość spadła na mnie i Billa jak grom z jasnego nieba. Tsavo leżało ponad trzysta kilometrów od Nairobi, postanowiliśmy więc się zaręczyć. Na rodzinnym przyjęciu z okazji moich siedemnastych urodzin Bill poprosił o moją rękę. Ojciec, wzięty z zaskoczenia, wymamrotał pod nosem: „Tak, tak, oczywiście, kiedyś na pewno, nie ma pośpiechu”, kiedy jednak Bill wsunął mi na palec pierścionek, który wybraliśmy razem w Nairobi, ojciec zrozumiał, że to nie przelewki. Dziadek Webb, jak zwykle, potrafił się znaleźć: usiadł do fortepianu i zaczął grać *For He's a Jolly Good Fellow*. Ojciec zdążył się pozbierać i oznajmił: „Zgoda, ale narzeczeństwo ma potrwać co najmniej rok, żeby zostawić dzieciakom czas do namysłu”. Zerknęłam na Billa, który był wyraźnie rozbawiony i puścił do mnie oko. Byliśmy pewni, że się nie rozmyślimy.

Po ukończeniu szkoły dla sekretarek dostałam pracę w biurze Afrykańskich Zakładów Produkcji Materiałów Chemicznych i Wybuchowych – jednego z oddziałów brytyjskiej korporacji ICI. Zarobki były wysokie: trzydzieści funtów miesięcznie. Bill, zgodnie z umową, pojechał do Tsavo East, gdzie trafił pod skrzydła majora Davida Sheldricka, najmłodszego dowódcy kompanii King's African Rifles podczas II wojny światowej. Po powrocie z czynnej służby w Abisynii i Birmie, David został pracownikiem Safarilandu, pierwszej profesjonalnej firmy w Nairobi zajmującej się organizacją polowań na grubego zwierza. Był żonaty, miał dwoje małych dzieci, wyglądał jak gwiazdor filmowy i cieszył się opinią charyzmatycznego przywódcy, uzbrojonego w solidną wiedzę o przyrodzie, zwłaszcza o faunie Afryki. Trudno o lepszego koordynatora przedsięwzięcia, które polegało na przekształceniu bezlitosnego pustkowia – zwanego kiedyś pustynią Taru – w tętniący życiem Park Narodowy. Lokalizacja mogła wydawać się dziwna, w Tsavo nie było żadnego stałego osadnictwa z powodu niegościnności terenu porośniętego gęstwiną kolczastych zarośli, w których aż się roiło od much tse-tse. Spierzchnięta od słońca półpustynia, na którą spadało niewiele ponad dwadzieścia pięć centymetrów deszczu rocznie, była zbyt sucha pod uprawę, nie nadawała się też na pastwiska. Tsavo nie obfitowało w faunę, słynęło jednak z różnorodności występujących tutaj gatunków, od budzących postrach lwów, przez płodne stada słoni, aż po liczone w tysiące nosorożce czarne. Właśnie na tym obszarze spotykały się północne i południowe podgatunki żyraf, strusi i gazeli Granta (choć to wyszło na jaw dopiero później). David i jego pracownicy – nie wyłączając Billa – musieli zrobić coś z niczego, podobnie jak pięćdziesiąt lat wcześniej Aggetowie, którzy dotarli jeszcze dalej w głąb Taru. Tym razem bezużyteczny busz miał się przemienić w Park Narodowy.

Listy od Billa trzymały mnie przy życiu. Lubiłam swoją pracę i byłam w dobrych stosunkach z kolegami, czułam się jednak okropnie, zamknięta w czterech ścianach. Tęskniłam za przestrzenią, chciałam znów się znaleźć wśród drzew i zwierząt, więc nie mogłam doczekać się wieści z Tsavo. Bill pisał, jak musieli z Davidem przedzierać się przez busz, żeby wytyczyć drogę, jak obchodzili teren na piechotę, szukając miejsca pod siedzibę

władz parku. Obóz wypadowy założyli w Ndololo, nad rzeką Voi, niedaleko miasta o tej samej nazwie, leżącego u podnóża wyniosłych gór Sagalla, gdzie uprawiano warzywa, a nawet truskawki. Miasto na dobrą sprawę składało się z kilku azjatyckich straganów z odzieżą. Był tam też cmentarz z I wojny światowej, z szeregiem ciekawych grobów, w których pochowano między innymi dwóch weteranów odznaczonych Krzyżem Wiktorii, buty mężczyzny pożartego przez lwa (tylko tyle z niego zostało) i paru nieszczęśników zmiżdżonych przez słonie. Bill i David nocowali w nowo wybudowanym hotelu Voi, którego podobizna zdobiła paczki papierosów Clipper. Wyglądało na to, że za każdym pobytym w mieście pakowali się w jakąś kabałę. Chłonełam wszystkie szczegóły listów Billa – w końcu Tsavo East miało być moim przyszłym domem.

W 1952 roku w Kenii ogłoszono stan wyjątkowy. Jomo Kenyatta – po odzyskaniu niepodległości pierwszy prezydent kraju – został aresztowany pod zarzutem kierowania powstaniem Mau Mau. Uzbrojone i wciąż niebezpieczne oddziały rebeliantów z plemienia Kikuju znalazły schronienie w górach Aberdare. Niemal codziennie dochodziło do ataków na budynki rządowe i farmy białych osadników. Pewnej nocy zginęło jedenaście osób. Ofiarą bestialskiej napaści padła cała rodzina z okręgu Kinangop, nieopodal dawnego gospodarstwa Aggettów. W Kenii szerzył się terror. Całkiem liczna grupa Kikuju, która zachowała lojalność wobec Brytyjczyków, stała się celem masowych rzezi, które osiągnęły kulminację podczas masakry w Lari. Niemal cała wioska poszła wówczas z dymem, a zwłoki ponad stu ofiar – mężczyzn, kobiet i dzieci – pozbawiono głów i zbezczeszczono, na okrutną przestrożę zwolennikom dotychczasowej administracji. Z myślą o lojalistach z plemienia Kikuju rząd wdrożył program tworzenia chronionych wiosek, które otaczano suchą fosą i palisadą z zaostrzonych tyczek, żeby utrudnić ataki rebeliantom Mau Mau. Wkrótce zaczęto mobilizować mężczyzn w wieku Billa do specjalnych oddziałów operacyjnych Pułku Kenijskiego, sprowadzono też posiłki z brytyjskiego Pułku Fizylierów Lancashire, żeby wesprzeć miejscowe siły zbrojne. Kontrofensywa przeciwko powstańcom Mau Mau okazała się trudna, zwłaszcza że partyzanci, zaopatrywani przez kobiety z terenów plemiennych, nie mieli kłopotów z aprowizacją. Bill i Peter zostali wysłani na półroczne szkolenie do Rodezji i dostali przydział do kadry oficerskiej. Z listów Billa zaczęła wyłaniać się nowa opowieść: choć nie mógł ujawniać szczegółów swojej misji, wiedziałam, że bierze udział w tajnych, bardzo niebezpiecznych wypadach w głąb puszczy. Za swoją odwagę otrzymał później Krzyż Wojskowy.

Osadnicy – nie wyłączając dziadka Webba i babci Chart, nareszcie zgodnych w swoich opiniach – sceptycznie oceniali działania brytyjskich wojsk zaangażowanych w stłumienie powstania Mau Mau. W przeciwieństwie do Pułku Kenijskiego, „Angole” nie byli w stanie podjąć równej walki z Mau Mau w gęstych, obfitujących w zwierzynę lasach Aberdare i góry Kenia. Nie znali tubylców ani terenu, nie wspominając już o miejscowej przyrodzie. Nasza wspólnota była też rozgoryczona tym, że wielu żołnierzy jawnie popierało sprawę powstańczą i potępiało osadników – rzekomo uprzywilejowaną elitę, która nie powinna rościć sobie żadnych praw do pobytu w Kenii. Bardzo się tym przejęłam. Uważałam się za

Brytyjkę do szpiku kości i wierną poddaną Korony, a zostałam napiętnowana przez tak zwanych rodaków. Istotnie, powoli stawaliśmy się kimś innym, sami nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Przezywani Białym Plemieniem Afrykańskim, traciliśmy kontakt z ojczyzną i wskutek długotrwałej izolacji nie byliśmy już prawdziwymi Brytyjczykami. Nie byliśmy też prawdziwymi Afrykańczykami, ze względu na kolor skóry i odmienną kulturę. Rodzina toczyła długie dysputy na ten temat, zwłaszcza mój ojciec, ja zaś czułam się coraz bardziej niepewna i oderwana od własnych korzeni, czując w głębi duszy, że moje miejsce jest w Kenii. Tutaj się urodziłam i chciałam tu mieszkać. Byłam częścią tego kraju, który określał też moją tożsamość.

Pragnęłam być z Billem, wyjść za niego za mąż, zamieszkać w Tsavo, pracować przy zakładaniu nowego parku narodowego, w buszu, wśród dzikiej przyrody, która znaczyła tak wiele dla nas obojga. Okazało się, że muszę z tym jeszcze poczekać.

4. ŻYCIE MAŁŻEŃSKIE

Te nieszczęsne kolonie są jak kamienie młyńskie u naszej szyi i pewnego dnia wszystkie będą niepodległe.

Benjamin Disraeli, 1852

Moja suknia ślubna z tiulu i koronki była pierwszym strojem, jaki kiedykolwiek kupiłam w sklepie. Wyzaczyliśmy wreszcie datę naszej ceremonii, a ponieważ miałam zmienić stan cywilny jako pierwsza z rodzeństwa, planowaliśmy huczne wesele w ogrodzie na farmie, z udziałem licznie zaproszonych gości. Większość przygotowań spadła na moją matkę, która jak zwykle wykazała się zmysłem artystycznym: dopilnowała nawet, żeby liliowe suknie druhen pasowały odcieniem do moich ulubionych kwiatów z drzew *Calodendrum capense*, rosnących w lesie za domem. Pojechaliśmy razem do Nairobi, żeby kupić suknię – do tej pory nosiłam wyłącznie ubrania szyte własnoręcznie albo używane – i spędziłyśmy cały dzień na dobieraniu wymarzonej kreacji.

Czas przygotowań do wesela powinien być szczęśliwy, pełen gwaru i radosnego podniecenia. Niestety, kilka tygodni wcześniej doświadczyliśmy dwóch tragicznych wydarzeń. Pierwszym była barbarzyńska napaść powstańców Mau Mau na farmę mojej ciotecznej babki Ethel w Nanyuki. Jej nadzorca nie zdążył uciec z ogarniętego pożarem domu i spłonął żywcem wraz z żoną i trojgiem dzieci. Bandyci urządzili istną orgię rzezi i zniszczenia, mordując wszystkich pracowników gospodarstwa. Ethel przebywała wówczas z wizytą u babci Chart; wiadomość o tak potwornej stracie niemal ją zabiła. Nie potrafiłam znaleźć słów pocieszenia. Cioteczna babka siedziała z twarzą szarą jak popiół, trzęsąc się na całym ciele, dosłownie złamana cierpieniem.

Kilka dni później przyszedł telegram z Malindi – z druzgoczącą wieścią, że dziadek Webb zmarł we śnie. Tego wieczoru przebywał na plaży, ucząc miejscowe dzieci gry w piłkę nożną przy pełni księżyca. Potem wrócił do domu i zjadł sutą kolację z babcią Webb. Obudził się w nocy, narzekając na niestrawność, zażył jednak odrobinę sody oczyszczonej i poszedł z powrotem do łóżka.

Kochałam dziadka z całego serca i wiadomość o jego śmierci wstrząsnęła mną do głębi. Uświadomiłam sobie, że moje życie potoczy się odtąd bez niego. Dziadek nie przyjdzie na mój ślub z Billem, nie puści się w zwariowane tany na moim weselu i już nigdy nie usłyszę jego zaraźliwego chichotu. Złośliwego poczucia humoru dziadka Webba nie dało się niczym zastąpić. W tej krótkiej chwili zdałam sobie sprawę, że będę za nim tęsknić aż po koniec moich dni. Nawet babcia Chart wpadła w rozpacz – myślę sobie w duchu, że ich wzajemne przekomarzanki przez wiele lat trzymały ją w dobrej formie.

Matka i Sheila pojechały do Malindi, żeby zaopiekować się babcią Webb, która przyjęła ten cios z właściwym sobie spokojem. Przeczuwała, że już wkrótce połączy się z mę-

zem, z którym spędziła niemal pół wieku. Babcia Webb była osobą bardzo uduchowioną i w przeciwieństwie do dziadka święcie wierzyła w życie pozagrobowe. Tego samego wieczoru, kiedy matka usiadła na werandzie, wsłuchując się w huk przyboju, ukazał jej się duch dziadka Webba i powiedział: „Peg, zajmij się nią. To już niedługo”. Matka była pewna, że nie śni i że dziadek naprawdę do niej przyszedł. Babcia Webb nie okazała zaskoczenia, bo rozmawiała z nim wcześniej tej nocy. I rzeczywiście wkrótce zgasła. Zaczekała jeszcze na mój ślub, a pół roku później odeszła – po cichu i z godnością – żeby zgodnie ze swoją zapowiedzią połączyć się z ukochanym. Dziadek spoczął w poświęconej ziemi na rafie koralowej, tuż nad szumiącym oceanem. Babcia Webb umarła w Nakuru i została pochowana na tamtejszym cmentarzu.

W tej sytuacji trudno było organizować jakiegokolwiek uroczystości, wiedzieliśmy jednak, że dziadek Webb nie życzyłby sobie, byśmy przez niego odkładali wesele. Moja matka i siostra pomogły się spakować babci Webb i sprowadziły ją do nas, żeby trochę doszła do siebie. Im bliżej ślubu, tym chętniej włączała się w gorączkowe przygotowania. Sheila i ja pojechałyśmy czym prędzej do Voi, żeby rozwiesić powiadomienia o ślubie w biurze komisarza dystryktu. Przy okazji spędziłyśmy noc w słynnym hotelu Voi. Po powrocie do domu musiałam wziąć udział w kilku „kuchennych herbatkach” – przedślubnych spotkaniach organizowanych przez koleżanki z biura i YWCA, które przynosiły mi w prezencie niezbędne sprzęty gospodarstwa domowego. Wreszcie, tuż przed moim odejściem z pracy, postanowiliśmy urządzić prawdziwe przyjęcie w gronie znajomych. Prawdziwe, czyli z mnóstwem alkoholu, który był dla mnie nowością, bo rodzice nie pili w ogóle.

Uprosiłam kierowniczkę, żeby pozwoliła nam się wyszumieć w ten jeden wieczór. Zgodziła się bez mrugnięcia okiem. Kiedy teraz pomyślę, jakie byłyśmy głupie i naiwne, nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Każda z dziewcząt – a było nas ze dwadzieścia – przyniosła butelkę alkoholu. Zgromadzona przez nas bateria whisky, dzinu, brandy, wina i sherry onieśmieliłaby niejednego ochlapusa. Wieczór zaczął się nieźle, wkrótce jednak przemienił się w bełkotliwą farsę z udziałem rozchichotanych, pijanych w sztok kobiet. Po zabawie w „kardynalski haust”, która polegała na wypiciu drinka duszkiem, byłyśmy już tak wstawione, że niektóre nie mogły utrzymać się na nogach. Pamiętam jak przez mgłę, że Sheila robiła za Florence Nightingale, udzielając pierwszej pomocy najciężej poszkodowanym i wlokąc je za obcasy do łóżka. Nie mieściło mi się w głowie, że potrafiła zachować przytomność umysłu, kiedy ja byłam już zalana w pestkę.

Mimo upływu lat nie zapomniałam późniejszego kaca. Większość z nas kurowała się przez trzy dni, użalając się nad sobą i nie mogąc się nadziwić, że niektórzy lubią się upijać. Od tamtej pory nigdy już tak się nie urznęłam i nawet nie chciałam próbować. Kiedy przyjechał Bill, bardzo się przejął, zastawszy mnie w zaciemnionym pokoju, jęczącą nad swoim losem. Pomyślał, że zapadłam na jakąś straszną chorobę, więc przyznałam się do wszystkiego i poprosiłam go o dyskrecję: rodzice doznaliby szoku, gdyby się dowiedzieli, co tam naprawdę zaszło. Wyruszyliśmy oboje na farmę, żeby pomóc w ostatecznych przygotowaniach.

Trzy tygodnie po moich dziewiętnastych urodzinach, 27 czerwca 1953 roku, obudziłam się wczesnym rankiem, niepewna, czy jestem gotowa na to, co mnie za chwilę czeka. Babcia Webb pomogła mi się ubrać i by uczynić zadość tradycji, że panna młoda powinna mieć „coś starego”, wszyła mi w halkę kawałek koronki, która należała kiedyś do jej matki. Dała mi jedną ze swoich chusteczek, którą upchnęłam w stanik – żebym miała „coś pożyczonego” – i niebieską podwiązkę, czyli „coś niebieskiego”, którą przyszykowała specjalnie na mój ślub. Z „czymś nowym” nie było żadnych kłopotów: czułam się wspaniale w swojej sukni ślubnej, starannej fryzurze i choć raz porządnie zrobionym makijażu. Pojawiwszy się dużo za wcześnie przed kościołem w Naivashy, zaczęłam się denerwować, co zaowocowało niezbyt twarzowym rumieńcem na szyi i dekolcie. Ojciec zaproponował mocnego drinka w miejscowym pubie, co uspokoiło mnie na tyle, że mogłam przynajmniej docenić piękno świątyni. Kościół stał w gaju mangowców, z widokiem na miasto Naivasha, gdzie ojciec spędził młodość i dokąd prababcia Aggett przyjeżdżała wozem konnym na zakupy. Ta niewielka osada w samym sercu buszu była przez długie lata ośrodkiem, wokół którego skupiało się życie naszej rodziny: nie wyobrażałam sobie, żebym mogła wziąć ślub gdzie indziej. Leżące w dole jezioro Naivasha rozpościerało się na zielonym dnie Wielkiego Rowu Wschodniego niczym błękitny szal. Okoliczne wzgórza i stożki wulkaniczne odbijały się w nim jak w lustrze. Popołudnie było cudowne. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, przygrzewając intensywnie mimo górskiego położenia miasta. Na poboczach dróg rosły dzikie kwiaty, powietrze rozbrzmiewało śpiewem ptaków.

Nie pamiętam zbyt wiele z samej ceremonii zaślubin, poza tym, że w kościele unosiła się mocna woń kwiatów, których barwy pięknie współgrały z liliowym odcieniem sukni moich druzhen. Bill stał przy ołtarzu, nieskazitelnie ubrany w galowy mundur Pułku Kenijskiego, z zawieszonym na piersi Krzyżem Wojskowym na biało-fioletowej wstążce. Odechnęłam z ulgą, że zdołał złożyć przysięgę małżeńską z kamienną twarzą, bo w oficjalnych okolicznościach miał skłonność do wybuchania niepowstrzymanym śmiechem. Idąc z Billem pod rękę od ołtarza, pomyślałam sobie: jestem teraz panią Frankową Williamową Woodley.

Kiedy dotarliśmy z powrotem na farmę, rodzina i przyjaciele otoczyli nas kręgiem – wznosili toasty, wymieniali uściski, dzieląc się pomysłami na prowadzenie gospodarstwa i zapatrywaniem na politykę, chwając się dorastającymi dziećmi – zwłaszcza pannami i kawalerami na wydaniu. Matka dała z siebie wszystko, żeby dogodzić podniebieniom gości, co w połączeniu z nieograniczonym dostępem do musującego wina sprawiło, że wszyscy poczuli się najedzeni i napojeni do syta. Bill i mój brat Peter wygłosili piękne przemowy, a potem pokroiliśmy wspaniałą tort, zwieńczony porcją lodów w kształcie góry Kenia. Przyjęliśmy w ogrodzie co najmniej 375 gości i z każdym oboje próbowaliśmy zamienić choć słowo. Najlepiej jednak bawiła się babcia Chart. Ośmielona winem, nagadała się chyba jak nigdy w życiu, z zapalem racząc gości rodzinnymi plotkami.

Zanim zapadł zmierzch, wymknęłam się z przyjęcia, żeby przygotować do odjazdu. Podróżowanie nocą nie było bezpieczne z powodu ataków Mau Mau. Wybieraliśmy się naj-

pierw do Brown Trout, osady turystycznej na wyżynie Kinangop; miesiąc miodowy zamierzaliśmy spędzić w Anglii. Przebierając się w dwuczęściowy kostium podróżny w kolorze świeżych truskawek, zadumałam się nad zmianą, jaką wprowadziła w moje życie cienka złota obrączka. Za chwilę miałam opuścić ten piękny dom, który zawsze był moim schronieniem. Wreszcie do mnie dotarło, jak bardzo będzie mi brakować ciepła, poczucia bezpieczeństwa i miłości mojej troskliwej, zżytej ze sobą rodziny, nie wspominając już o zwierzętach, które tak wiele dla mnie znaczyły. Szczerze powiedziaławszy, trochę się bałam, co przyniesie los – zarówno tej nocy, jak i przez resztę mojego życia z Billem. Skończyłam zaledwie dziewiętnaście lat. Dopiero z dzisiejszej perspektywy potrafię dostrzec swą młodość i naiwność. Ilekroć wspominam tamten wieczór, kiedy rozbudzone przedtem nadzieje odrobinę przygasły, uświadamiam sobie, jak byłam wówczas niedoświadczona.

Nasz miesiąc miodowy w Anglii okazał się pamiętnym przeżyciem. Po raz pierwszy podróżowałam do Europy i nie mogłam się doczekać wizyty w kraju swoich przodków. Popłynęliśmy parowcem „Kenya”. Podczas rejsu kupiłam sznur pereł hodowlanych – za pieniądze, którymi ojciec obdarował mnie hojnie w dniu ślubu. Uwielbiałam biżuterię od dziecka, odkąd zaczęłam się mościć na łóżku babci Webb, wystrojona od stóp do głów w jej bransoletki i naszyjniki. Do dziś przechowuję te perły. Po przybyciu do Anglii obejrzeliśmy większość atrakcji turystycznych w Londynie, po czym ruszyliśmy w kierunku Szkocji, odwiedzając po drodze niezliczoną liczbę starszawych ciotek Billa i ich potomstwo. Zboczyliśmy z trasy do Lincolnshire, żeby zobaczyć Sleaford, rodzinny dom dziadka Webba. W Yorku spotkaliśmy ducha – tym razem żadnego z krewnych Billa, tylko sobowótora Robin Hooda, który przysiadł na stołku w bibliotece. Miał na sobie staromodne zielone rajtuzy i miękką wysoką czapkę z długim piórem. Wyglądał tak prawdziwie, że uznaliśmy go za kolejny wabik na turystów. Dopiero nazajutrz, kiedy przeczytaliśmy w gazecie o duchu, który zawsze w ten dzień nawiedza bibliotekę i do złudzenia przypomina Robin Hooda, naszyły nas wątpliwości, kogo naprawdę widzieliśmy.

Wróciliśmy wypoczęci i w doskonałych nastrojach, mając poczucie, że udało nam się zobaczyć kawałek świata. Zamieszkaliśmy w małym wynajętym bungalowie nieopodal Głównej Kwatery Polowej Dowództwa Pułku Kenijskiego w Magurze, na przedmieściach Nairobi. W Kenii wciąż obowiązywał stan wyjątkowy: ataki Mau Mau przybrały jeszcze na sile, odkąd aresztowano Jomo Kenyattę. Choć Brytyjczycy próbowali za wszelką cenę zdławić powstanie, bojownicy Mau Mau konsekwentnie prowadzili działania partyzanckie, a uzbrojeni po zęby członkowie plemienia Kikuju wciąż dopuszczali się okrutnych mordów, siali zamęt i urządzali kolejne ceremonie zaprzysiężenia. Bill i jego towarzysze kontynuowali z narażeniem życia swoje tajne misje, zapuszczając się daleko w głąb puszczy w poszukiwaniu kryjówek Mau Mau. Dobrze znali teren i miejscową ludność, umieli się poruszać w gęstym lesie i ich wypadki na wroga były skuteczne.

Bill sprowadzał wziętych w niewolę powstańców do naszego wynajętego domu, który dzieliliśmy z innym młodym oficerem, Francisem Erskine'em. Obowiązki służbowe Billa narażały nas na ryzyko napaści Mau Mau, więc musieliśmy się przyzwyczaić do nieustannej

obecności strażników, pełniących wartę po obu stronach bungalowu. Po zapadnięciu zmroku Bill i Francis przebierali się w nadjedzone przez mole płaszcze lub skóry zwierząt, zakładali kominiarki, smarowali się węglem drzewnym i nacierali krowim łajnem, żeby zabić zdradliwą woń mydła. Mau Mau wyczuwali ją natychmiast: półdziki tryb życia wyostrzył ich instynkt i zmysły.

Bill i Francis działali w grupie specjalnie wybranych mężczyzn, między innymi z plemienia nielegalnych łowców słoni Waliangulu, których mój mąż ściągnął z terenów sąsiadujących z Tsavo i zatrudnił jako przewodników. Bill darzył wielkim szacunkiem tych wytrawnych znawców buszu, którzy równie umiejętnie prowadzili ludzi przez las, jak tropili dikdiki na sawannie. Ważną rolę w jego drużynie odgrywali też odszczepieńcy od ruchu Mau Mau, którzy okazali się cennymi informatorami. Doskonale znali puszcę – każdą ścieżynę i polanę, każdy wąwóz i kryjówkę powstańców, miejsca, gdzie odbywały się tajne zaprzysiężenia, wydrążone pnie w lesie, gdzie dowódcy rebeliantów wymieniali się wiadomościami. Przede wszystkim jednak znali sekretne sygnały i zawołania Mau Mau: kij wbity w ścieżkę pod umówionym kątem; porzucony na drodze liść konkretnego drzewa; skręcony pęd rośliny, jeden lub dwa kamienie – wszystko to niosło z sobą zaszyfrowaną treść, podobnie jak rozmaite dźwięki, które niewtajemniczony mógł uznać po prostu za śpiew ptaka lub odgłos jakiegoś innego zwierzęcia. Dezerterzy z Mau Mau przyczynili się najbardziej do rozbitcia leśnego ruchu oporu.

Praca Billa polegała głównie na urządzaniu nocnych wypadów na okoliczne tereny plemienne, czasem jednak opuszczał dom na dłużej, kiedy musiał zapuścić się ze swoją drużyną w głąb lasów Aberdare i na górskie stopy. Rebelianci Mau Mau chowali się tam najskuteczniej, a Bill i jego ludzie spędzali mnóstwo czasu na tropieniu wroga, czołgając się często na oślep, przemoczeni do suchej nitki, podrapani i okrwawieni, z nerwami jak postronki, bo w każdej chwili mogli wpaść w zasadzkę powstańców lub narazić się na atak dzikiego drapieżcy. Bombardowania domniemanych kryjówek ruchu oporu – prowadzone przez siły bezpieczeństwa z lancasterów używanych podczas II wojny światowej – weszły właśnie w fazę kulminacyjną. Nieszczęsne zwierzęta z gór Aberdare, często poranione odłamkami szrapneli i oszalałe ze strachu, stawały się coraz bardziej niebezpieczne, szarżując na wszystko, co się rusza. Małeńkie buszboki i antylopy suni na sam dźwięk nadlatującego lancastera zrywały się do panicznej ucieczki przez leśne poszycie, rozpaczliwie szukając schronienia. Przerażone mały skakały z drzewa na drzewo, zbijając się w ciasne grupki.

Powstańcy Mau Mau zaszywali się w doskonale zamaskowanych kryjówekach, umiejętnie kleconych z bambusa, wyposażonych w ławy z pni drzew, legowiska ze skór zwierzęcych i kilka wyjść, umożliwiających szybką ucieczkę. Wiele takich szałasów miało nawet dostęp do bieżącej wody, doprowadzanej bambusowymi rurami z okolicznych źródeł i strumieni. Trafiały się też schronienia z gałęzi krytych skórą i „dakki” – ziemianki z tak zmyślnie ukrytym włazem, że z zewnątrz można je było rozpoznać tylko po otworze wentylacyjnym rozmiarów niewielkiej monety. Tropienie kryjówek wymagało wprawy, której Bill nabywał podczas kolejnych wypadów. Opowiadał mi, jak zacierał własne ślady, prze-

nosząc cały ciężar ciała na krawędź stopy, żeby nie dotknąć podłoża piętą ani palcami. Wspominał też, jak usztywniał złamane pędy roślin, przedzierając się przez las zniszczony bombardowaniem.

O bliskości kryjówki mógł świadczyć zapach skór zwierzęcych. Przywódcy Mau Mau nosili futrzane czapy, ich porucznicy – skórzaną odzież i przepaski na ramię. Kamizelki szyto przeważnie z miękkich skór drobnych zwierząt leśnych – góralców drzewnych, wieńców i antylop suni – i noszono sierścią do wewnątrz, żeby dawały jak najwięcej ciepła. Cięższe skóry elandów i buszoków służyły do wyrobu wierzchniej odzieży. Rzeź tych bezbronych stworzeń przybierała zastraszające rozmiary: żeby uszyć jedną kamizelkę, trzeba było zabić trzydzieści do czterdziestu góralców lub suni, a wielkie karossy, czyli pledy z futra, zszywano z przeszło stu skórek.

Infiltrowanie tych band wiązało się z ogromnym niebezpieczeństwem. Zdawałam sobie sprawę, na co naraża się Bill. Martwiłam się tym bardziej, że obaj z Francisem postawili sobie za punkt honoru schwytać najważniejszych przywódców ruchu Mau Mau, między innymi Dedana Kimathi, który był postacią legendarną, symbolem walki o wolność i pogromcą oskarżanych o zdradę lojalistów. Nieuchwytny i przebiegły, wymykał się wszystkim, choćby najsprawniej zorganizowanym pościgom. Każdy powrót Billa przyjmowałam z ogromną ulgą.

Mniej więcej rok po ślubie zorientowałam się, że jestem w ciąży. Miałam zaledwie dwadzieścia lat. Perspektywa macierzyństwa wydawała mi się tak nierealna, że wprost nie mogłam w to uwierzyć. Poranne torsje i rosnący brzuch pomogły mi wprawdzie odzyskać poczucie rzeczywistości, przerażała mnie jednak myśl o trudach porodu i obezwładniała świadomość, że zostanę matką, zanim skończę dwadzieścia jeden lat. Marzyłam, by cofnąć czas i żyć równie beztrosko, jak moi rówieśnicy. Tymczasem dopadła mnie ponura prawda, że jestem pionierką w tym pokoleniu – pierwsza wyszłam za mąż i pierwsza urodzę dziecko. W głębi duszy byłam rozczarowana małżeństwem, a zwłaszcza naszym wspólnym życiem, które znacznie odbiegało od dziewczęcych wyobrażeń, zaczerpniętych z lektury romansów. Na szal miłosnych uniesień musiałam jeszcze poczekać.

W styczniu 1955 roku, kiedy zbliżało się rozwiązanie, Bill zabrał mnie na farmę, żebym trochę odpoczęła. Im bliżej porodu, tym bardziej potrzebowałam wsparcia matki. Po drodze do Gilgilu Bill musiał zwołać część swojej jednostki w Ol Kalou, żeby złożyć raport z kilku działań operacyjnych. Mój mąż wszędzie się spóźniał i przeważnie zbierał się cały dzień do odjazdu. I tak byłam już podenerwowana, bo w okolicy toczyły się zacięte walki z partyzantami, zwłaszcza pod osłoną nocy, kiedy leśne bandy wychodziły z kryjówek i siały postrach. W tropikach noc zapada raptownie. Wkrótce Bill musiał włączyć światła w samochodzie. Ogarnęło mnie gwałtowne poczucie zagrożenia. Prawie zaniemówiłam ze strachu, wpatrywałam się bacznie w pobocza i próbowałam wychwycić choćby najlżejsze sygnały zbliżającego się niebezpieczeństwa. Po kilku kilometrach, które dłużyły się w nieskończoność, zryta koleinami żwirowa droga skręciła ostro w kierunku strumienia. Bill natychmiast zwolnił, żeby przejechać po chybottliwym moście z desek. Kiedy dodał gazu, na

przeciwnym brzegu zamajaczyły jakieś cienie.

Zaczął się piekło. Rozległ się przeraźliwy wrzask. W światłach reflektorów dostrześliśmy bandę rozszalałych tubylców odzianych w skóry, sunących prosto na nas w ogłuszającym zgiewku wściekłych okrzyków. Część była uzbrojona w maczety, część rzucała kamieniami, jeszcze inni prowadzili ostrzał z ukrycia, miotając kule, kamienne pociski i baryłki z płonąca benzyna, które trafiały w samochód z niepokojącym impetem. Miałam wrażenie, że dźwięki dobiegają z oddali, nawet grad spadających pocisków brzmiał jakoś nierealnie. Jakby czas stanął w miejscu, jakbym obserwowała to wszystko z dystansu. O dziwo, panika odeszła, choć oczywiście zdawałam sobie sprawę, że wpadliśmy w poważne tarapaty. Bill zdążył już nawyknąć do takich sytuacji. Wepchnął mi głowę pod deskę rozdzielczą, wyciągnął lugera, wcisnął gaz do oporu i zachował się jak prawdziwy mistrz kierownicy, prowadząc wóz prosto w barykadę i strzelając do napastników przez otwarte okna. Samochód podskakiwał na wybojach, wychylał się na boki, miażdżył z chrzęstem zapory na drodze, na krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę buksował przed wielkim głazem, po czym szczęśliwie sforsował przeszkodę, umykając napastnikom dosłownie o włos.

W tamtej chwili spojrzałam na Billa zupełnie innymi oczami, jak na bohatera kina akcji, który ostrzeliwuje się z pędzącego samochodu, zachowując niewzruszony spokój, i w bravurowym akcie odwagi ratuje życie sobie, swojej żonie i nienarodzonemu dziecku. Rzucające się w brzuchu maleństwo wyrwało mnie z odrętwienia i zalało falą adrenaliny. Bill chwycił mnie za rękę i mocno przytrzymał, kierując się wprost na posterunek policji w Ol Kalou, żeby złożyć raport o incydencie. Funkcjonariusze zwrócili uwagę na pocisk, który utkwiał w ramie przedniej szyby po stronie Billa. Uświadomiłam sobie, że otarliśmy się o śmierć. Podziękowałam Bogu, że mam tak dzielnego męża. Roztrzęsiona, znalazłam się wreszcie w zaciszu rodzinnego domu. Matka otuliła mnie szczelnie kocem i zaprowadziła do pokoju wypełnionego zapachem róż. Padłam na łóżko zalana łzami ulgi, że wszystko się dobrze skończyło.

Nasza córeczka Gillian Sala Ellen przyszła na świat 26 stycznia 1955 roku, dwa tygodnie po terminie, ale bez żadnych komplikacji. Pamiętam, że po porodzie chciałam mieć święty spokój, zaszyć się w norze jak zwierzę, z dala od wszelkich hałasów i pouczeń. Imiona wybraliśmy starannie – Gillian, bo nam się podobało, poza tym można je było zdrobnić na Jill i tak się istotnie przyjęło; Sala od nazwy małego, stożkowatego wzgórza w Tsavo albo od słowa używanego przez plemię Mliangulu na określenie oryksa; Ellen po obydwu prababkach, Webb i Chart. Moja siostra Sheila nie była tym zachwycona, najwyraźniej upatrzyła sobie imię Jill dla swojej pierworodnej. Wyszła w końcu za mąż za Jima Wrena, z którym chodziła w czasach kursu w YWCA; byłam w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby zostać druha na jej ślubie. Ich pierwsze dziecko okazało się chłopcem, więc Sheila i tak nie mogła dać mu na imię Jill.

Miałam kłopot z przystosowaniem się do macierzyństwa, które kojarzyło mi się z wiecznie opuchniętymi, bolesnymi, wezbranymi mlekiem piersiami, rozpaczą z powodu obwisłego brzucha, udręką nieprzespanych nocy i ciągłą zazdrością o innych, którzy mieli

więcej swobody niż ja. Próby naturalnego karmienia Jill często kończyły się fiaskiem, miała zaburzony odruch ssania, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że coś jest z nią nie tak. Matka przekonywała mnie łagodnie, że dzieci są prawdziwym błogosławieństwem, że obie z Jill jesteśmy całe i zdrowe, i to już jest powód do szczęścia, że nie powinnam mieć do nikogo pretensji, bo sama chciałam wyjść za mąż. Przywołana do porządku, zawstydzona samolubstwem, które świadczyło przede wszystkim o mojej niedojrzałości, i podniesiona na duchu przez lekarza, który zapewnił, że Jill nic nie dolega – przestałam się nad sobą uzalać. „Dzieci przynoszą ze sobą miłość” – mawiała matka i już wkrótce się przekonałam, że miała rację. Świeżo zadzierzgnięta więź okazała się mocna i trwała, złączyła nas na całe życie.

W połowie lat pięćdziesiątych zaczęto znosić stan wyjątkowy. Szacowano, że w lasach Aberdare ukrywa się jeszcze około półtora tysiąca najzagorzalszych partyzantów Mau Mau, misję „czyszczenia terenu” powierzono jednak policji, dzięki czemu Bill mógł wrócić do cywila. Był wprawdzie zawiedziony, że nie udało mu się pojmać nieuchwytnego Dedana Kimathi, ale nabyte w lesie umiejętności przydały mu się w tropieniu kłusowników, którzy okazali się plagą nowo powstałego Parku Narodowego Tsavo. David Sheldrick niecierpliwie wyglądał powrotu Billa. Wzdragałam się na myśl, że moje dziecko będzie dorastać w miejscu nękanym przez malarię, rojącym się od skorpionów, włochatych pajaków ptaszników, śmiercionośnych węży i mnóstwa innych jadowitych stworzeń. Czułam, że prowadzenie domu w tych warunkach będzie co najmniej trudne. Produkty niedostępne w indyjskich dukach w Voi musiałabym zamawiać aż w Nairobi i odbierać co tydzień z pociągu na „naszej” stacji kolejowej.

Nie byłam też pewna, czy się dogadam z dość nieprzewidywalną grupką miejscowych strażników, o których tyle się nasłuchiwałam od Billa – zwłaszcza z jego szefem, którego się bałam jak ognia. Widziałam się tylko raz z Davidem Sheldrickiem, cztery lata wcześniej, kiedy miałam zaledwie siedemnaście lat. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Nigdy przedtem nie byłam w Tsavo East. Bill zabrał mnie na Mudanda Rock, wspaniały punkt widokowy, skąd obserwowaliśmy stada słońi u wodopoju, podpatrując ich wzajemne relacje i zabawy w sadzawce pod wielkim występem skalnym. Tamtego dnia mogliśmy podziwiać nie tylko setki słońi, ale też ekipę filmową, zajęłą kręceniem scen do dramatu przygodowego *Where No Vultures Fly*. David był w towarzystwie gwiazdorów, Anthony’ego Steela i Dinah Sheridan. Zanim podeszliśmy na skałę, dał nam znak, że kamera pracuje i mamy być cicho. Wgramoliliśmy się na sam szczyt, usiedliśmy w bezpiecznej odległości i wkrótce byliśmy już całkiem pochłonięci oglądaniem planu filmowego. Bill, który nigdy nie odmawiał sobie popołudniowej herbaty, wziął na wycieczkę rondelki i bez uprzedzenia postawił go koło mnie. Kiedy się obróciłam, żeby lepiej się czemuś przyjrzeć, strąciłam go ze skały; nabrał rozpędu, brzęknął o kamień z łomotem słyszalnym w promieniu kilku kilometrów, po czym wpadł z pluskiem do sadzawki.

Na chwilę zapadła cisza tak głęboka, że aż dzwoniła w uszach. Słońie zamarły, zaniepokojone odchyliły uszy na boki, po czym rzuciły się do ucieczki. Znikły tak raptownie, że

ich niedawna obecność mogła się wydać złudzeniem. Stado ulotniło się bezszelestnie, zostawiwszy po sobie tylko kłęb czerwonego pyłu. Ekipa przestała kręcić, aktorzy przestali grać. Kiedy wszyscy spojrzeli na mnie z niedowierzaniem, czas jakby stanął w miejscu. Chciałam się zapuć pod ziemię ze wstydu.

David wspiął się do nas na górę, a Bill zaczął mu przedstawiać wszystkich po kolei. Na koniec wymamrotał spłoszony: „Eee, tego, to jest Daphne”. Zakłopotana i zbita z tropu, przekonałam się, że David wyciąga rękę. Był wysoki i miał piękne ciemnoniebieskie oczy, w których dostrzegłam zainteresowanie przemieszane z rozbawieniem. Długich i gęstych rzęs mogła mu pozazdrościć niejedna dziewczyna. Miał mocny uścisk dłoni i kształtne nogi, obute w sandały zwane chupli. Kurtka safari leżała na nim jak ulał. Roztaczał wokół siebie tyleż nieuchwytną, co przemożną aurę autorytetu.

Teraz miałam już dwadzieścia jeden lat, byłam mężatką i niedawno urodziłam dziecko. Pod pewnymi względami dojrzałam, a mimo to po przyjeździe do świeżo wybudowanej siedziby dyrekcji parku u podnóża góry Mazinga zapomniałam języka w gębie, kiedy David wyszedł mi na powitanie. Wyjął z samochodu nosidełko z Jill i zaprowadził mnie do swojego domu, oznajmiwszy, że u nas trzeba zrobić remont i na razie będziemy jego gośćmi. Nie śpieszył się z odnawianiem naszego bungalowu: uznał, że wybór kolorów i elementów wykończenia powinien należeć do mnie. Ulokowałam Jill w rogu długiej werandy przy skrzydle gościnnym i zabrałam się do rozpakowywania naszych rzeczy, tymczasem David oprowadził Billa po okolicy, żeby mu pokazać, ile się zmieniło pod jego czteroletnią nieobecność. Byłam zdziwiona, że nigdzie nie widać Diany, żony Davida. Bardzo chciałam ją poznać. Dopiero później dowiedziałam się od Billa, że zmiany zaszły nie tylko w infrastrukturze parkowej. David był od niedawna w separacji z żoną, która zabrała ze sobą dwójkę ich dzieci.

Tamtego wieczoru przy kolacji David i Bill wspólnie roztrząsali kwestie zarządzania Tsavo. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że nadzór nad rozległym i nie do końca poznanym obszarem oraz budowa niezbędnej infrastruktury parkowej na powierzchni ponad dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych – równej terytorium Walii, Izraela albo stanu Michigan – okaże się przedsięwzięciem tak skomplikowanym logistycznie. Tsavo było zdecydowanie największym parkiem narodowym w Kenii, a przy tym najbardziej odległym od cywilizacji, pełnym białych plam na mapie i wciąż dziewiczym – niezamieszkanym i unikany przez wszystkich, z wyjątkiem band zawodowych kłusowników, polujących na kość słoniową i rogi nosorożców. Żaden park w kraju nie borykał się z tyloma kłopotami. David musiał walczyć jak lew o rozsądne dotacje na rozwój działalności. Tsavo stanowiło w zasadzie jedyny duży obszar w Kenii, który rząd kolonialny mógł przeznaczyć pod ochronę przyrody bez potrzeby zaspokajania roszczeń gruntowych ludności, a mimo to traktował park jak Kopciuszkę. David mówił rzeczowo i z pasją o palącej konieczności rozwiązania problemu kłusownictwa i ukrócenia haniebnego procederu wybijania słoni i nosorożców w okresie rozmnażania i wychowu młodych. Przedstawił zatrważające wyliczenia strat w faunie, sporządzone przez swoich pracowników. „Jeśli nie położymy kresu tej

rzezi, wkrótce nie będzie tu czego chronić” – powiedział.

Nazajutrz o świcie zbudził mnie chór małych frankolinów, ożywiając dawne wspomnienia z obozowiska w Selengai. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam młodego buszboka, pasącego się wśród kwiatów na tarasach ogrodu Davida. Dwa słońtka o uszach jak talerze splotły się trąbami i urządziły sobie zapasy. Od razu poprawił mi się humor: byłam gotowa rozpocząć nowe życie. Później się dowiedziałam, że buszbok jest sierotą, ochrzczonym przez Davida imieniem Bushey. Samson i Fatuma były pierwszymi osieroconymi słońtami, z jakimi zetknęliśmy się w Kenii – jeśli nie liczyć maluchów trzymanyh w prowincjonalnych ogrodach zoologicznych. Słynna para wystąpiła już w tygodniku „East African Standard” i dołączyła do grona miejscowych celebrytów. Przy śniadaniu spytałam Davida, w jakich okolicznościach uratowano słońtka i jak przebiegło ich „poskramianie”. Samson, dwuletni samiec, przysparzał najwięcej problemów. David zaprowadził go do stajni i za każdym razem, kiedy Samson próbował szarżować, walił go pięścią w trąbę, zmuszając do wycofania się w kąt boksu. Potem przemawiał do niego łagodnie, proponując mu zawieszenie broni, które kończyło się w chwili kolejnej szarży. Samson, karcony konsekwentnie za każdą próbę agresji, doszedł wreszcie do wniosku, że nie opłaca się walczyć z tym dziwnym stworem, który nijak nie daje się nastraszyć. Jeszcze tego samego popołudnia uspokoił się zupełnie, przestał sprawiać kłopoty w obsłudze i nawiązał szczególną więź z Davidem. Słonica Fatuma, zaatakowana niedawno przez lwa, nie miała nic przeciwko temu, żeby David przemył i opatrzył jej rany. Dzielnie zniosła ból, w pełni świadoma, że opiekun chce jej pomóc.

Opowieści Davida, który z takim zrozumieniem i współczuciem mówił o swoich słońiach, wywarły na mnie ogromne wrażenie. Zdumiało mnie, że ten niezłomny maczo ma w sobie tyle wrażliwości, nieczęstej wśród ówczesnych mężczyzn, którzy odnosili się do dzikich zwierząt bez żadnych sentymentów. David był kiedyś zawodowym myśliwym i z pewnością ustrzelił mnóstwo trofeów, czułam jednak, że zabijanie nie sprawiało mu przyjemności. Miał wielki szacunek dla życia i pełen empatii stosunek do zwierząt. Olśniło mnie, jak wiele mogę się od niego nauczyć, zwłaszcza o słońiach. Sposób, w jaki mówił o Samsonie i Fatumie, utwierdził mnie w przekonaniu, że powinnam czym prędzej skorzystać z jego wiedzy.

Najpierw jednak chciałam zobaczyć nasz nowy dom i zwiedzić siedzibę władz parku, gdzie praca paliła się ludziom w rękach: stolarze toczyli ozdobne drogowskazy z drewna cedrowego i zbijali meble do wyposażenia bungalowów; zmodyfikowana przez Davida prasa hydrauliczna tłoczyła *pilipili hoho* – ostry sos chili, podawany do wszystkich posiłków, który palił język jak ogień; w doskonale wyposażonych warsztatach mechanicznych naprawiano parkowe samochody i ciężki sprzęt budowlany; potężna tokarka, którą tylko David umiał obsługiwać, przerabiała złom na śruby, wały i inne części zamienne. David szkolił wszystkich pracowników parku, szczególnie stróżów leśnych, na których spoczywał obowiązek ścigania kłusowników polujących na słonie i nosorożce i troska o bezpieczeństwo zwierząt.

Na pierwszy rzut oka mój nowy dom nie wyglądał zachęcająco: tuż przy wejściu wznosił się ogromny kopiec czerwonych mrówek – idealne schronienie dla węży i wszelkiego robactwa – otoczony nieprzebytym gąszczem sansewierii, z których otrzymywano włókna podobne do sizalu. Za nimi rosły sędziwe balsamowce, niewielkie drzewa zrzucające liście w porze suchej, o płtykich korzeniach i poskręcanych kolczastych gałęziach, w których z pewnością czaiły się słonie, bawoły i osławione lwy ludojady z Tsavo. Dom był skromny i niepozorny, najbardziej jednak przygnębił mnie brak ogrodu. Odwróciłam wzrok, nie chcąc krępować naszego gospodarza, ale David z miejsca zaczął mnie uspokajać: „Nie martw się, Daphne. Wszystkiemu da się zaradzić”.

I dotrzymał obietnicy – nazajutrz przyjechał traktor, żeby zniwelować mrowisko i wykarczować busz. Murarze zabrali się do budowy tarasów ogrodowych, stolarze zamocowali półki, malarze pomalowali ściany na wybrany przeze mnie kolor kremowy. Przez kilka następnych tygodni dzieliłam czas między opiekę nad wyjątkowo marudną Jill, która musiała się przyzwyczaić do tutejszych upałów, szycie zasłon i rozpakowywanie naszych rzeczy. David przysłał ogrodnika, żeby założył nam trawnik na górnym tarasie. Osobiście dopilnował instalacji poidelka dla ptaków, które okazało się jednym z piękniejszych elementów wystroju ogrodu. Kiedy uznałam, że wszystko jest jak należy, zaprosiliśmy Davida na kolację. Rozejrzał się po salonie i spytał: „No i co? Już zadowolona?”. Zapewniłam go, że tak, i dodałam: „Myślę, że pokocham życie w Tsavo”. Popatrzył na mnie badawczo i odparł szeptem: „Mam taką nadzieję. Moja żona znenawidziła je z całego serca”.

Złowieszcze słowa. A mimo to naprawdę pokochałam Tsavo. Co rano rzucało na mnie subtelny urok: słońce wstawało znad horyzontu kulą ognistego szkarłatu, oblewając ciepłym blaskiem bezkresny, tajemniczy pejzaż. Dałam się uwieść ogromnym przestrzeniom, kryjącym niezmiernie bogactwo dzikiej przyrody.

Z biegiem lat wyszło na jaw, że zakochałam się nie tylko w tutejszym pejzażu.

5. ZAKOCHANIE

Brak słów, by opisać ukrytą duszę dzikiej przyrody, odsłonić jej tajemnicę, odkryć jej melancholię i wdzięk. Twarde życie na otwartej przestrzeni daje prawdziwą rozkosz. [...] Do tego jeszcze nieodparty powab zacisznych miejsc, wielkiego tropikalnego księżycza i nowych, pełnych blasku gwiazd; piękno rozległych pustkowi, gdzie wędrowiec podziwia zapierający dech w piersi majestat wschodów i zachodów słońca, ziem nietkniętych przez człowieka, zmieniających się niepostrzeżenie z biegiem stuleci, które i tak są niczym wobec wieczności.
Theodore Roosevelt, *African Game Trails* [Tropem afrykańskiej zwierzyny]

Ponieważ byłam biegłą stenotypistką i miałam wykształcenie bibliotekarskie, zaproponowałam Davidowi, że pomogę mu w biurze. W czasie wolnym od opieki nad Jill, prowadzenia domu oraz upiększania ogrodu nasionami i sadzonkami przysłanymi przez matkę, poświęcałam się pracy na rzecz parku. Bardzo mi odpowiadało, że znalazłam się w samym środku tej krzątaniny. Dzieliłam z Davidem jedyne biuro w siedzibie władz parkowych. W naszym gabinecie wrzało jak w ulu, radiowęzeł brzęczał na okrągło, przekazując komunikaty straży z najdalszych zakątków. Kiedy zainicjowana przez Davida kampania przeciw kłusownikom weszła w decydującą fazę, zajęłam się uaktualnianiem „galerii łajdaków” – szczegółowej i wyczerpującej kartoteki nielegalnych myśliwych. Stopniowo zaczęłam sobie uświadamiać skalę tego procederu. Podczas patroli Bill znajdował odrażające ślady rzezi niemal przy każdym wodopoju – fragmenty czaszek porzucone po wyrwaniu ciosów, opuszczone kryjówki, popioły z ognisk, kości i zmiażdżone kalebasy. Krwawa orgia śmierci trwała w najlepsze.

Misja Davida polegała na zagospodarowywaniu przeszło dwunastu tysięcy kilometrów kwadratowych na wschód od linii kolejowej z Nairobi do Mombasy i przekształceniu tych rozległych, słabo poznanych i niegościnnych ziem w ogólnodostępny, gwarantujący turystom płatną bazę noclegową Park Narodowy Tsavo East. Na pozostałych ośmiu tysiącach kilometrów kwadratowych, po drugiej stronie torów, planowano utworzenie parku Tsavo West. David miał przed sobą niełatwe zadanie. Przy wytyczaniu dróg i ścieżek przez niegościny busz, ciągnący się aż po horyzont i zarośnięty kolczastym poszyciem, można się było urobić po łokcie. W tamtych czasach park nie dysponował ciężkim sprzętem do prac ziemnych; potężne głązy i kikuty drzew usuwano ręcznie, kopiając w spieczonym, twardym jak beton gruncie. Upał był tak nieznośny, że David zarządzał rutynową przerwę między dziesiątą rano a trzecią po południu, pozwalając wyczerpanym robotnikom zalegnąć pokotem w cieniu. Woda – przywożona z bazy w beczkach – była cenniejsza niż złoto i wydzielano ją małymi porcjami, starając się nie uronić ani kropli, bo przez Tsavo East płynęły tylko dwie rzeki stałe. Zarówno Bill, jak i David borykali się z nawracającymi atakami malarii, nie wspominając o ukąszeniach węży i skorpionów oraz szarżach słońi i nosorożców, za-

ciekle broniących swoich rewirów przed człowiekiem.

Północna część parku była trudno dostępna i prowadził do niej tylko jeden szlak, brodem rzeki Galany, dzielącej ten teren na dwie odrębne części. W porze suchej, przy niskiej wodzie, można było oczywiście zebrać się na odwagę, przebrnąć przez płycizny i przepłynąć głębsze odcinki, manewrując między stadami krokodyli i hipopotamów – co strażnicy parkowi robili regularnie podczas patroli. Dotarłszy jednak na drugi brzeg, stawali na połąci ziemi jałowej, która okazywała się równie trudną przeszkodą. Najbliższym i w dodatku niepewnym źródłem wody pitnej była sezonowa rzeka Tiva, odległa o prawie sto kilometrów. Podczas dwóch pór deszczowych Galana i Tiva występowały z koryt, na kilka miesięcy odcinając cały region od świata. David zdawał sobie sprawę, że trzeba czym prędzej usprawnić przeprawę na północ, rozpoczął więc prace nad konstrukcją olbrzymiej grobli, która miała połączyć brzegi Galany w jej najwęższym odcinku. Wiązało się to z koniecznością zorganizowania kilku wypraw w górę i w dół rzeki, w poszukiwaniu odpowiedniego podłoża. Wreszcie udało się znaleźć miejsce tuż nad Wodospadami Lugarda, gdzie wzburzona Galana wpadała w wąską szczelinę skalną. Budowa trwała cały rok, wliczając w to żmudne rozbijanie kamieni balastowych i denerwujące przestoje podczas wezbrań wody. Wreszcie przez groblę przejechały pierwsze samochody i licząca osiem tysięcy kilometrów kwadratowych północna część parku stała się dostępna. Pół wieku później ta ręcznie wzniesiona konstrukcja wciąż jest najważniejszą przeprawą przez Galanę – żywym świadectwem umiejętności i samozaparcia pierwszych strażników parkowych.

Zagospodarowując tereny parku, David musiał też zadbać o ochronę środowiska naturalnego. Tsavo słynęło z nosorożców czarnych, które występowały tu liczniej niż gdziekolwiek indziej w Afryce, oraz ze słoni o największych ciosach na świecie – olbrzymów o siekaczach ważących ponad pięćdziesiąt kilogramów każdy. Te wspaniałe stworzenia od lat były celem białych myśliwych i miejscowych kłusowników. Szacuje się, że w połowie lat pięćdziesiątych ofiarą nielegalnych polowań padało rokrocznie ponad tysiąc dwieście słoni i kilkaset nosorożców. Kość słoniowa i rogi nosorożców były cennym towarem, sprzedawanym przez kłusowników skorumpowanym pośrednikom z Azji i krajów arabskich, którzy szmuglowali go z wybrzeża na Daleki Wschód, gdzie osiągał zawrotne ceny.

Kość słoniowa zawsze budziła pożądanie. W epoce kamienia wyrabiano z niej narzędzia, wykorzystywano też całe ciosy jako element konstrukcyjny budowli. Uświetniała pałace królów biblijnych, zdobiła przedmioty używane przez starożytnych Greków, Rzymian i Chińczyków. Nie mogłam przeboleć, że ceniono ją równie wysoko w XX wieku, kiedy rozpowszechniły się jej imitacje z tworzyw sztucznych. Trafiała na współczesne rynki zachodnie jako surowiec do wyrobu klawiszy fortepianowych, kul bilardowych, figur szachowych i rzeźb. Na Wschodzie wytwarzano z niej pałeczki do ryżu, bransolety ślubne i pieczęcie, czyli artykuły niekoniecznie pierwszej potrzeby. Są też dowody, że „białe złoto” było najlepszą lokatą kapitału w dobie inflacji i spadku wartości pieniądza papierowego. Rogi nosorożców ceniono na Wschodzie ze względu na rzekome właściwości lecznicze i magiczną moc usuwania najrozmaitszych dolegliwości, począwszy od impotencji i reuma-

tyzmu, skończywszy na gorączce i słabym wzroku. W rzeczywistości róg jest zbudowany z keratyny, która wchodzi też w skład innych wytworów naskórka: zgodnie z tą logiką podobny efekt powinno przynosić zwykłe obgryzanie paznokci.

Kłusownictwo pleniło się w parku na ogromną skalę i David postanowił przeciwdziałać mu za wszelką cenę. Nowo zatrudnieni strażnicy wywodzili się z pokojowo nastawionych plemion i nie palili się do walki z kłusownikami uzbrojonymi w zatrute strzały; obawiali się, że myśliwi wezmą odwet na ich pobratymcach. David słał płomienne apele do Zarządu Parków Narodowych w Nairobi, by przydzielono mu odpowiedni sprzęt i właściwych ludzi, bez których nie zdoła zapanować nad sytuacją. Niezbyt atrakcyjne tereny Tsavo East plasowały się jednak na dole listy priorytetów. David musiał się zadowolić tym, co miał – utworzył piesze patrole z ludzi niedoświadczonych, źle wyposażonych i niechętnych do współpracy.

Za wschodnią granicą parku, na południe od rzeki Galana, rozpościerały się terytoria Waliangulu, ludu myśliwych, dla którego polowanie na słonie były odwiecznym elementem kultury plemiennej. Kiedy sprowadziliśmy się do Tsavo, zasady etyczne Waliangulu, przedtem ściśle przestrzegane, zdewaluowały się pod wpływem wzrostu wartości pieniężnej kości słoniowej. Zwyciężył zgubny duch komercjalizmu. To samo zwierzę, które było niegdyś podstawą utrzymania i fundamentem struktury plemienia, mordowano teraz z chciwości. Jeszcze większym zagrożeniem okazali się myśliwi z ludu Wakamba, zamieszkującego tereny najdalej wysunięte na północ. Wprawdzie nie tak zręczni i nieustraszeni jak Waliangulu, trudnili się jednak kłusownictwem na znacznie szerszą skalę, polując w grupach złożonych nawet z pięćdziesięciu myśliwych. Obydwa plemiona rzadko zapuszczały się na sąsiednie rewiry łowieckie, przestrzegając niepisanego prawa własności z obawy przed zemstą czarowników. W rzeczywistości Waliangulu gardzili Wakamba, górując nad nimi odwagą, umiejętnościami myśliwskimi i znajomością buszu.

I jedni, i drudzy stosowali truciznę do zabijania słoni i nosorożców. Przygotowanie mikstury wymagało dużego doświadczenia i było pilnie strzeżonym sekretem plemienia Giriana – ludu z grupy Bantu, wywodzącego się z wybrzeża Mombasy – które trudniło się wyrobem i sprzedażą. W skład trucizny wchodziły kora i liście wyjątkowo toksycznej rośliny z rodzaju *Acokanthera*, które gotowano w wodzie przez siedem godzin, z dodatkiem kilku innych ingrediencji, odparowując wywar do konsystencji lepkiej, smołowatej mazi. Trucizna zaczynała działać natychmiast po wnikięciu do krwiobiegu, wywołując gwałtowne zaburzenia rytmu serca i w konsekwencji śmierć: w przypadku słonia po kilku godzinach, w przypadku człowieka po kilku zaledwie minutach. Przed wystawieniem mikstury na sprzedaż testowano jej moc i skuteczność na żabach lub jaszczurkach zadraśniętych cierniem zanurzonym w truciźnie albo wstrzykiwano ją w jajko, które rzekomo powinno wybuchnąć. Jeśli sprzedawca nie miał pod ręką jajka ani żywego zwierzęcia, zacinał się nożem w ramię, żeby wywołać upływ krwi, zakraplał w nią odrobinę jadu i sprawdzał, jak szybko czernieje. Na wywar z akokantery nie było żadnego antidotum. Produkcja trucizny przynosiła ogromne zyski.

Jad zapuszczano w grot strzały, po czym zabezpieczano szmatką lub kawałkiem skóry. Trafiając w cel, grot oddzielał się od promienia, zaopatrzonego w lotkę z sępich piór, żeby zwiększyć stabilność lotu pocisku. Odłamany grot wnikał głęboko w ciało zwierzęcia, wprowadzając truciznę. Resztę strzały można było potem wyciągnąć i użyć ponownie. Myśliwi znakowali swoje grot, żeby ustalić, do kogo należy łup – bez względu na to, kto pierwszy wytropił zwierzynę. Kłusownicy polowali najczęściej z zasadzki, czatując w kryjówce urządzonej przy wodopoju albo na szlaku przemarszu słoni. Wypatrzywszy ofiarę, wypuszczali strzały w dowolną część ciała, unikając jednak zranienia brzucha. Treść żołądka mogła wejść w reakcję z trucizną i osłabić jej działanie. Kolejne strzały, wymierzone w nogi słonia, powodowały natychmiastową kulawiznę i dawały pewność, że ranne zwierzę zdechnie, zanim zdąży się oddalić.

Mięso zwierząt zatrutych wywarem z akokantery nie było skażone i nadawało się do spożycia, zwykle w postaci długich pasków, które myśliwi suszyli potajemnie w buszu. Ze świeżego trupa ciosy wyrąbywano z czaszki toporem. Z nadgniłych zwłok można je było wyciągnąć bez żadnych narzędzi. Potem cięto je na poręczne kawałki albo zakopywano w kryjówkach, żeby zabrać łup przy pierwszej nadarżającej się sposobności, najczęściej na początku pory deszczowej, kiedy łatwiej było zmylić patrole. Jeśli zdobycz okazała się warta dodatkowych nakładów, zatrudniano tragarzy, którzy przynosili ją do obozu lub w umówione miejsce spotkań z handlarzami. Pośrednicy czerpali pokaźne zyski z odsprzedaży towaru pozbawionym skrupułów kupcom z wybrzeża, którzy szmuglowali go statkami dau do krajów Dalekiego Wschodu, gdzie osiągał prawdziwą wartość rynkową.

Śmierć od zatrucia akokantera, zwłaszcza niezbyt świeżą, następuje w długich męczarniach. Niektóre obrazy prześladują mnie do dziś: udręka zdychającej słonicy, otoczonej przez zdenerwowanych pobratymców, którzy rozpaczliwie próbują postawić ją na nogi, podczas gdy jej nowo narodzone dziecko – i tak skazane na śmierć – desperacko ssie pomarszczone, wyschnięte wymię; ranny samiec, który zapuszcza sobie trąbę w przętyk, żeby wyciągnąć wodę z własnego żołądka i spryskać ciało trawione gorączką, stojący bezradnie w palącym słońcu, przerażony, zalewający się „łzami” z gruczołów skroniowych, trzymający w powietrzu monstrualnie opuchniętą stopę, zbyt bolesną, by postawić ją na ziemi; wycieńczone olbrzymy, pokryte ropiejącymi ranami, z których sączy się czarna, zatruta krew; oblepione przez muchy, czołgające się w agonii, okulawione, z każdym stąpieniem cierpiące katusze. David wypowiedział moje myśli na głos: „Chciałbym, żeby ludzie odpowiedzialni za tę rzeź odczuli choć cząstkę bólu, którym słonie zapłaciły za ich błyskotki”. Z trudem znosząc widok udręczonych zwierząt, obserwowałam też katusze Billa i Davida, którzy musieli dobijać śmiertelnie ranne sztuki. Niektóre z nich były tak nafaszerowane trucizną, że miłosierny strzał rozrywał je dosłownie na strzępy.

Dziki zwierzęta ginęły nie tylko od zatrutych strzał. Na rzece Galana znajdowano podwójne haki z nawleczonym na przynętę mięsem, zwisające z grubych stalowych lin zamocowanych na drzewach. Kłusownicy używali ich do polowań na krokodyle, żeby wyciągnąć je z wody i zatłuc na śmierć. Po drugiej stronie parku zwierzyna masowo wpadała

w pułapki zastawiane przez mężczyzn z plemienia Wateita. Zmyślnie zakamuflowane doły miewały do czterech metrów długości, około metra szerokości i do trzech metrów głębokości. Kopano je wzdłuż uczęszczanych szlaków przemarszu zwierząt, obramowując ścieżkę na odcinku kilku kilometrów szpalerem ze skośnie ustawionych gałęzi, żeby wpędzić ofiary wprost w matnię. Czasem zatrudniano naganiaczy, którzy mieli skierować zwierzęta w odpowiednią stronę. Kłusownicy z rolniczego ludu Wateita nieczęsto sprawdzali doły. Nie mieli żyłki myśliwskiej i woleli poczekać, aż zwierzę samo umrze z pragnienia, a w najgorszym razie dobijali je włócznią. Bill odkrył kiedyś ciąg takich dołów długości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów. Kolejną popularną metodą stosowaną przez kłusowników było zastawianie drucianych wnyków, mocowanych do drzew i krzewów, czasem tak wysoko, że w pętlę mogła się złapać nawet żyrafa. Kiedy zwierzę wdepnęło we wnyki albo włożyło głowę w pętlę, przy każdym jego ruchu drut się zaciskał i wrzynał coraz głębiej w ciało. Rosłe słonie i nosorożce przeważnie potrafiły wyrwać się na wolność, ale i tak ginęły w męczarniach, jeśli w rany na szyi i kończynach wdało się zakażenie.

Na samym początku zwalczano kłusownictwo z sieci posterunków rozmieszczonych w strategicznych punktach Tsavo, system okazał się jednak mało skuteczny – wielu strażników było w zмовie z łamiącymi prawo pobratymcami. Kiedy David znalazł dwa trupy słoni przy drodze do bramy Sala – około stu dziesięciu kilometrów od siedziby dyrekcji parku w Voi – nieopodal bazy strażników zasłaniających się niewiedzą o incydencie, zrozumiał, że musi zmienić strategię. Postanowił skorzystać ze swoich doświadczeń wojskowych i wyszkolić paramilitarne oddziały manewrowe. Ściągnął w tym celu pewnego Somalijszczyka, byłego starszego sierżanta King's African Rifles, oraz innego starego wiarusa, który służył pod jego komendą w Abisynii i Birmie. Tymczasem Bill został oddelegowany w głąb Kenii, żeby sformować nowy oddział z odważnych i obdarzonych nieomylnym instynktem mężczyzn z plemion Turkana, Tamburu, Somali i Orma, które słynęły z doskonałej znajomości buszu. Po przyjeździe na miejsce sprawiali wrażenie dość przypadkowej zbieraniny rekrutów – żaden nie mówił w suahili, a z ich zdumionych spojrzeń można było wnioskować, że nie mieli przedtem do czynienia ze światem zewnętrznym. Ze sposobu, w jaki gapili się na mnie, wyszło też na jaw, że nie widzieli dotąd białej kobiety. O dziwo, po trzech miesiącach intensywnego szkolenia wojskowego, nauki musztry i strzelania do celu półdzicy tubylcy stworzyli zwartą i zdyscyplinowaną drużynę, którą David nazwał Oddziałem Polowym. Byli już gotowi do wyjścia w teren i stali się załączkiem wyjątkowo skutecznej jednostki do walki z kłusownikami, która posłużyła za wzór dla wszystkich straży parkowych w Afryce Wschodniej.

Oddział Polowy uporał się doraźnie z problemem kłusownictwa, ale na przyszłość trzeba było poszukać innych rozwiązań. Karząca ręka sprawiedliwości powinna dosięgnąć kłusowników również poza granicami parku, jeśli zdołali zbiec z łupem. Należało też czym prędzej rozprawić się ze złowrogą siatką pośredników, zarówno w terenie, jak i na wybrzeżu. Po długich rozmowach i uporczywych zmaganiach z biurokracją w Nairobi udało się dojść do porozumienia, że prawo ścigania nielegalnych łowców, do tej pory zastrzeżo-

ne dla policji i funkcjonariuszy rządowego Departamentu Myślistwa, zostanie rozszerzone na strażników Oddziału Polowego, którzy będą mogli aresztować kłusowników w ich rodzinnych wioskach – pod warunkiem, że zebrany materiał dowodowy wystarczy do wniesienia aktu oskarżenia. Patrole do walki z kłusownictwem spędzały zwykle wiele tygodni w buszu, więc ścigający i ścigani – naturalną kolejną rzeczą – zawierali dość bliskie znajomości, czasem nawet przyjaźnie, oparte na wzajemnym szacunku i wspólnych zainteresowaniach. Podczas wypraw w teren Bill potrafił godzinami przesiadywać przy ognisku, wdając się w pogawędki z aresztowanymi. Żeby przełamać pierwsze lody, wystarczyło skierować rozmowę na temat słoni: kłusownicy z upodobaniem wspominali swoje potyczki z potężnymi samcami i inne przygody w leśnej głuszy. Stopniowo się odprężali i stawali coraz gadatliwsi, dzięki czemu Bill mógł zyskać wiele cennych informacji do naszej „galerii łajdaków”. Jeśli aresztowany okazywał szczerą chęć współpracy i udostępniał dane ułatwiające pojmanie innych kłusowników, uwalniano go, pod warunkiem, że nie dopuści się kolejnych wykroczeń – czasem nawet werbowano jako płatnego informatora.

Wioska Kisiki-cha-Mzungu, położona na terytorium Waliangulu, mniej więcej trzydziści kilometrów od wschodniej granicy parku, była schronieniem wielu notorycznych kłusowników. Członkowie Oddziału Polowego, wyposażeni w nowe uprawnienia, urządzili kilka nocnych wypadów na okoliczne osady. Podczas jednej z takich eskapad David zlecił swoim ludziom przygotowanie obławy na podejrzanych, sam zaś dotarł do niewielkiego skupiska chat na obrzeżach wioski. Kiedy przystanął, żeby popatrzeć na księżyc, dostrzegł kątem oka mężczyznę, który na jego widok z szacunkiem podniósł się z miejsca. „Jak się nazywasz?” – spytał David. „Jestem Galogalo – Galogalo Kafonde” – padła odpowiedź.

Galogalo Kafonde był najszlachetniejszym ze wszystkich kłusowników Waliangulu – poważanym przez współplemieńców za zgładzenie kilkuset słoni. David był tak zaskoczony, że na chwilę zapomniał języka w gębie. Zarządził przeszukanie wioski i znalazł dwa potężne ciosy, ukryte w pobliskich zaroślach. Galogalo został natychmiast aresztowany. Podczas przesłuchania wyjawiał, że jego czterej synowie zapuszczają się w głąb parku z tajnej bazy w Yacie, po czym od razu zaproponował, że zaprowadzi tam patrol. Skuty z jednym ze strażników, powiódł resztę drużyny ścieżką wydeptaną przez słonie, ledwie widoczną w mdłym blasku księżyca. Mniej więcej po dwóch godzinach marszu wyswobodził się jakimś cudem z kajdanek i dał nura w ciemność. David od razu zdał sobie sprawę, że nie ma sensu ruszać za nim w pościg. Gorzko rozczarowany ucieczką osławionego przestępcy, wydał ludziom rozkaz powrotu do bazy. Był zgnębiony jak nigdy przedtem.

Podzielaliśmy jego frustrację, ale już kilka dni później napięcie znów sięgnęło zenitu: dostaliśmy wiadomość z Departamentu Myślistwa w nadbrzeżnym Kilifi, że aresztowano innego notorycznego kłusownika, znanego pod imieniem Wambua Makula. Okazał się bardzo cenną zdobyczą. Nie tylko zdradził swoich pobratymców z plemienia Wakamba, lecz także opowiedział nam o kłusownikach Waliangulu, z którymi wprawdzie łączyło go przyznanie, ale nie darzył ich sympatią. Moja „galeria łajdaków” pęczniała w szwach. Po wycofaniu wszelkich zarzutów Wambua został naszym oficjalnym informatorem i tłumaczem,

jednym z ważniejszych członków zespołu do walki z kłusownictwem. Prowadził patrole do kryjówek przy ścianie płaskowyżu Yatta, w pobliżu nieznanymi dotąd cieków wodnych. Wambua był niezłym oryginałem: żyłasty i cherlawy, miał spore braki w uzębieniu, zapadłe policzki i ogólnie trupi wygląd. Kiedy mówił, nie mogłam oczu od niego oderwać, bo z każdym ruchem ust uderzał czubkiem nosa o podbródek. Jego opowieści o starciach z dziką zwierzyną przeszły do legendy i z pewnością ożywiały nasze spotkania w biurze. Stratowany przez bawoły, ubodzony przez niejednego nosorożca, atakowany przez lwy i krokodyle, ledwie uszedł śmierci wskutek szarży rozjuszonych słońi. Dzięki jego pomocy zdołaliśmy schwytać i postawić przed sądem wielu kłusowników.

Pojedynczy informator, choćby najskuteczniejszy, nie mógł jednak położyć kresu kłusownictwu – podobnie jak samotny Oddział Polowy. David przyjął więc z ulgą stanowisko władz z Nairobi, że ten proceder osiągnął bezprecedensowe rozmiary i trzeba dać mu bardziej stanowczy odpór. Noel Simon, wiceprezes nowego stowarzyszenia East African Wildlife Society, człowiek praktyczny i zapobiegliwy, podchwycił ideę Davida i z niebywałą sprawnością zaangażował się w całą akcję. Wkrótce udało się też przekonać naczelnego dowódcę Sił Zbrojnych, komisarza policji i dowódcę Straży Łowieckiej, którzy zadeklarowali pomoc w sformowaniu większej jednostki do działań w południowo-wschodniej Kenii. Do dyspozycji Davida przekazano radiostację polową, samolot Airwing wraz z pilotem oraz śledczego. Sir Evelyn Barring, gubernator Kenii, udzielił błogosławieństwa przedsięwzięciu, kierując dyrektywę do wszystkich sądów niższej instancji, żeby wydawały odstrasżające wyroki w sprawach o niszczenie środowiska naturalnego, co dotyczyło zwłaszcza handlarzy kością słoniową. Zintegrowaną kampanią przeciw kłusownictwu dowodził David, z siedziby władz parku w Voi. Zwiększono liczebność Oddziału Polowego i przemianowano go na Oddział Voi, sformowano też dwie dodatkowe jednostki Departamentu Myślistwa – oddział „Makindu”, działający między Voi a Nairobi, oraz „Hola”, odelegowany na północ, w pobliże rzeki Tana.

David i Bill nie posiadali się z radości. Właśnie takiego wsparcia było im trzeba i choć mieliśmy przed sobą jeszcze mnóstwo pracy nad zagospodarowaniem obszaru Tsavo, w naszym biurze zrobiło się gwarno jak w ulu. Dołączyło do nas kilku nowych funkcjonariuszy: Hugh Massey, major w stanie spoczynku, oraz trzech urzędnicy z Departamentu Myślistwa – Ian „Jaskółcze Ziele” Parker, David „Makebi” McCabe i David Brown. Śledczy Alan „Metys” Childs dzielił biuro ze mną i Davidem. Wszystkie przydomki wymyśliłam sama. Zawsze miałam skłonność do nadawania ludziom przezwisk, które potrafiły przyłgnąć do nich na zawsze – ku wielkiej uciechu mojej matki i reszty rodziny. Z entuzjazmem powitałam w naszym gronie Petera, który służył przedtem jako młodszy strażnik w Tsavo West i został przeniesiony do Tsavo East, żeby pomagać Billowi w walce z kłusownikami. Mieliśmy pełne ręce roboty przy organizowaniu szkoleń dla nowych oddziałów i zakwaterowaniu świeżo zatrudnionych pracowników. Byłam szczęśliwa, że mogę choć trochę przyczynić się do ochrony dzikich zwierząt, tym bardziej że wyposażono mnie w nowiutką maszynę do pisania marki Remington.

Jill była spokojnym i wesołym dzieckiem, najwyraźniej wdała się w moją matkę i babcię Webb. Potrafiła bawić się godzinami tym, co akurat znalazła pod ręką – patykami, kamieniami, a jeszcze lepiej chrząszczem albo mrówką, które wciągała w wymyśloną przez siebie grę, prowadząc je „drózkami” do „domku” za krzakiem lub głazem. Kiedy odrobinę podrosła, wprowadziłyśmy stały plan dnia: o ósmej rano szłyśmy razem do biura, gdzie Jill spędzała czas ze swoją „Ayah”, czyli opiekunką, ja zaś mogłam zająć się pracą. Jill była pieśczością wszystkich pracowników: najbardziej lubiła, kiedy ojciec i wujek zostawiali swoje obowiązki, żeby się z nią pobawić. Tymczasem ja zdradzałam coraz mniej ciepłych uczuć do swojego męża. Jego niepunktualność wyprowadzała mnie z równowagi już w czasach narzeczeńskich: zjawiał się w domu znienacka, o zupełnie nieprzewidzianych porach, spodziewając się, że natychmiast przygotuję coś do jedzenia. Zdarzało mu się też w ogóle nie przyjść i zostawić mnie ze wszystkim na głowie. Był lekkoduchem i miał beztroski stosunek do życia. Odkąd zostaliśmy małżeństwem, zdałam sobie sprawę, że cała odpowiedzialność za prowadzenie domu spadnie wyłącznie na moje barki. Oprócz wychowywania Jill – na dobrą sprawę samotnie – musiałam pilnować naszych finansów, opłacać rachunki, rozliczać się z podatków, trzymać porządek w papierach, dopilnować rejestracji samochodu i zawiadywać całą naszą służbą. Byłam przeciwieństwem Billa. Podobnie jak mój ojciec, ceniłam sobie punktualność i doskonałą organizację pracy. Zdarzało mi się tęsknić za bardziej stanowczym partnerem, który potrafiłby mnie odciążyć, a czasem nawet przejąć inicjatywę. Różnica charakterów ujawniła się już na początku naszego związku: w małżeństwie tylko się rozwinęła i pogłębiła, uruchamiając w mojej głowie coraz głośniejszy dzwonek alarmowy.

Bill do wszystkiego podchodził na luzie, z jednym tylko wyjątkiem: polowań, zwłaszcza polowań na słonie. Rzecz jasna, wiedziałam o tym od samego początku. Pierwsze roczne zezwolenie na odstrzał słoni wykupił natychmiast po osiągnięciu pełnoletności. Wcale mi się to nie podobało, ale byłam tak zaślepiona miłością, że nie wyznałam mu tego wprost. Po przyjeździe do Tsavo trudniej mi było zrozumieć, że potrafi pogodzić czerpanie nieskrywanej przyjemności z polowań z pełnieniem funkcji strażnika zwierząt. Co więcej, jego pasja zaważyła na naszym wspólnym życiu: ilekroć brał urlop, wolał wyprawić się na słonie, niż pojechać ze mną i z Jill w odwiedziny do moich rodziców, którzy mieszkali teraz w Malindi. Ponieważ w czasie kampanii przeciwko kłusownikom przebywał najczęściej w terenie, widywaliśmy się rzadko i zaczęliśmy się coraz bardziej od siebie oddalać.

Bractwo myśliwskie, do którego należał Bill, było solą w oku zarządców parku. Tereny sąsiadujące z Tsavo sklasyfikowano jako łowieckie i objęto jurysdykcją Departamentu Myślistwa. Zawodowcy z zezwoleniem na odstrzał oraz ich klienci mogli polować na dowolną zwierzynę wymienioną w licencji – pod warunkiem wniesienia odpowiedniej opłaty. Nikt się nie przejmował brakiem danych o liczebności poszczególnych gatunków w rewiarach łowieckich. Licencjonowany myśliwy miał prawo odstrzelić ostatniego lwa w siedlisku, więc rzekoma „kontrola” nad tymi obszarami była w rzeczywistości fikcją. Co gorsza, szerzyło się tam kłusownictwo, bo nieliczni funkcjonariusze Departamentu Myślistwa zaj-

mowali się przede wszystkim zwierzętami, które podchodziły do osad ludzkich i wyrządzały szkody. Dyscyplina w szeregach departamentu była dość luźna, funkcjonariusze tolerowali odstrzał „na potrzeby własne”, a nawet sami uczestniczyli w tym procederze. Większość zaciągnęła się do tej służby ze względu na swoje zamiłowanie do polowań, a nie z chęci zaangażowania się w ochronę przyrody. David najbardziej nie znosił myśliwych, którzy czaili się na obrzeżach parku – w nadziei, że któryś ze wspaniałych olbrzymów przejdzie na drugą stronę granicy. Było mi wstyd, że Bill ma tyle uciechy ze strzelania do słoni. Wątpliwości żywił także dyrektor parków narodowych, pułkownik Mervyn Cowie. Zgłosił je zresztą Davidowi, który w swoim czasie polował na słonie zawodowo, odkąd jednak zaopiekował się Samsonem i Fatumą, został naczelnym strażnikiem Tsavo i zdobył ogromną wiedzę o tych zwierzętach, nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby do tego wracać.

Byłam żoną Billa już od sześciu lat i popadałam w coraz głębszą rozterkę. Szczerze mówiąc, nie mogłam zwać całej winy na męża, bo mój podziw i szacunek dla Davida ustąpiły miejsca nowym uczuciom, znacznie bardziej powikłanym i ambarasującym. Ilekroć na niego spjrzałam, serce skakało mi w piersi. Nie mogłam go unikać, bo pracowaliśmy razem w biurze. Uświadomiłam sobie – nie bez wyrzutów sumienia – że spędzamy ze sobą mnóstwo czasu także poza pracą. Kiedy Bill wyjeżdżał na patrol w głąb parku albo na polowanie, David, zamiast zostawić mnie własnemu losowi, zabierał na wycieczki przyrodnicze bądź na sobotnie wieczorki w hotelu Voi.

Te ostatnie stały się nieomal instytucją – obowiązkiem towarzyskim każdego, kto zawiatał w te strony po tygodniu ciężkiej, często samotnej pracy. W czasach kolonialnych Voi było popularnym miejscem spotkań: oprócz Francuzów, którzy przyjechali do miasta w połowie lat pięćdziesiątych, żeby poprowadzić wodociąg ze źródeł Mzima do Mombasy, mieszkało tu około siedemdziesięciu pracowników administracyjnych z innych krajów Europy oraz kilku zarządców okolicznych gospodarstw.

Właśnie podczas tych przyjęć poznałam Davida z innej, swobodniejszej strony. Przez cały tydzień zdyscyplinowany i skupiony na pracy, w hotelu Voi szedł na całość i popisывał się przed gośćmi „sztuczką z parafiną”, która polegała na podpaleniu rozpylonego z ust oleju parafinowego i puszczeniu smoczego ognia przez bar. David uwielbiał zabawiać przyjezdnych birbantów i drażnić się z kierownikiem Henrym Hayesem, wielkim i dobrodusznym Jorkszyrczykiem, który znosił jego wybryki z anielską cierpliwością.

Kiedy się przekonałam, jakie David ma powodzenie u kobiet, mało nie pękłam z zazdrości. Był najprzystojniejszym mężczyzną w całym dystrykcie i stałym obiektem miłosnych westchnień. Zwłaszcza jedna krewka flirciara zagięła na niego parol, umiała przepić każdego i rzucała się na Davida, kiedy tylko przestępował próg hotelu. Kokietowała go bezwstydnie, potrząsając ciemnymi lokami i zakładając mu ręce na szyję. Choć była mężatką, nie wahała się uwodzić innych facetów, nawet w obecności męża. David radził sobie z nią po mistrzowsku, traktując z łagodnym rozbawieniem, które tylko wzmagало jej pożądanie, ale im bardziej mu się narzucała, tym większą okazywał jej obojętność. Nie mogłam

się powstrzymać od obserwowania Davida w towarzystwie innych kobiet. Ciągnęły do niego jak pszczoły do miodu, dopraszając się uwagi, choć on sam nie krył ulgi, że uwolnił się z więzów małżeńskich, i powtarzał raz po raz, że nie da się już złapać w tę samą pułapkę. „Jestem samotnikiem – powiedział mi kiedyś – i zbyt wielkim egoistą, żeby dać kobiecie prawdziwe szczęście”. Kiedy jednak ze mną tańczył i brał mnie w ramiona, robiło mi się miękko w kolanach, a serce waliło jak oszalałe. Napominałam sama siebie, że David ma trzydzieści siedem lat, że za wysokie progi na moje nogi, że przecież mam męża i dziecko – i dokładałam wszelkich starań, żeby ukryć swoje uczucia, zadowolając się tym, co mam.

David przekonał mnie do dzikości pejzażu Tsavo, otworzył mi oczy na piękno bezkresnych przestrzeni i dobitność kontrastów, zwłaszcza na początku pory deszczowej, kiedy rudoczerwona półpustynia, porośnięta smętnymi bezlistnymi drzewami, zmieniała się w malowniczy, tętniący życiem raj. Pierwsze drogocenne krople deszczu oszalały nas wszystkich, zupełnie jak w Gilgilu, kiedy ojciec stawał na werandzie z rozpostartymi ramionami, wpatrując się w nadciągającą zasłonę wody. Tutaj w Tsavo – ilekroć deszczówka ruszyła wartkim czerwonym strumieniem wzdłuż dróg i wyschniętych dolin, a sezonowa rzeka Voi spłynęła z gór Taita – pakowaliśmy się do gumowej łódki Davida i wiosłowaliśmy z wezbranym nurtem, kolebiąc się niebezpiecznie na boki, kiedy trzeba było lawirować między zwałami niesionych przez fale osadów.

Czasem wybierałam się z Davidem na spacer, które dawały mi okazję do fascynujących spotkań z przyrodą. Każda wyprawa dostarczała zupełnie nowych wrażeń. David był istną kopalnią wiedzy i zwracał uwagę na rzeczy, których nie dostrzegłaby większość ludzi – wymoszczone oprzędem i zamykane charakterystyczną klapką nory pajaków z rodziny Ctenizidae; pracowite żuki gnojarze, toczące wielkie kulki z nawozu, żeby później zakopać je głęboko w ziemi; przyczepiony do gałęzi, otoczony szklistą galaretowatą osłonką skrzek rzekotek, z którego wyklute kijanki spadały wprost do kałuż i sadzawek; chrząszcze wodne, zwrotne i szybkie jak torpeda. David był przekonany, że każdy, nawet najbardziej niepozorny organizm jest niezbywalnym trybem skomplikowanej maszyny życia, pełniącym odrębną funkcję dla dobra całości. Nauczył mnie ufać własnym instynktom i polegać na zdrowym rozsądku, zamiast szukać zawiłych wyjaśnień zagadek Natury. „Jednego możesz być pewna: przyroda z reguły wie swoje i w każdej sytuacji dąży do rozwiązań najprostszych. Potrafi się przystosować. Nie daj sobie wmówić, że człowiek musi odgrywać rolę Boga – ilekroć próbuje to robić, przeważnie wszystko psuje i przysparza światu kolejnych problemów”.

Bywało, że zabierał mnie z Jill na wyprawy do bardziej odległych części parku, gdzie kontrolował postępy prac przy zagospodarowaniu terenu. Podróż w jedną stronę potrafiła zająć cały dzień, czasem więc biwakowaliśmy w buszu, nawet przez kilka nocy przed powrotem do domu. Eskapady Davida dawały mi świetną sposobność do nadrobienia zaległości w papierach: w trasie stenografowałam pod jego dyktando, żeby już w biurze spisać wszystko na maszynie. Zabierał nas w miejsca, w których nigdy przedtem nie byłam, na przykład do mieszczącego prawie trzydzieści tysięcy litrów zbiornika na wzgórzu Kiasa –

w połowie drogi między rzekami Galana i Tiva – założonego z myślą o patrolach do walki z kłusownikami, żeby mogły działać na północy w porze suchej, kiedy w promieniu ponad stu kilometrów nie było dostępu do wody pitnej. Z czasem poznałam i pokochałam wiele zakątków parku, do których w innym razie nie mogłabym dotrzeć. Wzburzony nurt Wodospadów Lugarda ukształtował skały w malownicze formacje, skrzące się odpryskami czerwonych kryształów granatu. Płaskowyż Yatta, najdłuższy na świecie pas zastygłej lawy i wielka atrakcja geologiczna Tsavo East, biegł przez całą długość parku i poza jego granice niczym wystający z grzbietu kręgosłup. Przełęcz Mopea, jedno z dwóch naturalnych obniżen w przebiegu płaskowyżu, został wydeptany stopami milionów przechodzących tędy słoni: za każdym razem usprawiedliwialiśmy się przed Rudolfem, starym samcem nosorożca, który żył sobie w spokoju, dopóki nie zbudowano drogi przez przełęcz. Drugim obniżeniem w poprzek Yatty było Thabangunji, gdzie samotny głaz pełnił wartę przy grobach zapomnianych śmiałków, którzy zginęli wiele lat temu, próbując odbić skradzione trzody. David wyjaśnił, że bitni nomadzi od wieków korzystali z tego szlaku, łupiąc po drodze słabsze plemiona. Przechodząc przez przełęcz, wojownicy rzucali kamieniem w głaz, co miało im przynieść szczęście. Zawsze czułam wzruszenie, kiedy siadałam pod wielką skałą, w poszumie schodzącego w dolinę wiatru, żeby podumać o dawnych bitwach i poległych, którzy spoczywali pod stertami kamieni na dnie przesmyku.

W Tsavo żyło wiele gatunków zwierząt, z którymi nie miałam wcześniej do czynienia: maleńkie gazy Petersa, czyli tutejszy podgatunek gazeli Granta, wdzięczne oryksy wschodnioafrykańskie, czerwonodziobe strusie somalijskie o szaroniebieskiej skórze na szyi i udach, która u samców w okresie godowym przybierała jasnoblękitny odcień, wreszcie gerenuki, śliczne rudobrzowe antylopy, które potrafią obejść się całe życie bez wody i stają na tylnych nogach, żeby skubać pokarm z wyżej położonych gałęzi. Zachwycił mnie czarny, przypominający unerwienie liścia wzór wewnątrz ich uszu. Gerenuki nie muszą szukać wodopoju nawet podczas suszy. W skrajnych sytuacjach piją własny mocz, na co dzień wystarcza im wilgoć ze zjadanych roślin. David potrafił opowiedzieć o zwyczajach każdego napotkanego zwierzęcia, byłam jednak pod wrażeniem jego wiedzy o słońiach oraz ich roli w środowisku, świadczącej najlepiej o wszechstronności jego zainteresowań. Przyroda fascynowała go od dziecka. Podstawy wpojone przez ojca rozwijał w angielskiej szkole, w latach powojennych, kiedy trudnił się zawodowo myślistwem, i podczas pobytu w Nyeri. Słuchając jego historii, zrozumiałam, że Natura jest jego prawdziwą pasją, popartą doświadczeniem, przede wszystkim jednak płynącą z głębi serca. Na długo zanim badacze zajęli się obserwacją słoni, David tłumaczył: „Żeby odpowiednio zinterpretować zachowania tych zwierząt, wystarczy je rozpatrzeć z ludzkiego punktu widzenia: najprawdopodobniej zbliżymy się wówczas do sedna, choć uczeni wciąż nie chcą przyjąć tego do wiadomości. Ich arogancja powoduje blokadę umysłową i odruch protestu przeciw przypisywaniu zwierzętom typowo ludzkich zachowań, a zwłaszcza emocji”. Wspominałam później te rozmowy, które stały się podstawą mojej własnej pracy.

Zdaniem Davida, obszar wokół rzeki Tiva był „perłą w koronie Tsavo East”. Ilekroć

obowiązki wzywały na północ, staraliśmy się zorganizować biwak w Tundani przy pełni księżyca. Rozstawialiśmy łóżka polowe na szczycie rozległego występu skalnego, skąd mogliśmy obserwować nocne widowisko. Kiedy pierwsze promienie zaczynały tańczyć na bladym piasku, słońce wyłaniało się w ciszy, jakby znikąd – dostojne, ciemne galeony o srebrzystobiałych ciosach, w których połyskiwało światło księżyca. Potem znad pogrążonych w mroku brzegów rzeki nadciągały nosorożce, próbując się dopchać do wodopoju w dole wydrążonym przez słońce i przekopać go tak, by bez trudu zaczerpnąć wody rogatym pyskiem. Po długim nocnym spektaklu na scenie pojawiali się dzienni aktorzy – pawiany i inne małe schodziły z drzew, wokół krzątały się mangusty, dalej żyrafy, zebry, elandy, stada stepówek, gołębi, wikłaczy, szpaków i perlic sępich, nad którymi krążyły krogulce, sokoły, jastrzębie i orły, licząc na łatwy łup. W koryto rzeki zstępowało coraz więcej stworzeń, żeby zaspokoić pragnienie w słoniowych dołach. Współistniały w zgodnej symbiozie do chwili, kiedy rozległ się sygnał ostrzegawczy zwiastujący nadejście drapieżnika – lamparta, stada lwów, hien albo watahy likaonów. Wtedy scena raptownie pustoszała, przy wtórze tętentu kopyt i trzepotu skrzydeł.

Pamiętam magiczną chwilę, kiedy zwierzęta przyjęły nas do swojego grona. Spacerowaliśmy po wyschniętym korycie rzeki, wypatrując śladów na piasku, kiedy z sąsiedniego brzegu wychynęło nieśmiało kudu. „Przykucnij i udawaj, że pijesz” – szepnął David ponagląjącym tonem. I wtedy to piękne zwierzę o spiralnie skręconych rogach ruszyło w głąb koryta, kierując się wprost na nas, po czym zaczęło pić wodę z sąsiedniej kałuży, dosłownie dwa kroki ode mnie. Przeszedł mnie dreszcz wzruszenia, że z taką ufnością zaliczono mnie w poczet niegroźnych dzikich pobratymców. Nie zapomnę tego do końca życia.

Uwielbiałam te cudowne wypadki, które zapewniały Davidowi odrobinę wytchnienia od intensywnej kampanii przeciwko kłusownikom i codziennych obowiązków zarządcy parku. Wkrótce trzeba było jednak wracać do pracy. Choć wciąż nie udało się postawić przed sądem pośredników, którzy skutecznie wymykali się naszym patrolom, i tak mieliśmy wiele powodów do zadowolenia. Do końca 1957 roku prawie wszyscy mężczyźni z plemienia Waliangulu zdążyli już odbyć lub właśnie odbywali wyroki za kłusownictwo – rzecz jasna z wyjątkiem Galogalo Kafonde, który wciąż bawił się z nami w kotka i myszkę. Kiedy zre-socjalizowani kłusownicy wychodzili z więzienia, David i Bill dokładali wszelkich starań, żeby znaleźć im inne zajęcie. Zatrudniano ich chętnie przy organizacji safari – jako przewodników i tropicieli.

W górach rozgrywały się wydarzenia, które miały wywrzeć bezpośredni wpływ na białych osadników. Podczas operacji Gorący Młyn, prowadzonej w głębi lasów Aberdare, zdołano wreszcie osaczyć ostatnich powstańców Mau Mau, z legendarnym Dedanem Kimathi włącznie. Zanim osławiony dowódca buntowników wpadł w ręce policji, miał chyba przecucie, że jego czas minął. Wybiegł śmiało na otwartą przestrzeń, czego nie zrobiłby żaden zaprawiony w bojach partyzant Mau Mau. Po dwudziestu ośmiu godzinach ucieczki i pokonaniu ponad dwustu kilometrów padł z wyczerpania i spędził samotną noc na skraju lasu. Nazajutrz czołgał się wzdłuż linii drzew, aż dotarł do miejsca, skąd mógł obserwo-

wać wioskę, w której spędził większość dzieciństwa. Przesiedział tam spokojnie cały dzień, patrząc na rozpostartą w dole mozaikę poletek i chat krytych strzechą. Kolejnej nocy, przyciśnięty głodem, po raz pierwszy od czterdziestu miesięcy przestąpił granicę rezerwatu Kikuju, żeby przed powrotem do leśnej kryjówki zerwać trochę trzciny cukrowej i niedojrzałych bananów. Trzy dni później było po wszystkim. Trafił na patrol policji plemiennej, która powaliła go strzałem w udo. Zdołał się jeszcze odczołgać do lasu, gdzie znalazł go jakiś czas potem. Kiedy wyleczył się z ran, stanął przed Sądem Najwyższym Kenii. Jego charyzma dała się odczuć jeszcze podczas procesu, którego przebieg śledziły tysiące widzów, przybyłych z najdalszych zakątków kraju, żeby ujrzeć legendarnego przywódcę na własne oczy. Został uznany za winnego przez sąd ławniczy i skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano w lutym 1957 roku. Później, w niepodległej już Kenii, Dedan Kimathi stał się symbolem walki o wolność i obalenie rządów kolonialnych.

Pojmanie Kimathiego oznaczało upadek ostatniego bastionu rebeliantów Mau Mau. Władze zniosły obowiązujący od pięciu lat stan wyjątkowy. Społeczność białych miała wreszcie powód do świętowania – spodziewaliśmy się powrotu do normalności. Nasze nadzieje okazały się płonne. Wichry zmian, biorące swój początek w odległym Whitehallu, uderzyły w Białe Wzgórza, wśród których leżał Cedar Park – gospodarstwo mojej rodziny. Trudy stanu wyjątkowego dały się we znaki ojcu, który zaczął przebąkiwać o sprzedaży farmy, co przyjęliśmy z nieskrywanym zdumieniem. Spędziłam wiele bezsennych nocy, rozmyślając nad konsekwencjami zaprzepaszczenia trzydziestu lat inwestycji i ciężkiej pracy. Gospodarstwo było dla nas przystanią, ucieczką przed każdą burzą. Ojciec i jego pracownicy harowali w pocie czoła, bez żadnych pożyczek, kredytów hipotecznych, czyjejkolwiek pomocy. Odetchnęłam z ulgą, kiedy ojciec postanowił wstrzymać się ze sprzedażą i na razie tylko wydzierżawić farmę, żeby wraz z matką udać się na długi odpoczynek do Malindi.

Malindi leży zaledwie trzy godziny jazdy od Voi, prostym szlakiem przez bramę Sala przy wschodniej granicy parku, więc ucieszyłam się na myśl, że będę mogła częściej widywać się z rodzicami. Po drodze wstąpili do nas, żeby zobaczyć się z Peterem. Już na pierwszy rzut oka dostrzegliśmy, że ojciec nie jest w najlepszej formie. Co gorsza, matka zwróciła uwagę, że nie układa nam się z Billem. Zagadnęła mnie o Davida, i choć za wszelką cenę próbowałam ją przekonać, że łączy nas tylko przyjaźń, znała mnie zbyt dobrze, żeby się nabrać na moje wykrety. „Przecież widzę, że coś iskrzy między wami” – odparła spokojnie. Na szczęście nie ciągnęła mnie więcej za język.

W przeciwnym razie zorientowałaby się w mig, że jestem po uszy zakochana w Davidzie. Kiedy na mnie patrzył, widziałam w jego oczach przelotny płomień pożądania, zawsze jednak zdążył odwrócić wzrok i powściągnąć emocje, wprawiając mnie w tym większe zakłopotanie. Oddałabym wszystko, żeby się dowiedzieć, co do mnie czuje, ale bałam się spytać.

6. DECYZJE

Mężczyzna potrzebuje w życiu trzech rzeczy: tożsamości, podniety i poczucia bezpieczeństwa. Najistotniejsza z nich jest tożsamość.

David Sheldrick

Marzyłam o Davidzie we dnie i w nocy, ani na chwilę nie mogąc się uwolnić od tęsknych myśli. Wiedząc, że nasze ścieżki i tak kiedyś się rozejdą i resztę życia spędzę bez niego, postanowiłam jak najlepiej wykorzystać spędzany razem czas. Z biegiem lat dowadywałam się o nim coraz więcej, gromadząc w pamięci fascynujące fragmenty jego biografii. Długo nie miałam pojęcia, że urodził się w egipskiej Aleksandrii, gdzie jego ojciec stacjonował podczas wielkiej wojny. Przybył do Kenii w dzieciństwie, kiedy Sheldrick senior zdecydował się uczestniczyć w programie osadnictwa weteranów i założył plantację kawy w Mweidze. Choć David wiele opowiadał o sobie, trudno było przełamać jego rezerwę i wyjść poza suche fakty. Wątpię, czy udałoby mi się do niego zbliżyć, gdybyśmy razem nie pracowali i nie spędzali czasu w swoim towarzystwie. Szanowałam jego dyskrecję, nauczyłam się nie wściubiać nosa w nie swoje sprawy i nie zadawać zbyt wielu pytań. Rzecz jasna, w głębi duszy pragnęłam dowiedzieć się o nim wszystkiego.

David zachowywał najskrytsze myśli dla siebie, czego z pewnością nauczył się w angielskiej szkole z internatem, do której uczęszczał między siódmym a siedemnastym rokiem życia. Kiedy go spytałam, jak znosił tak długą rozłąkę z rodzicami, odparł: „Z początku bardzo za nimi tęskniłem i miesiącami płakałem w poduszkę. Potem mi przeszło i kiedy wróciłem do domu, ledwie ich poznałem. Szczerze mówiąc, po skończeniu szkoły minąłem się z matką na dworcu w Nyeri”. David – jedynek i oczko w głowie swoich rodziców – w szkole wyróżniał się w sporcie, był zdolnym bokserem wagi lekkiej i doskonałym jeźdźcem. Kiedy poznałam jego matkę, przekonałam się, że kocha syna całym sercem. Oboje z mężem gotowi byli do najwyższych poświęceń, żeby wykształcić Davida w ojczyźnie. Pewnie nie posiadali się ze szczęścia, kiedy w 1930 roku wrócił do Kenii i podjął pracę jako zarządca farmy w okręgu Kinangop. Nie miał zwyczaju chełpić się swoimi osiągnięciami, słyszałam jednak z wielu źródeł, że wyśmienicie grał w polo: gdyby nie wybuch II wojny światowej, zakwalifikowałby się do drużyny narodowej Kenii. David służył w Abisynii, Somalii i Birmie, a rodzice znów ze stoickim spokojem czekali na jego powrót. Ich cierpliwość została nagrodzona – na paradzie zwycięstwa w Londynie David reprezentował wschodnioafrykański kontyngent batalionu King’s African Rifles.

Choć bardzo się pilnował, by nie zdradzać swoich uczuć, zaczynałam się domyślać, że nie jestem mu obojętna. Kiedy tańczyliśmy razem w hotelu Voi, nasze serca biły w jednym rytmie. Przy rzadkich okazjach, w których dał się zaskoczyć z błyskiem pożądania w oku,

miałam ochotę skakać ze szczęścia – po czym znów przeżywałam rozczarowanie, kiedy zamykał się w sobie i z udawaną obojętnością rzucał się w wir pracy, przestając zwracać na mnie uwagę. Pewnego dnia mruknął pod nosem: „Ten Bill to dopiero ma fart”, wprawiając mnie na kilka dni w istną euforię. Bill nie miał „farta” – namiętność w naszym małżeństwie dawno już wygasła. Przypominaliśmy teraz bardziej brata i siostrę niż męża i żonę, a kiedy Bill przyznał się do odnowienia znajomości z Eugene, swoją dawną flamą, uświadomiłam sobie ze zdumieniem, że znacznie bardziej przejmuję się kobietami, które próbują uganiać się za Davidem.

Największym źródłem szczęścia i pociechy była dla mnie Jill, tak świeża w swojej dziecięcej niewinności, tak ciekawska i żądna przygód. Uwielbiała Samsona i Fatumę, osieroczone słońtka, którymi opiekował się David. Wieczorami siadałyśmy razem, obserwując maluchy i rozprawiając, co też tam znów kombinują, o czym sobie myślą i co do siebie „mówią”. Jill była w całkiem niezłej komitywie z Fatumą. Mimo że słońca skończyła dopiero pięć lat, miała już silnie rozwinięty instynkt macierzyński – z zapalem szukała Jill i próbowała zaganiać ją trąbą między swoje przednie nogi, zupełnie jakby opiekowała się młodym. Moja córka wychowała się w towarzystwie słońtek i odnosiła się do nich podobnie, jak inne dzieci traktują psy albo koty. Ilekroć Fatuma domagała się pieśczoł, kiedy Jill była zajęta jakąś inną zabawą, mała bezczelnie spychała ją na bok. Wyglądało to bardzo zabawnie. Fatuma była wyjątkowo cierpliwa i łagodna, ale też nieustępliwa w swoich zapędach opiekuńczych, zwykle więc kończyło się kompromisem – Jill przenosiła się z całym kramem pod grube nogi słońcy i kontynuowała zabawę pod jej rozłożystym brzuchem. Wiedziałam, że słońce są bardzo uważne i nie stratają nikogo przez przypadek. Mogłam też się przekonać, że Fatuma kontroluje każdy ruch małej, obmacując ją mięciutką trąbą i co rusz zerkając w dół łagodnymi brązowymi oczami, okolonymi firanką rzęs długości mojej dłoni. Z tych lśniących oczu wyzierała spokojna inteligencja stworzenia, które myśli i rozumie.

To były wyjątkowe i bardzo pokrzepiające chwile. Podpatrywanie oswojonych słońciowych sierot pozwalało mi odetchnąć od własnych problemów. Coraz lepiej rozumiałam ich zachowania i zwyczaje, zaczęłam się oswajać ze słońciowymi emocjami i porządkiem dnia. Przyglądając się baczniej, dostrzegamy rzeczy, na które przedtem nie zwracaliśmy uwagi, sięgamy wzrokiem głębiej i zadajemy sobie pytania. Obserwowałam tysiące sposobów użycia trąby, nie mogąc się nadziwić zręczności Samsona i Fatumy. Trąba służyła im jako niesłychanie czuły narząd węchu, który można było unieść niczym peryskop, żeby zwietrzyć ciekawy zapach, zastępowała też giętkie i potężne ramię, zakończone dwoma palczastymi wyrostkami, używane do skubania i zbierania pokarmu oraz przenoszenia wody do pyska. Można też było głośno na niej trąbić, co z początku przstraszyło Jill, która jednak szybko oswoiła się z tym odgłosem. Oczywiście wiedzieliśmy, że trąba bywa też niebezpieczną bronią: wystarczyło raz się zamachnąć, żeby położyć człowieka trupem. Kilka lat wcześniej pewien młody żołnierz stacjonujący w pobliskim obozie podszedł beztrąsko do słońca i podał mu bułkę, jak miał w zwyczaju robić podczas wizyt w angielskim zoo. Zwierzę jed-

nym ciosem trąby wyrzuciło go w powietrze i pogruchotało mu wszystkie kości.

Potrafiłam obserwować godzinami, jak Samson i Fatuma szukają pożywienia, zręcznie skubiąc lodygi koniuszkiem trąby lub zamaszystym ruchem czyszcząc z liści całą gałąź. Patrzyliśmy z podziwem, jak zdzierają korę, podtrzymując trąbą konar i obracając go w pyśku, żeby nadgryźć potężnymi trzonowcami, po czym uchwycić wyrostkiem obłuzowany koniec płata i upuścić środek, zostając z równiutko zerwanym kawałkiem smakołyku. Jeśli chciały się dostać do rośliny gromadzącej substancje odżywcze w korzeniach, wyciągały ją z ziemi i przed zjedzeniem otrzepywały z brudu o przednie nogi. Żeby się dostać do głębiej ukorzonej bulwy, wykorzystywały stopy.

Zarówno Samson, jak i Fatuma umiały odkręcić kran, podnieść wąż ogrodowy i włożyć go wprost do pyska, oszczędzając sobie fatygi nabierania wody trąbą. Niestety, nawet David nie zdołał ich nauczyć, że trzeba potem zamknąć kurek, choć według mnie postępowały w całkowitej zgodzie ze słoniową logiką. Skoro jednym ruchem trąby można wylać wodę na spieczoną ziemię, po kiego licha ją zakręcać? Samson miał też smykałkę do manipulowania przy bramach i stosunkowo wcześniej zyskał biegłość w otwieraniu swojego boks, przekładając trąbę przez pręty, żeby podnieść zapadkę, i napierając całym ciężarem na drzwi. Ponieważ był prawdziwym dżentelmenem, maszerował później do boks Fatumy i wypuszczał koleżankę, odrobinę modyfikując procedurę: zamiast napierać na drzwi, ciągnął je w swoją stronę. David musiał opracować skomplikowany system zasuwek, rygli i zatrzasków, żeby Samson nie włamywał mu się nocą do ogrodu.

Wciąż zdumiewała mnie delikatność słoniowej skóry – choć gruba i porośnięta szorstką szczecina, była gąbczasta w dotyku i reagowała nawet na muśnięcie piórkiem. Podzielona na wyraźne segmenty, niczym olbrzymia, zszywana ze skrawków kołdra, na zadzie zwisała luźno, przypominając workowate szarawary. Długie i elastyczne włosie z ogona cieszyło się dużym zainteresowaniem strażników, którzy podczas patroli wyskubywali je ze zwłok martwych zwierząt, żeby wyrabiać z niego piękne, regulowane w obwodzie bransoletki – rzecz jasna, jeśli nie ubiegli ich kłusownicy. Ozdoby ze słoniowego włosia, wówczas bardzo popularne, nosili wszyscy, bez względu na płeć, na znak swojej miłości do afrykańskiego buszu.

Wielkie uszy, miękkie i od spodu gładkie jak jedwab, były niezawodnym wskaźnikiem nastroju, odgrywającym istotną rolę w dyskretnej mowie ciała słoni. Widywaliśmy czasem, jak Samson i Fatuma rozstawiają uszy szeroko, jakby wsłuchując się w jakieś dźwięki z oddali. Kiedy obie z Jill miałyśmy dość upałów, zazdrościłyśmy słoniom, że nie możemy wachlować się uszami jak one.

Żeby uświadomić Jill rolę słoni w czasach starożytnych, opowiadałam jej o legendarnej przeprawie Hannibala przez Alpy i wykorzystaniu tych zwierząt w działaniach wojennych. Ich wizerunki można było podziwiać na afrykańskich malowidłach naskalnych i na antycznych monetach. Niestety, znałam też długą historię popytu na kość słoniową, z której wciąż wyrabiano misternie rzeźbione ozdoby. Mimo tak ścisłych związków człowieka ze słoniem jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych uczeni dysponowali znikomą liczbą infor-

macji o tym gatunku. Nie prowadzili żadnych badań terenowych nad zachowaniami słoń, strukturą ich stad i szlakami wędrówek. Owszem, często odwiedzali Tsavo, ale David był o nich jak najgorszego zdania. Widziałam kiedyś, jak popadł w skrajną frustrację, próbując przekonać grupkę naukowców, że w sytuacji krytycznej słoń potrafią zapuścić trąbę w głąb przetyku, wyssać wodę z żołądka i spryskać nią rozpalone ciało. Widział to wielokrotnie na własne oczy – podobnie jak ja – i nie mógł pojąć, dlaczego nikt mu nie wierzy. „Podejrzewam, że uznają to za fakt naukowy dopiero wówczas, kiedy któryś pochwali się własnym odkryciem i opíše je bełkotliwym, niezrozumiałym dla laika żargonem” – powiedział. Akurat tę kwestię rozstrzygnął na dobre zapis z kamery.

David od dawna gromadził dane o słonach, żeby znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytania. Kiedy dostrzegł moje zainteresowanie, spytał, czy miałabym czas i ochotę pomóc mu w dokumentowaniu planowanych eksperymentów. Nawet się nie domyślałam, jak to założy na moim życiu.

Zdaniem Davida należało zacząć od precyzyjnego ustalenia szlaków wędrówek stad parkowych – żeby określić ich zasięg. W tamtych czasach nie było jeszcze obroży z nadajnikami, musieliśmy więc oznakować jak najwięcej słoń. David skonstruował prymitywną stemplownicę, czyli pojemnik z farbą zaopatrzony w dyszę i podłączony do butli ze sprężonym powietrzem. Postanowiliśmy wypróbować ją na Samsonie. Któregoś popołudnia, kiedy pasł się przy warsztatach, David opryskał go wodą. Samson – trochę zbity z tropu – oddalił się w spokojniejsze miejsce, z lekko podniesionymi uszami, oglądając się z lewa na prawo i łypiąc podejrzliwie na Davida. Nie mogliśmy powstrzymać śmiechu na widok jego zranionej dumy, wynalazek sprawdził się jednak bez zarzutu.

Zabraliśmy więc stemplownicę do często odwiedzanego wodopoju przy drodze do Mudanda Rock. Miałam się wdrapać na niewielki występ skalny i dać stamtąd sygnał, kiedy stado podejdzie na odpowiednią odległość. David i jeden ze strażników schowali się za rachitycznym drzewkiem, które w moim przekonaniu nie zapewniało dostatecznej ochrony przed szarżą słoń. Ku naszej uciechy wypatryliśmy grupkę ośmiu zwierząt pod wodzą starej, zadziornej słońicy, którą nazwaliśmy kiedyś Kłapouszką. Przedarła się pierwsza do kałuży, łapczywie zasysając wodę trąbą. Skinęłam ręką Davidowi. Nie mogłam się doczekać, aż strumień farby dosięgnie Kłapouszkę, ale usłyszałam tylko wąty syk. Kilka kropel białego płynu skapnęło smętnie na buty Davida. Odgłosy szarpaniny ze szwankującym urządzeniem natychmiast ściągnęły uwagę słońicy, która zatrąbiła donośnie, zrobiła zwrot na zadzie i ruszyła z impetem na drzewko, zmuszając Davida i jego pomocnika do raptownej ucieczki. Zanim David zdążył udroźnić zapchaną dyszę przed pojawieniem się kolejnego stada, zaczęło się zmierzchać, ale tym razem eksperyment się powiódł i słońica matka odeszła od wodopoju z wielką białą plamą na zadzie. Kiedy jednak poczuła farbę na skórze, też wykonała półobrót i z furią zagoniła spanikowanych mężczyzn na skałę. Pozostałe zwierzęta uciekły w popłochu. Umiarkowany zasięg był z pewnością największą wadą naszej stemplownicy, niemniej przez kilka tygodni udało nam się oznakować osiemnaście dzikich słoń.

Teraz trzeba było jakoś je upilnować, i to bez nowoczesnych metod nadzoru z powietrza. Na szczęście co rusz spotykaliśmy oznakowane sztuki podczas naszych eskapad w głąb parku. Pewnego słonia wypatrzyliśmy ponad sto dziesięć kilometrów od miejsca, w którym ochlapaliśmy go farbą – gdzieś hen, w północnej części obszaru chronionego. David skojarzył to z obserwacjami zwierząt o charakterystycznych ciosach i doszedł do wniosku, że szlaki wędrówek stad z Tsavo biegną przez cały park i poza jego granice, zależnie od intensywności opadów, niezbędnych, by pobudzić wegetację i napełnić wyschnięte wodopoje. Jednego dnia słonie mogły żerować w południowej części parku, naza jutrz – zapuścić się nawet sto sześćdziesiąt kilometrów na północ, co dla nich było zaledwie przechadzką. Eksperyment spełnił nasze oczekiwania, choć siłą rzeczy zakończył się po nadejściu pory deszczowej, kiedy słonie utyły się od stóp do głów w czerwonym błocie.

Już wkrótce zaangażowaliśmy się w następne badanie, które polegało na zebraniu roślin wchodzących w skład słoniowej diety. Poszczególne okazy suszyliśmy pod prasą i wysyłaaliśmy do analizy w Ośrodku Badań Naukowych w Kabete na przedmieściach Nairobi, gdzie doktor Phil Glover, botanik i entuzjastyczny zwolennik inicjatyw Davida, sporządzał opis każdego gatunku. Samson i Fatuma okazali się nieocenionymi dostawcami materiału badawczego. David towarzyszył im przez cały dzień, zbierając wszystko, czym się paśli od porannego wyjścia z zagrody aż do powrotu o zmierzchu. Przekonaliśmy się ze zdumieniem, że Samson pożywił się tego dnia sześćdziesięcioma czterema gatunkami roślin, poświęcając zaledwie cztery godziny i dwadzieścia dwie minuty na czynności inne niż jedzenie. Na koniec zgromadziliśmy i zważyliśmy ostateczny produkt procesów trawiennych Samsona. Nieprędko uwolniłam się od pikantnej woni papierowych toreb, wypełnionych po brzegi słoniowymi „bułeczkami”.

David chciał się dowiedzieć, jak długo trwa wędrówka treści przez przewód pokarmowy słonia. W tym celu nakarmiliśmy Samsona całą furą pomarańczy. Był to jego ulubiony smakołyk, więc pochłonał wszystkie, jedną po drugiej. Nie przypuszczaliśmy, że trzeba będzie tak długo czekać na skutek: pierwsza pomarańcza pojawiła się w odchodach Samsona dopiero po jedenastu godzinach, pod postacią schludnej połówki. Ostatnia wyszła drugą stroną aż dziewiętnaście godzin później! Wynik eksperymentu – w połączeniu z analizą białek zawartych w kale – wywołał ożywioną dyskusję na temat zaskakującego braku efektywności trawienia u słoni.

Zawsze podziwiałam Davida, że nie stawiał ludziom wymagań, których sam nie mógł spełnić. Jego fachowość i rzetelność w pracy wzbudzały najwyższy szacunek, a prowadzone przez niego badania przysporzyły cennych i wiarygodnych danych o bioróżnorodności Tsavo. W chwilach wolnych od obserwacji słoni David sporządził pełny wykaz ptaków występujących w parku, uzupełniony z czasem zestawieniem tutejszych gryzoni. Żeby schwytać i opisać rzadkie gatunki żerujące po zmroku, trzeba było organizować specjalne wypady. Fascynujące nocne eskapady na myszy stały się wkrótce naszą codziennością. Co ciekawsze okazy trzymaliśmy na tylnej werandzie domu Davida, w skrzyniach wypełnio-

nych ziemią, żeby mogły kopać w niej korytarze i zakładać gniazda, dostarczając nam materiału do dalszych badań. Do listy swoich obowiązków dopisałam opiekę nad gryzoniami do czasu wypuszczenia ich z powrotem na wolność. Doglądałyśmy skrzynek na zmianę z Jill, zdając sobie nawzajem raporty. Coraz bogatsza wyobraźnia pomagała jej wnikać w wewnętrzne sprawy świata zwierząt.

David na tym nie poprzestał. W naszym biurze zaroilo się od żab, węży i owadów, co mój kolega, śledczy „Metys” Childs, przyjął z wyraźną dezaprobatą. „I tak nie ma się gdzie ruszyć, nawet bez tych cholernych skrzynek ze szczurami, słoików z żabami, worków pełnych żmij i gablotek z nabitymi na szpilki muchami” – skarżył się żałośnie. Tymczasem David wciąż dokonywał nowych odkryć. W jamie zajętej przez guźca, z dala od ludzkich osiedli, znalazł kleszcza roznoszącego zarazki duru powrotnego; schwytał rzadki okaz molosa, przedstawiciela gatunku obserwowanego przedtem wyłącznie w Egipcie; opisał nadrzewną żabę z rodziny sitówkowatych, którą nazwano na jego cześć *Hyperolius sheldricki*; odkrył też nowy gatunek roztocza. David był tak pochłonięty pasją dokumentowania przyrody Tsavo, że coraz częściej odwiedzali nas eksperci, zgłaszający chęć udziału w jego wyprawach badawczych. Alex Duff-Mackay z Coryndon Museum (obecnie kenijskie Muzeum Narodowe) przyjeżdżał do parku regularnie, tuż po pierwszej tropikalnej burzy, zwiastującej koniec długiej pory suchej. Ilekroć pojawiał się na drodze do biura, ubrany w charakterystyczne zielone wodery, „Metys” prychał z pogardą: „O Boże, idzie człowiek-żaba!”.

Pora deszczowa – przypadająca u nas dwa razy w roku: na przełomie kwietnia i maja, kiedy deszcze były wyjątkowo długie i intensywne, oraz na przełomie października i listopada, kiedy lało krócej, za to w łatwiejszych do przewidzenia terminach – powodowała istny wysyp najrozmaitszych żab, rozbrzmiewających po zmroku radosną kakofonią rechotów, skrzeków, kumkań i pohukiwań. Najbardziej lubiłam żaby nadrzewne, których odgłosy przypominały muzykę tysięcy dzwoneczków. Przyjazd Aleksa oznaczał początek sezonu na nocne taplanie w sadzawkach i kałużach, połączone z próbami schwymania przedstawicieli ciekawszych gatunków i nagrania wydawanych przez nie dźwięków. Olbrzymie żaby grzebiące pojawiały się tylko sporadycznie, po wyjątkowo ulewnych deszczach. Skakały z głośnym chlupotem po zalewiskach, gorączkowo szukając pokarmu i chłonąc drapieżną, uzbrojoną w potężne wyrostki kostne paszczą wszystko, co nawinęło im się po drodze: inne żaby, małe gryzonie, węże, a nawet wielkie skorpiony, broniące się do ostatka ciosami kolca jadowego. Kiedy David przedstawił mi Edwarda i poprosił, żebym zajęła się jego karmieniem w luksusowej, wykonanej na zamówienie zagrodzie, wyposażonej w staw i wszystko inne, co było potrzebne do szczęścia żabie grzebiącej, odmówiłam bez wahania, poparta przez „Metysa”, który spytał Davida wprost: „Odbiło ci?”.

Bardzo interesującym gościem był słynny herpetolog C.J.P. Ionides, przy którym David ze swoją kolekcją węży mógł uchodzić najwyżej za amatora. Jodynes – jak go czule przeważaliśmy – był dość barwnym dziwakiem, który nie wiedział, co to strach, i potrafił się całkiem zatracić w pogoni za którymś ze swoich ulubionych węży. Pasjonowały go do tego stopnia, że czasem pozwalał im się nawet ukąsić, po czym siadał i kontrolował swoje sa-

mopoczucie aż do chwili, kiedy zaczynał sprawiać wrażenie, jakby wybierał się na tamten świat. Dopiero wówczas robił sobie zastrzyk z surowicy i notował postępy rekonwalescencji. Umiał wyłuskać gada z najmniej spodziewanej i często trudno dostępnej kryjówki. Pół godziny po przyjeździe do parku wypadał z biura ze swoim sprzętem do łapania węży – w przekrzywionej na bakier filcowej czapce i przylepionym do wargi papierosem – szturchał okoliczne krzaki, zdejmował z drzew dysfolidy i upychał do worków plujące jadem kobry. Wkurzał „Metysa” najbardziej ze wszystkich gości – ku mojej nieopisanej uciechu.

Niedługo po tym, jak David znalazł różowawego węża z rodziny połozowatych, którego Jodynes uznał za wystarczająco ciekawy okaz, by przesłać go do muzeum w Nairobi, kampania przeciwko kłusownikom weszła w fazę końcową. Krążyły pogłoski, że w rejonie Ushingu, na północny wschód od granicy parku, ukryto mnóstwo kości słoniowej. Żeby wybadać sprawę, skierowano tam Oddział Voi pod wodzą Billa. W regionie nie było rzek ani innych wyraźnych punktów orientacyjnych, odszukanie szkieletów słoni w ciągnącym się aż po horyzont kłębowisku chaszczy okazało się zadaniem niemal ponad siły. Bill wiedział jednak z własnych doświadczeń, co poradzić swoim ludziom: „Zaglądajcie pod przewrócone wilczomlecze”. Olbrzymie sukulenty łamały się pod ciężarem stad sępów, pełniących wartę na czubku, żeby odstraszyć inne drapieżniki.

Po wielu dniach poszukiwań w trudnym i niebezpiecznym terenie, gdzie nieraz trzeba było stanąć oko w oko z lwem lub agresywnym słoniem, odnaleziono ponure szczątki jakiegoś kłusownika, ponad pięćdziesiąt kryjówek, zwłoki trzystu osiemdziesięciu jeden słoni i dziewięćdziesiąt dwa ciosy.

David postanowił wysłać wszystkie trzy oddziały do walki z kłusownictwem w rejon Dadimabule, w połowie drogi między rzekami Galana i Tana. Warunki znów okazały się trudne, rezultat przeszedł jednak wszelkie oczekiwania: w kryjówekach schowano trzysta pięćdziesiąt dwa ciosy, ważące ogółem prawie trzy tony, oraz ponad siedemset kilogramów mięsa od zadu oraz innych fragmentów tusz słoniowych. Strażnicy odnaleźli tysiąc dwieście osiemdziesiąt martwych zwierząt, w tym zwłoki prawie dwustu słoniątek, leżące przy ciałach zabitych słonic. Trudno sobie wyobrazić cierpienie tych tragicznie osieroconych maleństw o uszach boleśnie pokaleczonych i wyschniętych na wiór w palącym słońcu Tsavo, płaczących bezradnie po stracie matek, które musiały przeczekać w agonii, jaki los czeka ich młode – udręka samotności, a w końcu śmierć z głodu i odwodnienia albo w paszczy zgłodniałego lwa.

Podczas kampanii przeciwko kłusownikom odzyskano niemal dwanaście ton kości słoniowej, którą wystawiono później na dorocznej licytacji w Mombasie. Dzięki dochodom ze sprzedaży udało się pokryć z nawiązką koszty trzyletniej operacji. David uznał, że skala kłusowniczego procederu w pełni uzasadniła surowość przedsięwziętych przez niego środków. Rzeź takich rozmiarów trzeba było powstrzymać za wszelką cenę. Kampania przyniosła jednak również negatywne skutki: odkąd park stał się miejscem względnie bezpiecznym dla słoni, zaczęły ściągać do niego stada z sąsiednich terenów, zwłaszcza z okolic, gdzie gwałtownie przybywało ludności. Wyprawy poza granice parku uzmysłowiły nam dobitnie,

że słonie są sprawcami ogromnych zniszczeń w świecie roślinnym – ze względu na swoje zwyczaje pokarmowe i wzorce wędrówek. Widywałam całe połacie ziemi w pobliżu stałych źródeł wody, które teraz przypominały pola bitwy, zasłane stosami ogryzionych do czysta gałęzi, najczęściej balsamowca. Ostawały się tylko pojedyncze drzewa. Zdarzyło nam się przyłapać na gorącym uczynku także Samsona i Fatumę, zwłaszcza po deszczu, kiedy słoniątka tryskały energią, trąbiły ze wszystkich sił i ścigały się wokół rosnących pod oknami biura balsamowców, dając coś w rodzaju niszowego przedstawienia, opartego na faktach rozgrywających się na znacznie szerszą skalę w całym parku. Powalone i okaleczone drzewa stały się wkrótce ponurym symbolem Tsavo East. W prasie pojawiły się apele o podjęcie natychmiastowej akcji zaradczej: „Za dużo słoni! Coś trzeba z tym zrobić!”. Dziennikarze na ogół kibicowali naszej walce z kłusownictwem, więc przywoływanie w jej kontekście problemu niekontrolowanego wzrostu populacji słoni i nieodwracalnych zniszczeń środowiska naturalnego stało się dla nas źródłem głębokiego stresu. Przerazała nas perspektywa pójścia w ślady Południowoafrykańczyków, którzy co roku dokonywali „selekcji” swoich słoni, żeby utrzymać populację na tym samym poziomie. Nie chcąc marnować surowca, przerabiali potem ich mięso na karmę dla psów. Czy to samo czekało nas w Kenii? Czy mieliśmy teraz przekonywać byłych kłusowników do zabijania słoni na skalę masową, skoro sami zdążyli się już odzegnać od tego procederu?

Pomyślnie zakończenie kampanii przeciwko kłusownictwu zaowocowało stosownym uznaniem dla Davida, czyli Orderem Imperium Brytyjskiego, przyznany 13 czerwca 1959 roku, w ramach obchodów urodzin królowej. Znacznie bardziej ucieszyła go jednak spontaniczna kapitulacja legendarnego Galogalo Kafonde, który przyszedł na posterunek w Malindi i zażądał spotkania z Bwaną Saa Nane. Do siedziby władz parku odstawiono go w kajdankach i pod eskortą policji, a mimo to roztaczał wokół siebie aurę spokoju i siły, cechującą także Davida. Sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego złudzeń i zmęczonego nieustanną ucieczką. Chciał ponieść karę i żyć dalej w spokoju. Na pytania odpowiadał szczerze, rzeczowo i bez ogródek. Zaimponował mi swoją odwagą. Pod koniec jednego z przesłuchań spojrzął Davidowi prosto w oczy i rzekł: „Ze słoniami koniec. Winni są bogacze, którzy domagają się coraz więcej towaru. Boję się zagłady tych zwierząt, podobnie jak pan, bo są nieodłączną częścią naszej kultury i dnia codziennego. Waliangulu zawsze żyli wśród słoni i polowali na nie z szacunkiem, jak prawdziwi mężczyźni, biorąc na cel tylko duże samce i oszczędzając słonice z małymi. Teraz przyszli obcy, którzy mordują je wbrew zasadom sztuki myśliwskiej, dla czystego zysku. Nie chcę w tym brać udziału i przysięgam, że już nigdy nie zapoluję na słonie”. David odparł krótko: „Wierzę ci”. Od tamtej pory nie przyłapaliśmy w Parku Narodowym Tsavo żadnego kłusownika z plemienia Waliangulu.

Pod koniec 1959 roku, kiedy udało się zapanować nad kłusownictwem w parku i jego najbliższym sąsiedztwie, przyszła pora na rozwiązanie dwóch jednostek Departamentu Myślistwa: oddziałów Makindu i Hola. Strażnicy wrócili do swoich codziennych obowiązków. Przyjęcie pożegnalne w hotelu Voi było huczne jak zwykle, bez troską libację przesło-

nił jednak cień smutku. Podczas kampanii nawiązaliśmy mnóstwo nieoczekiwanych przyjaźni i zadzierzgnęliśmy silne więzi z kolegami. Wspólnie przezwyciężaliśmy trudności, razem przeżywaliśmy wzloty i upadki. Rozstawaliśmy się z prawdziwym żalem. Zżyłam się zwłaszcza z „Metyssem”, moim współtowarzyszem z biura i obiektem bezustannych docinków. Niestety, wkrótce potem wyjechał do Anglii i już nigdy się nie spotkaliśmy. Wspominałam go latami, zastanawiając się, czy ma świadomość, że wciąż jesteśmy mu wdzięczni za jego nieoceniony wkład w ochronę słoni z Tsavo.

David musiał zdecydować o dalszym losie przodowników drużyny do walki z kłusownikami. Mój brat Peter przejął pieczę nad północną częścią Tsavo i zamieszkał w pięknym wiejskim domu na zboczu Ithumba Hill. Krystalicznie czysty strumyk zapewniał mu stały dostęp do wody, a ze wzgórza roztaczał się wspaniały widok na masyw Kimathena, ciągnący się wzdłuż północnej granicy parku. Peter miał doglądać prac przy zagospodarowaniu tamtejszych obszarów i sprawować nadzór nad kilkoma z moich najulubieńszych zakątków Tsavo, włączając w to opiekę nad stadem wielkich słoni znad piaszczystej rzeki Tiva. Podobnie jak David, musiał okiełznywać przyrodę, a przy tym zachowywać ją w stanie dzikim. Peter odziedziczył charakter po ojcu i byłam pewna, że wywiąże się skrupulatnie z powierzonych mu zadań. Kochałam brata i cieszyłam się z jego sukcesu. Z pozoru otwarty i wylewny, w gruncie rzeczy był nieśmiałym introwertykiem, więc jego osiągnięcia napawały mnie prawdziwą dumą.

Peter dostał już przydział, ale co z Billem – a tym samym ze mną i Jill? Pewnego pogodnego ranka David zjawił się w biurze i wręczył mi jakąś notatkę. Poprosił mnie, żebym przepisała ją na maszynie i wysłała do Mervyna Cowiego, dyrektora parków narodowych. Oto jej treść:

W Raporcie rocznym parków narodowych znalazły się słowa uznania za mój wkład w kampanię przeciwko kłusownikom, na które w znacznej mierze nie zasłużyłem. Chciałbym podkreślić, że wszelkie sukcesy, jakie dotychczas odnieśliśmy na tym polu, zawdzięczamy przede wszystkim wysiłkom Billa Woodleya, który dążył niezmordowanie do ukrócenia procederu nielegalnych polowań, zarażając swym entuzjazmem wszystkich współpracowników. Pokonywał rozliczne trudności, żeby zdobyć niezbędne informacje i poznać teren, na którym grasowali kłusownicy. Metody stosowane przez Billa i jego podkomendnych zostały przyjęte bez zastrzeżeń przez pozostałe dwa oddziały – ze wspaniałym rezultatem. Bill dysponuje niezrównaną wiedzą o plemieniu Waliangulu, z której chętnie korzystali dowódcy innych oddziałów. Zważywszy na powyższe okoliczności, byłbym wdzięczny za osobne wyrazy uznania dla jego pracy. Bardzo mi zależy, żeby jego wkład w kampanię został odpowiednio doceniony.

I został. Pułkownik Cowie przyjechał do Tsavo East, żeby pogratulować wszystkim uczestnikom tych zmagania, szczególnie jednak wyróżnił Billa i zaproponował mu awans –

posadę głównego strażnika parków narodowych Aberdare i Mount Kenya. Kiedy Bill uściśnął mi dłoń – co wszyscy przyjęli z uśmiechem – poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. Nyeri leżało prawie pięćset kilometrów od Tsavo. Przeprowadzka oznaczała rozłąkę z Davidem. Miałam mętlik w głowie, choć byłam dumna, że wysiłki Billa spotkały się z tak wielkim uznaniem. Myślałam, że serce mi pęknie. Wymknęłam się z pokoju i pobiegałam na oślep przed siebie.

Potrzebowałam samotności, żeby zebrać myśli. Wkrótce znalazłam się w buszu. Usiadłam pod starym, sękatym balsamowcem i tak długo próbowałam uporać się ze swym problemem, aż wybuchnęłam płaczem. Zaczęłam powoli się skupiać. Wiedziałam, że Bill nie zasłużył na życie w kłamstwie. Nie potrafiłabym wymazać Davida z serca i z pamięci, ale byłam w pełni świadoma, że piętno rozwodu uczyniłoby ze mnie wyrzutka i zaszkodziło wszystkim moim bliskim. David nieustannie podkreślał, że nie ma zamiaru powtórnie się żenić, nie mogłam więc wiązać z nim przyszłości, bez względu na szczerość swoich uczuć. Dręczyło mnie poczucie winy, bo opuszczając Billa, pozbawiłabym Jill ojca. Co gorsza, musiałybyśmy przeprowadzić się do Nairobi i utrzymywać z mojej sekretarskiej pensji. Zdawałam sobie sprawę, że w tej sytuacji nie mogłabym liczyć na pomoc Billa.

Przeraziła mnie myśl o powrocie do Nairobi. Nie wyobrażałam sobie życia w mieście wraz z Jill. Tsavo stało się balsamem na nasze dusze i chciałam tu zostać na zawsze, u boku mężczyzny, który był dla mnie stworzony. Jakżebym mogła – nawet dla dobra najukochańszej córki – porzucić Tsavo i Davida dla związku, w którym uchowało się tyle ciepła, co we mgłę okrywającej góry, gdzie mieliśmy teraz zamieszkać?

I wtedy uświadomiłam sobie z zaskakującą trzeźwością, że powinnam z tym skończyć, bez względu na koszty. Przeprowadzę się do rodziny, znajdę pracę w Nairobi, zapiszę Jill do szkoły i rozpocznę nowe życie, wykorzystując każdą okazję, żeby odwiedzić Tsavo. Straciłam poczucie czasu i ani się obejrzałam, jak zapadła ciemność. Zrozumiałam, że muszę natychmiast wracać do Jill. Usłyszałam za sobą kroki i wyczułam instynktownie, że to David. Zakłopotana i zbита z tropu, ukryłam twarz w dłoniach i znów zaczęłam płakać. Przemówił do mnie łagodnie: „Daphne, to dla twojego dobra. Twoja przyszłość jest z Bilem i Jill, nie ze mną w Tsavo. Z czasem zapomnisz, że w ogóle istniałem. Wiem, że pokochasz te góry, tak samo jak wcześniej Tsavo”.

Oślupiałam. Moje marzenia legły w gruzach: „Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – wymamrotałam przez łzy. – Idź sobie! Nienawidzę cię!”. David wziął mnie w ramiona, przytulił do piersi, pogłaskał po włosach i szepnął: „Tak będzie lepiej dla nas obojga”. Jego kurtka pachniała tytoniem i mydłem. Przywarłam do niego rozpaczliwie, ale wyswobodził się z uścisku. Zabrał mnie do siebie i poczęstował brandy. Kiedy się trochę uspokoiłam, odwiózł mnie do domu, przepraszając Billa za spóźnienie.

Usiadłam na sofie, rozczochrana i zrozpaczona. Bill wyczuł od razu, że jestem na skraju załamania nerwowego. „Porozmawiaj ze mną, Daphne – poprosił. – Musimy to razem rozwiązać”. Jakimś cudem zdobyłam się na odwagę, żeby mu wszystko wyznać – że nie mam zamiaru jechać z nim do Nyeri i chcę rozwodu. Na chwilę odwrócił wzrok, potem jednak

przyznał, że już od pewnego czasu się tego domyślał. Zaczął się obwiniać. Sam też nie był aniołem. Rozmawialiśmy do późna w nocy, przede wszystkim o Jill, potem o naszych planach na przyszłość. Postanowiliśmy, że do wyjazdu z Tsavo spróbujemy zachować pozory, tymczasem ja przekażę wieści rodzinie. Udało nam się uniknąć gorzkich wzajemnych oskarżeń, docenić łączącą nas więź i zrozumieć, że ta decyzja była niezbędna. Mogłam dziękować losowi, że Bill odniósł się do sprawy z godnością i stoickim spokojem. Jego zgoda na separację nie tylko uchroniła przed traumą Jill, ale też scementowała naszą wieloletnią przyjaźń. Kiedy wreszcie zmogła mnie senność, pomyślałam o babci Webb i o tym, jak bardzo za nią tęsknię – przewidziała taki rozwój wypadków i żałowałam, że już jej nie ma, bo z pewnością potrafiłaby udzielić mi mądrej rady na tym niepewnym etapie życia.

Nazajutrz, kiedy David przyszedł do biura, powiedziałam mu o naszej wspólnej decyzji z Bille, oczekując mimo wszystko, że doda mi otuchy i ucieszy się z tej nowiny. Spojrzał na mnie ostro i powiedział: „Czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz, Daphne? Mam nadzieję, że nie przyczyniłem się mimowolnie do takiego rozwiązania i że nie więziesz swojej przyszłości ze mną”. Poczułam się, jakby wymierzył mi cios w żołądek. Straciłam panowanie nad sobą. „Żebyś się nie zdziwił, mądralo” – odpaliłam i wyszłam demonstracyjnie z pokoju. W tamtej chwili serdecznie go nienawidziłam. W drodze do domu złożyłam sobie uroczystą przysięgę, że moja noga więcej nie postanie w tym biurze.

Nie muszę chyba dodawać, że szybko się rozmyśliłam, a David już następnego dnia przeprosił mnie za swój nietakt. Wyczułam, że ma do mnie jakąś sprawę. Był w bardzo koncyliacyjnym nastroju. Powiedział mi przy kawie, że do Tsavo przylatuje wybitny uczonec sir Julian Huxley i kilku innych badaczy zajmujących się wpływem słońca na środowisko naturalne. Planowano urządzić safari w północnej części parku. David spytał, czy mogłabym z nimi pojechać i zająć się aprowizacją w obozie. Bill uznał, że obie z Jill powinnyśmy nacieszyć się jeszcze jednym safari. Sam musiał odnowić zezwolenie na odstrzał słońca, poza tym zamierzał spędzić trochę czasu z Eugene, z którą i tak wybierał się na polowanie.

Goście mieli przybyć lada dzień, oddział zwiadowczy ruszył więc przodem, żeby rozbić obozowisko. Uwielbiałam nocować w buszu i doskonale wiedziałam, jak się zabrać do rzeczy, w razie potrzeby odwołując się do sprawdzonej, podręcznej „listy zakupów”. David był perfekcjonistą w każdym calu. Jego safari – w przeciwieństwie do urządzanych przez Billa – oferowały klientom wszelkie luksusy. Inna sprawa, że David eskortował wiele ważnych osobistości, i to jeszcze w czasach, kiedy pracował dla Safarilandu, jednej z pierwszych profesjonalnych firm organizujących polowania na grubego zwierza: podejmował między innymi Agę Chana III z jego potężnym dworem. Uśmiełam się na wspomnienie ojca, który miał wyrobione zdanie o zwyczajach biwakowych mojego męża. David dysponował nawet lodówką polową, co w tamtych czasach uchodziło za szczyt fanaberii. Mieściła się w solidnej skrzyni, otwieranej z przodu i z tyłu, i bardzo ułatwiała prowadzenie kuchni na biwaku, bo mogliśmy wziąć ze sobą dużo świeżego prowiantu. Pakowanie frykasów do schludnych, pomalowanych na zielono i ponumerowanych skrzyń safari sprawiało mi wielką przyjemność. Podobnie jak matka i moje przodkinie pionierki, potrafiłam wypie-

kać w buszu pyszny chleb i ciasta, które zawsze robiły wrażenie na naszych szacownych gościach, a co ważniejsze, na Davidzie. Jako piec służyła mi pusta beczka po oleju parafinowym, wyposażona w poprzeczną płytę i drzwiczki z przodu. Temperaturę wewnątrz można było regulować bez trudu, sypiąc odpowiednią ilość węgla na wierzch i wokół beczki. Wystarczyło tylko umiejętnie rozłożyć żar. Miałam też w zanadrzu inne wypróbowane sposoby naszych prababek. Marchew i inne warzywa okopowe trzymały się dłużej przechowywane w wilgotnej ziemi. Nieoskubany drób należało wypatroszyć, nadziać liśćmi i węglem drzewnym, po czym zawiesić w przewiewnym miejscu.

Namioty rozstawiane pod okiem Davida rozmnożyły się jak grzyby po deszczu już w kilka minut po naszym przyjeździe. Jill i ja zabrałyśmy się skrzętnie do zbierania drewna, żeby rozpałić wielkie ognisko i wybrać z niego żar do podgrzania wody na upragnioną herbatę. Czajnik polowy należał do mnie: olbrzymi, ważący chyba tonę potwór z czarnego żeliwa przyjechał ze stryjecznym dziadkiem Willem aż z Afryki Południowej. Choć na wrzątek czekało się całe wieki, czajnik wyjątkowo dobrze trzymał ciepło. Wystarczyło go raz nagrzać, żeby potem mieć kawę i herbatę na zawołanie. Byłam spokojna, że Jill zna reguły zachowania podczas safari, instynktownie unika węży i skorpionów schowanych w szczelinach i załomkach powalonych gałęzi, które zbierałyśmy na opał, i wie, że nie wolno oddalać się zanadto od namiotów. Zanim herbata zdążyła się zaparzyć, obóz był gotowy. Na rozkładanych łóżkach położyliśmy płócienne śpiwory. Stoły w jadalni polowej nakryliśmy bajecznie kolorowymi obrusami. Przy każdym namiocie stanęła miska z gorącą wodą, na odciągach zawisły ręczniki, przymocowane klamerkami do bielizny. David starannie wybierał okolicę, w której zamierzał rozbić obóz. Dbał o piękne widoki, pamiętał, żeby się zatroszczyć o kawałek cienia i możliwie bliski dostęp do wody. Oświetlenie zapewniał sznur dwunastowoltowych żarówek podłączonych do akumulatora w samochodzie. Każdy mógł zażyć gorącej kąpieli lub zimnego tuszu, wychodząc z kabiny wprost na bambusową matę, żeby nie pobrudzić nóg. Pysznic zastępowała beczka wyposażona w sitko, przytwierdzona liną do gałęzi i wypełniona wodą o odpowiedniej temperaturze. Tak pieczołowicie urządzone luksusowe kempingi były rzadkością w latach pięćdziesiątych. Dziś to już standard, który na nikim nie robi wrażenia.

Dzień przed przybyciem gości, kiedy Jill i pracownicy obsługi safari poszli już spać, zostaliśmy z Davidem sami przy ognisku. Rozmawialiśmy do późna, dzieląc się wspomnieniami i wpatrując w żar, który powoli dogasał przy wtórze nocnej muzyki – smętnego popiskiwania sóweczki sawannowej, odległych ryków lwa, odgłosów pluskania słoni gaszących pragnienie w dole rzeki. Kiedy z ogniska zostały już tylko pełgające węgielki, wyzbyliśmy się wszelkich zahamowań i daliśmy ujście przyczajonej w naszych oczach tęsknocie. David objął mnie ramieniem i odprowadził do namiotu. Przy wejściu zawahał się, jakby miał zamiar odejść, po chwili jednak znów się odwrócił, przygarnął mnie mocno do siebie, zaczął całować po wargach, po włosach, oczach i szyi, po czym spytał szeptem, czy moglibyśmy spędzić tę noc razem, tylko ten jeden raz.

Wydarzenia tamtego wieczoru zostawiły niezatarty ślad w mojej duszy. To była noc cu-

dów, zarzewie wszechogarniającej miłości, która nigdy nie zazna zwątpienia. Magiczna noc, podczas której David okazał mi taką namiętność i taką czułość, jakich nie spodziewałam się nawet w najskrytszych marzeniach. Oddałabym resztę życia, żeby doświadczyć tego raz jeszcze. Chowam to wspomnienie w głębi serca, razem z niezatartym obrazem twarzy Davida.

Kiedy księżyc zajaśniał chłodnym żółtym blaskiem w przedsionku namiotu, zrozumiałam, że nigdy nie przestanę kochać tego mężczyzny.

O świcie nadeszło poczucie winy, a wkrótce potem zjawili się goście. Od tamtej pory nie oparliśmy się żadnej okazji, żeby wykraść chwilę dla siebie, choćby w najdziwniejszym i najmniej spodziewanym miejscu. Znałam już nie tylko umysł Davida, ale też jego ciało. Obydwa mocne i piękne.

7. NOWE POCZĄTKI

*Bo mój mężczyzna jest warty zachodu:
wszystkie doń ciągną jak pszczoły do miodu.
Każdej przez niego serduszko trzepoce,
każda śni o nim przez caluśkie noce.
Znajdzie się wśród nich cnotka i niecnota,
znajdzie się dziewczę z kosą jak ze złota,
ale ze wszystkich, co z miłości płoną,
tylko ja jedna będę jego żoną.*

Anonim

Pod koniec 1958 roku opuściliśmy z Jill dzikie połączenie Tsavo i przeniosliśmy się do Nairobi. Wprowadziłyśmy się do rodziny Sheili. Wkrótce znalazłam pracę sekretarki w biurze finansowym. Czułam się w mieście okropnie, ale na szczęście Jill oswoiła się z nowym trybem życia, weszła w świetną komitewę z Alistairem i Valerie, swoim rodzeństwem ciotecznym, i zaczęła uczęszczać do pobliskiego przedszkola. Sheila i jej mąż Jim przyjęli nas z otwartymi ramionami. Co wieczór po naszym powrocie z pracy dom rozbrzmiewał radosnym szczebiotem dzieci i grą na fortepianie. Najgorsze były noce: wciąż rozmyślałam nad swoją decyzją, targana rozterką i niepokojem. David nawet się nie zająknął o naszym związku. W dniu wyjazdu z Tsavo, kiedy nocny pociąg ruszył z peronu na stacji Voi, patrzyłam z oczyma pełnymi łez, jak jego smukła sylwetka powoli się oddala, a tam, gdzie jeszcze przed chwilą widać było dworzec, majaczy już tylko żółta poświata na horyzoncie. Wiedziałam, że nie potrafię żyć bez niego. Tymczasem David dawał mi jasno do zrozumienia, że wyszedł za dużo pokieroszowany z pierwszego małżeństwa, żeby brać pod uwagę kolejne. Nie miałam pojęcia, co teraz pocznę. Przetrwałam ten smutny czas tylko dzięki wsparciu i miłości rodziny oraz nieustannej pogodzie ducha mojej córki.

Posadę załatwiła mi młodsza siostra, Betty, która pracowała w tym samym biurze, tylko z innym szefem. Jej narzeczony Graham Bales, człowiek niezwykle uczynny, już od pewnego czasu był ulubieńcem naszej rodziny. W dzieciństwie rzadko widywałam się z Betty: wystarczyły cztery lata różnicy, żeby nasze drogi w szkole całkiem się rozminęły. Kiedy wyprowadziłam się z domu, siostra była raptem piętnastolatką, więc z tym większą przyjemnością weszłam w bliższą zażyłość z nią i Grahamem, którego poznała w kaplicy baptystów. Byłam zaskoczona, że Betty – mimo swojej religijności – nie próbuje mnie oceniać i darzy sympatią zarówno Davida, jak i Billa. Graham był istnym wcieleniem dobroci i nie miałam żadnych wątpliwości, że okaże się wspaniałym mężem. Cieszyłam się ze szczęścia Betty – i sama byłam szczęśliwa, że Jill może spędzać czas w towarzystwie kuzynów i ciotek.

Jill, podobnie jak ja, tęskniła za otwartą przestrzenią buszu. Bill osiedlił się wkrótce w Nyeri, u podnóża gór Aberdare, które znał jak własną kieszeń. Jill odwiedzała go z radością przy każdej nadarzającej się okazji. Na mnie spadł przykry obowiązek wszczęcia procedury rozwodowej i wkrótce wyszło na jaw, że mam tylko dwa wyjścia: złożyć pozew z orzeczeniem winy za znęcanie się, co oczywiście nie wchodziło w grę, albo udowodnić Billowi zdradę. Zdaniem adwokata, zarzut niewierności dałoby się uprawdopodobnić bez większego trudu, wymagało to jednak współpracy Billa i zaciągnięcia sporej pożyczki u ojca, żeby wynająć detektywa, który „przyłapałby” mojego męża i podstawioną partnerkę na meldowaniu się w hotelu pod jego nazwiskiem. Nazajutrz rano detektyw potwierdziłby, że opuścili hotel razem, przedtem zaś korzystali z tego samego łóżka. Świadcstwo pracownika agencji detektywistycznej i odpowiedni wpis w rejestrze gości powinny wystarczyć jako dowody w postępowaniu sądowym. Adwokat zapewnił, że niedobre pary często uciekają się do takiego wybiegu, żeby uzyskać rozwód. Bill zgodził się uczestniczyć w tej maskaradzie, choć potem wyznał, że wolałby pójść do łóżka z Eugene niż z kobietą, z którą znalazł się sam na sam w pokoju. Po okazaniu „dowodów” sąd wydał wyrok tymczasowy, który uprawomocnił się dopiero po roku. Mój pierwszy mąż był aż zabawny w swojej chęci niesienia pomocy. Po rozwodzie zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, co zdaje się wszystkich zadziwiać. Z naszego punktu widzenia oboje popełniliśmy ten sam błąd młodości i postanowiliśmy rozstać się w zgodzie.

Moje myśli wędrowały jednak dzień w dzień do Davida i odległego o niemal pięćset kilometrów Tsavo. Tęskniłam okropnie i żyłam od listu do listu, wpadając w rozpacz, ilekroć David napomknął o sobotnich wieczorkach w hotelu Voi. Chciałam poznać Kanderiego i Arubę, dwie nowo odratowane sieroty, powitane z radością przez Samsona i Fatumę. Samson miał już prawie dwa metry wzrostu, został samozwańczym „starostą” grupy i obiektem bałwochwalczego podziwu młodego samca imieniem Kanderi. Fatuma, prawem matriarchatu dzierżąca przywództwo stada, zaopiekowała się zarówno Kanderim, jak i Arubą. Obydwa starsze słonie spotykały się z wolno żyjącymi pobratymcami podczas wypadów nad rzekę Voi, gdzie zażywały kąpieli, żeby ochłonać od najgorszych upałów. David napisał mi o Fatumie, która pewnego dnia wybrała się na wagary, zamierzając dołączyć do dzikiego stada razem z Kanderim i Arubą. Skoro nie wróciły do zmięzchu, David zaczął podejrzewać, że nadeszła pora rozstania. Samson był w nocy bardzo niespokojny, trąbił i porykiwał, wyraźnie tęskniąc za trójką przyjaciół. Nazajutrz rano wpadł w jeszcze większą rozpacz. Nie pozwolił opiekunom wyprowadzić się na codzienny spacer po buszu, stracił nawet zainteresowanie jedzeniem. Strużki wydzieliny płynące z gruczołów skroniowych świadczyły dobitnie o jego stresie.

David akurat miał gości. Tamtego wieczoru, w drodze powrotnej z Mudandy, napotkali stado złożone mniej więcej z dwudziestu pięciu osobników pasących się na otwartej równinie. Na widok samochodu słonie rzuciły się do ucieczki. W tyle zostały tylko trzy znajome sylwetki, wyraźnie zdumione nerwową reakcją dzikich towarzyszy. „Od razu rozpoznałem Fatumę – pisał David – więc wysiadłem z wozu, żeby ją zawołać. Przybiegła do mnie

pędem, prowadząc za sobą Kanderiego i Arubę. Usiłowała mnie skłonić, żebyśmy razem dołączyli do stada. Przystawała co chwilę, oglądając się przez ramię, żeby sprawdzić, czy za nią idę. Kiedy zrozumiała, że nie mam zamiaru się ruszyć, przydreptała z powrotem, cicho poburkując, i objęła mnie trąbą. Staliśmy razem, dopóki stado nie znikło. Dałem znak gościom, żeby odjechali i wróciłem do domu na piechotę – z Fatumą, Kanderim i Arubą”.

Dalej nastąpił opis przechadzki w towarzystwie słoń. Wyobraziłam ją sobie krok po kroku, jakbym w niej uczestniczyła. Noc była ciemna, choć oko wykol. W oddali majaczył tylko niewyraźny zarys góry Mazinga. Widzialność nie przekraczała kilku metrów. Mimo to słońce bezbłędnie rozpoznawały szlak i szły naprzód bez wahania. Ku wzruszeniu Davida zdawały się rozumieć, że ich opiekun gorzej sobie radzi w ciemnościach i potrzebuje przewodnika. Kiedy mrok zaczął gęstnieć, zbiły się w jeszcze ciaśniejszą gromadkę. David, wepchnięty między Fatumę i Kanderiego, położył rękę na przedniej nodze słonicy, która próbowała zgrać rytm swoich kroków z tempem jego marszu. Wiedział, że mijali po ciemku inne stada słoń. Słyszał ich odgłosy, czuł nawet ich zapach, więc tym bardziej był zdziwiony, że osieroczone słońka unikały kontaktu z pobratymcami. Być może instynkt im podpowiadał, że dzikie zwierzęta uznają go za intruza. „Dostałem wstrząsającą lekcję pokory – ciągnął David. – Poczułem się dopuszczony do wspólnoty, całkowicie bezpieczny, zdany na opiekę słoń, jakbym sam był jednym z nich. Szkoda, że ludzie nie potrafią tak celnie rozpoznawać otoczenia węchem ani słuchem i muszą polegać przede wszystkim na zmyśle wzroku. Droga powrotna zajęła nam cztery godziny. Żałuj, że nie widziałas, jak powitał nas Samson. Dosłownie tańczył z radości”.

Relacja Davida wzmogła moją tęsknotę za Tsavo. Jakże byłam szczęśliwa, kiedy mniej więcej tydzień później, tuż przed przerwą wielkanocną, David zaprosił mnie do obejrzenia świeżo ukończonej ambony obserwacyjnej nad brzegiem rzeki Tiva. Dodał, że zaproszenie dotyczy też moich rodziców, którzy z pewnością chętnie zobaczą się z Peterem. Dzięki temu zyskałam odpowiednią obstawę. W tamtych czasach nie wypadało samotnej dziewczynie przebywać w domu sam na sam z mężczyzną stanu wolnego. Rodzice zgodzili się spotkać ze mną w Tsavo, a Sheila zaproponowała, że zaopiekuje się Jill, która z zachwytem przyjęła perspektywę spędzenia kilku dni z ciotecznym rodzeństwem. Nigdy nie zapomnę tej pierwszej podróży z Nairobi do Tsavo – prosto z pracy poszłam na dworzec, wsiadłam w nocny pociąg do Mombasy, zapadłam w drzemkę przy wtórze monotonnego stukotu kół i obudziłam się tuż przed świtem, widząc za oknem busz skąpany w ostatnich promieniach księżyca. Kiedy pociąg przetoczył się obok stacyjki Tsavo i na szybie zatańczyły widmowe cienie, pomyślałam o osławionych lwach ludojadach, które włóczyły się kiedyś po peronie i wyciągały podróżnych wprost z wagonów. Ofiarą ich żarłoczności padły setki indyjskich robotników zatrudnionych przy budowie kolei. Gdy mój zegarek wskazał czwartą nad ranem i pociąg zaczął się zbliżać do celu, serce zadrżało mi z podniecenia. Wkrótce dostrzegłam znajomą poświatę nad stacją Voi i wypatrzyłam na peronie smukłą sylwetkę Davida. Nadludzkim wysiłkiem woli udało mi się zejść statecznie po schodkach wagonu, musnąć Davida w policzek – na oczach zgromadzonego przed dworcem tłumu – podać mu torbę

i przejść do samochodu. Ledwie wyjechaliśmy z miasta, David zatrzymał wóz, chwycił mnie w ramiona, z całej siły przytulił i zaczął namiętnie całować.

Rano czekało mnie mnóstwo radości ze spotkania z rodzicami, gorącego przyjęcia przez cały personel parku i wizyty w zagrodzie Samsona i Fatumy, które z dumą przedstawiły mi dwójkę swoich nowych przyjaciół. Przy śniadaniu David rozprawiał z ożywieniem o „słoniowym kłopotcie”, który najwyraźniej nie dawał mu spokoju. Sir Julian Huxley doszedł do wniosku, że populację słoni w Tsavo trzeba ograniczyć przynajmniej o jedną trzecią: w przeciwnym razie wkrótce busz zmieni się w pustynię. Była to szokująca konkluzja. Perspektywa masowego odstrzału słoni kojarzyła się z nikczemną zdradą, nikt jednak nie znalazł innego wyjścia z tej sytuacji. Plan gospodarowania zwierzyną na obszarze Galana – w którego ramach wyodrębniono znaczną część terenu między wybrzeżem a wschodnią granicą parku i przekazano członkom plemienia Waliangu, żeby mogli czerpać stały dochód z corocznego odstrzału określonej liczby słoni i innych zwierząt, prowadząc legalny handel kością słoniową, mięsem i skórą jako spółdzielcze gospodarstwo myśliwskie – niestety spalił na panewce. Większość słoni schroniła się w innych częściach Tsavo, a te, które zostały, zdziwiły do tego stopnia, że nie dało się do nich podejść. Tak czy inaczej, David podważał zasadność koncepcji „stałego zysku” i wątpił w możliwość systematycznej „hodowli” dzikich zwierząt. Jedynym rozwiązaniem wydawał się odstrzał samic w wieku rozrodczym w obrębie całej populacji – żeby ograniczyć jej liczebność – w praktyce jednak było to prawie niemożliwe. Stosowana w Afryce Południowej metoda konwencjonalna, polegająca na likwidacji całych rodzin, łagodziła wprawdzie wpływ słoni na środowisko, ale stwarzała im lepsze warunki egzystencji, a w rezultacie zwiększała ich rozrodczość. Samice łączą się w stada na całe życie, wspierają nawzajem i tworzą silne więzi emocjonalne: próba wtargnięcia w ich wspólnotę może wywołać niekontrolowaną agresję i zagrozić bezpieczeństwu turystów.

Coś jednak należało zrobić – presja opinii publicznej okazała się zbyt silna. Kiedy wybraliśmy się z Davidem do Ithumby, żeby obejrzeć nową ambonę obserwacyjną, z miejsca zwróciłam uwagę na ogrom zniszczeń wzdłuż głównych cieków wodnych Tsavo – znacznie poważniejszych niż te, które zaobserwowałam podczas ostatniego pobytu. Zmurszałe gałęzie piętrzyły się w stertach na wypalanej słońcem ziemi. Pnie baobabów były dosłownie wydrążone, niektóre drzewa zdążyły już runąć. „Słoniowy kłopot”, choć z pewnością zaprzętał myśli Davida i spędzał mu sen z powiek, zszedł teraz na dalszy plan. Po tak długiej rozłące cieszyliśmy się każdą wspólnie spędzoną chwilą – mimo krępującej obecności rodziców.

Kiedy dotarliśmy do Ithumby, przekonaliśmy się na własne oczy, że Peter wykonał wspaniałą robotę przy zagospodarowaniu północnej części parku. Zwiedziliśmy przytulnie urządzone kwatery i pomieszczenia biurowe, przespacerowaliśmy się nowo otwartymi szlakami, prowadzącymi do niedostępnych wcześniej zakątków. Zanim doszliśmy do nowej chaty Kathamulla, zrobiło się ciemno. Zatrzymaliśmy się nieopodal i rozbiliśmy obóz w cieniu drzew nad brzegiem rzeki. Rozmawialiśmy szeptem, żeby nie spłoszyć zwierząt.

Nie muszę chyba dodawać, że czatownia – zbudowana według wskazówek Davida – zachwycała rzetelnością wykonania. Równiutkie schody prowadziły do izby z drewna palmowego, ulokowanej nieco poniżej poziomu rzeki i wystarczająco obszernej, by pomieścić sześć łóżek polowych, ustawionych na skośnej podłodze, dzięki czemu można było obserwować rzekę na leżąco. Kilka stopni niżej umieszczono rząd krzeseł, z których roztaczał się widok na poziomie gruntu. Najcudowniejsze, że czatownia była otwarta na rozgwieżdżone niebo. Zajęliśmy miejsca w tym wyśnionym przez Davida teatrze, zastanawiając się tylko, co będzie, jeśli do środka wskoczy lew – mimo że otoczeni byliśmy głębokim rowem. David miał przy sobie strzelbę. Odetchnęłam z ulgą.

Kiedy syczki zaczęły wydawać swoje monotonne gwizdy, nad palmami wstał wielki pomarańczowy księżyc i piasek w dole zajaśniał żółtawym blaskiem. David ujął mnie za rękę. Przeszedł mnie dreszcz i nie mogłam opędnąć się od myśli, że gdyby nie obecność rodziców i brata, byłaby to najbardziej romantyczna noc w moim życiu. Zreflektowałam się jednak, że jesteśmy tu z innego powodu. Ciche piękno tej sceny i tak miało w sobie jakąś magiczną moc.

Trzy cienie samców słońi zamajaczyły na piasku i zbliżyły się do czatowni niczym dostojne zjawy, zatrzymując się tuż przed nami. Zbadały wydrążone w podłożu otwory i zaczęły wyrzucać z nich mokry piach, żeby zassać wodę. Ilekroć największy z nich wkładał sobie trąbę do pyska, obliczałam ukradkiem jej zasięg, żeby mieć pewność, że nie zahaczy o nas. Wkrótce pojawiło się więcej cieni: kiedy podeszły bliżej, ujrzeliśmy co najmniej pięćdziesiąt słońi z młodymi. W nocnych ciemnościach rozbrzmiały pluski, radosne trąbienie, burczenie i dziwaczne kwiki odsuniętego na bok słońiatka. Mogliśmy podpatrzeć obowiązującą w stadzie hierarchię: największy samiec miał bezwzględne pierwszeństwo i reszta posłusznie schodziła mu z drogi. Mniejsze słońie ustępowały miejsca wyższym rangą samcom, dopuszczały jednak do wody najmłodsze słońiatka. Te układne stworzenia ściśle przestrzegały reguł społecznych, przekazywanych w stadzie z pokolenia na pokolenie.

Jakbyśmy oglądali sztukę we wspaniałej obsadzie. Wkrótce na scenę wkroczyły nosorożce – jeden zsunął się z przeciwległej skarpy, gramoląc do wodopoju niezdarnie w porównaniu ze zwinnymi słońiami. Krążył między dołkami w piasku, popiskując żałośnie, że nie może znaleźć otworu, z którego mógłby wygodnie zaspokoić pragnienie. Zanim zdążył coś wymyślić, na dnie koryta pojawił się drugi nosorożec. Zorientowawszy się, że ma konkurenta, przypadł do najbliższego dołka i zaczął gniewnie kołysać się na boki, żeby potwierdzić swoje prawo własności. Dwa rozeźlone samce rozpoczęły wojnę nerwów – sapiąc i parskając, bujały się w przód i w tył przy akompaniamencie groźnych porykiwań, z których jasno wynikało, że to nie przelewki. Nowo przybyły w końcu ustąpił i znalazł sobie inny dołek, skąd najwyraźniej nie miał już zamiaru rezygnować, bo zaczął wygodnie się mościć. Pierwszy nosorożec, widząc, że pozbył się rywala, zabrał się do przekopywania swojego dołka, żeby zmieścić w nim potężny rogaty łeb. Pomagając sobie nogą, wygrzebał w piasku kanał. Zaczął podrzucać głową i poszerzać rogami ujście rowka, co chwila zerkał na konkurenta i odstraszał go złowrogim posapywaniem. Obserwowaliśmy z bliska te

poczynania, zauroczeni widokiem rytualnej próby sił.

Przybycie niewielkiego stada słońic z młodymi dodało spektaklowi tempa. Nosorożce natychmiast podniosły rwetes. Słonice dały się przekonać i odmaszerowały kawałek w górę rzeki. Na chwilę zapadła cisza, ale już wkrótce zjawił się kolejny nosorożec – tym razem samica z małym. Kiedy podeszła do samców, próbując się wprosić do któregoś z zajętych dołków, cała kołomyja zaczęła się od nowa: zasiedziali sybaryci nie mieli zamiaru się ruszyć, a samica dokładała wszelkich starań, żeby ich jednak wykurzyć. W rezultacie nikt nie mógł skorzystać z wodopoju – z obawy, że dostanie rogiem w zadek. Spór skończył się dopiero wówczas, kiedy samica uznała porażkę i zabrała się do poszerzania innego otworu w piasku.

Słonie w górnym odcinku rzeki już dawno ugasiły pragnienie i odeszły do swoich zajęć. Zastanawialiśmy się, dlaczego żaden z nosorożców jeszcze nie próbował się napić. Dopiero gdy jeden podniósł się z zagłębienia w piasku, drugi odważnie zanurzył pysk w wilgotnym dołku. Nie przewidział, że na tym nie koniec atrakcji. Przeoczył słonia wysoko postawionego w hierarchii, który go zaszedł prosto od wielkiego brązowego tyłka i bezwstydnie podrzucił do góry, podkładając ciosy pod spód. Nieszczęsny nosorożec wywinął kozła. Widok był tak pocieszny, że z trudem powstrzymaliśmy się od śmiechu. Zwierzakowi wprawdzie nic się nie stało, ale i tak pożałowaliśmy biedaka, który zebrał się jakoś do kupy i przy wtórze głośnych protestów przystąpił od nowa do szukania wygodnej niecki, zaczynając rzecz jasna od dołka zajętego przez pobratymca.

Czas upływał na obserwowaniu kolejnych nosorożców wdających się w przepychanki. Dopiero nad ranem zostawiliśmy zwierzaki własnemu losowi i poszliśmy spać. Odgłosy walki co rusz budziły nas z nerwowej drzemki. Wreszcie rozśpiewały się ptaki i słońce weszło nad horyzontem, obwieszczając kres mojej pierwszej nocy w chatowni Kathamulla. David ofiarował mi wiele nowych doświadczeń, otworzył mi oczy na całkiem nieznanym świecie, ale tamta cudowna noc, pełna wrażeń i odgłosów, pozostanie na zawsze w mojej pamięci. W oczekiwaniu na landrowera, który miał nas zawieźć do obozu na śniadanie, spacerowaliśmy się wzdłuż rzeki w rześkim chłodzie poranka, szukając śladów nocnej aktywności w postaci ostrej woni świeżego nawozu i wiszącego w powietrzu zapachu samych zwierząt. Kiedy pakowaliśmy rzeczy do samochodu, na scenie zjawili się pierwsi aktorzy porannego spektaklu – ptaki, pawiany i inne małpy, zebry, bawoły, impale i płochliwe kudu.

Perspektywa powrotu do pracy w biurze całkiem zepsuła mi humor. Uświadomiłam sobie z ciężkim sercem, że znów muszę się rozstać z Davidem. Nie zabrakło nam jednak wrażeń w drodze powrotnej. David miał sprawę do załatwienia w siedzibie władz parku i nie chciał robić postojów – nawet na chwilę, żeby popatrzeć na lwicę z młodymi, która rozsiała się na środku szlaku. Kiedy podjechaliśmy bliżej, lwica i jeden kociak uskoczyli na bok, ale dwa pozostałe maluchy puściły się biegiem przed samochodem. Ziemia wzdłuż drogi była zbyt spękana, żeby zboczyć z duktu, więc David przyśpieszył, próbując wyprzedzić kociaki. „Uważaj!” – wrzasnął mój ojciec. Obejrzałam się i zobaczyłam lwicę, która

doganiała nas z błyskawiczną prędkością, z uszami przyklejonymi do łba i wyprężonym ogonem. David docisnął gaz i przez mrozące krew w żyłach okamgnienie zdawało się, że przejedzie maluchy, ale jakimś cudem zdołał je ominąć. Dostrzegłam tylko błysk ostrych zębów i zarys rozcapierzonych pazurów, kiedy się przewróciły na grzbiet, żeby wywinąć spod kół rozpędzonego samochodu. Lwica gnała tuż obok odkrytego landrowera, prawie na wysokości moich kolan, warcząc i prychnąc jak uosobienie kociej furii. Rzuciłam się w głąb wozu, nieomal wypychając na zewnątrz własną matkę, święcie przekonana, że lwica wyląduje za chwilę na moim podołku. Na szczęście nie udało jej się nabrać wystarczającego rozbiegu. W końcu wyrwaliśmy się naprzód, zostawiając ją wraz z kociętami w obłoku czerwonego pyłu. „Miałem głupi pomysł, żeby wejść w drogę lwicy z małymi!” – oznajmił David. Byliśmy zbyt wstrząśnięci, żeby mu odpowiedzieć. Dopiero gdy serce przestało mi walić jak młotem, zdałam sobie sprawę, że przytomność umysłu Davida uratowała nas przed tragedią.

Później, kiedy David odwiózł mnie na stację, odwróciłam twarz, żeby ukryć łzy. Wykorzystaliśmy chwilę prywatności, żeby się nawzajem przytulić, i wtedy zrozumiałam, że David jest równie niepokieszony. Pociąg ruszył z peronu. Zaczęłam się zastanawiać, jak zniosę kolejne miesiące rozłąki.

Od razu po powrocie zaangażowałam się w gorącą dyskusję, która toczyła się we wspólnocie osadników. Zaskoczyła nas wzmianka o „wietrze zmian” w wystąpieniu przed parlamentem południowoafrykańskim brytyjskiego polityka Harolda Macmillana w lutym 1960 roku. Premier rządu konserwatywnego zdradził wtedy zamiar ogłoszenia niepodległości kolonii brytyjskich w Afryce. Kilka miesięcy później wiatr zmian przerodził się w prawdziwą zawieruchę. Jeszcze niedawno rząd zachęcał białych osiedleńców do skorzystania z programu osadnictwa żołnierzy, potem usilnie ich zapewniał, że zapis o równowadze między rasami znajdzie się w nowej konstytucji, a biała społeczność będzie miała zagwarantowane prawo głosu i widoki na przyszłość w niezawisłej Kenii. Teraz do nas dotarło, że Wielka Brytania dąży do czegoś, co mój ojciec nazwał jawną zdradą – wprowadzenia zasady „jeden człowiek, jeden głos”, co w praktyce oznaczało rządy czarnej większości. Wspólnota osadników stanowiła znikomą mniejszość w kolonii, nikt więc się nie spodziewał, że zdobędzie istotną reprezentację w rządzie niepodległej Kenii. A przecież Kenia była naszym domem, większość tutejszych białych nie miała innej ojczyzny.

Niedawne porozumienie w Lancaster House, na którego mocy Iain Macleod, sekretarz stanu do spraw kolonii, rozpoczął prace nad konstytucją niezawisłej Kenii, stało się przyczyną głębokich podziałów w naszej społeczności. Część bardziej liberalnych osadników, pewnych swojego wpływu na przyszłość gospodarczą kraju, poparła wielorasową Partię Nowej Kenii, założoną przez Michaela Blundella, klasycznie wykształconego Jorkszyrczyka, który wyemigrował do Afryki, żeby zostać farmerem. Starszyzna wspólnoty, wywodząca się z rodzin pionierskich – takich jak moja – nie kryła oburzenia decyzją rządu brytyj-

skiego, który potraktował je jak niechciany balast, i sprzymierzyła się z Federalną Partią Niezależnych. Dała się uwieść charyzmie jej przywódcy, zapalczego i prostolinijnego bohatera wojennego, pułkownika lotnictwa Bernarda Briggsa, zwanego Pukiem, który zapowiedział walkę o równe prawa mniejszości osadników. Wielu z nich przybyło do Kenii w dzieciństwie, w rodzinach pionierów, i doświadczyło ciężkiego trudu zagospodarowywania tutejszych ziem. Kiedy dorośli, dzielnie służyli Wielkiej Brytanii w obu wojnach światowych. Ojczyzna zaczęła odwracać się do nich plecami – nawet codzienny program BBC „Brytyjskie Wiadomości Krajowe” zmienił nazwę na „Wiadomości o Wielkiej Brytanii”. Ta drobna z pozoru poprawka nie uszła uwagi osadników. Kiedy Michael Blundell wrócił z obrad w Lancaster House – z wyraźnym zamiarem przekazania władzy Afrykańczykom – ktoś rzucił w niego trzydzieści srebrnych monet, żeby podkreślić jego powinowactwa z biblijnym zdrajcą. Piętno judasza przylgnęło do niego na dobre, kiedy otrzymał szlachectwo z okazji urodzin królowej.

Ówczesni politycy afrykańscy wywodzili się przede wszystkim z plemion Kikuju i Luo. Z entuzjazmem odnosili się do perspektywy całkowitego uniezależnienia Kenii od Wielkiej Brytanii. Frakcja Kikuju nie kryła się z zamiarem odzyskania Białych Wzgórz, krainy, która ich zdaniem prawowicie im się należała, mimo że przed przybyciem białego człowieka zamieszkiwali ją głównie Masajowie. Tom Boya, młody, ambitny i pełen zapału przywódca związków zawodowych Luo, wygłaszał płomienne przemówienia, które tylko podsyciły nasze obawy. Europejczycy powinni przyjść na kolanach do swoich nowych afrykańskich panów, którzy po ostatecznym nastaniu niepodległości odbiorą im ziemię i cały majątek. Afrykańczycy poświęcili jednak najwięcej uwagi kampanii na rzecz uwolnienia Jomo Kenyatty, jednego z liderów powstania Mau Mau, który od 1953 roku przebywał w więzieniu w Lodwar, w północno-zachodniej Kenii. Na początku 1960 roku odbyła się w tej sprawie manifestacja dwudziestu pięciu tysięcy Kenijczyków, po której przekazano gubernatorowi petycję podpisaną przez ponad milion sygnatariuszy. Następnie Kenyatta został mianowany zaocznie przywódcą Afrykańskiego Narodowego Związku Kenii, a rok później wyszedł na wolność w glorii bohatera.

Rząd brytyjski, w pełni świadomy, że Białe Wzgórza są „gorącym kartoflem”, którego trzeba się jak najszybciej pozbyć, wystąpił z propozycją zorganizowania ustawowego wykupu gruntów od osadników zamieszkujących sporne tereny. Zaledwie kilka rodzin postanowiło nie ruszać się z miejsca, jeszcze mniej zdecydowało się wystąpić o obywatelstwo niepodległej Kenii – mimo zapewnień, że w razie niepomyślnego obrotu spraw będzie można odzyskać obywatelstwo brytyjskie. Z tamtych czasów pamiętam spotkanie z piękną młodą Belgijką, uciekinierką z Demokratycznej Republiki Konga, który jeszcze niedawno nosił nazwę Konga Belgijskiego. Kiedy opowiadała mi o swoich dramatycznych przeżyciach, szczerze się złęklam, że podobne niepokoje rozszerzą się na nasz kraj. Tymczasem ojciec postanowił zgodzić się na wykup, pozbyć w całości naszego ukochanego Cedar Park i osiaść z matką na gościnniejszym wybrzeżu. Procedura sprzedaży gospodarstwa w ręce agencji rządowej była teoretycznie prosta, w praktyce jednak ciągnęła się miesiącami

i przysporzyła nam mnóstwo frustracji. Kiedy przyszło do wyceny gruntów, okazało się, że sumy odszkodowań negocjuje się po „starej znajomości”. Na nieszczęście dla ojca, farmę sąsiadującą z Cedar Park kupił jakiś znajomy gubernatora, o którym wieść niosła, że nie życzy sobie żadnych Afrykańczyków w okolicy. Dzięki swoim koneksjom dogadał się z urzędnikami, żeby wszystkie gospodarstwa przylegające do jego działki wyłączyć spod rządowej ustawy o wykupie i stworzyć wokół „białą” strefę buforową.

Dołożyliśmy wszelkich starań, żeby cofnąć tę decyzję, nasze argumenty trafiały jednak w próżnię. Serce mi się krajało, kiedy ojciec wracał z kolejnych spotkań w Nairobi, coraz bardziej przytłoczony ogromem kłopotów. W końcu uznaliśmy, że trzeba podjąć próbę sprzedaży farmy na wolnym rynku, co nie było łatwe, zważywszy na ówczesny klimat polityczny. Znalezienie kupca, który zapłaciłby uczciwą sumę za Cedar Park, graniczyło z cudem, sprzedaliśmy ją więc za bezcen afrykańskiemu nabywcy. Za cały dorobek życia ojciec wziął marne sześć tysięcy funtów: nowy właściciel otrzymał w zamian dwa i pół tysiąca hektarów żyznej ziemi z dziewiczym lasem cedrowym i przepływającą przez farmę rzeką, nasz piękny dom, około stu sztuk rasowego bydła, importowanego ogromnym kosztem z Australii, kilometry ogrodzeń, wannę dezynfekcyjną, służącą do oprysków, wybiegi, stajnie, chlewy, magazyny i dojarki, generatory prądu, tarany hydrauliczne, urządzenia do wyrobu masła i cały majątek gospodarstwa. Ojciec zatrzymał sobie tylko supernowoczesny ciągnik i przekazał go Wanjehii, nadzorcy z plemienia Kikuju – w dowód wdzięczności za wierną służbę.

Harry i Fred, przyrodni bracia ojca, mieli więcej szczęścia, choć też wysprzedali się z majątku po zaniżonej cenie. Harry – podobnie jak moi rodzice – postanowił przenieść się na wybrzeże. Fred kupił posiadłość nad jeziorem Elmenteita w Wielkim Rowie Wschodnim. Babcia Chart miała już swoje lata, a ponieważ dwóch z trzech jej synów wyprowadziło się z dystryktu, uznaliśmy, że będzie najrozsądniej, jeśli starsza pani zamieszka w pobliżu Freda. Bracia zrobili zrzutkę i zbudowali piękny domek na jego nowej farmie, babcia nie dawała się jednak przekonać i protestowała aż do chwili, kiedy ojciec załadował jej dobytek na ciężarówkę. Do dziś pamiętam tę niewiarygodną stertę gromadzonych przez całe życie rupieci, których strzegła zajadle jak stara tygrysica broniąca młodych, nie pozwalając nam ruszyć nawet pliku gazet z 1912 roku. Moi rodzice zyskali upragnione poczucie bezpieczeństwa dopiero po sfinalizowaniu długiej, nerwowej transakcji i uzyskaniu tytułu nieograniczonej własności domu w Malindi.

Oprócz zawirowań politycznych i niepokojów społecznych, w 1960 roku dotknęła nas ciężka susza, najpoważniejsza w Kenii od ponad czterdziestu lat. I tak półpustynne Tsavo East zaczęło się zmieniać w pustynię. Słońce wstawało co dzień ognistoczerwoną kulą i prażyło coraz intensywniej, odzierając ludzi z sił i tocząc z nich hektolitry potu. Susza okazała się katastrofalna w skutkach dla środowiska. Podczas jednej z moich wizyt, kiedy obozowaliśmy nad rzeką Athi powyżej Wodospadów Lugarda, widziałam setki umierających z pragnienia nosorożców. Wycieńczonych zwierząt nie dało się odratować, mimo że David próbował nawadniać brzegi za pomocą ruchomych pomp i spryskiwaczy. Wzięliśmy

do obozu jednego z osieroconych maluchów i nazwaliśmy go Lokwan. Obie z matką dałyśmy z siebie wszystko, żeby postawić go na nogi, niestety na próżno. Nikt przedtem nie odchowwał nowo narodzonego nosorożca, więc naprawdę nie wiedziałyśmy, jak się do tego zabrać. Karmienie oseska krowim mlekiem w proszku nie zdało egzaminu. Byłyśmy wstrząśnięte jego nagłą śmiercią kilka dni później, nie miałyśmy pojęcia, że lęk i stres przyspieszają rozwój utajonych chorób odkleszczowych, na które zdrowe nosorożce są całkowicie odporne. Żeby małego uratować, powinnyśmy mu były natychmiast zaaplikować zastrzyk z antybiotyku.

Muszę przyznać, że konieczność spędzania cennego czasu z Davidem w towarzystwie moich rodziców przyprawiała mnie o głęboką frustrację. Choć czasem zostawiali nas samych, rzadko mieliśmy okazję zachowywać się naprawdę swobodnie. Byłam zbyt tchórzliwa, żeby spytać Davida, czy wiąże ze mną jakieś plany na przyszłość – bo doskonale zdawał sobie sprawę, że mój rozwód zdążył się już uprawomocnić. Nigdy o tym nie wspominał w naszych rozmowach. Tym większy przeżyłam szok w drodze na stację w Voi, gdy David zatrzymał samochód i spytał: „Kiedy się pobierzemy, Daph?”. Zupełnie mnie zatkało. Po tylu rozterkach i wątpliwościach wreszcie się doczekałam. Byłam zaskoczona, że jest tak pewny mojej odpowiedzi. „Skąd wiesz, że chcę za ciebie wyjść?” – odparłam odruchowo. David odwrócił się ode mnie i spojrzał przez okno. „Masz rację – rzekł. – Jestem samolubnym draniem. Lepiej będzie, jak o mnie zapomnisz”. Wpadłam w panikę. Przecież to niemożliwe. Wtedy popatrzył na mnie i szepnął: „Oddałbym życie za ciebie, Daph. Proszę, rozważ to sobie w sercu i zastanów się nad moją propozycją”. A potem mnie objął – najdelikatniej, jak umiał. Długi, tęskny pocałunek zastąpił moją odpowiedź. Przecież o niczym innym nie marzyłam.

Nie mogłam się doczekać, aż opowiem wszystko moim siostram i przekażę Jill wspaniałą nowinę, że przeprowadzimy się znów do Tsavo. Złożyłam wymówienie w pracy i rozpoczęłam przygotowania do cichego ślubu. David prosto ze stacji poszedł do ojca, żeby go poprosić o moją rękę. Tym razem uśmiechałam się przez całą drogę powrotną, od czasu do czasu się szczypiąc, by się upewnić, że nie śnię. W domu Sheili dopadły mnie jednak złe wieści. Starsza pani Woodley, matka Billa, z którą byłam bardzo blisko związana, została przyjęta do szpitala w ostatnim stadium raka. Zastałam ją wspartą o poduszki, śmiertelnie bladą, a mimo to pełną humoru i z nieodłącznym papierosem w dłoni. „Zawsze cię uwielbiałam, Daphne, i nie mam do ciebie pretensji, że rzuciłaś Billa – powiedziała. – Wdał się w swojego cholernego ojca”. W drodze do wyjścia wpadłam na Billa i jego nową dziewczynę Ruth Hales, której jeszcze nie znałam. Spojrzała na mnie ciemnymi wilgotnymi oczyma i z miejsca poczułam do niej sympatię. Bill oznajmił, że za trzy miesiące zamierzają się pobrać. Pogratulowałam mu z całego serca i odetchnęłam z ulgą – mogłam już bez skrępowania podzielić się swoją dobrą nowiną.

Postanowiliśmy wziąć ślub pod koniec października w nadmorskiej Mombasie. Wybrałam skromną granatową suknię w białe groszki, z szerokim białym kołnierzem. Doskonale układała się w talii, którą wciąż miałam szczupłą jak osa, a plisowany dół skutecznie ma-

skował moją tłustą pupę. Kilka dni przed uroczystością wynajęliśmy pokój w luksusowym hotelu Oceanic, z widokiem na przystań w Mombasie, gdzie ocean mienił się odcieniami szafiru, chromowej zieleni i nefrytu, a na straży u wejścia do portu stały potężne baobaby, podobno największe na świecie. Zawsze mnie fascynowało to niezwykle skupisko drzew, które rosną zwykle samotnie. Chodziły słuchy, że w grobie każdego żołnierza, który zmarł między 1500 a 1720 rokiem, kiedy w mieście rządili Portugalczycy, kładziono strąk baobabu. Krążył też przesąd, że w tych drzewach mieszkają złośliwe dżinny. Robotnicy kolejowi kategorycznie odmówili ścięcia choćby jednego baobabu, co opóźniło budowę o wiele miesięcy. Pewien łebski Szkot znalazł wreszcie rozwiązanie – trzeba wymówić siedzibę dżinom, ale po arabsku, bo przecież nie znają angielskiego. Co też uczyniono, zostawiając duchom trochę czasu na znalezienie lokali zastępczych. Pierwsze uderzenie siekierą nie pociągnęło za sobą żadnych konsekwencji.

W hotelu zastaliśmy bardzo miłą niespodziankę: babcia Chart już na nas czekała. Przy kolacji zrobiło się naprawdę gwarno. David i Peter przybyli z Voi na spotkanie z członkami mojej najbliższej rodziny, ja przyjechałam nad ranem, pociągiem z Nairobi. Na widok Davida znów poczułam motyle w brzuchu. Zdołaliśmy wymknąć się na plażę i spędzić kilka chwil sam na sam. David wziął mnie w ramiona i mocno przytulił. Kiedy zerwała się bryza nad oceanem, z ogrodu hotelowego doleciał mnie jaśminowy zapach egzotycznych jagodlinów, które rosły też przy domu Davida. Uświadomiłam sobie, że aromat tych kwiatów będzie odtąd już zawsze przywoływał wspomnienia tamtego wieczoru. Rozpierało mnie szczęście.

I tak 20 października 1960 roku, o godzinie jedenastej, zostałam panią Daphne Sheldrick. Oprócz prostej obrączki ze złota łączonego z platyną, David wsunął mi na palec piękny pierścionek z szafirami i diamentami, który należał do jego matki. W hotelu strzeliły korki od szampana, nasz drużba Peter wygłosił dowcipną przemowę, David nie oszczędził mu riposty i wszyscy wzniesli toast za pomyślność nowożeńców. Wesele odbyło się w rodzinnym gronie. Moi rodzice zgodzili się zaopiekować Jill, żebyśmy mogli wybrać się na tydzień w podróż poślubną. Wpierw jednak musieliśmy wrócić do hotelu Voi i urządzić przyjęcie dla stałych bywalców sobotnich wieczorków. Powitało nas mnóstwo znajomych twarzy oraz gwardia honorowa, złożona ze strażników, którzy postanowili zrobić nam niespodziankę. Impreza była dość huczna i szczerze mówiąc, wołałabym się bez niej obyć w naszą noc poślubną. Dotarliśmy do domu przed świtem. Znajomy ogród lśnił jeszcze w blasku księżyca, kiedy stanęliśmy przy schodach frontowych. David wziął mnie na rękę, obsypał pocałunkami i zaniósł na werandę. Wreszcie mogliśmy się wyzbyć poczucia winy, a to, co się później wydarzyło, zostanie ze mną na zawsze. Kiedy promienie słońca wsączyły się przez okno i zbudziły mnie ze snu, znalazłam na poduszce czerwoną różę, świeżo zerwaną z ogrodu. Trudno sobie wyobrazić bardziej romantyczny początek małżeństwa.

Zdążyłam już poznać mój nowy dom. Był piękny i obszerny, zbudowany z betonowej cegły, otynkowany na biało i pokryty czerwoną dachówką – pod każdym względem odzwierciedlał zamiłowanie Davida do detalu. Długa oszklona weranda prowadziła wprost

do dwóch głównych sypialni, sąsiadujących po bokach z dużym, przestronnym pomieszczeniem, rozdzielonym czerwoną zasłoną na salon i część jadalną. Wielkie okna od frontu i na tyłach domu zapewniały przewiew i ochłodę w upalne dni. Jadalnia po przeciwnej stronie miała połączenie z doskonale wyposażoną kuchnią, zabezpieczoną od dworu drucianą siatką. Kucharz Frederick i reszta służby musieli być nieźle zakłopotani, że była żona Bwany Billa przeistoczyła się w panią domu i małżonkę Davida. Mimo to kruchy i wątpliwy Frederick już pierwszego ranka uścisnął mi dłoń i powitał z nieudawaną serdecznością. Przyrzadziliśmy razem ulubione śniadanie Davida – gorące curry z jajkiem sadzonym.

Kiedy usiedliśmy przy stole, racząc się pierwszym małżeńskim śniadaniem, David powiedział, że przed wyjazdem w podróż poślubną nad jezioro Manyara (wówczas wciąż jeszcze w Tanganice), musimy rozwiązać problem Prosiaczka i kilku niechcianych owiec. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu na myśl o Prosiaczku – wyjątkowo psotnym osieroconym warchlaku świni rzecznej – który przysporzył nam mnóstwa kłopotów. David dostał go w spadku po Parkerze „Jaskółcze Ziele”. Mały chrumkacz okazał się wyjątkowo natchalny, czepiał się każdego, kto koło niego przeszedł. Ostatnio wkupił się w łaski Fatumy – ku oburzeniu Samsona, który go szczerze nie znosił. Od czasu do czasu wypadał spod brzucha słonicy i kąsał Samsona po piętach, po czym brał nogi za pas i chował się za Fatumę, zanim samiec dosięgnął go trąbą. Atmosfera w zagrodzie słoni robiła się coraz bardziej nerwowa. Nad ranem zjawił się ich opiekun, błagając Davida, żeby rozprawił się raz na zawsze z utrapionym Prosiaczkiem.

Nasz wyjazd opóźniło też przybycie sześciu tłustych owiec, które dostaliśmy w prezencie ślubnym od pasterzy z plemienia Orma, zamieszkujących północno-wschodnią część Tsavo. Owce wylądowały w pustej stajni tuż obok Samsona, który najwyraźniej nie życzył sobie nieproszonych gości, bo w nocy sforsował drzwi boksu i rozniósł zaimprovizowaną owczarnię w drobny mak. Dwie owce padły ofiarą lamparta, reszta jakoś dotrwała do rana. Zanim ruszyliśmy w drogę nad jezioro Manyara, David musiał zlecić pracownikom odbudowę stajenki i przenieść ocalałe zwierzęta gdzie indziej. Na szczęście udało nam się wyjechać jeszcze po południu.

Pierwsze dni małżeństwa z Davidem były zaledwie przedsmakiem tego, co miało nas czekać w przyszłości. Niespodzianki i nagłe sytuacje towarzyszyły nam odtąd właściwie na okrągło – i to z taką częstotliwością, że wkrótce nawykliśmy do alarmów o każdej porze i przestaliśmy liczyć na chwilę wytchnienia podczas wspólnego posiłku. A mimo to nic nie zdołało we mnie zburzyć poczucia wewnętrznego spokoju i szczęścia, że wyszłam za tak wspaniałego mężczyznę. Każdy dzień u boku Davida przypominał miśnięć miodowy.

8. MIŁOŚĆ I SIEROTY

Naszym zadaniem jest wyzwolić się od nas samych, poszerzając krąg naszego współczucia, aż ogarnie wszystkie żyjące istoty i całe piękno natury.

Albert Einstein

W wieku dwudziestu sześciu lat weszłam w najszcześniejszy okres życia – u boku mężczyzny, którego namiętnie kochałam i który był dla mnie prawdziwą bratnią duszą. Nasza podróż poślubna do parku narodowego nad jeziorem Manyara okazała się pasmem romantycznych uniesień. David miał intuicyjną zdolność interpretowania sygnałów płynących z otoczenia i nauczył mnie godzinami obserwować życie codzienne zwierząt. Otworzył mi oczy na ich mowę ciała, na znaczenie przybieranych przez nie póż i subtelnych gestów. Mimo upływu lat wciąż czuję jego obecność, wciąż pamiętam, jak siadaliśmy tuż koło siebie w ciszy i niezmaconym spokoju. Opowiadaliśmy językiem ciała historię miłości, która miała przetrwać całe nasze małżeństwo.

Marzyłam, żeby ten tydzień nigdy się nie skończył, czas jednak biegł nieubłaganie i wkrótce trzeba było wracać do domu. Bardzo tęskniłam za Jill i nie mogłam się już doczekać odebrania jej od rodziców. Jak się okazało, mogłam się tylko cieszyć, że nie została w Tsavo, bo wpadłaby w rozpacz na wieść o ucieczce Fatumy i Kanderiego. Główny strażnik Parku Narodowego Nairobi zaoferował się, że przygarnie Prosiaczkę. Fatuma była niepokieszona po odejściu świnki. Wkrótce dołączyła wraz z Kanderim do dzikiego stada i wszelki śluch po nich zaginął. Fatuma była ulubienicą Jill, a psoty i błazeństwa Kanderiego dostarczały nam mnóstwo radości. Pocieszaliśmy się, że Kanderi urósł wystarczająco, żeby poradzić sobie na wolności.

Widząc mój żal, David przypomniał łagodnie, że osierocone zwierzę nie jest niczyją własnością – można je tylko „wypożyczyć”. Pomagamy mu do czasu, aż się usamodzielnia i przestanie nas potrzebować. Odtąd jego miejsce jest wśród dzikich pobratymców – nie powinno dłużej trwać w wygodnej niewoli, żeby zabawiać swoich ludzkich opiekunów. Mimo że będziemy tęsknić na Fatumą i Kanderim, powinniśmy być dumni, że nasi wychowankowie dorosli do powrotu na łono natury. Rzecz jasna, pamiętałam tę lekcję jeszcze z czasów, kiedy opuścił mnie Bushy, niemniej każde rozstanie budzi silne emocje. Zastanawiałam się, jak przekazać tę wiadomość córce, kiedy się już spotkamy.

Na szczęście Jill mogła szukać pociechy u Rufusa, maleńkiego nosorożca, którego Dennis Kearney – nowy zastępca głównego strażnika – znalazł pewnego ranka pod moim dawnym domem. Matki nie było widać, ale grupa poszukiwawcza przeczesła okolicę i trafiła na miejsce, gdzie odbył się poród. Najprawdopodobniej samica wystraszyła się ludzi i porzuciła noworodka. Na razie Dennis i jego żona z powodzeniem odchowywali osierocone-

go nosorożca i trzy niedawno odratowane cielęta bawołu. Kiedy powiedziałam Jill o Fatumie, spojrzała na mnie z powagą i odparła: „Nic się nie stało, mamusiu. Teraz będzie miała nowych przyjaciół i zaopiekuje się innymi słoniatkami”. Moja pięcioletnia córka okazała się znacznie bystrzejsza niż ja w jej wieku.

Byłam pewna, że Jill zachwyci się również inną sierotką, którą przyniósł do nas jeden z pracowników straży parkowej – maleńką, znaną w opłakanym stanie mangustą, która musiała doznać bolesnego urazu głowy. Pamiętałam z dzieciństwa Rikki Tikki Tawiego i zawsze miałam słabość do mangust. Nasz podopieczny na razie mieścił się w dłoni, był jednak mangustą pręgowaną i z czasem powinien dorosnąć do rozmiarów niewielkiego kota, znacznie większego niż Rikki Tikki Tavi, który nie przewyższał wielkością szczura. Miał szare futerko, pokryte pionowymi czarnymi pasami. Nazwaliśmy go Higglety, bo poruszał się niezdarne, zupełnie jak świnka ze starej dziecięcej rymowanki.

Higglety doszedł do zdrowia, choć przez kilka pierwszych tygodni przewracał się po każdej próbie wstania. Do końca życia wyglądał trochę koślawo i przechylał łebek na jedną stronę. Był sprytny, nieustraszony i chorobliwie ciekawski. Żeby okazać niezadowolenie, jeżył sierść na ogonie na podobieństwo szczotki do butelek. Dawał znać o swojej obecności charakterystycznym dla mangust ptasim poćwierkiwaniem. Cichł tylko wtedy, gdy ucinął sobie drzemkę. W porze posiłków wiercił się jak opętany, przysiadł na tylnych łapach, kręcąc czarnym noskiem, żeby wyniuchać, co dziś na obiad, wskakiwał nam na kolana i opierał się przednimi łapkami o stół, porywając z talerza kolejne smaczne kąski. Mangusty są przede wszystkim mięsożerne, więc najczęściej dostawał owady i mięso. Miał jednak niecodzienne upodobania i wprost przepadał za serem – do tego stopnia, że wystarczyło wspomnieć o tym specjale, żeby przybiegł w podskokach, powarkując niecierpliwie.

Higglety tak się do nas przywiązał – z pełną wzajemnością – że zabraliśmy go ze sobą do północnej części parku, w okolice Ndiandzaza w dolnym biegu rzeki Tiva, gdzie David nadzorował odwiert studni głębinowej. Stały dostęp do wody umożliwiłby zagospodarowanie tego obszaru także w porze suchej i zapewniłby szersze pole działania patrolom walczącym z kłusownictwem. Nad wyrobiskiem stanął już maszt wiertniczy – musieliśmy sprawdzić, jak postępują prace nad budową studni. Po drodze spotkaliśmy Rudolfa, sędziwego nosorożca, który mieszkał w okolicach przełęczy Mopea, po drugiej stronie grobli przy Wodospadach Lugarda. Ku naszej radości zastaliśmy go w dobrym zdrowiu. Niestety, nastrój prysł, kiedy ujrzeliśmy stado likaonów, wyszarpujących kawały rozedrganych mięśni z brzucha impali. Obydwie z Jill byłyśmy w szoku: psy zjadały antylopę dosłownie żywcem. David próbował nas pocieszyć, tłumacząc, że ofiara wpada wówczas w głęboki wstrząs i nic nie czuje. Jej mózg wydziela endorfiny, substancje o silnym działaniu przeciwbólowym, stymulujące ośrodkowy układ nerwowy. Opowiedział nam o ciężko rannych na wojnie żołnierzach, którzy zdawali sobie sprawę ze swojego stanu dopiero w chwili, gdy ujrzeli krew. Ból nadchodził znacznie później. Z czasem miałam sama tego doświadczyć i przekonać się o prawdziwości jego słów.

Wyprawa na północ – tym razem w charakterze prawowitej żony Davida – wydawała mi się wręcz nierealna. Przywoływała wspomnienia dojmującej tęsknoty za nieziszczalnym kiedyś marzeniem. Teraz mogłam wreszcie pofolgować swoim zachciankom i zostawić w obozie ślad kobiecej ręki – postawić na stole wazonik z dzikimi kwiatami, wieczorami przewietrzyć pościel, z pomocą Fredericka przyrządzić którąś z ulubionych potraw Davida, wyjąć z pieca świeżo upieczony chleb albo ciasto. Żeliwny czajnik stryjecznego dziadka Willa był w ciągłym użyciu i zapewniał stały dostęp do upragnionej przez wszystkich herbaty.

Rozbiliśmy obóz w sąsiedztwie masztu wiertniczego i kwatery „rakoub”, czyli wielbłądziego patrolu Oddziału Polowego – jednej z naszych ostatnich innowacji w epoce, kiedy nie mieliśmy jeszcze do dyspozycji samolotów. Chodziło o to, by zwiększyć mobilność straży parkowej i umożliwić jej wypadły w głąb łądu – dzięki niesionym przez wielbłądy zapasom wody. Zwierzęta przy każdej okazji demonstrowały swoje niezadowolenie: nie chciały się kłaść i głośno porykiwały na znak protestu przeciwko troczeniu juków. To jednak nic w porównaniu z hałasem, jaki wszczynały podczas zastrzyków powstrzymujących rozwój śmiertelnie niebezpiecznej trypanosomiozy, roznoszonej przez muchy tse-tse. Po powrocie z patrolu wielbłądy trzymano w zagrodzie z kolczastych gałęzi. Wkrótce odkrył ją Higglety, wyraźnie zafrapowany kłótliwym usposobieniem „okrętów pustyni”. Co rano pędził przez otwartą równinę, żeby złożyć im wizytę – ryzykując, że skończy w szponach jakiegoś drapieżcy. Na szczęście udawało mu się zmylić pogonię, dzięki czemu mógł spędzić resztę dnia na buszowaniu wśród cierni i podglądaniu swoich nowych przyjaciół.

Ani ja, ani tym bardziej Jill nie mogłyśmy się uskarżać na nudę, wokół obozu działo się mnóstwo ciekawych rzeczy. Co rano o ósmej zlatywały stada stepówek, żeby napić się wody z kałuży przy maszcie wiertniczym – tak punktualnie, że w porze ich przybycia można było nastawić zegarek. Ściągały zewsząd, zostawiając nakrapiane jaja i puszyste pisklęta w gniazdach na rozpalonej ziemi, gdzie młodym pozostawało liczyć na upierzenie ochronne. Samce stepówki miały odpowiednio przystosowane pióra, które nasiąkały wodą jak gąbka, dzięki czemu ptaki mogły ją zanieść niezdolnym do lotu pisklętom, pokonując nieraz olbrzymie odległości. Kiedy ojciec lądował w gnieździe, młode wysysały niezbędną wilgoć z piór na jego brzuchu. Co ciekawe, pióra samic nie miały tych właściwości, jeśli więc ojcu przytrafiło się jakieś nieszczęście, pisklęta były skazane na okrutną śmierć z pragnienia. Wciąż o tym myślałam, wiedząc aż za dobrze, że stepówki masowo padają ofiarą „myśliwych”, którzy strzelają do nich dla sportu. Nie mogłam się nadziwić, jak można czerpać przyjemność z mordowania ptaków i w ogóle jakichkolwiek stworzeń. Polowanie na stepówki było jednak szczególnie godne potępienia – ze względu na zagrożenie piskląt, które musiały walczyć o przetrwanie w tak trudnych i niesprzyjających warunkach.

Intrygowała nas również samica dzioborożca, zamurowana w dziupli strzelistej akacji i całkowicie zależna od swojego partnera, który karmił ją przez otwór – bezbronną i niezdolną do lotu, bo tuż po złożeniu jaj straciła wszystkie pióra. Sąsiedztwo masztu wiertniczego przysporzyło samcowi nie lada kłopotu. Bał się przynosić samicy jedzenie i często

przeskakiwał bezradnie z gałęzi na gałąź, próbując zebrać się na odwagę i podfrunąć do gniazda. Przez kilka pierwszych dni wyręczałyśmy go wspólnie z Jill, podrzucając Pani Dzioborożcowej tłuste pasikoniki, które pochłaniała z wyraźnym apetytem. Wkrótce zastąpił nas samiec, pikując w dół mimo stukotu urządzeń wiertniczych i podtykając żonie coraz to nowe smakołyki. Gazele Petera także zdołały przezwyciężyć strach i podchodziły pod rozłożyste korony ocieniających nasze namioty drzew z gatunku *Acacia tortilis*, żeby najeść się pożywnymi strąkami. Dzięki owocom akacji antylopy z Tsavo były zwykle w lepszej kondycji w porze suchej niż w deszczowej: miały gładką i lśniąca sierść, gibkie ciało i wypełnione boki. Wkrótce udało się oswoić błyszczaki rudobrzuche, które wydziobywały rzucane im co dzień okruszki i pluskały się w basenie z wydrążonego kamienia przed namiotem jadalnym. Skakały dokoła, skrzecząc zrzędliwie na Higglety'ego, który podchodził do nich bez żadnego skrępowania. Jill uwielbiała podziwiać ich błyszczące, niebieskozielone piersi, które w pełnym słońcu mieniły się wszystkimi barwami tęczy.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy udało się dowiercić do wody – na głębokości ponad pięćdziesięciu metrów. Zapanowała radość w całym obozie. Wszyscy wyszli popatrzeć, jak z trzewi ziemi dobywa się pierwszą porcją życiodajnego płynu, po czym spróbowali, jak smakuje, czekając niecierpliwie na rezultaty pompowania testowego, które miało ustalić zasoby eksploatacyjne ujęcia. Niestety, wyniki nie spełniły naszych oczekiwań, ale przynajmniej nam ulżyło, że na jakiś czas mamy dostęp do wody. Kiedy wiadro szarego szlamu pojawiło się wreszcie na powierzchni, David spytał: „No i jak tam, Daphne? Nałożysz sobie maseczkę błotną, żeby uczcić nasz sukces?”. „Czemu nie, skoro słoniom nie szkodzi!” – odparłam ze śmiechem. Ku uciesze robotników David upaśćkał mi twarz siwym mułem z głębin Tsavo. Maseczka wkrótce zastygła i wyglądało na to, że raczej przysporzy mi nowych zmarszczek zamiast wygładzić stare. Nie zamierzałam się przejmować, w końcu byłam pierwszą kobietą, która zażyła maseczki błotnej z pierwszego odwiertu w Tsavo East. Trochę potrwało, nim usunęłam ją z twarzy, i wątpię, czy ktokolwiek później poszedł w moje ślady.

Tamtego wieczoru wszyscy byli w doskonałych nastrojach, lecz w pewnej chwili ponad gwar rozmów wybił się dziwny odgłos, przypominający odległy grzmot albo dźwięk stłumionej eksplozji. Wzbudził ogólne poruszenie, bo w promieniu kilkuset kilometrów nie było żadnych osad ludzkich. Kilka minut później przybiegł strażnik z plemienia Samburu, krzycząc: „Elgubu, Elgubu!”. Oznajmił, że to wołanie żółtonogiego dropia olbrzymiego, które zwiastuje wyjątkowo ulewny deszcz. Kiedy usłyszą je pasterze, przepędzają bydło w miejsce, skąd dobiega ten odgłos, wiedząc, że wkrótce równina się zazieleni. Dodał, że ptak nigdy się nie myli. Trudno było uwierzyć, że ten potężny huk dobywa się z ptasiej gardzieli, nawet jeśli chodziło o dropia olbrzymiego, najcięższego z ptaków latających na świecie. Ciekawość wzięła górę: David zaproponował, żeby wybrać się na zwiad. Nie miał wątpliwości, że w pewnej odległości od obozu zaczął się drop i nadyma pierzastą, czarno-białą pierś, zanosząc pod niebo swoją tubalną pieśń o deszczu.

Przez dwa następne dni wciąż było pogodnie, ale na trzeci, około południa, nie wiado-

mo skąd nadciągnęły czarne burzowe chmury i w upalnym powietrzu rozszedł się zapach wilgoci. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, jakby cała przyroda zastygła w oczekiwaniu na nieuchronne. Nawet Higglety wrócił pędem od wielbłądów i zaszył się w namiocie. Chwilę później rozległy się potężne grzmoty i z nieba spadły pierwsze krople deszczu – wielkie i ciężkie, z początku nieliczne, wzniecające małe obłoczki kurzu, kiedy padały z impetem na spopieloną ziemię. Nie trzeba było długo czekać, aż znaleźliśmy się w samym środku tropikalnej ulewy, tak intensywnej, że pod wieczór zrobiło się ciemno jak w nocy, a bębnienie deszczu o namiot zagłuszyło wszelkie inne dźwięki. Brezent zaczął się uginać pod naporem wody i musieliśmy co chwilę go podnosić, żeby rwące strumienie deszczówki spłynęły na boki i wsiąkły pod podłogę namiotu.

Przez pierwsze godziny nie traciliśmy humoru, rozkoszując się świeżą wonią nabrzmiewającej wilgocią ziemi. Radość nie trwała długo: obserwowaliśmy z rosnącym niepokojem, jak grunt przestaje wchłaniać nadmiar wody i zmienia się w morze błota. Zaczęły się tworzyć strumyki, rozcapierzając macki we wszystkie strony, żeby zasilić wyschnięty nurt rzeki. Gdyby Tiva wystąpiła z brzegów, odcięłaby nas od świata i uwięziła na długie miesiące w odległym zakątku parku. Wpatrywaliśmy się w ulewę z coraz bardziej mieszanymi uczuciami. Nasze wielbłądy, które chyba nigdy przedtem nie miały z czymś takim do czynienia, wyglądały jak siedem nieszczęść – podobnie zresztą jak Higglety, który wlaź pod koc i zwinął się w rozdygotaną kulkę u stóp Davida.

Burza nieco osłabła i nazajutrz obudziliśmy się w nowym, mokrym świecie – krajobraz zaczął się zazieleniać, a powietrze rozbrzmiało radosnym śpiewem niezliczonych ptaków. Ziemia przed naszym namiotem była dosłownie zasłana żyłkowanymi skrzydłami termitów. Samice, które nie padły ofiarą ptaków, roiły się wokół, unosząc wysoko odwłoki i wabiąc samce feromonami. Już to kiedyś widziałam: kiedy królowa znajdzie partnera, zniknie pod ziemią na resztę swoich dni i zajmie się wyłącznie składaniem jaj, z których wylęgnie się nowa kolonia. Samiec będzie dotrzymywał jej towarzystwa w komorze królewskiej, od czasu skonsumowania związku wiodąc żywot przysłowiowego trutnia.

Nagle pojawienie się termitów po ulewie ściągnęło wszystkich na sytą ucztę. Już o świcie zaczęła się gorączkowa krzątanina. Pan Dzioborożec kursował między namiotem a zamurowaną w dziupli partnerką, donosząc jej kolejne porcje wijących się owadów. Higglety zaczął się na pobliskiej termitierze i chrupał ze smakiem wychodzące ze środka insekty. Ptaki śmigały i nurkowały pionowo w dół, chwytając termity w locie, agamy dopadały je parami, zanim zdążyły zagrzebać się w ziemi. Strażnicy parkowi z upodobaniem raczyli się termitami prażonymi na węglach, zachwalając ich delikatny orzechowy aromat. Pamiętałam jeszcze z dzieciństwa spędzonego na farmie, że termity i szarańcze są przysmakiem wielu plemion afrykańskich. Mieszkańcy regionu Nilu opracowali nawet zmyślną metodę wywabiania niedoszłych królowych poza sezonem, tłukąc w termitierę kijami i oblewając ją wodą, żeby podrobić odgłos padającego deszczu.

Wokół działo się tyle ciekawych rzeczy, że najchętniej spędziłybyśmy cały dzień z Jill na obserwacjach, przeważał jednak głos Davida, który wolał ewakuować się z Ndiandazy

w obawie przed powodzią. Zwinęliśmy obóz jeszcze przed południem. Drop olbrzymi istotnie się nie mylił: burza okazała się zwiastunem dekady obfitych deszczów i urodzaju. Na cześć ptasiego proroctwa nazwaliśmy odwiert „Elgubu”. Choć minęło już ponad pół wieku, pompa zasilana turbiną wiatrową wciąż czerpie ze studni życiodajną wodę – na użytek strażników z Oddziału Polowego, patrolujących ten wrażliwy obszar Tsavo.

Po powrocie do domu dostaliśmy w prezencie pudełko z towarzyszką dla Higglety’ego. Zdążyłam się już przyzwyczaić do obecności zwierzęcych sierot w swoim życiu i z coraz większą pewnością zabierałam się do odchowywania maluchów, korzystając ze znajomości zachowań ich pobratymców w przyrodzie. Ówczesne doświadczenia i cierpliwy instruktaż Davida legły u podstaw mojej obecnej wiedzy. Rzecz jasna, Higglety próbował obadać zawartość nowego pudła, poćwierkując zawzięcie i strosząc ogon na podobieństwo szczotki do butelek. Wiedząc, że kontakty między dzikimi zwierzętami bywają nieraz burzliwe, zwątpiłam w jego dobre zamiary, ale David uchylił wieko, uznawszy, że mangusty muszą się przecież poznać. Sierotka wyskoczyła natychmiast i wgramoliła się pod fotel, żeby uciec przed Higgletym, który popędził za nią ze złowróżbnym błyskiem w oku. Na szczęście Higglety tak się upaśł na swoim serze, że nie zmieścił się pod spód, zaczął więc krążyć wokół fotela, skąd dobiegały coraz groźniejsze skrzeczenia i powarkiwania. Na myśl o walce mangust zrobiło mi się słabo. Wyszłam z pokoju i zostawiłam cały kram na głowie Davida. Wróciłam mniej więcej po godzinie, spodziewając się widoku zmasakrowanych zwłok. Ku mojemu zdumieniu Higglety i jego nowa koleżanka obwąchiwali się nawzajem, nie okazując żadnej wrogości. Do wieczora zdążyli się zaprzyjaźnić na dobre i poszli spać razem, zwinąwszy się w kłębek.

Od tamtej pory Higglety i Pickle byli właściwie nierozłączni. Higglety stopniowo uniezależniał się od ludzi i zabierał Pickle na coraz dalsze wypady. Czasem oddalał się ponad trzy kilometry, prowadząc towarzyszkę do swojego ulubionego miejsca przy głównej bramie parku w Voi. Z początku miałam wątpliwości, czy trafi z powrotem do domu, i wyjeżdżałam po niego samochodem, wkrótce się jednak przekonałam, że ma doskonałą orientację w terenie. Martwiliśmy się, że Pickle jest jeszcze za mała na takie przygody, ale Higglety nigdzie się bez niej nie ruszał i kategorycznie domagał się jej towarzystwa. Odbiegał kawałek, bez przerwy poćwierkując, po czym się zatrzymywał, żeby sprawdzić, czy Pickle za nim biegnie. Jeśli się ociągała, zawracał, szturchał ją nosem i cały bał zaczynał się od nowa.

Zrozumiawszy, że Higglety tęskni za większą kompanią, postanowiliśmy przedstawić go dzikim kuzynom znad rzeki Voi, gdzie osiedliła się grupka mangust pręgowanych. Miejsce wydawało się idealne – mnóstwo kryjówek, jedzenia pod dostatkiem, stały dostęp do wody – istny raj dla mangusty. Tamtego wieczoru zachowaliśmy się jak judasze. Zabraliśmy małego nad rzekę i wysadziliśmy go z samochodu. W pierwszej chwili był trochę zdezorientowany i popatrywał na nas nieufnie spod przekrzywionego łebka, ale już wkrótce zajął się jakąś ciekawą norką w trawie. Wymknęliśmy się, korzystając z jego nieuwagi. Kiedy się obejrzałam, Higglety odprowadzał wzrokiem samochód. Jechaliśmy w milcze-

niu, niczym dwoje winowajców. „Czuję się jak ostatni drań” – powiedział David. Po powrocie do domu nalaliśmy sobie po szklaneczce czegoś mocniejszego i siedzieliśmy przygnębieni na werandzie, aż zrobiło się całkiem ciemno. Zrozpaczona Pickle zwinęła się w kłębek na moich kolanach. Próbowałam ją pocieszyć głaskaniem, zagłuszając wyrzuty sumienia. Stał mi przed oczyma Higglety, samotny i opuszczony w obcym miejscu, z dala od gniazdka, w którym co wieczór się mościł. Nawet David sprawiał wrażenie zaniepokojonego i nie mógł się uporać ze swoim drinkiem. Jill już spała. Nie miałam pojęcia, jak się przed nią wytłumaczę nazajutrz rano.

Ni stąd, ni zowąd Pickle zaczęła ćwierkać, zeskoczyła mi z kolan i ruszyła pędem do drzwi. Pobiegliśmy za nią po schodach i zastaliśmy na górze Higglety’ego. Włosy na ogonie stały mu dęba – w wyrazie skrajnego oburzenia. Odetchnęłam z ulgą i podeszłam bliżej, chcąc wziąć go na ręce i powitać z powrotem w domu, ale dał mi do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych pieszczot, i ugryzł mnie boleśnie w palec u nogi. Zignorował Davida i Pickle, odmówił jedzenia – nawet sera – i poszedł na swoje posłanie, owijając się kocym i układając do snu przy wtórze nabrzmiałych urazą fuknięć. Przez kilka kolejnych dni próbowaliśmy wkupić się w jego łaski, ale trzymał się od nas z daleka, najwyraźniej nie zamierzając wybaczyć nam zdrady, choć stosunkowo szybko przestał się boczyć na Jill. W końcu zdołaliśmy go jakoś udobruchać i życie wróciło do normy.

Kilka tygodni później, kiedy Higglety i Pickle nie wrócili przed zmrokiem z codziennej wycieczki, wybrałam się samochodem do głównej bramy, żeby spytać, czy ktoś ich nie widział. Ujechałam zaledwie kawałek i zobaczyłam wojownika zbrojnego – wielkie ptaszynko z rodziny jastrzębiowatych – który siedział na ziemi i pożerał jakieś zwierzątko. Wsiadłam z wozu, żeby podejrzeć go z bliska. Po chwili wzbił się w niebo, unosząc w szponach drobne ciało mangusty. Rozpoznałam szczątki Pickle. Puściłam się biegiem przez busz, klaszcząc w dłonie, żeby skłonić ptaka do wypuszczenia zdobyczy. Za późno: odleciał razem z małą. Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać. Chwilę potem poczułam, że coś ociera mi się o plecy. Jakież było moje zdumienie, kiedy ujrzałam Higglety’ego. Przynajmniej on ocalał. Przytuliłam go z całych sił i zaniosiłam do samochodu.

Zdawałam sobie sprawę, że Pickle podzieliła los wielu innych mangust, a mimo to nie mogłam się pogodzić z jej śmiercią. Miałam nadzieję, że wydzielane przez mózg endorfiny zdołały ją znieczulić i skrócić jej męki. Osowiały Higglety przez kilka dni nie oddalał się od domu i podejrzliwie zerkał w niebo. Zew natury w końcu się jednak odezwał – nasz podopieczny znów zaczął znikać, czasem na całą noc, czasem na kilka dni, aż przepadł na dobre i nigdy się już nie znalazł.

Opieka nad zwierzętami – zarówno dzikimi, jak i domowymi – wyzwala w ludziach najrozmaitsze emocje, od miłości po rozpacz. Doświadczyłam tego po wielekroć. Rozstania zawsze bolały i nie umiałam nad nimi przejść do porządku dziennego. Oczywiście, Higglety wrócił tam, gdzie było jego miejsce. David znów mi przypomniał, że to powód do radości, nie do uzalania się nad sobą. W życiu nie liczy się jego długość, lecz jakość. Nasze sieroty – bez względu na to, jaki spotkał je los – dostały szansę spędzenia reszty swoich

dni na wolności.

David uwielbiał, kiedy masowałam mu skronie. Wieczorami, kiedy Jill już spała, kładł mi głowę na kolanach i robił podsumowanie dnia. Spędzaliśmy ten cenny czas na długich rozmowach – sposób, w jaki David patrzył na świat, przyczynił się ogromnie do pogłębienia mojej wiedzy o zwierzętach i ich zachowaniach. David uważał, że dzikie zwierzęta są pod wieloma względami bardziej skomplikowane niż ludzie, doskonalsze z punktu widzenia natury, wyselekcjonowane i przystosowane do życia w konkretnej niszy ekologicznej, co gwarantuje równowagę całego systemu. Nie znosił mądrali, którzy oceniali inteligencję zwierząt naszą miarą. Jego zdaniem każdy gatunek ewoluował pod kątem specyficznych potrzeb. Człowiek nigdy nie pojmie zwierzęcej „inteligencji” – ci, którzy twierdzą inaczej, są zwyczajnymi ignorantami. „Im więcej wiesz, tym bardziej wiesz, że nic nie wiesz” – powiadał. Dążenie do odpowiedzi na wszystkie pytania dowodzi tylko ludzkiej arogancji.

David był święcie przekonany, że zwierzęta potrafią się między sobą porozumiewać w tajemniczy, niezrozumiały dla człowieka sposób – miał na myśli zdolności telepatyczne słoni i wydawane przez nie infradźwięki oraz nieznaną mowę żyraf, uchodzących za stworzenia nieme. Nauczył mnie obserwować język ciała różnych zwierząt, uświadomił mi, jak istotną rolę w ich życiu odgrywają substancje chemiczne. Ślady stóp nie są tylko odciskiem w piasku, unosząca się w powietrzu woń może w porę ostrzec przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Doszedł do wniosku, że poszukiwanie tożsamości jest podświadomą potrzebą wszystkich ssaków płci męskiej – ludzi nie wyłączając – a w mniejszym stopniu i samic. Pozycja w grupie społecznej kształtuje poczucie własnej wartości, pewność siebie jest gwarancją spokoju. „W życiu każdego ssaka liczą się trzy rzeczy: tożsamość, podnieta i poczucie bezpieczeństwa. Z psychologicznego punktu widzenia najistotniejsza jest tożsamość”. Z całą pewnością miał rację, choć w tamtych czułych chwilach przekonywałam się w duchu, że źródłem wszelkiego dobra jest miłość.

David otwarcie pogardzał ludźmi, którzy utrzymywali, że jedynym celem istnienia zwierząt jest służenie człowiekowi. Nie cenił też wyznawców „zasady antropomorficznej”, którzy nie przyjmowali do wiadomości, że zwierzęta mają takie same emocje jak ludzie. Przecież z punktu widzenia natury człowiek jest także zwierzęciem. Skoro pewne cechy – na przykład stałocieplność i obecność gruczołów mlekowych – łączą nas ze wszystkimi ssakami, czemu nie doszukiwać się pokrewieństw również w sferach emocji i psychologii umysłu? Każde zwierzę jest odrębną jednostką, podobnie jak każdy człowiek. Zwierzęta też bywają szczęśliwe i radosne, smutne i przygnębione. David posunął się nawet do stwierdzenia, że człowiek – przez swoje wyobcowanie ze środowiska naturalnego – jest najbardziej zagrożonym gatunkiem na świecie. „Wystawiliśmy się na ryzyko implozji” – powiedział kiedyś mój mąż. A było to już w latach sześćdziesiątych!

Życie w Tsavo robiło się coraz bardziej nerwowe. Oboje z Davidem rzadko bywaliśmy w domu. Nadzór nad zagospodarowaniem odległych części parku wiązał się z konieczno-

ścią obozowania w terenie, nawet przez dłuższy czas, przeważnie razem z Jill, bo Ruth i Bill nie zawsze mogli się nią zająć. Kiedy Jill skończyła sześć lat, podjęliśmy z Billem decyzję, że wyślemy ją do państwowej szkoły podstawowej w Nyeri, na północ od Nairobi – renomowanej placówki z internatem, położonej w sąsiedztwie domu Billa i Ruth w Mweidze, u podnóża gór Aberdare. Umieszczenie dziecka w szkole z internatem było wówczas jedynym wyjściem dla rodziców mieszkających z dala od miasta. Całe nasze rodzeństwo wychowało się w internacie, więc specjalnie się tym nie przejęłam, wychodząc z założenia, że Jill prędzej czy później pójdzie w nasze ślady. Najtrudniejsze były rozstania, które nigdy nie obywaty się bez łez. Poza tym Jill przyjęła swój los ze stoickim spokojem. Bill i Ruth odwiedzali ją regularnie w czasie semestru, donosząc mi o postępach córki w nauce. David i ja przyjeżdżaliśmy do niej na ferie, korzystając z okazji, żeby spotkać się z Billem i Ruth oraz złożyć wizytę mojej teściowej. Mogłam się tylko pocieszać, że semestry szybko mijają.

David uwielbiał wyjeżdżać w teren. Musieliśmy pilnie spożytkować dotację w ramach programu „Woda dla dzikich zwierząt” – przewidującego stworzenie wodopojów w regionach ubogich w naturalne ciek wodne, między innymi w Tsavo – zanim deszcze zaleją groblę przy Wodospadach Lugarda i odetną nam drogę do północnej części parku. Po klęsce suszy w 1960 roku mieliśmy uruchomić nową stację pomp na rzece Athi, nieopodal przełęczy Thabangunji na płaskowyżu Yatta, oraz duży zbiornik retencyjny na szczycie samego płaskowyżu. Pomysł był taki, żeby wodę z rzeki przepompowywać do zbiornika, skąd miała przelewać się samoistnie do położonych z drugiej strony zagłębień terenu, co powinno zapobiec kolejnej hekatombie nosorożców. Skomplikowane przedsięwzięcie inżynierskie wymagało bezpośredniego nadzoru Davida, więc rozłożyliśmy się obozem w górnym odcinku rzeki, w miejscu zwanym Kitani ya Ndundu.

Podczas tamtego safari musiałam się zająć kolejnym, dość niezwykłym sierotą – samczykiem cywety, którego nazwaliśmy Old Spice. Kiedy ten nocny drapieżnik trafił w moje ręce, był wielkości kociaka, lecz przypominał raczej psa, bo nie potrafił wciągać pazurów. Z czasem dorósł do rozmiarów niewielkiego bulteriera i upodobał się do szopa. Miał szorstkie, żółtoszare futerko z ciemnymi cętkami i długi, gruby ogon w czarne poprzeczne pasy. Najosobliwszą cechą Old Spice’a była jednak czarna grzywa na stronie grzbietowej, swoisty barometr jego nastrojów. Kiedy był zły albo zaniepokojony, stawiał włosy na sztorc i sprawiał wrażenie dwukrotnie większego niż w rzeczywistości.

Zasłużył na przezwisko Old Spice, bo zwęszywszy ledwie odrobinę Davidowego płynu po goleniu, zaczynał skakać jak opętany i ocierać się o co popadnie. Moje ulubione perfumy dawały jeszcze bardziej piorunujący efekt, był to jednak dość kosztowny luksus i używałam ich tylko od święta, więc niekoniecznie miałam ochotę dzielić się nimi z cywetą. Szczerze mówiąc, David był równie przywiązany do swojego płynu, ale gdy Old Spice zaczął wracać z nocnych wypadów, cuchnąc w najlepszym razie padliną, doszliśmy do wniosku, że oszczędzimy sobie przykrości, zabijając paskudną woń czymś, co zadowala nasz zmysł powonienia. Po krótkiej sprzeczce zdecydowaliśmy poświęcić na ten cel flakonik

old spice'a.

Ponieważ cywety prowadzą nocny tryb życia, Old Spice nie miał z nas wiele pożytku. Ilekroć się budził, my właśnie szliśmy spać. Przez całą noc próbował się z nami bawić, skacząc po łóżku, wściubiając nos pod kołdrę i z takim zapamiętaniem deptając przednimi łapami, jakby zamierzał nas rozgnieść na miazgę. Kiedy tracił nadzieję na figle, zeskakiwał na podłogę i wychodził na dwór, żeby schrupać chrząszcza, który przyleciał do światła na werandzie, albo dopaść jakiegoś nieszczęsnego krocionoga – prawdziwy przysmak dla każdej cywety.

Niewiele wiedziałam o tych zwierzętach i nie miałam z nimi wcześniej do czynienia. David powiedział, że w Etiopii i Afryce Północnej prowadzi się ich hodowlę na potrzeby przemysłu perfumeryjnego. Cywety trzyma się w ciasnych klatkach poustawianych jedna na drugiej i nieustannie drażni, żeby zwiększyć produkcję wydzieliny gruczołów okołoodbytowych, wykorzystywanej jako utrwalacz zapachów. Byłam wstrząśnięta, że te piękne, dzikie stworzenia muszą cierpieć katusze przez kobiecą próżność. Jill tak się przejęła opowieścią Davida, że do dziś – mimo że od tamtej pory minęło już ponad pięćdziesiąt lat – nie używa drogich perfum, które mogą zawierać pozyskiwany okrutnymi metodami cybet, zastępując je wyciągami z kwiatów i olejkami pochodzenia roślinnego.

Old Spice był samotnikiem i prowadził dość skryty tryb życia. Ilekroć w domu pojawiali się goście, zaszywał się gdzieś w kącie i wychodził dopiero po zmroku. Światło słoneczne wywoływało u niego gwałtowną zmianę nastroju – robił się nerwowy i gwałtownie szukał schronienia, najchętniej w gęstych zaroślach. Jak się wkrótce okazało, pilnie strzegł swoich sekretów: jeśli ktoś go przyłapał u wejścia do kryjówki, porzucał ją natychmiast i z wyraźnym wzburzeniem szykował się do kolejnej przeprowadzki. Zawsze wolałam wiedzieć, co się z nim dzieje za dnia, musiałam się jednak uciekać do rozmaitych podstępów: szpiegowałam go, odwrócona tyłem, obserwując jego poczynania w lusterku.

Program budowy wodopojów – wymyślony i opracowany przez Davida – miał na celu zmeliorowanie dużej połaci gruntów na obszarach ubogich w ciekich wodnych, a tym samym złagodzenie skutków zniszczeń spowodowanych przez słonie i zapewnienie nosorożcom stałego dostępu do paszy i wody. Wielu ekspertów ze „szkodnictwem” słoni właśnie skojarzyło niedawną śmierć ponad trzystu nosorożców czarnych, ale skoro populacja tych zwierząt utrzymywała się wciąż na wysokim poziomie, David doszedł do wniosku, że przyczyną katastrofy mogło być nadmierne zagęszczenie nosorożców w siedliskach nadrzecznych. Przedsięwzięcie okazało się bardzo skomplikowane pod względem inżynierskim: trzeba było odwrócić bieg rzeki w pobliżu Thabangunji, gdzie rwący nurt wpadał w ostre zakole. Zainstalowanie stacji pomp wymagało ocembrowania jednego z brzegów betonem. Budowa wielkiego zbiornika retencyjnego na szczycie płaskowyżu Yatta – napełnianego przez pompy, żeby nawodnić wodopoje i naturalne obniżenia terenu po drugiej stronie rzeki, gdzie pastwiska marniały z braku wód powierzchniowych – też nie była łatwym zadaniem, bo wszelkie materiały wnoszono ręcznie po stromych, osypujących się zboczach skarpy, w morderczym upale przekraczającym trzydzieści pięć stopni. Ponieważ prace prowadzono

po obydwu stokach płaskowyzu, David musiał się nieźle nachodzić w górę i w dół, żeby doglądać postępów robót. Mnie przypadł w udziale nadzór nad kuchnią obsługującą personel. Przy okazji mogłam się napatrzeć na dziwną symbiozę ptaków z krokodylami: ptasi „dentyści” czyścili gadom zęby, zapuszczając się czasem tak daleko w głąb paszczy, że krokodyl mógł je zmiażdżyć dosłownie jednym kłapnięciem.

Pora deszczowa nadciągała nieubłaganie i robotnicy prowadzili istny wyścig z czasem, by zdążyć z budową stacji pomp, zanim rzeka wystąpi z brzegów. Prądnice, które miały w przyszłości zasilić pompy, podłączono do reflektorów, żeby pracowały na okrągło, w systemie zmianowym. David starał się dawać przykład, harując do późna w nocy. Ja też nie mogłam narzekać na brak zajęcia: musiałam dostarczać posiłki na plac budowy, oddalony o kilka kilometrów od obozowiska. Odpoczywałam potem w cieniu wielkiego baobabu, obwieszonego niechlujnymi gniazdami hałaśliwych bawolików białogłowych. Drzewo rozbrzmiewało odgłosami nieustannej krzątaniny. Stłoczone na gałęziach ptaki zabezpieczały gniazda zaporami z cierni, żeby odstraszyć węże. Zdarzało mi się całkiem zatracić w podglądaniu życia tych jazgotliwych, czarno-białych wikłaczy. Samczyki wzmacniały gniazda patykami i pędami traw, samiczki fruwały tam i z powrotem, donosząc pokarm młodym.

Pewnego ranka wypatrzyłam dwa łyse pisklęta, pokryte szorstkimi zawiązkami piór. Rozdziawiały szeroko dzioby, popiskując żałośnie. Pewnie wypadły z gniazda. Kiedy je podniosłam, jedno zwiotczało mi w dłoni i zdechło. Uświadomiłam sobie, że muszę natychmiast coś zrobić – w przeciwnym razie drugi maluch też zginie. Porozumiałam się z Davidem, który zawołał jednego z robotników, słynącego z umiejętności wspinania się na baobaby, i kazał mu włożyć pisklę do gniazda. Torując sobie drogę maczetą, robotnik w mgnieniu oka wdrapał się na drzewo i oddał małego rodzicom. Niestety, zanim zdążył zejść, pisklak znów się wygramolił i poleciał z furkotem w dół. Tym razem zdołałam zamortyzować jego upadek, łapiąc go w spódnicę.

„No i znów będziesz miała pełne ręce roboty” – roześmiał się David. Wkrótce się okazało, że miał rację. Między roznoszeniem posiłków musiałam się zająć tak zwanym zalewaniem robaka, i to w pełnym wymiarze godzin. Od świtu do nocy biegałam po okolicy z giętkim prętem, którym dźgałam każdego pasikonika, jaki mi się nawinął, po czym urywałam mu główkę i wkładałam go do słoika po dzemie. Pisklaka nazwaliśmy Gregory Peck. Rósł jak na drożdżach i z czasem zaczął reagować na swoje przezwisko donośnym skrzeczeniem.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy udało się przymocować cembrowinę do skały i przygotować grunt pod instalację stacji pomp Thabangunji. Z tym trzeba było jeszcze poczekać – dwa dni później rzeka wezbrała deszczówką i zaczęła z hukiem występować z brzegów. W Tsavo wciąż panował upał i ziemia była spieczona, jakby nie spadła na nią nawet kropla wilgoci. Na twarzach robotników malował się jednak niepokój, który wzrósł, gdy poziom rzeki podniósł się tak gwałtownie, że woda całkiem zakryła świeżo wylaną cembrowinę. Pojawiły się obawy, że wielotygodniowa praca pójdzie na marne: jeśli cement nie zdąży

się związać z podłożem, nurt porwie całą konstrukcję.

Pewnej nocy wiatr ustał i powietrze znieruchomiało. Gwiazdy znikły za czarną warstwą chmur rozświetlanych przez błyskawice. Rozległy się grzmoty. Usłyszeliśmy syk węgla, zwiastujący pierwsze krople deszczu, które zdusiły ogień i zasnuły obóz kłębamii dymu. Usiedliśmy przy dogasającym żarze, rozkoszując się chłodną siapaniną i świeżym zapachem wilgotnej ziemi. Deszcz przybrał jednak na sile i przeistoczył się w ulewę, która przegoniła nas do namiotu jadalnego. David włączył radio. Wśród huku grzmotów udało nam się wyłowić informację, że woda zmyła główny most kolejowy w górnym biegu rzeki Athi i wszystko wskazywało, że nadejdą jeszcze obfitsze opady.

„Chyba powinniśmy przenieść obóz trochę wyżej – powiedział David. – I to natychmiast, zanim rzeka wystąpi z brzegów”. Zaczęliśmy się zwijać po omacku, w strugach ulewnego deszczu, upychając nasiąkniętą wodą, ważące bodaj tonę namioty z tyłu landrowera, by przewieźć je pod skarpe płaskowyżu Yatta. Schroniliśmy się w rozstawionym pośpiesznie namiocie jadalnym, wśród ogólnego chaosu, jaki towarzyszył rozpaczliwym próbom odnalezienia naszych rzeczy w słabym świetle latarek i uratowania dachu przed naporem wody, która ściekała po bokach kaskadami błotnistego szlamu. W końcu przekopaliśmy się przez ten kram i urządziliśmy sobie prowizoryczną kryjówkę, zmęczeni i przemoczeni, ale szczęśliwi, że deszcze dotarły nad Tsavo. Każda ulewa w tym regionie była powodem do świętowania, choć akurat ta wybrała sobie nie najlepszy moment! Przytuliłam do piersi roztrzęsionego Gregory’ego Pecka, martwiąc się o Old Spice’a, który tamtego ranka zaszył się gdzieś nad brzegiem, skąd mógł go ponieść wezbrany nurt rzeki. Huk rwącej wody narastał przez całą noc. Kiedy wreszcie zapadłam w nerwową drzemkę, przyśniło mi się Malindi i odgłos nadciągającej fali przyboju. Świt wstał szary i wilgotny. Deszcz przestał padać. Wyszliśmy na zewnątrz, żeby popatrzeć na nowy krajobraz. Brunatny strumień wściekle spienionej wody przetaczał się w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej stały nasze namioty. Zalał już do połowy pnie akacji i widlic, niektóre drzewa wyrwał z korzeniami i zmiotł z powierzchni ziemi. Na szczęście cembrowina przetrwała powódź bez szwanku.

Pod wieczór, kiedy David wrócił z placu budowy, wyruszyliśmy na poszukiwania Old Spice’a. Nasze dawne obozowisko znalazło się wprawdzie pod wodą, szliśmy jednak wzdłuż rzeki, wołając pupila po imieniu i naśladowując jego charakterystyczne cmokania – ile sił w płucach, żeby przekrzyczeć szum wody. Wkrótce zapadł zmrok. W świetle latarki wypatryliśmy wiele par oczu – zarówno drapieźców, jak i roślinożerców – które lśniły w ciemnościach czerwonym lub zielonkawym blaskiem. Niestety, nie było wśród nich Old Spice’a.

Gdy ruszyliśmy w drogę powrotną, usłyszałam tupot czyichś łap. No i proszę, znalazł się! Obie strony ucieszyły się ze spotkania – mały mruczał i trącał nas nosem, pozwalając nieść się na zmianę do naszego nowego domu. Przewróciłam cały namiot do góry nogami w poszukiwaniu niezastąpionego płynu po goleniu. Od tamtej ulewy Old Spice wracał zawsze o zmierzchu, pozwalał się utulić i namaścić wonnościami, po czym znikał w ciemnościach. Teraz, kiedy nastąpiła pora deszczowa, musiał zlustrować wszystkie kałuże i urządzić

sobie zwyczajową ucztę z owadów, które roztrzaskiwały się o reflektor przed namiotem jadalnym.

Deszcze nie ustawały i przenosiły się na coraz wyżej położone tereny. Rok 1961 był naprawdę pamiętny: dzikie kwiaty pojawiały się jakby znikąd – wonne hebanowce, bladoniebieskie sępolie, śnieżnobiałe powoje. Motyle przysiadły na krzewach i kupkach świeżego słoniowego nawozu. Z codziennych wypadów połączonych z „zalewaniem robaka” przynosiłam piękne bukiety do namiotu jadalnego. Przed pójściem spać znajdowałam w łóżku prześliczne, podobne do storczyków kwiaty wianowłostki, które David kładł na mojej poduszce.

Utkwiliśmy między dwiema wezbranymi rzekami, Galaną i Tivą, odcięci od głównej kwatery parku i odpowiedzialni za los sześćdziesięciu robotników. Udało się oczyścić pobliski pas startowy, można więc było dostarczać zapasy i w razie czego ewakuować chorych drogą lotniczą. Koryto rzeki w wielu miejscach poszerzyło się o co najmniej sto metrów, a huk wezbranej wody szedł w parze z trzaskiem łamiących się drzew, które płynęły spienionym nurtem w masie innego śmiecia. Razem z powalonymi drzewami ginęły w odmętach pawiany, które próbowały schronić się na noc w gałęziach. Widywaliśmy też zwłoki zwierząt domowych, zniesione prądem spoza obszaru parku.

Musieliśmy utrzymać kontakt z terenem na południe od rzeki, skąd przekazywano nam żywność i paliwo. W końcu udało się przerzucić na drugi brzeg linę, która zapewniała nam łączność z cywilizacją i służyła jako wyciąg do transportu zaopatrzenia. Nie było to zbyt bezpieczne rozwiązanie na czas powodzi. Przeprawa w bród nie wchodziła w grę, bo większość robotników nie umiała pływać. Pozostawało nam siedzieć i czekać, aż woda opadnie. Dzięki dostawom cementu i żywności mogliśmy jednak kontynuować prace. Przez trzy miesiące, do czasu odsłonięcia grobli przy Wodospadach Lugarda, mieszkaliśmy w obozie u stóp płaskowyżu Yatta. David porozumiewał się przez radio zarówno z naczelną dyrekcją w Nairobi, jak i z główną kwaterą parku w Voi. Muszę przyznać, że nie miałam nic przeciwko tym przymusowym wakacjom. Czułam się jak rozbitek na wyspie bezludnej i zabijałam czas pisaniem długich listów do Jill.

Old Spice był już całkiem duży i coraz dłużej przebywał z dala od nas, szukając nowych kryjówek i demonstrując swoją niezależność. Czasem nie widywaliśmy go przez kilka dni z rzędu, po czym w środku nocy zjawiał się w naszym namiocie. Dla odmiany Gregory Peck stawał się coraz bardziej przyklepny i towarzyski, uwielbiał siadać mi na ramieniu i towarzyszyć przy codziennych zajęciach. Zaczął nawet brać udział w polowaniach na pasikoniki, skacząc dokoła i trzęsąc się z podniecenia, ilekroć zdołałam przygwoździć zdobycz. Pewnego ranka niosłam go w rękę, kiedy postanowił wypróbować, do czego służą skrzydła. Wymachiwał nimi z zapalem, aż uniósł się w powietrze, chwilę później stracił równowagę i spikował, następnie odzyskał wysokość i pofrunął niepewnie na czubek strzelistej akacji – całkiem niezły dystans, jak na dziewiczy lot. Zawołałam go po imieniu, na co odpowiedział zwyczajowym skrzeknięciem, ale chyba zabrakło mu odwagi, żeby sfrunąć z powrotem. Kiedy zaczęłam się już szykować na ostateczne rozstanie, poderwał się z gałę-

zi i wylądował wprost na moim ramieniu, za co dostał w nagrodę najtłustszego pasikonika.

Gregory Peck był strasznie ciekawski i uwielbiał we wszystkim brać udział, więc postanowiliśmy oswoić go z samochodem – przy okazji wyprawy na północ, podczas której mieliśmy oszacować straty po powodzi na rzece Tiva. Deszcze zmieniły pejzaż tej części parku. Trawa sięgała do pasa, a drogę ledwie było widać. Zupełnie jakbyśmy jechali przez pole pszenicy. Co rusz musieliśmy zatrzymać wóz, żeby usunąć kłosa z kratki chłodnicy i poczekać, aż silnik ostygnie. Minęliśmy kilka zdrowo wyglądających nosorożców, kłusujących rażno, z wysoko uniesionymi ogonami – piękny widok, zwłaszcza po ubiegłorocznej klęsce suszy. Kiedy dotarliśmy nad Tivę, przekonaliśmy się, że szkody są ogromne – drzewa wyrwane z korzeniami piętrzyły się w stertach po obu stronach rzeki, a przeprawę Makoka zablokował potężny wał z piasku naniesionego przez wodę. Straciliśmy resztki nadziei, że powódź oszczędziła naszą czatownię w Kathamulli.

Gregory został prawdziwym obieżyświatem i towarzyszył nam wszędzie, siedząc Davidowi na ramieniu. Od czasu do czasu wyfruwał za okno i musieliśmy się zatrzymać, żeby nas dogonił. Pewnego razu postanowiliśmy urządzić postój w pobliżu hałaśliwej kolonii bawolików – byłam ciekawa, jak Gregory zareaguje na widok swoich pobratymców. O dziwo, nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. David wyjaśnił, że u ptaków odchowanych przez człowieka następuje tak głębokie wdrukowanie ludzkiego wzorca, że przestają rozpoznawać przedstawicieli własnego gatunku. Istotnie, nawet dźwięki wydawane przez Gregory’ego różniły się od odgłosów innych bawolików, przypominając raczej chrapliwy skrzek. Na szczęście jemu to nie przeszkadzało, zgrzytał radośnie na powitanie każdego dnia.

Dalej na południe, na rzece Athi, woda zdążyła już opaść. Chciałam koniecznie zobaczyć się z Jill, która miała wrócić do domu na święta Bożego Narodzenia. Niestety, powódź zmyła podjazdy do grobli, otwierając ziejącą czeluść między brzegiem a betonowymi umocnieniami. Koryto poszerzyło się w tym miejscu o prawie trzysta metrów. David wszedł ostrożnie w nurt, żeby sprawdzić, czy da się przejechać rzekę w bród. Chwilę później zrezygnował z tego pomysłu. Nie było innego wyjścia, musieliśmy zaryzykować przeprawę czółnem, zanim woda znów się podniesie po górskich ulewach. Zapakowałam do pudeł wściekłego Old Spice’a i oszołomionego Gregory’ego Pecka, pożegnałam się z ludźmi, z którymi przyszło mi spędzić ten szczególny czas, włożyłam kamizelkę ratunkową i ruszyłam nad rzekę. Wsiedliśmy do czółna – nie bez obaw, bo miałam pełną świadomość, że w razie wywrotki nie zdołam ocalić ani Gregory’ego, ani Old Spice’a. Odetchnęłam z ulgą, kiedy wylądowaliśmy bezpiecznie na drugim brzegu. David został, żeby zająć się naprawą grobli i umożliwić transport personelu wraz z całym wyposażeniem obozu. Nie mogłam się doczekać spotkania z Jill i resztą rodziny, która zamierzała spędzić z nami święta.

Trzy miesiące przymusowych wakacji potraktowałam jak przygodę i chwilę wytchnienia od nieustannej krzątaniny w siedzibie dyrekcji parku. Nie miałam pojęcia, ile pracy czeka nas po powrocie.

9. NA SWOIM

Sofizmat, jakoby bydlęta nie różniły się niczym od nieczułych maszyn i nie miały zdolności rozumowania, jest tak przerażająco absurdalny, że nie warto nawet z nim walczyć.

Percy Bysshe Shelley

Przez trzy miesiące naszej nieobecności osierocone słonie, nosorożce i bawoły urosły w siłę i zaczęły nawiązywać całkiem nieprawdopodobne przyjaźnie. Jeszcze przed wyjazdem David skonstruował nową zagrodę, która miała zabezpieczyć naszych podopiecznych przed atakami lwów. Samson i Aruba z początku odnosili się nieufnie do przybyszów, z niepokojącą regularnością przypuszczając szarżę na cielęta bawołów. Nosorożec Rufus nie zwracał uwagi na popisy rozjuszonych słoni, co jakimś tajemniczym sposobem przyczyniło się do zmiany ich nastawienia. Słoniątka zaczęły się oswajać ze współmieszkańcami. Mniej więcej po dwóch tygodniach nasze mieszane stadko – zwane dużym sierocińcem – zżyło się na dobre i stało nierozłączne, ku uciesze zwiedzających, którzy napotykali je w parku.

Gregory Peck w mig opanował topografię naszego biura. Noc spędzał z nami w sypialni – o świcie, kiedy rozlegał się poranny śpiew ptaków, otwierał szeroko ślepek i ruszał do boju. Porządkował upierzenie, na którym pojawiało się coraz więcej czarnych cętek, wychodził ze swojej skrzynki, rozglądał się za mną i Davidem, po czym sfruwał prosto na nasze łóżko, budząc nas dziobaniem w powieki. Upewniwszy się, że już nie śpimy, przeciskał się przez kratkę w oknie i wylatywał na dwór, żeby dołączyć do ptasiego chóru. Nigdy się nie oddalał od domu. Kiedy siadaliśmy do śniadania, natychmiast wracał, żeby sprawdzić, co mamy na talerzu, wybierał co smaczniejsze kąski i znikał. Zaspokoiwszy pierwszy głód, wlatywał z powrotem do pokoju – z niezmienną nadzieją, że zostawiłam na toalecie swój puszek do pudru. Odkąd zamieszkał w naszym domu, z zapałem budował kolejne niechlujne gniazda, zakładając je, gdzie popadnie. Całe szczęście, że nie cesałam się w modny natapirowany kok – w przeciwieństwie do jednej z goszczących u nas kobiet, która musiała cierpliwie znosić, jak Gregory upycha gałązki i patyczki w jej usztywnione lakierem włosy.

Byłam bardzo dumna z naszego domu i doceniałam jego wygody, zwłaszcza po trzech miesiącach mieszkania w namiocie. Przed śniadaniem spędzałam kilka spokojnych chwil na ścinaniu kwiatów w ogrodzie – idąc w ślady mojej matki, która zawsze dekorowała wnętrza pachnącymi bukietami. Gregory też postanowił wziąć z niej przykład. Ilekroć brałam do ręki sekator, nie odstępował mnie ani na krok, balansując na moim ramieniu i ćwierkając wniebogłosy. Nie ograniczał się do patrzenia, z uporem próbował mi pomagać, chwytając dziobem łodyżkę i ciągnąc ją z całej siły w swoją stronę. Łodyżka odskakiwała, Gregory jednak nie odpuszczał – jakby całe jego życie od tego zależało – i zwykle

wystrzelał w powietrze razem z nią. Z każdym kolejnym podejściem był coraz bardziej sfrustrowany, czemu dawał wyraz wściekłym skrzeczeniem i stroszeniem piór. Czasem chciałam mu pomóc, ale Gregory był bardzo niezależnym bawolikiem i wołał sam sobie poradzić. Niebawem jednak odkrył, że kwiaty ułożone w wazonie można bez trudu wyciągnąć. Równie szybko się zorientował, że nie przepadam za układaniem swoich bukietów od nowa, czekał więc, aż spuszczę go z oka, wpadał do salonu, wybierał kwiaty po jednym i rozrzucał po całej podłodze. Przyłapany na gorącym uczynku, odfruwiał z gałązką w dziobie.

Gregory był wyjątkowym ptaszkiem i asystował mi właściwie przez cały dzień. Kiedy praca zaczynała palić nam się w rękach, zawsze stawiał się pierwszy na posterunku. Zrzucając moją dekorację z kwiatów, pędził wprost do kancelarii, gdzie przystępował do zrzucania listów i ołówków z biurka Davida, obserwując z błyskiem w oku, jak spadają kolejno na podłogę. Następnie brał ze dwa dokumenty w dziób i odfruwiał do warsztatu, żeby sprawdzić, czy robotnicy włączyli betoniarkę. Było to jedno z jego ulubionych miejsc gniazdowych, więc strząsał z siebie wszystkie gałązki i papierki, wskakiwał do szopy i zabierał się do konstruowania gniazda, drąc się, ile sił w płucach, żeby przekrzyczeć warkot potężnego silnika Diesla. W końcu był bawolikiem: charakterystyczny łomot tłoków musiał mu przypominać zgiełk towarzyszący budowie gniazd przez pobratymców, którzy mieszkają w ogromnych koloniach, często na jednym drzewie.

Gregory został wkrótce ulubieńcem całego personelu. Skrzeczał radośnie, kiedy ludzie machali na jego widok albo wołali go po imieniu. Jeśli nawet w tygodniu gdzieś się zawie-ruszył, z pewnością można było liczyć na jego obecność w piątek po południu, kiedy robotnicy i straż parkowa przychodzili do biura po wypłatę. Ku naszemu utrapieniu wyjątkowo sobie ten dzień upodobał. Zamykaliśmy szczelnie okna i drzwi, żeby nie porozrzucał monet i banknotów równiutko ułożonych w stosy. Gregory nie dawał się jednak zniechęcić. Czekał cierpliwie w długiej kolejce na dworze, siadając ludziom na głowie lub na ramieniu – w nadziei, że ktoś go wniesie do środka. Choć wszyscy mieli przykazane, żeby wciskać się przez szparę i natychmiast zamykać za sobą drzwi, prędzej czy później Gregory i tak zdołał się wśliznąć, spikować na blat, porwać ze dwa banknoty i z triumfem okrążyć biuro ze zdobyczą w dziobie. Kończyło się to niezmiennie beładną pogonią za winowajcą i gorączkowym poszukiwaniem zgubionych pieniędzy.

Zdawałam sobie sprawę, że Gregory'emu brakuje podstawowych umiejętności – mimo wysiłków, jakie wkładał w budowę swoich skomplikowanych konstrukcji. Uznaliśmy, że powinien się uczyć na jakimś przykładzie, kiedy więc znaleźliśmy stare gniazdo w opuszczonej kolonii wikłaczy, postanowiliśmy zawiesić je na rosnącej przed domem jakarandzie. Gregory był tak podniecony, że mało nie wyszedł z siebie: ćwierkał z zachwytem, oblatywał gniazdo w kółko, mościł się w środku, żeby sprawdzić, czy jest wygodne, i przera-biał je z zewnątrz. Byliśmy pewni, że wkrótce się domyśli, jak sklecić podobne. Niestety, nie sama konstrukcja zrobiła na nim wrażenie, lecz użyte w niej materiały. Kilka minut później zabrał się do rozbiórki. Wyciągnięte ze środka gałązki i ciernie wykorzystał w jednym

z własnych wynalazków.

Wiedziałam, że nie uchronię Gregory'ego przed każdym niebezpieczeństwem. W pierwszych tygodniach pobytu w Voi odebrał kilka cennych lekcji przetrwania – między innymi dwukrotnie wywinął się ze szponów drapieżnego ptaka, w ostatniej chwili nurkując w zarośla. Kiedy szłam go stamtąd wydobyć, trzął się na całym ciele. Potem zaczął zwracać uwagę na ostrzegawcze wołania innych ptaków i kiedy poczuł się zagrożony, szukał schronienia w domu lub w gęstwinie roślin. Noce spędzał bezpiecznie, w pudle na parapecie naszego okna. Zaniepokoiłam się jednak, kiedy z dnia na dzień zaczął sypiać na dworze – w kępie suchej trawy na tyłach domu, z głową wsuniętą pod skrzydło, wystawiony na żer węży, żenet, a nawet Old Spice'a, któremu wciąż jeszcze się zdarzało wpadać do nas po zmroku. Doszliśmy do wniosku, że można go tylko odnieść z powrotem do pudła w sypialni. Skoro nie protestował, uczyniliśmy z tego cowieczorny rytuał „kładzenia do łóżka”, czyli podnoszenia go z ziemi i umieszczania na noc w pudełku. Intrygowało nas jego dziwne zachowanie, ale w końcu Gregory Peck nie był zwykłym bawolikiem i niewykluczone, że sami też zawiniliśmy, nie zapewniwszy mu odpowiedniej „grzędę”, przez co nauczył się spać na dnie swojej skrzynki.

Największy urok Gregory'ego tkwił w jego niespożytej ciekawości świata. Nie lubił, kiedy ludzie się z niego nabijali, a większość istotnie wybuchała śmiechem na jego widok. Gregory uwielbiał się popisywać. Ilekroć przyjmowaliśmy kogoś na werandzie – co zdarzało się kilka razy w tygodniu – urządzał przedstawienie, stając naprzeciw gościa z wysoko uniesionym łebkiem, mierząc go dumnym wzrokiem i celując w niego dziobem. Kiedy gość – jak na komendę – zaczynał się śmiać, Gregory odpowiadał wściekłym skrzeczeniem, stroszył pióra i lądował mu na głowie. Im gorliwiej próbowano się go pozbyć, tym mocniej wczepiał się pazurkami, żeby pokazać, kto tu rządzi.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy trzeba było przenieść betoniarke – w owym czasie jedno z najukochańszych miejsc gniazdowych Gregory'ego – na plac budowy nowej kwatery straży, tuż przy głównej bramie do parku. Nasz bawolik zaczął tak intensywnie myśleć, że niemal słyszałam zgrzyt trybów ząbających się w jego mózgu. Zżerała mnie ciekawość, co zrobi. Kiedy robotnicy uruchomili maszynę, Gregory przechylił łebek, złowił uchem znajomy dźwięk i odleciał na poszukiwania. Wrócił po południu, kiedy kończyłam pracę w biurze – siedział beztrąsko w szoferce ciężarówki do przewozu robotników i co chwilę trzepotał skrzydłami, żeby utrzymać równowagę na wybojach. Niewiarygodne, ale szybko się nauczył, że jeśli będzie w warsztacie punktualnie o siódmej rano, załapie się na samochód, który dowozi ludzi na plac budowy. Ilekroć się spóźnił i przegapił okazję, leciał na miejsce o własnych siłach. Najczęściej wracał z robotnikami na przerwę obiadową, utyłany w cementowym pyłe i wyraźnie zmęczony. Znikał ponownie, kiedy zegar wybijał drugą. Byłam pod wrażeniem potencjału ptasiego mózgu – pamiętam pewnego naukowca, który aż się zachnął, kiedy nawiązałam do tego w rozmowie: „Ależ Daphne, jak można się doszukiwać procesów myślowych w mózgu wielkości orzeszka? Powiedz mi, skąd się wzięło określenie «ptasi mózdzek»?”. Raptownie straciłam wiarę w nieomyślność prawd nauko-

wych – zupełnie jak David.

Więć, że zamieszkał u nas Gregory, szybko się rozniosła i już wkrótce musiałam się zająć przedziwnym zestawem pierzastych sierotek: Oliverem Twistem, maleńkim jerzykiem, który wypadł z gniazda na stacji kolejowej i odchowwał się bez kłopotu, po czym odfrunął z dachu i tyle go widzieliśmy; Abdulem, pisklęciem bilbila, które miało mniej szczęścia, bo jego dziewiczy lot skończył się w szponach jastrzębia; Puszkiem, ślicznym samczykiem dzierzby, który z początku przyjmował pokarm tylko ode mnie; wreszcie Panem Czerwonogłówką, wikłaczem czerwonogłowym, rezydującym w naszym ogrodzie od 1959 roku. Czerwonogłówka miał kilka gniazd na wielkim drzewie miodli, które rosło pośrodku trawnika. Najnowsze i najlepsze rezerwował dla siebie, następne w kolejności oddawał żonie, w pozostałych, mocno już sfatygowanych, gnieździły się pary rozświergotanych wróbli. Pani Czerwonogłówka miała skromne żółtoszare upierzenie i była całkiem zdominowana przez swego małżonka. Choć zdradzała żywe zainteresowanie budową każdej nowej siedziby, nie pozwalał jej się wtrącać, a kiedy zanadto się zbliżyła i przeszkodziła mu w pracy, odganiał ją z furią. Ledwie się jednak odwrócił, wpadała do środka, żeby się choć na chwilę rozejrzeć. Samiec łaskawie pozwalał jej złożyć jaja w jednym z lepszych gniazd. Po wykluciu młodych oboje zwijali się jak w ukropie. Szeroko rozdziawione dziobki pojawiały się w otworze kilka razy dziennie, można je było wywabić także stukaniem w bok gniazda. Co ciekawe, przez wszystkie te lata nie wypatrzyliśmy w ogrodzie dorosłego potomstwa wikłaczy. Pewnego dnia młode po prostu zniknęły i wszystko zaczynało się od nowa.

Nic dziwnego, że dzieliliśmy nasz ogród z takim mnóstwem pierzastych i futrzastych stworzeń. David przekształcił go z czasem w bajecznie kolorowy raj tropikalny, ze ścieżkami wijącymi się w trawie i wśród ozdobnych rabat. Kwitnąca na niebieskofioletowo jakaranda zwieszała się nad stylowym poidłem dla ptaków, wynurzającym się z pięknie utrzymanego klombu. Sztuczne strumyki meandrowały po zboczach pagórków, wpadając do stawu ze złotymi rybkami, śmigającymi wśród białych i różowych lilii wodnych. Wokół stawu stały proste ławeczki, na których odpoczywaliśmy w chłodne wieczory, rozkoszując się muzyką płynącą z zainstalowanych na pobliskim drzewie głośników. W nocnym powietrzu rozchodził się intensywny aromat zielonożółtych, przypominających gwiazdki kwiatów jagodlinu, który rósł w sąsiedztwie arnoty, wydającej kolczaste, jaskrawoczerwone owoce. Nasz ogród był oazą świeżości wśród jałowej, spalonej słońcem półpustyni, miejscem, gdzie odnosiło się wrażenie, że człowiek zawarł rozejm z przyrodą. Dzikie zwierzęta zapuszczały się tutaj bez lęku przed ludźmi. W ciągu dnia można było wypatrzeć snujące się między klombami dikdiki. Liczące ponad sto sztuk stado perlic sępich – o kryzach z długich piór kreskowanych na czarno-biało-niebiesko – podchodziły do nas ufnie jak kurczaki. Dopóki nie zaszło słońce, w ogrodzie gościły wiewiórki ziemne i nadrzewne oraz wspaniałe agamy czerwonogłowe. Po zmroku schodziły się większe zwierzęta, między innymi stary samiec żyrafy, który z upodobaniem objadał z liści drzewo rosnące przed domem, chrupiąc tak głośno, że nie mogliśmy spać, oraz kilka sędziwych, pasących się na trawniku bawo-

łów. Za dnia ogród rozbrzmiewał śpiewem ptaków, w nocy – sporadycznym porykiwaniem lwów, gardłowym „piłowaniem” lamparta i upiornym chichotem hien. Bywało, że Jill nawoływała z sypialni rozkapryszonym głosem: „Przegońcie te lwy, bo nie mogę zasnąć”. Moja córka była równie oswojona z muzyką afrykańskiej nocy, jak mieszczuch z odgłosami ruchu ulicznego.

W 1962 roku, kiedy skończyła się pora sucha, nadeszły deszcze i przyniosły wytchnienie od wielomiesięcznych morderczych upałów, Old Spice i Gregory Peck porzucili nas na dobre. Byłam pewna, że dorosły już Old Spice zatroszczy się sam o siebie, ale wciąż prześladowała mnie myśl, co się stało z Gregorym. Któryś ze strażników widział, jak opuszcza park o zmierzchu, na ramieniu jednego ze zwiedzających – akurat w dzień, kiedy oboje z Davidem zostaliśmy dłużej w Mombasie. Po powrocie jak zwykle poszłam go zabrać z kępy trawy na tyłach domu, ale przepadł jak kamień w wodę. Nie pojawił się też przez następne dni. W końcu przestaliśmy po nim płakać i przyjęliśmy do wiadomości, że odszedł na zawsze – wdzięczni za mnóstwo radości, jakiej nam dostarczył przez ostatni rok, i za cenną lekcję o „ptasim mózdzku” wielkości orzecha. Nigdy nie zapomnę jego błazeńskich wygłupów i zadziwiających uzdolnień.

Pod koniec roku dowiedziałam się, że jestem w ciąży i od razu skojarzyłam, kiedy poczęliśmy nasze maleństwo – pewnej burzowej nocy podczas safari nad południowym brzegiem rzeki Galana, gdy po niebie przetoczył się grzmot i błyskawica rozświetliła wnętrze namiotu. Z początku byłam zaskoczona, skąd wzięły się nagle zmęczenie i poranne mdłości, kiedy jednak lekarz potwierdził mój stan, nie posiadałam się ze szczęścia. Od pewnego czasu marzyłam o dziecku z Davidem, ale mój mąż podchodził do tego pomysłu ze znacznie większą rezerwą – mieliśmy już w sumie troje potomstwa i David oświadczył mi wprost, że nie zamierza „dzielić się” mną z kimkolwiek. Kiedy rozstał się z Dianą, ich córka Valerie miała sześć lat, a synek Kenneth – zaledwie trzy. Po powtórny zamążpójściu Diana przeprowadziła się wraz z dziećmi do Afryki Południowej, co przysporzyło Davidowi ogromnych cierpień. Ich rozwód – w przeciwieństwie do naszego z Billem – odbył się w atmosferze wzajemnych wyrzutów i David nie chciał nawet o tym rozmawiać. Wiedziałam, że się nie pali do zakładania nowej rodziny, postanowiłam więc poczekać z przekazaniem mu wieści o ciąży.

Były to wyjątkowo niespokojne czasy dla społeczności białych osadników. Pod koniec 1962 roku mieliśmy już pewność, że Kenia uniezależni się od Wielkiej Brytanii w czerwcu, a całkowitą niepodległość uzyska w grudniu 1963 roku. Po pierwsze, obawialiśmy się Jomo Kenyatty, który miał stanąć na czele nowego afrykańskiego rządu, po drugie – spodziewaliśmy się przejęcia kontroli nad Tsavo, zarówno w sensie dosłownym, jak i administracyjnym. Nikt nie miał złudzeń, że stanowiska piastowane przez „obcych” ulegną błyskawicznej „afrykanizacji”. Wysoka Komisja Wielkiej Brytanii w Nairobi dała nam jasno do zrozumienia, że jeśli zrzekniemy się paszportów brytyjskich, żeby przyjąć obywatelstwo Kenii, Zjednoczone Królestwo przestanie nas uważać za Brytyjczyków. Byliśmy dumni z naszych angielskich przodków i nie chcieliśmy zmieniać obywatelstwa ze względów czy-

sto praktycznych. Zawsze legitymowałam się paszportem brytyjskim, bo moi dziadkowie urodzili się w Wielkiej Brytanii. Uznaliśmy to wszystko za przejaw wyjątkowej niesprawiedliwości: każdy mieszkaniec Kenii, który urodził się w Wielkiej Brytanii albo pochodził od urodzonych tam rodziców, mógł zachować obywatelstwo brytyjskie. Tymczasem ja – w której żyłach płynęła wyłącznie krew angielska, walijska i szkocka – oraz bliscy mi ludzie, głęboko zakorzenieni w Afryce i nieszczędający poświęceń dla dobra prześwieconego Imperium, musieliśmy teraz liczyć się z ryzykiem, że uznają nas za cudzoziemców.

David miał duże kłopoty z odnowieniem paszportu brytyjskiego. Choć przyszedł na świat w Aleksandrii, bo jego ojciec dostał tam przydział podczas I wojny światowej; choć był synem dwojga najczystszej krwi Anglików, tyle że urodzonych w Indiach, które nazywano wówczas perłą w koronie brytyjskiej; choć jego rodzice zarejestrowali noworodka w konsulacie brytyjskim w Egipcie, żeby potwierdzić jego narodowość – Wysoka Komisja Wielkiej Brytanii nie uznała tego za wystarczające dowody, że David jest Brytyjczykiem. Mało tego: któryś urzędnik zasugerował, że David powinien starać się o paszport u Wysockiej Komisji Indii, spuścił jednak z tonu, kiedy mój mąż odpalił: „Kiedy wybuchła II wojna światowa i zostałem powołany do walki w obronie twojej cholernej ojczyzny, nikt nie miał wątpliwości, że jestem Brytyjczykiem”. Stało na tym, że David ma przedstawić kopie dokumentów – sprowadzone ogromnym kosztem z archiwów Somerset House w Londynie – potwierdzających, że jest owocem ślubnego związku swoich rodziców, którzy z kolei są owocami ślubnych związków jego dziadków, także urodzonych w Anglii!

Wciąż mieliśmy w pamięci powstanie Mau Mau i dramatyczne wydarzenia z połowy lat pięćdziesiątych – wielu naszych znajomych, bojąc się zostać w Kenii u progu niepodległości, wyjechało do Rodezji, Afryki Południowej, Australii, Kanady lub Wielkiej Brytanii. Wszyscy pracownicy administracji publicznej, w tym nasi koledzy z Departamentu Myślistwa, mogli się spodziewać hojnej rekompensaty od rządu brytyjskiego – na wypadek utraty stanowiska w następstwie „afrykanizacji” – oraz indeksowanej emerytury. Niestety, żaden z tych przywilejów nie dotyczył osób zatrudnionych w Królewskich Służbach Parkowych, które nie podlegały pod administrację rządową, tylko pod Niezależną Radę Powierniczą. W zamierzeniu chodziło o to, żeby wyłączyć dziedzictwo przyrodnicze kraju spod doraźnych interesów politycznych, w praktyce jednak ukarano garstkę zapaleńców, którzy przeistoczyli obszary dziewiczego buszu w kilka najpiękniejszych parków narodowych w Afryce.

Co zrozumiałe, David czuł się niezbyt pewnie, w dodatku doszło do incydentu, który pokazał jak na dłoni, że sytuacja w kraju systematycznie się pogarsza. Patrol Oddziału Polowego wytropił gang kłusowników polujących z psami w pobliżu Maktau w Tsavo West. Urządzono zasadzkę, w którą wpadł jeden z mężczyzn. Pozostali dwaj uciekli w stronę obozu robotników kolejowych, ścigani przez straż parkową. Pojmany kłusownik pozostał pod nadzorem członka patrolu. Uznawszy, że ma przewagę, próbował wydrzeć strzelbę strażnikowi, który w obronie własnej pociągnął za spust, śmiertelnie raniąc napastnika. Zanim strażnik zdążył się obejrzeć, otoczyła go gromada rozsierdzonych kolejarzy, uzbrojo-

nych w kije, pałki i metalowe pręty. Niewiele myśląc, strzelił w powietrze, żeby wezwać na pomoc kolegów. Patrol, nie mogąc się uporać z rozjuszoną tłuszcą, skontaktował się z Davidem, który wkrótce przybył na miejsce w towarzystwie funkcjonariusza policji. Wzburzeni robotnicy obstąpili samochód. David wysiadł i przedostał się przez tłum do zwłok kłusownika. Kiedy rozległy się wołania „Bwana Saa Nane”, czyli „Pan Druga Godzina” – czułe przezwisko, którym miejscowi obdarzyli Davida, bo właśnie o tej porze ogłaszał co dzień przerwę obiadową – kolejarze zamilkli. David cieszył się wielkim szacunkiem plemion sąsiadujących z Tsavo. Ciszę przerwał mrozący krew w żyłach okrzyk: „Poczekajcie, aż przyjdzie Uhuru – wtedy ich wszystkich pozabijamy!”. Uhuru znaczyło wolność albo niepodległość – po wydarzeniach powstania Mau Mau trudno było zlekceważyć te słowa.

Ten incydent mną wstrząsnął – wciąż pamiętałam cudowne ocalenie z zasadzki Mau Mau, kiedy nosiłam w łonie Jill. Teraz miałam przekazać wieść o dziecku Davidowi – w obliczu nadchodzących niepokojów, niepewna jego reakcji. Kiedy wreszcie zdobyłam się na odwagę, odetchnęłam z ulgą: po pierwszym szoku David przytulił mnie mocno i wymamrotał z przekonaniem, że jest bardzo szczęśliwy! Dziwnym zrzędzeniem losu podczas tego samego safari, na którym zaszłam w ciążę, w naszym życiu pojawiło się kolejne dziecko – noworodek zebry, którego matka została pożarta przez lwa. Przerażone źrebie poszło instynktownie za naszym samochodem. Nazwaliśmy sierotkę Huppety. Była prześliczną kłaczką, umaszczoną w równiutkie prążki, z mięciutkim pędzlem na końcu ogona i pyskiem rasowego wierzchowca. Uwielbiała pieszczoty i wieczorne galopady po ogrodzie, z radosnym brykaniem i wierzganiem tylnymi nogami. Kiedy się zmęczyła, odprowadzałam ją do nowej stajni przy domu i próbowałam utulić do snu. Wymagało to wiele czasu i cierpliwości – ilekroć myślałam, że udało mi się ją uspokoić, wyrwała się z boksu i pędziła galopem w dół zbocza. Kończyło się zwykle na tym, że byłam bardziej skonana od niej – zwłaszcza w moim obecnym stanie.

Podobnie jak Gregory, Huppety przywiązała się do mnie od pierwszej chwili. Próbowała wchodzić za mną do domu, brykając wściekle i machając trwożnie ogonem, kiedy zdarzyło się jej pośliznąć na wypolerowanym betonie. W końcu miałam już dość i wpadłam na genialny pomysł, żeby zawiesić jedną z moich sukienek na gałęzi jakarandy i zarzucać ją na łeb psotnicy, ilekroć chciałam przed nią uciec. Zanim zdołała wyplątać się spod sukienki, byłam już daleko. Z czasem zaczęła przysparzać coraz większych kłopotów. Gdy odstawiałam ją od butelki, zabrała się do mamlania innych rzeczy, najchętniej prania rozwieszonego na tyłach domu. Wystarczyło się odwrócić, żeby wpadła między sznurki i przystąpiła ochoczo do zucia, zostawiając po sobie stertę poszarpanych szmat. Drobniejsze sztuki odzieży pochłaniała w całości, smętne ich resztki odkrywałam jakiś czas później w odchodach. Próbowaliśmy podciągać linki wyżej, pomagając sobie bambusową tyczką, co tylko zwiększyło jej starania, żeby nas przechytryć. Skradała się za naszymi plecami – obnażając zęby i tuląc uszy do łba – i zdzierała pranie ze sznurka, zanim zdążyliśmy wywindować je w górę. Zaczęła też wylizywać kit z okien i wkradać się do biura Davida,

skąd zgarniała rozłożoną na blacie korespondencję. Nie zaszkodziło jej nawet spijanie zużytego oleju silnikowego w warsztacie. Mimo to wybaczałam jej większość psot. Kiedy trącała mnie pyskiem i czule wtykała mi łeb pod pachę, moje serce miękło i znów się cieszyłam, że mam ją przy sobie.

W 1961 roku Peter wrócił z północnej części parku do Tsavo East, żeby podjąć współpracę z Davidem. Przeprowadził się do domu u stóp tego samego wzgórza, gdzie mieszkaliśmy z Billem w czasach naszego małżeństwa. Huppety natychmiast się zaprzyjaźniła z jego oswojonym buszbokiem, Panem Koo – i to tak blisko, że zaczęła zostawać u niego na noc i odmawiać powrotu do naszej stajni. Zdążyła już pożreć zapieczętowany list od narzeczonej Petera – zawierający szczegółowe ustalenia na temat ich ślubu – wkrótce jednak podpadła mu jeszcze bardziej, niszcząc inne jego skarby, między innymi samochód sportowy, z którego zdarła świeżo położony czerwony lakier. Mój brat mało nie dostał apopleksji i przelał na mnie całą wściekłość, że „nie umiem zapanować nad tą cholerną zebłą”. Zanim wyjechał z Tsavo na swój ślub, umieścił samochód w garażu przy warsztacie i zabezpieczył dom barykadą z pustych beczek i drutu kolczastego.

Ślub Petera z rodowitą Angielką Sarah Woodall odbył się w Nanyuki, niedaleko Nyeri, na północ od Nairobi, w imponującej scenerii góry Kenia, której ośnieżone wierzchołki wznosiły się na wysokość przeszło pięć tysięcy metrów. David z niepokojem śledził przygotowania do wesela, świadom, że nasze dziecko może urodzić się w każdej chwili. Podzielałam jego obawy i tym bardziej cieszyłam się z kojącej obecności matki. Jill była zachwycona swoją bladożółtą sukienką drużki i z zapałem uganiała się z kuzynostwem po pięknych terenach Burguret Estate. Po uroczystościach wróciliśmy do Nairobi, gdzie zatrzymałam się aż do porodu w domu mojej młodszej siostry Betty i jej męża Grahama. David skorzystał z okazji i zapisał się na kurs pilotażu, żeby móc obsługiwać nowiutkiego piperę super cub – najświeższy nabytek Tsavo East. Jak zwykle okazał się bardzo pojętny i już po ośmiu godzinach wyruszył w pierwszy samodzielny lot. Zakup samolotu okazał się przełomem w historii Tsavo – mogliśmy teraz nadzorować z powietrza cały obszar parku, bez kłopotu śledzić ścieżki i wzorce migracji rozmaitych gatunków zwierząt, dostarczać zaopatrzenie działającym w najdalszych zakątkach patrolom Oddziału Polowego i monitorować na bieżąco zmiany w środowisku.

Poród zaczął się wieczorem 30 czerwca, pięć dni po terminie. David zawiózł mnie do szpitala i zostawił samą, w tamtych czasach ojcowie nie asystowali przy narodzinach swoich dzieci. Byliśmy pewni, że za kilka godzin będzie po wszystkim – jakże niesłusznie! Nasza córeczka Angela Mara przysła na świat siedemnaście godzin później, 1 lipca o jedenastej rano – „mój Pipsqueak: mały śmieszny wymoczek”, jak określił ją David, patrząc na jej pomarszczoną twarzyczkę. Od tamtej pory nazywaliśmy ją Pip albo – rzadziej – Squeak. Jill przepadała za siostrzyczką: w wieku ośmiu lat potrafiła nie tylko się z nią bawić, ale też się nią zająć.

Zostałam u Betty jeszcze przez kilka tygodni. David udał się do Tsavo drogą powietrzną, pilotując parkowego piperę z rejestracją 5Y-KTP, znanego odtąd po nazwą Tango Papa.

Potem przyleciał po mnie i Angelę. Tymczasem Peter zdążył już wrócić z podróży poślubnej i zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią „rozprawił” się z Huppety. Zabrał ją nad rzekę Galana, do stada dzikich zebra, które okazało wielkie zainteresowanie wynurzającą się z ciężarówki prześliczną klaczką. Miałam nadzieję, że kiedyś Huppety sama zostanie matką i poradzi sobie na wolności. Najpierw się trochę martwiłam, później mi jednak ulżyło, że nie muszę się już przejmować Huppety ani jej psotami. Miałam dość zajęcia przy własnym dziecku.

Kiedy Kenia uzyskała całkowitą niepodległość, 12 grudnia 1963 roku, Angela miała za ledwie pięć miesięcy. Usiedliśmy przy radiu, słuchając transmisji ze ściągnięcia z masztu brytyjskiego Union Jacka i zastąpienia go nową flagą Kenii – z dwiema włóczniami i tarczą wojowników masajskich na tle trzech kolorowych pasów, czarnego, czerwonego i zielonego, oddzielonych węższymi białymi. Reprezentujący królową księżę Edynburga przekazał insygnia władzy w ręce Jomo Kenyatty, nowego prezydenta Kenii. Zmiany nie ominęły też Królewskich Parków Narodowych, które straciły przymiotnik „królewskie” i przekształciły się w Parki Narodowe Kenii. Pierwszym „ekspatriantem”, który padł ofiarą „afrykanizacji”, był ich założyciel i dyrektor, pułkownik Mervyn Cowie. W Tsavo sprawy toczyły się z grubsza po dawnemu. Podlegaliśmy teraz pod zarząd nowego kenijskiego dyrektora, pana Pereza Olindo, który okazał się sympatycznym i życzliwym człowiekiem. Większość białych członków Rady Powierniczej ustąpiła miejsca rodowitym Kenijczykom. Sporo naszych kolegów z Departamentu Myślistwa skorzystało z hojnej odprawy i odeszło do cywila bądź powróciło do kraju, oddając swoje stanowiska miejscowym.

Od czasu zakupu pipera rzadziej wyjeżdżaliśmy na safari. David mógł teraz patrolować park z powietrza, kontaktując się ze strażnikami w terenie za pośrednictwem radiopokładowego. Kiedy więc musiał się wybrać samochodem nad rzekę Athi, postanowiłam mu towarzyszyć i zabrać Angelę na jej pierwsze safari. Poczuliśmy coś na kształt nostalgii, mijając po drodze rodzinny baobab Gregory’ego, wciąż obwieszony gniazdami wikłaczy. Później, gdy dotarliśmy do miejsca, w którym obozowaliśmy podczas powodzi, pomyślałam ciepło o naszym Old Spisie. Muszę przyznać, że wyprawa dała nam w kość. Podróżowanie z półrocznym dzieckiem wymagało nie lada ekwipunku, a panujące w Tsavo upały mocno dokuczyły Angeli. Musieliśmy co rusz urządzać postoje, napełniać wodą składaną miskę brezentową i splukiwać córeczkę gąbką. Kiedy rozbiliśmy obóz w Kitani ya Ndundu, usadziłam Angelę w krzeselku mocowanym od zewnątrz na drzwiach samochodu i spędziłam resztę dnia na próbach doprania brudnych pieluch, które w mig zszarzały od brudnej wody w rzece, oraz wysterylizowania butelek i smoczków w nieco czystszej wodzie ze studzienki wykopanej w piasku. Nasze miejsce biwakowe straciło dawną urodę – powódź 1961 roku zniszczyła większość widlic i rozłożystych akacji. Pocieszaliśmy się, że nie spadła przynajmniej liczba nosorożców. Każdy wypad z obozu przysparzał nam mnóstwa emocji, bo musieliśmy przedzierać się samochodem przez stado wściekle sapiących olbrzymów.

Podczas jednej z porannych przejażdżek wypatrzyliśmy na płyciźnie grupę sześciu krokodyli pożerających koba śniadego. Gady uwijały się jak w ukropie, wyszarpując kawały

mięsa ze zwłok antylopy – podrzucały łbami i rozwierały szeroko szczęki, żeby przełknąć kolejny kęs. Wokół zebrało się stadko marabutów, odważnie sięgających po skrawki płynące z biegiem rzeki. Jak zwykle współczułam ofierze, wyobrażając sobie rozpaczliwą walkę, jaką zwierzę musiało stoczyć przed naszym przybyciem. David był kiedyś świadkiem, jak krokodyl dopadł przy wodopoju samicę koba – zaalarmowany jej udręczonym pobekiwaniem samiec z furią zaatakował napastnika, bodąc go rogami, żeby wypuścił zdobycz. Krokodyl nawet okiem nie mrugnął i dalej wciągał przerażoną ofiarę w głęboki nurt rzeki. Gdyby nie kilka baniek na wodzie, nikt by się nie domyślił, że rozegrał się tutaj dramat życia i śmierci. Samiec przez kilka minut ciężko dyszał i obserwował miejsce, gdzie znikła jego partnerka. Potem się odwrócił i powoli wyszedł na brzeg. Podobne sceny były nieodłącznym elementem cyklu natury i powtarzały się co dzień przez cały rok, wciąż jednak patrzyłam z bólem na cierpienie zwierząt.

Po powrocie do domu przekonaliśmy się, że nasz osierocony nosorożec Rufus wdał się w bójkę z dorosłym dzikim samcem, który wypadł z pobliskich zarośli i z wściekłym fukaniem podrzucił małego w powietrze, ubódlszy go rogiem w najczulsze miejsce. Jego opiekun uciekł ze strachu na drzewo, licząc, że Samson wybawi kolegę z opresji. Miał rację: słoń z głośnym trąbieniem przypuścił szarżę na napastnika. Od czasu odejścia Fatumy i Kanderiego Samson i Rufus stworzyli tyleż komiczną, co nierozłączną parę. Kiedy się razem bawili, Samson klękał albo kładł się na ziemi, a Rufus zniżał głowę, przewracał białkami ślepi, paraskał zawadiacko i szarżował na słonia, szturchając go z całej siły rogiem. Nie robiło to najmniejszego wrażenia na Samsonie, który przyjmował cały impet uderzenia na trąbę, po czym owijał ją wokół szyi Rufusa i zaciskał niczym imadło, aż mały zaczynał się dławić. Sapiąc z oburzenia, wyplątywał się z objęć przyjaciela, żeby po chwili znów ruszyć do ataku, dokładnie z tym samym skutkiem. W końcu uznawał porażkę i odchodził. Angela uwielbiała naszych podopiecznych, za każdym razem na ich widok klaskała w pulchne rączki. Największą atrakcją była dla niej przejażdżka wierzchem na Rufusie – pod opieką moją albo Davida. Rufus nie miał nic przeciwko temu, chyba lubił ją wozić na grzbiecie i był wyraźnie zadowolony, że przy okazji poświęcamy mu więcej uwagi.

Nie zawadzi wspomnieć, że najciekawszy eksponat w „muzeum” Davida pojawił się właśnie dzięki Rufusowi. Olbrzymia kolekcja skarbów, skrzętnie gromadzona przez lata, była prawdziwym oczkiem w głowie mojego męża. David starał się ją powiększać o coraz to nowe okazy, choć akurat wtedy nie miałam pojęcia, co go zaintrygowało w wielkiej, podobnej do chrząszcza larwie, znalezionej w świeżych odchodach Rufusa. Larwa wylądowała w słoiku z ziemią, zakreconym drobno podziurkowanym wieczkiem, żeby zapewnić jej dostęp powietrza. Wkrótce zagrzebała się w podłożu, a słoń wylądował gdzieś w kącie i wszyscy o nim zapomnieli. Wszyscy z wyjątkiem Davida, który kilka tygodni później wypatrzył w nim wielkiego, metalicznie niebieskiego owada.

Jak się okazało, w słoju przepoczwarczył się giez *Gyrostigma rhinocerontis* – dziwny owad, którego byt zależy wyłącznie od tego, czy samica zdolna do rozrodu natrafi na żywego nosorożca w ciągu pięciu dni od przeobrażenia z poczwarki. Jeśli tak, składa niewiel-

kie, podłużne jaja i przytwierdza je pokładelkiem w miękkich fałdach skóry żywiciela. Sześć dni później wykluwają się z nich przezroczyste larwy wielkości przecinka, które – jak kiedyś sądzono – torują sobie drogę do żołądka przez nos albo pysk nosorożca. Wkrótce jednak odkryliśmy, że wnikają przez skórę do tkanki podskórnej i stamtąd wędrują aż do żołądka, gdzie przechodzą kolejne stadia larwalne. Wielkie, przypominające chrząszcze larwy po ostatniej wylince bytują w żołądkach prawie wszystkich żyjących nosorożców. Do dziś niewiele wiadomo o biologii tych gzów – poza tym, że w każdej populacji żywicieli występuje nieco inna odmiana, wykształcona w drodze specyficznego doboru naturalnego. Większość cyklu życiowego owad spędza w postaci larwy, żywiąc się treścią żołądkową w ramach swoistej symbiozy z nosorożcem – choć zdaniem Davida masowa inwazja gzów u zwierząt starych lub wyniszczonych suszą może nabrać cech pasożytnictwa. Wciąż nie mamy pewności, jak długo larwy przebywają w żołądku przed opuszczeniem organizmu żywiciela. Przekonaliśmy się jednak, że dojrzała larwa potrafi ocenić warunki panujące na zewnątrz tuż po nastaniu pory deszczowej, wysuwając się na chwilę z odbytu i – w razie marnych widoków na przyszłość – cofając w głąb przewodu pokarmowego. W sprzyjających warunkach larwy spadają z nawozem, przepoczwarzają się w ziemi i w końcu osiągają dorosłą postać metalicznie niebieskiego, podobnego do osy owada – właśnie takiego, jaki tłukł się w słoiku Davida.

David miał niewiele czasu na swoje „muzeum”. W połowie lat sześćdziesiątych nasz park zaczęły odwiedzać tłumy. Szczególną popularnością cieszyły się bungalowy dla gości organizujących sobie posiłki we własnym zakresie – między innymi w Aruba Lodge, nad sztucznym jeziorem przy zbudowanej przez Davida zaporze Aruba, gdzie domki rezerwowano na wiele miesięcy naprzód. Działały tam niewielki sklep z napojami i żywnością w puszkach oraz samoobsługowa stacja paliw. David zarybił jezioro tilapią. Założone nad brzegiem gospodarstwo rybackie zaczęło już przynosić zyski, przede wszystkim zaś zapewniało źródło świeżego białka pracownikom straży parkowej, opiekunom zwierząt i reszcie personelu. Rybacy zastawiali sieci nocą, nad ranem wyciągali połów, patroszyli ryby i przenosili tuszki do wielkich termoizolowanych pojemników, wypełnianych suchym lodem, który dostawca przywoził dwa razy w tygodniu, odbierając w zamian ryby, sprzedawane później w Mombasie. Często siadywałam z Angelą przy tamie w porze wyciągania sieci, żeby wybrać nam kilka ryb na kolację.

Miałam bardzo intensywne i urozmaicone życie, całym sercem kochałam Davida, byłam jednak najszczęśliwsza, kiedy Jill przyjeżdżała ze szkoły i mogłam się nacieszyć rodziną w komplecie. David okazał się wspaniałym, troskliwym ojcem Angeli oraz czujnym i opiekuńczym ojczymem Jill, na tyle rozsądnym, by nie uzurpować sobie roli jej prawdziwego rodzica. Odkąd miał do dyspozycji samolot, loty patrolowe nad parkiem stały się codziennością. David wzbijał się w powietrze o siódmej rano – po nawiązaniu łączności radiowej z dyrekcją w Nairobi i resztą oddziałów w terenie – oblatywał park przez kilka godzin, po czym wracał, nurkował z hukiem tuż nad naszym domem, zmniejszał obroty silników, wystawiał głowę przez okno i wołał: „Poproszę kawę!”. Było go doskonale słychać z ziemi.

Kto miał najbliżej do kuchni, na hasło „kawa” natychmiast nastawiał czajnik. Mnie też ro-
bota paliła się w rękach, a kolejne dni mijały jak z bicza trzasnął. Najbardziej ceniłam so-
bie wieczory, zwłaszcza kiedy mieliśmy z Davidem trochę czasu dla siebie i mogliśmy
dzielić się wrażeniami.

Odkąd zmora kłusownictwa odeszła w przeszłość, słonie uznały, że w Tsavo są bez-
pieczne. Zaczęły się gwałtownie mnożyć, co wywarło ogromny wpływ na środowisko na-
turalne parku. David, zaniepokojony losem innych roślinożerców, między innymi gerenu-
ków, antylop kudu, dikdików i nosorożców, wciąż domagał się przeprowadzenia wnikli-
wych badań nad konsekwencjami zmian roślinności parkowej. Pragnął za wszelką cenę
uniknąć rzezi nadliczbowych słoni. W Afryce Południowej populację tych zwierząt utrzy-
mywano na stałym poziomie metodą dorocznego odstrzału, przeprowadzanego wprawdzie
z chirurgiczną precyzją, wciąż jednak okrutnego i nie do przyjęcia w świetle niedawnych
odkryć, że słonie odczuwają emocje podobnie jak ludzie. Wiedzieliśmy aż za dobrze, że do
słoniowych rodzin celuje się ze śmigłowców, używając nabojów z chlorkiem suksameto-
nium, żeby uniknąć skażenia mięsa, które w przeciwnym razie nie nadawałoby się do spo-
życia. Środek zwiotcza mięśnie prądkowane, nie powodując utraty przytomności – słoń nie
może ruszyć nawet powieką i czeka bezradnie, aż myśliwy dobije go strzałem w głowę.
Widzieliśmy wstrząsający film z takiej akcji: mężczyźni wdrapywali się na cielska unieru-
chomionych słoni, żeby tym celniej mierzyć do pozostałych członków stada. Sparaliżowane
zwierzęta, w pełni świadome, co się wokół nich dzieje, obserwowały systematyczną rzeź
swojej rodziny. Byliśmy zszokowani drastycznymi ujęciami przerażonych słońatek, woła-
jących na pomoc dorosłe osobniki, które nie mogły ruszyć się z miejsca. Podrośnięte młode
trafiały później do cyrków i ogrodów zoologicznych. Oseski zabijano na końcu, oszczędza-
jąc im przynajmniej cierpienie w niewoli. W tamtych czasach nie uznawano jeszcze pojęcia
dobrostanu zwierząt.

Uporawszy się z całą rodziną słoni, oprawcy przystępowali do ćwiartowania zwłok, po
czym transportowali je do zakładów przetwórczych, gdzie mięso suszono i przerabiano na
biltong albo puszkowano i sprzedawano jako karmę dla zwierząt, a nawet konserwy dla lu-
dzi. Słonie ocalałe z tej makabrycznej rzezi miały przed sobą rok na żałobę po utraconych
bliskich. Potem zbierano śmigłowce i wszystko zaczynało się od nowa. Podobno zwierzęta
rzucały się do panicznej ucieczki na sam odgłos wirnika, bojąc się, że tym razem przyszła
kolej na nie. W świecie słoni wieści rozprzestrzeniają się jak ogień, dzięki umiejętności
porozumiewania się na odległość za pomocą infradźwięków.

David miał głęboką wiedzę o ich inteligencji i emocjach, trwałości związków rodzin-
nych i świadomości śmierci. Wiedział, że przeżywają żałobę po odejściu bliskich i że mają
znacznie lepszą pamięć niż ludzie. Mało kto potrafił docenić nauki, jakie David wyciągnął
z kampanii przeciwko kłusownikom i bacznych obserwacji naszych sierot. Długo się zasta-
nawialiśmy, jak rozwiązać „słoniowy problem” w Tsavo, zwłaszcza że lokalne władze za-
częły już się skłaniać ku koncepcji dorocznego odstrzału. Przede wszystkim należało precy-
zyjnie określić wielkość populacji, o czym mieliśmy dość mętne wyobrażenie. Na szczę-

ście armia brytyjska zgłosiła chęć pomocy przy liczeniu słoń – w ramach ćwiczeń szkoleniowych. Z entuzjazmem powitaliśmy Korpus Lotniczy Wojsk Lądowych, który sprowadził do Tsavo trzy samoloty DHC-2 Beaver, dwa śmigłowce, naziemny personel techniczny, zbiorniki paliwa, sprzęt do kamuflażu i wszystko, co mogło się przydać podczas ćwiczeń w terenie. Pewnego dnia nasze sieroty pasły się w pobliżu nowiutkiego pasa startowego i nie oparły się pokusie, żeby dołożyć swoje trzy grosze. Samson zaczął turlać po ziemi beczki z paliwem i macać trąbą samoloty. Mniej pewny siebie Rufus powitał intruzów serią podejrzliwych fuknięć i parsknięć.

David ustalił z dowódcą szczegóły organizacji spisu. Park został podzielony na sektory, w których liczenie miało się odbywać przez jeden dzień. Żeby uniknąć zdublowania danych, w sąsiadujące ze sobą sektory wysyłano równocześnie dwa oddzielne samoloty. Liczenie z powietrza szło jak w zegarku. Samolot z doświadczonymi obserwatorami na pokładzie przydzielano z żołnierską precyzją do konkretnego sektora; pod koniec dnia nanoszono na mapę zebrane kropki, z których każda oznaczała dziesięć słoń.

Ostateczne wyniki dowiodły, że nasze szacunki były błędne: populacja słoń parkowych wynosiła nie pięć, a dziewięć tysięcy, czyli w całym ekosystemie, obejmującym obszar ponad czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, dwukrotnie większy niż Tsavo, żyło mniej więcej piętnaście tysięcy tych zwierząt. „Żeby uwierzyć, trzeba zobaczyć” – podsumował David. Podejrzewał, że w rzeczywistości ich liczba jest jeszcze wyższa. Operacja Licznik zakończyła się pełnym sukcesem i z żalem żegnaliśmy naszych żołnierzy. Wnieśli mnóstwo radości w życie parku i służyli nam nieocenioną pomocą.

Zwiększyła się też liczba pozostałych roślinożerców, o czym przekonaliśmy się dzięki regularnym patrolom powietrznym nad mocno już przerzedzonymi zaroślami balsamowca. Odosobnione grupki zebr, bawołów, oryksów i innych antylop połączyły się w wielkie stada i zaczęły pustoszyć sawannę. W centrum uwagi publicznej znalazły się jednak zaścianające krajobraz sterty drzew połamanych przez słoń. W prasie podnosiły się coraz liczniejsze głosy, że trzeba z tym w końcu coś zrobić. Eksperci z bożej łaski, lansujący pogląd, że tylko ograniczenie populacji słoń metodą południowoafrykańską uratuje park przed obróceniem się w pustynię, wyrastali jak grzyby po deszczu. Każdy obgryziony baobab stawał się przedmiotem gorącej debaty, każde znalezisko zwierzęcych kości łączono z klęską głodu i „dewastacją” środowiska przez „zbyt liczne słoń”.

Żeby znaleźć dowody, że krajobraz zmieniał się także w minionych latach, David spędził długie godziny na lekturze dzienników dawnych odkrywców. Przeanalizował relacje lorda Lugarda, pierwszego białego człowieka, który przeszedł od wybrzeża w głąb lądu wzdłuż rzeki Galana – przez obszar dzisiejszego Tsavo; Josepha Thomsona, który przewędrował kraj Masajów; Krapfa i Redmana, pierwszych Europejczyków, którzy ujrzeni ośnieżony szczyt Kilimandżaro i białe wierzchołki góry Kenia; Meinertzhagena i Selousa, którzy polowali na obecnych terenach parkowych i pisali o olbrzymich stadach ssaków kopytnych, których liczebność w 1949 roku, kiedy ustanowiono Park Narodowy Tsavo, była zatrważająco niska. David rozważył wszystkie szczegóły i doszedł do wniosku, że biadolenie nad

zagładą krzewów balsamowca jest mocno przesadzone. Obserwowaliśmy najnaturalniejsze w świecie zmiany w strukturze roślinności – zastępowania gęstych zarośli skupiskami traw i na odwrót – wszystko za sprawą słońi, które, łamiąc drzewa, umożliwiały rozwój traw niezbędnych innym roślinożercom, a zarazem przyczyniały się do wzrostu kolejnych pokoleń drzew, kiełkujących z nasion wydalonych z ich odchodami. David był przekonany, że ekspansja zbiorowisk sawannowych przyczyni się do zwiększenia bioróżnorodności i przyciągnie do parku turystów. Zakrawało na ironię losu, że po sukcesie kampanii przeciwko kłusownikom, podjętej w czasach, kiedy obawialiśmy się całkowitego wytępienia słońi, musieliśmy teraz odpierać zarzuty, że jest ich zbyt dużo.

Na szczęście w tych dniach zyskaliśmy cennego sojusznika. Doktor Vesey Fitzgerald, podeszły już wiekiem przyrodnik, zjawił się niespodziewanie i spytał, czy może u nas spędzić kilka dni. Niedawno ostrzegł dyrektora parków nad jeziorem Tanganika przed zalecanym odstrzałem bawołów, który mógłby mieć daleko idące konsekwencje dla innych gatunków zwierząt w Parku Narodowym Manyara w Tanzanii, gdzie spędziliśmy z Davidem nasz miesiąc miodowy. Z ulgą przyjęliśmy jego opinię, że rozległe skupiska traw przyniosą Tsavo znacznie więcej korzyści niż gęste zarośla balsamowca. Turystyka stanie się ważnym źródłem dochodów dla regionu, a zwiedzający zyskają doskonałą możliwość obserwowania przyrody na otwartej przestrzeni. Doktor podzielał pogląd Davida, że słońie należy zostawić w spokoju, uszanować prawa natury i poczekać, aż środowisko samo wróci do równowagi.

Nabrawszy otuchy po wizycie Fitzgeralda, powitaliśmy w naszych progach kolejnego gościa, Parkera „Jaskólcze Ziele”, który przyjechał do Davida z prośbą o poparcie oferty przetargowej swojej firmy Wildlife Services. Ostatnio trudnił się odstrzałem słońi w Parku Narodowym Wodospady Murchisona w Ugandzie – zajęciem tyleż makabrycznym, co lukratywnym. Zwątpiwszy w skuteczność Planu gospodarowania zwierzyną na obszarze Galana, który miał zapewnić stałe źródło dochodu byłym kłusownikom z plemienia Waliangu, „Jaskólcze Ziele” przekwalifikował się na specjalistę od selekcji dzikich słońi i podjął ścisłą współpracę z doktorem Richardem Lawsem. Dał nam do zrozumienia, że wykorzystanie wyników badań naukowych w ewentualnym kontrakcie na odstrzał w Tsavo przyniesie korzyści finansowe wszystkim zainteresowanym – nie wyłączając Davida. Jego zdaniem tutejszą populację słońi należało zmniejszyć o mniej więcej dziesięć tysięcy sztuk, co dałoby zysk trzykrotnie większy niż odstrzał, jakiego podjął się właśnie w Ugandzie. Parker nie był optymistą. „Słońie i tak muszą stąd odejść, a ludzie, którzy przez tyle lat zajmowali się ich ochroną, powinni uczestniczyć w podziale łupów”.

Nie tylko Parker zwrócił uwagę, że korupcja sięgnęła najwyższych stanowisk w niepodległej Kenii. Prominentne osobistości oraz ich krewni zaczęli się bogacić na handlu kością słoniową, rogami nosorożca i węglem drzewnym. Wszystko to w połączeniu z subtelnymi aluzjami Parkera zdołało przekonać Davida, że jeśli już dojdzie do odstrzału słońi z Tsavo, selekcję należy powierzyć pracownikom służb parkowych, a nie prywatnym przedsiębiorstwom, skuszonym nadzieją łatwego zarobku. David poleciał więc do Nairobi,

żeby uprzedzić wszelkie decyzje, jakie mogłyby zaważyć na losie całej populacji słońi w Kenii.

Wrócił z wiadomością, że amerykańska Fundacja Forda wystąpiła z propozycją sfinansowania projektu badań nad słońiami w Tsavo. Program pod kierunkiem zaprzyjaźnionego z Ianem Parkerem doktora Lawsa miał oszacować wpływ klimatu, wzrostu roślinności oraz innych czynników na dynamikę populacji słońi. Nawet się ucieszyliśmy, że ciężar decyzji spadnie nie tylko na nasze barki, a problem zostanie rozpatrzony z naukowego punktu widzenia. Zajęliśmy się budową nowych biur, laboratoriów i pomieszczeń dla personelu. Po kilku tygodniach gorączkowych przygotowań pod nadzorem Davida byliśmy gotowi na przyjęcie uczonych.

Ich przybycie zapoczątkowało spory, w których badacze szermowali zdumiewającymi argumentami, pozostającymi w sprzeczności z naszymi wieloletnimi doświadczeniami. Rozpoczął się też trudny i burzliwy okres w naszym życiu.

10. KONFLIKT

Nie krytyk się liczy ani człowiek, który wytyka palcem, kiedy siłacz się potknie, albo poucza człowieka czynu, co mógłby zrobić lepiej. Chwała przystoi mężczyźnie, który staje na prawdziwym ringu, z twarzą umazaną brudem, potem i krwią, który dzielnie walczy, który co rusz się myli i chybia, który wie, co to zapal i wielkie poświęcenie, który występuje w słusznej sprawie, który w najlepszym razie triumfuje po wielkim wyczynie, w najgorszym zaś, kiedy przegrywa, czyni to przynajmniej z honorem, i nigdy nie stanie pośród tych trwoźnych, oziębłych istot, które nigdy nie zaznały smaku zwycięstwa ani porażki.

Theodore Roosevelt

Doktor Laws sprawiał dość miłe wrażenie – zwalisty, z pozoru łagodny mężczyzna o zaskakująco błękitnych oczach, angielski uczonek, znany z badań nad wielorybami. Prace prowadzone przez jego zespół z początku nie były specjalnie inwazyjne, ale już wkrótce wybuchła bomba: doktor oświadczył, że musi zebrać dane z trzystu słoni uśmierconych w ramach odstrzału „kontrolnego”.

Nie mogliśmy pojąć, do czego przydadzą mu się macice, zęby i soczewki oczne w badaniach nad wpływem roślinności na dynamikę populacji, jego argumenty okazały się jednak na tyle przekonujące, że Rada Powiernicza wyraziła zgodę na odstrzał. Doktor obstawał, żeby zajęła się tym firma Wildlife Services. Parker „Jaskólcze Ziele” i jego współpracownicy prowadzili już selekcję w rejonie Wodospadów Murchisona i mieli ogromne doświadczenie w pozyskiwaniu i konserwowaniu próbek tkankowych. Rada znów nie zgłosiła sprzeciwu, zastrzegając tylko, że ubój słoni ma się odbyć w miejscu wyznaczonym przez Davida, z dala od rejonów uczęszczanych przez turystów.

Doktor Laws nie ukrywał, że mu się śpieszy, a pracownicy Wildlife Services byli gotowi w każdej chwili wziąć się do roboty. Oboje z Davidem rozmawialiśmy do późna w nocy, zaskoczeni niespodziewanym obrotem spraw i coraz bardziej przygnębieni, że musimy uczestniczyć w tej bezprzykładnej zdradzie słoni. Poświęciliśmy tyle czasu, żeby zdobyć ich zaufanie i przekonać je, że park jest dla nich azylem, gdzie mogą czuć się w pełni bezpieczne. David musiał wreszcie wskazać miejsce rzezi i z ciężkim sercem wybrał okolice Kowito na północnym brzegu rzeki Galana, dostatecznie odległe od szlaków turystycznych. Skrupulatnie utajnił odstrzał, w pełni świadomy, że słonie cieszą się ogromną popularnością i wszelkie materiały dokumentujące masakrę ich rodzin wywołają oburzenie wśród miłośników zwierząt na całym świecie. Choć „żniwa” zostały przeprowadzone przez doświadczonych strzelców, rzeź w Kowito przybrała makabryczne rozmiary. Tamtego dnia próbowałam się skupić na rutynowych czynnościach, oczyma duszy widziałam jednak wszechogarniający chaos i strumienie krwi wsiąkającej w czerwoną ziemię Tsavo. Zabicie całej słoniowej rodziny trwało zaledwie trzy minuty. David wrócił do domu ze zgnębiającą

twarzą, nękany coraz liczniejszymi wątpliwościami. Wzburzeni tym, co się dzieje, znów spędziliśmy pół nocy na rozmowach. David był już niemal przekonany o słuszności swojej koncepcji, że rola słoni nie polega na niszczeniu, tylko na swoistym odnawianiu ekosystemu. Obserwowane zmiany były najzwyczajszym elementem cyklicznych procesów w przyrodzie.

W obawie przed reakcją opinii publicznej Rada Powiernicza położyła szczególny nacisk na maksymalne wykorzystanie ciał ubitych zwierząt, dając przykład dość szczególnego odwrócenia priorytetów. Mięso suszono na sprzedaż, zupełnie jak w czasach, kiedy mój ojciec prowadził wytwórnię biltongu; nogi przerabiano na stołki lub kosze na papiery; z uszu produkowano torebki, aktówki i portfele; pozostałe skóry wyprawiano na nubuk lub skórę licowaną; kości mielono na mączkę; drogocenne ciosy sprzedawano czym prędzej handlarzom z Mombasy, zapewniając udział w zyskach firmie Wildlife Services. Jakiś czas później Parker „Jaskółcze Ziele” pochwalił się nowym samolotem. „To z waszych słoni” – oznajmił dumnie.

Doktor Laws zajął się wkrótce badaniem zebranych tkanek i dokonał kilku istotnych odkryć. Pewna sędziwa przewodniczka stada – teraz już tylko kolejna pozycja w jego statystykach – była całkiem ślepa: urodziła się bez soczewek ocznych. A jednak przez wszystkie te lata prowadziła pobratymców do wodopoju i na pastwiska, świetnie sobie radząc w trudnym nieraz terenie. Przeżyła plagę kłusownictwa w latach pięćdziesiątych, zdołała też ocalić przed śmiercią swoich najbliższych krewnych. Zginęła wraz z całą rodziną od kul – dopiero teraz, kiedy zdążyła poczuć się bezpiecznie w Strefie Chronionej. Nie mogliśmy się z tym pogodzić. Kiedy doktor Laws oznajmił, że potrzebuje następnych próbek od martwych słoni, tym razem z innej populacji, żeby przeprowadzić badania porównawcze, ogarnęło nas poczucie skrajnej bezsilności. Władze Tanzanii wydały doktorowi zezwolenie na nadzór odstrzału w Rezerwacie Państwowym Mkomazi, który znajdował się na terenie ekosystemu Tsavo. Strzelcy z Wildlife Services, wyposażeni w ciężkie karabiny maszynowe, byli jak zwykle chętni do współpracy. David nie widział w tym żadnego sensu, jego zdaniem słonie z Mkomazi nie tworzyły odrębnego zespołu osobników, tylko wchodziły w skład większej populacji z Tsavo, wędrującej w obrębie ekosystemu o powierzchni co najmniej dwukrotnie większej niż obszar samego parku.

Na tym się nie skończyło. Doktor Laws spędził w Tsavo dopiero trzy miesiące, a już wysunął tezę, że bytuje tu aż dziesięć odrębnych populacji słoni, nie tylko ta jedna, z której zdążył już odstrzelić trzysta osobników. Potrzebował materiału porównawczego od trzystu zwierząt z każdej z pozostałych dziewięciu – innymi słowy, na dobry początek zamierzał uśmiercić zatrważającą liczbę dwóch tysięcy siedmiuset słoni! David wpadł w szal. Obserwował słonie od dwudziestu lat, rozróżniał je bez trudu po specyficznym ustawieniu ciosów albo po plamach farby z naszych pierwszych eksperymentów ze znakowaniem. Oboje wiedzieliśmy, że ten sam osobnik może jednego dnia znaleźć się w Voi, nazajutrz ruszyć na północ za rzekę Galana i przewędrować z Tsavo East do Tsavo West, a nawet do Mkomazi w Tanzanii.

Kiedy wybraliśmy się niedawno na safari do Serengeti, naczelny strażnik parku – nasz stary znajomy Myles Tuner – ostrzegł Davida przed inwazją uczonych na Tsavo. „Oni są gorsi niż zaraza. Skoro pojawią się w parku, musisz im narzucić surowy kodeks postępowania, szczegółowy spis zakazów i nakazów. W przeciwnym razie wymkną się spod kontroli i użyją sobie za wszystkie czasy, jak tutaj”. W Tsavo coś wisiało w powietrzu, nie tylko przez groźbę kolejnej masakry słoni, ale też w związku z coraz częstszymi kłótniami między Davidem a ekipą mieszkających w parku naukowców, których zachowanie zaczęło urągać wszelkim normom. Mimo reguł ustalonych przez Davida, robili, co im się żywnie podobało – łamali ograniczenia prędkości, wjeżdżali bez pozwolenia do zamkniętej strefy w północnej części parku, tankowali swoje prywatne samochody na służbowych stacjach paliw, zamawiali sobie meble w naszych warsztatach i tak dalej. Zupełnie jakby byli wyłączeni spod naszej jurysdykcji i nie musieli przestrzegać żadnych zasad. W końcu David uznał, że ma już dość. Otwarcie zdyskredytował doktora Lawsa, który upierał się przy odstrzale kolejnych słoni. Kiedy zaistniała groźba, że ich spór przedostanie się do mediów, dyrektor Służby Parków Narodowych wezwał obydwu do Nairobi.

Rada Powiernicza wysłuchiwała każdej ze stron i doszła do wniosku, że dwadzieścia lat doświadczeń w terenie zastąpi doktorat na każdej uczelni. Wtedy doktor Laws zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę i oświadczył, że ktoś musi odejść: albo on ze swoim zespołem, albo David Sheldrick, „najmniej chętny do współpracy” strażnik parkowy, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia. Po krótkim posiedzeniu za zamkniętymi drzwiami Rada ogłosiła werdykt na korzyść Davida Sheldricka, uznawszy, że doktor Laws – w przeciwieństwie do dyrektora Parku Tsavo East – nie jest człowiekiem niezastąpionym. Kiedy mąż wrócił z Nairobi, siedziałam z Angelą na werandzie. Podszedł do nas i uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu długich dni. Rozejrzał się wokół i powiedział: „Słonie są bezpieczne, Daph, przynajmniej na razie”.

Doktor Laws i jego ludzie natychmiast zwinęli manatki, ale ich wyjazd stał się przyczyną pożałowania godnej kłótni w rodzinie. Peter i Sarah zaprzyjaźnili się z grupką badaczy i wzięli ich stronę w sporze. David wpadł w złość, poczytawszy to za zdradę i nielojalność. Stwierdził, że napięcia wśród personelu nie służą współpracy, w związku z czym Peter powinien dostać przeniesienie służbowe. Peter był jednak moim bratem, więc David odsunął na bok gniew i urazę: zasugerował, żeby mianować szwagra dyrektorem innego parku narodowego.

Familijne niesnaski bardzo zmartwiły moich rodziców. Peter i Sarah mieli już dwójkę małych dzieci i konieczność opuszczenia ukochanego domu – zwłaszcza w takich okolicznościach – była dla nich ogromnym ciosem. Brat otrzymał przeniesienie prawie pięćset kilometrów na północ od Nairobi, do Meru, dawnego rezerwatu państwowego, który właśnie uzyskał status parku narodowego. Z punktu widzenia infrastruktury była to zmiana na gorsze, bo właściwie wszystko należało zacząć od zera, ale pod względem krajobrazowym Meru wyglądało jak mniejsza i bardziej malownicza wersja Tsavo, w dodatku lepiej zapatrzona w wodę. Park przecinało mnóstwo krystalicznie czystych strumieni, spływają-

cych ze wzgórz Nyambeni, gdzie klimat sprzyjał nawet uprawie herbaty. Równie bogaty był świat zwierzęcy: w Meru żyła zdrowa populacja nosorożca czarnego i około trzech tysięcy słoni, wędrujących z miejsca na miejsce w zależności od opadów. Z czasem Peter i Sarah pokochali Meru, przekształcając je w miniaturę Tsavo, niechęć do Davida, a tym samym do mnie, pozostała im jednak na zawsze.

Po wyjeździe zespołu doktora Lawsa David i jego współpracownicy założyli Komitet Badawczy Tsavo – z wyraźnym przesłaniem, że wszelkie badania naukowe muszą być prowadzone w zgodzie z wymaganiami zarządu parku, nie zaś wyłącznie po to, by zaspokoić ciekawość uczonych i pomóc im szybko zrobić doktoraty. Wynieśliśmy lekcję z kilkumiesięcznych kłótni i opracowaliśmy istotne wytyczne dla naukowców, którzy mieli w przyszłości pracować w Tsavo. W myśl nowych zasad współdziałania kierownikiem zespołu badawczego został doktor Glover, botanik, do którego wkrótce dołączył doktor Walter Luthold, odpowiedzialny za śledzenie szlaków wędrówek słoni – i rozstrzygnięcie kwestii odrębności ich populacji na obszarze Tsavo – oraz monitorowanie mniejszych gatunków roślinożerców, najbardziej narażonych na niekorzystny wpływ wywołanych przez słonie zmian w strukturze roślinności. Doktor John Goddard objął pieczę nad badaniami populacji nosorożców. Uczeni z Holandii, Uniwersytetu Oksfordzkiego oraz z innych ośrodków w Kenii mieli się zająć analizą oddziaływania słoni na glebę w pobliżu sztucznych ujęć wody, wpływem procesu rozkładu martwych zwierząt na środowisko, a także badaniem żukowatych oraz innych owadów żyjących w symbiozie ze słoniami. Nowa kadra naukowa, działająca na podstawie wspólnie ustalonych wytycznych, stworzyła zgrany zespół, z którym świetnie nam się współpracowało. Hipoteza doktora Lawsa, jakoby w Tsavo żyło dziesięć oddzielnych populacji słoni, została odesłana do lamusa, odkąd wyposażyliśmy kilka zwierząt obojga płci w obroże z nadajnikami, żeby przez kilka miesięcy monitorować trasy ich wędrówek. Udało się stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że słonie pokonują ogromne dystanse, przemieszczając się w rejony, gdzie akurat spadł deszcz – w poszukiwaniu wodopojów i świeżej roślinności.

David miał pod wieloma względami słuszną, choć wciąż zbierał cięgi za zbyt luźną kontrolę populacji słoni – od zwolenników teorii, że Tsavo stopniowo pustynnieje i niedobór paszy doprowadzi wkrótce do zagłady innych zwierząt. Z czasem się jednak okazało, że przemiana gęstych zarośli balsamowca w rozległe sawanny ściągnęła nad południowy brzeg Galany całkiem nowe gatunki antylop – smukłonogie i długoszyje oribi oraz brunatne topi z czarnymi łatami na łbie – nigdy przedtem nieobserwowane na tych terenach. Odkąd większą część parku stanowiły otwarte przestrzenie, gibkie lwy z Tsavo zaczęły obrastać w gęstsze grzywy i łączyć się w znacznie większe grupy. Dominującymi roślinożercami stały się bawoły, tworząc stada, których liczebność idzie dzisiaj w tysiące. Dopóki rosły tu nieprzebyte chaszczce, widok niewielkiej trzódki wywoływał sensację. Wkrótce pojawił się kolejny podgatunek topi, zadomowiły się także delikatne antylopy Huntera. Na otwartych równinach wschodziły akacje, których strąki – opadające z drzew w porze suchej – stały się obfitym źródłem pokarmu dla wszystkich zwierząt roślinożernych. Słonie lubiły je

strząsać z gałęzi. Miałam zwyczaj zbierać je potem z ziemi i przechowywać w beczce jako paszę dla osieroconych antylop. Tsavo i tutejsza populacja słoni do dziś mają ogromny dług wdzięczności wobec Davida – za odwagę przekonań i niezłomny sprzeciw wobec praktyki odstrzałów, która w nadchodzących latach, kiedy korupcja w Kenii stała się wszechobecna, z pewnością wymknęłaby się spod kontroli. Byłam bardzo dumna z męża, zawsze się nawzajem wspieraliśmy, ale zdawałam sobie sprawę, że nieustanne napięcie odbiło się na jego zdrowiu. Nasza wewnętrzna siła, obopólna miłość, mocne przekonania i determinacja pomogły nam przejść przez ten stresujący etap w życiu.

Tymczasem w naszej słoniowej rodzinie zaszły spore zmiany po odejściu Aruby, która dołączyła do dzikiego stada. Pojawiły się u nas dwa młode samce. Nazwaliśmy je Raru (w skrócie od Ndara) i Bukanezi. Mniejszy, Bukanezi, dostał imię, które w języku Orma – jednego z plemion zamieszkujących tereny nad rzeką Tana – znaczyło „słabeusz”. Był rzeczywiście najslabszym i najmłodszym z dotychczas odchowanych słońców. Postanowiliśmy nie karmić go mlekiem, tylko ręcznie zrywaną zieleniną i kupowanymi na targu w Voi pędami batatów z dodatkiem cząstek jabłka i pomarańczy. Dwie nowe sierotki weszły wkrótce do stada, na którego czele stał Samson – dość sporej już grupki, która w ostatnich miesiącach powiększyła się o trzy strusie i kilka bawołów. Z niewyjaśnionych dotąd przyczyn stadko lubiło włączać się w szeregi Oddziału Polowego, ilekroć strażnicy ćwiczyli musztrę na placu apelowym. Na dźwięk gardłowych komend chorążego strusie zbiegały się karnie na miejsce i stawały bok w bok ze strażnikami, co wyglądało naprawdę pocieszenie.

Co rano słyszeliśmy odgłos otwieranej zagrody i tętent stada, które Samson prowadził przez sad – czasem ciągnąc strusie za szyję – w stronę bujniejszych pastwisk w dolinie rzeki Voi. Choć rzeka płynęła wartkim nurtem tylko w porze ulewnych deszczów, woda gromadziła się w skalistych zagłębieniach na dnie, gdzie zwierzęta lubiły się bawić i chłodzić rozgrzane upałem ciało. Utaplawszy się w ceglastym błocie po przejściu ulewy lub fali powodziowej, przybierały charakterystyczną czerwoną barwę, typową dla słoni z Tsavo. Całe szczęście, że strusie nie potrafią latać, bo powalane szlamem pióra oblepiały im szczelnie skrzydła i tułów, upodabniając ptaki do wielkich zmokłych kur.

Kąpiele upływały na beztróskich igraszkach, rozbryzgiwaniu wody i tarzaniu się w błocie. Trzeba było uważać na inne zwierzęta, żeby nie utopiły i nie poturbowały strusi, bo Samson wpadał czasem na pomysł, by chwycić je trąbą za szyję i kręcić nimi w powietrzu. W najgorętszej porze dnia u wodopoju robiło się tłoczno, dzięki czemu osierocone słonie mogły zawrzeć znajomość z dzikimi pobratymcami. Korzystał z tego zwłaszcza Samson, który zdecydowanie przedkładał bójkę z rówieśnikami nad zabawy z Rufusem, ten zaś z kolei wolał mocować się z nowo przybyłym Reudim – niefortunną ofiarą przenosin stada nosorożców z terenów przeznaczonych pod osadnictwo. Reudi był mniej zgodny niż Rufus i choć obydwaj się wkrótce zaprzyjaźnili, zdarzały im się sprzeczki, które potrafiły się przerodzić w gwałtowne starcie. Porządek przywracał Samson, który najwyraźniej czuł się w obowiązku interweniować w takich przypadkach. Słoniowe trąbienie w połączeniu z fukaniem i parskaniem nosorożców przepędzało strusie i bawoły na drugą stronę rzeki, opie-

kunów zaś – prosto na drzewo.

Po zwyczajowej, przynoszącej ulgę od upału kąpieli błotnej sieroty zbierały się wokół swojego opiekuna, który rozsiadał się w cieniu, żeby zjeść obiad. Potem wyciągał się w trawie, nasuwał kapelusz na oczy i ucinał sobie drzemkę. Słonie stały przy nim na straży, strusie przysiadły obok, wystawiając szyje z trawy niczym trzy cienkie peryskopy. Bawoły rozkładały się pod osłoną drzew, przeżuując pokarm z wyrazem bydlęcego szczęścia na pysku, Rufus i Reudi spali twardo w pobliżu, co chwila rozdymając mięciutkie chrapy i sapiąc z ukontentowaniem. Skwarne południe, kiedy słońce stało w zenicie, było porą leniwej sjesty przy akompaniamencie brzęczenia owadów, cichego śpiewu ptaków i miękkiego klaskania mokrych uszu, którymi słonie – oblepione od stóp do głów czerwonym mułem – wachlowały się dla ochłody. Uwielbialiśmy podglądać takie scenki i podziwiać inne wspaniałe widoki z przyczepy Philipa i Mavis Hucksów, którzy mieszkali pięć lat na parkowym kempingu, zbierając i susząc okazy roślin z Tsavo. Przez ten czas bardzo się z nami zaprzyjaźnili.

Mniej więcej wtedy pojawiła się w naszym życiu Eleanor. Bill znalazł ją cztery lata wcześniej, w 1961 roku, na północnym brzegu rzeki Ewaso Ngiro w Rezerwacie Państwowym Samburu, podczas safari z gubernatorem Kenii, sir Patrickiem Renisonem, i jego żoną, lady Eleanor. Osierocona słonica miała wówczas dwa lata. Stała samotnie na równinie, rozmięklej po ulewnych deszczach. W pobliżu nie było żadnych innych słoni – nie licząc znalezionych nieco dalej zwłok dorosłej samicy z wyrwanymi ciosami, prawdopodobnie jej matki. Bill wrócił do obozu po pomoc, żeby schwytać słońiętko i umieścić je w bezpiecznym miejscu. Poradzili sobie w kilka osób, wśród których znaleźli się też gubernator i lady Eleanor. Sierota – ochrzczona na cześć lady Renison – spędziła noc w komórce, skleconej naprędce na werandzie jednej z chatki myśliwskich.

Karmiona cierpliwie świeżo zrywaną zieleniną, traktowana czule i troskliwie, Eleanor wkrótce przestała się bać ludzi. Po przyjeździe do gospodarstwa Billa i Ruth w Mweidze nauczyła się wchodzić co dzień po rampie na ciężarówkę, którą podwożono ją wraz z opiekunami na pastwisko w bujnym lesie Aberdare. Jej nowy dom w górskim parku narodowym różnił się diametralnie od jałowych nizin, na których mieszkała od urodzenia. Zanim zdążyła się zaaklimatyzować, miewała kłopoty ze zdrowiem. W wyższych partiach terenu noce były zimne i wilgotne, mgły zasłaniały słońce przez większą część roku, unoszące się w powietrzu opary i krople mżawki osiadały na trawie i liściach, nad ranem zmieniając się w szron. Eleanor stała się istną legendą wśród miejscowych Afrykańczyków, którzy nigdy przedtem nie widzieli słonia i nie znali go nawet z obrazków, choć mieszkali u podnóża zalesionych zboczy Aberdare i góry Kenia, gdzie żyło mnóstwo dzikich zwierząt, słonie nie wyłączając. Dzięki głębokim, regularnie dogładanym rowom wzdłuż granicy parku słonie trzymały się swoich leśnych kryjówek – z obopólną korzyścią zwierząt i ludzi.

Po raz pierwszy ujrzeliśmy Eleanor w 1962 roku, podczas wystawy rolniczej w Nairobi, która jak zwykle ściągnęła tłumy zwiedzających. Bill uległ namowom i przywiózł ją na wystawę, żeby ludzie mogli stanąć oko w oko z prawdziwym słoniem. Od razu po przyjeź-

dzie usłyszeliśmy szum podekscytowanych głosów. Zbici w ciasną gromadę gapie rozpychali się łokciami, żeby podejść jak najbliżej słonicy. Ilekroć sięgnęła trąbą przez pręty ogrodzenia, rzucali się z piskiem do ucieczki. Każda, nawet najzwyczajniejsza czynność – choćby oblewanie się wodą z trąby albo drapanie po uchu – wzbudzała okrzyki zdumienia lub wybuchy śmiechu. Eleanor szybko odkryła, że najłatwiej się pozbyć hałaśliwych intruzów, opryskując ich szlamem zassanym z błotnistej kałuży. Jej cierpliwość została nagrodzona, kiedy lady Eleanor Renison dowiedziała się o przyjeździe swojej imienniczki i poprosiła o przewiezienie słonicy do rezydencji gubernatora. Podróż Eleanor wywołała spore zamieszanie – na widok niecodziennego konwoju motocykliści odwracali głowy i zatrzymywali się ze zgrzytem hamulców. Słonica została powitana osobiście przez gubernatora i lady Eleanor, którzy pozwolili jej paść się swobodnie na szmaragdowej murawie i korzystać do woli z szerokiego asortymentu egzotycznych roślin.

Ponieważ Eleanor okazała się prawdziwym przebojem wystawy rolniczej w Nairobi, władze parku narodowego uznały, że słonica powinna zostać ambasadorką swojego gatunku i zamieszkać na stałe w sierocińcu parkowym na obrzeżach miasta. Placówka, założona w szczytnym celu zapewnienia opieki osieroconym zwierzętom, dopóki nie będzie ich można wypuścić z powrotem na wolność, zdobyła tak wielką popularność wśród miejscowych, że z czasem przeistoczyła się w ogród zoologiczny. Urzędnicy mieli nadzieję, że obecność Eleanor przyciągnie jeszcze więcej gości i zwiększy dochody sierocińca. I tak się stało: ludzie ustawiali się co dzień w długiej kolejce, żeby ją zobaczyć. Pozbawiona ruchu – niezbędnemu zwierzęciu otwartych przestrzeni, które przemierza ogromne odległości – zróżnicowanej i odpowiednio wyważonej diety oraz troskliwej opieki, Eleanor straciła błysk w oczach, zmarkotniała, zrobiła się apatyczna i zaczęła nadmiernie przybierać na wadze, dzieląc los innych nieszczęsnych stworzeń, które niepotrzebnie znalazły się w niewoli.

Słonica z pewnością by umarła, gdyby nie Bill i David, którzy ponawiali naciski na władze parkowe, domagając się wypuszczenia jej na swobodę. Wreszcie zdołali przekonać urzędników, że jedyną nadzieją uratowania zwierzęcia jest kolejna podróż, tym razem do Tsavo, gdzie będzie mogła dołączyć do pobratymców. Eleanor przybyła do Voi w słoneczne popołudnie 19 marca 1965 roku. Żeby poczuła się jak w domu, obsadziliśmy jej zagrodę szpalerem najsmakowitszych krzewów z sawanny. Po przyjeździe na miejsce, kiedy zesza dostojnie z rampy, aż mi się serce ścisnęło na widok jej rozдутego brzucha, którego się nabawiła podczas gnuśnego życia w Nairobi. Nieśmiało wyciągnęła trąbę, żeby się ze wszystkimi przywitać, zaburczała przyjaźnie, po czym stanęła jak wryta w bramie zagrody, zaskoczona dziwnymi dźwiękami, jakie dobywały się z dwóch solidnych pomieszczeń dla nosorożców. Samson wrócił już do swojej zagrody i tak się palił do spotkania z nowym słoniem, że próbował sam podnieść zasuwę w drzwiach. Ujrzawszy znacznie większego samca, Eleanor zupełnie straciła kontenans i musieliśmy długo ją namawiać, żeby weszła do środka.

Trochę potrwało, zanim wróciła do zdrowia, odzyskała równowagę psychiczną i przyzwyczaiła się do nowego otoczenia. Była bardzo spokojnie usposobionym zwierzęciem

i nie mogła ścierpieć hałaśliwych kłótni między nosorożcami. Kiedy zanosilo się na kolejną sprzeczkę, wciskała się między adwersarzy i młóciła trąbą jak cepem, żeby ich rozgonić. Uwielbiała Samsona, który czuł się mile połączony okazywanymi mu względami i traktował ją z pobłażliwą czułością. Zadowolona, że może liczyć na starszego i mądrzejszego towarzysza, Eleanor zaczęła matkować dwóm mniejszym słońciom: Raru i Bukaneziem. Podczas codziennych kąpiei błotnych obchodziła się ze strusiami łagodniej niż Samson, chwytając je trąbą za pęk piór w ogonie i popychając dziarsko przed sobą.

Samson osiągnął wiek, w którym młode samce zaczynają odczuwać, że czegoś im w życiu brakuje. Ilekroć zdarzyło mu się zwietrzyć dzikie stado, był wyraźnie podniecony i próbował do niego dołączyć. Najpierw zniknął na jedną noc, później na kilka tygodni, wreszcie na całe miesiące. Kiedy już myśleliśmy, że stał się na powrót dzikim słońciem, pojawiał się ni stąd, ni zowąd, zwykle w towarzystwie paru świeżo poznanych kumpli, którzy powodowali straszliwe zamieszanie w siedzibie dyrekcji: na widok ludzi uciekali w popłochu, rozpędzając naszych pracowników na cztery wiatry. Biedny Samson dalej robił swoje i wciąż nie mógł pojąć, czemu jego przyjaźnie tak szybko się kończą. W końcu David postanowił uciec się do radykalniejszych środków, żeby zniechęcić go do powrotów w kompanii dzikich słońi i któregoś razu odstraszył je petardami. Nadszedł czas, kiedy Samson – we własnym dobrze pojętym interesie – powinien całkiem zerwać kontakty z ludźmi i wrócić tam, gdzie jego miejsce. W pewne niedzielne popołudnie zjawił się niespodzianie po dłuższej nieobecności. Zmartwiałam ze strachu, kiedy ruszył prosto na raczkującą między zabawkami Angelę. Byłam przerażona, że potraktowany w swoim czasie tak obcesowo – wyrządzi mojej córce krzywdę, ale tylko wyciągnął swą potężną trąbę, delikatnie pomacał dziewczynkę po głowie i czule zaburczał na powitanie, na co roześmiała się z zachwytem. Kiedy mnie spostrzegł, natychmiast rozpostarł uszy i rzucił się do ucieczki, w obawie reprimendy. Niestety, widziałam wtedy Samsona po raz ostatni. David zdołał go kilkakrotnie wypatrzeć w trakcie swoich podróży, czasem samego, innym razem w stadzie dzikich słońi. Samson uwielbiał Davida, więc tym bardziej przeżyliśmy jego odejście. Po stracie Samsona Eleanor weszła w rolę przywódczyni stada i odtąd sumiennie wywiązywała się ze swoich obowiązków, dokładając wszelkich starań, by zaprowadzić pokój między Rufusem a Reudim.

Nasze sieroty przybywały bez uprzedzenia – najrozmaitszych gatunków i rozmiarów, obdarzone najróżniejszym temperamentem. Na szczęście mieliśmy coraz liczniejszy, oddany i odpowiednio przeszkolony personel. Mniejsze zwierzęta trzymaliśmy w specjalnych stajniach-żłobkach i w zagrodzie przylegającej bezpośrednio do domu. Kiedy uznawaliśmy, że są już dość oswojone i nie uciekną, pozwalaliśmy im biegać swobodnie po ogrodzie. W stadzie „sierotek ogrodowych” znalazło się kilka antylop. Jedną z nich pokochałam od pierwszego wejrzenia: zwinięta w kłębek miniaturka Bambi trafiła do mnie w pudełku po butach. Na widok jej wielkich, czarnych, przeraźliwie smutnych oczu i filigranowego pyszczka serce mi zmiękło jak wosk. Pogłaskałam ją po brązowej sierści i musnęłam palcami pęk rudawych włosów na czole. Podbiła mnie bez reszty.

Nazwaliśmy tę samicę dikdika Kręciołką – przez jej długi, owłosiony aż do czubka chrap nosek, którym bez przerwy kręciła z prawa na lewo, niuchając, wietrząc, węsząc i próbując rozpoznać każdą, choćby najlżejszą woń. Zadomowiła się bez kłopotu. Najbardziej lubiła brykać po ogrodzie, zawracać w pełnym pędzie, buszować w zaroślach, skakać przez murki, umykać przed naszym pawiem imieniem Klakson i kończyć gonitwę u moich stóp, dysząc ze zmęczenia. Jej energia udzielała się wszystkim. Kręciołka potrafiła bez końca bawić się w chowanego z Jill i Angelą: czaiła się w krzakach, po czym wypadała z kryjówek i biegła pędem w inne miejsce. Kiedy miała już dość, rozpoczynała grę w uniki, odskakując raptownie w bok, żeby nikt jej nie złapał. Wyczerpane dziewczynki padały w końcu ze śmiechem na trawę, a Kręciołka znów nikła w chaszczach, skąd bacznie obserwowała każdy mój ruch.

Kręciołka okazała się zwierzęciem „jednej pani” – byłam najważniejszą osobą w jej życiu i tylko mnie pozwalała się brać na ręce. Tylko ode mnie piła mleko z butelki, reagowała wyłącznie na mój głos i przelała na mnie wszystkie swoje uczucia. Za wejście w rolę jej matki odwdzieczyła mi się bezgranicznym oddaniem. Snuła się za mną jak cień – w ogrodzie towarzyszyła mi na każdym kroku. Nie umiała się wspinać po wyszlizganych stopniach na werandę, więc musiałam co dzień wnosić ją do salonu i stawiać na dywanie, gdzie raczyła się rozłożonymi na gazecie smakołykami – świeżo zrywaną zieleniną z dodatkiem kilku płatków róż lub kwiatu hibiskusa. W porównaniu z Kręciołką Gregory Peck uchodziłby za rozpuszczonego psotnika. Pewnego wieczoru brałam kąpiel i na chwilę znikłam jej z oczu: w mgnieniu oka przeskoczyła przez krawędź wanny i wylądowała mi prosto na głowie. Zapanował nieopisany chaos. Kręciołka młóciła nogami jak opętana, ja zaś próbowałam ją przytrzymać, żeby się nie utopiła. Chwilę potrwało, zanim zdołałam wyłowić ją z wody. Biedna mała antylopa ciężko przeżyła ten incydent, leżała w kącie mokra i oszołomiona, ciężko dysząc i trzęsąc się na całym ciele.

Po wieczornym karmieniu z butelki – któremu zawsze towarzyszył dość osobliwy rytuał obwąchiwania mojego paska od zegarka – zabieraliśmy Kręciołkę do sypialni. Przez pierwsze tygodnie zadowalała się noclegiem na kocu przy naszym łóżku. Szybko jednak uznała, że woli spać bliżej mnie i wybrała w tym celu miejsce zarezerwowane przedtem dla Davida, czyli tuż przy mojej twarzy. Tak długo rzucała się na moskitierę, aż wreszcie się poddaliśmy i wpuściliśmy ją do środka. Natychmiast dostała klaustrofobii i zaczęła się miotać po łóżku. Musieliśmy częściowo unieść siatkę po mojej stronie, żeby mogła ułożyć mi się w nogach. Ledwie zdążyliśmy się przyzwyczaić do takiej konfiguracji, Kręciołka zaczęła zerkać pożądliwie na pościel Davida i uznawszy – niczym Złotowłosa z baśni o trzech niedźwiadkach – że na podłodze jest za twardo, u mnie z kolei zbyt miękko i najlepiej będzie tam, gdzie śpi mój mąż, postanowiła go stamtąd wykurzyć. Pewnej nocy, po kilku próbach podjętych za dnia, kiedy łóżko było jeszcze wolne, Kręciołka dopięła swego i weszła na Davida – w nadziei, że zdoła go zepchnąć na podłogę. Ten jednak nie miał zamiaru odstępować swojego miejsca dikdikowi, choćby najśłodszemu na świecie. „To ty powinnaś się wynieść, Daph” – zawołał ze śmiechem i obronił swój bastion, przez całą

noc przewracając się z boku na bok. Myśleliśmy, że Kręciołka w końcu da sobie spokój, ale nic z tego – trwała na posterunku z ponurą zaciętością i nie odpuściła nawet wówczas, gdy David skopał ją w nogi łóżka. Ba, tak się rozzłościła, że aż grzywka stanęła jej dęba między uszami.

Przekonaliśmy się całkiem niedawno, że Kręciołka potrafi narobić niezłego hałasu. Większość dnia spędzała w ogrodzie, zajmując się sama sobą, ale między podwieczorkiem a pójściem spać domagała się wspólnej zabawy albo przynajmniej czyjś towarzystwa. Z wybiciem czwartej po południu pojawiała się na schodach frontowych lub na tyłach domu, ćwierkając piskliwie, jakby chciała spytać: „Gdzie jesteś?”. Jeśli jej nie usłyszałam – a przeważnie tak było – ponawiała pytanie coraz mocniejszym głosem, który w końcu przechodził w przeraźliwy wrzask i nie ustawał, dopóki nie wyprowadziłam podopiecznej na popołudniowy spacer. Stanowcza i wymagająca tylko w stosunku do mnie, w innych sytuacjach okazywała się bojaźliwą kruszyną i zupełnie nie mogła się dogadać z większymi sierotami. Moja ulubiona bawolica Lollipa znęcała się nad nią ze szczególnym upodobaniem, mimo że banda Eleonor zapuszczała się do ogrodu tylko w celach rabunkowych, żeby uszczknąć zakazanego owocu. Pewnego ranka zwierzaki pojawiły się niespodzianie u żywopłotu. Kręciołka bawiła się akurat z pawiem Klaksonem i dała się wziąć z zaskoczenia. Stanęła jak wryta, a w jej sarnich oczach zapłonęły iskierki niepokoju. Wydała z siebie przeraźliwy nosowy świst i rzuciła się do ucieczki w gwałtownych podskokach. Kiedy znaleźliśmy ją kilka godzin później, wciąż drżała. Przyczyną jej stresu bywali też nocni goście – o ile my potrafiliśmy zasnąć kamiennym snem, nie mając pojęcia, co się wokół dzieje, o tyle Kręciołka była zawsze czujna i spała z otwartymi oczyma, reagując na każdy podejrzany ruch i odgłos. Co pewien czas zrywała się z łóżka na równe nogi i wyglądała w napięciu przez okno. Jedyne, co mogło nam zapewnić w miarę spokojny sen, to wizyta starej żyrafy, która włąziła całym cielskiem w ogrodową pergolę, przy okazji dźwigając ją z ziemi. Kręciołka bała się jej tak panicznie, że chowała się pod łóżko i zostawała tam aż do świtu.

Kiedy Kręciołka weszła w okres dojrzewania, jak każda troskliwa matka poczułam się w obowiązku znaleźć jej partnera i pojechałam w swaty do sierocińca przy Parku Narodowym Nairobi. Wkrótce wyszło na jaw, że nie musiałam specjalnie się starać, bo nasze popołudniowe spacerki nabrały całkiem nowego znaczenia. Pod oczami Kręciołki uaktywniły się dwa niewielkie gruczoły, produkujące gęstą, smołowatą ciecz, którą antylopa próbowała wcierać w każdą wystającą z zarośli gałązkę i źdźbło szorstkiej trawy. Większość z nich była już pokryta kroplami tej wydzieliny: Kręciołka skrupulatnie obwąchiwała wszystkie „kierunkowskazy” i dopiero później zostawiała na nich swój ślad zapachowy. David zwrócił uwagę, że wypływająca z gruczołów wilgoć przyciąga pewne gatunki muchówek, które obsiadały pysk wyraźnie tym zirytowanej Kręciołki. Nie muszę chyba dodawać, że David je oznaczył i umieścił w specjalnych gablotkach na owady, powiększając zbiory swojego muzeum.

Zawsze odnosiłam wrażenie, że Kręciołka jest zanadto przywiązana do mnie, żeby szu-

kać towarzystwa innych dikdików, zew Natury okazał się jednak nieubłagany. Odkąd dorosła, zaczęła znikać, nawet na kilka godzin. Któregoś dnia zaniepokoiła mnie martwa cisza o czwartej po południu. Był to zwiastun nieuchronnego rozstania z Kręciołką, która spędzała coraz więcej czasu poza domem. Jak każda stroskana matka, wolałam wiedzieć, co się z nią dzieje, któregoś poranka udałam się więc na przeszpiegi i ku swojemu zdumieniu odkryłam, że włazi bezczelnie do ogrodu doktora Glovera, prosto na spotkanie z samcem dikdika, z którym najwyraźniej była w doskonałej komitywie. Wkrótce wyszło na jaw, że sprawy są nieco bardziej skomplikowane, ponieważ jej wybranek miał już partnerkę: zenujące odkrycie, albowiem dikdiki łączą się w pary na całe życie. Tak czy inaczej, Kręciołka wplątała się w trójkąt małżeński: przez kilka następnych tygodni widywałam ją w towarzystwie obojga. Co więcej, dostarczyła niezbitych dowodów niewierności samca. Sądząc z zaokrąglonych boczków, Kręciołka była przy nadziei.

Odtąd spędzała więcej czasu w ogrodzie doktora Glovera niż u nas, co nie spotkało się z życzliwym przyjęciem jego żony, dumnej z pięknie utrzymanych klombów i soczyscie zielonego trawnika. Robiłam, co w mojej mocy, żeby powściągnąć apetyt Kręciołki, kusząc ją herbatnikami i świeżym ziarnem, ale i tak obgryzała wierzchołki najcenniejszych roślin na rabatkach Barbary. Pod koniec ciąży kolebała się z boku na bok, apatyczna i coraz bardziej pękata, w niczym nie przypominając skoczego dikdika sprzed kilku miesięcy. Kiedy doszły nas słuchy, że urodziła, natychmiast pobiegliśmy do Gloverów. Niestety, choć byliśmy pewni, że młode przyszło na świat, po długich poszukiwaniach w krzakach wokół domu – w towarzystwie przechadzającej się nonszalancko Kręciołki – musieliśmy przyjąć do wiadomości, że nie dostąpimy przywileju obejrzenia noworodka. Kręciołka pokazała nam swoje dziecko dopiero sześć tygodni później. Od tamtej pory mały dikdik chodził za nią krok w krok. Świeżo upieczona mama jeszcze bardziej podpadła Barbarze Glover, kiedy spędzana z grządek zaczęła jej się odgryzać. Doszło do tego, że Barbara przed każdym wyjściem do ogrodu musiała zakładać kalosze. Skarżyła się, że mój dikdik ją „kąsa”, w co nie wierzyłam, dopóki nie przekonałam się na własne oczy.

Kilka miesięcy po narodzinach pierwszego dziecka Kręciołka została oficjalną żoną swojego partnera. Poprzednia samica znikła w tajemniczych okolicznościach, najprawdopodobniej pożarta przez jakiegoś drapieżnika. Kręciołka zaopiekowała się także jej osieroconym młodym, mniej więcej w wieku własnego potomka – widywaliśmy potem całą trójkę, obskubującą pędy krzewów wokół ogrodu Barbary. Niebawem Kręciołka znów się zaokrągliła i po siedmiu miesiącach przyszła na świat kolejna mała antylopa. Tym razem miałam szczęście i podpatrzyłam noworodka, zanim matka zdążyła go ukryć. Kręciołka doczekała się w sumie siedmiorga dzieci, po czym gdzieś przepadła, niestety na zawsze. Z biegiem lat zajmowałam się mnóstwem innych osieroconych antylop, Kręciołka pozostała jednak moją ulubienicą. Dzięki niej dowiedziałam się wiele o dikdikach i upodobałam sobie szczególnie rodzinę krętorogich.

W takim życiu jak nasze wciąż trzeba było godzić się z jakąś stratą. Choć bolałam nad każdym odejściem, znacznie trudniej przychodziło się zmierzyć ze śmiercią bliskiej osoby. W wieku osiemdziesięciu siedmiu lat babcia Chart zmarła na raka żołądka i spoczęła na cmentarzu w Nakuru, obok naszej ukochanej babci Webb. Babcia Chart była najstarszą z ośmiorga dzieci pradziadka Aggetta – prawdziwym ucieleśnieniem siły, odwagi i wytrwałości. Gorzko opłakiwaliśmy jej śmierć. Straciliśmy też naszego przyjaciela Philipa Hucksa, który obudził się w środku nocy w swojej przyczepie, spytał żonę Mavis, czy nakarmiła odwiedzającą ich regularnie żenetę, po czym padł martwy. Dziedzictwo Hucksov przetrwało do dziś: małżeństwo zdołało opisać, sfotografować i zakonserwować w zielniku bodaj wszystkie gatunki roślin występujących w Tsavo. Ich zbiory trafiły do Kew Gardens, Muzeum Narodowego w Nairobi oraz do herbarium przy Ośrodku Badawczym Tsavo, choć akurat tam nie zapewniono im właściwych warunków przechowywania i część uległa zniszczeniu.

Kłęska suszy w 1970 roku przyniosła niewyobrażalne szkody. Słońce wstawało dzień w dzień na mosiężnym niebie i prażyło bezlitośnie, spalając ziemię na popiół. Z rosnącym przygnębieniem patrzyliśmy na wychudłe, obezwładnione skwarem słońce. Choć śmierć z niedożywienia nie oznacza śmierci głodowej i kończy życie każdego sędziwego osobnika, którego zęby trzonowe są już zbyt starte, by rozdrobnić dostateczną ilość pokarmu, dojmujące cierpienie tych zwierząt wpędzało nas w rozpacz. Jak na ironię, ci sami ludzie, którzy potrafili się odciąć emocjonalnie od masowej i zorganizowanej rzezi słoń, zaklinając rzeczywistość magicznym słowem „selekcja”, nie umieli się pogodzić z analogiczną interwencją przyrody, która osiągała ten sam cel spokojnie, po cichu i znacznie skuteczniej niż człowiek. David i członkowie Rady Powierniczej znaleźli się pod ostrzałem opinii publicznej, która obwiniła ich o śmierć głodową słoń z Tsavo – rzekomo skutek sprzeciwu wobec sztucznych metod selekcji. Musieliśmy się oprzeć zmasowanym atakom prasy. Dziennikarze zjeżdżali bez uprzedzenia z najdalszych zakątków świata, robiąc sensację z nieuchronnego wymierania części populacji – przede wszystkim samic i młodych – które z czasem miało przywrócić równowagę ekologiczną w zmienionych siedliskach w Tsavo.

Rzecz jasna, słońce ginęły z niedożywienia nie tylko w naszym parku. Susza okazała się największą w historii i dotknęła olbrzymią połą kraj, aż po północną granicę z Somalią, gdzie zabiła tysiące sztuk bydła, a nawet wielbłądów. Słońce umierały też na pobliskim Ranczu Galana i w samym Tsavo, przede wszystkim w rejonie Kowito, skąd pochodziło trzysta osobników odstrzelonych na zlecenie doktora Lawsa. Mocno więc wątpliwe, czy w tych okolicznościach udałoby się zapobiec masowemu wymieraniu populacji w Tsavo i bezpośrednim sąsiedztwie parku, gdyby podjęto wcześniej decyzję o sztucznej selekcji. Susza pochłonęła dziesięć tysięcy słoń. Gdzie byli uczeni, kiedy rozpoczęło się tak dramatyczne masowe wymieranie – choć po raz pierwszy mogli je monitorować i udokumentować? David i mój kuzyn Tim Corfield musieli sami się zająć liczeniem i określaniem płci martwych słoń, ustalaniem miejsca ich zgonu, usuwaniem żuchw ze zwłok, znakowaniem ich odpowiednim numerem referencyjnym, suszeniem i składowaniem w specjalnej szopie,

zbudowanej w tym celu przy ośrodku badawczym. Przekonali się, że najbardziej ucierpiały żeńskie stada, uwiązane w miejscu przez słabnące młode, przesypiające większość czasu w pobliżu stałych źródeł wody, zbyt wycieńczone, żeby zapuszczać się dalej w poszukiwaniu pożywienia. Byliśmy świadkami działania najpotężniejszej z sił przyrody – selekcji naturalnej, dającej szansę przetrwania grupkom pod wodzą najsilniejszych i najbardziej dynamicznych przywódców. Masowe czyszczenie populacji z osobników chorych i osłabionych zapobiegało rozprzestrzenianiu się złego materiału genetycznego.

Osierococone słońtka spotykały się ze współczuciem Eleanor, zwykle jednak docierały do nas zbyt późno, żeby je uratować, a szok po złapaniu tylko przyśpieszał ich zgon. Oseski nie miały żadnych szans, nie zdążyliśmy jeszcze opracować mieszanki, którą dałoby się wykarmić maluchy uzależnione całkowicie od mleka matki. Eleanor zaczęła kojarzyć pozycję leżącą ze śmiercią i nie pozwalała swoim podopiecznym układać się do snu. Ilekroć zwierzaki próbowały się położyć, stawiała je na równe nogi, chcąc mieć pewność, że żyją. Tamtego roku miewaliśmy kłopoty z precyzyjnym ustaleniem liczebności naszego stadka, bo Eleanor zbierała co dzień po kilka słoniowych przybłąd nad rzeką Voi i sprowadzała je później do domu. Nowi przybysze nie zawsze zostawali u nas na stałe, co dotyczyło zwłaszcza młodych, niezależnych samców, które źle znosiły towarzystwo ludzi i nie chciały się podporządkować osobliwym zwyczajom panującym w sierocińcu.

Ostatnio musieliśmy podjąć próbę wypuszczenia na wolność Rufusa, który niechący zranił zastępcę jednego z opiekunów – jak się okazało, z fatalnym skutkiem, choć mężczyzna wykrwawił się na śmierć przez niedopatrzenie lekarzy w miejscowym szpitalu. Podobno ciskał w nosorożca kamieniami, żeby go skądś odpędzić – w rezultacie Rufus zaczął zachowywać się agresywnie wobec wszystkich Afrykańczyków. Zdumiało nas to rozdwojenie jaźni, bo mnie i Davida wciąż traktował przyjaźnie. Nie mieściło nam się w głowie, że nosorożec morderca to ten sam łagodny stwór, którego pozwalaliśmy ujeżdżać Angeli.

Osiedliliśmy go w Arubie, po zewnętrznej stronie rowu, który zabezpieczał obóz safari przed słońiami i nosorożcami. Miał tam stały dostęp do wody i bliskie sąsiedztwo ludzi, więc można było sprawdzać, co się z nim dzieje. Serce mi się krajało, że musimy się rozstać z Rufusem, ale naprawdę nie mieliśmy innego wyjścia. David przypominał, że nosorożce czarne prowadzą samotny tryb życia. Rufus był już prawie dorosły i powinien dać sobie radę. Lepiej wypuścić go na wolność niż oddać do jakiegoś ogrodu zoologicznego albo skazać na dożywotni pobyt w sierocińcu przy Parku Narodowym Nairobi, gdzie Eleanor była tak nieszczęśliwa.

Jakiś czas później, w drodze powrotnej z równin Ndara, towarzyszący Davidowi strażnicy wypatrzyli stado sępów nad martwym nosorożcem. Róg miał nietknięty, za to całe ciało straszliwie pokaleczone i poszarpane. David natychmiast rozpoznał Rufusa, który musiał paść ofiarą stada lwów. W rany wdało się zakażenie, z czego płynął wniosek, że lwy nie zdołały zabić nieszczęśnika na miejscu i porzuciły go na bolesną i powolną śmierć. Prześladował mnie potem obraz sępów wydziobujących mu oczy. Dobroduszny, flejtuchowaty Rufus był naszym ulubieńcem w grupie osieroconych zwierząt. Gdybyśmy kiedyś zostawili

go na pastwę losu, z pewnością żyłby krócej i mniej szczęśliwie, ale świadomość, że zginął w tak okrutny sposób, bardzo mnie przygnębiła.

David czekały jeszcze smutniejsze wieści. Przelatując nad rzeką Galana, spostrzegł młodego rannego słonia. Zatoczył krąg, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i przekonał się, że samiec porusza się z trudem, ma zapadnięte oczy, a spod przesuszzonej, zwisającej fałdami skóry sterczą mu wszystkie kości. Po każdym bolesnym kroku przystawał i macał trąbą jedną z przednich nóg. Nawet z powietrza było widać, że stopa jest opuchnięta i trzy razy grubsza niż normalnie. David nie mógł się uwolnić od niepokojącego przeczucia, że skądś zna tego słonia. Wylądował na piaszczystym brzegu i postanowił zbadać sprawę z bliska. Kiedy podszedł do rannego samca, uświadomił sobie, że ma przed sobą Samsona – w ostatniej fazie śmiertelnego zatrucia akokantera. Wiedział, że może tylko skrócić jego cierpienia miłosiernym strzałem z niezawodnego sztucera kalibru 416.

David miał bardzo osobisty stosunek do Samsona, znał go prawie ćwierć wieku. Uratował bezradne słońiętko od niechybnej śmierci, opiekował się nim w pierwszych, najważniejszych latach życia, mnóstwo się nauczył podczas obserwacji swojego wychowanka, zdobywając cenną wiedzę o psychice słoni, ich skomplikowanych emocjach i zdolności współczucia. Zanim uniósł sztucer, żeby zakończyć życie ukochanego Samsona celnym strzałem w skroń, przez jego umysł przemknęły setki myśli i wspomnień. W tej właśnie krótkiej chwili Samson uniósł wzrok i w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Kiedy już było po wszystkim, David podbiegł do wierzgającego w przedśmiertnych drgawkach słonia, pogłaskał go po pysku i sam mało się nie rozpłakał. Kiedy zamykał mu powieki, Samson sprawiał wrażenie, jakby patrzył wprost na niego. David długo siedział w milczeniu przy nieruchomym ciele Samsona – ze sztucerem u boku, pogrążony w odgłosach buszu i obezwładniającym smutku, przełamany nutą zapiekłego gniewu. W końcu wyjął z pokrowca nóż, wbił ostrze w spuchnięte gnijące mięso i usunął grot strzały. Niestety, nie był oznakowany – w przeciwnym razie David dopadłby zabójcę Samsona.

Wrócił do domu wzburzony. Od razu wyczułam, że coś się stało. Mój mąż był człowiekiem małowómnym i uczonym od dziecka, żeby nie okazywać emocji, więc domyśliłam się także, że nie ma ochoty rozmawiać. O tragicznej śmierci Samsona dowiedziałam się znacznie później. „Najgorsze, co mi się w życiu przytrafiło, to konieczność zastrzelenia wiernego przyjaciela” – powiedział David i już więcej do tego nie wracał. Poprosił strażników z Oddziału Polowego, żeby usunęli Samsonowi ciosy – ułożył je potem w kącie magazynu kości słoniowej. Pozostały tam przez wiele lat. David nie miał sumienia dołączyć ich do sterty, którą wysyłaliśmy co roku na aukcję w Mombasie.

Po spokojnej dekadzie lat sześćdziesiątych i masowym wymieraniu słoni na początku lat siedemdziesiątych ceny kości na rynkach światowych znów poszły w górę. Dla słoni z Tsavo nastały ciężkie czasy, nie tylko z powodu suszy, ale też przez koniunkturalistów, którzy zwietrzyli szansę na zysk. David od razu zdał sobie sprawę z zagrożenia i próbował uzmysłwić powagę sytuacji członkom nowego rządu niepodległej Kenii, zawsze jednak przeważały względy polityczne i jego ostrzeżenia trafiały na mur obojętności. Gdzie było

życie, tam była i śmierć, a podczas klęski suszy mieliśmy wyjątkowo często do czynienia ze śmiercią. Ulubione powiedzonko Davida: „Odwróć kartę i zacznij wszystko od nowa” – okazało się bardzo przydatne. Ilekroć traciliśmy któreś z osieroconych zwierząt, natychmiast przybywało nowe i znów mieliśmy pełne ręce roboty, żeby je utrzymać przy życiu. Los tych maleństw zależał od nas, od naszych wykwalifikowanych pracowników, przede wszystkim zaś – od troskliwości Eleanor oraz pozostałych, silniejszych i bardziej zadomowionych sierot.

Nasze stadko miało się jeszcze bardziej powiększyć.

11. ODKRYCIE

Widziałem stado zebra w panicznej ucieczce przed skradającymi się drapieżnikami. Zakurzony, skąpany w słońcu krzew w samo południe; pustkowie pod rozgwieżdżonym niebem w środku nocy. Okryte pąsowym rumieńcem wierzchołki mrocznych, dalekich wzgórz w cudownym blasku przedświt.

Larry Wateridge

Skład stada Eleanor nieustannie się zmieniał. Przypadkowo dobrane sieroty musiały się przyzwyczajać do obecności coraz to nowych zwierząt, różniących się temperamentem i nie zawsze nawykłych do życia we wspólnocie. Pewna samiczka nosorożca dotarła do nas w opłakanym stanie, skrajnie wycieńczona i niedożywiona – jej matkę zastrzelono na pobliskiej plantacji sizalu. Okazała się wyjątkowo agresywna. Resztką sił kopała w drzwi boksu i dosłownie we wszystko, co wpadło jej w oko. Zachowywała się tak okropnie, że nazwaliśmy ją Zrzędą. Nie mogliśmy się nią zająć, dopóki nie zapadła w śpiączkę; przez następne dziesięć dni rozpaczliwie walczyliśmy o jej życie. Miękka skóra za uszami małej zaczęła wkrótce przypominać poduszeczkę na igły od niezliczonych zastrzyków przeciwko nękającym ją chorobom – zapaleniu płuc, brucelozie, a nawet trypanosomiazie – które rozwinęły się wskutek osłabienia układu odpornościowego, wywołanego stresem i niedoborem pokarmu. Nie potrzebowała już mleka matki, ale musieliśmy karmić ją z ręki, listek po listku, całymi godzinami. Stoczyliśmy o nią prawdziwy bój, który przegralibyśmy, gdyby w porę nie zjawił się kolejny zadziorny malec – żreback zebry. Ochrzciliśmy go Punda – imieniem, które nosili już ogierek wyratowany podczas safari w ojcowskiej wytwórni biltongu oraz nasza kłaczką, w końcu nazwana Huppety, ale nie mieliśmy nic przeciwko temu, żeby użyć go raz jeszcze.

Najnowszy przybysz biegł przez kilka kilometrów za polakierowanym w pasy minibusem. Pasażerowie wzięli go w końcu do środka i odstawili pod nasz próg. Po doświadczeniach z Huppety nie paliłam się do przygarnięcia następnej zebry, nie umiałam jednak odtrącić zwierzaka w potrzebie. Doszliśmy metodą prób i błędów, że nosorożce i zebry chowają się świetnie na pełnotłustej mieszance Lactogen, którą wykarmiłam obie moje córki. Po porcji mleka z butelki odprowadziliśmy zebkę do żłobka, gdzie biedna Zrzęda trwała w zawieszaniu między życiem a śmiercią.

Od razu było widać, że Punda jest wścibskim stworzeniem i wszędzie musi wtrącić swoje trzy grosze. Kiedy tylko wszedł do zagrody i zobaczył Zrzędę, z miejsca się nią zainteresował. Chwycił ją zębami za guzikowaty róg i zaczął tarmosić. Zrzęda nie mogła mu darować takiej zniewagi, nawet w swoim obecnym stanie. Otworzyła kaprawe oko i wydała z siebie wążę, chrapliwe parsknięcie, na które Punda odskoczył jak oparzony i zaczął biegać w kółko po zagrodzie, co chwila strzelając z zadu. Zrzęda rozchyliła szerzej powie-

ki i spróbowała skupić wzrok. Skoro spostrzegła, że źrebak szykuje się do kolejnego szturmu, w jej ślepiach pojawiły się iskry gniewu. Dalej poszło już samo – z im większą determinacją Zrzęda sprzeciwiała się mamlaniu swojego rogu, z tym większą determinacją Punda usiłował go mamlać. Zrzęda rozumiała, że musi przeżyć. Odkąd zaczęła zdrowieć, oboje stali się nierozłączni. Z czasem do nas dotarło, że Punda uważa się za nosorożca.

Kiedy wreszcie nadeszły deszcze i położyły kres suszy 1970 roku, Eleanor poweselała i wyraźnie się uspokoiła. Nie musiała się już tak troszczyć o swoich podopiecznych. Osierocone słonie często zostawiały Pundę, Zrzędę i bawoły z nadzorcą Alim, same zaś wyruszały w sawannę, żeby powęszyć za swoimi pobratymcami nad rzeką Voi. Raru uwielbiał te wycieczki. Nie czuł żadnego respektu przed swoimi starszymi kolegami i korzystał z przywilejów niedostępnych dla innych samców w jego wieku. Podczas gdy Eleanor i Bukanezi trzymali się niepewnie z tyłu, Raru przepychał się beczelnie w kolejce do wodopojów albo wpadał z impetem między obce samice, szukając towarzyszki do zabawy. Byłam zaskoczona, że nie skorzystał z okazji i nie dobrał się w parę z jakąś dojrzalszą słońcą, bo jego przywiązanie do Eleanor jakoś nie osłabło i Raru co wieczór wracał z całą drużyną do zagrody.

Nie trzeba było długo czekać, żeby Raru i Punda odkryli w sobie podobną skłonność do diabelskich wybryków – te dwie bratnie dusze prawdopodobnie nie zeszyłyby się w innych okolicznościach, a tu rozkwitła między nimi dość osobliwa przyjaźń. Bawili się razem godzinami, urządzając szamotaniny, podczas których Raru całkiem brutalnie poczynął sobie z Pundą. Źrebak zaczął wkrótce przypominać zaprawionego w bojach rumaka, a jego piękną, pasiastą sierść oszpeciły draśnięcia i blizny po słoniowych ciosach. Mimo to uparczywie wracał i prosił o jeszcze. Bywało, że Punda kończył z szyją wkliniowaną między ciosy niczym w jarzmie albo z łbem zakleszczonym pod brodą Raru jak w imadle, ale i tak obydwaj dodawali sobie nawzajem energii. Mieliśmy sporo uciechy z obserwowania ich dziwnych zapasów.

Pewnego dnia nad rzeką Voi, kiedy Raru i Punda byli zajęci zabawą, Eleanor raptownie się zatrzymała, rozpostarła uszy i zaczęła węszyć w powietrzu. Ali także przystanął – ciekaw, co wyczuła Eleanor. Sępy gromadziły się nad kępą wysokich drzew w zakolu Voi, skąd dobiegał głuchy odgłos rąbania. Wyraźnie zdenerwowana Eleanor kilka minut przestępowała z nogi na nogę, wsłuchując się w dźwięki znad rzeki, po czym zebrała się na odwagę i ruszyła naprzód. Oboje z Alim zakradli się po cichu w zarośla, gdzie zastali dwóch mężczyzn wyciągających ciosy z czaszki świeżo zabitego słonia i bacznie obserwujących niewielkie stadko pod wodzą starej i doświadczonej samicy, która szła powoli w ich stronę. Pochłonięci rąbaniem i zerkaniem na przywódczynię stada, spostrzegli Eleanor dopiero wówczas, kiedy znaleźli się niemal w zasięgu jej trąby. Ali zawołał: *Simama!* – „Nie ruszać się!”. Kłusownicy mało nie wyskoczyli ze skóry, przerażeni, że strażnik złapał ich na gorącym uczynku, i odrętwiali ze strachu na widok słońcy z rozpostartymi uszami i uniesioną trąbą. Chwilę później w zakolu rzeki pojawiły się nosorożce, Punda i Raru, a tuż za nimi grupka bawołów przemieszanych ze strusiami. Kłusownicy całkiem stracili głowę

i padli na kolana, błagając o litość, przekonani, że mają do czynienia z czarownikiem. Ali, który na co dzień nie odznaczał się szczególną odwagą, w mieszanym towarzystwie osieroconych zwierząt poczuł się nagle jak najmężniejszy człowiek świata. Stado dzikich słoni wycofało się w głąb sawanny, oddając pole Alemu i jego sierotom.

Tymczasem Eleanor zajęła się dokładnymi oględzinami zwłok słonia, wodząc trąbą po lśniącej powierzchni ciosów. Przytrzymując czaszkę stopą, oplótła je mocnym chwytem i z okropnym chrzęstem wyrwała z zębodołów. Uniosła trąbę, rozkołysała ją i rzuciła ciosy głęboko w zarośla. Żyła bezpiecznie wśród ludzi, a zachowała się tak, jakby w pełni zdawała sobie sprawę, co jest przyczyną tragedii jej dzikich pobratymców. O ile nam wiadomo, nigdy przedtem nie widziała martwego słonia – nie licząc swojej matki, ale była wówczas zbyt mała, żeby świadomie zapamiętać to zdarzenie. Nie mam pojęcia, skąd się domyśliła, że ciosy można wyciągnąć z czaszki, ani dlaczego to zrobiła, zyskaliśmy jednak przekonujący dowód, że skomplikowany mózg słonia jest zaprogramowany dziedzicznie i obdarzony zdolnością rozumowania – wspomagającą instynkt przeżycia u zwierząt, dla których miarą lat jest siedemdziesiąt, żeby zacytować Księgę Psalmów (Ps 90,10).

Ali związał mężczyzn skórzanym pasem i oznajmił, że daruje im życie. Struchlali kłusownicy – przeświadczeni, że dostali się we władanie złych mocy – maszerowali rażno, ponaglani przez depczące im po piętach słonie, dwa nosorożce, sześć młodych bawołów, zeburę i trzy strusie. Punda wdepnął po drodze w pustą puszkę po mleku, której nie zdołał się pozbyć mimo gwałtownych podskoków i przy każdym stąpieniu kopyta dzwonił nią o ziemię. Ni stąd, ni zowąd pojawił się sierżant Oddziału Polowego, z zamiarem przejęcia więźniów. Ali się jednak uparł, żeby dostarczyć ich Davidowi osobiście, co skończyło się głośną kłótnią mężczyzn, pnących się w górę zbocza wraz z całą kolumną. Widok sierżanta w mundurze wywołał ogromne poruszenie wśród strusi, które rozpostarły skrzydła i zaczęły wokół niego tańczyć, próbując zatrzymać pochód i ustawić go w karnym rzędku.

Konwój zaskoczył nas w chwili, kiedy oboje z Davidem korzystaliśmy z rzadkiej okazji wytchnienia nad porośniętym liliami stawem. Ali skrupulatnie zrelacjonował wydarzenia, David podziękował mu wylewnie, przekazał więźniów w ręce sierżanta i poprosił strażników o pomoc w zdjęciu puszki z kopyta Pundy, co – jak na ironię – przysporzyło wszystkim najwięcej kłopotu.

Punda zaczął przenosić swoją namiętność do Zrzędy także na jej dzikich pobratymców, czym doprowadzał nas na skraj rozpacz. Przynajmniej raz w tygodniu Ali donosił o wyczynach psotnego ogierka, który uganiał się za jakimś nosorożcem, skubiąc go po pęcinach albo próbując chwycić zębami za ogon. Punda w końcu się doigrał: jeden z naszych osieroconych bawołów stracił cierpliwość do jego zaczepek, zahaczył go rogiem i rozerwał mu brzuch. Oszałały z bólu Punda dowlókł się do domu w towarzystwie Alego, Raru i Zrzędy. Mimo że David dołożył wszelkich starań, żeby oczyścić i zeszyć ranę, ogierek zmarł jeszcze tej samej nocy. Nieutuleni w żalu, pochowaliśmy go w głębokim dole tuż obok zagrody, żeby nawet po śmierci mógł zostać z Raru i Zrzędą. Był jednym z naszych najukochańszych sierot, choć zachowywał się zawsze jak kamikadze. Raru długo go opłakiwał, Zrzęda też

zauważyła jego nieobecność, tylko Eleanor nie kryła bezwstydnej ulgi. Odkąd Punda przyjaźnił się z Raru, obydwaj nie przepuścili żadnej okazji, żeby dokopać Bukaneziemu, ilekroć słonica spuściła ich z oka. Znęcali się nad nim z nieokiełznanym zapałem, siejąc zamęt w skądinąd spokojnym stadku pod wodzą Eleanor.

Zgodnie z maksymą Davida odwróciliśmy kartę i już wkrótce miejsce Pundy zajęła inna sierota, tym razem słoniczka, którą nazwaliśmy Sobo – od samotnego występu skalnego, który wznosił się nad równiną po południowej stronie rzeki Galana. David wypatrzył ją z samolotu, stojącą bezradnie nad zwłokami matki i zasysającą wodę z własnego żołądka, żeby spryskać rozpalone słońcem ciało. Minęło sporo czasu, zanim strażnicy dotarli lądem pod skałę Sobo, schwytali osierocone słońtątko i odstawili je do Voi. Eleanor natychmiast zaopiekowała się małą, nauczona długim doświadczeniem, jak sobie radzić z wybuchami zazdrości Bukaneziego, który nie znosił, kiedy słonica skupiała całą uwagę na nowych przybyszach. Sobo, odrobinę starsza niż Bukanezi, była bardzo nieszczęśliwym słońtątkiem, osamotnionym i cierpiącym po stracie wszystkich najbliższych. Ku naszemu zdumieniu opychała się lucerną, jakby już nigdy w życiu nie zamierzała głodować. W krótkim czasie nabrała zdrowszego wyglądu, jej zapadnięte boki wyraźnie się zaokrągliły, a napięta, elastyczna skóra świadczyła o dobrym samopoczuciu.

Był to bardzo pracowity okres w moim życiu. Niedługo po przybyciu Sobo pojawiła się kolejna sierotka – osesek, z gatunku tych, które najtrudniej odchowac, czyli całkowicie zależny od mleka. Zszedł z ciężarówki przeraźliwie głodny i pałętał się wokół na niepewnych nóżkach. Tym razem postanowiłam zdać się na pomoc Eleanor, która do dostarczanego przeze mnie pokarmu mogła dodać mu troskę i miłość. Ignorując porykiwania Bukaneziego, sfrustrowanego widokiem nowego przybysza, Eleanor przygarnęła do siebie włochatego noworodka, objęła go trąbą i uspokoiła czułym burczeniem. Chwilę później spróbowała przystawić go sobie do wymienia, na co właśnie liczyłam. Z butelką rozcieńczonego mleka w dłoni wczołgałam się między przednie nogi słonicy i za każdym razem, kiedy maluch sięgał do jej sutka, wpychałam mu smoczek do pyska.

Przebywanie pod brzuchem słonia dostarcza niezapomnianych wrażeń – przytłoczona ogromem potężnego cielska, skulona między wielkimi nogami, musiałam bacznie zważać na ciosy – długie i grube jak ramię – oraz wilgotny koniuszek trąby, którym Eleanor próbowała wymacać, co się dzieje pod spodem. W tej pozycji czułam jeszcze większy respekt przed drzemającą w jej wnętrzu siłą, w pełni świadoma, że wystarczy jeden nierozważny ruch, by słonica zmiażdżyła mnie trąbą. Mimo to ufałam jej bezgranicznie i ani przez chwilę nie czułam się zagrożona. Głębokie, gardłowe burczenie – rozlegające się tuż przy moim uchu – wibrowało mi w całym ciele. Miałam pewność, że Eleanor wie, o co chodzi, i mogę całkiem na niej polegać. Łączyła nas miłość i wzajemna ufność. Jak na ironię, znacznie więcej powodów do obaw przysparzał osesek, który był głównym sprawcą całego zamieszania. Zamiast okazać wdzięczność, wymierzył mi siarczystego kopniaka – z takim impetem, że poleciałam prosto na stertę ściętych gałęzi w kącie zagrody. Usłyszawszy mój jęk, Eleanor obmacała mnie delikatnie, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało. Nawet

Raru wyciągnął trąbę przez ogrodzenie, chcąc się upewnić, że jestem cała i zdrowa. Rozcierając obolały tyłek, uświadomiłam sobie, że mam do czynienia z prawdziwą potęgą: bezpieczniej było zaprzyjaźnić się z tym słońiątkiem niż się narażać na jego gniew.

Pierwsza próba karmienia malucha pod brzuchem Eleanor w sumie się jednak powiodła, postanowiłam więc, że będzie dostawał mleko na żądanie, jakby ssał własną matkę. Poprosiłam o pomoc Alego i jeszcze jednego opiekuna, do którego Eleanor też miała pełne zaufanie. Kiedy nabrałam pewności, że poradzą sobie bez mojego nadzoru, zaczęliśmy karmić słońiątko na zmianę. Ilekroć mały zniknął między nogami słonicy w poszukiwaniu sutka, ktoś z nas podtykał mu butelkę, co w praktyce oznaczało, że musieliśmy wciąż mieć pod ręką sprzęt do mieszania i podgrzewania mleka. Radziliśmy sobie całkiem nieźle – mimo rozdawanych nam tryśnięć i kopniaków. Gorzej, że trzeba się było opędnąć od innych członków stada, którzy przypomnieli sobie o dobrodziejstwach karmienia z butelki i próbowali znów zaznać tej przyjemności. Bukanezi wpadał w istną histerię, jego pełne frustracji porykiwania niosły się na odległość kilku kilometrów. Po paru tygodniach ledwie trzymaliśmy się na nogach. Wracałam do domu wykończona i cała w siniakach, wylewając żale przed współczującym małżonkiem, który coraz częściej sugerował, że przeceniam swe siły.

Daliśmy słońiątku na imię Guliwer: wyglądało jak włochaty, zasuszony, potykający się o własne nogi gnom. Eleanor je uwielbiała, podobnie jak Sobo, która wzięła na siebie rolę niańki, opiekując się Guliwerem, ilekroć starsza słonica potrzebowała wytchnienia. Cieszyłam się, że niańczenie małego sprawia jej przyjemność i pozwala zapomnieć o własnej żalobie, choć wciąż liczyliśmy się z ryzykiem, że nie zdołamy odratować nowego przybysza. Aż truchlałam na myśl, że Sobo będzie musiała przeżyć kolejną stratę. Mijały dni i tygodnie; Eleanor zdawała się coraz częściej na pomoc Sobo, zadowolona, że może zostawić Guliwera pod jej opieką, kiedy najdzie ją ochota na kąpiel albo wyprawę do buszu. Obserwowanie relacji między Eleanor a Sobo okazało się bardzo pouczające. Uświadomiło mi trwałość więzi rodzinnych wśród tych dobrodusznym olbrzymów, które pod tym względem niewiele się różnią od ludzi. Guliwer nigdy nie zostawał sam. Byłam przekonana, że obydwie słonice porozumiewają się między sobą telepatycznie i wyczuwają swoje potrzeby instynktem. Ilekroć Eleanor zamierzała się oddalić, Sobo przejmowała jej obowiązki. Kiedy Sobo chciała się napić albo wytarzać w błocie, jej miejsce przy Guliwerze zajmowała Eleanor.

Niestety, rozcieńczona mieszanka z krowiego mleka nie wyszła Guliwerowi na zdrowie. Zamiast przybierać na wadze, robił się coraz słabszy i mniej odporny. Przetawienie go na zamiennik mleka o nazwie Trilk niewiele dało. Byłam zrozpaczona, że kolejna próba opracowania diety dla słońiątek potrzebujących pokarmu matki spełzła na niczym. Po trzech tygodniach naszych starań Guliwer zmarł u boku Eleanor. Pochowaliśmy go na małym cmentarzu, w łagodnym cieniu rozłożystego hebanowca, który wyrósł z nasienia posadzonego trzydzieści lat wcześniej przez Davida. Teraz pysznił się nad sawanną w całej okazałości, niczym żywe świadectwo minionego czasu i tragicznej śmierci wszystkich słońiowych osesków, które próbowaliśmy odratować. Kiedy Guliwer spoczął w swoim gro-

bie, z nieba spadły pierwsze krople deszczu, zwiastującego koniec suszy. Zmieszały się ze łzami smutku i frustracji, że wciąż nie potrafimy odkryć sekretu skutecznej opieki nad osieroconymi noworodkami słoni.

Odejście Guliwera najmocniej przeżyła Sobo. Jej smutek po stracie matki i reszty rodziny jeszcze się pogłębił. W czasie przygotowań do pogrzebu stała apatycznie nad martwym ciałkiem; kiedy opuszczaliśmy zwłoki do grobu, podeszła bliżej, żeby dotknąć je czule trąbą. Nie ruszyła się z miejsca nawet po zasypaniu mogiły czerwoną ziemią z Tsavo i udekorowaniu jej śnieżnobiałymi kwiatami wilca. Od tamtej pory co wieczór wyłamywaliśmy się z kolumny sierot ciągnących w górę zbocza, żeby złożyć hołd zmarłemu Guliwerowi. Dni przechodziły w tygodnie; z rosnącym smutkiem obserwowaliśmy wyobcowanie Sobo, która ciągle snuła się w ogonie i patrzyła z boku na figlujące w deszczu zwierzaki.

Po burzy zdarzało nam się urządzać rodzinne wycieczki do „czerwonego wodopaju” przy głównej siedzibie parku – żeby nacieszyć się świeżą zielenią roślin i mocnym zapachem ciepłego, wilgotnego gruntu. Spacer z Davidem przypominały fascynującą lekcję przyrody, połączoną z interpretacją znaków i sygnałów z otoczenia. Dotarłszy do wodopaju, wybieraliśmy sobie drzewo, pod którym zamierzaliśmy spędzić resztę dnia. Bawiło mnie, że Angela opracowywała zawczasu trasę ucieczki – uwielbiała wspinać się po drzewach i nikt jej nie mógł dorównać w tej sztuce, może z wyjątkiem ojca. Jill była sporo od niej starsza i bardziej stateczna. Co do mnie – w tej dziedzinie uchodziłam za skończoną oferwę, dając całej rodzinie powód do docinków. Moje próby wdrapywania się na pnie przeszły już do legendy: zawsze musiałam utknąć w pół drogi, ku wielkiej uciechu gapiów, którzy z dołu udzielali szyderczych rad, dopóki David nie pośpieszył mi na ratunek.

Kilka tygodni po śmierci Guliwera poszliśmy z Davidem na spacer do wodopaju, gdzie nasze sierotki urządziły sobie ucztę wśród bujnej zieleni. Z błogiej kontemplacji trzódki pod wodzą Eleanor wyrwał nas przeraźliwy odgłos – to Sobo, ku naszemu zdumieniu, ruszyła co sił w nogach w kierunku stada dzikich słoni, donośnie burcząc i trąbiąc. Kiedy grupa zbliżyła się do wody, Sobo wpadła bez wahania między pobratymców, którzy powitali ją z nieukrywanym entuzjazmem. Domyśliliśmy się, że to część jej dawnego stada. Słonie natychmiast ją rozpoznały. W wieku czterech lat Sobo odnalazła niedobitki swojej rodziny – kilkoro szczęśliwców, którym udało się przeżyć suszę. Zwierzęta od razu splotyły się trąbami, pieszcząc, macając i czule obwąchując. Kłębiły się wokół, posikując z podniecenia i zanosząc się radosnym burczeniem, które odbijało się echem od pobliskiej góry Mazinga. Wiedzieliśmy, że to niespodziewane spotkanie uleczy złamane serce Sobo. W stadzie były zapewne jej ciotki, może nawet i prababka, cała rzesza kuzynów, starszych braci i sióstr. Kiedy słonie zaczęły się zbierać do wymarszu, Sobo dołączyła do nich bez chwili namysłu, w mgnieniu oka przechodząc z naszego świata do świata swoich krewnych. Łzy szczęścia stanęły mi w oczach.

Nie cały czas w domu spędzaliśmy w towarzystwie zwierząt. Byliśmy w doskonałych

układach z sąsiadami z Rancza Galana. Urządzaliśmy sobie wieczorki towarzyskie, jak za dawnych czasów w hotelu Voi. Po fiasku planu gospodarowania zwierzyną na Obszarze Galana, nadzorowanego przez Parkera „Jaskólcze Ziele”, konsorcjum zamożnych białych farmerów z dystryktu Laikipia skorzystało ze wsparcia finansowego Stanów Zjednoczonych i zakupiło ponad czterysta tysięcy hektarów ziemi przy wschodniej granicy Tsavo – z przeznaczeniem na ekoturystykę i hodowlę bydła. Cielęta miejscowych ras skupowano od zamieszkujących północne regiony plemion pasterskich, tuczono na farmach, po czym przepędzono na rzeź albo na eksport do odległej o sto sześćdziesiąt kilometrów Mombasy. Przedsięwzięcie okazało się bardzo rentowne i posłużyło za wzór dla innych planów zagospodarowywania terenów przygranicznych. Farmerzy wybudowali stylową wioskę safari z widokiem na równinę w dolnym biegu rzeki Galana, poza obszarem parku, wzniesli platformy widokowe przy wodopojach i zajęli się organizacją wędrownych obozów namiotowych, które – podobnie jak stada słoni – przenosiły się z miejsca na miejsce w zależności od opadów, stwarzając turystom okazję do fotografowania zwierząt ściągających gromadnie na bujne pastwiska. Licencjonowani myśliwi mieli pozwolenie na ściśle reglamentowany odstrzał w obrębie rancza – większość korzystała z płatnych usług byłych kłusowników i tropicieli z plemienia Waliangulu, którzy umieli iść szybko śladem zwierzyny i podprowadzić klienta na odległość precyzyjnego strzału.

Ranczo Galana zapewniało też idealne warunki rehabilitacji osieroconych bawołów, a w końcu nadeszła pora, żeby wypuścić na wolność moją ulubienicę Lollipopę. Wychowaliśmy ją od małego cielęcia i była jedną z naszych sierot ogrodowych. Bardzo się do niej przywiązałam, musieliśmy się jednak z nią rozstać, bo zaczęła zagrażać dzieciom. Ilekroć przebywała w moim towarzystwie, kładła mi łeb na ramieniu i traktowała mnie z wzruszającą czułością – niezwykłą u zwierzęcia, które uchodzi za postrach sawanny. Kiedy trafiła między bydło na ranczu, zadomowiła się w stadzie krów i zapalała szczególną miłością do pewnego wołu, ale od czasu do czasu urządzała wypady w poszukiwaniu samca własnego gatunku, z których wracała już w ciąży. Urodziła w sumie pięcioro młodych i odchowala wszystkie wśród bydła domowego.

Pewnego dnia doszły nas wieści, że powiła martwe cielę. W tym samym czasie trafiło do nas osierocone bawolątko. David postanowił wykorzystać sytuację i podstawić sierotkę Lollipopie. Ogłosił przez radio komunikat, żeby obdrzeć ze skóry martwo urodzony płód – po przyjeździe na miejsce zamierzał owinać w nią cielę, w nadziei, że Lollipa uzna je za swoje dziecko. Manewr oszczędziłby nam kłopotu, nie wspominając już o kosztach zakupu mleka w proszku.

Zapakowaliśmy cielę na tył półciężarówki, zostawiliśmy je pod opieką jednego ze strażników i ruszyliśmy pędem na Ranczo Galana. Zanim dojechaliśmy na miejsce, pracownicy zdążyli sprowadzić z pastwiska całe stado wraz z Lollipopą. Choć minęło już kilka lat od naszego rozstania, kiedy zawołałam ją po imieniu, po krótkim wahaniu podeszła i położyła mi łeb na ramieniu, jak za dawnych dobrych czasów. Pasterze osłupieli na widok kobiety tulącej bawołu: czuli ogromny respekt przed tymi zwierzętami i zawsze starali się

trzymać w bezpiecznej odległości od Lollipy. Po tym wydarzeniu uznali mnie za czarownicę. Niestety, plan podstawienia bawołątka spełził na niczym. Lollipa wprawdzie je obwąchała, ale nie dała się przechytryć i odrzuciła maleństwo. Musieliśmy zabrać je z powrotem i powiększyć stado naszych sierot o kolejne sztucznie karmione cielę.

Przyjaźń z wołem przyniosła w końcu zgubę Lollipie. Bawolica dochowała mu bezwzględnej wierności, nawet gdy wszystkie jej cielęta dorosły i przyłączyły się do dzikich stad na sawannie. Trzykrotnie przemaszerowała z nim sto sześćdziesiąt kilometrów do rzeźni w Mombasie, a kiedy próbowano rozdzielić ją z kompanem, urządziła takie piekło, że wół uchodził z życiem i wracał z Lollipą na ranczo. W końcu rzeźnicy zastrzelili oboje, rzekomo w obronie własnej. Właściciele rancza przez kilka miesięcy próbowali zataić przed nami tę informację. Nie mogłam pojąć, dlaczego sąsiedzi nie oszczędzili akurat tego wołu – przecież mieli ich setki, więc nie zrobiłoby im to żadnej różnicy. Poza tym dla dobra Lollipy chętnie byśmy go odkupili po cenie rzeźnej. Cóż, stało się inaczej. Podczas pobytu w Tsavo odchowalam w sumie dwadzieścia trzy bawoły afrykańskie, z których szesnaście trafiło do Parku Narodowego Nairobi, tworząc zalążek stada liczącego obecnie ponad sto osobników. Do Lollipy miałam jednak szczególnie stosunek i nigdy jej nie zapomnę.

Zdążyłam już wykarmić cztery osieroczone nosorożce i zaczynałam powoli rozumieć, na czym polega specyfika tych zwierząt. W niewoli są bardzo łagodne i przywiązują się do opiekunów, podobnie jak słonie. Uwielbiają drapanie po brzuchu, potrafią przewrócić się na grzbiet i rozpostrzeć nogi z półprzymkniętym wyrazem szczęścia na pysku. W sytuacji zagrożenia albo w starciu z obcym, nieznanym z zapachu przedstawicielem swojego gatunku – przechodzą na „autopilota”, wyłączają procesy myślowe i zdają się wyłącznie na instynkt. Tym właśnie zasłużyły sobie na opinię zwierząt niebezpiecznych i nieprzewidywalnych. Nasz Reudi był już prawie dorosły, ważył niemal dwie tony i miał potężny róg z czubkiem zaostrowym jak sztylet. Wysyłał sygnały ostrzegawcze, które wzbudziły w nas szczery niepokój o losy dwóch młodszych nosorożców, Zrzędy i Spychacza, nie wspominając już o ich opiece. David uznał, że czas wypuścić Reudiego na wolność i skierować go tam, gdzie jego miejsce – między dzikich pobratymców.

Zapadła decyzja, że przetransportujemy naszego wychowanka na północny brzeg rzeki Athi, gdzie liczebność populacji nosorożców drastycznie spadła po katastrofalnej suszy w latach sześćdziesiątych. Zbudowaliśmy solidną zagrodę w sąsiedztwie parkowego obozu safari, w której miał spędzić ze dwa tygodnie, zanim zdąży się zaaklimatyzować w nowych warunkach. Reudi nieźle zniósł przeprowadzkę, przywabił jednak swą obecnością starą samicę z podrośniętym młodym, które pewnej nocy włamały się do zagrody i przypuściły szarżę na intruza. Zapanował nieopisany chaos. Ogłuszające ryki nosorożców postawiły na nogi wszystkich turystów i zarządcę obozu, który zdołał otworzyć bramę zagrody i utorować nieszczęsnemu Reudiemu drogę ucieczki. Prześladowcy mieli wyraźną przewagę i raczej nikt się nie spodziewał, że Reudi wyjdzie z tego cało. David poinstruował miejscowy patrol Oddziału Polowego, żeby spróbował wytropić ранego nosorożca i uratować go od niechybnej śmierci w buszu. Niestety, deszcz zatarł wszystkie ślady. O dziwo, dwa dni póź-

niej dostaliśmy wiadomość przez radio, że Reudi dowlókl się do obozu, obolały i potłuczony, z głęboką raną w boku. Prawdopodobnie schronił się przed napastnikami w kojącym nurcie rzeki. Wyglądał jak siedem nieszczęść, życie na swobodzie zdecydowanie nie przypadło mu do gustu.

Rekonwalescencja Reudiego okazała się długa i bolesna. Opatrywaliśmy mu rany codziennie, z czym akurat nie mieliśmy żadnych kłopotów – wystarczyło go podrapać po brzuchu, żeby się natychmiast położył, a kiedy już było po wszystkim, zabierał się z powrotem do rzeki. Za żadne skarby nie dał się wprowadzić do zagrody, która widocznie budziła w nim jak najgorsze skojarzenia. Postanowił odgrodzić się wodą od ewentualnych prześladowców; nocą układał się do snu na płyciźnie albo przechodził na drugi brzeg. Niestety, turyści traktowali go jak maskotkę, czego skądinąd można się było spodziewać, choć według naszych założeń Reudi miał się nauczyć życia na swobodzie i zerwać wszelkie stosunki z ludźmi. Tymczasem zapraszano go do wielkiego namiotu barowego, gdzie składał potężny łeb na kontuarze, otwierał pysk w oczekiwaniu na smakołyki, po czym wychodził niezdarne na zewnątrz, żeby położyć się w trawie i odespać skutki obżarstwa.

Kiedy rany przyschły, Reudi zebrał się na odwagę i pasał trochę dalej. Nieprzyjaciele zaczęli stopniowo oswajać się z jego obecnością, choć z początku próbowali zagonić go do obozu. Doświadczenia z Reudim nauczyły nas, że trudno wprowadzić nowego przybysza w ugruntowaną wspólnotę nosorożców. Droga do sukcesu wiodła przez miejsca, w których zwierzęta załatwiały swoje potrzeby fizjologiczne. Główną rolę w długotrwałym procesie zaznajamiania się odgrywał zapach, z czego nawet David nie do końca zdawał sobie sprawę.

Choć dorosły nosorożec jedzący turystom z ręki został uznany za dodatkową atrakcję obozu, organizatorzy wycieczek obawiali się, że w końcu dojdzie do wypadku i poszkodowany skieruje sprawę do sądu. Zaczęli się domagać usunięcia Reudiego, który tak się przyzwyczaił do datków w barze, że odprawiony z kwitkiem, zaczynał się złościć, parskać i rzucać łbem. Gdyby zwiedzający nie rozpuścili go jak dziadowski bicz, mógłby dożyć końca swoich dni w Tsavo, zawarłszy rozejm z samicą, jej młodym i resztą tutejszych nosorożców. Długo rozmyślaliśmy, co począć z Reudim, chcąc mu na przyszłość oszczędzić bolesnych doświadczeń. Skontaktowaliśmy się z pewnym bogatym Amerykaninem, właścicielem Rancza Solio pod Nanyuki, który zamierzał stworzyć ogrodzony rezerwat przyrody w prezencie dla swojej żony. Wydzielił w tym celu ponad sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych terenu i zaczął go zasiedlać dziką zwierzyną. Reudi byłby pierwszym z około tuzina sprowadzonych nosorożców, dzięki czemu uniknąłby walki o prawo własności z zasiedziałyimi osobnikami. Bez kłopotu wyznaczyłby granice własnego terytorium – na obszarze wolnym od kłusowników i zabezpieczonym przed kłeskami susz i powodzi. Znów musieliśmy go zwabić do klatki transportowej i wysłać w kolejną długą podróż, tym razem na Ranczo Solio. Kiedy przejeżdżał obok siedziby dyrekcji parku w Voi, wgramoliłam się na pakę ciężarówki, żeby złożyć mu życzenia wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Przyjął łaskawie garść świeżej lucerny i pozwolił się podrapać po pysku. Wyrósł na potęż-

nego, obdarzonego imponującym rogiem nosorożca. W niedługim czasie zadomowił się w Solio, został najlepszym rozplodnikiem w rezerwacie i przyczynił się walcie do zachowania swojego gatunku. Szalejąca plaga kłusownictwa doprowadziła w następnych latach do niemal całkowitego wyćpienia nosorożców czarnych. Dzięki wysiłkom właścicieli Rancza Solio, którzy dochowali się stada w liczbie około dziewięćdziesięciu sztuk – w większości potomstwa Reudiego – udało się utrzymać populację tych zwierząt w Kenii.

Tymczasem rodzice nalegali coraz usilniej, żeby zakopać topór wojenny z Peterem i Sarah – chcieli zabrać nas w odwiedziny do mojego brata w Parku Narodowym Meru. Byli bardzo dumni z osiągnięć syna. Peter wciąż widział w Davidzie mentora i zamierzał się przed nim pochwalić swoimi dokonaniem. David postanowił połączyć rodzinną wizytę z organizacją ćwiczeń rekrutacyjnych do Oddziału Polowego, zwłaszcza że parlament miał przedstawić pod obrady projekt ustawy o fuzji Służby Parków Narodowych i Departamentu Myślistwa pod egidą Ministerstwa Turystyki i Środowiska. Mimo że fuzja dokonałaby się ze szkodą dla parków narodowych, wyłączając je spod jurysdykcji niezależnej Rady Powierniczej i skazując na kaprysy polityków, wejście ustawy w życie zdawało się sprawą przesądzoną. David uznał, że musi czym prędzej pozyskać rekrutów i stworzyć Oddział Polowy, który poradzi sobie z kolejną falą kłusownictwa, szerzącego się tym razem za sprawą ściągających w pobliże Tsavo uzbrojonych rebeliantów z Somalii. Wiedział z doświadczenia, gdzie szukać odpowiednich ludzi – nie w szkołach, lecz wśród półdzikich plemion koczowniczych w Prowincji Północno-Wschodniej, których członkowie mieli dość wigoru i umiejętności, żeby pracować w trudnym, spalonym słońcem terenie, poruszając się na piechotę między stadami dzikich zwierząt.

Jill skończyła właśnie szkołę średnią sióstr loretanek w Nairobi. Moim rodzicom zależało, żeby zdobyła zawód, który pomoże jej się utrzymać, przekonywali więc nas z Billem, by wysłać ją do szkoły sekretarek w Afryce Południowej. Ostatecznie mnie i moim siostrom zapewniło to świetny start w życiu. Rodzice byli też zdania, że Jill powinna się oswoić z wielkomięską elegancją Kapsztadu, który w tamtych czasach znacznie bardziej przypominał europejskie metropolie niż Nairobi. Pojechaliśmy do RPA we troje z Davidem i Jill. Ulokowaliśmy moją córkę w wygodnym akademiku w Kapsztadzie, skąd mogła bez trudu dojść na piechotę przez park do studium sekretarek, położonego w samym centrum miasta. Betty miała w okolicy kilka przyjaciółek, które obiecały dopilnować Jill i zapewnić jej dodatkowe atrakcje w czasie wolnym od zajęć. David, który odziedziczył po matce zamiłowanie do ubrań i nieomyłne wyczucie stylu, z przyjemnością wziął Jill na zakupy i pomógł jej dobrać stosowne miejskie kreacje. Jill prędko nawykła do życia w mieście, ale gdy doszły ją wieści o safari połączonym z rekrutacją do Oddziału Polowego, przyleciała z powrotem do domu. Jakież było moje zaskoczenie, gdy ujrzałam ją w drzwiach! Z początku myślałam nawet, że śnię albo mam jakieś omamy – zbliżały się właśnie jej dwudzieste pierwsze urodziny i byłam pewna, że spędzimy ten dzień oddzielnie. Tymcza-

sem stała przede mną i ogłaszała, że wybiera się z nami w podróż.

Była to moja pierwsza wizyta w Parku Narodowym Meru, który wyglądał jak miniaturowe, bogate w wodę Tsavo: z siatką strumieni okolonych rzędami rdzawolistnych rafii, równinami porośniętymi trawą w odcieniu dojrzałego zboża, wielkimi baobabami i nieprzebytym gąszczem balsamowców nad rzeką Tana, przywodzącym na myśl busz w południowej części naszego parku, zanim słonie zdążyły z nim zrobić porządek. Drogi były doskonale utrzymane, na skrzyżowaniach stały schludne drogowskazy z drewna cedrowego, podobne do tych, które niegdyś upiększały Tsavo; przez większość potoków spływających ze wzgórz Nyambeni przerzucono niskie betonowe groble. Na jednej z nich przeżyliśmy dreszczyk emocji, kiedy szarżujący nosorożec minął się ledwie o włos z naszą ciężarówką. Mijaliśmy po drodze ogromne stada pięknie umaszczonej żyraf siatkowanych, oryksów wschodnioafrykańskich i zebra Grevy'ego oraz spokojnie pasące się grupki słoni – co było najlepszym dowodem, że Peter skutecznie uporał się z plagą kłusownictwa.

Peter i Sarah mieszkali w parterowym domu kolonialnym z otwartą werandą i salonem, soczysto zielonym trawnikiem od frontu i stylowym poidłem dla ptaków, uczęszczanym przez rzeszę barwnych, pierzastych przyjaciół. Bijący ze źródła strumień przepływał przez środek ogrodzonego siatką warzywnika i wił się na skraju sadu, w którym rosły drzewa mango, awokado i cytrusy, wyhodowane z sadzonek sprowadzonych od matki z Malindi. Moi rodzice odwiedzali brata już wcześniej, a teraz wpadli w zrozumiąły zachwyt na widok niespodziewanej wnuczki. Spotkaliśmy się z naprawdę miłym przyjęciem. Poczułam się zupełnie jak w domu, zwłaszcza gdy zobaczyłam pasące się na trawniku antylopy – impalę i koba – w towarzystwie przechadzającej się od niechcienia żyrafy. Jill łączyły szczególne więzi z dziadkami, którzy poświęcali jej mnóstwo czasu w dzieciństwie. Kiedy przyszła na świat, byłam młodą, niedoświadczoną matką – miałam dwadzieścia jeden lat, czyli dokładnie tyle, ile teraz moja córka. Niestety, nie mogliśmy zabrać ze sobą dwunastoletniej Angeli, która uczyła się w szkole z internatem w Turi, prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Nairobi. Rodzice byli ciekawi, co u niej słyhać. Opowiedziałam im z dumą o jej sportowych osiągnięciach, sukcesach w jeździe konnej i doskonałych wynikach w nauce – była ulepiona z tej samej gliny co ojciec.

Przed naszym przyjazdem David poprosił Petera, żeby porozumiał się z miejscowym wodzem i urządził zebranie rekrutacyjne koczowniczych pasterzy z plemienia Boran. Chciał mieć w swoim oddziale najprawdziwszych wojowników, wybrał więc ośmiu mężczyzn o doskonałych warunkach fizycznych i zrobił im sprawdzian wytrzymałości – mieli przebiec ponad trzy kilometry, co przyjęli z nieopisanym entuzjazmem, popartym salwami śmiechu. Pierwszych pięciu na mecie skierowano na badania lekarskie. Testy wypadły pomyślnie i Oddział Polowy zyskał nowych borańskich rekrutów. Safari przeistoczyło się w wyprawę na trasie ponad trzech tysięcy kilometrów, podczas której zwiedziliśmy kolorowe przygraniczne miasto Isiolo; zmierzaliśmy się z obeszwanym skwarem i wszechobecnym pyłem pustyń Kaisut i Chalbi; biwakowaliśmy w kraterze nieczynnego wulkanu Marsabit nad jeziorem Paradise; przeżyliśmy pobyt w North Horr tuż przed brutal-

nym atakiem uzbrojonych w broń palną jeźdźców z plemienia Amakoki, którzy napadli ludność miejscową, żeby zrabować jej bydło; straciliśmy namioty podczas nocnej zawieruchy nad jeziorem Turkana; i na koniec świętowaliśmy dwudzieste pierwsze urodziny Jill w luksusowym Loyangalani Lodge. David przeprowadził po drodze nabór mężczyzn z plemion Rendille, Gabra i Shangilla, którzy już wkrótce mieli zamieszkać z nami w Voi. Kiedy jechaliśmy z powrotem do Tsavo, rekruci przecierali oczy ze zdumienia: widok zalesionych zboczy i strzelistych wierzchołków góry Kenia przyjmowali z równym niedowierzaniem, jak warkot mijanych na trasie samochodów i ciężarówek.

Po czterech dniach spędzonych w podróży z radością wróciliśmy w znajome strony. Rozeznaliśmy się czym prędzej, co się zdarzyło podczas naszej nieobecności. Zachwycona Eleanor przywitała nas z wysoko uniesioną przednią nogą, którą czule objęliśmy. Jeszcze przed niespodziewaną wizytą Jill odliczałam dni do przyjazdu Angeli, więc wkrótce miałam się nacieszyć rodziną w komplecie.

Intensywne szkolenie rekrutów rozpoczęło się na dobre pod surowym okiem sierżanta Kimwele, który w czasie wojny służył w piątej kompanii King's African Rifles, dowodzonej przez Davida. Przez kilka następnych tygodni poborowi niezmordowanie ćwiczyli musztrę na placu apelowym – często z udziałem strusi. Nabrali biegłości w korzystaniu z radia, nauczyli się obchodzić z bronią palną i trafiać do celu podczas zajęć na strzelnicy przy Wodospadach Lugarda. Przeszli też solidne przysposobienie frontowe. Trzy miesiące później Tsavo East mogło się już pochwalić prężną i zdyscyplinowaną jednostką Oddziału Polowego, a David chodził dumny jak paw.

Były to ostatnie zorganizowane w ten sposób ćwiczenia rekrutacyjne. Czuję się zaszczycona, że mogłam w nich uczestniczyć i przekonać się na własne oczy, jak wojownicy plemienni przeistaczają się w skutecznych funkcjonariuszy oddziału paramilitarnego, działających w warunkach, które z pewnością złamałyby ducha ludziom nawykłym do wygod. Byli twardzi jak żelazo i wyposażeni w instynktowne umiejętności, których nie można nauczyć się w szkole – podobni im ludzie służyli na chwałę Wielkiej Brytanii w obydwu wojnach światowych. Z czasem, kiedy zabrakło strażników tego formatu, Tsavo zmieniło się nie do poznania.

12. EKSPANSJA

Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania.

Ernest Hemingway, *Pożegnanie z bronią* (przeł. Bronisław Zieliński)

Ilekcio musiałam wyjechać, tęskniłam za naszymi sierotami, najbardziej jednak za Bunty, piękną impalą, do której bardzo się przywiązałam. Maleństwo przybyło do nas z sąsiedniego gospodarstwa, utraciwszy matkę zabitą przez lwa. Z początku mieliśmy kłopot z karmieniem: Bunty zawzięcie wypluwała smoczek, dopóki Jill nie wzięła jej ze sobą do sypialni. Tak długo głaskała małą po lśniącej rdzawej sierści, aż zdołała ją wreszcie napoić mlekiem z butelki. Pierwsze noce impala spędziła w szafce u Jill, potem przenieśliśmy ją do wygodniejszej stajenki przy domu, ale wkrótce i tak odmówiła przebywania w zamknięciu. Martwiłyśmy się z dziewczynkami, że pożre ją lew, David nas jednak przekonał, że zdolność przetrwania jest podstawową umiejętnością w życiu każdego stworzenia. Nie ma innego sposobu, by utrwalić ten instynkt – zwłaszcza u sieroty pozbawionej matki – poza wystawianiem zwierzęcia na sytuacje, z jakimi będzie miało do czynienia na wolności. Łowiłam więc uchem każdy dźwięk, wyglądając przez okno na trawnik skąpany w księżycowej poświacie i dopatrując się w każdym cieniu sylwetki przyczajonego drapieżcy. Kiedy w nocnej ciszy rozbrzmiewało ostrzegawcze parsknięcie Bunty, zrywałam się na równe nogi, pewna, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. David tłumaczył, że świadomość zagrożenia to zaledwie połowa sukcesu: nasza obecność w takiej chwili odwróci uwagę małej i narazi ją na tym większe ryzyko. Odganiając złe myśli, niecierpliwie czekałam poranka, żeby sprawdzić, czy Bunty nic się nie stało.

Wbrew moim obawom przeżyła i spędziła z nami resztę swoich dni w Tsavo. Od razu wyczuła instynktem, że ogród w nocy jest znacznie mniej bezpieczny niż za dnia. Skoro tylko słońce nikło za horyzontem i rodzina pawia Klaksona zaczynała się mościć na drzewie przy parkingu, a w oknach domu zaciągano zasłony, Bunty przenosiła się z ogrodu na tyły biura. Tracąc swój zwykły spokój i poczucie bezpieczeństwa, stawała się całkiem innym stworzeniem. Napinała wszystkie mięśnie, w każdej chwili gotowa do ucieczki; bezustannie strzygła uszami, żeby wychwycić choćby najlżejszy odgłos świadczący o zagrożeniu. Wpatrywała się w ciemność przepastnymi czarnymi oczami, skrupulatnie analizując każdy ruch w trawie, żeby się upewnić, czy ma do czynienia z wrogiem, czy z przyjacielem. Z odchowanej przez ludzi impali przeistaczała się w dzikie zwierzę, kierujące się przede wszystkim wolą przetrwania w świecie, w którym każdy musi się troszczyć o siebie.

Byłam tak wyczulona na alarmujące parsknięcia Bunty, że pewnego wieczoru, kiedy wracaliśmy z Davidem z biura, usłyszałam z oddali jej natarczywe wołanie. Od domu dzieliło nas niespełna dwieście metrów. Zrozumiałam, że Bunty próbuje nas ostrzec przed ja-

kimś niebezpieczeństwem. Rzeczywiście, w świetle latarki wypatrzyliśmy czworo jarzących się na czerwono ślepi i złowieszcze kontury dwóch lwów przyczajonych obok ścieżki. Lwy atakują z zaskoczenia, nie jest więc wykluczone, że Bunty uratowała nam życie. Wielkie koty z Tsavo słynęły z zamiłowania do ludzkiego mięsa, a pod osłoną nocy robiły się wyjątkowo zuchwałe. Lwy są w istocie dość tchórzliwe i zbierają się na odwagę tylko podczas ataku – żeby odwrócić sytuację na swoją korzyść, najlepiej urządzić demonstrację agresji i ruszyć prosto w ich stronę. Tak właśnie zachował się David, przyspieszając odwrót drapieźców gradem zebranych na ścieżce kamieni. Tamtej nocy Bunty zjawiała się w porę. Podziękowałam jej w myślach, kiedy z bijącym sercem dotarłam na schody werandy.

Bunty trzymała się na dystans od większości sierot ogrodowych, zwłaszcza tych najbardziej psotnych. Znalazła sobie jednak wybranka i obdarzyła szczerym uczuciem – Jimmy’ego, osieroconego samca kudu, którego wykarmiliśmy butelką. Kudu rosną wolniej niż impale i dożywają późniejszego wieku. Jimmy długo był mały i – o dziwo – dawał się nosić na rękach, z przednimi nogami przewieszonymi przez mój bark, aż zrobił się zbyt ciężki, żeby go dźwignąć z ziemi, i zaczął mnie zahaczać długimi rogami o białawych czubkach. Tworzył nierozłączną parę z Baby, zadziorną samicą elanda, znacznie większą niż Bunty. Mimo to oboje uznali przywództwo impali i spełniali wszelkie jej zachcianki. Była akurat noc, kiedy Bunty zetknęła się po raz pierwszy z przedstawicielem własnego gatunku, potężnym bykiem, stojącym na czele trzódki złożonej z mniej więcej tuzina samic z przychówkiem. Miał rozłożyste, lirowato skrócone rogi i upodobał sobie noclegi na tyłach biura. Co wieczór wywabiał swoje żony z zarośli i prowadził stado w bezpieczne miejsce, zwołując je serią gardłowych poszczekiwań. Nazwaliśmy go Ojciec Tryk. Trzymał samice krótko: ilekroć któraś wyłamała się z szeregu, zaganiał ją z powrotem do stada. Swoją drugą połowę odnalazł jednak w Bunty, którą musiał skądinąd uznać za wyjątkowo krępujący dodatek do swojego haremu, bo już o świcie, kiedy słońce zaczynało oblewać niebo różem i purpurą, naszej impali tylko jedno było w głowie – żeby czym prędzej wrócić do domu i spędzić resztę dnia z nami, pasąc się na trawniku. O ile w nocy czuła się najlepiej w towarzystwie Ojca Tryka i jego żon, wspomagając ich bezpieczeństwo jeszcze jedną parą oczu i uszu, o tyle w dzień rozglądała się za ludzkim stadem i darzyła nas niesłabnącym uczuciem.

Ucieczka od Ojca Tryka nie była łatwa, samiec nieustannie pilnował swoich krnąbrnych żon, zwłaszcza odkąd grupka młodych, przystojnych kawalerów, aspirujących do własnego haremu, zaczęła snuć się na obrzeżach rewiru. Czasami Bunty musiała stoczyć prawdziwą walkę, żeby się wymknąć. Pojawiała się na trawniku z ranami kłutymi na zadzie – nieomyślnym świadectwem gniewu Ojca Tryka. Bunty była jednak nie w ciemną bita i wkrótce obmyśliła sposób, jak go przechytryć. Czekwała z uciezką do chwili, kiedy pracownicy zaczęli ściągać na poranną zmianę, i rzuciła się pędem w stronę domu, ścigana w podskokach przez samca. Kiedy był już pewny, że ją dopadnie, skręcała raptownie i biegła wprost na najbliższego robotnika. Samiec bał się ludzi, więc uznawał porażkę i zostawiał Bunty w spokoju. Nie mógł się przecież oddalać od swoich żon – w przeciwnym razie dopuściły-

by do siebie któregoś z chętnych kawalerów.

I tak co rano – przynajmniej kiedy byliśmy w domu – Bunty wybiegała nam na powitanie przy wtórze porykiwań Ojca Tryka. Przerażliwe odgłosy, nazywane przez Angelę „rykami na popis”, towarzyszyły zaganianiu pozostałych żon i przypominały kręcącym się w pobliżu kawalerom, kto tu naprawdę rządzi – mimo utraty jednej samicy z harem. Ilekroć zdarzyło nam się wyjechać, Bunty nie miała odwagi uciec, pojawiała się jednak tuż po naszym przybyciu, kiedy zaczynaliśmy rozpakowywać bagaże. Zachodziliśmy w głowę, jakim cudem wyczuwa nasz powrót, robiła to jednak za każdym razem, co utwierdziło nas w przekonaniu, że Natura wyposażyła ją w zdolności telepatyczne. Więź łącząca mnie z Bunty przypominała niesłychanie bliską relację matki z dzieckiem. W drodze do domu zawsze myślałam o mojej impali i innych ogrodowych sierotach, mając nadzieję, że są całe i zdrowe. Później zaobserwowałam ten sam wzorzec zachowań u Bunty i jej potomstwa. Widocznie antylopy – i nie tylko one – umieją czytać w myślach i porozumiewają się skutecznie za pomocą telepatii, zwłaszcza w obrębie rodziny, którą łączą silne więzi emocjonalne. Przyjęłam bez oporu tę konkluzję; świat dzikiej przyrody wciąż kryje mnóstwo tajemnic, których człowiek nie jest w stanie pojąć.

Bunty była typową pupilką jednej pani. Lubiła Davida, choć dopiero w drugiej kolejności, uwielbiała przebywać w towarzystwie Jill i Angeli, ale tylko mnie obdarzyła miłością bezwarunkową. Za to, że zastąpiłam jej matkę, odpłaciła się wiernością i całkowitym oddaniem, które przetrwało próbę czasu i zdołało nawet stłumić zew własnego gatunku. Bunty szybko skojarzyła, że widok walizek i Davida w podróżnych spodniach oznacza przygotowania do kolejnego wyjazdu, zaczęła więc bóść mojego męża, wściekła, że zabiera mnie z domu. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu i ruszaliśmy w drogę, wracała do Ojca Tryka, żeby na pewien czas dołączyć do jego haremu. Przez kilka lat urodziła mu siedmioro potomstwa. W rodzinie panowała niepisana zasada, że imiona wszystkich dzieci Bunty muszą się zaczynać na literę „B” – z biegiem czasu dochowaliśmy się Blagiera, Bonnie (jedynej córki), Bullita, Bravo, Biskwita, Bimbo i Bandyty. Każde z młodych przychodziło na świat po sześciomiesięcznej ciąży, na skraju ogrodu, tuż przed południem, w najgorętszej porze dnia, kiedy drapieżniki były zwykle gnuśne i ospałe. Bezbronna w czasie porodu Bunty wybierała sobie miejsce, gdzie jej rudawa sierść zlewała się z czerwoną ziemią Tsavo, co zapewniało jej idealny kamuflaż – w przeciwieństwie do zielonego trawnika, na którym nadto rzucała się w oczy. Zawsze wiedziałam, kiedy nadszedł jej czas: dawała mi jednoznacznie do zrozumienia, że powinniśmy przenieść się gdzie indziej. Brałam więc książkę i składane krzeselko, szłam z nią w upatrzony wcześniej zakątek i czekałam spokojnie na koniec porodu. Kiedy byłam przy niej, mogła się rozluźnić, pewna, że ani jej, ani dziecku nie stanie się żadna krzywda.

Obecność przy narodzinach małych antylop traktowałam jako przywilej, a zarazem wspaniałą okazję do pogłębienia wiedzy. Bunty na przemian się kładła, podrywała, przechadzała w kółko, a nawet próbowała paść – aż do chwili, kiedy w kanale rodzym pojawiały się dwie pary czarnych raciczek, po kolejnym skurczu przednie kończyny, potem łeb

i barki i wreszcie cały mokry noworodek, który wypadł na ziemię z głośnym plaśnięciem i od razu kładł się w pozycji z nogami pod brzuchem. Zanim jeszcze doszło do zerwania pępowiny, Bunty wylizywała maleństwo do czysta. Pół godziny później noworodek stawał chwiejnie na rozkraczonych nóżkach i ruszał na poszukiwanie wymienia. Z każdą chwilą nabierał sił, w mig znajdował co trzeba i zabierał się rażno do ssania. Mniej więcej po godzinie Bunty wydalala łożysko i zaczynała je zjadać – tak długo się z tym certoląc, jakby stawało jej ością w gardle. Byłam nieodrodną córką farmera i wiedziałam, że musi to zrobić, żeby zatrzeć ślady porodu, które mogłyby ściągnąć niebezpieczeństwo na noworodka. Poza tym łożysko jest bogatym źródłem składników odżywczych. Instynkt jej podpowiadał, że trzeba się go pozbyć – w przeciwnym razie zapach przywabi rzeszę najrozmaitszych drapieżników.

Blagier ważył niespełna sześć kilogramów. Miałam ze sobą wagę kuchenną, której użyłam tuż po porodzie. Później już nie dotknęłam Blagiera – ani żadnego z następnych dzieci Bunty – nie chcąc go skazić ludzkim zapachem. Pod wieczór maluch był już wystarczająco silny, by matka mogła go zaprowadzić w kępę wysokiej trawy, tuż przy zagrodach podrośniętych sierot. Blagier zniknął w gęstwinie, tymczasem Bunty odwróciła się tyłem i najzwyczajniej odeszła. Pobiełam natychmiast do Davida, myśląc, że porzuciła noworodka. David zabronił mi ruszać Blagiera: „Nie wtrącaj się, Daph. Ona wie, co robi. Obserwuj i ucz się. Minie co najmniej dziesięć dni, nim Blagier nabierze dość sił, żeby pójść za stadem. Jeszcze nie ma własnego zapachu i oddzielenie go na noc od matki zwiększy mu szanse przeżycia. Nie zapominaj, że jest całkowicie zależny od Bunty, która będzie dużo bezpieczniejsza pod czujnym okiem i uchem nocnej trzódki Ojca Tryka”.

Mimo to zamartwiałam się całą noc i prawie nie zmrużyłam oka. O świcie zerwałam się z łóżka, wybiegłam na dwór i wpadłam prosto na Bunty, która wracała powoli, wyęzając wszystkie zmysły i zatrzymując się co kilka metrów, żeby dokładnie zbadać otoczenie. Kiedy podeszła do miejsca, w którym poprzedniego wieczoru zostawiła małego, przystanąła i kilkakrotnie go zawołała – cichutkim, ledwie słyszalnym głosem. Ku mojej bezbrzeżnej uldze wyskoczył z trawy i podbiegł do matki na pierwszy posiłek. Później poszedł z nią na trawnik, gdzie przywitały go wielce zaskoczone sierotki: samica elanda Baby i samiec kudu Jimmy. Bunty nie dopuściła Baby zbyt blisko, grożąc jej wymownie rogami, nie miała jednak nic przeciwko temu, żeby Jimmy ostrożnie obwąchał jej dziecko. Pobyt Blagiera w nocnej kryjówce trwał dziesięć dni – potem mały zaczął lizać ziemię, żeby uaktywnić swój naturalny zapach. Od tamtej pory, wyposażony w „paszport” właściwy dla swojego gatunku, towarzyszył matce na każdym kroku.

Ku naszemu zdziwieniu wszystkich sześciu synów Bunty utrzymało z nią kontakt przez całe życie, wracając co pewien czas do ogrodu. Wiedzieliśmy, kiedy się spodziewać ich wizyty: Bunty stała skupiona na skraju trawnika, czasem przez wiele godzin, czekając, aż pojawi się któreś z jej dzieci – co tylko utwierdziło nas w przekonaniu, że posługuje się telepatią. Jej trzeci syn odwiedził ją tuż po narodzinach piątego z kolei, Bimbo. Przywitał się z matką serdecznie, zainteresował nowym braciszkiem, po czym odszedł i pół godziny póź-

niej wrócił w towarzystwie Blagiera, którego nie widzieliśmy co najmniej od pół roku. Byłam zaskoczona wczesnym odłączeniem się Bimba od Bunty, kiedy jednak wkrótce przyszedł z bratem, nabrałam pewności, że antylopy – podobnie jak słonie – zachowują trwałe więzi rodzinne i przekazują sobie nawzajem ważne informacje.

Młodzi kawalerowie, w tym potomstwo Bunty, mogli nocą dołączać do stada Ojca Tryka – ze względów bezpieczeństwa. O świcie stawali się jednak konkurentami i stary byk przepędzał ich bezlitośnie do kawalerskiej poczekalni. Tylko Bonnie, córka Bunty, weszła na stałe do jego haremu i w przeciwieństwie do matki nie miała odwagi uciekać do ogrodu i narażać się na gniew swego pana i władcy. Kudu Jimmy utrzymywał bliskie stosunki ze wszystkimi synami Bunty, choć najbardziej zaprzyjaźnił się z Bimbem. Synowie pojawiali się czasem w towarzystwie dzikich kawalerów, z których większość ograniczała się do pojedynczych wypadów, na sam widok ludzi uciekając z powrotem do stada.

Jimmy był bardzo łagodnym kudu i okazywał serdeczność każdej sierocie ogrodowej, bez względu na gatunek. Kiedy jednak Blagier dorósł i dostał potężnych rogów, zaczął grozić Jimmy'emu, szturchając go przy każdej nadarzającej się okazji. Na jego nieszczęście Jimmy nie potrafił zapominać ani wybaczać. Rogi rosły mu wolniej, ale gdy osiągnęły już wystarczającą długość i samiec poczuł się pewniej, postanowił wyrównać rachunki. Pewnego dnia wyzwiał Blagiera na regularny pojedynek w ogrodzie. Wystraszyłam się nie na żarty, bo poszło naprawdę „na noże” i wyglądało, że zrobią sobie nawzajem krzywdę. David zabronił mi się wtrącać, uznawszy to za zbyt niebezpieczne. Pozostało mi tylko wstrzymać oddech i czekać. Ku mojej bezbrzeżnej uldze Blagier zdołał w porę uciec przed Jimmym z ogrodu. Zwycięzca nie wpuścił go więcej na trawnik, skazując na los wiecznego wyrzutka, mimo że pozostałych pięciu synów Bunty wciąż przyjmował serdecznie i traktował po przyjacielsku. Antylopy – podobnie jak słonie i niektórzy ludzie – bywają bardzo pamiętliwe.

Baby, samica elanda, była niekwestionowaną faworytą Angeli, która lubiła bawić się z nią w rzutki samochodzikami albo urządzać wyścigi wokół siedziby parku, pedałując na rowerze obok biegnącej długimi susami ulubienicy. Elandy, największe z żyjących współcześnie antylop, osiągają rozmiary krowy i są niewiarygodnie skoczne, bez trudu pokonują przeszkody wysokości blisko dwóch i pół metra. Podczas codziennych popołudniowych spacerów towarzyszył nam cały orszak zwierzaków. Angela ściagała się rowerem z rozbrykanym stadem ogrodowych sierot, Bunty wraz z synami, którzy wpadli akurat w odwiedzinę, truchtała leniwie obok mnie i Davida. Wszyscy uwielbialiśmy te wycieczki. Odrywaliśmy się od zajęć zawsze o tej samej godzinie, kiedy sierotki zbierały się na schodach frontowych domu albo przed biurem dołączały do nas z dziećmi. Spędzaliśmy czas w niezwykłej atmosferze miłości i akceptacji przez zróżnicowanych przedstawicieli królestwa zwierząt. Dla naszych dzieci było to niemal magiczne doświadczenie.

Na początku lat siedemdziesiątych park całkiem zmienił oblicze. W 1949 roku David

miał do dyspozycji tylko jedną ciężarówkę i sześciu pracowników, którzy pomogli mu przekształcić prawie trzynaście tysięcy kilometrów kwadratowych dziewiczego obszaru Tsavo East w atrakcję ściągającą turystów z najdalszych zakątków świata i przynoszącą realne dochody państwu. Na zboczach wzgórza Worsessa, tuż przy siedzibie władz parku, stała piękna wioska safari na dwieście miejsc noclegowych. Roztaczały się z niej zapierające dech w piersi widoki na dzikie tereny Tsavo: rozległą połąć równiny, ciemnoniebieskie masywy gór Ndara i Sagalla po lewej stronie oraz rysujące się na północy wąskie pasmo płaskowyżu Yatta. Z okna chatki można było podziwiać wyniosłe akacje i wianowłostki nad brzegiem odległych strumieni, surową urodę splątanych zarośli balsamowca, ceglasczerwone termitiery, stada dzikich słoni, zebra i bawołów, niewielkie trzódki antylopy, przydymiony błękit i fiolet na styku nieba z horyzontem. Ołowiane chmury sunące nad szafanowożółtą sawanną przynosiły czasem obietnicę deszczu. Turyści zatrzymujący się w Voi Safari Lodge mogli też liczyć na dramatyczny spektakl z udziałem lwów, czatujących na samotne zwierzęta przy miejscowym wodopoju.

Mieliśmy już w parku ponad trzysta kilometrów całorocznych dróg, dwanaście pasów startowych, dodatkowe pomieszczenia dla personelu i zespołów badawczych, pięć bram wjazdowych na obrzeżach terenu, nowe biura, pole namiotowe z łazienkami i prysznicami, stylowe kamienne drogowskazy na wszystkich skrzyżowaniach (odporne na zniszczenie przez słonie), studnie głębinowe, zapory, mosty i oczywiście zbudowaną w pocie czoła groblę, zapewniającą przejazd na północ. Rozbudowana sieć radiowa obejmowała wszystkie bramy i posterunki straży i umożliwiała łączność ze wszystkimi patrolami tropiącymi kłusowników. W każdym sektorze stacjonował polowy warsztat naprawczy wyposażony w beczkowóz, dzięki czemu strażnicy mogli przebywać po kilka tygodni w terenie pozbawionym wody. Tabor transportowy miał na stanie kilkanaście ciężkich spychaczy, dwadzieścia dwa samochody terenowe i ciężarowe, dwadzieścia pięć silników stałych, generatory, pompy, przyczepy i inne rodzaje sprzętu, między innymi tokarkę i wielką prasę hydrauliczną, której używaliśmy także do wyciskania soku z ostrych papryczek chili – ulubionej przyprawy Davida.

Teraz czekała nas pilna modernizacja całego kompleksu biurowego i rozbudowa obłożonych pracą warsztatów. Stare kancelarie i magazyny dosłownie pękały w szwach. Odzyskane ciosy i rogi nosorożców przestały się mieścić w składnicy, odkąd prezydent podpisał ustawę zakazującą sprzedaży trofeów na aukcji w Mombasie. Nowy akt prawny spadł na nas jak grom z jasnego nieba i poważnie nadszarpnął nasz budżet roboczy. Kiedy David wystąpił o brakujące fundusze, dział księgowości Zarządu Parków Narodowych w Nairobi wysupłał śmieszoną kwotę siedmiuset funtów, która nie wystarczałaby na budowę skromnego biura, nie wspominając już o realizacji naszych planów.

Część prężnie działających parków zaczęła tworzyć sieć nowych jednostek, zagarniając obszary zaniedbanych wiosek w sercu dzikiego pustkowia. David nie zamierzał wprowadzić tego modelu w Tsavo East i mimo braku funduszy uparcie bronił swojej wizji rozwoju. Pomoc nadeszła z niespodziewanej strony – od zarządu kolei, która do tej pory była nam

solą w oku, ponosząc odpowiedzialność za większość katastrofalnych pożarów, pustoszących stworzoną przez słońce sawannę. Co rok w porze suchej iskra z kotłów parowych zaprószała ogień, który rozprzestrzeniał się z silnym wiatrem z południowego wschodu, niszcząc olbrzymie połacie parku. Być może pod wpływem wyrzutów sumienia kolej oddała Davidowi do dyspozycji nieużywany zajazd dworcowy – pod warunkiem, że podejmie się jego rozbiórki i usunie go z terenu stacji.

Bungalow służył niegdyś jako miejsce odpoczynku dla pasażerów. Pochodził z przełomu wieków XIX i XX, kiedy w składach pociągów nie było jeszcze wagonów restauracyjnych. Wzdłuż linii kolejowych stało kiedyś wiele takich budynków, które po unowocześnieniu taboru zaczęły stopniowo wychodzić z użycia. David był w siódmym niebie: bungalow miał solidną konstrukcję, około dziesięciu przestronnych pomieszczeń oraz duży spadzisty dach, pokryty blachą i wsparty na stalowych dźwigarach. Sprowadzone z Indii drzwi – wykonane z drewna różanego i tekowego – pomalowano, niestety, lśniąca białą farbą. Zajazdy dworcowe były ważnym miejscem spotkań pierwszych osadników, moich przodków nie wyłączając. Nasłuchiwałam się licznych opowieści o doskonałych jajkach na bekonie i różnorodności napojów alkoholowych, serwowanych przez goańskich kelnerów w śnieżnobiałych, wykrochmalonych strojach.

Gruz z rozbiórki ścian zajazdu wykorzystaliśmy do budowy murów nowego kompleksu biurowego, wykończonych później piękną okładziną z miejscowej odmiany kwarcu. Konstrukcja dachu spoczęła na tych samych stalowych dźwigarach, w futrynach osadzono malowane drzwi z drewna różanego i tekowego. David wygospodarował w budynku obszerne pomieszczenia dla siebie i swojego asystenta, dużą salę konferencyjną i centrum dowodzenia, biuro księgowo, stanowisko dla radiooperatora, odpowiednio zabezpieczony magazyn broni, toalety z bieżącą wodą i stróżówkę wyposażoną w system alarmowy. Przed budynkiem zasadził baobab, który stał się symbolem kolejnego ważnego etapu w rozwoju naszej placówki. Po zakończeniu budowy wciągnął na maszt flagę parków narodowych – z nosorożcem w zielonym polu – oraz flagę państwową niepodległej Kenii. Byłam szczęśliwa, że budynek z tak bogatą historią, odnoszącą się także do mojej rodziny, przeistoczył się w siedzibę władz Tsavo East.

Uratowany przed zagładą zajazd dworcowy zyskał nową funkcję. David zaspokoił mój kaprys i wbudował wielkie akwarium w ścianę nad swoim biurkiem. Obserwowanie rybek zapewniało nam chwile wytchnienia od trosk związanych z nieuchronnym połączeniem parków narodowych i Departamentu Myślistwa w Wydział Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, który miał przejąć odpowiedzialność za przyrodę w całym kraju, nie tylko na obszarach chronionych. Martwiliśmy się o los dzikich zwierząt, gdyż funkcjonowanie obydwu struktur opierało się dotąd na odmiennych zasadach. Dyrektorzy parków narodowych cieszyli się względną autonomią, umożliwiającą im szybką, skuteczną interwencję w sytuacjach kryzysowych oraz świadczenie usług publicznych niezależnie od organów administracji rządowej, które realizowały niezbędne inwestycje na mocy uciążliwych i czasochłonnych przetargów, ustawianych często przez nieuczciwych, skorumpowanych urzędni-

ków. Przyjmowanie łapówek w zamian za kontrakty dla pozbawionych skrupułów przedsiębiorców stało się tajemnicą poliszynela.

Obawialiśmy się też nawrotu kłusownictwa wśród ludu Wakamba i żądnych zysku plemion nadmorskich. Nagły wzrost notowań kości słoniowej na rynkach światowych dał kłusownikom nadzieję znacznie wyższych zarobków – cena za kilogram ciosów skoczyła z czterech do stu czterdziestu szylingów kenijskich. Nie trzeba było długo czekać, aż wszyscy w miarę sprawni Mkamba, uzbrojeni w łuki, strzały i groty nasączone śmiertelnością trucizną z akokantery, rozpoczną od nowa rzeź słoni. Odkąd prezydent ogłosił dekret o zakazie polowań, odległe kwatery myśliwskie stały się przyczółkiem wszelkich nadużyć. W najpoważniejszy konflikt z prawem wchodził skorumpowani tropiciele zwierzyny i wysoko postawieni funkcjonariusze administracji rządowej, zaangażowani w nielegalny handel kością słoniową. Kiedy liczba słoni poza granicami parku gwałtownie spadła, a niedobitki zaczęły szukać schronienia w samym Tsavo, w ślad za nimi pojawili się kłusownicy.

Powstał również problem zanieczyszczenia środowiska, między innymi przez osady powodziowe z rzeki Voi, naruszające równowagę ekologiczną Kanderi, jednego z najpiękniejszych naturalnych wodopojów w parku. Po ogłoszeniu niepodległości zawieszono ustawy o zakazie upraw wzdłuż rzek, co w połączeniu z niskim poziomem rolnictwa w lesistym regionie wzgórz Taita prowadziło do spłukiwania wierzchniej warstwy gleby w porze ulewnych deszczów, kiedy Voi okresowo występowała z brzegów. Malowniczy wodopój był kiedyś istnym rajem ptactwa wodnego. W szklanej tafli wody, otoczonej bujną roślinnością, przeglądały się bliźniacze masywy gór Ndara i Sagalla. Ibisy czczone i czaple białe obsiadały szkielety podtopionych drzew pośrodku sadzawki, dzikie kaczki, gęsiówki egipskie, bociany, wężówki i żurawie gromadziły się na mieliźnie, korzystając z obfitości tutejszych żab i ryb. Postępujące zamulenie zbiornika spowodowało zmianę biegu rzeki. Wodopój Kanderi przeistoczył się w zdradliwe trzęsawisko. Spieczona słońcem powłoka na powierzchni wody dawała złudzenie stabilności gruntu, pod spodem jednak czaiło się grząskie bagno – śmiertelna pułapka dla słoni i innych dużych roślinożerców.

Choć słonie zazwyczaj unikały poruszania się w niepewnym terenie, przy wodopoju Kanderi zdarzało im się stracić czujność. Ilekroć krucha powłoka załamywała się pod ich ciężarem, grzęzły w lepkim błocie, z którego wystawały im tylko głowy i czubki grzbietów. Kilka słoni utonęło, zanim nadeszła pomoc – z drogi trudno je było wypatrzyć. Zaczęliśmy pilnie obserwować trzęsawisko, dzięki czemu uratowaliśmy co najmniej tuzin pechowców, wyciągniętych z błota buldożerem marki Michigan.

Słonie wiedziały, że chcemy im pomóc – nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Leżały spokojnie, czekając, aż David umocuje pod nimi stalową linę, która pozwoli je odholować na pewniejszy grunt. Niektóre szamotały się w bagnie przez wiele godzin i były tak wyczerpane, że nie mogły same stanąć na nogi. Podniesienie się z pozycji leżącej wymaga od słonia sporo wysiłku: zwierzę musi najpierw zarzucić łbem, żeby wyprostować przednie kończyny. Czasem i na to nie potrafiło się zdobyć. Obniżaliśmy wtedy łyżkę spychacza, podkopywaliśmy się pod spód słonia i spiętrzaliśmy mu ziemię pod nogami, żeby

się zdołał poderwać. Nigdy się nie zdarzyło, by słoń próbował atakować buldożer lub zgromadzonych wokół ludzi. Po prostu odchodził, w pełni świadomy, że zawdzięcza życie istotom, które na co dzień uważał za swoich wrogów.

Pewne słońiętko nie doceniło naszych wysiłków, by wydobyć z bagna jego matkę i starszego brata. Utrudniało nam akcję ratunkową, szarżując bez pardonu na wszystkich – w od ruchu obrony własnej rodziny. Żeby zapobiec tragedii, musiałam je wywieźć na bezpieczną odległość landcruiserem. Na widok szczęśliwego połączenia trojga słońi zrobiło mi się jednak ciepło na sercu. Maluch nie okazywał nam już wtedy agresji.

W 1973 roku, podczas krótkiego safari nad rzekę Tiva w północnej części parku, David musiał zastrzelić dwa słońie, konające w męczarniach po trafieniu zatrutymi strzałami. Piękny młody samiec miał dwie rany na zadzie, a wspaniałą starą słońicę z trojgiem młodych dosięgły dwa grot: jeden utkwił w stawie biodrowym, drugi u nasady trąby. Musiała bardzo cierpieć. Poruszała się z trudem, nieustannie omiatając zad ogonem. David skrócił jej agonię strzałem w głowę. Rozpacz jej potomstwa poruszyła mnie do głębi. Słońiętka zebrały się nad ciałem matki, nadaremnie próbując dźwignąć ją z ziemi i przywrócić do życia. Nie mogłam powstrzymać łez na myśl, że przez kilka dni będą pełnić samotną wartę nad jej zwłokami – aż najstarsze słońiętko przejmie odpowiedzialność za resztę rodzeństwa i poprowadzi je przez sawannę w poszukiwaniu wody i pożywienia. W drodze powrotnej wypatrzyliśmy jeszcze jedną raną samicę, z otwartym ropniem w brzuchu, z którego wylewały się wnętrzności. Tym razem nie mogliśmy nic zrobić: była w stadzie dzikich słońi, które postanowiły za wszelką cenę jej bronić.

Nikt już nie miał wątpliwości, że kłusownictwo w parku pleni się na ogromną skalę. Przerazone słońie łączyły się w coraz większe stada. Północne patrole Oddziału Polowego donosiły o gęstej siatce ścieżek wydeptanych przez kłusowników i o przyłapaniu kilku gangów na gorącym uczynku. Niemal codziennie dochodziło do starć między nielegalnymi myśliwymi a strażnikami. Musieliśmy też załatwić sprawę we własnym gronie – po incydencie, którego sprawcą był zaufany i długoletni podkomendny Davida wraz z kilkoma członkami dawnego Oddziału Polowego. Miejscowe organy sądowe wydawały śmiesznie łagodne wyroki. Pewien kłusownik recydywista, aresztowany już sześciokrotnie, dostał grzywnę w wysokości stu szylingów kenijskich, co stanowi równowartość trzech funtów. Zdesperowany David poleciał do Nairobi, żeby odwołać się do Prokuratora Generalnego, co zaowocowało przeniesieniem spraw o kłusownictwo pod jurysdykcję Sądu Magistrackiego Pierwszej Kategorii w Mombasie, gdzie można się było spodziewać wyższych wyroków. Niestety, rozwiązanie okazało się dość kłopotliwe: Mombasa leży w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów od Voi.

We wrześniu 1973 roku ceny kości słońiowej na rynkach światowych znów poszły w górę. Oficjalne dane Departamentu Celnego za pierwszy kwartał okazały się bardzo wymowne: wartość kenijskiego eksportu kości wzrosła do dwóch milionów dwustu tysięcy dolarów z dwustu osiemdziesięciu pięciu tysięcy w analogicznym okresie roku poprzedniego. Zaledwie dwa miesiące później, w maju, skoczyła do pięciu milionów dolarów.

W roku 1972 populację słońi w Kenii szacowano na około pół miliona sztuk; w 1973 jej liczebność spadła do trzystu tysięcy. Mimo że w marcu 1974 zamknięto wszystkie salony sprzedaży w Mombasie i wprowadzono zakaz handlu kością słoniową oraz rogami nosorożców, dzień po wejściu ustawy w życie wyekspediowano do Chin aż dziewięć ton surowca. Kolejne transporty były jeszcze większe, przekraczały nawet ilość towaru składowanego legalnie w magazynach, z przeznaczeniem na sprzedaż aukcyjną. Czarny rynek kości słoniowej i rogów nosorożca miał się doskonale.

David nie ugiął się przed plagą korupcji i wdrożył operację Mshale – co w języku suahili oznacza strzałę. Nasi rekruci, ulokowani na szczycie płaskowyżu Yatta, otrzymywali wskazówki przez radio z bazy przy Wodospadach Lugarda. Prokurator Generalny oddelegował sędziego do rozstrzygania spraw na miejscu. Nowi strażnicy byli rzutcy, dobrze wyposażeni i świetnie zorientowani w terenie. Kłusownicy próbowali zmylić tropy i przechytryć naszych ludzi, poruszając się wzdłuż rozpadlin i zwracając po własnych śladach – czasem chodzili na palcach lub piętach, imitując odciski racic i kopyt, albo wkładali sandały tył na przód. Żadna z tych sztuczek nie wywiodła w pole doświadczonych tropicieli z plemienia Shangilla, którzy potrafili rzucić się biegiem po śladach, porozumiewając się między sobą za pomocą specjalnych sygnałów, przypominających ujadanie psa.

David utrzymywał stały kontakt z patrolami z pokładu Tango Papa. Na wieść, że strażnicy wkraczają do akcji, zataczał krąg tuż nad ziemią, zmuszając kłusowników do szukania kryjówek. Dzięki temu patrol mógł ich dogonić, osaczyć i pojmać. Przez dwa tygodnie aresztowano mniej więcej stu dwudziestu pięciu przestępców. Po przedstawieniu zarzutów sędzia ogłaszał wyrok – zgodnie z instrukcją Prokuratora Generalnego znacznie surowszy niż w przypadku spraw rozpatrywanych przez sąd okręgowy. David szacował, że na każde zwierzę zidentyfikowane jako łup kłusownika przypadało pięć innych, nieodnalezionych ofiar. Jak wynikało z tych niepokojących wyliczeń, tylko w pierwszej połowie 1973 roku park stracił co najmniej tysiąc czterdzieści słońi.

Nasze magazyny dosłownie pękały w szwach, zapakowane po sufit ciosami, rogami nosorożców, skórami lampartów, łukami i strzałami. Specjalny wysłannik Departamentu Myślistwa zaczął okazywać podejrzaną zainteresowanie ilością składowanego przez nas towaru. David odparł, że nie może udzielać żadnych informacji bez pozwolenia Rady Powierniczej, która sprawiała wrażenie, jakby znalazła się w stanie zawieszenia przed oczekiwaniem wejściem w życie ustawy o połączeniu struktur. Ni stąd, ni zowąd przyszła instrukcja z departamentu, żeby przekazać wszystkie odzyskane trofea do Mombasy – mimo decyzji o zamknięciu salonów sprzedaży kości słoniowej. Poświęciliśmy dwie doby na opróżnienie magazynów z ciosów i rogów, porównanie każdego przedmiotu z numerem oraz wagą w rejestrze i załadowanie wszystkiego na ciężarówkę. Wysłaliśmy do Mombasy trzy tysiące siedemset dziesięć ciosów, ważących ogółem trzydzieści jeden tysięcy dwieście trzy kilogramy, oraz dziewięćset pięćdziesiąt rogów nosorożców o łącznej wadze tysiąc pięciuset sześćdziesięciu czterech kilogramów. Konwój składał się z ośmiu samochodów ciężarowych.

Na czele kolumny pojechał David, utrzymując łączność radiową z ośmioma ciężarówkami, które miały na stanie po dwóch uzbrojonych strażników. Dowódca Oddziału Polowego, także pod bronią, zamykał konwój w oddzielnym samochodzie. Był to w gruncie rzeczy przeraźliwie smutny kondukt pogrzebowy ze szczątkami przeszło tysiąca słoni i czterystu nosorożców. Pracownik obsługi w Mombasie nie krył szoku, nie miał wcześniej do czynienia z tak dużym transportem i musiał wygospodarować dodatkową przestrzeń magazynową. David wrócił do domu w ponurym nastroju, pocałował mnie na powitanie i oświadczył, że musimy się jakoś pozbierać i choć na chwilę wyrwać z tego „domu wariatów”.

Mój mąż nie miał zwyczaju uzewnętrzniania swoich emocji, domyśliłam się jednak, że mówi poważnie. Spakowałam rzeczy na kilkudniowy wyjazd i wybraliśmy się w nasz ulubiony zakątek – do czatowni Ntharakana na zboczu Yatta, skąd rozpościerał się widok na dolinę rzeki Tiva i prawie osiem tysięcy kilometrów kwadratowych otwartej przestrzeni. Tam właśnie postanowiliśmy ukoić nasze zatroskane serca, podreperować zdrowie i podnieść się na duchu – w magicznym miejscu, którego urok przejmuje do głębi, budząc podświadome skojarzenia z pierwotną siedzibą rodzaju ludzkiego. Naturalny wodospad, przelewający się przez krawędź urwiska, cieszył ucho łagodnym pluskiem wody – jakże upragnionej w tej suchej, upalnej krainie. Wyrastające ze szczelin kępy adenium o różowych, czerwonych i amarantowych kwiatach wносиły odrobinę surreального piękna w ten jałowy pejzaż. Chmara najrozmaitszych stworzeń ciągnęła nieprzerwanie do sadzawki pod wodospadem. Zwierzęta płochliwe w dzień, nabierały pewności siebie pod osłoną nocy. Wystarczyło oddać się spokojnej kontemplacji przyrody, żeby docenić jej samoistną urodę i uzmysłwić sobie konieczność utrzymania jej zasobów w nienaruszonym stanie.

Niestety, marzenia prysły jak bańka mydlana. Przy wodospadzie pojawił się wspaniały samiec słonia o długich, potężnych ciosach. Musiał cierpieć katusze, przystawał niemal co krok, żeby obmacać trąbą straszliwe rany. Czuliśmy jego męki na własnej skórze, jakby śmiertelna trucizna krążyła też w naszych żyłach. Nie było dla niego żadnej nadziei. Kiedy nasycił pragnienie, David ruszył w ślad za nim, zachowując bezpieczną odległość, żeby nie przysporzyć zwierzęciu dodatkowego stresu. Zakończył jego cierpienia pod rozłożystym baobabem. Kiedy słoń upadł, ziemia aż się zatrzęsa. Zanim David zamknął mu powieki, smutne brązowe oczy po raz ostatni spojrzały w niebo przez gałęzie wielkiego drzewa.

Po śmierci potężnego samca zapłakaliśmy nad losem wszystkich zwierząt afrykańskich i zagładą dzikiej przyrody, która przez tyle lat dawała im opiekę i schronienie. Jego dramat był dla nas symbolem niepewnej przyszłości całego środowiska naturalnego – na kontynencie, gdzie bieda rodziła korupcję, a ludzka chciwość zwiększała zapotrzebowanie na cenny surowiec i nakręcała spiralę zabijania. Ogrom i majestat samca wzbudzały tym większe poczucie tragedii: trudno sobie wyobrazić coś bardziej martwego niż pięciotonowy słoń, który powinien był dożyć sędziwego ludzkiego wieku, zmarł jednak przedwcześnie, bo jakiś bezmyślny przedstawiciel świata Zachodu zamarzył o cacku z kości słoniowej. Jego piękne ciosy przyniosłyby fortunę każdemu łowcy trofeów, ale dla słonia stanowiły przede wszystkim atrybut rangi i majestatu, symbol przynależności do elity swojej społeczności,

znak rozpoznawczy dominanta i rozplodnika, wzbudzający respekt wśród pobratymców. Wiedzieliśmy, że odbiorcami najwspanialszych ciosów byli skorumpowani, pozbawieni wszelkich skrupułów ludzie „na stanowiskach”, których zachłanność powodowała coraz większy chaos w przyrodzie i niszczyła jej bezcenne zasoby.

Wracaliśmy do domu załamani, ale udało nam się otrząsnąć na postoju, dzięki obserwacji golców, zajętych przesuwaniem urobku z nowego korytarza i wyrzucaniem rozkopanej ziemi na powierzchnię. Nigdy przedtem nie oglądałam tych zwierząt z bliska, więc David wyjął jednego z jamy, żebym mogła lepiej mu się przyjrzeć. Nie był szczególnie piękny – miał miękką różową skórę, z której wyrastały pojedyncze włosy, i słabo rozwinięte oczy, czułe wyłącznie na natężenie światła, pomagające ocenić głębokość tuneli w podziemnym królestwie. Z maleńkiego wąsatego pyszczka wystawały dwa potężne siekacze, które wraz z wyposażonymi w mocne pazury łapami służyły do kopania korytarzy w twardym, spieczonym gruncie. Wkrótce go wypuściliśmy, wiedząc, że intensywne promienie słoneczne mogą uszkodzić jego delikatną skórę. Błyskawicznie zniknął w tunelu, który przed chwilą sam oczyścił z ziemi.

Golce prowadzą podziemny tryb życia i łączą się w kolonie, podobnie jak termyty, pszczoły i osy. Poruszają się w skomplikowanym systemie podziemnych korytarzy w poszukiwaniu smakowitych korzeni i bulw. Kiedy staliśmy przy drodze, wpatrując się w kopczyki świeżo wykopanej ziemi, spytałam Davida, co wie na temat tych dziwnych szczuropolodnych stworzeń. Zawsze mnie zadziwiał swoją erudycją i znajomością biologii wszystkich zwierząt w Tsavo. Wyjaśnił, że golce żyją w społeczności podzielonej na ściśle określone kasty robotników i żołnierzy, jałowych samic i podległych samców, rządzonych twardą ręką przez dominującą królową, która brutalnie popycha swoich poddanych, żeby zmusić ich do większego wysiłku i zapewnić idealne funkcjonowanie kolonii. Szturcha robotników, żeby szybciej drążyli korytarze, zastrasza inne samice, powstrzymując je od rozmnażania, i znęca się nad członkami męskiego haremu, żeby utrzymać swój najwyższy status w kolonii. Nieustannie przypomina podwładnym, że są jedynie „popychadłami”, sama zaś wydaje na świat kolejne pokolenia golców. Z samic tylko ona rodzi młode i karmi je podobnie jak inne ssaki. Uprzywilejowany ojciec jej dzieci znosi mniejsze szykany niż pozostałe samce, których syzyfowa praca polega na oczyszczaniu podziemnych korytarzy i drążeniu nowych tuneli. Robotnicy ustawiają się jeden za drugim i łapami przesuwają urobek do tyłu – ostatnie zwierzę wyrzuca ziemię na powierzchnię tylnymi nogami. Golce żyją na pustynnych obszarach Kenii, Somalii i Etiopii. Przez długi czas były zagadką dla wszystkich z wyjątkiem najdociekliwszych badaczy. Obserwując ich zachowania tuż po śmierci ранego słonia, po raz kolejny zdałam sobie sprawę, ile tajemnic kryje przed nami przyroda. Zawsze jest na co patrzeć i czemu się dziwić. Natura jest istną skarbnicą żywych objawień.

Tamtego roku odszedł jeszcze jeden wielki słoń – legendarny Ahamed, władca góry Marsabit na północy Kenii. W przeciwieństwie do samca spod czatowni Ntharakana, Ahamed zmarł z niedożywienia. Jego szósty i ostatni w życiu garnitur potężnych zębów zużył

się do tego stopnia, że nie mógł już rozcierać i rozdrabniać pokarmu niezbędnego do utrzymania przy życiu tak rosłego zwierzęcia. Ahamed słynął ze wspaniałych, idealnie symetrycznych ciosów, które wystawiły go na cel łowców trofeów z całego świata. W swoim czasie było głośno o dwóch amerykańskich myśliwych, którzy niemal zdołali go dopaść. Ich wyczyn spotkał się jednak z ostrym sprzeciwem mediów, co w połączeniu z ogromną popularnością Ahameda, który ściągał do Parku Marsabit całe rzesze turystów, skłoniło prezydenta Kenyattę do zapewnienia zwierzęciu specjalnej ochrony. Wyznaczył w tym celu pięciu strażników, którzy pełnili przy nim wartę. Kiedy sędziwy słoń zmarł nad jeziorem Paradise, prezydent uznał, że jego ciało należy zachować dla potomności. Każdy z ciosów Ahameda ważył ponad sześćdziesiąt kilogramów, największe wrażenie robiła jednak ich długość: dwa metry dziewięćdziesiąt centymetrów i trzy metry. Ciosy były ubezpieczone na kwotę dwudziestu tysięcy funtów kenijskich i po śmierci samca spoczęły ponoć w skarbcu jednego z tutejszych banków. Naturalnej wielkości podobizna Ahameda stoi do dziś na dziedzińcu Muzeum Narodowego w Nairobi – jako trwałe pomniki pamięci słoniowego olbrzyma.

Mimo że Marsabit leżał daleko od naszego sierocińca w Voi, to właśnie jedno z potomstwa Ahameda odkryło przede mną tajemnicę, której tak długo nie mogłam rozwikłać.

13. ZAMĘT

Wielkość narodu i jego poziom moralny można ocenić po tym, jak traktuje zwierzęta. [...] Im bardziej stworzenie jest bezbronne, tym większej wymaga ochrony przed okrucieństwem człowieka.

Mahatma Gandhi

Była najmniejszym słońką, jakie widziałam – wciąż pokryta niemowlęcym meszkiem, z maleńką, jeszcze różową trąbą i bladożółtymi kopytkami. Serce mi się krajało. Przyjechała z dalekiego Marsabitu. Wpadła do nieużywanej studni i trafiła do nas, bo wszyscy myśleli, że wiemy, co zrobić, żeby utrzymać ją przy życiu. Pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam: nieprawda, nie mamy pojęcia, ona jest za mała. Zajrzeliśmy jej pod spód ucha, miękkiego i różowego jak płatek kwiatu. Słoniczka miała niespełna trzy tygodnie. Była zdecydowanie zbyt młoda, żeby oddać ją pod opiekę Eleanor. Musiała być karmiona mlekiem. Pogłaskałam ją po łebku – nigdy przedtem nie udało nam się odchowić takiego maleństwa. Dojmujące poczucie klęski pogłębiało się po śmierci każdej kolejnej sieroty. David powtarzał, że lepiej nawet nie próbować i przyjąć do wiadomości, że uratowanie słońka w pełni zależnego od mleka matki jest po prostu niemożliwe. Nie potrafiłam się z tym pogodzić, usiąść z założonymi rękami i skazać słoniczki na śmierć. Naturalną miarą słoniowych lat jest siedemdziesiąt, jak w Księdze Psalmów. Nie wolno nam się poddać z obawy przed porażką. Wiedziałam, że muszę zacisnąć zęby i wytrwać.

Ogrodowe sieroty otoczyły nas kołem. Pojawienie się nowego przybysza zawsze wywoływało poruszenie: Bunty i odwiedzający ją synowie okazywali jawną dezaprobatę; Baby i Jimmy – zaciekawienie; nasze wścibskie pawie i perlice wyciągały szyje i gdakały podniecone. Wzięłam głęboki oddech. Zdałam sobie sprawę, jak wiele pracy mnie czeka – musiałam karmić słonickę co trzy godziny przez całą dobę, nie odstępować jej ani na krok i próbować ją podnieść na duchu. Dużo trudniej było pogodzić się z myślą, że i tak nic nie wskóram, że będę obserwować, jak z dnia na dzień gaśnie, i w końcu pochowam ją na naszym cmentarzu przy stawie obrośniętym liliami wodnymi. Przywołałam się do porządku – tylko metodą prób i błędów uda się kiedyś dobrać właściwą mieszankę. Prowadząc do stajni słonickę, za którą ciągnął się orszak pierzastych i sierściastych gapiów, przygotowałam się psychicznie na trzy ciężkie tygodnie.

Karmienie słonia jest w najlepszym razie niełatwe. Trzeba przygotować nie kilka, lecz kilkanaście litrów mieszanki, po czym przelać ją do butelki dostosowanej do rozmiarów słonia i z odpowiednio większym smoczkiem. Oboje z Davidem przestudiowaliśmy gruby plik „sierocej” dokumentacji, pełnej najrozmaitszych pomysłów na substytut słoniowego mleka. Według naszej wiedzy nikt nie zdołał odchowić świeżo narodzonego słońka, które przyjmowało jedynie pokarm matki. Przyczyną była nietolerancja tłuszczu zawartego

w mleku krowim. Tamtego wieczoru podaliśmy małej tylko wodę z glukozą. Poszliśmy spać sfrustrowani, wciąż nie mając pojęcia, co dalej robić.

Żałosne popiskiwanie ze żłobka dochodziły nas przez całą noc. W końcu uległam i nakarmiłam słończkę mocno rozcieńczonym krowim mlekiem – mimo że nazajutrz obawiałam się najgorszego. Kolejne tygodnie okazały się prawdziwym koszmarem: wypróbowałam najróżniejsze mikstury, mieszałam mleko w rozmaitych proporcjach, myłam i sterylizowałam butelki, co rusz zmieniając koncepcję. Słończka ginęła w oczach i wkrótce była tak wycieńczona, że zaczęła przypominać obciążony skórą szkielet. Zapadnięte oczy, wystające kości policzkowe i postępujące osłabienie zwiastowały rychły koniec. Rozpaczliwie walczyłam o życie dzielnego maleństwa, które zdążyłam pokochać z całego serca. Słoniątka – czasem łagodne i posłuszne, czasem kapryśne jak dzieci – potrafią zawojować człowieka bez reszty. Są niesłychanie inteligentne i związane z opiekunem. Choć okres „niemowlęcy” trwa u słońi dwukrotnie dłużej niż u ludzi, na etapie noworodkowym są znacznie bardziej od nas rozwinięte, a w czasie dzieciństwa i dojrzewania zachowują się dużo mądrzej i odpowiedzialnej niż ich ludzkie odpowiedniki.

Z rozmysłem nie nadawaliśmy imion przybywającym do nas osieroconym słoniątkom, świadomi, że i tak większość z nich umrze. Tym razem miałam przecucie, że maleńka jest bezpośrednią potomkinią, być może nawet córką Ahameda, więc nazwaliśmy ją z arabska Aishą. Kilka tygodni później, podczas jednego z naszych popołudniowych spacerów w towarzystwie ogrodowych sierot, spotkałyśmy z Angielą grupę niemieckich turystów. Aisha była wyraźnie zaniepokojona – rozpostarła miękkie, różowe uszy niczym dwa okrągłe talerze i urządziła pozorowaną szarżę. Spróbowała nawet zatrzeć, co skończyło się słabym kwiknięciem, które tak ją zaskoczyło, że zaczęła się cofać z podniesionym łebkiem, wpatrując się w czubek swej trąby. „Schmetterling, Schmetterling” – roześmiali się turyści. „Co to znaczy?” – spytała Angela. „Chyba słoń” – odparłam niepewnie. Niemcy zaprotestowali: „Nie, nie, Fräulein. To snaczyć motyl”. Trafili w sedno: stojąca z rozpostartymi uszami słończka rzeczywiście przypominała motyla. Aisha zyskała czułe przydomki Shmetty.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Shmetty tak osłabła, że nie mogła sama stanąć na nogi. Przykucnęłam i wzięłam jej łeb na kolana. Łzy pociekły mi po policzkach. Bardzo chciałam utrzymać ją przy życiu. Wróciłam do domu, żeby jeszcze raz przejrzeć wypróbowywane kolejno receptury. Została już tylko jedna, którą dostałam od przesympatycznej Angielki Ruth Eden. Sprawdziłam listę składników i zwróciłam uwagę, że mieszanka zawiera olej kokosowy. Słyszałam kiedyś, że jego skład chemiczny przypomina skład tłuszczu mleka słońic. Zapaliła się we mnie iskra nadziei – może jeszcze nie wszystko stracone. Przyrządziłam mieszankę zgodnie ze wskazówkami na opakowaniu i wróciłam nakarmić zgłodniałą Shmetty.

Udało się! Ależ byłam szczęśliwa! Nie śmiałam uwierzyć, że udało mi się odkryć tajemnicę odchowu słoniowych osesków. Shmetty z każdym dniem przybierała na wadze; miała coraz miększą i jędrniejszą skórę. Wreszcie zaczęła się bawić, szarżując na Bunty

i Baby, rozpędzając rodzinę Klaksona i łapiąc Jimmy'ego za tylne nogi. Radosna wieść o powrocie Shmetty do zdrowia rozniosła się po całym ogrodzie. W Baby jakby diabeł wstąpił: wierzgała, fikała koziółki i skakała z tarasu na taras. W nagłym przypływie energii nadziała się rogiem na porzucony w trawie kosz na kwiaty i ruszyła przed siebie na oślep, siejąc ogólne spustoszenie. Stado perlic i Klakson ze swoim harem zanieśli się przeraźliwym gładaniem, Bunt zaczęła parskać, jej synowie zdecydowali się na pośpieszny odwrót, żeby zażyć względnego spokoju w stadzie kawalerów. Nastrój podniecenia udzielił się nawet świeżo przybyłym guźcom, które wypadły z ogrodu z wysoko zadartymi ogonami, niemal przewracając Davida, który właśnie wracał z warsztatu.

Cztery małe guźce – Balthazar, Oliver, Cleo i Justine – znaleziono nieopodal obozu safari Aruba. Drżące na całym ciele warchlaki kulily się na poboczu. Ze śladów szamotaniny i plam krwi na drodze dało się wywnioskować, że ich matka padła ofiarą lwa. Guźce przyniosła mi żona jednego z badaczy – zorientowawszy się w mig, że nie jestem zachwycona perspektywą odchowывania kolejnych sierot, postanowiła wyręczyć mnie przynajmniej w karmieniu ich mlekiem z butelki. Dołączyły do Ogrodowej Paczki trzy miesiące później, kiedy już można je było przestawić na pokarm stały. David zamajstrował im długie płytkie koryto, w którym dostawały codzienną porcję ziarna i pomyj. Oswoiły się bez kłopotu, łąziły po całym terenie i uparcie próbowały wejść nam do domu. Zakłócały spokój w ogrodzie, goniąc pawie i perlice, szturchając ryjem leżące w trawie antylopy, żeby je zmusić do wstania, albo skubiąc je po nogach w nadziei na zabawę w berka. Ponieważ robiły się coraz bardziej psotne, Jimmy i Baby – które dochowały się już całkiem okazałych rogów – zaczęły przywoływać je do porządku. Zdaliśmy sobie sprawę, że prędzej czy później wyrządzą któremuś z nich krzywdę, postanowiliśmy więc wywabić warchlaki z ogrodu, udostępniając im wielką jamę w ziemi. Dostarczyliśmy im wspaniałej rozrywki: kopały w dole godzinami, jak małe buldożery, odrzucając na boki skiby zaoranego ryjem gruntu. Kiedy nasza je żądza przygód, spędzały całe dni w okolicy głównego wejścia do parku. Wracały do domu z głośnym kwikiem i pochrząkiwaniem, snując plany na wieczór. Jeśli zapadła decyzja, żeby donikąd się nie ruszać, zalegały rządkiem pod schodami frontowymi i czekały, aż ktoś zanieś je na noc do chlewu. Ilekroć postanowiły zabawić na zewnątrz, stawiały ogon na sztorc i ruszały świńskim truchtem w stronę kanału przy głównej bramie. Kiedy się trochę usamodzielniały, zaczęły wracać pojedynczo, żeby sprawdzić, co słychać w ogrodzie, albo dołączyć do stada Eleanor nad rzeką Voi. Któregoś dnia Cleo przyprowadziła z sobą cztery warchlaki, dając ostateczny dowód, że osierocone guźce z powodzeniem trafiły, gdzie było ich miejsce.

Tymczasem Shmetty kwitła. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że po tylu latach udało mi się odkryć sekret mlecznej mieszanki dla słoń. Shmetty była żywym przykładem zasadności moich starań. Taplała się godzinami w błotnistej sadzawce, którą urządził jej David. Z początku próbowała nakłonić mnie do wspólnej kąpieli, na szczęście jednak weszła w komitywę z trzema pisklętami strusi, które przyjechały do nas w autobusie turystycznym. Ciągnęła je w błoto bez żadnych ceregieli, ilekroć znalazły się w zasięgu jej trąby. Zapewniały jej

towarzystwo – niezbędne każdemu słońiatku w tym wieku – i lgnęły do niej jak do własnej matki, choć traktowała je dość brutalnie, wlokąc za szyje po całym sadzie. Gdzie jednak była Shmetty, tam były i strusie. Kiedy spała, przysiadają obok i czekały cierpliwie, aż się obudzi. Kiedy się bawiła, biegały w kółko, kręcąc piruety i trzepocząc pociesznie rozpostartymi skrzydłami. Odczuwały zmienne nastroje Shmetty niczym barometr. Angela – świeżo po lekturze jakiejś romantycznej baśni – ochrzciła je poetyckim mianem „panien służących”.

Shmetty była niezwykle absorbująca. Nie mogłam bez przerwy się nią zajmować, więc David zatrudnił jednego ze strażników jako „słoniową niańkę”. Oswojenie Shmetty z jej nowym opiekunem wymagało sporego zachodu; słoniczka nie dała się łatwo oszukać. Musiałam zarzucać jej chustkę na łeb, żeby wydostać się z zagrody. Zanim zdążyła się wyplątać, traciła mnie z oczu. O dziwo, dopóki strażnik miał przy sobie moją chustkę, zachowywała się w miarę grzecznie, choć niepewnie. Odstawiała uszy od głowy, zdradzając lekki niepokój i wsłuchując się pilnie w skrzyp furki. Kiedy mnie wypatrzyła, rzucała się w moją stronę z radosnym pobekiwaniem, prawie zwalając mnie z nóg. Jej czułe burczenie kończyło się zwykle gromkim rykiem, który musieliśmy tłumić, żeby nie usłyszała go przywódczyni naszego stadka. Dopóki Shmetty nie mogła się obyć bez mleka, trzymaliśmy ją z dala od Eleanor, która w przeciwnym razie zaczęłaby matkować sierotce, a nie miała jej czym wykarmić.

Bywały dni, kiedy Shmetty zdradzała oznaki gorszego samopoczucia i oddawała zbyt luźny stolec. Biegunka u słońi prowadzi do śmiertelnie niebezpiecznego odwodnienia, ordynowaliśmy więc słoniczce pięciodniową kurację sulfadymidyną. Żeby wepchnąć małe lekarstwo do gardła, musieliśmy ją przytrzymywać we troje z Davidem i opiekunem. Wściekle rzucała łbem i nieraz udało jej się wypluć gorzką pigułkę. Próby przemycenia leku w mieszance mlecznej spełzły na niczym: wyczuwała go natychmiast i odmawiała jedzenia. Po wzięciu tabletki szła prosto do kuchni i wtykała łeb do skrzyni, w której przechowywaliśmy butlę z gazem. W sytuacjach kryzysowych szukała tam schronienia i czuła się równie przytulnie i bezpiecznie jak pod brzuchem matki, gdzie nie mogła się schować. Serce mi się krajało, ilekroć ją tak znalazłam – nie mogłam jej zapewnić wszystkiego, co potrzebne do szczęścia słońiatku.

Popołudniową herbatę piliśmy zawsze o tej samej porze – ku ucieście naszych sierot, które zdążyły się nauczyć, że brzęk zastawy zwiastuje rychłą przechadzkę. Poza tym do herbaty podawałam ciasteczka własnej roboty, pieczone według przepisu przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Większość zwierząt za nimi przepadała, zwłaszcza Jimmy i Baby, którzy opierali zaślinione pyski o parapet werandy i wpatrywali się w talerz z takim utęsknieniem w przepastnych, wilgotnych oczach, że nie mogłam im odmówić – choć ciasteczka znikają w mig, niczym listy wrzucone do skrzynki. Podpatrzyła nas kiedyś Shmetty i uznała, że jej też się należy. Widok był naprawdę pocieszny, słoniczka nie miała pojęcia, co zrobić z ciastkiem. Obracała je w mięsistych wyrostkach trąby, na przemian wkładała sobie do pyska albo ucha i wyjmowała z nich, wreszcie ciastko zassała, po czym

tak siarczyście kichnęła, że aż podskoczyliśmy. Nie wszyscy lubili moje wypieki. Bunty i jej synowie, usłyszawszy stuk filiżanek o tacę, przechodzili na parking i czekali cierpliwie, aż zbiorą się chętni na spacer.

Piaskownica przy biurze była niemal równie atrakcyjna jak wodopój, musieliśmy więc po drodze o nią zahaczyć. Shmetty uwielbiała swój plac zabaw. Tak długo wdrapywała się na górkę i zjeżdżała z niej na brzuchu, napychając sobie piasku do uszu i trąby, aż wreszcie traciliśmy cierpliwość i ją stamtąd wyciągaliśmy. Kończyliśmy spacer przed szóstą, zanim Eleanor zdążyła wrócić do zagrody z resztą słońi. Woleliśmy uniknąć głośnych protestów Shmetty, która miała doskonałe wyczucie czasu i podnosiła wrzask, ilekroć spóźniliśmy się z kolacją choćby o kilka minut. Eleanor i tak podejrzewała, że chcemy coś przed nią ukryć. Za każdym razem przystawała za domem, pilnie nasłuchując i gniewnie rzucając łbem. Byłam pewna, że intuicyjnie wyczuwa obecność Shmetty i nie może się nadziwić, czemu nie oddałam jej tego słońiatka pod opiekę.

Minęło pół roku, a nasze maleństwo wciąż żyło. Co miesiąc wyciągałam miarkę i za każdym razem pękałam z dumy, że słońiczka urosła o kolejne półtora centymetra. Z trudem przyjmowałam do wiadomości, że któregoś dnia będę musiała się z nią rozstać i przekazać na wychowanie Eleanor, która pokaże Shmetty wielki świat i nauczy ją słońiowych manier. Żaden człowiek nie mógł jej w tym wyręczyć, więc cieszyłam się każdą chwilą, jaka nam jeszcze została. Na myśl o moich sierotach ogarniały mnie szczególne emocje – podobne do tych, jakie musiały towarzyszyć Davidowi podczas prac nad zagospodarowaniem parku. Miałam poczucie sukcesu i spełnienia, zalewała mnie fala gorącej satysfakcji, że przyczyniam się do dobra ukochanej przyrody. Byłam dumna, że mogę dać drugą szansę zwierzętom, które w przeciwnym razie czekałaby pewna śmierć. Ilekroć przypominałam sobie ponure czasy w Nairobi, swoją pracę w biurze i tęsknotę za Davidem i Tsavo, nie mogłam się nadziwić własnemu szczęściu. Nie zamieniłabym się z nikim za żadne skarby. Gorzka świadomość, że zawiodłam Shmetty, przysporzyła mi jednak tyle udręki i bólu, że do dziś nie potrafię o tym spokojnie myśleć.

Kiedy Jill poinformowała o swoich zaręczynach z Alanem – chłopakiem, którego poznała w RPA – instynktownie przeczułam, że jej małżeństwo nie przetrwa próby czasu, podobnie jak mój pierwszy związek. Postanowiłam nie ujawniać tych złowieszczych prognoz. Jill sprawiała wrażenie szczęśliwej i naprawdę zakochanej. Dwa tygodnie przed ślubem pojechałam do Muthaigi, żeby wraz z matką zająć się przygotowaniem do wesela w pięknym ogrodzie przy domu Betty. Choć zostawiłam Shmetty pod opieką doświadczonego pracownika, który już przedtem doglądał naszych sierot, słońiczka tak za mną tęskniła, że jej stan gwałtownie się pogorszył. Nie pomogły żadne pieszczoty ani lekarstwa na biegunkę. Dzień ślubu nadchodził wielkimi krokami. Nie mogłam wyjechać z Muthaigi, pozostawało się tylko modlić, żeby Shmetty dożyła mojego powrotu.

Moja córka wyglądała promiennie w przetykanej srebrną nicią sukni ślubnej, gdy Bill wprowadzał ją do kościoła. Na ceremonię zjechało trzystu gości, z których większość stanowili członkowie naszej wielkiej rodziny. Jill wychodziła za mąż jako pierwsza w swoim

pokoleniu. Przyjęcie weselne urządziliśmy sami, stosunkowo niewielkim kosztem, bo zarówno Bill, jak i David zarabiali dosłownie grosze. Misternie udekorowany tort przedstawiał trzy najwyższe wierzchołki góry Kenia – w sam raz dla Jill, która wciąż dzierżyła palmę najmłodszej zdobywczyni Lenany, trzeciego pod względem wysokości szczytu w centralnej części masywu, na który weszła w wieku lat dziesięciu, asekurowana przez Billa.

Obydwie z Jill – podobnie jak moja matka – nie umiałyśmy powstrzymać łez przy rozstaniach. Nie obyło się bez nich również i tym razem, przed wyjazdem młodej pary w podróż poślubną. Natychmiast po powrocie do domu pobiegłam do boksu Shmetty. Na mój widok spróbowała dźwignąć się na nogi i upadła mi prosto w objęcia. Przygarnęłam ją do siebie i gorzko zapłakałam. Słoniczka ginęła w oczach. Położyła łeb na moich kolanach, jej mięśnie raptownie zwiotczały, a ostatni krzyk przeszedł w ciche westchnienie. Zdałam sobie sprawę z obecności Davida, kiedy otoczył mnie ramionami i mocno przytulił. Był zdruzgotany, śmierć ukochanej słoniczki pogrzyżała nas w nieutulonym żalu. Zostałam przy Shmetty, dopóki jej ciało nie ostygło. Dopiero wówczas wypuściłam ją z rąk i pozwoliłam jej odejść. Spoczęła na naszym małym cmentarzu – w długim rzędzie mogił noworodków przybył kolejny kopczyk czerwonej ziemi z Tsavo. Shmetty była jednak wyjątkowa i zostanie w mojej pamięci na zawsze.

Przez następne miesiące rozpaczliwie próbowałam odwrócić stronę, szukając pociechy u ogrodowych sierot, współtworzących magiczny klimat naszego obejścia. W końcu nadszedł czas, kiedy Jimmy i Baby odpowiedziały na zew natury. Pewnego ranka znikły, co oczywiście wzbudziło mój niepokój. Jeszcze tego samego popołudnia postanowiliśmy urządzić objazd terenów wzdłuż rzeki Voi i poszukać naszych antylop. Jaką poczułam ulgę, kiedy przy lotnisku wypatrzyłam stado elandów, w którym nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie pasące się wśród nich pasiaście kudu.

Wiele razy odmienił się księżyc, zanim znów ujrzeliśmy Baby. Pewnego popołudnia, pijąc herbatę na werandzie, wypatrzyliśmy samotną samicę elanda. Baby nie zabawiła u nas długo, jej najlepszy przyjaciel Jimmy zdążył już odejść z ogrodu. Zdobył trzy piękne samice, w których towarzystwie pokazał się podczas jednego z naszych spacerów. Zaniepokojone antylopy rozpierzchły się z trwożnym poszczekiwaniem. Tylko Jimmy – stateczny, w pełni wyrośnięty samiec z białawymi na końcach, spiralnie skręconymi rogami – podszedł do nas bez wahania, ufny i przyjacielski jak zawsze. Zmienił szatę z brunatnej na typową dla dojrzałych osobników siwobrazową w białe poprzeczne pręgi, zapewniające mu świetny kamuflaż w prześwietlonych słońcem zaroślach. Od tamtej pory spotykaliśmy go często na czele grupki samic. Nigdy nie omieszkał się przywitać, ale nie zostawał z nami zbyt długo, bo musiał pilnować swojego haremu. Kudu czują się najlepiej na terenach zakrzewionych, więc z czasem widywaliśmy się coraz rzadziej. Historie Baby i Jimmy'ego były jednak modelowym przykładem udanych powrotów osieroconych zwierząt na wolność. Odchowane przez nas antylopy ogromnie się przyczyniły do pogłębienia naszej wiedzy o rodzinie krętorogich.

Któregoś dnia rodzice wpadli do nas z niespodziewaną wizytą, przynosząc złe wieści. Nie mieliśmy połączenia telefonicznego, zjawili się więc osobiście. Ojciec długo dobierał słowa, zanim wreszcie powiedział, co się wydarzyło. Po ślubie Jill Betty i Graham wybrali się na wakacje do Afryki Południowej i wypatrzyli dziwną narośl na prawym udzie swojej jedenastoletniej córki. Zaledwie kilka dni później Sally wylądowała na stole operacyjnym. Trzeba jej było amputować nogę na wysokości biodra. Teraz przechodziła długą i uciążliwą chemioterapię, która miała powstrzymać rozwój wyjątkowo złośliwego nowotworu kości. Oznaczało to, że jej rodzice muszą się przeprowadzić do RPA. Na szczęście pracodawca Grahama nie miał nic przeciwko zatrudnieniu go w tamtejszym oddziale firmy, więc szwagier przynajmniej nie stracił źródła utrzymania. Rodzice postanowili przenieść się wraz z nimi do Afryki Południowej – żeby zaopiekować się Sally i wesprzeć ją na duchu.

Wyglądało na to, że wszyscy moi najbliżsi osiadą wkrótce w RPA. Po powrocie z podróży poślubnej Jill i Alan wyjechali do Kapsztadu, gdzie mój zięć pracował jako taktararz. Tęskniłam za córką, powiernicą moich trosk i wprawną opiekunką naszych sierot. Jill była tak rozkochana w zwierzętach, że miałam poważne obawy, czy przywyknie do miejskiego życia w dalekim kraju. Wyjazd rodziców i siostry wprowadził jeszcze większy zamęt w moje życie. Kilka miesięcy później postanowiliśmy spędzić nasz coroczny urlop w Afryce Południowej i sprawdzić, jak im się powodzi. David skarżył się niedawno na bolesny ucisk między łopatkami. Bardzo mnie to zaniepokoiło, wiedziałam, że ojciec mego męża dostał zawału podczas meczu polo w Nyeri i zmarł w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Na szczęście w RPA było kilku wybitnych kardiologów, zamierzałam więc posłać Davida na gruntowne badania do specjalisty. Ból z czasem ustąpił i David przestał się przejmować swoimi dolegliwościami, zwłaszcza że lekarz nie znalazł żadnych przeciwwskazań do corocznego odnowienia licencji pilota. Powiedział nawet, że przyczyną bolesnych skurczów jest zbyt długie przesiadywanie w kokpicie Tango Papa.

Podczas wizyty u kardiologa w Kapsztadzie David chciał zostać sam w gabinecie i wysłał mnie do miasta na zakupy. Zanim zdążyłam zaprotestować, pielęgniarka zamknęła mi drzwi przed nosem. Poczekalam, aż badanie się skończy i z ulgą przyjął słowa lekarza, który zaprosił Davida na kolejną kontrolę za dwa lata. David wyglądał na odprężonego i zapewnił, że nie ma się czym martwić. Doktor rozpoznał początki choroby niedokrwiennej serca, której objawy można złagodzić za pomocą diety i leków. Wzięłam to za dobrą monetę i obiecałam sobie, że zadbam o właściwy jadłospis męża.

Tuż po naszym powrocie weszła w życie złowieszcza ustawa o połączeniu parków narodowych z Departamentem Myślistwa, zatwierdzona przez parlament 13 lutego 1976 roku. Parki znalazły się pod bezpośrednim nadzorem państwa. Cała przyroda w kraju przeszła pod zarząd nowo powstałego Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, w jurysdykcji Ministerstwa Turystyki i Środowiska. Tym, którzy pamiętają ówczesne wydarzenia, określenie „fuzja” kojarzy się jak najgorzej. Był to początek tragicznej, zaskakująco mrocznej epoki w chwalebnych dziejach kenijskich parków narodowych. Ustawa okazała się po-

dzwonnym dla dzikich zwierząt, zwłaszcza wystawionych na cel nosorożców i słoni. Ledwie wyszły podpisy pod nowym aktem prawnym, rząd zamroził parkom fundusze: wszystkie czeki, niezrealizowane faktury i zlecenia zakupu straciły ważność. Po kilku dniach skończyły się bilety w kasach przy pięciu bramach wjazdowych; w parkowych stacjach zabrakło paliwa. Na szczęście David przechował trochę ropy w metalowych beczkach, dzięki czemu Oddział Polowy mógł działać bez przestojów. Szukałam pociechy u moich sierot, szczęśliwa, że mogę zaspokoić ich potrzeby i nacieszyć się ich towarzystwem.

Wizyta kontrolera zapasów byłaby nawet zabawna, gdyby nie okazała się przeraźliwym zwiastunek nadchodzących porządków. Urzędnik pałętał się po warsztacie, skonsternowany widokiem tokarki, wiertarki i innych wymyślnych sprzętów, których nie znał nawet z nazwy. Kiedy David oświadczył, że skatalogowanie wyposażenia całego parku wymaga objazdu terenu na trasie blisko pięć tysięcy kilometrów, wyraziwszy zarazem nadzieję, że kontroler dysponuje odpowiednim zapasem własnego paliwa – urzędnik wycofał się jak niepyszny i nigdy więcej nie wrócił. Z pewnością nie przeoczył imponujących trofeów w magazynie kości słoniowej – zwłaszcza pary ciosów, które przewyższały rozmiarami legendarne „insygnia” Ahameda z Marsabitu. Nazajutrz przysłała instrukcja, żeby wszystkie ciosy przechowywane w zasobach Tsavo East przekazać niezwłocznie do biura rządowego w Nairobi.

W następstwie zmian prawnych David został mianowany kierownikiem jednostki planowania i objął nadzór nad wszystkimi rezerwatami i parkami narodowymi – ze szczególnym uwzględnieniem zaniedbanych obszarów chronionych. Mógł zabrać ze sobą Tango Papa, samolot Piper Super Cub i naszą półciężarówkę marki Toyota, zwaną Bryką Pani Poon – od nazwiska dobrodziejki, która dała nam ją w prezencie. Dostał biuro w Jogoo House, stołecznej siedzibie ministerstwa, sporą podwyżkę i obietnicę domu w Parku Narodowym Nairobi, mógł też nająć do współpracy kilku strażników.

Obwieszczając tę nowinę, David objął mnie i przygarnął do siebie, żebym poczuła moc jego ramion i nie straciła do reszty gruntu pod nogami. Docierały do mnie tylko strzępy zdań: „wyjechać z Tsavo, wyjechać z Tsavo, wyjechać z Tsavo”. Jakby coś we mnie umarło. Płakałam całymi dniami, w przeciwieństwie do Davida, który jak zwykle powściągnął emocje, gotów po raz kolejny odwrócić kartę. Wiedziałam jednak, że cierpi nie mniej ode mnie. Musiał porzucić owoc trzydziestu lat żmudnej pracy, zostawiając całą populację słoni i nosorożców na łasce kłusowników oraz ich skorumpowanych mocodawców. Oboje musieliśmy opuścić tętniący życiem dom z ogrodem, który tak troskliwie pielęgnowaliśmy – skazując sieroty na niepewną przyszłość. Nasz świat walił się w gruzy. Nie miałam tyle siły i odwagi co mój mąż. Byłam pełna podziwu dla Davida, który zawsze potrafił iść naprzód i skupić się na tym, co trzeba – zamiast użalać się nad przeszłością.

Martwiłam się o bezpieczeństwo ukochanych sierot, wiedząc, że nasze miejsce zajmie któryś z urzędników Departamentu Myślistwa, słynących z zamiłowania do polowań. Bałam się o Bunty i jej dzieci, które ustanowiły swój rewir na tyłach pomieszczeń biurowych; o harem Jimmy’ego, który na szczęście był znacznie bardziej samodzielny, o moją Eleanor,

o Raru i Bukaneziego; o Zrzędę i Spychacza, nasze kochane, prawie już dorosłe nosorożce; o wykarmione przez nas bawoły; o rodzinę pawia Klaksona i stadko mniej więcej stu perlic sępich, które paradowały codziennie po ogrodzie. Można się było postarać i znaleźć przytulisko dla dwudziestu kilku pawi – gorzej z perlicami, które uchodziły najwyżej za smaczny wsad do garnka. Mniej niepokoił nas los osieroconych bawołów, które kręciły się wokół stada odwiedzającego wodopój w obozie safari Voi. Mieliśmy nadzieję, że wkrótce całkiem do niego dołączą.

Przede wszystkim zatroszczyliśmy się o Spychacza i Zrzędę. Choć nosorożce były jeszcze małe i zdane na opiekę człowieka, nosiły już na łbie małą fortunę. Wszyscy ich krewni znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie: wzrost ceny i popytu na róg nosorożca napędzały kraje Dalekiego Wschodu, gdzie utrzymywał się mit o jego właściwościach leczniczych, oraz rodząca się w krajach arabskich elita potentatów naftowych, którzy cenili go jako surowiec do wyrobu rękojeści sztyletów. W pełni świadom niebezpieczeństwa grożącego naszym wychowankom, David ulokował Spychacza i Zrzędę na Ranczu Solio, gdzie Reudi zadomowił się już wcześniej. Nastął kolejny smutny dzień, kiedy musieliśmy załadować nosorożce do klatek transportowych, wabiąc je smakowitą trziną cukrową. Oboje z Davidem towarzyszyliśmy im w długiej podróży do Solio, zatrzymując się po drodze dwukrotnie, żeby schłodzić zwierzęta wodą i nakarmić je świeżo ściętą zieleniną.

Wróciliśmy do domu, żeby zająć się sortowaniem i pakowaniem nagromadzonego przez trzydzieści lat dobytku. Przechodziłam właśnie rekonwalescencję po operacji ginekologicznej i musiałam wyręczyć się pomocą innych domowników. Nastął czas pożegnań, których najbardziej się obawiałam. Do tej pory nie wiem, jak udało mi się z tym wszystkim poradzić – po raz ostatni przytuliłam do siebie Buntę, wybrałam się nad rzekę Voi, żeby uściskać Eleanor, Raru i Bukaneziego, przespacerowałam się po ogrodzie, który wkrótce miał popaść w zapomnienie. Zwierzęta wyczuły moją rozpacz; kiedy słonie pieściły mnie koniuszkami trąb i macały po zalanej łzami twarzy, modliłam się z całego serca, żeby pozostały na zawsze wolne i bezpieczne.

Ruszyliśmy w drogę na czele konwoju pięciu ciężarówek. Humor trochę nam się poprawił po wjeździe do Parku Narodowego Nairobi, gdzie mijaliśmy kolejne stada zebra, gnu i innych zwierząt sawanny. Dom wybrany przez Davida był stosunkowo nowy, przejęliśmy go w spadku po dotychczasowym dyrektorze parku. Niestety, okazał się zamknięty na cztery spusty. Nie mogliśmy znaleźć klucza i nikt nie potrafił nam pomóc. Zmęczeni podróżą, rozbiliśmy namiot na trawniku, pożywiliśmy się sardynkami z puszki i poszliśmy spać przy wtórze ryków pobliskiego stada lwów. Przemknęło nam przez myśl, że klucze nie zginęły przez przypadek. Ktoś tu pilnował swojego rewiru i chciał pokazać nowym przybyszom, gdzie jest ich miejsce w porządku dziobania.

Nazajutrz, kiedy David pojechał do ministerstwa z wieścią, że musimy się włamać do własnego domu, klucze odnalazły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – po jednym telefonie od szefa korpusu urzędniczego. Zdążyłam tymczasem zwiedzić gospodarstwo i przekonać się ku swojemu rozczarowaniu, że oprócz rosnącej pod domem wspaniałej,

bladoróżowej bugenwilli ogrodu właściwie nie było. Mało nie wyskoczyłam ze skóry, natoczywszy się na podrośniętą lamparcicę w klatce. Była wyjątkowo nieprzyjaźnie usposobiona: przypadła do ziemi, prychając wściekle i przeszywając mnie nienawistnym spojrzeniem zielonych ślepi. Potem wyszło na jaw, że Lulu była ulubienicą poprzedniego dyrektora oraz stałą atrakcją dla gości i ciekawskich turystów, którzy nieczęsto mogli podziwiać wielkie koty z bliska. Źle się z tym czułam, że Lulu musi przebywać w tak ciasnym zamknięciu. Po powrocie Davida ubłagałam go, żeby jakoś jej ulżył. Oświadczył, że najpierw trzeba przyzwyczaić ją do naszej obecności. Przekazałam poprzedniemu dyrektorowi w rozmowie telefonicznej, że sama się zajmę karmieniem Lulu. Przez kilka następnych tygodni, kiedy David urządził się w swoim biurze w Jogoo House, spędzałam mnóstwo czasu z lamparcicą, przemawiając do niej łagodnie w porze każdego posiłku. Oswoiłam się z nowym otoczeniem i zaczęłam urządzić ogród. Miałam z tego dużo radości: sadzonki szybko się przyjmowały, obsadziłam więc rabaty ulubionymi roślinami z Voi – dając wyraz tęsknocie za naszym domem w Tsavo.

Nowa praca Davida okazała się bardzo wymagająca. Pod jego nadzorem znalazło się dwadzieścia rezerwatów państwowych, zajmujących ogółem powierzchnię niemal czternaśtu tysięcy kilometrów kwadratowych. O ile parki narodowe stanowiły obszar powołany przede wszystkim do ochrony przyrody i mogli się w nich osiedlać wyłącznie pracownicy, o tyle w rezerwach – mimo podejmowanych działań ochronnych – liczyli się przede wszystkim mieszkańcy. David założył kartotekę każdego rezerwatu – z posortowanymi według dat wycinkami prasowymi, numerem księgi wieczystej, powierzchnią w akrach, prognozowanym opadem, topografią, szacowaną liczbą ludności i tak zwanego „bydlactwa”, czyli zliczonych z powietrza krów, owiec i kóz. Ponieważ biuro w Jogoo House nie spełniło oczekiwań Davida, przemeblowaliśmy jedną z sypialń, żeby mógł pracować w domu i w razie potrzeby korzystać z mojej pomocy. Po kilku rekonesansach lotniczych i spotkaniach z wodzami miejscowych plemion David rozeznał się w lokalnych potrzebach i poczuł się całkiem pewnie w swojej nowej roli – mimo nawracających bólów między łopatkami. Humor mu dopisywał. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że David ma przed sobą herkulesowe zadanie opracowania infrastruktury turystycznej rezerwatów. Jednakże nie czuł lęku przed tym wyzwaniem i z zapałem wziął się do pracy.

Po kilku tygodniach ślęczenia nad biurkiem mój mąż był gotów do pierwszego wypadu w teren – do Rezerwatu Państwowego Jezioro Bogoria o powierzchni blisko jedenastu tysięcy hektarów. Otoczona pasmem urwisk i wzgórz Bogoria było jednym z kilku jezior sodowych w obrębie Wielkiej Doliny Ryftowej. Usytuowane wzdłuż brzegu gejzery wyrzucały w powietrze strumienie cuchnącej pary i wrzącej wody, bogatej w minerały o właściwościach oczyszczających. Gorące źródła bulgotały zarówno w strefie przybrzeżnej, jak i na środku jeziora, zamieszkanego przez liczne gatunki flamingów, których jaskraworóżowa chmara przydawała jeszcze większego uroku tej przepięknej okolicy. Miejscowa ludność miała dość upiorne skojarzenia z jeziorem Bogoria: w nocnym gęgocie ptactwa dosłuchiwała się głosów dawno zmarłych przodków. Prezydent Kenyatta przyjeżdżał tu często, ko-

rzystając z dobrodziejstw naturalnej sauny.

Wyruszyliśmy nad jezioro Bryką Pani Poon, doposażoną w większe zbiorniki paliwa. Osobiście wolałam polecieć samolotem, David się jednak sprzeciwił. Zwróciłam uwagę, że od niedawna nie chce ze mną latać i za każdym razem znajduje jakąś wymówkę. Podczas pierwszych miesięcy w Nairobi odbył wiele lotów rekonesansowych: ilekroć próbowałam się z nim zabrać, odmawiał, tłumacząc się towarzystwem jakichś urzędników. Po powrocie wychodziło na jaw, że nie miał nikogo na pokładzie. Bardzo się tym martwiłam, wpadło mi nawet do głowy, że David ukrywa przede mną swój prawdziwy stan zdrowia. Niestety, kiedy sobie coś postanowił, nie było z nim żadnej dyskusji. Inna rzecz, że w podróży drogą lądową mieliśmy dla siebie więcej czasu.

Po drodze wjechaliśmy przypadkiem w prezydencką kawalkadę, eskortowaną przez radiowozy i policjantów na motocyklach. Pruliśmy przed siebie w samym środku konwoju, podczas gdy inni podróżni zatrzymywali się na poboczu i wysiadali z samochodów, żeby okazać szacunek głowie państwa. Wpadłam w panikę. „Łap byka za rogi – zaśmiał się David. – Nieczęsto miewamy status VIP-ów. Machaj i wypatruj znajomych! Zobaczysz, jak się zdziwią”. Rzeczywiście, zanim dotarliśmy do Naivashy, minęliśmy wielu kolegów stojących na baczność przy samochodach. Kiedy pozdrawialiśmy ich królewskim skinieniem dłoni, gapili się na nas z takim niedowierzaniem, że nie mogliśmy opanować śmiechu. Czulałam się jednak niepewnie, przewidując przykre konsekwencje naszego wybryku. Dzień był wspaniały, David tryskał humorem, wzdłuż szosy pały się stada zebr. Na przedmieściach Nakuru wypatrzyłam swoją dawną szkołę na wzgórzu – z imponującą wieżą zegarową i dachem krytym czerwoną dachówką. Kiedy wjechaliśmy w wysadzaną drzewami aleję, która prowadziła do rezydencji prezydenta, kawalkada skręciła w prawo. Ruszyliśmy dalej prosto, niezauważeni przez nikogo.

Pod wieczór dotarliśmy nad jezioro Bogoria. Posępna atmosfera, świst strzelających w powietrze strumieni pary i bulgot wrzącej wody sprawiły, że poczuliśmy się jak świadkowie stworzenia świata. Spacerując wzdłuż brzegu jeziora, rozmawialiśmy o nazwach poszczególnych gejzerów. Stanęliśmy w obłoku pary największego z gorących źródeł, żeby skorzystać z dobrodziejstw naturalnych inhalacji. Gejzer burczał i gulgotał, wyrzucając w górę słupy wrzątku. Wpatrywaliśmy się w skupiska dziwnych czerwonych glonów wokół krawędzi stożka, aż na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Wróciliśmy do obozu na kolację w plenerze. Przed pójściem spać David zestawił nasze łóżka i powiedział: „Ponieważ zamierzam spędzać z tobą więcej czasu w podobnych okolicznościach, postanowiłem zaprojektować polowe łoża małżeńskie!”.

Nazajutrz zjedliśmy śniadanie najprostsze z możliwych – jajka ugotowane w malutkim gejzerze. Później David wybrał się na pieszy rekonesans, by znaleźć miejsce na siedzibę władz rezerwatu. Poszliśmy na spotkanie z członkami rady tutejszego plemienia, którzy przyjęli nas serdecznie i podjęli obiadem z *nyama choma*, mięsa pieczonego na węglu drzewnym. David pokazał im upatrzone miejsce. Potwierdzili gotowość odstąpienia ziemi: entuzjazm, z jakim przyjęli naszą inicjatywę, zaskoczył nawet Davida. Zajął się tymcza-

sem zbieraniem piór flamingów dla Angeli, która układała z nich barwne kompozycje na kawałkach sklejki i dorabiała do kieszonkowego, sprzedając je później krewnym i znajomym. Odziedziczyła talent plastyczny po babci i przedsiębiorczość po ojcu.

David nie krył radości z sukcesu naszego przedsięwzięcia. Kolejny dzień poświęciliśmy na zwiedzanie okolic jeziora. Urządziliśmy sobie leniwy piknik pod rozłożystym figowcem. Zdjęłam buty, żeby pobrodzić w strumieniu, z którego wyskoczyłam jak oparzona, kiedy przyssała się do mnie głodna pijawka. David musiał przypalić ją zapałką, żeby się odczepiła od nogi. Kiedy rozłożyliśmy się w cieniu drzewa, David wspomniął z nostalgią Tsavo i oznajmił, że po powrocie do Nairobi wsiądzie w samolot i sprawdzi, co dzieje się w parku. „Mogę polecieć z tobą?” – spytałam, przewidując z góry, jaka będzie odpowiedź. „Nie – odparł jak zwykle. – Będę kołował tuż nad ziemią w najgorętszej porze dnia. Po co masz się męczyć w takim upale?”. Nie naciskałam, nawet mi ulżyło, że nie muszę ożywiać wspomnień z dawnego domu, który z pewnością wygląda teraz inaczej.

W drodze powrotnej skontaktowaliśmy się z Jonathanem Leakeyem i jego żoną. Jonathan był najstarszym synem Louisa B. Leakeya, wybitnego paleontologa i członka Rady Powierniczej parków narodowych. Specjalizował się w biologii węży i pobierał od nich jad, z którego wytwarzał później antytoksyny stosowane w leczeniu ofiar ukąszeń. Leakeyowie pochwalili się swoją kolekcją kobr, mamb i żmij. Zanim Jonathan poczęstował wielkiego włochatego ptasznika żywą myszą, zdążyłam się wymknąć z pokoju, ale i tak dobiegły mnie żałosne piski gryzonia, kiedy pajak wstrzyknął ofierze jad i zabrał się ochoczo do konsumpcji. Wieczorem, po miłej kolacji z gospodarzami, David znów poczuł ucisk między łopatkami, zażył jednak aspirynę, poszedł spać i obudził się nazajutrz wypoczęty.

Na kolejnym etapie wyprawy zaczęliśmy snuć marzenia o naszej emeryturze, kiedy wreszcie będziemy mieli czas na wspólne wycieczki i zwiedzanie dziewiczych zakątków. „Wystarczy spakować namiot i polowe łóżko małżeńskie – powiedział David. – Zmienimy się w prawdziwych koczowników, wolnych jak ptaki, odpowiedzialnych tylko za najbliższych. Będziemy wiedli cudowne, beztroskie życie we dwoje”. Zrobiliśmy sobie postój na szczycie urwiska, skąd roztaczał się zapierający dech w piersi widok na okolicę. Zabrałam się do przygotowywania obiadu, tymczasem David poszedł na spacer i wrócił z gałązką słodko pachnących, biało-czerwonych kwiatów *Carissa edulis* – „krzewu Daphne” z mojego dzieciństwa. Ukłonił się w pas i wpiął mi bukiet w dziurkę od guzika. Podziękowałam mu długim pocałunkiem, rozkochana bardziej niż kiedykolwiek w tym wspaniałym mężczyźnie.

Zatrzymaliśmy się na przedmieściach Maralal, żeby nacieszyć się widokiem bujnej roślinności przed spotkaniem z miejscowym strażnikiem łowieckim. Ledwie przekroczyliśmy granicę rezerwatu, powitano nas serdecznym machaniem rąk i słowami „Saa Nane”, które niosły się z ust do ust lotem błyskawicy. Zaskoczyło mnie, że znają Davida aż tutaj, ale najwyraźniej tak było. Później rozbiliśmy obóz w górskim lesie nad miastem. David rozpałił ognisko z trzeszczących polan, żeby rozpędzić przenikliwy chłód nocy. Zaczęło padać, więc schroniliśmy się w namiocie. David poprosił, żebym przysłała do niego do łóżka. Za-

snęliśmy mocno wtuleni w siebie, przy wtórze odgłosów nocnych zwierząt leśnych. Obudził się w środku nocy ze strasznym uciskiem w piersi. Wił się w boleściach, blady z wyczerpania. Od dawna podejrzewałam, że skurcze za mostkiem są objawem znacznie poważniejszej choroby. W panice zaczęłam się tłuc po namiocie, przyświecając sobie latarką i próbując znaleźć lekarstwa. David zachował spokój, kazał mi zajrzeć do apteczki i poszukać tabletki, którą w razie silnych bólów miał zażyć pod język. Po chwili skurcz zelżał. Resztę tej okropnej nocy – której wspomnienie wciąż mnie prześladowuje – spędziliśmy czule objęci. Kiedy powiedziałam, że mógł przejść zawał, David odwrócił się do mnie plecami. „Bóg raczy wiedzieć. Tak czy owak, było to bardzo nieprzyjemne”. Nad ranem zasugerowałam, żeby wrócić do Maralal i albo skontaktować się z oddziałem Flying Doctors, albo połączyć z Peterem i Billem przez sieć radiową Departamentu Myślistwa. David odmówił i stwierdził, że czuje się lepiej. Powiedział, że tabletki, które zażył na bóle zamostkowe, stosuje się w leczeniu łżejszych postaci choroby niedokrwiennej serca. Próbowałam się z nim spierać, ale domyśliłam się z jego wyrazu twarzy, że nic więcej nie wskóram. Spojrzał mi w oczy i oznajmił spokojnie: „Wolę się przygotować na spotkanie ze Stwórcą niż zrezygnować z życia, do którego nawykłem i które mi sprawia przyjemność”. Zrozumiałam, że mówi poważnie, nie chciałam jednak przyjąć do wiadomości, że to może być prawda.

Ruszyliśmy więc – jak gdyby nigdy nic – na ostatnie spotkanie z rajcami Maralal. Od razu się domyśliłam, że bóle nie ustąpiły: David miał twarz szarą jak popiół i bezwiednie zaciskał szczęki. Po powrocie do samochodu poprosił o jeszcze jedną tabletkę. Kiedy skurcze zelżały, powiedział, że jest bardzo zadowolony z naszej wspólnej wycieczki, a rozmowy i negocjacje w sprawie przyszłości rezerwatu poszły znacznie lepiej, niż się spodziewał. Podróż z Maralal do Rumuruti była, oględnie mówiąc, koszmarna. Tak nami trzęsło i podrzucało na wybojach, że potłukły się wszystkie naczynia, szkła w lornetce i w drogocennym teleobiektywie Davida. Odetchnęłam z ulgą, kiedy dotarliśmy do Wodospadu Thomsona; dalej prowadziła już droga asfaltowa. David uparł się podczas postoju, żeby wspiąć się na strome zbocze, skąd roztaczał się lepszy widok na siedemdziesięcioczymetrową kaskadę, nazwaną na cześć odkrywcy Josepha Thomsona. Strasznie go potem zrużałam, bo wrócił na ostatnich nogach, wykończony i blady jak płótno. Przed wyruszeniem w podróż zażądał kolejnej tabletki. Mimo moich głośnych protestów nie odezwał się ani słowem.

Dojechaliśmy w końcu na przedmieścia Nairobi. Chciałam od razu zawieźć go do szpitala, ale kategorycznie odmówił, twierdząc, że potrzeba mu tylko ciepłej kąpieli i własnego łóżka. Obiecał jednak skontaktować się z lekarzem. Po powrocie do domu – wbrew swoim zwyczajom – pozwolił mi samej rozpakować bagaże i poszedł wprost do łazienki, skąd wyciągnęła go wizyta naszego starego znajomego z Tsavo. David powitał go w szlafroku i zaprowadził do salonu, gdzie rozsiedli się obaj przy szklaneczce whisky z wodą sodową, żeby podyskutować o jednostronnej deklaracji niepodległości Rodezji. Zostawiłam ich samych i zadzwoniłam do doktora Johna McCaldina, który wolał rozmówić się z Davidem osobiście. Zaproponował, że do nas wpadnie, David jednak grzecznie podziękował i za-

pewnił, że nazajutrz rano zjawi się u niego w gabinecie. Zdaniem doktora McCaldina objawy wskazywały na atak woreczka żółciowego.

Kiedy nasz gość się pożegnał, namówiłam Davida, żeby od razu poszedł do łóżka. Choć było jeszcze wcześnie, postanowiłam mu towarzyszyć. Ostatnia noc zupełnie mnie wykończyła. Półprzytomna z niepokoju, chciałam po prostu doczekać rana i pojechać z nim do lekarza. David zachował zimną krew i sprawiał wrażenie odprężonego. Oznajmił, że sobie jeszcze poczyta, i poprosił, żebym się przy nim położyła. Nie posiadałam się z ulgi, że udało nam się wrócić w miarę szczęśliwie i że wkrótce nadejdzie pomoc. Zapadłam w ciężki, niespokojny sen.

14. ŻAŁOBA

*Spoczywa pod łodygami lotosu,
kryje się w trzcinach trzęsawisk.
Gęstwina lotosu użycza mu cienia,
ochraniają go wierzby potoku.*
Księga Hioba, 40,21–22

W nocy David poprosił o jeszcze jedną tabletkę, włożył ją pod język i spytał, która godzina. Było wpół do dwunastej. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, upadł na wznak z wywróconymi w głąb czaszki oczami, z trudem chwytając powietrze. Zrozumiałam, że umiera.

Trzęsącymi się dłońmi wymacałam słuchawkę telefonu i wykręciłam domowy numer doktora, ale nie odebrał. Zadzwoiłam więc do Sheili i jękając się co drugie słowo, poprosiłam z płaczem o pomoc. Uniosłam Davidowi głowę i zaczęłam go cucić, klepiąc po policzkach. Na próżno, więc objęłam jego usta własnymi, rozpaczliwie próbując z powrotem tchnąć w niego życie. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się niewidząco w sufit. Pobiegłam do tylnych drzwi i krzyczałam, aż pojawił się zaspany Mwangangi, nasz wierny pracownik, którego ściągnęliśmy tutaj z Voi. Kiedy zobaczył, w jakim stanie jest David, natychmiast wkroczył do akcji. Pomógł mi zdjąć go z łóżka razem z materacem i przenieść do naszego kombi, w którym pośpiesznie rozłożył siedzenia, żeby ulokować Davida z tyłu, z nogami wystającymi na zewnątrz przez otwartą klapę bagażnika. Mwangangi podtrzymał go z boku, żeby bezwładne ciało nie wypadło z samochodu. Boso i w koszuli nocnej, poprowadziłam wóz w stronę służbowego wejścia do parku, wołając po drodze, żeby ktoś otworzył nam bramę. Minęła wieczność, zanim udało się wyjechać. Ruszyłam do szpitala na złamanie karku, z piskiem opon zatrzymałam się tuż przed drzwiami izby przyjęć. Wpadłam do środka, błagając o pomoc. Po kilku minutach, ciągnących się w nieskończoność, pojawił się personel z noszami i butlą tlenową. Pobiegliśmy do samochodu po Davida.

Rozpaczliwe próby reanimacji trwały dwadzieścia minut. Wyszłam na nieoświetlony parking, modląc się do Boga, żeby oszczędził Davida i nie pozwolił mu umrzeć. Kiedy podszedł do mnie lekarz, nie musiał nic mówić. Wystarczyło, że bez słowa otoczył mnie ramieniem. Miałam wrażenie, że świat się zatrzymał. Byłam w głębokim szoku. Myślałam, że za chwilę zemdleję. Doktor zaczął coś mówić, ale go nie słuchałam. Sama chciałam umrzeć.

Zaprowadzili mnie do niego. Leżał na gołym betonie, z biodrami przepasanymi chustą. Wyglądał jak zwykle przystojnie, zupełnie jakby spał. Kiedy się pochyliłam, żeby go po raz ostatni pocałować, uświadomiłam sobie, że ciało zdążyło już ostygnąć i zwilgotnieć. Rzeczywistość dotarła do mnie z potokiem łez. Kiedy pielęgniarki zakryły mu twarz kocem, za-

częłam płakać, żałośnie i cicho. Odwróciłam się i wyszłam, przytłoczona bólem. Usłyszawszy, że lekarz przebąkuje coś o obdukcji, stanęłam jak wryta. Nie mogłam znieść myśli, że będą kroić Davida jak prosię. Prosiłam przez łyzy, żeby oszczędzić nam tej zniewagi. Przyczyna śmierci była oczywista – nagłe zatrzymanie krążenia. Lekarz obiecał uszanować moją wolę i odstąpić od sekcji. Wystarczyło, że musieli zabrać Davida do kostnicy. Chciałam go zawieźć z powrotem do domu.

Słońce zaczęło już wstawać nad horyzontem i świat szykował się do powitania nowego dnia. Byłam wzburzona, że życie toczy się dalej normalnym trybem. Pobiegłam myślami w stronę Angeli, która wyjechała do szkoły z internatem w Afryce Południowej i nie miała pojęcia, że jej ukochany ojciec nie żyje. Nie mieściło mi się w głowie, że David nigdy już nie zobaczy swojej Pip, że nie będzie mógł obserwować, jak jego córeczka zmienia się w dorosłą kobietę. Musiałam porozmawiać z Betty i z rodzicami, żeby przekazali wiadomość Angeli, zwolnili ją ze szkoły i przywieźli do mnie. Ogarnęło mnie poczucie całkowitej beznadziei – jak sobie poradzę sama, bez bratniej duszy u boku? To się stało zbyt wcześnie – David miał zaledwie pięćdziesiąt siedem lat, ja dopiero czterdzieści trzy, spędzaliśmy długie godziny, snując plany, czym się zajmiemy na emeryturze. Wszystkie nasze marzenia rozwiały się w pył.

Sheila i Jim przyjechali do szpitala i zabrali mnie do siebie. Byłam straszliwie zmęczona. Zanim zapadłam w głęboki sen, ogarnął mnie dziwny spokój, uświadomiłam sobie, że już nic gorszego nie spotka mnie w życiu. Zbyt długo tłumiłam w sobie podejrzenia, że dolegliwości Davida są objawem poważnej choroby – teraz przynajmniej nie musiałam się już o niego martwić. Nie chciałam go zawieźć: musiałam zebrać się na odwagę i stawić czoło nadchodzącym wydarzeniom. Poprzysięgłam sobie w ostatnim przebłysku świadomości, że zrobię wszystko, co w mojej mocy – przez wzgląd na pamięć zmarłego.

Kolejne dni pamiętam jak przez mgłę: depesze, kwiaty, łyzy, coraz więcej ludzi, listy, telegramy i wielka pustka w sercu. Betty przywiozła zrozpaczoną Angełę, która w jakiś tajemniczy sposób wyczuła śmierć ojca, zanim się o niej dowiedziała. Kiedy połączyłyśmy się we trzy z Jill, przynajmniej miałyśmy siebie nawzajem i nie byłam już tak samotna. Mój ojciec podupadł na zdrowiu i rodzice nie mogli przyjechać na pogrzeb, ale na szczęście wsparli mnie Betty i jej najbliżsi. Poza tym zjawili się dosłownie wszyscy, także wstrząśnięci nagłym zgonem Davida pracownicy Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, którzy okazali mi wielką życzliwość. Dyrektor zapewnił, że nie muszę wyprowadzać się z domu należącego do parku – szczerze doceniłam ten piękny gest współczucia.

Do kościoła w Karen ściągnęły takie tłumy, że goście nie zmieścili się nawet na dziedzińcu. W pogrzebie uczestniczyli przedstawiciele najrozmaitszych ras i profesji. Jakby czas przestał istnieć: wszyscy ci ludzie dzielili mój smutek i żalobę. Byłam niezmiernie wzruszona. Kiedy na oczach setek wiernych przeszłam z córkami i siostrami do pierwszego rzędu, Jim zasiadł na chórze. Rozbrzmiały kojące dźwięki organów, w powietrzu rozniosła się woń kwiatów z niezliczonych bukietów i wieńców pogrzebowych. David doceniłby to połączenie piękna i patosu. Trumna przyjechała do kościoła na pace naszej ukochanej Bryki

Pani Poon, udrapowana flagą parków narodowych, która kiedyś dumnie powiewała nad drewnianym bungalowem w Tsavo. Postanowiliśmy złożyć ją w grobie razem z ciałem Davida – na znak końca pewnej epoki.

Trumnę mojego męża przy wtórze hymnu *Cudowna Boża łaska* wnosili przed ołtarz na barkach przyjaciele, współpracownicy i najbliżsi krewni. Pastor – kolega Petera i Billa ze szkolnych czasów w „Patch” – wygłosił poruszające kazanie na motywach Ksiąg Izajasza i Hioba, podkreślając opiekę, jaką Bóg roztoczył nad światem natury i swoim stworzeniem, zamieszkującym takie miejsca, jak Tsavo. Zapewnił wiernych, że David zaskarbił sobie łaskę Stwórcy, poświęciwszy całe życie na bezinteresowne dzieło ochrony przyrody. „Zła ani krzywdy nie wyrządzą na całej świętej mej Górze” – te słowa z Księgi Izajasza poleciłam wyryć na wielkim głazie z Tsavo, który później miał stanąć na grobie Davida na cmentarzu w Nairobi. Po kazaniu zabrzmiał hymn *Bądź przy mnie, Panie*. Teraz już prawie wszyscy płakali. Trumna Davida opuściła świątynię przy dźwiękach marsza pułkowego King’s African Rifles *Funga Safari* („Szykuj się do wymarszu”) – melodii, którą często nucił pod nosem, ilekroć wybieraliśmy się na wytęsknione safari w buszu.

David spoczął na cmentarzu Langata. Kiedy opuszczano trumnę do grobu i miałam rzucić garść ziemi na wieko, w końcu się załamałam – najgorsza chwila w moim życiu, nie wiem, jak poradziłabym sobie bez córek. Zebraliśmy się na stypie u Sheili. Pomyślałam sobie, że David by się wzruszył, ujrawszy w naszych oczach tyle podziwu, szacunku, miłości i uwielbienia, a zarazem smutku i niedowierzania. Nazajutrz wróciłam na cmentarz i odbyłam w myślach czułą rozmowę ze zmarłym mężem, sadząc na grobie akację wyhodowaną z nasiona przez naszego przyjaciela Lesliego Browna. Ten gatunek akacji, o pniach i gałęziach pokrytych żółtą korą, był żywym symbolem miejsc, które David kochał najbardziej. Rudyard Kipling unieśmiertelnił to wspaniałe drzewo w opowiadaniu *Słoniątko* ze zbioru *Takie sobie bajeczki*.

Razem z Angelą i Jill pojechałyśmy do moich rodziców, którzy wrócili do bungalowu dziadka Webba w Malindi. Okazali się dla mnie ogromną pociechą w tych trudnych chwilach i pomogli mi zrzucić z serca nieznośny ciężar. Kiedy nadeszła pora, by dziadkowie zabrali dziewczęta z powrotem do Afryki Południowej, ruszyłyśmy z Sheilą do Nairobi. Rozpoczął się bolesny proces odbudowy mojego zrujnowanego życia. Martwiłam się, skąd wezmę pieniądze na utrzymanie – bez żadnej pensji ani godziwej renty – i gdzie się teraz podzięję z Angelą. Do domu, który dzieliliśmy z Davidem, wkrótce miał się wprowadzić inny pracownik parku w Nairobi. Zastanawiałam się nawet, czy nie poprosić dyrektora o pozwolenie na rozbicie namiotu, dopóki nie zdołam się jakoś pozbierać, kiedy znów się cudownie ziściło powiedzenie babci Webb: „Kiedy jedne drzwi się zamykają, otwierają się kolejne”. Przed upływem kilku miesięcy dostałam propozycję pracy i miejsca stałego zamieszkania.

Bob Poole, dyrektor nairobijskiego biura African Wildlife Foundation, zaproponował mi pisanie artykułów do magazynu krajowego zrzeszenia Klubów Miłośników Przyrody, które powstały przy wielu szkołach w Kenii. Ich celem było uwrażliwienie miejscowej

młodzieży na wartość dziedzictwa naturalnego i ochronę dzikich zwierząt, wzbudzających dotąd negatywne skojarzenia z zagrożeniem dla pól i wędrowców. Peter, Bill, John Sutton i inni nasi przyjaciele zdołali namówić rząd, żeby udzielił mi zezwolenia na budowę małego ośrodka na terenie Parku Narodowego Nairobi, gdzie mogłabym kontynuować swoją pracę ze zwierzętami. Pani Poon, Dobra Samarytanka, która ofiarowała Davidowi słynną Brykę, zgodziła się łaskawie przekazać środki na konstrukcję niewielkiego bungalowu z drewnianych prefabrykatów. Wciąż miałam poczucie, że David trwa przy mnie. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, trafiwszy do spirytystki. Nie znałam jej wcześniej, ona też nic o mnie nie wiedziała, a mimo to opisała Davida w najdrobniejszych szczegółach, zapewniając, że ten mężczyzna ciągle mi towarzyszy.

Wspólnie z Peterem wybraliśmy miejsce pod mój nowy dom. Władze fundacji postawiły nam tylko jeden warunek: że bungalow stanie w zasięgu istniejących źródeł wody i elektryczności Parku Narodowego Nairobi. Zdecydowaliśmy się na kawałek skalistego terenu nad niewielką rzeką okresową, około dwustu metrów od naszej dotychczasowej siedziby. Spodobał mi się pomysł, żeby urządzać się nad strumieniem, nawet jeśli miał się pojawiać tylko podczas opadów. Tak długo mieszkalam na jałowej ziemi, że możliwość obcowania z kojącym szumem rzeki wydała mi się nadzwyczaj kusząca. Sam teren przedstawiał się dość ponuro – żadnych rozłożystych drzew, tylko skały i niskie zarośla krotonów. Parkowy las był jednak tuż obok, a brat zwrócił mi uwagę na pożytki ze skalistego podłoża, które dało się wykorzystać jako naturalny fundament pod budowę domu. W tamtej chwili zadowolilibym się czymkolwiek, byle tylko mieszkać wśród dzikiej przyrody. Wszelkie niechęci i upodobania uznałam za błahostki. Byłam głęboko wdzięczna rządowi Kenii, że obdarzył mnie wyjątkowym przywilejem osiedlenia się w Parku Narodowym Nairobi, dzięki czemu mogłam osiągnąć przynajmniej stabilizację w życiu.

Po śmierci męża doświadczyłam mnóstwo ludzkiej serdeczności i czułej troski, którą przyjmowałam ze szczerym wzruszeniem. Bob Poole, Peter, Bill i John Sutton wspierali mnie na każdym kroku. W tajemnicy przede mną obmyślili kolejny plan, który miał zaważyć na reszcie mojego życia. Za pośrednictwem Boba Poole'a i African Wildlife Foundation zorganizowali Apel Pamięci Davida Sheldricka, aby spożytkować dary napływające po śmierci Davida i pozyskać dodatkowe fundusze na ochronę przyrody. Inicjatywa spotkała się z nadspodziewanie przychylnym przyjęciem. Bob zasugerował, żebym stanęła na czele komisji oceniającej, czy przedstawione projekty zyskałyby aprobatę Davida. Podjęłam to zobowiązanie z prawdziwą przyjemnością – głęboko nim poruszona i dumna ze spuścizny po swoim mężu. Jego dokonania odcisnęły się mocnym piętnem w świadomości ludzi na całym świecie. Tragicznym zbiegiem okoliczności, zaledwie kilka miesięcy po zgonie Davida, Bob Poole zginął w wypadku samochodowym na drodze do Mombasy – w środowisku obrońców przyrody zabrakło kolejnego dobrego człowieka, który odszedł stanowczo zbyt wcześnie. Jego śmierć była dla mnie szokiem, zwłaszcza że widzieliśmy się poprzedniego dnia: opowiadał mi, że pochodzi z długowiecznej rodziny, więc ma nadzieję przez długie lata pozostać na czele African Wildlife Foundation i nadzorować działania Apelu

Pamięci Davida Sheldricka.

Upłynął rok, zanim wprowadziłam się do swojego domu z prefabrykatów. Dzięki temu, że mieszkałam tuż obok, mogłam obserwować budowę od samego początku. Zaprzyjaźniłam się w tym czasie z panem majstrem Muturi, z którym rozmawialiśmy na najróżniejsze tematy, począwszy od powstania Mau Mau, a skończywszy na niedawnym zaprzysiężeniu Daniela arap Moi, który został prezydentem Kenii po śmierci Jomo Kenyatty w 1978 roku. Pan Muturi okazał się tak uprzejmy, że zrobił mi przeszklone szafy na księgozbiór Davida, półki na moje bibeloty i wielki kominek w salonie, żebym mogła się ogrzać w chłodne, ponure noce. Był dla mnie wcieleniem dobroci.

Kiedy nadszedł dzień przeprowadzki, w pocie czoła z Mwangangim i panem Muturi przenieśliśmy cały mój dobytek przez płot z drutu kolczastego, który odgradzał osiedle dla pracowników od właściwego parku. Pierwszej nocy w nowym domu czułam się wyjątkowo samotnie. Jill przebywała w Namibii, Angela wróciła niedawno do szkoły. Tęskniłam za jakąś pamiątką z Tsavo, więc następnego dnia spytałam Daniela Sindiyo, dyrektora Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, czy przy okazji kolejnego transportu mógłby mi przywieźć trochę płaskich kamieni z rzeki Galana. Zgodził się bez wahania. Skoro kamienie dotarły, pan Muturi ułożył je w stos na werandzie. Dużo później, kiedy potrzebowałam własnego biura, zrobił z nich dobudówkę i obłożył ją drewnem cedrowym, które przypominało mi lata spędzone w Cedar Park.

Sprowadziłam też ładunek osadów mineralnych znad brzegów Magami, jednego z najbardziej zasolonych jezior w Wielkim Rowie Wschodnim, i rozsypałam je na skraju lasu – z myślą o nosorożcach, bawołach, żyrafach i innych dużych ssakach z Parku Nairobi, cierpiących na niedobory pewnych substancji chemicznych. Zwróciłam uwagę, że przez skalistą połąć terenu między lasem a moim domem biegła ścieżka wielu dzikich zwierząt, które wędrowały tędy na sawannę; żyrafy, bawoły i nosorożce z lubością zlizywały sól z ziemi, podobnie jak stada impali, elandów i buszboków, które obserwowałam z dojmującym uczuciem nostalgii. Zwierzęta niosły mi pociechę, zapewniały towarzystwo i spokój ducha. Dzięki nim nigdy nie byłam zupełnie sama, przynajmniej za dnia. Puste i samotne noce bez Davida ciągnęły się jednak w nieskończoność. Myślałam wtedy o słońiach i korzyłam się przed ich siłą, wiedząc, że niemal co dzień godzą się ze stratą swoich najbliższych, że przeżywają ich śmierć głęboko, a zarazem dzielnie, nie zaniebując potrzeb tych, którym udało się zostać przy życiu. Żeby odwrócić kartę, musiałam wziąć z nich przykład.

Dnie spędzałam pracowicie, pisząc artykuły o przyrodzie, dzieląc się wszystkim, czego David nauczył mnie o zwierzętach, kiedy otworzył mi oczy na otaczającą naturę. Dokarmiłam ptaki, które ku mojej uciechu coraz bardziej się oswajały, ustawiając się rzędkiem po codzienną porcję okruszków i mączników. Miałam swoich ulubieńców, na których wołałam „Chrupki”: były wśród nich złotokosy, dzierzyki, bilbile i pewien drozd żółtodzioby, który co rano pukał mi dziobem w okno. Mnóstwo radości przyniosła mi rodzina guźców, która urządziła sobie kryjówkę w pobliskiej norze – zwierzaki szybko skojarzyły moją obecność z ochroną przed drapieżnikami. Kiedy maciora pojawiła się z ostatnim ocalałym warchla-

kiem, który kuśtykał ze złamaną nogą, popadłam w nie lada rozterkę. Nie kwapiłam się ze zgłoszeniem sprawy do Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem: miałam obawy, że warchlak zostanie odłączony od matki i wyląduje jako eksponat w jakimś podejrzanym zoo. Nie byłam jednak pewna, czy powinnam zaopiekować się maciorą z młodym. W końcu zdałam się na maksymę Davida: „Skoro masz wątpliwości, nic nie rób” – w poczuciu, że lepiej zostawić oboje w spokoju.

Warchlak okazał się samicą. Noga wkrótce się zrosła i jedyną pamiątką po wypadku była lekka kulawizna. Chrumcia – bo tak nazwałam małą – wyrosła na świnię w pełni zdolną do życia na swobodzie. Co więcej, odegrała jedną z głównych ról w nieustającym przedstawieniu z udziałem guźców, któremu zawdzięczam mnóstwo nieznanych nauce szczegółów zachowań tych zwierząt. W pozostałych rolach wystąpili członkowie rodziny Wiecznych Optymistów, złożonej z maciory, czworga warchlaków i córki z poprzedniego miotu, pełniącej funkcję niańki. W pojedynczym miocie przychodzi na świat zaledwie czworo małych guźców. Przez pierwsze trzy tygodnie samica ukrywa je w norze – o niedawnym porodzie świadczą tylko jej powiększone sutki. Przedtem nie wiedziałam, że wyprowadzone z kryjówek warchlaki stają się natychmiast celem dzieciobójczych zapędów innych guźców w okolicy. Mimo niewielkiego kalectwa, Chrumcia wykazywała się iście diabelskim sprytem w eksterminacji kolejnych pokoleń Wiecznych Optymistów. Polowała z zasadzki, rzucając się na warchlaka, żeby go zagryźć i pożreć. Kanibalistyczne skłonności guźców były dla mnie dość przykrą niespodzianką. Zdawałam sobie sprawę, że świnię są wszystkożerne i od czasu do czasu lubią sobie wzbogacić roślinną dietę odrobiną mięsa, ale naprawdę nie miałam pojęcia, że w grę może wchodzić zjedanie młodych własnego gatunku!

Uświadomiłam sobie, że niedoświadczona maciory pierwiastka może stracić większość potomstwa, a nawet cały miot. Guźce są jednak bardzo inteligentne, podobnie jak ich udomowieni krewni; bardziej doświadczona samica wyprowadza warchlaki z nory tylko wtedy, gdy w okolicy nie ma zbyt wielu obcych świń. Warchlaki szybko się uczą, by podczas ucieczki zataczać ciasne kręgi, zbijając w ten sposób z tropu dorosłe, mniej zwinne osobniki. Jeśli młodym uda się przetrwać kilka tygodni po wyjściu z kryjówek, sytuacja stopniowo wraca do normy i zostają przyjęte w poczet zasiedziałej wspólnoty guźców. Mądrzejsza po szkodzie maciory wybiera jedno młode, zwykle płci żeńskiej, i wyznacza je do opieki nad swoim kolejnym miotem. Czym się kieruje samica przy wyborze niańki i skąd się bierze późniejsze zaangażowanie opiekunki w powierzone jej zadanie – wciąż pozostaje jedną z pilnie strzeżonych tajemnic natury. Niańka jest gotowa poświęcić życie w obronie warchlaków swojej matki, tymczasem jej rodzone siostry i bracia włączają się w proceder dzieciobójstwa. Kiedy niańka osiągnie dojrzałość płciową, obydwie samice synchronizują ruję, żeby wydać na świat czworo potomstwa mniej więcej równocześnie. Później dzielą się opieką nad młodymi z obydwu miotów, dopuszczając do sutek wszystkie warchlaki i dbając o nie jak o własne. Jeśli któraś z macior padnie ofiarą drapieżnika, druga przejmuje pieczę nad całym przychowkiem.

Nianię Wiecznych Optymistów nazwałam Małą Wieczną Optymistką, maciorę zaś – Tłustą Wieczną Optymistką. Obserwowałam, jak z powodzeniem odchowały kilka miotów i uchroniły je – nie bez mojego udziału – przed zakusami Chrumci. I wtedy wydarzyło się nieszczęście. Pewnego dnia Mała Wieczna Optymistka pojawiła się w opłakanym stanie, z ryjem ciasno zakleszczonym w sidła. Z pomocą Mwangangiego udało mi się zarzucić jej koc na głowę i usunąć drucianą pętlę, ale w tym czasie Tłusta Wieczna Optymistka zdążyła wyprowadzić z nory siedmioro z ośmiorga warchlaków i wbiec prosto na stado lwów, czatujących nieopodal domu. O tragedii, jaka się później rozegrała, świadczyły tylko ślady krwi. Lwy pożarły albo wyniosły dokądś całą rodzinę. Uwolniona z sideł Mała Wieczna Optymistka wróciła do nory, gdzie został już tylko Tomcio Paluch, najmniejszy warchlak z miotu. W odpowiednim czasie wywabiła malucha z kryjówki. Choć Chrumcia dokładała wszelkich starań, żeby go dopaść, dzięki naszej pomocy zdołał jakoś przetrwać i wyrósł na pięknego knura, nieodłącznego towarzysza swej matki, Małej Wiecznej Optymistki.

Kiedy maciora znów urodziła młode, nie mogła już liczyć na pomoc nianki i w opiece nad dziećmi – aczkolwiek niechętnie – wyręczył ją Tomcio Paluch. Bardzo mnie to zdziwiło, bo samce są zwykle bardzo agresywne wobec nowo narodzonych warchlaków. Przekonaliśmy się przy wielu zabawnych okazjach, że Tomcio nie czuł się najlepiej w swojej nowej roli. Bywały dni, kiedy ogarniało go zwątpienie i najchętniej zostawiłby maluchy, żeby wybrać się dokądś z rówieśnikami, zawracał jednak po chwili wahania i znów wcielał się w niankę, cierpliwie znosząc żywiołowe powitanie przez rozkochane w nim warchlaki, które gromadziły się wokół z radosnym kwikiem i pochrząkiwaniem, trącając go z impetem ryjkami.

Pisząc artykuły na zamówienie Klubów Miłośników Przyrody, przewertowałam mnóstwo czasopism fachowych. Dzięki własnym doświadczeniom w terenie mogłam bez trudu wychwycić błędy w niektórych tekstach. Przypisałam je ograniczeniom metod naukowych, które wzbraniają badaczom „antropomorfizowania” zwierząt, zmuszając ich tym samym do karkołomnej nieraz interpretacji konkretnych zachowań. Tymczasem wystarczy je porównać z reakcją ludzkich zwierząt w podobnych okolicznościach.

Tuż przed śmiercią David współpracował z Simonem Trevorem przy filmie dokumentalnym o rozmiarach kłusownictwa w Tsavo. Simon był kiedyś jednym ze strażników w naszym parku, później jednak zajął się kręceniem dokumentów. Gangi somalijskich rebeliantów *shifto*, uzbrojone w kałasznikowy, zabijały teraz całe stada słoni. Ich ofiarą padł między innymi nasz ukochany Bukanezi, zgładzony wraz z sześćdziesięciorgiem pobratymców w masowej rzezi w dolinie rzeki Voi, nieopodal siedziby dyrekcji parku. Jeszcze bardziej zasmuciła mnie wieść, że Eleanor została przetransportowana w pobliże szosy i musiała godzinami wystawać przy uczęszczanych szlakach, żeby jej przekupni opiekunowie mogli wymuszać pieniądze od przechodzących turystów. Tsavo, podobnie jak wszystkie parki narodowe, zmieniało się błyskawicznie w „strefę zakazaną”. Wkrótce sytuacja na tyle się pogorszyła, że ruch turystyczny właściwie ustał.

Zdaniem Simona i innych przyjaciół, którym dobro Tsavo leżało na sercu, zostało już

tylko jedno rozwiązanie: uświadomić skalę dokonującej się na naszych oczach katastrofy świeżo zaprzysiężonemu prezydentowi Danielowi arap Moi. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że film *Krwawa kość słoniowa* wzbudzi kontrowersje: Simon napiętnował w nim nieudolną politykę nowego rządu w dziedzinie ochrony przyrody. Niemniej wiedzieliśmy, że mamy obowiązek ujawnić ten zbrodniczy proceder i że właśnie tego oczekiwały od nas David. Dzięki wstawiennictwu Richarda Leakeya, który był wówczas dyrektorem Muzeów Narodowych i znał osobiście prezydenta Moi, udało się zorganizować spotkanie w jego siedzibie.

Simon postanowił, że dochody z filmu staną się zaczątkiem funduszy Apelu Pamięci Davida Sheldricka i będą przeznaczone na program ratowania kenijskiej populacji nosoroźca czarnego przed wyginięciem. Jak przewidział David, z trzydziestu nosoroźców, które przychodziły kiedyś regularnie do wodopoju w obozie safari Voi, nie ostał się żaden, a ich rogi powędrowały w świat. Z dwudziestu tysięcy osobników żyjących przed laty w Kenii około ośmiu tysięcy przypadało na Tsavo; żałosne niedobitki występowały teraz w izolowanych siedliskach i były skazane na zagładę. Nosoroźce są skrajnie terytorialne: pojedyncze ocalałe sztuki nie miały szansy się spotkać w celu przedłużenia gatunku. Musieliśmy natychmiast podjąć działania zaradcze.

Peter zaczął szukać funduszy za granicą, żeby zamontować ogrodzenie elektryczne wokół Parku Narodowego Jeziora Nakuru – który powstał niedawno dla ochrony malowniczych siedlisk flamingów oraz innych gatunków ptactwa wodnego – i założyć tam pierwszy wyodrębniony rezerwat nosoroźców w Kenii. Odpowiednio zabezpieczony teren mógłby stać się rezerwatem hodowlanym, w którym na początek umieścilibyśmy kilka ocalałych sztuk nosoroźca czarnego: odłowionych i przeniesionych w jedno miejsce, żeby mogły się spotkać i rozmnażać. W wyznaczonym dniu zebraliśmy się w siedzibie prezydenta – niegdyś oficjalnej rezydencji gubernatorów Kenii, gdzie przed laty gościła Eleanor. Richard przedstawił nam panu Moi, który zgotował nam bardzo serdeczne powitanie. Był wysokim mężczyzną o pięknych bursztynowych oczach. Film z pewnością zrobił na nim wrażenie. Prezydent pochodził z niewielkiego plemienia mieszkającego nad brzegiem jeziora Baringo, gdzie słonie i nosoroźce dawno już wymarły, miał więc dość mętne wyobrażenie o obydwu gatunkach. Słuchał nas jednak uważnie. Wyszliśmy ze spotkania w poczuciu dobrze spełnionej misji: prezydent nie tylko zgodził się uczestniczyć w premierze *Krwawej kości słoniowej* jako gość honorowy, ale też przygotował specjalne oświadczenie, które miało być uwzględnione w programie wieczoru.

Bałam się tej premiery. Nie znosiłam publicznych wystąpień, nie wiedziałam, jak się zachowam na widok poruszających ujęć z udziałem Davida, nie miałam pojęcia, czy zdołam powstrzymać łzy, kiedy ujrzę nasz dom w Tsavo, jak zareaguję na sceny ze Schmetty, Bunty i resztą ogrodowych sierot, z Eleanor, z odchowanymi przez nas słoniami i nosoroźcami. Sprawy komplikowały się coraz bardziej – wciąż wypatrywaliśmy naszego gościa honorowego i publiczność zaczęła się niecierpliwić. Z początku dostaliśmy informację, że prezydent się spóźni, wkrótce jednak się okazało, że w ogóle nie dotrze na miejsce.

Zdołałam jakoś wydukać swoje przemówienie i wytrwać do końca filmu, na wszelki wypadek zamykając oczy, kiedy na ekranie pojawiał się David bądź któryś z naszych zwierzaków. W foyer otoczył mnie tłum widzów. Wielu nie kryło łez. Odpowiadałam na ich ciepłe słowa niczym z otchłani jakiegoś koszmaru. Poczułam się lepiej dopiero wówczas, kiedy podszedł mnie uściskać David Read, przyjaciel mojego męża z czasów działań wojennych w Birmie i Abisynii. Mieszkał teraz w Nairobi i postanowił dołożyć wszelkich starań, żeby mnie podnieść na duchu. Read często gościł u nas w Voi. Nigdy się nie nudziłam, słuchając jego niewiarygodnych wspomnień z dzieciństwa, które spędził na szalonych zabawach z masajskimi rówieśnikami, podczas gdy jego matka urabiała się po łokcie w sklepiku pod Narokiem w kraju Masajów. Pierwszym językiem Davida był masajski, a jego najlepszym kumplem – obecny członek starszyzny plemienia. Read miał psotne iskierki w oczach i zawsze był skory do śmiechu, w czym przypominał mojego ukochanego Davida.

Kilka miesięcy później nastąpił kolejny niespodziewany zwrot wydarzeń. Pewien kardynał z Watykanu zwrócił się do rządu kenijskiego z propozycją wizyty papieskiej i dodał, że Ojciec Święty chciałby przy tej okazji pobłogosławić jakiegoś słonia. Dyrektor Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem od razu pomyślał o sierotach z Tsavo i poprosił mnie o pomoc. Ponieważ nie mieliśmy do dyspozycji żadnego młodego osobnika – Eleanor już dorosła – dostrzegłam w tym idealną sposobność, żeby nagłośnić sprawę tragicznej sytuacji nosorożców. Co więcej, umiałam wskazać obiekt papieskiego błogosławieństwa – osieroconą samicę z Lewa Downs niedaleko miasta Isiolo na północnym wschodzie kraju. Pracownicy rezerwatu potrzebowali mojej rady, kiedy stan małej drastycznie się pogorszył wskutek niewłaściwego karmienia mlekiem krowim – zamiast wypróbowaną mieszanką, której skład przekazałam już wcześniej zarządcom Lewa Downs. Byłam zaskoczona, że woleli posłuchać miejscowego weterynarza, a przecież na Lactogenie udało mi się odchowić już cztery osierocone nosorożce.

Dyrektor zaakceptował moją sugestię i przekazał ją kardynałowi, który obiecał, że wkrótce da nam odpowiedź. Tymczasem minęło pięć miesięcy, przez które sierotka z Lewa Downs zdążyła trzykrotnie przybrać na wadze – nosorożce rozwijają się dwa razy szybciej niż słonie i żyją o połowę krócej. Uznałam jednak, że jakoś sobie poradzimy – samica okaże się równie łagodna, jak nasze sieroty z Tsavo, a papież najwyczejniej w świecie poleci do Lewa Downs i tam odprawi swoje błogosławieństwo. Nic z tych rzeczy: dyrektor oznajmił kategorycznym tonem, że papież pobłogosławi nosorożca nie w Lewa, tylko w Masai Mara, jednej z największych atrakcji turystycznych Kenii. Struchlałam na samą myśl, że samicę trzeba będzie przetransportować w narkozie, co zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem. Mimo moich protestów dyrektor pozostał niewzruszony: kwestię uzgodniono na najwyższym szczeblu i liczone tylko, że oboje z Peterem dopilnujemy wszystkiego, jak należy.

Peter stał wówczas na czele programu ochrony nosorożca, prowadzonego przez Wydział Ochrony i Zarządzania Środowiskiem. Pojechaliśmy we dwójkę do rezerwatu w Lewa Downs, gdzie przedstawiono nas Samii – sierotce, która wkrótce miała dostąpić

błogosławieństwa – oraz jej ukochanej opiekunce, pani Annie Merz. Wiedzieliśmy z własnego doświadczenia, że małe nosorożce po odłączeniu od „matki” czują się skrajnie zagrożone – dopóki nie oznaczą terenu własnym zapachem, zadomowione w rewirze osobniki mogą je w każdej chwili zabić. Poza tym nosorożce sieroty nawiązują silną więź z osobą, która je wykarmiła – w tym przypadku z Anną Merz. Przekonałam się nieraz, i to boleśnie, że lepiej przyzwyczajać osieroconego nosorożca do kilkorga opiekunów. Od razu zwróciłam uwagę, że Samia pozbawiona towarzystwa Anny robi się bardzo nerwowa.

Do wizyty papieskiej zostały zaledwie dwa tygodnie. Skoro mieliśmy wziąć pełną odpowiedzialność za zachowanie zwierzęcia w obecności dostojnego gościa, musieliśmy jakoś je uspokoić. Na razie Samia była zbyt rozbrykana, żeby dopuścić ją do papieża bądź do osób z jego świty. Po długiej dyskusji z Peterem doszliśmy do wniosku, że mamy tylko jedno wyjście – natychmiast oddzielić małą od Anny, przetransportować ją samolotem do Masai Mara i przydzielić jej „papieża” zastępczego, czyli mężczyznę odzianego w białe szaty, żeby zdążyła oswoić się z takim widokiem, zanim nadejdzie dzień próby. Nasza propozycja spotkała się ze zrozumiałym oburzeniem. Atmosfera nie poprawiła się aż do chwili, kiedy wreszcie odlecieliśmy z Lewa Downs – z uśpioną Samią w asyście weterynarza.

Pracownik Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, obleczony w białe prześcieradło, przystąpił do osvajania i treningu wkrótce po wylądowaniu małej z samolotu. Potroiłam Samii rację mleka i wyposażyłam „papieża” w spory zapas smakołyków dla nosorożców, żeby miał czym ją nagradzać za dobre zachowanie. Po powrocie do domu z rosnącym niepokojem oczekiwaliśmy codziennych raportów z postępów naszej sierotki. Z początku trener musiał wykazać się dużą zwinnością, żeby uniknąć stratowania, ale po kilku dniach karmienia większymi porcjami Samia najadła się do syta i odzyskała spokój. Po tygodniu przestała się denerwować wśród obcych, a co ważniejsze, nie wpadała w panikę na widok postaci odzianej w biel, spodziewając się nagrody i dodatkowej porcji mleka.

Kiedy nadszedł wielki dzień i prawdziwy papież wraz z towarzyszącymi mu dostojnikami wsiadł w samolot do Masai Mara, żeby odprawić błogosławieństwo, oboje z Peterem przypominaliśmy dwa ludzkie wraki, przyklejone do głośnika radiostacji i uczone ostatniej nadziei, że wszystko pójdzie dobrze. Na szczęście błogosławieństwo skończyło się wielkim sukcesem, choć papież ze względów bezpieczeństwa musiał stanąć za Samią. Ceremonia była transmitowana przez telewizję na całym świecie i nasz apel o ratowanie nosorożców zyskał ogromną widownię. Przedsięwzięcie miało też swoje ujemne strony: Anna Merz obraziła się na amen, mimo że podopieczna wróciła do niej znacznie pulchniejsza i bardziej zrównoważona.

Tymczasem – tak jak się obawiałam – małżeństwo Jill z Alanem Cravenem okazało się pomyłką i oboje zdecydowali się na separację. Jill wróciła do Kenii; z pomocą znajomych zbudowaliśmy dla niej chatkę tuż przy moim domu z prefabrykatów. Bardzo się ucieszyłam, że znów mam córkę przy sobie, ze względu nie tylko na jej urocze towarzystwo, lecz także na podobne zaangażowanie w sprawę ochrony przyrody. Jill była szczęśliwa, że znów

może prowadzić proste, zgodne z naturą życie wśród afrykańskiej głuszy. Zatrudniła się na pół etatu u zaprzyjaźnionego właściciela firmy organizującej safari, resztę czasu poświęcając coraz liczniejszym sierotom, które zaczęły się u mnie pojawiać – przede wszystkim dwóm małym dujkerom, znalezionym podczas żniw na jednym z pól pszenicy w głębi kraju. Niedługo miał powstać serial telewizyjny na podstawie powieści Elspeth Huxley *The Flame Trees of Thika* – w obsadzie znalazło się mnóstwo zwierząt, zarówno domowych, jak i z buszu. Filmowcy zwrócili się do nas z prośbą o wypożyczenie małych dujkerów na czas kręcenia zdjęć. Zgodziłyśmy się pod warunkiem, że Jill będzie mogła opiekować się nimi na planie. Skończyło się na tym, że Jill otrzymała posadę głównego nadzorca zwierząt, a nasze dujkery miały wkrótce zadebiutować na srebrnym ekranie.

Praca na planie filmowym okazała się przełomowym doświadczeniem dla mojej córki, która nie tylko musiała doglądać kameleonów, kurcząt, koguta, psów, kotów, wołów, mułów, koni, kozy i dzikich ptaków w klatkach, ale też nawiązała bardzo bliską więź z pewnym Francuzem, który zajmował się rekwizytami. Porozumiewała się z nim na migi albo za pośrednictwem słownika, ale zorientowała się w lot, że mają ze sobą wiele wspólnego. Po zakończeniu zdjęć rekwizytor zaprosił ją do Francji. Jill nigdy nie wyjeżdżała z Afryki, więc dostrzegła w tym doskonałą sposobność, żeby zwiedzić trochę Europy. Sprowadziwszy do domu dujkery oraz Barona – koguta z gołą szyją, który w przeciwnym razie wylądowałby w garnku – wybrała się na długie zamorskie wakacje.

Tymczasem Angela skończyła szkołę średnią i podjęła studia graficzne na Uniwersytecie Kapsztadzkim. Wyrosła na olśniewającą piękność, rozmiłowaną w szykownych strojach i wielkomiejskim życiu. Dążyła do mistrzostwa we wszystkim, czego się podjęła, począwszy od uprawiania sportów, a na działaniach artystycznych skończywszy. Często się zastanawiałam, jakim cudem sprowadziliśmy z Davidem na świat tak utalentowaną córkę, która umiała sobie poradzić w każdej sytuacji.

Ledwie Jill wyjechała do Francji, zadzwonił do mnie dyrektor Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem – z prośbą o pomoc dla dwóch osieroconych słońtek, które właśnie przybyły do sierocińca przy siedzibie parku. Obydwa padły ofiarą szerzącej się w kraju plagi kłusownictwa. Poczułam się mile połączona: po doświadczeniach ze Schmetty byłam więcej niż pewna sukcesu. Obiecałam uczynić wszystko, co w mojej mocy. Zaopatrzyłam się w sprawdzoną mieszankę i pojechałam do sierocińca. Wzięłam też ze sobą dużą butelkę wina, trzepaczkę do jajek, wagę kuchenną i łyżkę – sprzęty niezbędne do przyrządzania pokarmów dla małych słoń.

Słońtka dostały już imiona: samczyk nazywał się Juma, na samiczkę wołano Bibi. Obydwa miały nie więcej niż kilka tygodni – ich skórę pokrywał jeszcze delikatny niemowlęcy meszek. Strażnicy z sierocińca nie byli zachwyceni perspektywą karmienia maluchów co trzy godziny przez całą dobę ani podmywania im pupy po luźnych stolcach, które należało natychmiast zasypywać ziemią. Kazałam im rozścielić świeże siano na betonowej podłodze dwóch sąsiadujących boksów i codziennie wyprowadzać słońtka, żeby mogły pobrykać na podwórku – oczywiście pod czujnym nadzorem.

Wkrótce zdałam sobie sprawę, że słońątka będą wymagały nieustannej obecności opiekunów, zwłaszcza w nocnych porach karmienia. Słoniowe noworodki są pod tym względem bardzo kapryśne; musiałam się jeszcze wiele nauczyć, żeby zapewnić im prawidłowy rozwój na tym etapie odchowu. Z początku butelki z mlekiem dosłownie fruwały w powietrzu – a my razem z nimi. Nafaszerowanie maluchów dostateczną ilością pokarmu wymagało iście anielskiej cierpliwości. Dlatego co trzy godziny, przez całą dobę, dojeżdżałam dwadzieścia kilometrów do sierocińca, żeby nadzorować karmienie i sprawdzać, co wyleci z drugiej strony. Słońątka są bardzo podatne na biegunki i dolegliwości żołądkowe. Bywa, że jednego dnia jest wszystko w porządku, a nazajutrz maleństwo zdycha, musieliśmy więc troskliwie doglądać naszych sierot i dostarczać im wciąż nowych bodźców. Miały dni, tygodnie i miesiące, a słońątka wręcz kwitły.

Juma był śmiały i bardzo kontaktowy. Uwielbiał drażnić się z lwem w sąsiedniej klatce, który śledził każdy jego ruch przenikliwym spojrzeniem żółtych ślepi. Juma podbiegał do klatki z podniesionym łbem i rozpostartymi uszami, czekając na nieuchronną reakcję. Lew warował przy ziemi, jakby gotował się do skoku, a gdy przypadał do siatki z ogłuszającym rykiem, Juma w mgnieniu oka odwracał się zadem i pędził w przeciwnym kierunku, ciągnąc za sobą Bibi, która nie była aż tak odważna i czuła respekt przed hałaśliwym sąsiadem. Z czasem pracownicy nauczyli się obsługiwać swoich podopiecznych, skądinąd rozkosznie przyklepnych, mogłam więc liczyć na wsparcie w dziennych porach karmienia. Nie odważyłam się jednak zostawić słońątek samych nocą. Przez cały rok dojeżdżałam co trzy godziny od zmierzchu do świtu, żeby dopilnować wydawania posiłków. Czasem rezygnowałam z powrotu do domu, nastawiałam budzik i drzemałam w zaparkowanym samochodzie, aż nadszedł czas kolejnego karmienia. Musiałam się przestawić na wyczerpujący, nocny tryb życia.

Wiedziałam, że jeśli nasi podopieczni mają wyrosnąć na „prawdziwe” słonie, powinienam je odstawić pod opiekę Eleanor w Tsavo. Juma i Bibi stały się wkrótce wielką atrakcją sierocińca – tłumy ludzi ściągają codziennie, żeby obejrzeć je podczas zabawy. Wkrótce po pierwszych urodzinach słońątek uznałam, że czas najwyższy wystarać się o ich transport do Tsavo. Wychowane w częściowej niewoli, wprowadziłyby pożądaną odmianę w życiu Eleanor, która mogłaby je wyposażyć w umiejętności niezbędne do przetrwania na swobodzie. Przekonanie stosownych władz wymagało nie lada perswazji, udało się jednak zyskać pozwolenie. Tak się złożyło, że przed wyjazdem musieliśmy przeprowadzić zabiegi chirurgiczne u obydwu słoni: Juma trochę przesadził z dokuczaniem lwu, który w końcu ugryzł go w trąbę; Bibi nie chciała zejść opuchlizna z przedniej nogi i dopiero prześwietlenie wykazało, że przyczyną kulawizny jest odłamek kości w okolicy stawu.

Juma zdjął sobie wszystkie szwy z czubka trąby, przydeptując ją stopą. Mała Bibi nie wybudziła się z narkozy, mimo rozpaczliwych wysiłków pięciu najlepszych weterynarzy z Nairobi, którzy asystowali przy operacji. Nie prowadziliśmy dotąd zabiegów w znieczuleniu ogólnym u tak młodych słoni i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że są aż tak wrażliwe na anestetyki. Roczemu słońątku wystarczy zaledwie ułamek dawki dostosowanej do wagi

dorosłego zwierzęcia – kolejna lekcja, której musieliśmy doświadczyć na własnej skórze. Z przerażeniem obserwowałam zabieg, który w założeniu miał być banalną interwencją chirurgiczną, a w rezultacie okazał się całkowitym fiaskiem. I na tym się nie skończyło. Kiedy tylko Juma przybył do Tsavo, Eleanor pokochała go całym słoniowym sercem. Nie wzięłam jednak pod uwagę nadgorliwości dyżurnego strażnika, który stwierdził, że Juma cierpi na zatwardzenie i zrobił mu lewatywę za pomocą węża ogrodowego, co doprowadziło do rozerwania jelit. Minęły dwa tygodnie, zanim dowiedziałam się o jego śmierci. Uwielbiałam te słoniątka i nie posiadałam się z rozpacz po ich stracie. Juma był całkiem zdrowy, żeby uwolnić go od zatwardzenia, wystarczyło podać mu odrobinę brązowego cukru.

To był naprawdę koszmarny czas: plaga kłusownictwa, której ofiarą padały dziko żyjące słonie, szerzyła się w całym kraju. W Tsavo całe stada ginęły od kul z broni maszynowej somalijskich intruzów lub od zatrutych strzał myśliwych Wakamba. Tym odrażającym procederem parali się nawet skorumpowani urzędnicy Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, którzy chcieli się szybko i łatwo wzbogacić na handlu kością słoniową. Rzeź zdawała się nie mieć końca. Czasem sobie myślałam, że David miał szczęście nie dożyć tragedii rozgrywającej się w parku, który zakładał przed laty z takim zapałem i w pocie czoła. Potem jednak nachodziła mnie refleksja, że gdyby wciąż żył, poruszyłby niebo i ziemię, aby coś z tym zrobić.

Otucha przysłała wraz z ponowną nominacją Pereza Olindo, który był dyrektorem parków narodowych w ostatnich latach życia Davida, teraz zaś objął pieczę nad skorumpowanym Wydziałem Ochrony i Zarządzania Środowiskiem. Wkrótce zwrócono się do mnie z kolejną prośbą – o pomoc w odchowaniu słoniątka, które zostało wyratowane z głębokiej rozpadliny w ziemi i przebywało teraz w Ośrodku Safari Maralal. Zgodziłam się, ale spytałam Pereza, czy mogę zająć się słoniątkiem u siebie w domu, bo nie zniósłabym kolejnego roku w nocnych dojazdach do sierocińca przy głównej bramie parku. Osierocony maluch przybył na miejsce w tym samym czasie co David Read, który dotrzymał obietnicy i postanowił mnie „podnieść na duchu”. David zaproponował, żeby nazwać słonika Olmeg – po masajsku „obcy” – pochodził bowiem z terytoriów Samburu, wprawdzie blisko spokrewnionych z Masajami i posługujących się bardzo podobnym językiem, traktowanych jednak jako odrębne plemię.

Mały Omeg był w kiepskiej formie. Zarządca ośrodka w Maralal, pełen najlepszych chęci, karmił go krowim mlekiem i tartą marchewką, co nie zrobiło mu dobrze na brzuszku. Miał też paskudny stan zapalny pępka, który przemyślałam mu wodą utlenioną, na zmianę z Jill – po jej powrocie z Francji. Zanim udało nam się zaopatrzyć w nową porcję simila-cu, karmiłyśmy go rozcieńczoną mieszanką z zapasów po Jumie i Bibi. Na gwałt szukałyśmy miejsca dla naszej nowej sieroty. Miałyśmy tylko mały kurnik, sklecony własnoręcznie z surowego kamienia z myślą o Baronie, gołoszyim kogucie z filmu *The Flame Trees of Thika*, który zdążył się już dorobić kilku żon. Nie pozostało nam nic innego, jak relegować Barona z rodziną do komórki w kuchni, żeby Olmeg mógł zamieszkać w kurniku. Pomysł

okazał się katastrofą – słońiętko najwyraźniej miało klaustrofobię, bo ryczało bez przerwy, aż w końcu nie mogliśmy już tego wytrzymać i wypuściliśmy małego na zewnątrz. Próbowaliśmy go wyprowadzać na półtoragodzinne spacerunki wokół parkingu, żeby się trochę zmęczył, ale i to nie pomogło – ilekroć zabierałyśmy go z powrotem, znów uderzał w ryk, a w dodatku najbardziej lubił się szwendać po nocy. Jill zaproponowała, że weźmie go do swojej sypialni, mimo że wciąż oddawał wodniste, straszliwie cuchnące stolce. Zastąpiłyśmy dywan rozścielonym na podłodze sianem i słońiętko wreszcie usnęło – po kilku nieudanych próbach wdrapania się na łóżko Jill.

Karmienie malucha co trzy godziny tak dało nam w kość, że w dzień ledwo patrzyłyśmy na oczy. Poprosiłam dyrektora Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, żeby przydzielił nam strażnika do pomocy przy dziennym obrzędku, dzięki czemu mogłybyśmy złapać choć trochę snu. Niestety, pomysł się nie sprawdził – strażnik nie przepadał za słoniami, co Olmeg natychmiast wyczuł i odmówił przyjmowania od niego pokarmu.

Opieka nad Olmegiem wyznaczyła przełom w naszym życiu. Uświadomiłyśmy sobie z zaskakującą jasnością, że jeśli nadal zamierzamy odchowrywać osieroczone słońiętka w moim domu przy Parku Narodowym Nairobi, musimy zapewnić im odpowiednie pomieszczenia, zapasy mleka w proszku i specjalnie wyszkolonych opiekunów. Kiedy obydwie z Jill zachodziłyśmy w głowę, skąd wziąć na to pieniądze, przepowiednia babci Webb znów się sprawdziła i drzwi otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tym razem za sprawą doktora Billa Jordana, który właśnie przebywał w Kenii i wpadł do nas zobaczyć Olmega. Zaofiarował się pokryć koszty budowy dwóch stajni dla słońi i zakwaterowania wybranych przez nas opiekunów. Zaproponował też, że prowadzona przez niego organizacja Care for the Wild International udzieli nam wsparcia finansowego w ramach programu adopcji dzikich zwierząt, którego uczestnicy – w zamian za niewielkie datki dla pracowników sierocińca – otrzymywaliby kasety wideo z nagraniami swoich podopiecznych, aktualne informacje o postępach w ich rozwoju oraz inne drobne upominki. Poprosił nas tylko o zgodę na filmowanie osieroconych słońi przez działaczy Care for the Wild. Ofertę Billa przyjęłyśmy skwapliwie i z ogromną wdzięcznością.

Wkrótce los znów się do nas uśmiechnął. Tak się złożyło, że Don Barrett został szefem firmy Wyeth Laboratories, produkującej mleko modyfikowane SMA, o składzie podobnym do similacu, którym karmiłam Shmetty, Jumę i Bibi. W czasie powstania Mau Mau Barrett pracował w urzędzie dystryktu w Maralal, niedaleko od miejsca, gdzie znaleziono Olmega. Obiecał, że mleko, które nie nadaje się do spożycia przez niemowlęta, będzie nam przekazywał bezpłatnie. Poza tym kilkoro zaangażowanych w sprawę malarzy i rzeźbiarzy podzieliło się z nami dochodem ze swoich wystaw. Wszystko to zapewniło nam solidne podstawy do działania, zwłaszcza że przedtem udało się dobrać i przeszkolić pracowników do opieki nad słoniami.

Wkrótce do Olmega dołączył kolejny słońik, którego David Read nazwał Ol Jori („przyjaciel”). Doszły nas też słuchy o następnym sierocie z Tsavo, którego oddano wprawdzie pod opiekę Eleanor, ale okazał się zbyt mały, żeby przeżyć bez mleka. Nie mia-

łam pojęcia, jak rozłączyć słońiętko z Eleanor – na szczęście strażnicy parkowi wpadli na pomysł, żeby złapać je na łąso i przeciągnąć między prętami ogrodzenia, skusiwszy wpięrw Eleanor garścią smakowitych owoców. Słonięk dostał na imię Taru, od dawnej nazwy Tsavo – pustynia Taru. Eleanor była zrozpaczona rozstaniem. Obiecałam sobie po cichu, że gdy podrośnie Ol Jori – starszy od Olmega i Taru – odeślę go do towarzystwa słonięcy i tak wszystko zorganizuję, żeby odstawić go od butelki już w Tsavo.

Po przybyciu Taru zatrudniliśmy Mischaka Nzimiego, byłego stróża nocnego, który wkrótce stał się najukochańszym opiekunem wszystkich osieroconych słoniętek. Mischak miał niezwykły, magiczny wręcz dar empatii, natychmiast wyczuwanej przez nasze maluchy. Potrafił przywrócić chęć życia słoniętku, które już całkiem się poddało i chciało tylko cicho umrzeć. Największym atutem Mischaka – oprócz dobrego serca – były spokój i pewność siebie, na które zwierzęta odpowiadały głęboką, bezwzględną miłością od pierwszego wejrzenia.

Obserwując nieustanny napływ słoniętek i małych nosorożców do naszego sierocińca, władze African Wildlife Foundation podjęły decyzję, że po rozdysponowaniu wszystkich darów Apel Pamięci Davida Sheldricka – traktowany do tej pory jako jeden z projektów fundacji – powinien stać się niezależnym podmiotem prawnym. I tak w 1987 roku Apel przekształcił się w odrębną, samodzielną organizację David Sheldrick Wildlife Trust, kierowaną przez sześćioosobową radę nadzorczą, w której skład weszli między innymi Jill, Bill i Peter. Dawny komitet doradczy, złożony z przyjaciół Davida, podjął się roli „think tanku”, wspierającego działania rady. Na mocy jednogłośnej uchwały zostałam przewodniczącą nowo powstałego Trustu. Długo myśleliśmy nad celnym sformułowaniem założeń naszej misji. Oto słowa, w których udało nam się oddać sedno wizji Davida i podkreślić doniosłość jego dzieła, kontynuowanego za pośrednictwem Trustu:

David Sheldrick Wildlife Trust zamierza poczynić wszelkie kroki mające na celu bezpieczeństwo i ochronę dzikiej przyrody, w tym walkę z kłusownictwem, ochronę naturalnych siedlisk, działalność edukacyjną, upowszechnianie zagadnień związanych z dobrostanem zwierząt, zapewnienie pomocy weterynaryjnej zwierzętom chorym lub ranym, a także organizację akcji ratunkowych oraz opieki nad osieroconymi słoniami, nosorożcami i przedstawicielami innych gatunków, w taki sposób, żeby odchowane zwierzęta mogły z czasem wrócić do życia na swobodzie.

15. ROZKWIŃT

Każdy inteligentny człowiek potrafi rzecz skomplikować. Trzeba iskry geniuszu i wiele odwagi, żeby zrobić coś wręcz przeciwnego.

Albert Einstein

W następnych latach pojawiło się dużo więcej osieroconych zwierząt – słoni, nosorożców i antylop – które zapewniły nam mnóstwo zajęcia. Odchowanie małej antylopy nie przysparzało żadnych kłopotów; w Tsavo mieliśmy do czynienia z przedstawicielami najrozmaitszych gatunków i wykarmiliśmy wszystkie mieszanką mleka krowiego. O ile słonie były niezwykle trudne w odchowaniu, za to łatwo się adaptowały do życia na swobodzie, o tyle z nosorożcami było odwrotnie – rosły jak na drożdżach, miały jednak ogromne kłopoty z aklimatyzacją w swoim ekosystemie, o czym przekonaliśmy się na przykładzie naszych pierwszych sierot, Rufusa i Reudiego. Nosorożec jest zwierzęciem pierwotnym, o bardzo złożonej biologii i niezwykle silnym instynkcie terytorialnym. Osierocone maluchy dostarczały nam zwykle wielu zgryzot, muszę więc przyznać, że z drzeniem serca przystałam na prośbę ówczesnego dyrektora Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, żeby wziąć do siebie trzymiesięcznego Sama, pokaleczonego przez lwy w rezerwacie Masai Mara. Mimo że sięgał nam ledwie do kolan, wiedzieliśmy, że będzie agresywny, nosorożce bronią się przez atak. Oswajaliśmy pokiereszowanego malucha na zmianę z Jill – uzbrojone w butelkę z mlekiem i nerwy jak postronki, obwiązane poduszkami i z przymocowanymi do nóg kijami do krykieta, żeby się zabezpieczyć przed skutkami ewentualnej szarży. Na szczęście nosorożce są bardzo wrażliwe na dotyk i łatwo je uspokoić: uwielbiają drapanie po brzuchu, co w połączeniu z mlekiem z butelki – na które Sam rzucał się jak na ostatni posiłek życia – wkrótce przyniosło pożądany efekt.

Rany okazały się jednak poważne i wymagały nieustannej uwagi. Ponieważ Sam rozpaczliwie płakał, kiedy zostawialiśmy go samego, postanowiłyśmy znaleźć mu towarzysza, dopóki nie urośnie na tyle, by dołączyć do grupki osieroconych słoni. Wybór padł na Lalunię, kupioną od przygodnego pasterza owcę tłustoogoniastą. Sam lubił wtulać się w jej miękką, wełnistą sierść, a Lalunia bez kłopotu weszła w rolę opiekunki nosorożca, czemu skądinąd trudno się dziwić, bo zwykle owce rzadko pławią się w takich luksusach. Obydwa zwierzęta szybko się ze sobą oswoiły. Wbrew powszechnej opinii o głupocie owiec, Lalunia okazała się bardzo charakterna. Nie dawała sobą pomiatać – ilekroć Sam próbował szturchnąć ją łbem, odpłacała natychmiast tym samym.

W końcu nadszedł czas, żeby oboje dołączyli do osieroconych słońiątek, co rano wprowadzanych przez opiekunów do parkowego lasu. Tłusty ogon Laluni dyndał kusząco tuż przed oczami Sama, który uwielbiał wtykać jej nos w pupę. Słonie potraktowały nową

parę z najwyższą podejrzliwością: rozpostarły szeroko uszy, zaczęły trąbić i biegać w kółko, tratując po drodze zarośla. Sam gniewnie sapał i parskał. Tylko Lalunia zajęła się własnymi sprawami, nie zwracając na obecnych najmniejszej uwagi. Wybrała mądrą strategię – ciekawość wzięła górę i słoniątka zebrały się na odwagę, żeby podejść bliżej. Wkrótce Sam i Lalunia zostali pełnoprawnymi członkami stada. Zatrzymywali się przy napotkanych kupach dzikich nosorożców, żeby Sam mógł dołożyć swoje trzy grosze. Lalunia czekała cierpliwie, aż skończy, po czym oboje rzucali się pędem, żeby dogonić słoniątka. Ten rytuał był niezbędnym warunkiem zaakceptowania Sama przez zadomowioną w parku populację nosorożców.

Wkrótce do Laluni i Sama dołączyła półroczna Amboseli, która rzeczywiście okazała się ostatnim ocalałym w tym regionie nosorożcem. Jej matka i pozostałe osobniki zginęły z rąk kłusowników polujących na rogi bądź padły ofiarą uzbrojonych we włócznie Masajów, którzy uczestniczyli w rytualnych łowach, żeby potwierdzić swoją męskość i odwagę. Terytorium ówczesnego rezerwatu przyrody Amboseli było współwłasnością miejscowych ludów pasterskich, które żyły od zawsze wśród dzikich zwierząt. Lwy – tradycyjny cel ich polowań – regularnie tam dziesiątkowano: ze względów rytualnych bądź z zemsty za porwanie inwentarza.

Amboseli dzielnie broniła zwłok swojej matki przed stadami sępów i innych padlinozerców; kiedy do nas trafiła, była znacznie bardziej zadziorna niż Sam, ale przy odrobinie wytrwałości udało nam się skojarzyć ich z Lalunią w nierozłączną trójkę, potem zaś dołączyć do „żłobka” dla sierot. Nosorożce rozwijają się dwa razy szybciej i żyją dwukrotnie krócej niż słonie, skoro więc Sam i Amboseli wyczuli swoją przynależność do dzikiej wspólnoty, zaczęli się stopniowo uniezależniać od opiekunów i wyruszać na coraz dłuższe eskapady w poszukiwaniu przygód. Pewnego dnia wygramolili się przez furtkę dla służb Parku Nairobi i popędzili na szosę, gdzie Sam wstrzymał ruch kołowy, sadząc wielką kupę na środku drogi. Po chwili to samo zrobiła Amboseli. Potem udali się w stronę urzędu pocztowego i zaczęli buszować w pobliskich straganach z bananami i kolbami kukurydzy. Nie muszę dodawać, że przechodnie wzięli nogi za pas: większość mieszczuchów pierwszy raz w życiu stanęła oko w oko z nosorożcem.

Dowiedzieliśmy się o incydencie od jednego ze strażników, który dopadł zziajany do tylnych drzwi, wrzeszcząc rozpaczliwie, by coś z tym zrobić. Wszyscy ruszyli w te pędy, żeby okrążyć łachudry, zwabić je do domu jeszcze smakowitszymi kąskami i zamknąć w nocnych zagrodach, bo oboje dawno już wyrosli ze swoich boksów w ochronie dla sierot. Nosorożce mają równie dobrą pamięć jak słonie – teraz nabrały upodobania do owoców i innych frykasów. Pewnego dnia przeżyłam nie lada szok, kiedy po powrocie z miasta zastałam Amboseli w mojej maleńkiej kuchni. Właśnie udało jej się przecisnąć zwałiste cielsko przez framugę tylnych drzwi. Nieodłączny Sam stał za nią i szturchał ją rogiem w tyłek, sfrustrowany, że nie może jej pomóc w pałaszowaniu wielkich kiści bananów, które Sheila przyniosła mi z ogrodu. Amboseli nie miała się jak obrócić, nawet gdyby chciała – wypełniła sobą szczelnie całe pomieszczenie. Wiedziałam, że jeśli ją spłoszę, włamie

się przez ścianę do sąsiedniego salonu i stłucze przeszklone drzwi na werandę, niszcząc po drodze praktycznie cały dom. Błyskawicznie zebrałam myśli i doszłam do wniosku, że najpierw muszę odciągnąć Sama od progu – co nie było trudne, wystarczyło poświęcić jadalną część sprawunków. Zawiesiłam kiść świeżo kupionych bananów na końcu kija od szczotki, przełożyłam kij przez grzbiet Amboseli i potrząsnęłam owocami tuż przed jej chwytną górną wargą. Wycofywała się stopniowo, centymetr po centymetrze. W krytycznej chwili zaklinowała się w drzwiach, które głucho jęknęły, po czym zaczęły złowieszczo trzeszczeć, ale w końcu udało jej się wypchnąć zadek na zewnątrz. Teraz musiałam działać natychmiast. Zostawiłam ją z furą bananów na kiju i rzuciłam się pędem wokół domu, żeby wejść do kuchni od frontu i zatrzasnąć tylne drzwi, zanim samica zdąży z powrotem wleźć do środka. Owszem, byłam trochę roztrzęsiona, poczułam jednak bezbrzeżną ulgę, że dom ocalał. Radość okazała się przedwczesna. Kilka dni później, pod moją nieobecność, dozorca postanowił przejechać się moim nissanem sunny. W drodze powrotnej ze wzgórza stracił panowanie nad hamulcami i zatrzymał się dopiero na budynku, przebiwszy się na wylot przez drewnianą okładzinę. Skasował tym samym nie tylko samochód, ale i garaż. Nie muszę dodawać, że jego wyczyn przeszedł do historii.

Nastaly dla nas trudne czasy. Ani ja, ani Jill nie miałyśmy doświadczenia w kierowaniu personelem, kontaktach z opinią publiczną, w zajmowaniu się papierkową robotą i księgowością funduszu charytatywnego, nie wspominając już o nieustannych negocjacjach na szczeblu rządowym, których prowadzenie wymagało nie lada zdolności dyplomatycznych. Tymczasem Angela studiowała grafikę na Uniwersytecie Kapsztadzkiem i zarabiała na niezbędne kieszonkowe, pracując na pół etatu jako modelka. Do końca życia będę wdzięczna Illie i Martiemu Andersonom, naszym dawnym sąsiadom z Rancza Galana, którzy byli tak hojni, że pomogli mi spłacić część kosztów edukacji Angeli, a w dodatku fundowali jej bilety, żeby na wakacje mogła wracać do domu. W Republice Południowej Afryki wciąż jeszcze panował apartheid i w związku z tym mieszkańców Kenii obowiązywały ograniczenia wjazdu do kraju. Podróże Angeli między szkołą a domem wiązały się zawsze z wieloma kłopotami.

Podczas jednego z wakacyjnych wyjazdów zatrudniła się w dziale kostiumów na planie melodramatu *Pożegnanie z Afryką* i postanowiła zapisać się na kurs dla charakteryzatorów. Zawsze miała talent plastyczny, odziedziczony po mojej matce. David zaszczerpił w niej miłość do dobrego wzornictwa, matka Davida – upodobanie do pięknych ubrań. Umiała zadbać o swój wygląd i czerpała z tego wyraźną przyjemność. Robienie makijażu i nadawanie pożądanых cech twarzom aktorów okazało się dla niej równie proste, jak malowanie obrazów na płótnie. Na szczęście, gdy Nelson Mandela został prezydentem RPA, koszmar apartheidu znikł dosłownie z dnia na dzień. Po ukończeniu kursu Angela nie mogła opędzić się od zleceń. Jeździła w najpiękniejsze miejsca na świecie i zaspokajała pragnienie przygody, robiąc zdjęcia do reklam i artykułów prasowych. Byłam jednak najszczęśliwsza, kiedy wracała do domu, żeby spędzić czas ze mną i Jill.

Jean-François, francuski chłopak Jill – zwany przez wszystkich po prostu JF – postano-

wił przeprowadzić się do Kenii na stałe, przyjmując tutejsze obywatelstwo i zostać nieocenionym członkiem naszej niewielkiej i dość przypadkowej ekipy. W przerwach między kolejnymi zleceniami filmowymi powiększył i zmodernizował okrągły domek Jill, ofiarował nam też praktyczną pomoc przy budowie dodatkowych pomieszczeń dla Olmega i Taru, które szybko wyrosły ze swoich dawnych boksów. Założył firmę Bullfrog Safari, prowadzoną do spółki z Afrykańczykiem, i zdołał namówić kilkoro niczego niepodejrzewających znajomych z zagranicy do wzięcia udziału w dość niekonwencjonalnej, niemniej ekscytującej wyprawie na bezkrwawe łowy. Potrafił urządzić teatr jednego aktora i zabawiać gości do upadłego – zwłaszcza w sytuacjach, kiedy musiał odzyskiwać pieczęć z łap złodziejskiego pawiana, który – pod nieobecność jego klientów – porwał ją na szczęście tylko na drzewo. Nikt przecież się nie mógł domyślić, że obiadem pierwszy częstował się pawian. JF był dumny ze swoich umiejętności kucharskich – jak każdy Francuz. Wkrótce objął też nadzór nad kuchnią polową Jill.

Przed przyjazdem podarował fundacji swój jaskrawoczerwony samochód marki Renault 4, nazywany pieszczotliwie Czerwoną Zarazą. Wyekspediował go do Kenii na użytek Jill i naszych pracowników. Renówka bardzo nam się przydała, do tej pory mieliśmy do dyspozycji tylko mój wóz. Już po przylocie do kraju JF kupił używanego landcruisera, który służył mu odtąd jako koń roboczy przy organizacji wypraw safari. Nigdy go nie mył, ponoć dlatego, żeby odstraszyć potencjalnych złodziei samochodów. JF okazał się postacią niezwykle malowniczą. Nie sposób było się z nim nudzić, dzięki jego obecności nasze życie znów nabrało rumieńców. Praktyczny z natury, podjął się konserwacji i naprawy całego sprzętu mechanicznego. W przerwach między kolejnymi wyjazdami na plan filmowy oddawał się do naszej dyspozycji wraz z samochodem.

Tymczasem David Read stał się dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Nie pozostałam obojętna na awanse przystojnego mężczyzny, choć Read w żadnym razie nie mógł zastąpić utraconego męża. Po prostu, wypełniał pustkę w moim życiu, kiedy tego najbardziej potrzebowałam, nie skąpiąc mi przy tym śmiechu i radości. Miał wiele wspaniałych cech, inne jednak budziły moje zastrzeżenia, zwłaszcza gdy odkryłam, że jestem tylko jedną z jego licznych „przyjaciółek” – po części byłych, po części wciąż aktualnych. David dorastał wśród Masajów, czuł się tam bezpiecznie i pod wieloma względami się z nimi utożsamiał. Podejmował mnie jednak jak królową i prosił, żebym mu towarzyszyła w podróżach służbowych, podczas których „opychał traktory” produkowane przez prezydencką firmę Lima Ltd. Zabierał mnie wtedy w nieznane mi miejsca. Na takich wycieczkach uwielbiał targować się z przygodnie napotkanymi pasterzami z plemienia Masajów, próbując mnie przehandlować za żywy inwentarz. Mówił płynnie po masajsku, czym nieodmiennie rozbierał pasterzy. Bawiło go, że proponowano mu w zamian najwyżej trzy krowy i jedną owcę, bo byłam już w wieku poprodukcyjnym.

Po epizodzie z opychaniem traktorów David dostał propozycję, żeby przejąć zarząd nad inną własnością prezydenta – piękną poosadniczą farmą Kapsitwet pod miastem Kitale w zachodniej Kenii, niedaleko granicy z Ugandą. Zapraszał mnie tam od czasu do czasu,

żebym mogła skorzystać z uroków wsi i przypomnieć sobie dzieciństwo spędzone w Cedar Park. Miałam niezwykle szczęście, że Jill i JF chcieli i potrafili wszystkiego dopilnować podczas mojej nieobecności. Ilekroć udało im się załatwić opiekuna do słoni, dołączali do nas, często biorąc ze sobą Angelę, jeśli akurat była w okolicy. Jill z miejsca zaakceptowała ocieplenie mojej relacji z Davidem – czyli Starym M (w skrócie od Starego Masaja), jak go nazywaliśmy – obserwując z ulgą, że znów zaczynam doceniać jaśniejsze strony życia. Inaczej Angela, która po każdym przyjeździe z Afryki Południowej zachowywała się wobec mnie powściągliwie i z wyraźnym chłodem, uważając mój romans za zdradę pamięci ukochanego ojca. Nie dało się jednak nie polubić Starego M, który był doskonałym kompanem i gościł nas w wielkim stylu. Podobnie jak JF, pilnie strzegł swojego terytorium w kuchni i nie wpuszczał tam nikogo. Uwielbiał naśladować prawdziwych mistrzów, podrzucając naleśniki i omlety, żeby je obrócić w powietrzu na drugą stronę. Nie muszę chyba dodawać, że więcej przyklejało się do sufitu, niż lądowało z powrotem na patelni. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Angeli, kiedy spostrzegła świńskie zęby i raciczki gotujące się w garnku z głowizną, którą Stary M zamierzał przyrządzić na obiad. Obie moje córki zachowywały też daleko idący sceptycyzm wobec uprawianej przezeń jazdy w stylu kamikadze: czy to samochodem, czy też motocyklem, którego używał do codziennych inspekcji w gospodarstwie. Pokonywał przeszkody na oślep, jakby w ogóle ich nie było. Pewnego razu, kiedy jechałam za nim na tylnym siodełku, staranował ogrodzenie z drutu kolczastego. Rzecz jasna, oboje wylądowaliśmy w rowie.

Skoro już mowa o brawurowej jeździe, w 1988 roku Jill wsiadła w Czerwoną Zarazę i ruszyła na złamanie karku do Tsavo, żeby odratować trzymiesięczne słońię imieniem Dika, stanowczo zbyt młode, by je oddać pod opiekę Eleanor. Nie było innego wyjścia: maluch potrzebował mleka, którego słonica nie mogła mu zapewnić. Kiedy Dika do nas trafił, był pokłuty setkami długich cierni – najwyraźniej wpadł w gęste zarośla akacji, uciekając przed kłusownikami, którzy zabili mu matkę. Nie mieliśmy jeszcze ciężarówek ani samolotów, więc Jill z pomocą znajomego upchnęli Dikę na tylnym siedzeniu renówki, gdzie spędził całą podróż do Nairobi. Usunięcie cierni zajęło nam kilka dni, leczenie zakażonych ran kłutych trwało całymi tygodniami. Najbardziej jednak niepokoiła nas rozpacz słońię po utraconej rodzinie. Maluch stał osowiały przy małym namiocie, w którym dokarmialiśmy nowo przybyłe sieroty. Z oczu leciały mu łzy, trąba zwisała bezwładnie aż do samej ziemi. Pił mleko powoli i niechętnie, trzymał się na uboczu półprzytomny, jak w śpiączce, nie przejawiał żadnego zainteresowania otoczeniem. Zaczęliśmy nawet podejrzewać, że ma uszkodzony mózg. Dopiero zapaść Edo, kolejnego osierococonego słonia, który przybył do nas trzy miesiące później, przywróciła smutnego Dikę do życia.

Edo miał pół roku, kiedy jego matka zmarła tragicznie w rezerwacie Amboseli: buszowała na wysypisku śmieci, gdzie prócz warzyw i owoców najadła się plastikowych toreb i kapsli od butelek. Pożarła nawet popielniczkę. Edo był potomkiem słynnej matriarchini z Amboseli i dlatego został uwzględniony w programie monitorowania tamtejszych słoni. Nadzorowany przez badaczy od chwili narodzin, nie bał się nikogo z wyjątkiem Masajów

w tradycyjnych czerwonych pledach. Wpadał też w panikę na widok Laluni, którą z miejsca skojarzył z masajskimi owcami. Słonie z Amboseli konkurowały niegdyś z Masajami o wodę i pastwiska. Przez wieki ginęły przeważnie od włóczni. Ostatnio zaczęły padać ofiarą rytualnych polowań wyznaczających przejście z chłopięctwa w dorosłość – zamiast coraz rzadszych w tym regionie lwów.

Edo stracił przytomność w chwili przyjazdu do sierocińca. Kiedy tak leżał na ziemi, a Jill i ja zastanawialiśmy się, co z nim zrobić, ku naszemu zdumieniu Dika opuścił swoje zaciszne schronienie przy namiocie i podszedł wprost do słońątka, pochrząkując i wyciągając trąbę, żeby obmacać mu pysk. Edo uchylił jedno oko, najpierw tylko odrobinę, później, kiedy rzeczywistość zaczęła do niego docierać, otwierał je coraz szerzej, próbując stanąć na nogi, co wreszcie mu się udało – z pomocą kilku zebranych gapiów. Kołysał się niepewnie z boku na bok, patrząc, jak Dika pije mleko z butelki, po czym zaskoczył nas wszystkich, idąc w jego ślady. Ku naszej radości, zachowywał się od tej pory, jakby zapomniał o swoich uprzedzeniach, choć już zawsze miał się na baczności przed Lalunią i dokładał wszelkich starań, żeby trzymać się od niej jak najdalej.

Kilka miesięcy później, w kwietniu 1989 roku, stanęliśmy oko w oko z Ndume i Malaiką, dwojgiem trzymiesięcznych słońątek, które przyjechały do nas z Imenti – niewielkiej połaci ocalałego lasu w północnej Kenii, otoczonego rzędami zabudowań i pól uprawnych. Żyła w nim niewielka, odizolowana populacja słoni, które wpadały w tarapaty, ilekroć wyszły poza obręb enklawy – ich dawny szlak migracji w stronę lasów u podnóża góry Kenia był teraz całkiem zajęty przez osiedla. Miejscowi rolnicy słynęli z wrogiego nastawienia do słoni. Pewnego ranka, kiedy zastali całe stado na środku pola kukurydzy, wpadli dosłownie w szal. Kto żyw, ruszył na przerażone zwierzęta uzbrojony w maczety, włócznie i topory, waląc w blaszane puszkę i dmuchając w gwizdki. Zapanował taki chaos, że zwierzęta nie wiedziały, którądy uciekać. Jedna ze słońic pod wpływem stresu urodziła w pełni donoszone słońátko, które wieśniacy natychmiast zatłukli. Dorosłe słonie przedarły się na wolność przez żywy mur z ludzi, zostawiając za sobą troje młodych, w tym Ndume i Malaikę. Zanim strażnicy zdolali opanować rozjuszony tłum, jedno słońátko już nie żyło, Ndume doznał poważnego urazu głowy, a Malaika miała tylne nogi pocięte maczetami.

Sytuacja wymagała nagłej interwencji, wycarterowaliśmy więc samolot z weterynarzem na pokładzie, żeby przetransportować ocalałe słońátko do sierocińca. Ndume stracił przytomność. Weterynarz natychmiast podał mu dożylnie mieszankę soli fizjologicznej z roztworem dekstrozy i pobiegł zająć się Malaiką, nie dając Ndume zbyt dużych szans na przeżycie z tak rozległą raną tłuczoną głowy. Skupiliśmy teraz całą uwagę na Malaice, czyszcząc głębokie nacięcia na nogach i próbując jakoś ją uspokoić, bo była tak zestresowana, że trzęsała się na całym ciele. Przyprawiliśmy Olmega, Taru, Dikę i Edo, żeby pomogli nam ukoić małą. Macali ją delikatnie trąbami po łbie i po grzbiecie, mruczełi coś do niej i pokazywali, jak pić mleko z butelki, przekonując słońiczkę, że otaczający ją ludzie różnią się pod każdym względem od okrutników, którzy zrobili jej krzywdę. Nie posiadaliśmy się ze zdumienia, kiedy zostawiony w sąsiednim boksie Ndume zaczął się ruszać, sta-

nał na nogi i zabrał się do wyważania drzwi, pobekując przy tym żałośnie. Najwyraźniej nie pamiętał, co się niedawno zdarzyło, był śmiertelnie przerażony, postanowiliśmy więc go wypuścić, żeby sam się przekonał, że matki nie ma w pobliżu. Mieliśmy nadzieję, że przynajmniej rozpozna Malaikę. Biegał tam i z powrotem – pod czujnym okiem jednego z opiekunów – ryczał jak oszalały i tak długo przetrząsał pobliskie zarośla krotonów w poszukiwaniu utraconej mamy, aż padł z wyczerpania. Dopiero wtedy mogliśmy go zanieść do stajni. Zachowywał się tak przez dwa dni z rzędu, aż wreszcie przyjął do wiadomości, że już nie zobaczy swojej matki. Popadł w głęboką depresję, wtulił się w bok Malaiki i stracił zainteresowanie otoczeniem. Malaika mile nas zaskoczyła: jak na świeżo przybyłą sierotkę była w wyjątkowo dobrej formie psychicznej. Kiedy pojęła, że nic jej nie grozi i chcemy jej pomóc, z ulgą poddała się wszelkim zabiegom. Niestety, nie trwało to długo. Kiedy i ona zdała sobie sprawę, co się wydarzyło, pogrążyła się w długiej, cichej, bliskiej odrętwienia żałobie. Obydwa słońtka przeżyły prawdziwy koszmar i tygodniami opłakiwały swoją utraconą rodzinę, podobnie jak Dika. Na szczęście pozwalały się przy tym karmić, więc z czasem przezwyciężyły kryzys i zaczęły rosnać jak na drożdżach.

Kolejną niespodzianką była decyzja prezydenta Moi, który postawił doktora Richarda Leakeya na czele Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, powierzając mu reorganizację skorumpowanej jednostki, która przyniosła ogromne szkody krajowi. Leakey miał za zadanie ukrócić proceder kłusownictwa, który już całkiem wymknął się spod kontroli. Działalność kłusowników wywoływała negatywny oddźwięk w mediach, obniżając dochody z przemysłu turystycznego. Tsavo, Meru i inne skarby natury dołączały do listy miejsc, których turyści powinni unikać ze względów bezpieczeństwa. Doktor Leakey otrzymał też specjalne pełnomocnictwa – jego strażnicy mieli prawo otworzyć ogień do uzbrojonych kłusowników na terenach parków narodowych. Somalijscy *shifto* rozzuchwalili się po odejściu Davida. W nieustających potyczkach z rebeliantami zginęło już kilku strażników. Poważnym zagrożeniem byli również kłusownicy z plemienia Wakamba, uzbrojeni w śmiertelne zatrute strzały, często działający w zмовie ze skorumpowanymi urzędnikami dawnego Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, którzy ponoć mieli protektorów na wysokich szczeblach władzy. W Tsavo urządzano masowe rzezie słońi, wybito prawie całą populację nosorożca czarnego.

Tak więc doktor Leakey stworzył organizację Kenya Wildlife Service (Służba Ochrony Przyrody w Kenii, w skrócie KWS), która zastąpiła dotychczasowy Wydział Ochrony i Zarządzania Środowiskiem. Przywrócił też symboliczną instytucję Rady Powierniczej, żeby pobudzić strumień darowizn, który ostatnio niemal całkiem wysechł. Przekonał prezydenta Moi, żeby podpalić olbrzymi stos skonfiskowanych rogów nosorożców i kości słońiowej podczas oficjalnej uroczystości w Parku Narodowym Nairobi – dając tym samym wyraźny sygnał, że nowo powstała Kenya Wildlife Service dołoży wszelkich starań, by zapobiec zagładzie kenijskich zwierząt. Ceremonię transmitowano w telewizjach na całym świecie. Obok wielkiej hałdy popiołów ze spalonych kości stanęła przepiękna rzeźba z brązu, przedstawiająca umierającego słońia podtrzymywanego przez zrozpaczonych towarzyszy –

trwały i wstrząsający pomnik cierpienia zwierząt, które padły ofiarą rosnącego zapotrzebowania na kość słoniową w krajach Dalekiego Wschodu.

Dzięki dotacji z Banku Światowego wzniesiono dla KWS spektakularną, dwupiętrową siedzibę, otoczoną zadbanymi ogrodami, w których nawet były fontanny. Wielu ekologów odniosło się sceptycznie do tego pomysłu – z obawy, że nadmiernie rozrośnięta biurokracja pochłonie fundusze niezbędne do osiągnięcia innych celów. Doktor Leakey nie uzyskał autonomii dla nowej służby, która pozostała w gestii Ministerstwa Turystyki i Środowiska, a więc była narażona na naciski polityczne. Dzięki lepiej zorganizowanym działaniom w terenie udało się jednak ukrócić kłusownictwo – pomógł też całkowity zakaz sprzedaży kości słoniowej i rogów nosorożców, wprowadzony w 1989 roku na mocy Konwencji waszyngtońskiej o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych wyginięciem (CITES). Rząd Kenii ostro lobbował za tym zakazem, mimo gwałtownych sprzeciwów państw południowej Afryki, nastawionych na sprzedaż zmagazynowanej kości słoniowej. Do 1989 roku liczba słoń w obrębie ekosystemu Tsavo – o powierzchni ponad czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, dwukrotnie większej niż areał samego parku – spadła z pierwotnych czterdziestu pięciu dozaledwie sześciu tysięcy osobników. Całą ich populację w Kenii szacowano w 1973 roku na sto sześćdziesiąt siedem tysięcy. W 1989 roku zostało raptem szesnaście tysięcy sztuk, co oznacza, że struktura społeczna stad słoń właściwie się rozpadła. Kilka nietkniętych rodzin zostało tylko w Amboseli, gdzie obecność Masajów działała odstrasżająco na gangi kłusowników.

Wzięłam udział w kolejnym zebraniu CITES w Kioto, gdzie handel kością słoniową znów okazał się jednym z najgorętszych tematów. Na szczęście po ożywionej dyskusji zakaz utrzymano, byłam jednak skonsternowana metodami uprawiania polityki wewnętrznej na tym szacownym forum oraz postawą części obrońców słoń, którzy na zewnątrz mieli mnóstwo do powiedzenia, dziwnie jednak milkli na sali obrad, jakby woleli usiąść okrajką na barykadzie.

Państwa południowoafrykańskie dopięły swego na konferencji CITES dwa lata później, mimo że upłynęło zbyt mało czasu, by mogło się odrodzić choć jedno pokolenie słoń, które uzupełniłyby ogromne straty w większości stad na północ od Zambezi. Sprzedaż zmagazynowanej kości słoniowej miała rzekomo podlegać ścisłej kontroli, wszyscy jednak wiedzieli, że wkrótce zacznie się pranie brudnych pieniędzy, kłusownictwo znów przybierze na sile, a słońie będą ginąć, dopóki prawo dopuszcza ten handel. Mordowanie tak inteligentnych zwierząt – które odczuwają podobne emocje jak ludzie, mają taką samą świadomość rodziny i śmierci, i też miarą ich lat jest siedemdziesiąt – wyłącznie po to, by zrobić z ich ciosów jakieś bibeloty, wydawało mi się czystym szaleństwem.

Te kilka miesięcy było dla nas burzliwym okresem próby, trudno więc opisać, jak mile mnie zaskoczyła wiadomość, że znalazłam się na liście odznaczonych Orderem Imperium Brytyjskiego z okazji urodzin królowej w 1989 roku. David został uhonorowany w ten sposób dokładnie trzydzieści lat wcześniej, po nim zaś tego zaszczytu dostąpili Bill i mój brat Peter. Czułam się zakłopotana, że uznano mnie za godną orderu – że moją pracę postawiono

na równi z wybitnymi dokonaniem innych obywateli Wielkiej Brytanii i Wspólnoty Narodów. David nalegał, by wręczenie orderu odbyło się na miejscu w Kenii, tymczasem ja – gorliwa rojalistka – chciałam wziąć udział w wielkiej uroczystości w Pałacu i skorzystać z okazji, by poznać królową osobiście. Pojechałam więc na wręczenie odznaczeń do Londynu i nie żałuję. Z jeszcze większym zaskoczeniem przyjąłam informację, że w 1996 roku trafiłam na listę noworoczną i zostałam Damą Komandorem Najwspanialszego Orderu Imperium Brytyjskiego, zyskując prawo do tytułu „Dame” przed imieniem. Byłam bardzo zmieszana, kiedy się dowiedziałam, że jestem pierwszą osobą odznaczoną orderem tej klasy od czasu uzyskania niepodległości przez Kenię w 1963 roku. Odebrało mi mowę z wrażenia, niemniej czułam się bardzo dumna. Krewni i znajomi pękali ze śmiechu, bo opiekunowie nie mogli się nadziwić, czemu ludzie z dnia na dzień stracili do mnie szacunek i zaczęli mnie wyzywać od jakichś damulek. Trudno było im wytłumaczyć, na czym polega zaszczyt posługiwania się tytułem Damy Komandora Imperium Brytyjskiego, zwłaszcza że Imperium Brytyjskie dawno już nie istniało.

Kiedy Kenya Wildlife Service podjęła decyzję o przetransportowaniu nadliczbowych nosorożców z Rancza Solio w północnej Kenii do Tsavo East – w ramach próby odtworzenia dawnego bastionu gatunku i ojczyzny niemal połowy niegdysiejszych dwudziestu tysięcy kenijskich nosorożców czarnych – w pierwszej kolejności zgłosiliśmy Sama i Amboseli. Reudi był wówczas dominującym samcem rozplodowym w Solio, Zręda i Spychacz wciąż mieszkali w zagrodzie o powierzchni dwudziestu hektarów, przylegającej do rezerwatu, tymczasem Amboseli z Samem zaczęli plądrować ogrody i stragany poza granicami Parku Nairobi, nieopodal rozrastających się przedmieść Ongata Rongai. Niestety, odeszła od nas Lalunia, która okazała się strasznym łakomczuchem i pożarła torbę plastikową z resztkami obiadu goszczącej u nas ekipy filmowej. Zawsze musiała wszystkiego spróbować, ale tym razem spuchła jak balon i zdechła, nim weterynarz zdążył udzielić jej pomocy. Smutno wspominam dzień, kiedy urządziliśmy pogrzeb Laluni w parkowym lesie za domem, w pobliżu dawnej zagrody Sama i Amboseli. Mogłam się jednak pocieszyć myślą, że jako dama do towarzystwa dla nosorożców miała znacznie lepsze życie niż większość owiec. Sam i Amboseli z pewnością odczuli jej nieobecność, ale ku naszemu zdziwieniu znacznie mniej dotkliwie niż osierocone słońtka, które straciły apetyt, posmutniały i zaczęły przetrząsać okolicę w poszukiwaniu ulubionej owcy, dając przy okazji chwilę wytchnienia Wiecznym Optymistom, którym zwykle popędzały kota. Wieczni Optymiści urosli w siłę, korzystając z dobrodziejstw ochrony przez słońce oraz ich opiekunów. Rozkopały ziemię pod całą siedzibą fundacji, zebrały o smaczne kąski i z upodobaniem taplały się w naszej błotnej sadzawce. Trudno się dziwić, że niektórzy goście brali je także za wykarmlione butelką sierotki.

Patrzyłam z mieszanymi uczuciami na usypianie Sama i Amboseli, którzy zostali zapakowani do dwóch potężnych ciężarówek jadących do Tsavo, gdzie wkrótce miały do nich dołączyć inne nosorożce z Solio. Przez pewien czas trzymano je w przenośnych zagrodach, a wokół rozsypywano ich odchody, żeby po wyjściu z kojców zwierzęta poczuły się pew-

niej, a ich zapach był już rozpoznawany przez miejscową populację. Wszystko szło jak w zegarku – aż do chwili, kiedy Sam został śmiertelnie ranny przez olbrzymiego samca słonia, któremu nie chciał odstąpić wilgotnej, piaszczystej niecki w korycie rzeki. Słoń bezceremonialnie dźwignął go z ziemi, wbijając mu przy okazji cios w tułów.

Poranny i obolały Sam zdołał dowlec się z powrotem do swojej zagrody. Na wieść o wypadku ruszyliśmy czym prędzej do Tsavo – we troje z Jill i weterynarzem, który miał nadzieję jakoś biedaka pozszywać, i z wielkim kosztem owoców. Ledwo dotarliśmy na miejsce, pozbyliśmy się złudzeń: znad ciała unosił się już słodkawy zapach śmierci. Wdało się zapalenie otrzewnej. Sam nie miał szansy wyzdrowieć. Zalewając się łzami, podsunęliśmy mu pod nos przywiezione owoce, podczas gdy weterynarz aplikował śmiertelny zastrzyk usypiający, żeby skrócić jego cierpienia. Amboseli miała znacznie więcej szczęścia. Dochowała się kilkorga urodzonych na swobodzie młodych i ustanowiła własne terytorium w pobliżu obozu Aruba, choć przedtem spędziła kilka miesięcy na bezskutecznych poszukiwaniach Sama, przemierzając olbrzymie odległości i nie zatrzymując się nigdzie na dłużej. Zaczęłam sobie uświadamiać, że nawet nosorożce – zwierzęta pierwotne, tworzące skomplikowane struktury społeczne – zawiązują przyjaźnie na całe życie.

Niestety, w przyszłości miało dojść jeszcze do wielu tragedii z udziałem nosorożców. Szczególnie zapadł mi w pamięć Makosa, którego musieliśmy zastrzelić, gdy zabił jednego z opiekunów. Potem była Fryga, która wróciła zapłodniona przez dzikiego samca, za to z paskudną kontuzją – uszkodzeniem nerwu promieniowego w przedniej nodze. Troszczyliśmy się o nią, aż urodziła Magnum, ale zanik mięśni spowodował nieodwracalną kulawiznę, która uniemożliwiła jej opiekę nad małym. Musieliśmy ją uspić i odchowwać samczyka jak każdą inną sierotę. Jego historia skończyła się rzadkim wśród nosorożców happy endem: o ile nam wiadomo, żyje i ma się dobrze w jednym z dzikich stad w Parku Narodowym Nairobi. Mniej szczęścia miał jego towarzysz imieniem Magnes, kolejny sierota z Parku Nairobi. Został zastrzelony nie wiadomo przez kogo i pogrzebany przez władze w nader podejrzanych okolicznościach, w które zabroniono nam wnikać dla własnego dobra. Później przyszła kolej na naszego tyciego, ukochanego wcześniaka Maalima, którego matka urodziła grubo przed terminem w rezerwacie Ngulia. Był tak maleńki, że mieścił się w pudełku po butach. Jakimś cudem dożył dwóch lat, choć podobnie jak większość wcześniaków cierpiał na dysplazję oskrzelowo-płucną. Któregoś dnia zachłysnął się mlekiem, którego nie mógł samodzielnie odkrztusić. Umarł na zapalenie płuc. Mieliśmy nadzieję, że Shidę uda nam się odchowwać z równym powodzeniem jak Magnum – aż do dnia, kiedy zaczął się zachowywać zupełnie nieprzewidywalnie, nie odstępując ani na krok ślepego Maxwella, którego nie mogliśmy wypuścić na wolność. Odstawiliśmy go do Tsavo, skąd przetransportowano go bez naszej wiedzy do rezerwatu nosorożców Ngulia. Został natychmiast zgładzony przez innego samca, który uznał go za intruza: zabrakło żmudnego procesu wprowadzania przybysza na obce terytorium. Kiedy tylko doszły nas wieści o wysłaniu Shidy do rezerwatu Ngulia, wiedzieliśmy, że jego dni są policzone. Natychmiast wzięliśmy się za budowę specjalnej zagrody, ale nie zdołaliśmy skończyć jej na czas.

Po tragedii Sama otrzymaliśmy kolejne smutne doniesienia z Tsavo, tym razem w sprawie osieroconego słońątka imieniem Ol Jori, które najwyraźniej cierpiało na zaburzenia koordynacji ruchowej. Oczywiście Eleanor nie zostawiała go ani na chwilę, więc i ona zaczęła podupadać na zdrowiu. Postanowiliśmy z Jill sprowadzić Ol Joriego z powrotem do sierocińca, choć zdawałam sobie sprawę, że nie będzie łatwo odstawić go od Eleanor. Olmeg i Taru skończyli akurat dwa lata i można ich było przewieźć do Tsavo, by ukoili rozpacz słońicy po stracie malucha. Eleanor zyskała w zamian aż dwóch podopiecznych i nie posiadała się ze szczęścia.

Okazało się, że Ol Jori wspiął się na wielki głaz nieopodal zagrody, stracił równowagę i spadł na grzbiet. Niestety, zmarł kilka dni po przyjeździe. Sekcja ujawniła, że narosła po wypadku tkanka bliznowata zaczęła uciskać kręgosłup i wywołała paraliż. Trzeba było wykopać kolejną mogiłkę w lesie za domem; ogarnęła nas rozpacz pomieszana z gniewem, że opiekunowie zataili przed nami wypadek, przedłużając tym samym cierpienia słońątka.

Z biegiem lat doświadczyliśmy tyłu emocji i stresów, że czasem zdarzało mi się żałować wybranego sposobu na życie. Zwierzęta tak łatwo trafiają do naszych serc, że po ich śmierci rozpaczamy jak po stracie najbliższej osoby. Ilekroć jednak przechodzę podobny kryzys emocjonalny, staram się brać przykład z dzikich słońic, ze stoickim spokojem stawiających czoło przeciwnościom, jakie towarzyszą im na każdym etapie ich długiej i trudnej drogi przez świat. Słonie opłakują swoich zmarłych równie gorąco jak ludzie, mają jednak dość odwagi, żeby odwrócić kartę i skupić się na żywych. Życie jest dla istot żywych, nie dla umarłych – te odchodzą w przeszłość, odnajdują spokój, nie czują bólu ani cierpienia i trafiają „gdzieś w wielkie nieznane”, jak mawiała moja babcia Webb. Lubiłam sobie wyobrażać, że po drugiej stronie odnajdą Davida i zostaną z nim już na zawsze. Słoniowe matki muszą się czasem zdobyć na wielkie poświęcenie, zostawić słabowite młode na pastwę losu i odejść, mając w uszach jego płacz. W przeciwnym razie zagroziłyby bezpieczeństwu rodziny i stada. Uległość wobec instynktu macierzyńskiego byłaby oznaką tchórzostwa i okrucieństwa. Po prostu, nie można odmówić wsparcia bardziej potrzebującym.

Odwołałam się do przykładu słońi z myślą o śmierci moich rodziców – wpierw ojca, który zmarł 20 kwietnia 1987 roku we śnie, podobnie jak dziadek Webb, później zaś, 31 stycznia 1994 roku, ukochanej matki, która miała szczęście dołączyć do niego po sześćdziesięciu latach wyjątkowo udanego małżeństwa. Dwa razy wylałam morze łez i za obojgiem rozpaczliwie tęskniłam. Moja matka była prawdziwą damą: szlachetną, ciepłą, wyrozumiałą i gościnną. Ojciec zawsze uchodził za wzór prawości i uczciwości – w oczach wszystkich swoich dzieci. Po śmierci rodziców Peter pojechał do RPA po ich prochy, po czym rozsypał je w Musandari pod Narokiem, ukochanym przez oboje, tętniącym życiem obozowisku safari, gdzie ojciec prowadził kiedyś wytwórnię biltongu. Gdyby nie okoliczności, nasz wybór padłby na Cedar Park, nasz piękny dom rodzinny, który, niestety, zmienił się nie do poznania. Nowi właściciele przerobili wspaniałe cedrowe lamperie na węgiel drzewny, a w samej rezydencji urządzili pomieszczenia dla bydła.

Czas płynął. Eleanor znalazła pociechę w Olmegu i Taru, którym matkowała w Tsavo jak własnym dzieciom. Zaopiekowała się też kilkoma innymi sierotami, które wystarczająco dorosły, żeby odstawić je od butelki – między innymi młodym samcem imieniem Chuma, co w suahili znaczy „żelazo”, który okazał się godnym partnerem do zapasów z Olmegiem i Taru. Młodociane słonie, podobnie jak ludzkie nastolatki, spędzały mnóstwo czasu na wzajemnych przepychankach – probierzu ich sił, tożsamości i miejsca w hierarchii. W tych słoniowych potyczkach Olmeg zwykle przegrywał z Taru, odrobinę od niego młodszy. Olmeg zaprzyjaźnił się wkrótce ze swoim dzikim rówieśnikiem, nazwanym przez opiekunów Thomasem, który wprawdzie nie był oswojony, ale często przychodził w gości do naszych sierot. To właśnie Thomas postanowił wesprzeć Olmego w pojedynkach z Taru i Chumą. We dwóch dawali radę wszystkim, co prowokowało Olmego do nieustannych pokazów świeżo odzyskanej pewności siebie. Bardzo mnie to cieszyło: chłopcy muszą w siebie wierzyć, a do Olmego miałam szczególną słabość, ponieważ był pierwszym odchowanym przez nas słońkiem.

W 1990 roku do sierocińca przybył tygodniowy Ajok, którego imię w języku plemienia Turkana znaczy po prostu „cześć”. Uratowany nad brzegiem dalekiego jeziora Turkana, był jak dotąd najmłodszym z przygarniętych przez nas słońców. Miał silne geny – skutek ostrej selekcji naturalnej. Pochodził z niewielkiej populacji słoni, które zdołały przetrwać wszelkie przeciwności życia na jałowej pustyni wulkanicznej. Na pewien czas został niekwestionowanym gwiazdorem kąpiele błotnych. Uwielbiał być w centrum uwagi i odgrywać swoje sztuczki przed wdzięczną publicznością. Potrafił wywołać salwy śmiechu, trzęsąc konwulsyjnie trąbą od nasady aż po sam koniuszek, owinąć ją komuś wokół szyi, zacieśnić chwyt i poczekać na reakcję, usiąść na pupie jak słoń cyrkowy, a nawet położyć się na grzbiecie z nogami w górze. Od chwili przyjazdu przebywał jednak w sierocińcu sam, musieliśmy więc przetransportować go do Tsavo i zapoznać z innymi sierotami wcześniej niż zwykle, żeby dać mu szansę opanowania niezbędnych do życia na swobodzie umiejętności społecznych. Dołączył do grupy Eleanor jako zaledwie dwulatek.

Eleanor i starsi członkowie jej adoptowanej rodziny wybierali się na coraz dłuższe eskapady ze stadami dzikich słoni. Ajok zawsze był pewnym siebie samotnikiem i niezbyt pasował do tego układu. Nie lubił się podporządkowywać starszym samcom, wolał znaleźć godnego kompana do zabaw i wycieczek. Psotny z natury, zaczął też włączyć po nocy na werandę Simona Trevora i z upodobaniem wsłuchiwać się w brzęk wyrzucanego przez murek krzesła polowego. Podejrzanie padło na któregoś z naszych byłych podopiecznych, więc JF zaczął się w ukryciu, żeby ustalić tożsamość sprawcy. Był to oczywiście Ajok, którego JF przyłapał na gorącym uczynku, wyskoczywszy zza drzwi z przeraźliwie wyjąca syreną na korbkę. Ajok ryknął i rzucił się do ucieczki, wplątując się po drodze w kable elektryczne, co skłoniło go do ostatecznego zerwania więzi z człowiekiem i przemiany w rzeczywiście dzikiego słonia z Tsavo. Więcej go nie zobaczyliśmy, a krzesło polowe Simona od tamtej pory stało spokojnie na werandzie.

Narodziny pierwszej córki Jill – a zarazem mojej pierwszej wnuczki – powitaliśmy

z ogromną radością. Emily Laura przyszła na świat 22 lutego 1992 roku. Jill i JF oficjalnie nie byli małżeństwem i JF miał kłopot z przekonaniem siostry przełożonej, że naprawdę jest ojcem dziewczynki, choć nie może przedłożyć wymaganego aktu ślubu. Trudno mi było uwolnić się od myśli, co by powiedzieli moi staroświeccy rodzice i dziadkowie, gdyby usłyszeli, że Jill urodziła dziecko z nieprawego łoża. Po nieudanym małżeństwie Jill stwierdziła kategorycznie, że świstek papieru i pusta obietnica spędzenia z kimś reszty życia nic dla niej nie znaczą. Oczywiście, nie miałam prawa się z nią spierać. Wnuczka otrzymała drugie imię po matce Billa, nieodżałowanej Laurze Woodley.

Kilka miesięcy później pojawiło się w naszym życiu czterotygodniowe słońiatko z Tsavo, pod moją nieobecność ochrzczone przez opiekunów imieniem Emily – na cześć mojej wnuczki. Nie mieliśmy w zwyczaju nazywać słońi w ten sposób: z reguły nadawaliśmy im imiona od nazw geograficznych bądź zwrotów z języków miejscowych, które pomagały skojarzyć zwierzę z jego pochodzeniem bądź okolicznościami, w jakich do nas trafiło. Opiekunowie nie chcieli jednak ustąpić i Emily została Emily.

Uratowano ją z nieczynnej latryny w pobliżu obozu karnego Manyani, do której wpadła, kiedy jej stado migrowało z Tsavo West do Tsavo East. Personel więzienny wyciągnął ją z dołu oblepioną ludzkimi odchodami. Matka usłyszała porykiwania i wróciła po córkę, ale nie rozpoznała przesiąkniętego kloacznym zapachem straszdyła. Zanim uciekła, podrzuciła słońiatko wysoko w powietrze. Długo trwało, nim Emily doszła do siebie po utracie matki w tak obrzydliwych okolicznościach. Miała kłopoty z żołądkiem, w końcu jednak wyzdrowiała i wyrosła na bardzo ważną słońicę, pierwszą z odchowanych przez nas sierot, która urodziła młode na wolności. Co więcej, po doświadczeniach w sierocińcu wiedziała, dlaczego pozbawione matki słońiatka trafiają właśnie do nas. Po narodzinach swojego pierwszego dziecka poczuła się dość pewnie, żeby pochwalić się nim przez swoją ludzką rodziną i opiekunami, którzy ją odchowali.

Rosła liczba naszych byłych podopiecznych w Tsavo, do których dołączali kolejni wychowankowie sierocińca w Nairobi. Spotkania dawnych towarzyszy z ochronki były zawsze wzruszające – zwierzęta rozpoznawały się natychmiast i witały bardzo wylewnie. Eleanor z niezmiennym entuzjazmem przyjmowała coraz to nowych kandydatów do swojej „jednostki adopcyjnej”: wszystkie sieroty uważały się za pełnoprawnych członków rodziny. Niestety, słońica nie wyzbyła się paskudnych nawyków żywieniowych z dawnych lat, kiedy stała przy szosie i ściągała myto od turystów. Żeby nie rozpuściła słońiatek odchowanych w naszym sierocińcu, musieliśmy ogrodzić płotem elektrycznym całą siedzibę KWS w Voi. Karmienie sierot z ręki było surowo wzbronione, zarówno w sierocińcu, jak i w samym Voi – gdyby rozpieszczone słońie wybrały się do ludzkich osiedli na poszukiwanie smakołyków, skończyłyby z kulą we łbie. Opiekunowie dostali instrukcję, żeby nie pokazywać się turystom podczas przekraczania szlaków w parku. Zależało nam, by odwiedzający nie widzieli różnicy między dzikim stadem a grupą osieroconych słońiatek.

Po okropnym wypadku lotniczym, w którym doktor Leakey stracił obydwie stopy, przez stanowisko dyrektora Kenya Wildlife Service przewinęło się kilka osób. W strukturach organizacji przeprowadzono radykalne zmiany, których celem było rozdrobnienie zarządzania terenowego. W rezultacie strażnicy polowi stracili możliwość podejmowania bezpośrednich decyzji, którymi obarczono wyższych rangą urzędników, zatrudnionych w większości w siedzibie zarządu w Nairobi. Jak łatwo dało się przewidzieć, fundusze na działalność w terenie zostały ograniczone na rzecz niewydolnej i nadmiernie rozrośniętej biurokracji najwyższego szczebla. Nasza fundacja postanowiła więc przejąć główny ciężar finansowania działań terenowych w Tsavo – zaopatrując oddziały do walki z kłusownikami w paliwo gwarantujące mobilność, pokrywając koszty funkcjonowania dodatkowych patroli likwidujących sidła, pomagając w naprawie samochodów, wykonywaniu odwiertów i budowie wiatraków – innymi słowy, doraźnie łątała dziury budżetowe i organizowała szybką pomoc w sytuacjach nagłych. Wciąż nie udało się zlikwidować kłusownictwa – nielegalne ładunki kości słoniowej wędrowały nadal na Daleki Wschód. Pojawił się też inny poważny problem: handel dziczyzną z buszu. Kiedyś myśliwi polowali wyłącznie na własne potrzeby, teraz dziczyzna trafiła na rynek zewnętrzny. W krajach Afryki Zachodniej, gdzie wytępiono niemal całą zwierzynę, uchodziła za prawdziwy przysmak. Od niedawna eksportowano ją z Kenii – także na Bliski Wschód, gdzie popyt na nią wciąż rośnie, a nawet do europejskich stolic, w których mieszka coraz więcej imigrantów z Afryki Zachodniej.

W styczniu 1994 roku stanęliśmy przed kolejnym wyzwaniem – nie mieliśmy jeszcze do czynienia ze słońciątkiem, którego matka nie zdążyła oczyścić z błon płodowych. Słonica została zastrzelona podczas porodu na skraju lasu Imenti, skąd pochodzili Ndume i Malaika. Maluch z oczywistych względów nie skorzystał z dobrodziejstw siary, co musiało zaburzyć funkcjonowanie jego układu odpornościowego i zwiększyć podatność na wszelkie choroby. Byliśmy pewni, że wkrótce przyjdzie nam kopać kolejną mogiłkę w parkowym lesie. Nazwaliśmy sierotę Imenti. Serce nam się krajało, bo słońnik wyglądał jak okaz zdrowia: miał miękką, lśniąca, jędrną skórę i uszy różowe jak płatki kwiatu. Był tak śmiały i ufny, że wtulał się w każde napotkane po drodze nogi. Weterynarz zaproponował rozwiązanie radykalne: pobrać krew od innego słonia, odwirować z niej osocze i podać je małemu dożylnie, w nadziei, że jakoś zastąpi zawarte w siarze immunoglobuliny i wzmocni układ odpornościowy noworodka. Poza nim w słoniowym sierocińcu przebywała tylko uratowana z latryny Emily, wciąż zbyt słaba, żeby posłużyć za dawcę. Umówiliśmy się więc z weterynarzem, że poleci do Tsavo i uspi Malaikę, która była już czcigodną matriarchinią, doglądającą grupki sierot, ilekroć Eleanor wybierała się na dalszą eskapadę w towarzystwie starszych słoni, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin Imenti dostał osocze krwi Malaiki. Z początku najedliśmy się trochę strachu, ale potem wydarzył się cud i preparat zadziałał. Niewykluczone, że oboje dzielili geny z tej samej puli – w lesie Imenti pozostały niedobitki słoni. Świeżo nabyte doświadczenia pomogły nam w ocaleniu innych noworodków, między innymi Wendi, kolejnego słońciątka z lasu Imenti, której imię znaczy „nadzieja” i która – podobnie jak Emily i Imenti –

miała wyrosnąć na jedną z „twarzy” naszego programu ratowania osieroconych zwierząt. Imenti też miał swój udział w sukcesach fundacji: dzięki niemu udało się otworzyć drugi ośrodek rehabilitacyjny w Ithumbie na północy Tsavo.

Mniej więcej w tym samym czasie grupka pod wodzą Eleanor powiększyła się o Mary, dziesięcioletnią słońcę, która od drugiego roku życia przebywała w Mount Kenya Safari Club w Nanyuki. Czekał ją transport do jednego z ogrodów zoologicznych w Stanach Zjednoczonych. Na szczęście Don Hunt, właściciel Mary, wpadł na inny pomysł: postanowił odesłać ją do Eleanor i innych zwierzątek z Tsavo, choć z początku miał wątpliwości, czy słońca zostanie zaakceptowana przez stado i czy poradzi sobie w tak dużej grupie. Niepotrzebnie się martwił, bo spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem wszystkich miejscowych sierot, nie wyłączając Eleanor. Później uległa jednemu z dzikich zalotników i urodziła słońką płci męskiej. Daliśmy mu na imię Donald, na cześć człowieka, który zwrócił wolność jego matce. Byliśmy zaskoczeni, że Eleanor – starsza przecież od Mary i wchodząca w znacznie częstsze kontakty z dzikimi samcami – nie zaszła jeszcze w ciążę i nie doczekała się własnego potomstwa. Uczeń zwrócił uwagę, że słońca nie podjęła aktywności seksualnej w normalnym dla tych zwierząt wieku kilkunastu lat. Podejrzewali, że właśnie to jest przyczyną jej bezpłodności.

Przy okazji narodzin dziecka Mary przekonaliśmy się na własne oczy, że słońce z rozbitych wspólnot mają skłonności do porywania cudzych młodych. Z natury obdarzone silnym instynktem macierzyńskim, rozpaczliwie próbują przywabić do siebie inne słończątko i stworzyć własną rodzinę zastępczą. Podobne zachowania są często obserwowane i odnotowywane przez opiekunów osieroconych zwierząt. W tym przypadku Eleanor podjęła natchmiastową próbę przejęcia samczyka urodzonego przez Mary: zgarnęła go pod własny brzuch, zachęciła do ssania pustego wymienia i odpędziła prawdziwą matkę. Ponieważ mleko nie chciało płynąć, mały zaczął ryczeć wniebogłosy – coraz głodniejszy i bardziej sfrustrowany. Mary szalała z niepokoju, nie mogła jednak odzyskać malucha: Eleanor była od niej starsza, a co za tym idzie, znacznie potężniejsza i wyżej postawiona w hierarchii. Porządek w żeńskim stadzie obowiązuje równie ściśle, jak w grupie samców i także zależy od wieku. Dopiero po interwencji Taru i Chumy udało się oderwać słończątko od Eleanor i podprowadzić z powrotem do matki. Mary zabrała malucha i na dobre opuściła trzódkę Eleanor, wiążąc się z dzikim stadem, w którym funkcjonowała w pełni ukonstytuowana słońcowa rodzina z kilkorgiem noworodków. Opiekunowie od czasu do czasu trafiali na Mary w buszu. Witła się z nimi zdawkowo, najwyraźniej nie mając zamiaru odnawiać swoich kontaktów z ludźmi, Eleanor ani sierotami z pobliskich zagród, które musiały jej się kojarzyć z wieloletnią niewolą w Nanyuki.

Eleanor zaprzyjaźniła się w końcu z dziką słońcą, która miała własną rodzinę. Opiekunowie tak często widywali ją w towarzystwie Eleanor, ona zaś nie miała nic przeciwko ich obecności, że w końcu dali jej na imię Catherine, choć na ogół nie mieli w zwyczaju nazywać słońi bytujących na swobodzie. Tamtego pechowego dnia w Tsavo, kiedy szukałam Eleanor, trafiłam właśnie na Catherine. Słońca wyrzuciła mnie w górę i zostawiła ze

zmiażdżoną nogą, której leczenie potrwało piętnaście miesięcy. A stało się to tak, że chcąc koniecznie pokazać Eleanor jednemu z naszych gości, popełniłam niewybaczalny błąd. Byłam pewna, że żaden ze słoni z Tsavo nie podejdzie do obcego człowieka, więc gdy Catherine zareagowała na moje wołanie – mimo że jej postura i kolor oczu wzbudziły we mnie podejrzenia – w ułamku sekundy uległam przeświadczeniu, że to naprawdę Eleanor. W końcu dlaczego podeszła do nas z taką ufnością? Pozwoliła mi dotknąć pyska i trąby, poczuć chłód ciosów, kiedy jednak wyciągnęłam rękę, żeby podrapać ją za uchem – tak jak lubiła Eleanor – wzdrygnęła się gwałtownie. Pamiętam tylko, jak poleciałam w powietrze i wylądowałam z takim impetem na stercie kamieni, że uderzenie strzaskało mi prawą nogę. Leżałam w kałuży krwi, patrząc na ranę, z której wystawały odłamki kości. W całym ciele czułam jakieś dziwne chrupotanie.

Ilekcję myślę o tym strasznym wypadku, uświadamiam sobie, ile miałam szczęścia, że udało mi się przeżyć. Tamtego dnia odebrałam ważną lekcję na temat złożonych i zaawansowanych metod porozumiewania się słoni. Catherine stanęła nade mną całym ciałem i w każdej chwili mogła mnie zabić. Zważywszy na to, ile ludzkiego okrucieństwa doświadczyli jej pobratymcy, dziwię się, że tego nie zrobiła. Postąpiła inaczej: „dowiedziawszy się” od Eleanor, że nie mam wrogich zamiarów, wsunęła ciosy pod moje okaleczone ciało i próbowała dźwignąć mnie na nogi.

Catherine tak mnie urządziła, że wymagałam natychmiastowej transfuzji i trafiłam na stół operacyjny, skoro tylko lekarze z organizacji Flying Doctors przetransportowali mnie na oddział urazowy szpitala w Nairobi. Kiedy się wybudziłam z narkozy po dziewięciogodzinnym zabiegu, miałam nogę w gipsie od biodra po czubki palców, wkręconą w kości kupę żelastwa, którym zespolono połamaną miednicę i strzaskane kolano, oraz wielkie, podbiegnięte krwią pęcherze po opasce uciskowej, założonej na udo, żeby powstrzymać krwotok. Krwiaki przyczyniły się do poważnych komplikacji, które na pewien czas wyłączyły mnie z wszelkich działań. Na szczęście Jill i JF podjęli się prowadzenia sierocińca. JF musiał pogodzić pracę na planie filmowym z codzienną krzątaniem przy wypłacie pensji, konserwacji sprzętu i zaopatrzeniu zwierząt w paszę, bo Jill była w zaawansowanej ciąży z ich drugą córeczką, która urodziła się 22 października, kiedy leżałam jeszcze w szpitalu w Nairobi. Dziewczynka dostała imiona Zoe Emma Marjorie. Bardzo się ucieszyłam na jej widok, wróciwszy do domu o kulach, choć radość z jej narodzin zmąciły smutne wieści o śmierci Ruth, żony Billa, która przegrała długą walkę z rakiem. Ruth była moją przyjaciółką i kimś w rodzaju dobrej macochy dla Jill – gorzko opłakiwaliśmy jej przedwczesne odejście wraz Billem i ich trzema synami, braćmi przyrodniemi mojej starszej córki.

Przez pół roku unieruchomiona w domu, wyglądałam tęsknie przez okno sypialni, obserwując ptaki szybujące na niebie i maleńkie oknówki, które jak zwykle zlatywały się do gniazda pod krokwiami na werandzie. Mogłam jednak pracować i urządziłam sobie biuro we własnym łóżku, z maszyną do pisania na podołku i telefonem pod ręką. Na duchu podtrzymywali mnie goście – znajomi i inni ludzie dobrej woli, a także Stary M, który wpadał do mnie z wizytą, ilekroć miał coś do załatwienia w mieście. Niestety, pięć miesięcy po

wypadku wciąż bardzo cierpiałam, a z prześwietlenia wynikało, że nie obejdzie się bez przeszczepu kostnego. Miednica nie chciała się zrosnąć.

Na szczęście Angela przyjechała akurat w porę, żeby przekonać mnie do operacji w RPA. Wykonanie przeszczepu w Nairobi wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Angela skontaktowała się z kolegą ze studiów, który był chirurgiem ortopedą i nalegał na pośpiech, bo przeszczep kostny jest bardzo poważnym i skomplikowanym zabiegiem. Skierował mnie do doktora Paula Firera, który uchodził za najlepszego w swoim fachu. Miał dziwne przyzwisko Ponky, oznaczające ponoć dzikiego psa.

Poleciałam więc do RPA – rozłożona na trzech siedzeniach, z nogą unieruchomioną w gipsie. Podczas kolejnej wyczerpującej operacji, która trwała tym razem dziesięć godzin, trzeba było usunąć wszystkie implanty założone przez chirurgów w Nairobi. Obudziłam się z rozognioną nogą i opuchniętym biodrem, z którego pobrano fragment kości do przeszczepu. W nogę wdało się takie zakażenie, że Ponky nie mógł dokonać zabiegu. Jego kolega, doktor Jeff Sochen, założył mi dreny do płukania kości, zanim wyszłam z narkozy. „W tej nodze uchowało się aż dziesięć szczepów bakterii – jest pani naprawdę wybitną specjalistką od ochrony przyrody” – zażartował przy okazji Ponky. „Stokrotne dzięki – odparłam. – Proszę je stamtąd wykurzyć!”.

Wykurzenie bakterii wiązało się z koniecznością spędzenia kolejnych sześciu tygodni na wznak i płukania kości antybiotykami. Nie musiałam przez ten czas leżeć w szpitalu. Moja siostrzenica zgodziła się mnie przyjąć – wraz z całą aparaturą – u siebie w Johannesburgu. Betty przyleciała z Durbanu, żeby się mną zaopiekować. Leżałam na materacu przeciwo-drażynowym pokrytym owczą skórą, z nogą unieruchomioną na wyciągu i obciążoną kilkunastokilogramowym ciężarkiem. Sally wstawiła mi do pokoju mały telewizor z wideo. Obejrzałyśmy z Betty wszystkie odcinki *Armii tatuśka*, w przerwach wspominając własne dzieciństwo. Moja siostra i jej córka to prawdziwe anioły, dzięki nim uciążliwe zabiegi zrobiły się niemal przyjemne. Tygodnie spędzone w domu Sally miały dla mnie przełomowe znaczenie – po pierwsze, udało się uratować nogę, po drugie, jestem wdzięczna losowi za czas spędzony z Betty, z którą rozstałam się kiedyś na cztery długie lata.

Musiałam odczekać miesiąc, aż otwory po drenach całkiem się zagoją. Tym razem zatrzymałam się u Betty w Durbanie. Potem wróciłam do Johannesburga na kolejną dziesięciogodzinną operację – zakończony sukcesem przeszczep kości pobranej z drugiego biodra. Ponky zaprojektował specjalny implant, który zamierzał wstawić w moje uszkodzone kolano. Przy pierwszej, nieudanej próbie przeszczepu mógł przynajmniej ocenić rozmiary uszkodzenia stawu. Ból po wyjściu z narkozy okazał się jednak nieznośny. Przez kilka dni byłam na morfinie, po czym musiałam znieść mękę ćwiczeń na „maszynie do gięcia” i uciążliwą fizjoterapię, żeby odzyskać ruchomość kolana, które na razie sprawiało wrażenie, że pozostanie już na zawsze sztywne. Lekarze oznajmili kategorycznie, że wypiszą mnie ze szpitala dopiero wówczas, kiedy przejdę przez cały oddział o kulach i nie zemdleję. Byłam tak osłabiona, że wątpiłam, czy kiedykolwiek mi się to uda; kuśtykając po korytarzu, raz po raz opadałam na krzesło podstawiane przez pielęgniarkę. Ponky co dzień kon-

trolował moje postępy. Nie był pewien, czy uszkodzony staw zegnije się pod kątem większym niż czterdzieści stopni, i zaczął mnie łagodnie przygotowywać, że dożyję końca swych dni z kupą żelastwa w kolanie. W moim wieku kości są już tak kruche, że nie odważyłby się usunąć implantu.

Nie miałam pojęcia, że wielu znajomych i sympatyzujących z nami miłośników słoni – między innymi fani serialu *Gaia Symphony* w reżyserii Jina Tatsumury – przekazali Jill pieniądze na pokrycie kosztów mojego leczenia. Inni obiecali dalszą pomoc w razie potrzeby. Niezmiernie mnie to wzruszyło: mam dziś sprawną nogę właśnie dzięki ich ofiarności oraz doświadczeniom zawodowym Ponky’ego, a zwłaszcza doktora Jeffa Sochena, w owym czasie jednego z kilku lekarzy na świecie specjalizujących się w nowej metodzie pulsacyjnego płukania kości. Jestem winna dozgonną wdzięczność tym wspaniałomyślnym i niewiarygodnie życzliwym ludziom.

Jin i jego wielbicielę przyjęli nas po królewsku, kiedy wybrałyśmy się z Angelą w podróż do Japonii: dosłownie obsypali nas darami i pieniędzmi na pomoc w ratowaniu słoni. W każdym większym mieście na trasie naszej podróży Jin wynajmował salę wykładową, żebym mogła wygłosić swoje przesłanie o katastrofalnych następstwach handlu kością słoniową – zawsze przed widownią wypełnioną do ostatniego miejsca. Codziennie poddawałam się zabiegom wybitnego akupunkturzysty, specjalisty ziołolecznictwa i masażysty, który działał cuda z moją nogą. Najbardziej polubiłam terapię „alternatywną”, która polegała na kąpielach w gorących leczniczych źródłach na zboczu czynnego wulkanu w górach. Kuracjusze mieli do wyboru najrozmaitsze źródła: od niemal wrzących aż po znacznie chłodniejsze u podnóża wzniesienia. Samo skorzystanie z uzdrowiska okazało się dla mnie nie lada próbą charakteru! Musiałam zdjąć buty przed progiem, rozebrać się do naga, zamknąć swoje rzeczy w małej szafce i wejść do wody razem z innymi kuracjuszkami. Nie miałam takiej figury jak większość zadbanych japońskich dam i czułam się strasznie skrępowana, akupunkturzysta był jednak nieustępliwy, więc w godzinach obiadowych wysłałam na przespiergi Angelę, żeby policzyła buty przed każdymi drzwiami, zanim się zdecyduję, który źródło wybrać. Wróciła z wieścią, że pusto jest tylko przed najgorętszym. W te pędy ruszyłam na miejsce i weszłam do wody, ale ku mojej konsternacji po chwili dołączyło do mnie kilka japońskich kuracjuszek. Wstydziałam im się pokazać. Moja skóra robiła się coraz czerwieńsza, zanim wszystkie sobie poszły, przypominałam ugotowanego homara. Angela zrugnęła mnie z góry na dół, że zachowuję się jak ostatnia kretynka.

Gdy wróciłam do Nairobi, zgodnie z obietnicą odwiedził mnie doktor Ponky Firer. Z początku był trochę sceptyczny wobec alternatywnych metod leczenia, czekało go jednak miłe zaskoczenie, kiedy się przekonał, że kolano jest w pełni sprawne. Przyznał, że podróż do Japonii miała cudowny wpływ na moją „słoniową nogę”. Od tamtej pory nie mam żadnych kłopotów z chodzeniem; tylko czasem muszę posiłkować się kulami – kiedy po nagłym skręcie tułowia staw przypomni o sobie i zażąda odrobinę łagodniejszego traktowania.

Kiedy byłam poza domem, Jill informowała mnie o wszystkim na bieżąco. Pierwszą osobą, która zadzwoniła do mnie po przyjeździe, okazał się jej ojciec. Ucieliśmy sobie

z Billem bardzo długą rozmowę, wymieniając się najnowszymi plotkami. Z tym większym szokiem przyjąłam nazajutrz wiadomość, że mój były mąż doznał rozległego wylewu i zapadł w śpiączkę, z której miał się już nie obudzić. Jill i jej przyrodni bracia nalegali, żeby przewieźć ojca do wiejskiego szpitala w Nanyuki, gdzie miałyby bliżej do swoich przyjaciół i ukochanych górskich parków narodowych. Kiedy umarł, jego prochy rozsypano nad pasmem Aberdare i górą Kenia, razem z prochami Ruth. Bill był moją pierwszą miłością, moim pierwszym mężem, troskliwym ojcem Jill i przyjacielem na całe życie, dobrym duchem i nieocenionym współpracownikiem naszej fundacji. Łączyła nas również miłość do Eleanor, trwająca już trzydzieści pięć lat.

Tymczasem zaszły zmiany w życiu Angeli. Zakochała się z wzajemnością w Robercie Carr-Hartleyu. Byłam zdumiona, że nie poznali się wcześniej: Carr-Hartleyowie od dawna przyjaźnili się z naszą rodziną. Robert i dwoje jego rodzeństwa wychowali się w gospodarstwie dziadka pod Rumuruti, niedaleko Cedar Park. Byli potomkami starej rodziny kenijskich osadników, którzy w pionierskich czasach sąsiedowali z wieloma członkami rodziny Aggettów. Robert, podobnie jak Angela, dosiadł nosorożca dużo wcześniej, nim zaczął jeździć konno, uwielbiał dziką przyrodę i życie w buszu, a przy tym świetnie radził sobie w mieście – czyli reprezentował sobą wszystko, czego Angela mogła oczekiwać od przyszłego męża. Jego rodzina trudniła się kiedyś profesjonalnym odławianiem zwierząt na sprzedaż do ogrodów zoologicznych – zanim zaczęto je unieruchamiać preparatami usypiającymi. Roy, ojciec Roberta, często pomagał Jill i mnie, kiedy musiałyśmy przetransportować słońiętko z sierocińca do ośrodka rehabilitacyjnego w Tsavo.

Pobrali się 7 grudnia 1996 roku w kościele w Karen – w którym odbyły się uroczystości pogrzebowe Davida. Angela wyglądała olśniewająco w sukni z bladobeżowego jedwabiu, w otoczeniu pięciu małych druzhen – trzech anielskich blondynek, siostrzenic Roberta, oraz dwóch moich wnuczek, Emily i Zoe, które sprawiły rodzinie straszny zawód, kategorycznie odmówiwszy wejścia do kościoła z orszakiem ślubnym. Angela przekroczyła próg świątyni wsparta na ramieniu swojego brata przyrodniego Kennetha, syna Davida z małżeństwa z Dianą. Zależało mi, żeby urządzić Angeli tradycyjne wesele w stylu pierwszych osadników; krewni i znajomi zjechali się z daleka, z Afryki Południowej, a nawet z Anglii, dzięki czemu przyjęcie zmieniło się w cudowne spotkanie towarzyskie. Ceremonia odbyła się z wielkim przepychem. Wiedziałam, że David byłby zadowolony z potraktowania naszej córki po królewsku.

Po miesiącu miodowym nad brzegiem oceanu nowo poślubieni małżonkowie osiedlili się w Borana Lodge nieopodal Nanyuki – posiadłości, którą Robert wydzierżawił i wziął pod swój zarząd. Wspólnie z Angelą przekształcili ją w wyjątkowo elegancki obóz safari. Wiedziałam, że David – podobnie jak ja – pochwaliby wybór Angeli, byłby dumny ze swojej córki, pod wieloma względami bardzo do niego podobnej, i szczęśliwy, że wróciła do domu, zamiast zostać w RPA. Angela zajęła się prowadzeniem i zaopatrzeniem ekskluzywnego sklepu w Borana Lodge, nadzorowaniem jadłospisu i organizacją cateringu. Dzięki wrodzonej dbałości o szczegóły, która wszystkim gościom zapada w pamięć, Angela

i Robert stworzyli jeden z najbardziej obleganych ośrodków safari w Kenii. Każdy mógł tutaj liczyć na zainteresowanie gospodarzy i spełnienie wszelkich zachcianek. Jill, JF i ja – przyzwyczajeni do prostego życia w Nairobi – traktowaliśmy kilkudniowy pobyt u Angeli i Roberta jak luksusowy i pełen atrakcji urlop.

Tymczasem organizacja David Sheldrick Wildlife Trust rozrosła się i zaczęła znacznie skuteczniej działać. Nowo powstały sierociniec zyskiwał coraz większy rozgłos: codziennie przyjmowaliśmy gości pragnących podziwiać stadko odchowanych przez nas słońtek. Ludzie zjeżdżali z całego świata, żeby wmieszać się między nasze sierotki. Wśród odwiedzających było też mnóstwo dzieci z miejscowych szkół, co tylko nas przekonało o słuszności starań.

Wiedliśmy uprzywilejowany żywot w naszym parkowym domu, otoczeni liczną gromadą zwierząt – guźców, które wyprowadziły już piętnaste pokolenie młodych; dwóch dzikich buszboków, które jadły nam z ręki i układały się do snu z nocnymi stróżami, wiedząc, że przy nich nie muszą obawiać się drapieżników; wszędobylskich ptaków i wiewiórek, które zjawiały się na zawołanie po robaki; wreszcie starych bawołów o imionach Horacy, Hardy, Hellier i Hełm, które regularnie przychodziły napić się z naszej sadzawki, dając nam w zamian poczucie bezpieczeństwa po zmroku. Miałam słabość do tych rogatych byków, podejrzewałam, że wywodzą się w prostej linii od kilkunastu osieroconych bawołów z Tsavo, które dały początek ustabilizowanej już populacji w Parku Nairobi.

Nasza organizacja zainwestowała część funduszy w zakup ziemi wzdłuż południowego brzegu rzeki Athi, na obszarze, który David niedługo przed śmiercią zamierzał przekształcić w państwowy rezerwat przyrody, w pełni świadom, że amatorzy kości słoniowej, rogów nosorożców i nielegalnej dziczyzny urządzili tam sobie bazę wypadową. Choć rząd wyraził zgodę na utworzenie rezerwatu Ngai Ndethya, David nie doczekał podpisania stosownego aktu prawnego i na tym terenie pojawiły się dzikie osiedla. Koniecznym warunkiem posiadania ziemi w Kenii było ustanowienie tak zwanej trwałej obecności, więc po odkupieniu gruntu od afrykańskiego dzikiego lokatora członkowie Rady Powierniczej wybrali się z nami, żeby wskazać miejsce pod budowę ośrodka, który z czasem zyskał nazwę Saa Nane i służy fundacji do dziś, jako miejsce spotkań najważniejszych sponsorów i baza naszych operacji polowych w Tsavo. David często snuł tęskne marzenia o własności kawałka pustkowia wraz z jego dzikimi mieszkańcami, a ponieważ nie miał na to żadnych szans, byliśmy przekonani, że pochwaliliby naszą inicjatywę. Saa Nane (na cześć afrykańskiego przydomka Davida) zostało zaprojektowane przez Angelę i Roberta, po czym wzniesione przez kuzyna mojego zięcia na południowym brzegu rzeki Athi – z oknami na przymglony płaskowyż Yatta, gdzie wciąż czuć obecność Davida. Saa Nane przysparza nie małych środków fundacji, goszcząc wyjątkowych darczyńców, którzy płacą za przywilej spędzenia czasu w rezerwacie, oraz klientów safari, zatrzymujących się tutaj między kolejnymi etapami wycieczek objazdowych. Jest także naszym domem, ilekroć obowiązki wzywają nas do Tsavo. Przy budowie wykorzystano wielkie płaszczyzny mieniących się granatami skał z pierwotnych ostańców. W założeniu uwzględniono też miejscowe rośliny – wil-

czomlecze kandelabrowe i tak zwane drzewa pasterzy – wyrastające wprost z podnóża betonowej werandy z widokiem na rzekę. Układ warstw skalnych odzwierciedla bogatą historię geologiczną obszaru. Jedyne, na co musiałam nalegać, to przekrycie Saa Nane płaskim dachem, gdzie moglibyśmy nocować i podziwiać gwiazdy w bezchmurnej nocie nad Tsavo – co zawsze budziło we mnie wspomnienia mojej matki, która co noc wychodziła przed dom, żeby popatrzeć z zachwytem na rozpościerający się w górze wszechświat.

Majątek naszej organizacji miał się z czasem powiększyć o farmę Kaluku, odkupioną od Jill i JF. Oboje od dawna marzyli o prostym życiu z dala od cywilizacji – kiedy wystawiono na sprzedaż działkę nieopodal Mtito Andei, nad ciekim wodnym graniczącym z parkiem, nabyli ją bez namysłu, w tym samym czasie, kiedy Trust wszedł w posiadanie ziemi, na której stanął ośrodek Saa Nane. Postanowili zachować pierwotne zabudowania z gliny, uzupełniając je prostą, okrągłą chatą mieszkalną. Urządzili szkółkę miejscowych drzew i zapoczątkowali działalność pierwszych wyspecjalizowanych patroli, których zadaniem było wyszukiwanie i niszczenie drucianych pułapek zastawianych przez kłusowników polujących na zwierzynę dla mięsa. Stary wyga JF, doświadczony w oswobodzaniu nieszczęślików z niewoli, sprowadził na farmę kilka wyleniałych kurczaków znalezionych na szosie między Nairobi a Mombasą, zadziornego dukera i krokodyla z „sierocińca” dla dzikich zwierząt przy głównym wejściu do Parku Nairobi oraz parę wielkich żółwi, uwolnionych z ciasnej klatki w przydrożnym obozie safari. Zbudował też domek dla nietoperzy z zainstalowanymi wewnątrz drążkami oraz ule dla pszczoł, którym nie zamierzał podbierać miodu, tylko chciał zapewnić bezpieczeństwo. Jill zawsze podziwiała jego zdolność empatii i chęć stworzenia zwierzętom jak najlepszych warunków do życia, nie wspominając już o tym, że w razie potrzeby JF umiał wyratować ofiarę z opresji szybko, sprawnie i skutecznie. Oboje odegrali ważną rolę w pionierskich działaniach fundacji na rzecz wspólnoty miejscowej, zaopatrując okoliczne szkoły w sprzęt sportowy, podręczniki i filmy wyświetlane w kinie objazdowym. Od tamtej pory program pomocy bardzo się rozwinął i objął wiele szkół na terenach przylegających do Tsavo.

Niestety, w naszym sierocińcu w Nairobi doszło do napadu z bronią w rękę. Bandyci wzięli Jill na muszkę i zmusili ją do oddania wszystkich pieniędzy przeznaczonych na pensje dla pracowników. Tego było już za wiele dla JF, który postanowił spakować manatki i przenieść się z rodziną do Francji. Był jedynakiem, synem starzejących się rodziców, którzy potrzebowali jego obecności i chcieli spędzać jak najwięcej czasu ze swoimi wnuczkami. Poza tym JF zależało, by córki mówiły równie płynnie po francusku i angielsku. Kiedy Jill i moje wnuczki wyjechały do Francji, myślałam, że serce mi pęknie. Później, kiedy się dowiedziałam, że w pierwszym roku rozłąki Jill prawie dzień w dzień płakała z tęsknoty za Kenią, gorzko pożałowałam, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Cóż, co ma być, to będzie: kiedyś wszystko się zmienia na lepsze. Dziś Jill jest szczęśliwa, że ma ostoję we Francji i dom w Kenii, gdzie zamieszczą się wszystkie nasze rodziny. Wciąż jest bardzo zaangażowana w sprawę i spędza wraz z dziećmi możliwie najwięcej czasu w Afryce. JF z kolei powtarza, że powrót do urządzanej na nowo farmy Kaluku byłby dla niego zbyt trauma-

tycznym przeżyciem – woli poświęcić czas sędziwemu ojcu, który po śmierci żony wymaga troskliwszej opieki.

Czasem sobie myślę, że ktoś „hen w oddali” czuwał nade mną po odejściu Jill i JF, bo ich wyjazd zbiegł się z powrotem Roberta i Angeli, którym niespodziewanie skończyła się dzierżawa Borana Lodge. Syn właściciela postanowił przejąć zarząd nad ośrodkiem. Jak się potem okazało, było to szczęście w nieszczęściu: kilka lat później doszło do załamania rynku turystycznego wskutek globalnego kryzysu. Gdyby nie decyzja o rozwiązaniu umowy, Angela i Robert – którzy prócz opłaty dzierżawnej musieli ponosić koszty bieżącej działalności – popadliby w poważne kłopoty finansowe. Uśmiech sam mi się ciśnie na usta: po jednej stronie skromnego bungalowu z drewnianych prefabrykatów stoi niepozorna, okrągła chatka Jill, która służy teraz jako domek gościnny. Nauczeni przykrym doświadczeniem, przerobiliśmy mój dodatkowy pokój na solidnie zabezpieczony skarbiec. Po drugiej stronie wyrósł piękny nowy dom Angeli, wybudowany za zgodą KWS według projektu i za pieniądze młodego małżeństwa. Obydwie budowle celnie odzwierciedlają skrajnie odmienne charaktery moich skrajnie odmiennych córek: jedna trzyma się z dala od wymyślnych pułapek konsumeryzmu i nowoczesnego stylu życia, ceniąc w zamian tradycję i prostotę; druga uwielbia piękne wnętrza, piękne przedmioty i modne gadżety. Angela odziedziczyła po Davidzie smykałkę techniczną i pasję majsterkowania. Nic nie sprawia jej tyle radości, co odświeżanie i modernizowanie istniejących pomieszczeń fundacji, projektowanie i nadzоровanie budowy nowych oraz – ma się rozumieć – ogólna dbałość o wystrój wnętrza.

W maju 1998 roku urodził się pierwszy syn Angeli i mój pierwszy wnuk, Taru David Roy – Taru od pustyni Taru, przekształconej w Park Narodowy Tsavo, David po dziadku ze strony matki, czyli moim Davidzie, Roy na cześć ojca Roberta. Dwa lata później przyszedł na świat jej drugi syn, Roan Alexander William – w czerwcu milenijnego roku 2000, według starożytnej mitologii chińskiej wyjątkowo korzystnego roku Złotego Smoka. I tak los pobłogosławił mnie dwiema pięknymi wnuczkami i dwoma wspañałymi wnukami; cała czwórka pasjonuje się dziką przyrodą.

Po wyjeździe Jill moją prawą ręką została Angela. Kilku jej najwierniejszych pracowników z Borana Lodge zatrudniło się w naszej fundacji w charakterze księgowych, mechaników, kucharzy i opiekunów słoń. Do tej pory David Sheldrick Wildlife Trust miał prostą stronę internetową, założoną dzięki uprzejmości jednego z naszych darczyńców; funkcjonowała ona jednak w szcążkowej postaci, bo ani ja, ani Jill nie byłyśmy szczególnie biegłe w obsłudze komputerów. Z kolei Angela i Robert są świetnie obeznani z nowinkami technicznymi i nie mają żadnych kłopotów z wdrażaniem innowacyjnych rozwiązań. Angela obmyśliła i wprowadziła w życie niezwykle skuteczny program elektronicznej adopcji na odległość, który umożliwia ludziom z całego świata zaopiekowanie się słońem w zamian za dostęp do uaktualnianych na bieżąco materiałów edukacyjnych. Dzięki internetowi nasze słoniowe sieroty i działalność fundacji zyskały powszechne zainteresowanie. Angela wprowadziła Trust na nowy, wyższy poziom, co spotkało się z pełnym uznaniem Jill. Niestety, eskalacja kłusownictwa – związana z bogaceniem się Chin i postępującym wzrostem

zaludnienia – pozbawia słonie przestrzeni życiowej i odcina je od dawnych szlaków migracji, co w połączeniu z globalnym ociepleniem i coraz częstszymi suszami zwiększa liczbę osieroconych młodych. Zbudowaliśmy nowe boksy i zagrody, wciąż modernizujemy istniejącą infrastrukturę. Robert, który wraz ze swoim bratem Williamem organizuje ekskluzywne safari objazdowe, przejął nadzór nad powiększającym się parkiem samochodowym, cysternami na wodę, generatorami i pozostałym sprzętem fundacji. Zainstalował też układy śledzące we wszystkich pojazdach patroli zajmujących się likwidacją sideł. Odkupiona od JF farma Kaluku została przekształcona w centralę roboczą organizacji i bazę wypadową naszych działań w Tsavo. Angela zaprojektowała nowy, znacznie wygodniejszy domek dla przewodnika i nadzorcy operacji w terenie. W obrębie dawnej farmy znalazły się warsztaty, biura, pomieszczenia dla personelu, piękny sad i ogród warzywny do użytku mieszkańców oraz hangar z pasem startowym dla naszych nowiusieńkich samolotów Top Cub, skonstruowany na wzór hangaru Davida przy lotnisku parkowym w Voi. Główna Kwatera Polowa Kaluku jest dziś w pełni zasilana energią słoneczną, wyposażona w łączność bezprzewodową, która zapewnia kontakt z patrolami strażników na terenie całego parku, oraz dostęp do internetu. Moja młodsza córka, jej mąż i dwaj synowie Taru i Roan wnieśli do naszej organizacji porcję magicznej energii – wciąż nie mogę się nadziwić, skąd tyle w nich zapału i chęci do pracy. Obecność Trustu w Tsavo wywołała istną lawinę zmian na lepsze.

Często sobie rozmyślam, siedząc pod rozgwieżdżonym niebem, jakie mam szczęście, że jestem nierozłącznie związana z tym magicznym miejscem. Tęsknię za Jill, za moimi rodzicami i kilkorgiem innych wspaniałych ludzi, którzy byli ważną częścią mojego życia. Ból po stracie Davida nigdy mnie nie opuścił, na starość czuję się jednak zadowolona i spełniona. Odkąd mam wnuki, przestałam się martwić o przyszłość fundacji, ochronę dorobku i realizację wizji Davida. Jestem do głębi wzruszona poparciem dla działań naszego Trustu, które znajdują uznanie ludzi na całym świecie.

Zastanawiałam się całe lata, co skłoniło Eleanor do zerwania więzi z człowiekiem i wyręczenia się Catherine w opiece nad sierotami. Myślę, że znam już odpowiedź. Eleanor nie wychowała się w sierocińcu w Nairobi: kiedy wreszcie sama zaszła w ciążę, uznała, że mogę odebrać jej dziecko. No bo skąd się wzięły te wszystkie słońiatka, które oddałam pod jej kuratelę? Rozumując jak najprawdziwsza słońica, Eleanor nabrała podejrzeń, że je porwałam od prawowitych matek – podobnie jak ona, kiedy próbowała uprowadzić nowo narodzonego synka Mary.

16. SUKCES

Niech ten, który szuka, nie ustaje w poszukiwaniu aż znajdzie. [...] Gdy wasi przywódcy powiedzą wam: «to królestwo jest w niebie, wtedy ptaki niebieskie będą pierwsze przed wami». Gdy powiedzą wam, że ono jest w morzu, wtedy ryby będą pierwsze przed wami.

Ewangelia według Tomasza [przeł. Albertyna Dembska i Wincenty Myszor]

David Sheldrick Wildlife Trust jest dziś znany na całym świecie – dzięki internetowi i międzynarodowym ekipom filmowym, które przyjeżdżają kręcić dokumenty o naszych słońiach i nosorożcach. W programie adopcji na odległość uczestniczą tysiące ludzi, obserwujących w sieci rozwój swoich podopiecznych. Organizacja ma oddziały w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, gdzie oddani sprawie działacze tworzą projekty nowych przedsięwzięć, organizują zbiórki funduszy i upowszechniają wiedzę o przyrodzie w szerokim gronie zainteresowanych. David byłby zdumiony skalą popularyzacji swojego dorobku. Jego nazwisko jest dziś utożsamiane z ogólnościową polityką ochrony zasobów naturalnych.

Serial *The Elephant Diaries*, wyprodukowany przez BBC w 2005 roku i wyświetlany w wielu krajach, ogromnie się przyczynił do podniesienia prestiżu naszej organizacji. Kręcony przez kilka lat, okazał się jednym z najpopularniejszych programów telewizyjnych, przyciągając co wieczór miliony widzów w samej Wielkiej Brytanii, później zaś jeszcze większą publiczność kanału Animal Planet. W rezultacie odnotowaliśmy wyraźny wzrost liczby zagranicznych turystów w naszym sierocińcu. Goście chcieli się przyjrzeć codziennym kąpielom błotnym słońiątek i popatrzeć, jak opiekunowie karmią je z butelki. Wielu ruszało później na zwiedzanie innych części kraju – uczestniczyli w safari, obserwowali z zapartym tchem flamingi nad jeziorem Nakuru i migrujące gnu w Masai Mara, podziwiali olśniewające pejzaże jałowej północy i oczywiście sam Park Tsavo. Bardzo się cieszę, że nasze słońie mają tak duży wpływ na rozwój turystyki w Kenii. Kolejny tytuł do sławy zyskaliśmy dzięki amerykańskiej telewizji CBS, która przysłała ekipę programu informacyjnego *60 Minutes*, żeby spopularyzować nasze działania w Stanach Zjednoczonych. Artykuł o nas ukazał się we wrześniowym numerze „National Geographic Magazine” z 2011 roku, doczekaliśmy się też wzmianki w *The Oprah Winfrey Show*. Od tamtej pory nieustannie gościemy ekipy filmowe z Europy i Dalekiego Wschodu. Wytwórnia Warner Brothers wyprodukowała niedawno trójwymiarowy film o naszych sierotach, wyświetlany na całym świecie w kinach IMAX i muzeach przyrodniczych. W *Born to be Wild* wystąpiło kilkoro naszych obecnych podopiecznych, zwierzęta wypuszczone z powrotem na wolność oraz ich młode. Dokument uświadomił kolejnym widzom, że słońie mają bardzo ludzkie cechy – osobniki żyjące dziś na swobodzie wciąż troszczą się o swoich pobratymców, którzy cho-

wają się w ludzkiej rodzinie zastępczej. Tak zwane były sieroty regularnie do nas wracają, żeby towarzyszyć słoniom wypuszczanym na wolność i przedstawić ich członkom dzikiego stada. Dzięki wspaniałej technologii IMAX widz ma wrażenie, jakby obcował z tym wszystkim na wyciągnięcie ręki i wchodził między ostatnie z najpotężniejszych samców na świecie, o ciosach sięgających aż do ziemi. W filmie można obejrzeć scenę akcji ratunkowej i przemianę dzikiego, przerażonego malucha w kochającego, ufnego słonia.

Mimo że nowe stulecie zaczęło się wyjątkowo burzliwie, nasza organizacja wciąż pozyskuje fundusze na inicjatywy ekologiczne, edukacyjne i społeczne, wspiera też Kenya Wildlife Service w dziele zachowania dziedzictwa naturalnego Kenii. Niesiemy pomoc na wiele sposobów. Organizujemy i finansujemy dodatkowe zmotoryzowane patrole do walki z kłusownikami, współpracujące ze strażnikami Kenya Wildlife Service przy usuwaniu śmiertelnych drucianych pułapek na zwierzęta wzdłuż granic parku. Zapewniamy ruchome, w pełni wyposażone jednostki weterynaryjne, obsługiwane przez lekarzy ze służby, którzy objeżdżają teren i udzielają fachowej, lecz nieingerującej w środowisko pomocy zwierzętom chorym i rannym – zgodnie z zasadą przyjętą przez Davida. Wykonujemy odwierty studni, instalujemy wiatraki w Tsavo, świadczymy usługi przy utrzymaniu dróg w najdalszych zakątkach parku. Rozbudowujemy łączność radiową, współuczestniczymy w monitoringu i obserwacji z powietrza, korzystając z naszych samolotów Top Cub. Dokładamy wszelkich starań, żeby otoczyć opieką i ochroną jak najwięcej dziewiczych obszarów poza obrębem parków narodowych.

David uznałby to wszystko za kontynuację i rozwinięcie własnych pionierskich inicjatyw; ilekroć się jednak pochylę nad programem pomocy dla miejscowej społeczności, myślę, że mój mąż byłby równie zdziwiony, jak zachwycony rozmachem naszych działań. Fundacja rok w rok wyposaża dwadzieścia osiem okolicznych szkół w podręczniki, ławki, sprzęt sportowy i inne pomoce dydaktyczne. Sfinansowaliśmy zakup autobusu i organizujemy wycieczki dla uczniów z biednych rodzin, którzy w przeciwnym razie nie mieliby szans zapoznać się z przyrodą własnego kraju ani odwiedzić naszych sierot w Tsavo. Jesteśmy właścicielami kilku kin objazdowych, w których wyświetlamy edukacyjne filmy przyrodnicze dla dzieci z miejscowych wiosek. Muszę z dumą podkreślić, że we wszystkich parkach narodowych w Kenii i wielu podobnych instytucjach za granicą znajdują się egzemplarze *Strażnika dzikiej przyrody* – obszernego przewodnika, zredagowanego na podstawie uwag i zapisków Davida oraz innych doświadczonych strażników przez Tima Corfielda, którego babka była rodzoną siostrą mojej babci Chart. Miejmy nadzieję, że ich wiedza i doświadczenie nie zginą w pomroce dziejów.

Mój domek z drewnianych prefabrykatów wciąż stoi, jak stał, rozrosły się tylko okoliczne chaszczce, posadzone trzydzieści pięć lat temu kolczaste akacje, których korony górują teraz nad dachem, i barwne kwiaty w ogrodzie – na szczęście omijane przez dziką zwierzynę. Żłobek dla słoni nadal funkcjonuje w sąsiedztwie, przybyło nam jednak miejsca i doświadczenia. Do tej pory udało nam się odratować prawie dwieście osieroconych słoniąt, z których ponad sto wróciło na wolność. Nie przeżyłyby bez naszej pomocy.

Przyjęliśmy regułę, że po dwóch latach spędzonych w ochronie w Nairobi sieroty przechodzą do jednego z prowadzonych przez nas ośrodków rehabilitacyjnych. Pierwszy znajduje się tuż obok naszego dawnego domu w Voi, w miejscu zagród, które David wznosił kiedyś dla Samsona, Fatumy i Eleanor, teraz odpowiednio rozbudowanych i unowocześnionych. Drugi ośrodek leży w północnej części Tsavo, przy obozie Ithumba, u stóp potężnego masywu o tej samej nazwie. David uważał ten rejon za perłę w koronie Tsavo i darzył go wielkim sentymentem. Ilekroć tu wracam, wspominam nasze szczęśliwe chwile, spędzone na obserwacjach stad słoni drążących tunele w suchym korycie rzeki Tiva, żeby dokopać się do wody, i pełnych determinacji nosorożców, które musiały stawić czoło słoniom, by ugasić pragnienie z wilgotnych niecek. Niestety, po naszym wyjeździe z Tsavo kłusowniczy proceder całkiem wymknął się spod kontroli i słonie znikły z północy na całe trzydzieści lat. Na obszarze blisko ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych nie ostał się ani jeden osobnik. Populację udało się reintrodukować dopiero dzięki staraniom ośrodka rehabilitacyjnego w Ithumbie. Przez kilka lat tylko samce – odgrywające w społecznościach tych zwierząt rolę zwiadowców – odwiedzały osieroczone słońtka w nocnych zagrodach pod osłoną ciemności, porozumiewając się z nimi za pośrednictwem głuchych pomruków, dopóki nie uznały, że mogą bezpiecznie sprowadzić swoje samice. Z czasem dzikie słonie zaczęły ściągać w coraz większej liczbie, żeby napić się wody z rowu przy zagrodach i zawrzeć znajomość z naszymi wychowankami. Nie przejmowały się nawet obecnością opiekunów.

Zatrudniamy dziś ponad pięćdziesięciu oddanych pielęgniarzy, doświadczonych w opiece nad nowo narodzonymi słońtami i radzących sobie bez mojego nadzoru. Mimo podeszłego wieku mam jednak pełne ręce roboty. Na czele fundacji stoi teraz Angela – moja prawa ręka, umiejętnie wspierana przez męża Roberta. Wiem, że David byłby bardzo dumny ze swojej Pip i jej dwóch synów – naszych wnuków – którzy z czasem przejmą po nas pałeczkę. Jill także angażuje się w prace naszego zespołu, ilekroć przyjeżdża z Francji. Moje wnuczki odziedziczyły po matce miłość do kraju rodzinnego i tutejszej przyrody.

Od śmierci Davida minęło trzydzieści pięć długich lat, a mimo to co dzień wyczuwam jego obecność i w myślach dzielę się z nim wszystkim, czego nauczyłam się o zwierzętach. Przeszło pół wieku doświadczeń i przywilej odchowывania osieroconych młodych dały mi szczególny wgląd w ich życie wewnętrzne. Przyjęte w naszym sierocińcu metody opieki i rehabilitacji opierają się na zdobywanej przez lata wiedzy praktycznej, traktowanej jako punkt wyjścia do kolejnych udoskonaleń. Oboje z Davidem zdawaliśmy sobie sprawę, że w tej dziedzinie nie da się nic osiągnąć samemu, że każdy sukces jest dziełem zespołu. Na dobre samopoczucie zwierząt trafiających pod naszą opiekę pracuje rzesza prawdziwych zapaleńców. Być może największą nagrodą za mój trud jest możliwość obserwowania, jak w naszych opiekunach i wśród mieszkańców okolicznych wiosek rodzi się empatia dla słoni.

Bo do sukcesu programu ratowania sierot przyczynili się przede wszystkim znani na całym świecie opiekunowie – których zielone fartuchy i brązowe płaszcze są już symbolem

naszej działalności. David z pewnością uciałby sobie rozmowę z każdym, zwłaszcza z Michakiem Nzimbim, weteranem naszego personelu, który przed laty pojawił się u nas z Taru i odtąd został ulubieńcem wszystkich słoni, z jakimi mieliśmy do czynienia – bez względu na ich wiek i pochodzenie. Kiedyś był wyjątkiem, teraz wielu innych opiekunów ma również „magiczne” umiejętności i swój udział w cudownych ozdrowieniach słońców, które z początku spisywaliśmy na straty. Opiekunowie przekazują swoją wiedzę w audycjach radiowych, prowadzonych w językach lokalnych dla współplemieńców w najdalszych zakątkach Kenii. Kiedyś nie zawracali sobie głowy ratowaniem małych słoni, zdarzało im się nawet je dobić – teraz dokładają wszelkich starań, by ocalić osierocone zwierzę. Nikt nie ma lepszych kwalifikacji do upowszechniania wiedzy wśród miejscowych niż członkowie „ludzkiej” rodziny słoni, przemawiający szczerze i z głębi serca.

Nasi opiekunowie wywodzą się z najrozmaitszych plemion – przyjmujemy mężczyzn, którzy mogą pracować z dala od domu. Często słyszę pytanie, czemu nie zatrudniamy kobiet. Jakiś czas temu mieliśmy opiekunów obojga płci, osierocone słońca są jednak zależne od ludzi przez mniej więcej dziesięć lat – dopiero potem można je wypuścić z powrotem na wolność. Przekonaliśmy się, że kobiety nie chcą brać na siebie takiej odpowiedzialności: uważają, że ich miejsce jest przy własnych dzieciach.

Świeżo upieczeni opiekunowie uczą się przygotowywać mieszankę z proszku, zasypywać słońcowe odchody piaskiem i usuwać je natychmiast, zanim zalęgą się w nich muchy. Luźne stolce zakopuje się w kilku specjalnych dołach, prawidłowo uformowane wystarczy przerzucić łopatą do buszu, gdzie żuki gnojowe utoczą z nich kulki i zagrzebią je w ziemi. Osierocone słońca mają niezwykły dar czytania w ludziach, jak w otwartej księdze: nowy pracownik działa na swoją korzyść, próbuje zyskać miłość i szacunek swoich podopiecznych, wchodzi z nimi w najprzeróżniejsze relacje, przemawia do nich łagodnie, uczestniczy we wspólnej zabawie, podsuwa im smaczne kąski, co najważniejsze zaś, okazuje prawdziwe uczucie. Ponieważ słonie nigdy nie zapominają, trzeba traktować je czule i troskliwie. Nasi opiekunowie nie używają nawet kijka; podkreślają swoje polecenia tonem głosu, ostrzegawczym kiwaniem palcem, a w ostateczności stanowczym popchnięciem, żeby skarcić słońca za złe zachowanie. Sieroty wiążą się emocjonalnie ze swoją ludzką rodziną i czerpią radość ze sprawiania przyjemności opiekunom, pod pewnymi względami są jednak jak dzieci: zdarza im się napsocić, wdać w bójkę i po swojemu wyrównać rachunki z rówieśnikami. Opiekunowie mogą wprawdzie rozdzielać walczących, odpowiedzialność za utrzymanie porządku w grupie spoczywa jednak na starszych samicach, które na rozpaczliwe wołanie pokrzywdzonego natychmiast śpieszą z odsieczą, żeby odizolować łobuzów od stada – słońcowy sposób na ukaranie winowajców, którzy w rezultacie tracą poczucie bezpieczeństwa.

Dopóki słońca przebywają w „żłobku”, opiekunowie utrzymują z nimi kontakt fizyczny przez całą dobę. Jest ich tylu, ile było słoni w rodzinie, która osierociła młode. Kiedy maluchy wracają pod wieczór do swoich boksów, opiekunowie nocują przy nich na zmianę, żeby uniknąć zadzierzgnięcia zbyt silnej więzi między człowiekiem a zwierzęciem, co

kiedyś przysporzyło mi sporych kłopotów podczas odchowывania Shmetty. Opiekunowie śpią na specjalnych podwyższeniach, w zasięgu trąby słońiatka. Mieszanę mleczną przygotowuje się w nocy co trzy godziny, podobnie jak w dzień. Przy każdym boksie wiesz się świeżo ściętą zieleninę, żeby zachęcić maluchy do pobierania stałego pokarmu. Wprawdzie już czteromiesięczne słońiatka umieją się paść samodzielnie, muszą jednak dostawać mleko przez pierwsze trzy lata życia.

Młode słońie mają szybką przemianę materii. Noworodek ssie wmię matki co dziesięć minut, trawiąc pokarm małymi porcjami. Maluchy w sierocińcu karmi się z początku na żądanie, później w odstępach trzygodzinnych. Po ukończeniu czwartego miesiąca słońiatka dostają mleko z domieszką gotowanej owsianki. Odstawienie od butelki następuje w wieku trzech lat. Od tej pory słońie jedzą znacznie więcej zieleniny, wciąż jednak potrzebują dodatkowych składników pokarmowych, których dostarczamy im pod postacią kokosów, zawierających łatwo przyswajalne kwasy tłuszczowe. Kondycję słońia ocenia się po wyglądzie pyska, a nie brzucha, który u niedożywionych zwierząt bywa czasem wzdęty. Kości policzkowe nie powinny się rysować pod oczodołami – zdrowe słońiatka, podobnie jak ludzkie niemowlęta, mają pyzate buzie.

Pielęgniarze znają historie wszystkich naszych podopiecznych i wiedzą, że przeszłość zwierzęcia jest kluczem do zrozumienia jego nietypowych reakcji po przyjsię do sierocińca. Dokładamy wszelkich starań, żeby sieroty czuły się jak najlepiej w żłobku, co przyspieszy poprawę ich kondycji psychicznej i zwiększy nadzieję, że w chwili powrotu na wolność będą się już zachowywać całkiem normalnie. Z biegiem lat nauczyliśmy się wiele o skutkach traumatycznych przeżyć u osieroconych słońiatek. Ich zaburzenia przypominają objawy „ludzkiego” zespołu stresu pourazowego. Wyeliminowanie skutków stresu jest konieczne: nie zrównoważony psychicznie słoń ma nikłą szansę zintegrować się z dzikim stadem.

Dzięki zdobyczom współczesnej techniki możemy filmować przebieg akcji ratunkowych i odnotowywać postępy sierot w dziennikach opiekunów, udostępnianych na naszej stronie internetowej. Każdy maluch ma własną wstrząsającą historię. Większość naszych pensjonariuszy została osierocona z winy człowieka: kłusownicy zabili słońiatku matkę, żeby wyrwać jej ciosy; młode i dorosłe osobniki wpadają do studni drażonych w wyschniętych korytach rzek przez miejscowych pasterzy; globalne ocieplenie pociąga za sobą coraz częstsze susze; noworodki umierają z głodu, bo odwodnione słońice nie mają dość pokarmu. Niektóre sieroty przybywają do nas skatowane przez ludzi, którzy chcieli się zemścić za plony zniszczone przez słońie. Od niedawna zarządcy parków narodowych muszą się mierzyć z problemem nielegalnego wypasu zwierząt domowych, które przenoszą pasożyty układu pokarmowego i inne choroby siejące spustoszenie wśród dzikich mieszkańców. Co gorsza, rosnąca liczba ludności prowokuje konflikt o dostęp do pastwisk i wody pitnej, w którym przyroda zawsze stoi na przegranej pozycji.

Nasi opiekunowie krążą między sierocińcem w Nairobi i dwoma ośrodkami rehabilitacyjnymi w Ithumbie i Voi, więc wszystkie zwierzęta i wszyscy ludzie znają się nawzajem.

Dzięki temu słońątka szybko się uczą, że rozłąka z ukochanym człowiekiem jest tymczasowa i nie oznacza utraty kolejnych bliskich, jak stało się w ich „prawdziwej” rodzinie. Kiedy sieroty dojdą do siebie pod względem psychicznym i fizycznym, co z reguły trwa kilka lat, przenosimy je z Nairobi do któregoś z ośrodków rehabilitacyjnych w Tsavo. Transport odbywa się w specjalnie zaprojektowanym „słoniowozie”, w którym mieszczą się wygodnie trzy słońątka naraz. Konstrukcja pomysłu Roberta, oparta na solidnym podwoziu, jest w środku podzielona na trzy obszerne boksy z ruchomymi panelami bocznymi, które po rozłożeniu przylegają bezpośrednio do ramp załadowniczych. Na zewnątrz boksów biegnie wygodny korytarz: towarzyszący słońątkom opiekunowie mogą bez trudu przechodzić między boksami, żeby je uspokoić i nakarmić w czasie podróży.

Byłe sieroty, żyjące już na swobodzie, w jakiś tajemniczy sposób przeczuwają przyjazd nowych słońątek z Nairobi. Nie potrafię wyjaśnić, skąd o tym wiedzą, zdarza się to jednak zbyt często, by w grę wchodził przypadek. Telefony komórkowe źle odbierają sygnał na dalekiej północy Tsavo: bywało, że opiekunowie w Ithumbie nie mieli pojęcia, że słońątka są już w drodze, tymczasem byłe sieroty pojawiały się niespodzianie przy zagrodach, czekając na przybyszów. Możemy tylko przypuszczać, że słonie posługują się telepatią; co jeszcze bardziej zdumiewające, wygląda na to, że byłe sieroty nawiązują łączność telepatyczną z opiekunami z Nairobi, bo przeczuwają też przyjazd nieznanych wcześniej słońątek.

Spotkania po rozłące są zawsze radosne: słonie trąbią, łączą się w uścisku, burczą i posikują. Powitaniom nowo przybyłych towarzyszy istna eksplozja uczuć. Na etapie rehabilitacji sieroty chodzą z opiekunami na spacer do buszu, gdzie mogą swobodnie się paść i zażywać w południe kąpieli błotnej. Schodzą z pastwiska dopiero wieczorem i wracają na noc do obszernych zagród, gdzie mogą się raczyć świeżą zieleniną. Opiekunowie nie nocują już w boksach, są jednak w zasięgu słuchu – na wypadek, gdyby doszło do jakichś przepychanek i trzeba było uspokajać przestraszoną młodzież. W ośrodkach rehabilitacyjnych słonie przebywają razem w zagrodach i nie są już karmione co trzy godziny. Dostają mleko trzy razy dziennie – rano, w południe i wieczorem – i zielonkę do podjadania w nocy.

Z początku opiekunowie wyprowadzają sieroty na pastwisko w buszu, sytuacja jednak zmienia się w miarę postępów rehabilitacji. Po jakimś czasie słońątka same decydują, gdzie chcą się paść i jak spędzą resztę dnia. Używając niesłyszalnych dla człowieka infradźwięków, porozumiewają się z byłymi sierotami, traktowanymi jak członkowie wielkiej słoniowej rodziny. Wtedy właśnie przybysze zaczynają się socjalizować z dzikimi pobratymcami, wprowadzani do wspólnoty przez starsze sieroty, które mają już za sobą ten rytuał przejścia. Kiedy słońątka bratają się z dzikim stadem, opiekunowie po prostu sadowią się w bezpiecznej odległości pod drzewem, czekając, aż podopieczni sami zechcą ich szukać.

Zew natury jest bardzo silny. Każde słońątko odpowiada nań w swoim czasie, zależnie od tego, na ile dobrze pamięta, że było kiedyś częścią dzikiego stada. Maluchy osierocone wkrótce po urodzeniu nie miewają czasem żadnych wspomnień z tego okresu i starają się jak najdłużej pozostać w „ludzkiej” rodzinie. Przychodzi jednak chwila, kiedy wszyscy

podopieczni naszego sierocińca rozpoczynają normalne życie dzikiego słońa w dzikiej wspólnocie Parku Narodowego Tsavo. Co istotniejsze, liczące ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych Tsavo stanowi obszar dość rozległy, by zapewnić odpowiednią jakość życia tym wspaniałym zwierzętom. Słonie przemierzają olbrzymie dystanse – setki, czasem nawet tysiące kilometrów – wędrując w poszukiwaniu pobratymców, członków rodziny i świeżych pastwisk. Warto też zwrócić uwagę, że podczas wypadów do buszu w towarzystwie opiekunów sieroty bronią swojej „ludzkiej” rodziny przed niebezpieczeństwem. Dzikie obszary Tsavo nie są gościnne dla nieuzbrojonych pieszych – mieszkają tu groźne lwy o ludożerczych skłonnościach, przyczajone w zaroślach stare, zgryźliwe samce bawołu i agresywne słonie, które nie mają żadnego powodu, by kochać ludzi lub chociaż im ufać, bo od dziesiątków lat padają ofiarą kłusowników i miejscowych. Mimo to opiekunowie wiedzą, że mogą polegać na swoich sierotach, które potrafią wyczuć zagrożenie i natychmiast mu przeciwdziałać, zbijając się w ciasną gromadę, dopóki starsi pobratymcy nie odpędzą intruza. Choć słonie są z natury łagodne i starają się żyć w zgodzie ze wszystkimi przedstawicielami świata zwierzęcego, są też najsilniejszymi ssakami na naszej planecie. Jeśli staną się agresywne wskutek ludzkiej przemocy i okrucieństwa, mogą się okazać bardzo groźnym przeciwnikiem, zwłaszcza że potrafią myśleć logicznie, planować i wyciągać wnioski – podobnie jak ludzie.

Starsze słonie cierpliwie i łagodnie instruuja przybyszów – przestrzegają ich, żeby nie dotykać ogrodzenia elektrycznego, odprowadzają na pastwiska, przyłączają się do nich w czasie południowej kąpieli błotnej, przedstawiają napotkanym w wędrowce dzikim stadom. Nasze byłe wychowawce wybierają często jedno z mniejszych słońiątek na „pieszczoszka” grupy. To wielki i upragniony przywilej, kiedy przewodniczki stada pozwalają młodzieży wysforować się na czoło kolumny w drodze do buszu, na kąpiel w błocie lub z powrotem do zagrody. Choć słonie przychodzą na świat wyposażone w pamięć genetyczną, która zawiera też elementy instynktu przetrwania, muszą tę pamięć utrwalac i zdobywać kolejne doświadczenia w naturalnym środowisku. Nasze słonie nie wracają na wolność raptownie – odnajdują się stopniowo, przez powolne osvajanie z nową sytuacją, które może potrwać nawet dziesięć lat, zanim instynkt rozbudzi się w nich na dobre. Ponieważ wszystkie dorastające razem sieroty uważają się za członków jednej rodziny, te, którym udało się przeistoczyć w „dzikie” słonie, wciąż utrzymują kontakt z naszymi podopiecznymi, wracając od czasu do czasu, żeby porozumieć się z nimi przez płot zagrody. Wiedzą z własnego doświadczenia, że młodzi rezydenci mogą potrzebować ich wskazówek i wsparcia.

Często się zdarza, że starszy słoń wybiera kilku przedstawicieli młodzieży „zagrodowej”, żeby towarzyszyć im w nocnych wypadach do buszu. Jeśli nowicjusz czuje się niepewnie bez „ludzkiej” rodziny, przewodnik wycieczki przyjmuje to z pełnym zrozumieniem: odstawia słońiątko z powrotem do zagrody i przekazuje w ręce opiekunów. Co rusz zyskujemy nowe dowody, że słonie nigdy nie zapominają: jednego z nich dostarczyła nam Eleanor, wówczas już dobrze po czterdziestce, kiedy wróciła do zagrody po wielu latach

życia na swobodzie i wypatrzyła z oddali mężczyznę, z którym opiekunowie nie mieli wcześniej do czynienia. Uniosła trąbę, odstawiła uszy na boki i ku przerażeniu zgromadzonych ruszyła pędem w stronę nieznanego, żeby go czule uściskać i zgotować mu serdeczne słoniowe powitanie. Wyszło na jaw, że mężczyzna zajmował się nią, kiedy była pięcioletnim słoniątkiem. Rozpoznała go natychmiast, mimo trzydziestosiedmioletniej rozłąki.

Przekonaliśmy się z czasem, że byłe sieroty żyjące na wolności wiedzą, dokąd w razie potrzeby zwrócić się po pomoc. Mnóstwo naszych wychowanków przychodziło do zagród z nogą w sidłach, z ranami od strzał i włóczy, czasem nawet po to, żeby wydać potomstwo w pobliżu ludzkiej rodziny. Emily i Edie, które trafiły do nas jako maleńkie słoniątka, są teraz matkami młodych urodzonych na swobodzie – niewiele brakowało, żeby straciły je podczas suszy w 2009 roku, kiedy nie starczało im pokarmu. Dziecko Emily było tak słabe, że musiało przystawać dosłownie co kilka kroków – opiekunowie trafili na nie przypadkiem, przy okazji któregoś z kontrolnych patroli. Posłali po Mischaka, który pomógł Emily doprowadzić malucha do zagrody w Voi, gdzie podaliśmy słonicy suszony ser i inne preparaty na pobudzenie laktacji. Córka Edie była młodsza, ale silniejsza, dzięki czemu obyło się bez interwencji opiekunów. Samice odzyskały pokarm i obydwie słoniątka przeżyły. Osierocony słonik Solango, który wybrał się do buszu z naszym wychowankiem Burrą, wrócił z poważnie uszkodzoną tylną nogą – nie mógł jej nawet postawić na ziemi. Jakimś cudem zdołał dokuśtykać do zagrody w Voi. Kuracja homeopatyczna zajęła nam cztery miesiące – przez ten czas przyjaciele regularnie odwiedzali Solanga, niczym krewnego w szpitalu. Słonie są naprawdę jak ludzie, pod wieloma względami nawet nas przewyższają. Przynajmniej tyle zostało na pociechę miłośnikom tych zwierząt w nieprzyjaznym dla słoni świecie. Nie mam jednak cienia wątpliwości, że żaden z tych olbrzymów nie zamieniłby życia na swobodzie – mimo wszelkich zagrożeń – na bezpieczniejszy los w niewoli.

W sierocińcu w Nairobi praca wre od rana do wieczora. Wstaję codziennie o świcie, żeby sprawdzić nocny rejestr karmienia każdego słoniątka i upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Nauczyłam się z biegiem lat, że nawet przejściowa utrata apetytu, zmiana konsystencji stolca lub rytmu snu może być pierwszą oznaką choroby. Stan słoniowych oseków pogarsza się szybko i niespodziewanie. Próbuje więc z miejsca rozwiązać problemy, jakie pojawiły się w nocy – rozmawiam z opiekunami, w razie potrzeby kontaktuję się z weterynarzem i sprawdzam, czy jesteśmy gotowi na kolejny dzień. Tuż przed jedenastą słyszę znajomy odgłos turlanych przez ogród taczek, na których opiekunowie wiozą stopy wielgachnych butelek z mlekiem, po czym układają je w równych odstępach na ziemi. W tym czasie inni opiekunowie tworzą zwarty kordon, żeby oddzielić błotnistą nieckę do kąpieli od kolejki turystów, mieszkańców okolicznych wiosek i miejscowych uczniów, którzy czekają na godzinę odwiedzin, kiedy można się przyjrzeć karmieniu słoniątek z butelki, a jeśli pogoda dopisze, chłodzącej kąpieli w błocie. Gdy tylko opiekunowie przyniosą mleko, podniecenie sięga zenitu: w tłumie słychać rozmowy, dzieci przekrzykują się radośnie, wyglądając słoniątek, które już wkrótce wyłonią się z pobliskiego lasu. Ich cierpliwość zostanie nagrodzona widokiem galopujących maluchów i z trudem dotrzymujących im

kroku opiekunów.

Każde słońiętko zatrzymuje się w określonym miejscu, przy swojej butelce. Niektóre same ją chwytają, owijając trąbą i wychylają zawartość do dna, po czym czekają, aż opiekun poda im następną. Goście nie kryją zachwyty – słońie mają magiczną moc przyciągania. Przez chwilę słychać tylko trzask migawek i szum kamer wideo – aż do kolejnego wybuchu entuzjazmu na widok najmniejszych sierotek, które zostały w tyle za starszymi kolegami. Opiekunowie kierują je łagodnie do porozwieszanych na drągach koców, żeby malęństwa mogły oprzeć trąbę na czymś, co przynajmniej trochę przypomina w dotyku skórę prawdziwej matki. Pielęgniarsz staje po drugiej stronie, unosi koc od spodu, czeka, aż słońiętko położy na nim trąbę i wtyka mu wielki gumowy smoczek do pyska. Aby wlać w niedawno urodzone maluchy niezbędną porcję mleka – co najmniej czternaście litrów na dobę – trzeba uzbroić się w nieskończoną cierpliwość. W przeciwnym razie słońiętko znacznie raptownie chudnąć i po kilku dniach zostaną z niego skóra i kości.

Kiedy sierotki wypiją już całe mleko, same podejmują decyzję, czy dzień jest dość ciepły, by zafundować sobie orzeźwiająca kąpiel. Jeśli uznają, że tak, pędzą taplać się w błocie: tarzają się na grzbiecie, wspinają na towarzyszy, wyrzucają trąby wysoko w powietrze i biegają w kółko, grając z opiekunami w futbol. Słońiętka uwielbiają popisywać się przed publicznością – kiedy tylko usłyszą doping swoich kibiców, kopią piłkę wszystkimi czterema nogami i uganiają się za nią z szeroko rozpostartymi uszami. Często przyłączają się do nich potomkowie guźcowej rodziny Wiecznych Optymistów – w nadziei na błotną kąpiel. Ich wizyta niezmiennie dostarcza rozrywki zwiedzającym. Słońiętka rzucają się w pogoń za guźcami, ale tylko dopóki jest kogo ścigać. Kiedy przywódczyni stada straci cierpliwość i pokaże, kto tu rządzi, słońiętka tracą kontenans i wycofują się przerażone. Sierotki potrafią się przestraszyć nawet dikdika albo żuka gnojowego – jedna z naszych wychowanic nie mogła się uspokoić przez cały dzień, kiedy z drzewa, pod którym się pasła, spadł jej na grzbiet kameleon.

Jeśli jest chłodno, każde z naszych słońiętek dostaje ciepły koc, wiązany pod brzuchem na miękkie troczki z używanych rajstop elastycznych. Kiedy tylko pogoda się poprawi, koc trzeba natychmiast zdjąć. Słońie nie mają gruczołów potowych i nie mogą regulować temperatury ciała przez skórę. W czasie upałów szukają ochłody w cieniu, wachlują się uszami lub polewają się wodą. W warunkach skrajnych – o czym przed wielu laty przekonał się David, choć uczeni nie chcieli mu dać wiary – potrafią sięgnąć trąbą do własnego żołądka i zaczerpnąć stamtąd odrobinę płynu do zwilżenia uszu i tułowia. Noworodki są też podatne na oparzenia słoneczne – na swobodzie kryją się przed słońcem pod brzuchem matki. Otoczone kręgiem najbliższej rodziny, mogą się schronić przed deszczem i wichurą. Turyści patrzą z rozbawieniem na opiekunów, którzy wsmarowują krem z filtrem w delikatne uszy słońiętek. Na widok pielęgniarszy rozpościerających nad maluchem parasol, żeby go zabezpieczyć przed bezpośrednim światłem słonecznym, wybuchają głośnym śmiechem. Tymczasem jedno i drugie jest konieczne, żeby przeciwdziałać zgubnym skutkom oparzeń.

Na słońiach się jednak nie kończy. Przez lata mogliśmy się dzielić naszymi doświadcze-

niami, odchowując osierocone nosorożce na prywatnych ranczach w Kenii. W ten sposób uratowaliśmy wiele maluchów, które w przeciwnym razie nie miałyby szans na przeżycie. Odwiedzający nasz sierociniec są zachwyceni nosorożcami, zwłaszcza Maxwellem, w pełni dojrzałym samcem, który cwałuje po okólniku, zręcznie omijając wszystkie przeszkody, mimo że jest niewidomy od urodzenia. Uwielbia kontaktować się na odległość z Solio, sierotą z tego samego rancza, które przez długi czas dawało schronienie Spychaczowi i Zrędzie, i gdzie Reudi wyrósł na doskonałego rozplodnika, ojca wielu żyjących obecnie w Kenii nosorożców.

Uśmiecham się, wspominając nasze safari, kiedy zastanawialiśmy się z Davidem, co będziemy robić na emeryturze. Nie myśleliśmy o tym wówczas poważnie, nie biorę tego pod uwagę także i dziś, choć dawno już przekroczyłam wiek emerytalny. Będę pracować do upadłego i tego właśnie najbardziej pragnę, skoro już nie ma przy mnie męża. Od chwili jego śmierci co dzień mam go w sercu – kiedy patrzę na nasz sierociniec i wszystko, co zdołaliśmy zrobić w imię Davida, mam całkowitą pewność, że byłby z nas dumny.

David nauczył mnie szanować, kochać i rozumieć zwierzęta. Zacytuję słowa Henry'ego Bestona, amerykańskiego weterana I wojny światowej, który szukał pociechy w przyrodzie i opisał swoje doświadczenia w książce *The Outermost House*:

Potrzeba nam mądrzejszego i być może bardziej mistycznego podejścia do zwierząt, które poruszają się w świecie starszym i pełniejszym od naszego – skończone i kompletne, obdarzone zmysłami, które utraciliśmy bądź nigdy ich nie mieliśmy, wsłuchane w głosy, których żadne z nas nie usłyszy. To nie są nasi bracia młodszy, to są inne narody, które wpadły razem z nami w sieć życia i czasu. Wszyscy jesteśmy współwięźniami znoju i przepychu tej ziemi.

Wciąż jeszcze muszę się wiele nauczyć, wiem jednak, że zwierzęta są naprawdę starsze, bardziej złożone i pod wieloma względami bardziej wyrafinowane niż ludzie. Są też doskonalsze, bo wciąż pozostają częścią przerażającej symetrii Natury – tak jak Natura chciała. Powinniśmy je czcić i szanować, co odnosi się zwłaszcza do słoń, pod względem emocjonalnym najbardziej „ludzkich” ze ssaków lądowych.

EPILOG: DAVID

Kiedy umiera członek starszyny, zabiera do grobu całą encyklopedię.

Anonim

Piosenki miłosne z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych są pełne emocji. Zamykam oczy, cofam się o trzydzieści pięć lat i widzę siebie wtuloną w objęcia Davida podczas jednego z sobotnich wieczorów tanecznych w hotelu Voi. Dzięki wspomnieniom mogę wciąż od nowa przeżywać tamto zauroczenie.

Rzadko trafiają się noce, kiedy David nie pojawia się w moich snach. Towarzyszące przebudzeniu poczucie straty za każdym razem zostawia mnie z pustką w sercu. Kiedy David zmarł, 13 czerwca 1977 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, byłam w nim zakochana bardziej niż kiedykolwiek. Spędziliśmy razem siedemnaście cudownych lat – przez cały ten czas miałam wszechogarniające poczucie ciepła, miłości i bezpieczeństwa, poparte szacunkiem i głębokim podziwem dla męża. David zawsze był przy mnie, zawsze na miejscu, gotów podjąć trudne, rozstrzygające decyzje, przejąć kontrolę, rozwiązać problem, coś stworzyć albo naprawić, pobudzić innych do działania. Był fascynującym towarzyszem: człowiekiem wykształconym, pełnym zapału, rozważnym, współczującym i dobrym. Kochał mnie i ochraniał w najbardziej dosłownym znaczeniu.

Życie z Davidem przypominało nieustanne ćwiczenia z obserwacji i zrozumienia. Kiedy razem pracowaliśmy, wszystko stawało się ważne i ciekawe, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jego bystry, dociekliwy umysł oraz wielki szacunek i miłość do przyrody wciąż są natchnieniem działań fundacji imienia Davida Sheldricka. Mój mąż byłby zadowolony z naszych sukcesów w odchowywaniu osieroconych słońi i innych dzikich zwierząt – w taki sposób, by mogły potem wrócić na swobodę, co jest ich naturalnym prawem.

Odwróciłam wiele kart od śmierci Davida, ale nie mogę przestać o nim myśleć. Kochałam go z całej duszy i serca. Czasem tak za nim tęsknię, że aż boli. Gdyby jednak David zestarzał się przy mnie, miałby teraz przeszło dziewięćdziesiąt lat – czego nie umiem sobie wyobrazić, bo w moich wspomnieniach pozostanie na zawsze młody i atrakcyjny, sprawny i przystojny. Wiem, że byłby niezmiernie dumny z Angeli i swoich wnuków, z ich uwielbienia dla przyrody i dzikich zwierząt. Dwaj synowie Angeli wciąż mają go za wzór i pod wieloma względami są do niego podobni. David byłby też dumny z osiągnięć Trustu, próbującego upamiętniać jego postawę etyczną i wkład w ochronę środowiska naturalnego, której poświęcił się z taką pasją. Mam nadzieję, że ta książka będzie odpowiednim hołdem dla niego, ale także dla innych dyrektorów pierwszych parków narodowych, którzy musieli walczyć z wieloma przeciwnościami, by dzisiejsze pokolenie Kenijczyków mogło się cieszyć niezastąpionym bogactwem pierwotnej dzikiej przyrody i dzielić się nim z resztą

świata. To bezcenny skarb, źródło prawdziwej fortuny Kenii i jej mieszkańców.

PODZIĘKOWANIA

Miłość do zwierząt zawdzięczam moim wspaniałym rodzicom, którzy od samego początku uczyli mnie współczucia dla wszystkiego, co żyje. Mój zmarły mąż David utwierdził mnie w tej miłości i wzbogacił ją o umiejętność rozumienia zwierząt. Był chodzącą encyklopedią wiedzy o przyrodzie, człowiekiem wyprzedzającym swoją epokę, w pełni świadomym, że współzależności między organizmami są kluczem do zdrowia całego systemu. Jego skromność, profesjonalizm, nieustraszona odwaga i niezłomna uczciwość przyświecają mi w mojej własnej pracy działaczki na rzecz ochrony środowiska. Jestem mu nieskończenie wdzięczna za to, kim był, za cudowne lata spędzone razem i za osiągnięcia Trustu, który powstał, żeby uczcić jego pamięć.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec całej rodziny, zwłaszcza dwóch moich sióstr, Sheili i Betty, które trwały przy mnie w najgorszych chwilach, oraz Davida Reada, który znów wprowadził śmiech i radość w moje życie. Moje córki są dla mnie niewyczerpanym źródłem dumy i siły – poza tym dały mi szczęście w postaci wnuków. Jill, mój najlepszy kompan, pomogła mi przejść przez istną orkę na ugorze, jaką były początki David Sheldrick Wildlife Trust. Zjeździliśmy Kenię wzdłuż i wszerz, zebrząc o datki na ochronę dzikiej przyrody. Jill dzieliła swoją sypialnię z pierwszym osieroconym słońiątkiem, zanim w ogóle dorobiłyśmy się stajni. Ostatnio towarzyszy mi w podróżach, wiedząc, że panicznie boję się zgubić. Jej ojciec, a mój pierwszy mąż Bill Woodley był moim serdecznym przyjacielem i prawdziwie światłym człowiekiem.

Angela, moja zdolna, piękna i obdarzona artystyczną duszą córka z małżeństwa z Davidem, jest bardzo podobna do ojca i odnosi sukcesy we wszystkim, do czego przyłoży rękę. Miała zaledwie trzynaście lat, kiedy zmarł jej ojciec; będę zawsze głęboko wdzięczna Illie i Martiemu Andersonom, naszym sąsiadom z Rancza Galana, którzy opłacili jej studia na Uniwersytecie Kapsztadzkim i umożliwili podróż do domu, żebyśmy mogły być razem w wakacje. Kiedy Angela dorosła, wprowadziła David Sheldrick Wildlife Trust na nowe tory, dla mnie całkiem nieosiągalne. Jej biznesowe zacięcie, intuicja i mądrość pozwoliły udoskonalić model działania naszej fundacji, funkcjonującej w myśl zasad obmyślonych przez Davida. Równie głęboką wdzięczność jestem winna mężom moich dwóch dziewczyn, którzy wspaniałomyślnie dzielili się ze mną swoimi żonami i na których pomoc zawsze mogłam liczyć. To Jean-François Chavrier, francuski mąż Jill, był ofiarodawcą pierwszego samochodu dla David Sheldrick Wildlife Trust, małego renault 4, sprowadzonego specjalnie dla nas z Europy. Oboje z Jill pomagali zorganizować pierwszy patrol wyspecjalizowany w likwidacji sideł, żeby oczyścić Tsavo z osławionych drucianych pułapek, które do dziś są przyczyną cierpienia tylu zwierząt. Mąż Angeli, Robert Carr-Hartley, jest naszą opoką i wsparciem, ilekroć trzeba uspokoić wzburzone wody; nigdy nie skąpi nam czasu,

gdy go potrzebujemy. Jego zamiłowanie do dzikiej przyrody i wszystko, co się z tym wiąże, jego niezawodna intuicja, spokojna determinacja i cierpliwość w dążeniu do spełnienia marzeń stanowią prawdziwy skarb, który walnie się przyczynił do dobra Trustu i szerszych działań na rzecz ochrony środowiska.

Dziękuję Simonowi Trevorowi, który w początkach istnienia Trustu udostępnił nam filmy dokumentalne, kręcone wspólnie z Davidem podczas ich pracy w Tsavo. Dziękuję mu także za znalezienie kawałka ziemi przy granicy parku na rzece Athi, który służy nam teraz jako baza wypadowa wszelkich operacji polowych.

David Sheldrick Wildlife Trust powstał z inicjatywy nieżyjącego Johna Suttona i mojego brata Petera (jego także nie ma już wśród nas), którzy wystarali się dla mnie o pozwolenie osiedlenia się na terenie Parku Narodowego Nairobi. Jestem wdzięczna za dobroć i współczucie władz Kenii, które zagwarantowały mi ten przywilej, oraz dyrektorów Wydziału Ochrony i Zarządzania Środowiskiem, z którymi ściśle współpracowałam po śmierci Davida. Niemniej to Bob Poole, dyrektor kenijskiego biura African Wildlife Foundation, wspomógł raczkujący David Sheldrick Wildlife Trust i dał mu skrzydła, które z czasem zapewniły nam niezależność. Równie szczerze wyrazy wdzięczności przekazuję członkom Rady Powierniczej i Komisji Doradczej Trustu, którzy nadzorują nasz wkład w ochronę przyrody, wypełniając sumiennie założenia naszej misji, w pełni zgodne z wizją Davida.

Nie ma dnia, żebym nie odmówiła po cichu modlitwy dziękczynnej za biegłość południowoafrykańskich chirurgów odpowiedzialnych za uratowanie mojej nogi po wypadku z dziką słońcą, którą pomyliłam z Eleanor i przypląciłam swój błąd spędzeniem piętnastu długich miesięcy o kulach. Doktor Ponky Firer umiejętnie poskładał strzaskane kości, zachowując sprawność kończyny, która przysporzyła mi później trochę kłopotów; doktor Jeff Sochen uratował ją dzięki metodzie pulsacyjnego płukania kości, usuwając z niej bakterie, które dostały się do rany przez otwarte złamanie. Moja młodsza siostra Betty wspaniałomyślnie zaopiekowała się mną i pomogła mi przejść przez to wszystko; jestem głęboko wdzięczna za jej cierpliwość i towarzystwo, a mojej siostrzenicy Sally – za ofiarowaną mi gościnę. Czuję się dłużniczką wszystkich, którzy sfinansowali moją rehabilitację; dziękuję Jinowi Tatsumurze, z którym nakręciliśmy sceny z udziałem słoni do słynnego serialu *Gaia Symphony* i który zafundował mi seanse medycyny alternatywnej w Japonii. To, że mam w pełni sprawną prawą nogę, zawdzięczam w dużej mierze Jinowi i niezwyklej gościnności, z jaką przyjęto nas w jego ojczyźnie.

Ta książka prawdopodobnie nigdy nie trafiłaby do księgarń, gdyby nie mój agent Patrick Walsh z wydawnictwa Conville & Walsh, który przyjechał do Kenii, kazał mi usiąść i napisać odpowiednio zachęcający konspekt. Jestem bardzo wdzięczna mojej redaktorce Gillian Stern, która ochoczo i skutecznie podjęła się niewdzięcznego obowiązku skrócenia materiału liczącego tysiąc stron do obecnej, jako tako strawnej objętości. Dziękuję ci, Gillian, za tę imponującą i niewdzięczną robotę. Dziękuję też Eleo Gordon z wydawnictwa Viking za jej wskazówki i zrozumienie podczas pracy nad książką.

Szczerze dziękuję ludziom z całego świata, którzy hojnie i regularnie wspierają wysiłki

naszej fundacji; dziękuję członkom amerykańskiej Rady Przyjaciół Trustu i miejscowej Rady Powierniczej, którzy poświęcają swój wolny czas na dalszy rozwój organizacji. Jestem osobiście wdzięczna Stephenowi Smithowi, prezesowi założycielowi Zrzeszenia Przyjaciół DSWT w Stanach Zjednoczonych – za pomoc prawną w sprawach dotyczących kontraktów filmowych. Bardzo dziękuję, Stephenie.

Na samym końcu – co w żadnym razie nie umniejsza mojej wdzięczności – wspomnę o rzeszy osieroconych zwierząt, z którymi miałam przez te lata do czynienia i które co dzień wnoszą coś nowego w moje życie, aczkolwiek ich odchowanie przynosi nie tylko radość, ale i mnóstwo łez. Nauczyłam się właśnie od słońi, jak sobie radzić z przeciwnościami losu – naturalną kolejną rzeczą rozpaczać po śmierci bliskiej osoby, później jednak odwrócić kartę i skupić się na pomocy żywym. Choć ludzie przysporzyli im tylu cierpień, słońie wciąż umieją wybaczać – mimo że nie potrafią zapomnieć.

ZDJĘCIA



Sheila, ja na kolanach matki i Peter



Cedar Park – nasz dom w Gilgilu



Betty i ja w Malindi



Bill i ja na naszym przyjęciu weselnym w Cedar Park



Z półroczną Jill



Bill, Jill i Fatuma



Bill podczas pieszego patrolu



Budowa dróg w latach czterdziestych i pięćdziesiątych



David na II wojnie światowej



Bill, David i ja w czasie powodzi na rzece Voi



David w magazynie kości słoniowej



Patrol przeciwko kłusownikom na rzece Tiva, 1958



David z przyjacielem, Jill i ja obozujemy w Ndiandaza



Jill z odzyskanymi trofeami, 1958



Samson, Fatuma i Higglety (na pierwszym planie), ja z przyjaciółką i Jill (siedzi na burcie łódki), 1961



Jill i Huppety, 1963



David z Old Spice'em



Ja i David z nowo narodzoną Angelą, 1963



Cztery pokolenia – portret rodzinny z babcią Chart w środku, 1963



Obozowisko Kitani ya Ndundu nad rzeką Athi



Angela w krzeselku safari



David z osieroconymi Eleanor i Rufusem



Przytulam Kręciołkę, 1968



Deszcze w Tsavo, zawsze mile widziane



Nad rzeką Tiva z rodzicami, Angelą i Peterem



David z Angią na Rufusie



Wielkie stada słońi w Tsavo, 1970



Tsavo, potężny samiec słonia



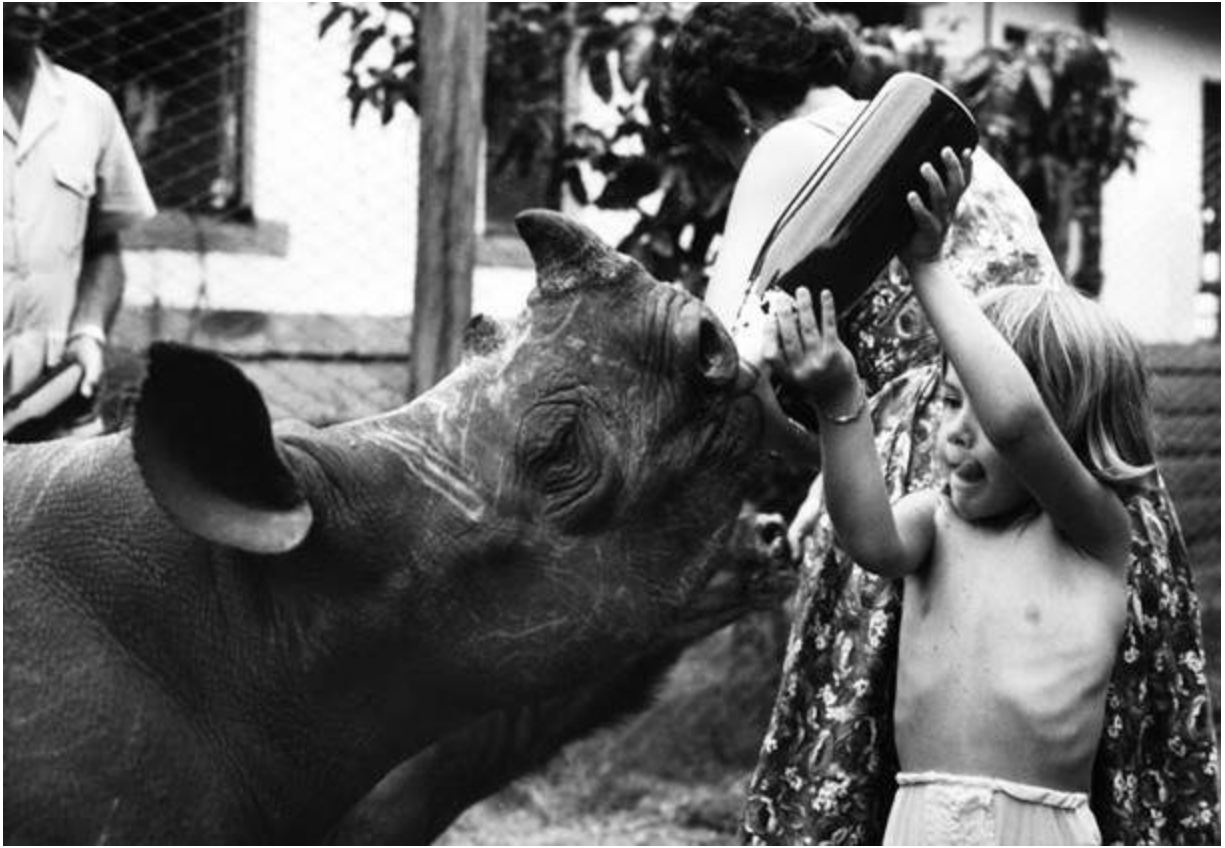
Angela, ja i Eleanor z opiekunem, 1968



Ja z Angelą w porze karmienia, ze Stubem i Lollipą



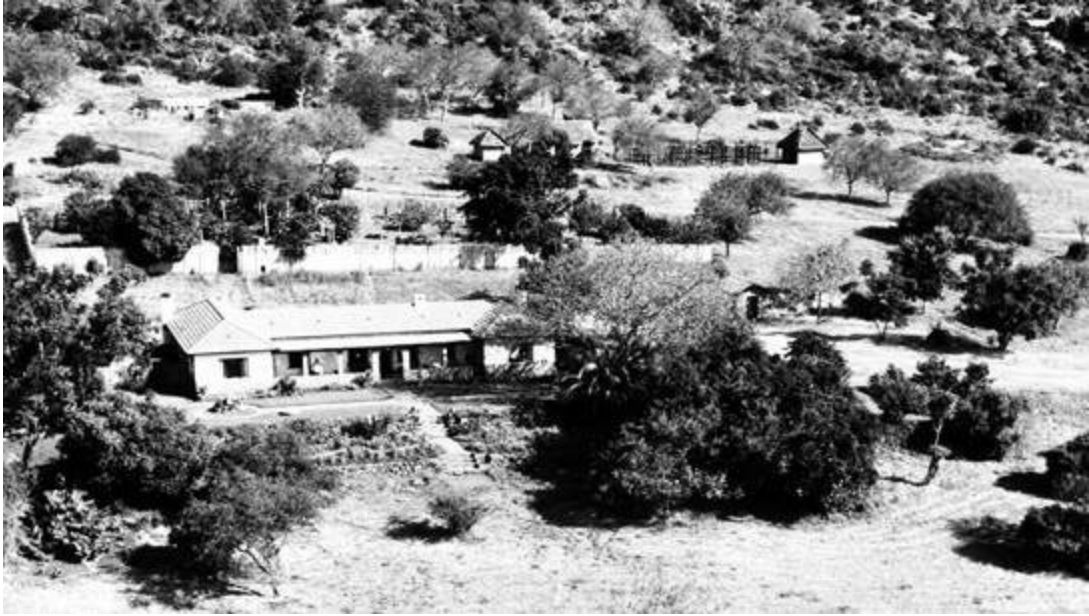
Strusie i strażnicy, 1976



Angela karmi Stuba, 1968



Ja, Angela i Bias, osierocone cielę dujkera



Nasz dom w Voi



Angela i ja z Lollipopą i Zrzęda



Jill w wieku dwunastu lat



Wieczorny spacer nad rzekę w towarzystwie osieroconych zwierząt



Transport zebry Grevy'ego do parku Tsavo East



David, moja bratnia dusza



Powrót strażników z aresztowanym kłusownikiem, odzyskanymi rogami nosorożców i ciosami słoni



David ratuje Sobo z pomocą strażników i opiekunów



Łobuz Punda dokucza Sobo; Raru stoi z boku i obserwuje



Bukanezi, Raru, Eleanor i Sobo



Zrzęda i Raru



Zrzęda i Punda, nierozłączni przyjaciele



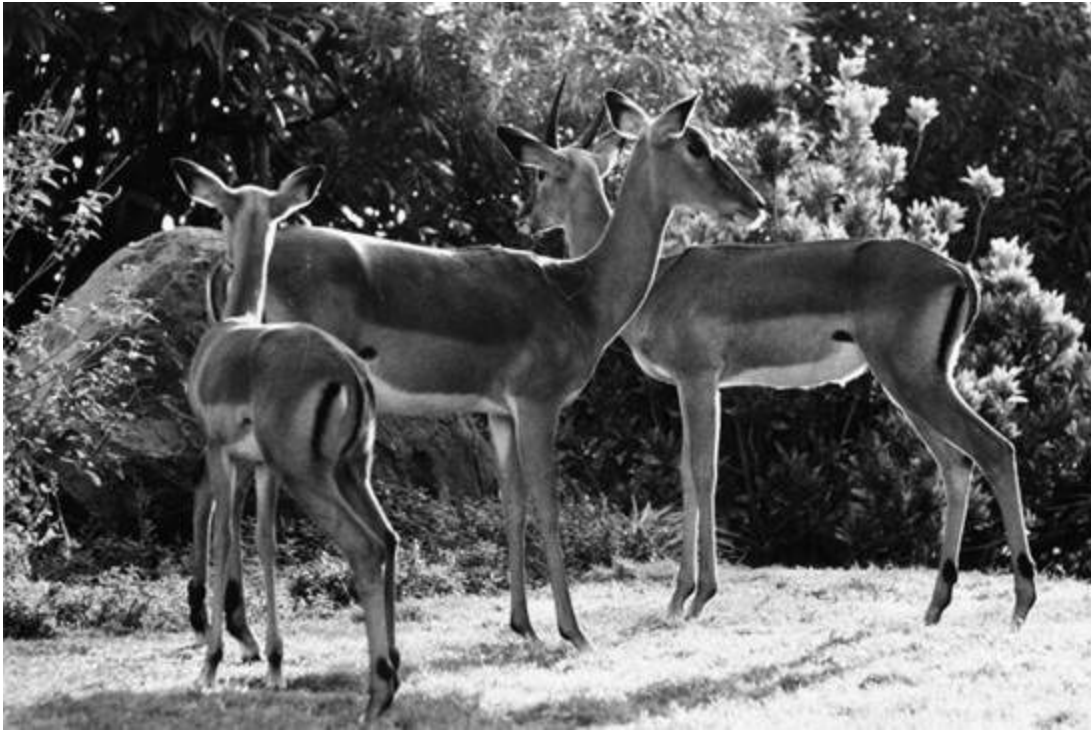
Angela, ja i David z osierocnymi słoniami, 1973



Bunty powiła Bouncera w samo południe, na moich oczach



Jill, ja, Bunty i David w ogrodzie przed naszym domem



Bunty z synami w ogrodzie



Bunty, perlica sępia i ja w ogrodzie



Postój podczas przeprawy landrowerem przez rzekę, niedaleko grobli przy Wodospadach
Lugarda



David ratuje słonia, który ugrzązł w zasychającym błocie



Jill z ojcem Billem w dniu swojego ślubu



Przygotowuję mieszankę mleczną dla Aishy



Zabawa z Aishą na hałdzie piasku



Z Aisha



Aisha bierze kąpiel błotną



Z Eleanor, lata osiemdziesiąte



Ja i Boobalub, jeden z naszych osieroconych elandów



Olmeg, uratowany 4 marca 1987 z Maralal; miał wówczas około miesiąca, był wychudzony i poparzony słońcem



Olmeg, dwa lata później



Z osierconymi słoniami w Voi, lata dziewięćdziesiąte



Eleanor i sieroty z Tsavo



Sieroty z Ithumba w błocie



Ja i David Read



Ślub Angeli, 1996



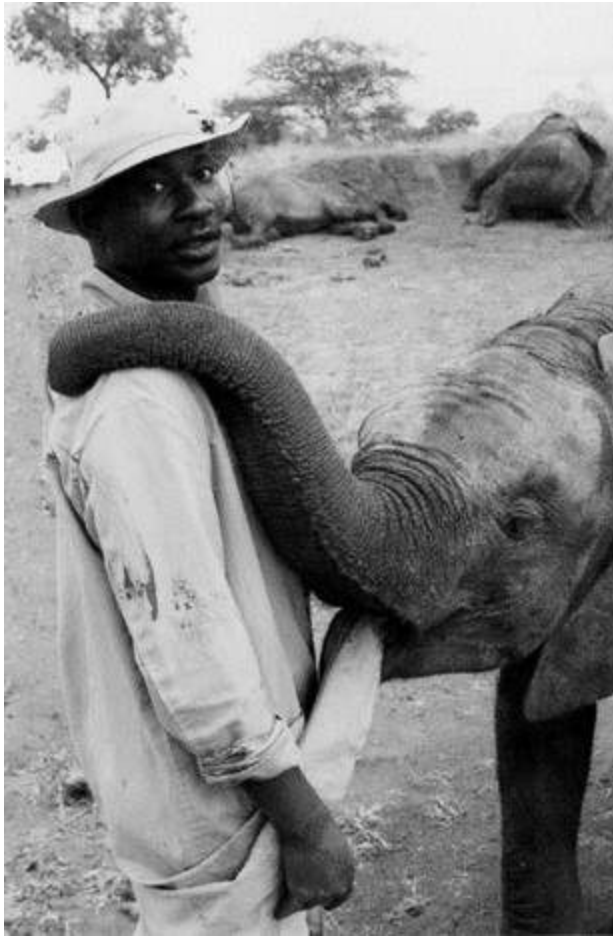
Żłobek w Nairobi, 2007



Miejscowi z wizytą w sierocińcu



Żłobek, 2009



Mishak, 2005



Maleńka Mara tuż po uratowaniu



Suguta z opiekunem Bensonem



Ja i Wendi, 2011



Z wnukami. W głębi: Emily, ja i Zoe. Z przodu: Roan i Taru



Właśnie zostałam Damą Komandorem Najwspanialszego Orderu Imperium Brytyjskiego



Jill, 2009



Angela z Makeną – słońiątkiem szczególnej troski